Biografie Sławnych Ludzi

Jerzy Besala

Stefan Batory

Państwowy Instytut Wydawniczy

Indeks zestawiła i ilustracje wybrała
Bronisława Dziedzic-Wesołowska

Opracowanie graficzne
Jolanta Barącz

Państwowy Instytut Wydawniczy wyraża podziękowanie
Fundacji Stefana Batorego za pomoc
w wydaniu tej książki.

PRINTED IN POLAND
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1992 r.
Wydanie pierwsze
Ark. wyd. 33.0. Ark. druk. 34,5
Zakłady Graficzne w Poznaniu
Nr zam. 71401/92

ISBN 83-06-02253-X

Część pierwsza

WŁADCA SIEDMIOGRODU

I. RÓD Z SOMLYÓ

Jednym z traktów wiodących z górzystego Siedmiogrodu do zielonej Równiny Węgierskiej jest przełęcz w masywie Meszes. Tą właśnie drogą, podług tradycji Madziarów, mieli wtargnąć ich bitni przodkowie do Kotliny Naddunajskiej, podbijając w X wieku osiadłe plemiona Słowian. Idący tym traktem podróżnik natrafiał na nieduże, obecnie rumuńskie miasteczko Simleu-Silvaniei z zamkiem usytuowanym przy rynku, naprzeciw gotyckiego kościoła. Puste oczodoły okien, poobijane ozdoby nad wygiętą w łuk bramą wjazdową, odrapane i dziurawe mury skazane na zagładę i niebyt w niczym nie przypominały chwil świetności dawnych właścicieli tej gotycko--renesansowej budowli.

A przecież zamek ten należał do familii, która zapisała się wielkimi literami w dziejach Węgier i Polski — do rodu Batorych z Somlyó. Tak bowiem do niedawna nazywała się ta miejscowość.

Zamek był nieduży, jednopiętrowy, lecz ze względu na strategiczne położenie dobrze obwarowany linią grubych murów, ziemnych umocnień, zwanych pałankami, dwoma basztami i fosą ze zwodzonym mostem. Nie było to domostwo ani wygodne, ani na miarę rodu, który szybko wspiął się w górę. Liczyło ledwie pięć komnat pałacowych, w których nie tylko pomieszkiwała liczna rodzina, ale i odbywały się koncerty nadwornej kapeli dla rozkochanych w muzyce Batorych.

Dwudziestego siódmego września 1533 roku w komnatach zamku

w Somlyó odetchnięto z ulgą: krzyk nowo narodzonego dziecka oznaczał, że poród się udał. Familii przybył nowy potomek: Anna Katarzyna z domu Telegdi powiła syna. Ojciec, potężny wojewoda siedmiogrodzki Stefan Batory, mężczyzna nie pierwszej młodości — miał wówczas pięćdziesiąt lat — doczekał się kolejnego dziecka. W tych ciężkich czasach, gdy liczebność rodu stanowiła również o jego sile, interesów familii miał kto bronić. Batoremu urodził się trzeci syn; z kolei ręce trzech córek można będzie w przyszłości łączyć odpowiednimi więzami małżeńskimi, umacniając potęgę rodu niedawno wyniesionego na wyżyny władzy. Wojewoda mógłby być bardzo kontent, gdyby mu jeszcze zdrowie dopisywało.

Nowo narodzonemu dziecku nadano imię Stefan. Nie tylko dlatego, że tak zwał się jego ojciec, ale i z umiłowania Węgrów do tego imienia. Stefan Wielki był wszak pierwszym królem Madziarów, właściwym twórcą zjednoczonego na przełomie X i XI wieku królestwa, ogłoszonym przez Kościół, w pół wieku po śmierci, świętym królem, którego imię i korona stały się symbolem jedności i wielkości monarchii węgierskiej.

Ale czasy, które krzykiem przywitał maleńki Stefan Batory nie należały bynajmniej do jasnych, a świetność królestwa węgierskiego stała się już tylko złotym wspomnieniem. Potężne królestwo ocierające się niemal o dalmatyńskie wybrzeża Adriatyku, strzeżone przez potężną twierdzę Belgrad, dochodzące aż do wyniosłych Karpat, które wpisało się w historię Chorwatów, Słoweńców, Bośniaków, Słowaków i innych nacji, w chwili narodzin Batorego było już śmiertelnie zagrożone. Rozpędzone w podbojach imperium tureckie parło bowiem przez Bałkany w głąb Europy, niosąc zielone chorągwie Allacha oraz bułaty zabarwione na czerwono od krwi mieszkańców obracanych w paszalikaty ziem.

Rozległe i chrześcijańskie Węgry mogłyby skutecznie powstrzymać pochód wyznawców Proroka, gdyby nie to, że toczone były wewnątrz fatalną chorobą, paraliżującą, niczym nowotwór, możliwości obrony organizmu państwowego. Plagą tą Węgry zostały dotknięte znacznie wcześniej niż sąsiednia Polska; podobieństwa jednak w dziejach obu państw są zdumiewające. Śledząc historię Madziarów, łatwo zauważyć, że magnaci węgierscy zajmowali się głównie obalaniem reform wzmacniających władzę królewską. W XVI stuleciu w kraju być może zabrakło instynktu państwowotwórczego, który potrafił uchronić zagrożone zewnętrznie państwa przed podbojem: wydaje się, że węgierscy szlachetnie urodzeni bardziej dbali o powinności wobec rodu i nazwiska, a mniej wobec państwa i historii. Wprawdzie przewaga egoizmu rodowego czy stanowego nad interesami państwa była w ówczesnej Europie powszechna, ale zagrożenie zewnętrzne Węgier powinno wpłynąć na długotrwałe zwarcie szeregów wokół monarchy. Silna władza królewska wydawała się jednak wielmożom znacznie groźniejsza niż Turcy na granicach, choć blask ich krzywych, szerokich szabel raził często komendantów Belgradu — klucza, jak go zwano, do serca Węgier — i straszył co bardziej trzeźwych magnatów. Nie na długo. Jeśli jakiś wybitniejszy monarcha węgierski przeprowadzał reformy i grupował silne wojska — tak stało się w przypadku Macieja Korwina tworzącego stałą „czarną armię" — natychmiast wysoko urodzeni podcinali monarszym następcom skrzydła, by nadto nie wyrastali nad ich głowy. Władcą miał być „rex bene" (król dobrze), który ulegałby magnatom i spełniał ich wolę. Oczywiście ta sprzeczność interesów władzy i możnowładztwa, będąca niekiedy motorem rozwoju demokracji, wpisana była w dzieje wielu państw i epok. Na Węgrzech jednak przynosiło to opłakane skutki.

Ówczesny chrześcijański świat otwartych granic wytwarzał schematyczne obrazy różnych narodów, które porównywano w rymowanych, pożal się Boże, utworach. Zawierały one często kwintesencję cech, które uderzały rymopisów, i trudno im nieraz odmówić słuszności. Obrazy te miały twardy żywot i wiele narodów chodziło w skrojonych przez te wierszyki szatach przez całe stulecia. Oto rozpowszechniony w Europie utwór *Nationum proprietates*, przerobiony w Polsce na *Obyczaje i przymioty osobliwych narodów europejskich z różnych autorów*, mówiący o interesujących nas nacjach:

Dworny rad chwali Polak i próżnuje,
Nabożny Litwin krzyczy, postponuje,

Niesyty Mazur płacze, kiedy bije,
Okropny Węgrzyn stroi rebelije,

a XVI-wieczny poeta Adam Czahrowski dodawał:

...Wolę u Polaka być za masztalerza
Aniźli służyć Węgrom, bom świadom ich pierza.[1]

Taką to opinią — raczej zasłużoną — cieszyli się podówczas herbowi Węgrzy. Jak wspomnieliśmy, skłonność do partykularyzmu nie przynosiła pożytku, gdyż kraj był zagrożony nie tylko przez Turków. O koronę św. Stefana starali się Habsburgowie, pretendujący, wzorem cesarzy rzymskich, do uniwersalnej władzy nad ówczesnym światem. Władza ta jednak oznaczała wzrost przewagi zadziwiająco prężnego żywiołu germańskiego i w konsekwencji zniemczanie krajów pozostających pod berłem Habsburgów. Z tego zdawano sobie dobrze sprawę w ówczesnej Europie. Węgrzy przekonali się o tym naocznie już podczas krótkiego panowania Albrechta Habsburga (1437—1439). Zapewne dlatego większa część szlachty opowiadała się za Jagiellonami na tronie węgierskim, co oczywiście nie oznaczało łatwego zrzeczenia się przez dom austriacki pretensji do korony św. Stefana.

Unie polsko-węgierskie to odrębny temat: należy jednak stwierdzić, że nie przynosiły one zbyt wielkich korzyści jednocześnie obu krajom. Wśród Jagiellonów brakowało indywidualności wybitnych, które umiejętnością tworzenia nowej magnaterii, opierania się na określonej grupie szlacheckiej lub w ostateczności — choć wielce zawodna to metoda — twardą ręką powstrzymałyby Węgry w przyśpieszonym biegu do utraty państwowości.

Najgorsze jednak było to, że brakowało wśród Węgrów instynktu zgody, wynikającego z arystotelesowskiego zoon politikon, tak ważnego w dziejach wielu państw. Zauważali to współcześni, życzliwi na ogół Madziarom Polacy, nie tacy przecież znów skłonni do ograniczania swych złotych wolności na rzecz wyższych racji władzy. Mikołaj Rej dowodził:

Węgrzyn to mężny naród, ale też ma wadę.
Są prawie jako kmiecie, co ten zwyczaj mają,
Iże się często w pany odmieniają.

Rejowi szło o niestałość wielkich magnatów węgierskich i ich chorobliwą wprost niezgodę. Czasy po części ich usprawiedliwiały, choć warto zauważyć, że zgoda jest niekiedy potrzebna nawet w warunkach głębokiej niesprawiedliwości i widocznych bezsensów; zgoda taktyczna, dla uratowania popadającego w chaos kraju. Taką konkordię król i możnowładcy węgierscy potrafili zawierać, gdy szło o przeciwnika, którego zdawali się obawiać bardziej niż janczarów: o chłopów. W 1514 roku na przykład król i skłóceni ze sobą potężni panowie Jan Zapolya oraz Stefan Batory z Esced (odległy krewny przyszłego króla Polski) zwierali w uścisku prawice, gdy szło o rozbicie powstania chłopskiego. Oczywiście taka zgoda przyniosła efekt w postaci wycięcia dwudziestu tysięcy nieszczęsnych „potomków Chama" i zdławienia ruchu, który zdaje się niewiele miał do zaoferowania poza mszczeniem krzywd i niszczeniem.

Katastrofa nastąpiła w 1526 roku, na siedem lat przed przyjściem Stefana Batorego na świat. „Król dobrze", Władysław Jagiellończyk, zwany przez zadowolonych wielmożów madziarskich Dobzse László, ostawił koronę węgierską swemu synowi, Ludwikowi. Kilkunastoletniego króla wychowywał w niechęci do kobiet podzielający gusta starożytnych margrabia brandenburski Jerzy Hohenzollern: w nauce tej, rzecz jasna, niewiele miejsca poświęcił on sprawom państwa, za to wiele rozkoszom łoża i dworskim rozrywkom. Tymczasem młody władca objął państwo rozrywane waśniami stronnictw, rodów, dworów. Magnaci węgierscy cieszyli się nadal w Europie zasłużoną sławą kłótliwych sobiepanów, których wzrok nie sięga dalej niż obszar ich posiadłości. Teraz już nawet postronni obserwatorzy nie widzieli dla państwa madziarskiego ratunku: na Węgrzech, „gdyby za cenę trzech forintów można było uratować kraj — pisał nuncjusz papieski — nie znalazłoby się trojga ludzi, którzy by tę ofiarę chcieli ponieść. (...) Brak tu kierownictwa, brak pieniędzy, brak rady, brak okrętów, brak porządku." [2] Ocena ta, nawet jeśli przesadzona, była jednak jakąś miarą rozdarcia wewnątrz świetnego niegdyś królestwa.

W 1521 roku panowie węgierscy chyba się nieco wystraszyli. Nowy sułtan Sulejman w rok po wstąpieniu na tron zdobył kluczową twierdzę, która zamykała wejście do wnętrza Węgier — Belgrad. Strach

trwał krótko i wielmoże wrócili do ulubionych prac: na przykład Jan Zapolya zajął się przygotowaniem spisku mającego zrzucić Jagiellona z tronu, w związku z czym nie zdążył na pole bitwy z Turkami. Na efekty nie trzeba było długo czekać: wojska króla Ludwika, składające się w części z Polaków i Czechów, poniosły straszliwą klęskę pod Mohaczem w pamiętnym dla Europy roku 1526. Młody król utonął podczas ucieczki w mulistym potoku Csele; ironia Historii spowodowała może, że spotkał go los młodego władcy polskiego o tych samych upodobaniach erotycznych, Władysława z Jagiellonów, znanego potem jako Warneńczyk. W ten sposób Turcja stanęła, niepewnymi jeszcze stopami spahisów i janczarów, w środku Węgier, w Budzie. Wprawdzie Sulejman, zaniepokojony sytuacją w azjatyckiej części imperium, ustąpił z Budy, ale de facto był to objaw końca niezależności Węgier.

Magnaci madziarscy przejęli się tym stanem rzeczy na tyle, by złożyć winę za klęskę na koronowane głowy Jagiellonów i ich słabość. To przecież ostrza polskie i czeskie nie wstrzymały wyznawców Proroka. Wyrazem takich przekonań był wybór przez herbowych króla narodowego, potężnego magnata, Jana Zapolyi. Elekcja ta wywołała jednak głęboką niechęć niemal równie potężnego możnowładcy jak Zapolya — Stefana Batorego z Esced. Jego stronnictwo ogłosiło królem arcyksięcia Ferdynanda Habsburga. Koronacja odbyła się w tym samym miejscu, tą samą „koroną świętą" i przez tego samego biskupa, który niedawno wkładał poświęcone złoto na skronie Jana Zapolyi.

Wyniesienie Habsburga na tron węgierski potwierdzało umiejętności polityczne domu rakuskiego. Znakomicie potrafił on stosować mądrą zasadę, którą dobrze oddawał popularny wiersz łaciński, przypisywany zresztą Maciejowi Korwinowi:

Bella gerant alii,
Tu, felix Austria, nube.
Namque Mars aliis,
Dat tibi regna Venus.[3]

(Wojny niech inni prowadzą, ty, szczęśliwa Austrio, żeń się. To bowiem, co Mars innym, da ci królewska Wenus.)

I rzeczywiście — Jagiellonowie wykrwawiali się na polach bitew, a Habsburgowie wydawali za mąż płodne księżniczki i żenili arcyksiążąt, obejmując nowe kraje. W wypadku Węgier niepotrzebny był nawet mariaż.

Wraz z dwoma królami Węgrzy otrzymali niezliczone cierpienia, jakie przynosi wojna domowa — tym bardziej gorzkie, że wojska habsburskie w niczym nie ustępowały tureckim, jeśli idzie o okrucieństwo i łupiestwa. Pokonany Zapolya szukał pomocy w Turcji, której poddał się jako lennik. W trzy lata po Mohaczu, na tym właśnie polu bitwy, złożył hołd promieniującemu wielkością Sulejmanowi, którego już niedługo świat ochrzci Wspaniałym. Turcja znalazła się u szczytu potęgi, z którego nie zejdzie przez ponad wiek.

Akt hołdu Zapolyi oznaczał wojnę między Turcją a Austrią, ujmującymi się za „swoimi" królami. Terenem starć były, rzecz jasna, nieszczęsne Węgry. Ale dwunastoletnia walka między dwoma królami nie przyniosła rozstrzygnięcia: utrwaliła jedynie, w wyniku układu zawartego w Wielkim Waradynie w 1538 roku, podział kraju na dwie części. Okazało się, po raz pierwszy, że ani Austrii, ani Turcji nie stać na całkowite pokonanie przeciwnika.

Zapolya, szukający sojuszników, usiłował zatem przyciągnąć do swej sprawy Jagiellonów. Z dobrym skutkiem, gdyż w 1538 roku otrzymał od króla polskiego prezent w postaci obietnicy ręki Izabeli, córki Zygmunta Starego i królowej Bony. Podniosło to niezmiernie jego autorytet: wszedł do świetnej i sławnej dynastii, stał się członkiem rodziny panującej, co wycisnęło na jego władzy królewskiej pieczęć familii władającej z łaski Bożej. Akt zaślubin osłodził też gorzkie życie „króla narodowego" Węgier i rokował duże nadzieje. Oto na piętnaście dni przed śmiercią Zapolyi 7 lipca 1540 roku jego żona, Izabela Jagiellonka, urodziła syna. Ochrzczono go Jan Zygmunt: imionami ojca i wielkiego dziada. Umierający Zapolya nakazał uczynić wszystko, by nie dopuścić do przejęcia tronu węgierskiego przez Habsburgów. Oznaczało to konieczność oparcia się na Turcji.

Stefan Batory z Somlyó miał zatem siedem lat, gdy istniał już podział Węgier sankcjonowany układem, a „król narodowy" umierał. Familia jego była wmieszana w rozgrywające się wydarzenia — naj-

gorsze dla Węgier miało zresztą przyjść niebawem — i jakieś odpryski przejmujących rozmów w komnatach zamku w Somlyó musiały wpadać w uszy małego Stefana. Jest też raczej pewne, że opowiadano mu nie tylko o wielkości rodu, z którego się wywodził — to mieściło się w kanonie wychowania paniczów — ale i o świetności dawnego królestwa węgierskiego.

Historia jego familii, oczywiście na poły legendarna, tonie w mrokach XII wieku, kiedy to przodek, zwany Oposem, wyrąbał sobie mieczem prawo do przydomka „bátor" — odważny. Tak też nazwał swą siedzibę, od której imienia — Nyirbátor — wywodzi się nazwisko Batory. Opos dokonać też miał wyczynu na miarę świętego Jerzego, zabijając, wedle rodzinnej sagi, trzygłowego smoka skrywającego się wśród niedostępnych moczarów. Tam właśnie — na ich skraju — powstanie potem potężna twierdza Batorych, Ecsed. Dlatego też — wyjaśniano zapewne młodziutkiemu Stefanowi — w herbie rodu położone są trzy smocze zęby.

Łatwo się domyślić z historii rodu i późniejszych dokonań Stefana, że był on wychowywany w kulcie wielkości i odwagi. Tym bardziej że Batorowie odgrywali w dziejach Węgier znaczącą rolę, szczególnie potężna gałąź rodu z Esced. To przecież Stefan Batory z Esced, zimny, pozbawiony skrupułów paladyn (nádor), pierwszy po władcy, był przeciwnikiem Jana Zapolyi, „króla narodowego", i popierał z całych sił Ferdynanda Habsburga, przyczyniając zamętu w kraju. Batorowie z Somlyó w tym czasie stali znacznie niżej i nie odgrywali tak ważnej roli. Starali się być neutralni i nie popierali odległych familiantów. Przyczyna była raczej prosta. Związki krwi ustępowały przed bezpośrednim zagrożeniem: zamek w Somlyó leżał zbyt blisko siedzib stronników Zapolyi, by można było bez kłopotów popierać krewnych z Ecsed i kandydaturę Habsburga.

A jednak właśnie położenie niedużej przecież twierdzy sprawiło, że Batorowie z Somlyó w przeciągu kilku lat stali się potężnymi panami.

Jak wspomnieliśmy, Somlyó strzegło jednej z ważnych przełęczy zstępującej z górzystego Siedmiogrodu do płaskiej Niziny Węgierskiej. Tędy też biegła droga do spokojnej, potężnej i bogatej Polski.

Zapolya, nim został obrany królem, był wojewodą siedmiogrodzkim, miał też olbrzymie posiadłości w północnej części Węgier. Na luksus przejścia panów na zamku w Somlyó, strzegącego drogi między dwoma krainami, na stronę zwolenników Habsburgów, Batorych z Ecsed, nie mógł sobie pozwolić. Ojciec Batorych z Somlyó zrozumiał, że musi stanąć po stronie Zapolyi, jeśli nie chce oglądać zagłady twierdzy rodu.

Pomógł mu w tym zakonnik, Jerzy Martinuzzi — wybitna postać w historii Węgier, która wróci jeszcze na karty biografii Batorych.

Wybór pana z Somlyó, podyktowany przecież przez samo życie, a nie jakieś idee czy sympatie, był słuszny: Jan Zapolya docenił wartość nowego klienta. Tym bardziej że Stefan Batory ojciec zdecydował się stanąć na czele wojsk, które miały rozbić zmierzające do Siedmiogrodu oddziały Ferdynanda Habsburga. Do bitwy wprawdzie nie doszło, gdyż siły prohabsburskie rozsypały się same, ale król Zapolya, zadowolony z postawy Batorego, obdarował go urzędem wojewody siedmiogrodzkiego.

Godność to oczywiście niewiele, gdy w ślad za nią nie idą dobra materialne: to one gwarantowały rzeczywistą pozycję. Stefan Batory z Somlyó otrzymał zatem olbrzymie posiadłości z zamkami w Szatmárze i Szinyérze: niemal z dnia na dzień stał się tak potężny jak jego krewny i przeciwnik z Ecsed! Niedługo było mu dane smakować słodkich owoców posiadania, władzy i nadziei związanej z urodzeniem trzeciego syna przez żonę ze starej bogatej rodziny magnackiej z prowincji Bihar. W rok po przyjściu na świat Stefana pięćdziesięcioletni wojewoda zmarł. Przyczyną śmierci miał być rozległy nie gojący się wrzód na nodze poniżej kolana. Lekarze na Węgrzech wiedzieli, że ród Batorych dotknięty jest dziedziczną skazą, którą określano jako „hereditaria familiae proprietas".[4] W 1547 roku, gdy Stefan miał czternaście lat, po zapaleniu płuc opuściła ziemski padół jego matka, wywierająca znaczny wpływ na wychowanie najmłodszego z Batorych.

Wielką zasługą najstarszego z braci, Andrzeja, była obrona pozycji rodu z Somlyó. Rzecz to zadziwiająca, gdyż uchodził on za człowieka uczciwego i spokojnego, które to cechy, szczególnie w tak poplą-

tanych i trudnych czasach, w grze o najwyższe stawki często nie popłacają. Być może pomógł mu w tym upór i nieustępliwość, które pozwoliły przetrwać rodowi w okresie zupełnego rozprzężenia i upadku Węgier.

Ale nie cechy Andrzeja odegrały tu najistotniejszą rolę. Ważniejszą sprawą było położenie dłoni na właściwej klamce odpowiedniego dworu. Andrzej Batory dokonał właściwego wyboru, co znacznie ułatwiło start w życie i karierę jego młodszych braci — Krzysztofa i Stefana. Związał się on bowiem z zakonnikiem Jerzym Martinuzzim, znanym podówczas jako brat Jerzy, Frater, Lucyfer lub „diabelski brat" — w zależności od stosunku do jego osoby i zdumiewających czynów.

Zadziwiająca to w istocie postać. Człowiek ten — syn Chorwata ze starej szlacheckiej rodziny Utješenoviciów i Włoszki, której nazwisko przyjął — urodzony w 1482 roku, zaczynał swą karierę jako kalefaktor na dworze matki Jana Zapolyi. Palenie w piecach rychło mu zbrzydło, podobnie jak wojaczka, i w dwudziestym drugim roku życia przeistoczył się w mnicha. Zawędrował do Polski, gdzie został przeorem paulinów w Częstochowie. Stał się personą znaną wśród polskiej szlachty, od kiedy wygłosił wielką orację, w której nawoływał Polaków do wsparcia narodowego króla Węgier. I byłby może pozostał w zacisznym miejscu na Jasnej Górze lub w Ladd, gdyby nie przypomniał sobie o nim w 1528 roku przebywający na wygnaniu w Tarnowie król Jan Zapolya.

Na wezwanie władcy Martinuzzi zjawił się... z uskładanymi na rzecz monarchy 10 tysiącami złotych dukatów. Nie pieniądze jednak zadecydowały o wpływie zakonnika na Zapolyę, lecz silna osobowość człowieka, który ukochał Węgry i nie cierpiał tak Turków, jak i Niemców. Miarą zaufania, jakie pozyskał u Zapolyi, było powierzenie mu opieki nad żoną Izabelą Jagiellonką i synem Janem Zygmuntem już na łożu śmierci.

Zapolya był antyhabsburski i Martinuzzi, realizując jego wskazania, duże nadzieje pokładał w pomocy króla polskiego Zygmunta I i jego dyplomacji. Wiedział przecież dobrze, jak bardzo cieszył się dwór w Krakowie na wieść o narodzinach syna Izabeli. Niestety, do-

brotliwy Zygmunt, zwany potem Starym, wykazał zdumiewający brak zainteresowania Węgrami. Zamiast makiawelizować wobec domu austriackiego — moralizował. Nie mogą go usprawiedliwić przy tym trudności wewnętrzne czy wschodnie: w tym samym czasie Habsburgowie męczyli się pod ciężarem podziałów religijnych w Rzeszy. Nic zatem dziwnego, że wybitny historyk badający te sprawy stwierdził sarkastycznie, że „doszedł Zygmunt (...) do przekonania, że nie należy Habsburgom przeszkadzać w opanowaniu Węgier", jakby zapominając, iż „każde mocarstwo w sprawach pierwszorzędnej wagi, tak blisko je obchodzących, musi mieć własne zdanie, a nie uzależniać je od innych".[5] Rzeczywiście: zbornej polityki polskiej wobec Węgier nie sposób podówczas dostrzec, prócz, dziwnych czasami, odruchów ojca zatroskanego o los córki Izabeli Jagiellonki.

Inna rzecz, że trudno byłoby królowi tę zborną politykę prowadzić, gdyż z jednej strony stała nie cierpiąca Niemców królowa rodem z Włoch, Bona, a z drugiej jurgieltnik domu rakuskiego, posyłający cesarzowi odpisy najtajniejszych dokumentów polskich — kanclerz koronny Krzysztof Szydłowiecki. Tymczasem były to czasy przełomowe w dziejach Węgier — i od Jagiellonów wiele zależało. Tuż po pochowaniu Zapolyi w Székesfehérvárze część szlachty węgierskiej obwołała na polach Rákos królem Węgier nieświadomego jeszcze losu, jaki mu gotują, kilkumiesięcznego Jana Zygmunta. W Stambule uznano łaskawie ten akt, między innymi za sprawą niesłychanie bogatych darów i obietnicy płacenia wysokiego haraczu. Natomiast, co zrozumiałe, nie uznał Jana Zygmunta za monarchę drugi król Węgier, Ferdynand Habsburg.

Doprowadziło to do starć między oddziałami obu monarchów, w które, za sprawą brata Jerzego realizującego testament Zapolyi i swe dalekosiężne plany, wmieszał się Sulejman. Królestwo Węgier, pisał on do Ferdynanda, jest jego własnością, rzecz to całemu światu znana i jasna jak słońce. Król Jan Zygmunt jest władcą z woli i łaski sułtana. Dlatego niech Ferdynand wyprowadzi swe wojska z Węgier i nie oblega Budy, gdyż w przeciwnym razie...

Sulejman groźbę swą spełnił: pobił nieudolnego dowódcę austriackiego i wkroczył do Budy 2 września 1541 roku. Już pierwszy jego

akt znamionował dalsze zamiary: odprawił jako kalif długie modły w kościele Najświętszej Marii Panny, który następnie zamienił na meczet. Buda z renesansowego, kwitnącego i tętniącego życiem grodu, szczycąca się wspaniałą, bogatą biblioteką, zmieniła się w miasto żołnierzy, którzy nie tylko wyparli rdzennych mieszkańców na przedmieścia, ale przywlekli ze sobą chorobę Wschodu — brud.

Wbrew intencjom zrozpaczonego Martinuzziego Sulejman ani myślał osadzać w Budzie Jana Zygmunta i środkowe Węgry obrócił w paszalikat. Był to pamiętny i tragiczny rok dla Madziarów: królestwo ich podzieliło się w 1541 roku na trzy części. Turecką, habsburską, zwaną królestwem zachodnim, i Siedmiogród z ziemiami nad Cisą, zwany królestwem wschodnim. Ten straszny stan rzeczy, który zrozumie każdy Polak, trwać będzie sto pięćdziesiąt lat z okładem.

Cały plan Martinuzziego oparcia się na Turcji runął zatem i wpłynął na gwałtowny wzrost siły stronnictwa habsburskiego: przez najbliższe dziesięć lat będzie ono tak silne jak nigdy przedtem i później w mrocznych czasach niewoli. Martinuzzi, zgnębiony mimowolnie wywołanym nieszczęściem, zrozumiał, że należy oprzeć się na Habsburgach, jeśli chce się myśleć o zebraniu ziem dawnych Węgier. Szybko doprowadził do zawarcia nowego traktatu z domem austriackim. Krok ten dyktowała mu oczywiście intencja zjednoczenia kraju. Temu celowi podporządkuje wszystkie swe zakulisowe działania, intrygi, pozorowane kroki, innymi słowy istny taniec na kruchym lodzie, który z konieczności musiał wykonywać na przekór niechętnym mu i nie rozumiejącym go magnatom i władcom. Były to działania renesansowe, nowoczesne, przedkładające rację stanu nad moralność i jej zasady wywodzące się z Dekalogu.

Niechęć wielmożów do Martinuzziego brała się zatem nie tylko stąd, że oto wyrósł „drugi król", choć w habicie, nad ich głowy, ale i ze sposobu rządzenia przez brata Jerzego. Ostoją swych działań uczynił on bowiem królestwo wschodnie, w skład którego wchodził Siedmiogród z dworem w Gyulafehérvárze — i stamtąd w imieniu małoletniego Jana Zygmunta rządził zdecydowanie, nie znosząc sprzeciwu. Dały tu zapewne o sobie znać lata pobytu byłego przeora w zakonie; stąd jego dyscyplina wewnętrzna, umiejętność podporządko-

wania innych sobie, pobożna argumentacja sofistyczna, za którą kryło się dążenie do określonego celu. Nic więc dziwnego, że narażał się na, bezsilną chwilowo, złość przyzwyczajonych do sobiepaństwa magnatów oraz intrygi królowej Izabeli, która szczerze pożałowała przejścia do obozu prohabsburskiego. Wtedy to właśnie zrodził się przydomek „diabelski brat", za którym kryły się podejrzenia, iż Martinuzzi ma konszachty nie tylko z Habsburgami i Turkami.

Po śmierci Jana Zapolyi Martinuzzi stał się pierwszą osobistością na Węgrzech i jeśli chciało się zachować majątek i godności, należało nolens volens pokłonić się nowemu, tajemniczemu panu. Tak właśnie uczynił Andrzej Batory z Somlyó, tak uczyniło wiele pierwszych rodzin jadąc do Gyulafehérváru.

II. «DZIECKO, KTÓRE PRAGNIE, BY TRAKTOWANO JE JAK MĘŻCZYZNĘ»

Andrzej Batory nie miał ambicji politycznych: szło mu o utrzymanie olbrzymiego majątku i ułatwienie kariery młodszym braciom. Temu służyło nie tylko poddanie się woli Martinuzziego, ale i ożenek z Marią Majlát, siostrzenicą Tomasza Nádasdyego — persony wielce wpływowej w Wiedniu. Miało to chronić Batorych przed mściwymi dygnitarzami Habsburgów. Małżeństwo było udane: dochowało się trzech synów, a zapobiegliwemu Andrzejowi przyniosło niezłe dochody z olbrzymiej, równej komitatowi (hrabstwu), posiadłości Fogaras, którą otrzymał w tymczasowy zarząd. Nie dość na tym: dzięki Nádasdyemu król Ferdynand uroczyście potwierdził stan majętności Batorych, które uzyskali z rąk przeciwnika Habsburgów, Jana Zapolyi.

Teraz Andrzej wiedział, gdzie wysłać braci. Dwór Habsburgów wydawał mu się bardziej pewnym miejscem dla przyszłej kariery Krzysztofa i Stefana niż stolica Martinuzziego. Wybór zresztą nie był trudny, gdyż brat Jerzy właśnie w tym czasie wiązał swe plany jednoczenia Węgier z dynastią Habsburgów. Wydaje się, że już przedtem Andrzej bardzo dbał o swoich braci, którzy chłonęli wiedzę, wyka-



zując się nieprzeciętnymi zdolnościami: bo gdzież obaj mogli zdobyć tak gruntowne podstawy scjencji, która uczyni Stefana i Krzysztofa jednymi z najświatlejszych możnych Europy? Wiemy, że duży wpływ na edukację Batorych miała matka, osoba wielce religijna, wpajająca Stefanowi zasady wiary katolickiej — może po łacinie? Kto jeszcze? Wprawdzie to domniemanie, ale uzasadnione: kapelan nadworny uczący obu Batorych musiał otrzeć się o uniwersytet, skoro zdołał przekazać tyle umiejętności paniczom w Somlyó. Szło nie tylko o naukę łaciny — był to urzędowy język na Węgrzech — ale o sztukę oratorską, korespondencję, rozbudzenie intelektualne. Tych rzeczy nabywa się w dzieciństwie i młodości, potem już trudno zaległości nadrobić i są one widoczne.

Ale nie sposób nauczyć na odległym zamku umiejętności, które charakteryzują tak zwany wielki świat: prowadzenia polityki na większą skalę, dwornych manier, noszenia odpowiednich masek na twarzy ze swobodą i naturalnością, finezyjnego fechtunku zamiast szerokiego wymachiwania szablą, pisania listów zróżnicowanych w tonie i treści: sztafażu charakteryzującego każdą epokę. Tego młodzi magnaci, nie tylko węgierscy, uczyli się na dworach, niekiedy na uniwersytetach. Dlatego, a także by zaakcentować swój związek zarówno z Habsburgami, jak i z Martinuzzim, Andrzej Batory wysłał swego najmłodszego brata na dwór pierwszego duchownego w państwie, arcybiskupa Esztergomu (obecnie Ostrzyhom), Pawła Várdaya. Arcybiskup był jednym z najważniejszych stronników Habsburgów.

Naturalną koleją rzeczy młodziutki Stefan Batory pełnił początkowo na dworze funkcję giermka. Siedziba arcybiskupa nie znajdowała się już w Esztergomie, który od 1543 roku okupowany był przez muzułmanów, ale w Nagyszombat (dzisiejsza Trnava na Słowacji). Stąd książę Kościoła jeździł często do Pozsony (Bratysławy), odgrywającej podówczas rolę stolicy habsburskich Węgier. Várday bowiem sprawował rzeczywistą władzę w imieniu króla Ferdynanda, który zajęty był najczęściej wielką polityką prowadzoną z Wiednia. Arcybiskup zarządzał tą częścią Węgier opierając się na Radzie Państwa, złożonej — to novum — wprawdzie z magnatów i duchownych, ale opłacanych jako państwowi urzędnicy.

Várday niekiedy udawał się do Wiednia, zabierając ze sobą niektórych dworzan: w ten sposób pewnego dnia nastoletni Stefan Batory znalazł się przed obliczem Ferdynanda Habsburga. Zobaczył twarz okoloną gęstą brodą i wąsami, z wysuniętą do przodu szczęką — tak charakterystyczną dla Habsburgów, dziedziczoną przez osiemnaście pokoleń — jakby akcentującą poczucie wyższości i potęgę dynastii. W tym czasie arcybiskup Várday przedstawił wykonującego zapewne dworny ukłon młodziutkiego Batorego: „Najjaśniejszy Panie, oto dziecko, które pragnie, by traktowano je jak mężczyznę.” [1]

Wiele wskazuje, że ta urocza anegdota, którą tak chętnie przydawano postaciom wybitnym, ma znamiona prawdy. Stefan Batory stał się dość szybko osobą poważną jak na swój wiek — i nie był to zwrot retoryczny arcybiskupa Esztergomu. Z pewnością wykształceniu się owej powagi sprzyjały okrutne czasy pełne jęku i krwi poddanych rozpadającego się państwa, a także brak ojca i związane z tym poczucie odpowiedzialności u dorastającego chłopca. Na szczęście z biegiem lat okaże się, że powaga i dostojeństwo Batorego bywało bardzo pozorne i rozświetlane będzie nie tylko iskierkami poczucia humoru, ale i rażącą niektórych bezpośredniością.

Zdaje się, że Ferdynandowi spodobał się „Jungherr von Siebenbürgen” o czarnych włosach, patrzący poważnymi, równie czarnymi oczami. Panicz z Siedmiogrodu znalazł się na dworze wiedeńskim, który uchodził podówczas i potem za jeden z najprzedniejszych dworów Europy.

Stefan w Wiedniu nie tylko nabierał ogłady i być może pobierał jakieś nauki, ale zdaje się, właśnie tutaj wpadł w nałóg, któremu wierny będzie aż do śmierci. Ferdynand bowiem uczynił go pomocnikiem w codziennych polowaniach, co wielce przypadło do gustu odważnemu i energicznemu młodzieńcowi. Odtąd polowania staną się jego pasją i formą odpoczynku od spraw państwowych, a w końcu głuszenia bólu.

Ale to odległe dzieje. Na razie młody Stefan patrzył, jak żenią się wielcy tego świata: w 1549 roku widzimy go w orszaku ślubnym córki Ferdynanda, Katarzyny, która zmierzała z Wiednia w ramiona oblubieńca, księcia Mantui.

2*

Pobyt we Włoszech, kraju, skąd ciepło promiennego i okrutnego renesansu długo już złociło i czerwieniło zagrzebaną do niedawna w zawiłościach scholastycznych Europę, wywarł na Batorego widoczny wpływ. Na szczęście nie zdążył on zapoznać się z południową umiejętnością posługiwania się sztyletem i trucizną w rozstrzyganiu ważkich sporów politycznych, lecz wiele wskazuje, że zdołał tam przyswoić sobie nieco wiedzy i być może zaraził się potrzebą ciągłego jej nabywania. Szesnastoletni Stefan przez kilka miesięcy miał studiować na uniwersytecie w Padwie, starej włoskiej uczelni, w której roiło się od różnych nacji, w tym głównie Niemców, Polaków i Węgrów. Tutaj towarzyszyć mu mieli Franciszek Forgách, Wolfgang Kovacsóczy i Marcin Berzeviczy. Wszyscy, dzięki umiłowaniu padewczyków przez Batorego, zajdą wysoko: pierwszy wdzieje fiolety biskupa waradyńskiego, drugi będzie trzymał wielką pieczęć władcy Siedmiogrodu jako kanclerz, Berzeviczy będzie reprezentował Stefana na elekcji w Polsce. Wiele innych karier padewczyków na dworze Stefana będzie znamiennym potwierdzeniem, jak bardzo cenił on uczelnię włoską i jej wychowanków. Sprawa jest przy tym nieco zagadkowa, gdyż „co do pobytu i nauki [Batorego] w tym mieście istnieją poważne, nie we wszystkim rozjaśnione wątpliwości".[2]

Te kilka miesięcy studiów w Padwie, jeśli rzeczywiście miały miejsce, pozwoliłyby jedynie na posmakowanie wiedzy; trudno w tym wypadku mówić nawet o zupełnym rozbudzeniu intelektualnym. Być może tam jednak zrodził się w Batorym głód poznania i wiedzy oraz szacunek dla wartości i mądrości książek. Z biegiem czasu utrwali się w nim, wcale nie taki częsty u władców, nawyk czytania i obcowania z dziełami klasycznymi i najnowszymi: ba, to właśnie Stefan, jak nikt bodaj dotąd, doceni wartość słowa drukowanego dla uzasadnienia celów i zamierzeń władzy. Ocieranie się o różne nacje sprzyjało też wykształceniu się tolerancji wobec innych narodów i wyznań.

Wcale nie było to sprawą oczywistą, gdyż Batory wychowywany był przez matkę, żarliwą katoliczkę. I to w czasach, gdy wokoło cała chrześcijańska Europa i jej religia rozpadały się na reformowane wyznania, które szerzyły się i po Węgrzech z niebywałą szybkością, jaką nieść może tylko rozczarowanie instytucją reprezentującą Boga

na ziemi. W przyjmowaniu nowych wyznań było tyleż z mody intelektualnej czy snobizmu, ile ze znanego od tysięcy lat odzwierzęcego instynktu stadnego, który sprawia dotąd, że lepiej upodobnić się do sąsiadów — szczególnie silniejszych. Batorowie otoczeni byli przez rody łączące się z reformacją. A mimo to pozostali wierni katolicyzmowi. Takie odosobnienie mogłoby zrodzić, na zasadzie obrony, nietolerancję. Nic takiego się nie stało: wprawdzie wpływ dworu Várdaya, Habsburgów i Martinuzziego, którego Batorowie pozostali stronnikami ex nomine, sprawił, że Stefan pozostał katolikiem, ale zdumiewająco, jak na ówczesne trudne czasy, tolerancyjnym. Należy jednak zauważyć, że była to tolerancja wymuszona przez morze protestantów i dopiero zmiana pozycji Batorego wykaże naprawdę, ile jest ona warta.

Opanowanie, prócz ojczystego, trzech języków — łaciny, niemieckiego i włoskiego — już stawiało Batorego w rzędzie ludzi oświeconych, choć wypada tu zaznaczyć, że znajomość przynajmniej jednego języka obcego przez władców bywała powszechna. Po łacinie można było porozumieć się z wielmożami od szerokiego Dniepru po bure wybrzeża Atlantyku. Ów trudny, acz logiczny język był uniwersalnym środkiem komunikowania się. Europa pod tym względem była chyba bardziej zjednoczona niż obecnie, a w rozpowszechnieniu się łaciny szczególnie celowały Węgry i Polska.

Przygoda padewska skończyła się szybko: już wczesną wiosną 1550 roku Batory musiał wracać do rodzinnego Somlyó. W poprzednim roku Martinuzzi zawarł tajny traktat w Nyirbátorze z wysłannikami Ferdynanda, na mocy którego oddał królestwo wschodnie pod berło Habsburgów. Rozżalona Izabela Jagiellonka, odsunięta od tronu, nie potrafiła przedłożyć interesu Węgier nad interes swój i dynastii. Powiadomiła sułtana o czynie Martinuzziego. Na królestwo wschodnie ruszyła ekspedycja turecka.

Martinuzzi zdołał odeprzeć wojska islamskie i — wykorzystując zaangażowanie padyszacha w Azji — uniknąć interwencji samego sułtana. Sulejman przyjął za dobrą monetę tłumaczenia brata Jerzego, choć dobrze wiedział, że moneta ta, choć z pozłotą, jest na rewersie fałszywa: wiosną 1551 roku wmaszerowała przecież do królestwa

wschodniego armia Ferdynanda i Martinuzzi nie uczynił nic, aby ją powstrzymać. Wręcz przeciwnie — wykonywał przyjazne gesty. Pozbawiona pomocy tureckiej królowa Izabela zrozumiała, że przegrała: w imieniu syna zmuszona była oddać koronę Habsburgowi w zamian za... obietnicę uzyskania księstwa opolskiego dla Jana Zygmunta. Musiała też opuścić nieszczęsne królestwo i udać się do Koszyc. Tego żądał dom austriacki.

Dziewiętnastego lipca 1551 roku Izabela zgodziła się na warunki habsburskie i podpisała traktat. Następnego dnia wydała dowódcy wojsk Ferdynanda insygnia królewskie i wyjechała z dworu w Gyulafehérvárze. Jak się wydawało — na zawsze. Habsburgowie znów odnieśli sukces.

Stefan Batory widział scenę pożegnania królowej z krajem, nad którym panowała. Izabela przejeżdżała koło Somlyó i na szczycie przełęczy Meszes kazała zatrzymać karetę. Stąd widoczny był spiętrzony w góry i pagórki zielony krajobraz niegdyś jej państwa. Zraniona miłość własna, nienawiść do „diabelskiego brata", którego starań o zjednoczenie Węgier nie rozumiała, z pewnością drgały w niej boleśnie. A jednak na pniu lipy zaczęła nożem ryć słowa pokory: „Sic fata volunt". Była przekonana, że los chce, by już nigdy nie wróciła do Siedmiogrodu.

Cóż jednak znaczyły łzy jednej wypędzonej kobiety w porównaniu z racją stanu państwa, z której realizacji historycy rozliczają wielkich? Martinuzzi rozumował tymi właśnie kategoriami i miał słuszność, jak i powody do zadowolenia: dwie trzecie dawnych Węgier zostało zjednoczone w królestwo pod jednym władcą. Klin turecki, wdzierający się w stronę Polski i Austrii, został ściśnięty przez Habsburga. Martinuzzi miał nadzieję, że sytuacja ta zmusi dom austriacki nie tylko do obrony królestwa, ale i wyparcia Turków z Budy i Belgradu.

Zawiódł się srodze, a wraz z nim i Węgrzy. Habsburgowie byli kontenci z bezkrwawego uzyskania królestwa wschodniego, a ponadto w Wiedniu zdawano sobie dobrze sprawę, że Austria nie jest w stanie udźwignąć ciężaru wojny z imperium sułtana — i to tak zdolnego jak Sulejman. Do przyłączonej części Węgier, jeszcze przed wy-

jazdem Izabeli, wkroczyła ledwie sześciotysięczna armia zaciężna jednego z mniej zdolnych generałów na usługach Habsburgów, Jana Castaldo: współcześni nie bez ironii zastanawiali się, czy poczet witający w Siedmiogrodzie Turków nie jest za mały?

W podobny sposób Martinuzzi tłumaczył się czauszowi (posłowi) tureckiemu: dowodził, że armijka Castaldy ma stanowić oprawę zaręczyn Jana Zygmunta z księżniczką habsburską. Tłumaczenia te na niewiele się zdały, gdyż Turcy zaczęli zajmować jedną twierdzę po drugiej. Martinuzzi początkowo nie przeciwstawiał się, chcąc zyskać na czasie, ale w końcu, pomówiony o zdradę, pomaszerował naprzeciw janczarom i spahisom. Zyskał niespodziewanie duże poparcie: zaczęły garnąć się do niego prywatne armie magnatów węgierskich na czele z palatynem Tomaszem Nádasdym i Andrzejem Batorym z Ecsed.

Stefan Batory znalazł się w szeregach oddziałów tego ostatniego. Miał wówczas siedemnaście lat. Przechodząc na stronę rodu z Ecsed zerwał ze swym starszym bratem, Andrzejem, który we wszystkim pozostawał wierny Martinuzziemu. Na jakiś czas drogi ich przekonań politycznych i życiowych rozeszły się.

Stefanowi jednak przydała się ta zmiana trybu życia. Szybko przywykł — w młodzieńczym wieku łatwych przyzwyczajeń — do wojennych trudów i okrutnego przecież rzemiosła wojskowego. Źródła podkreślają, iż „służbę obozową starannie odbywał, objeżdżając stanowiska, uczestnicząc w potyczkach, znosząc wszelkie trudy obyczajem żołnierskim".[8] Tutaj też zapewne nauczył się widocznej potem pogardy dla wygód, własnego ciała, bólu i nabył charakterystycznych dla żołnierza bezpośrednich, chropowatych, czasem gwałtownych manier.

To, co potem oglądały Węgry, a wraz z nimi Batory, było wielką przestrogą i ostrzeżeniem przed zawierzeniem państwa obcym armiom. Niezrozumiałe dla niedojrzałych umysłów negocjacje Martinuzziego z komendantem tureckim obleganej twierdzy Lippa (Lipova), w której oblężeniu brał udział również Stefan Batory i jego bracia, przekonały Castalda, iż „diabelski brat" knuje spisek przeciwko Habsburgom. Castaldo, żołdak z gatunku przesądnych głupców, bał

się tajemniczego mnicha do tego stopnia, że na jego widok stawiał swą ciężką jazdę niemiecką w stan gotowości bojowej. Tak stało się, gdy Frater pojawił się w obozie: ciężkozbrojni całą noc spędzili w siodłach, gotowi do ucieczki. Podczas oblężenia Lippy generał nie mógł pojąć, dlaczego Martinuzzi informuje go o swych poczynaniach i rozmowach z Turkami. Wreszcie zrozumiał: za tym musiał kryć się iście szatański spisek antykrólewski i antycesarski. Zawiadomił o tym Ferdynanda, sugerując pozbycie się Martinuzziego. Habsburg zawahał się — wszak niedawno uzyskał od papieża dla brata Jerzego najwyższe dostojeństwo kościelne na Węgrzech, arcybiskupstwo esztergomskie, i mianował go wojewodą siedmiogrodzkim. Kiedy jednak Martinuzzi wypuścił Turków z Lippy za cenę przyszłego ustąpienia załóg sułtańskich z niedawno zajętych twierdz węgierskich, zapadł nań wyrok. W nocy z 16 na 17 grudnia 1551 roku brat Jerzy został skrytobójczo zamordowany na zamku w Alvincz przez dowódcę austriackiego Sforzę Pallaviciniego i jego oficerów, na rozkaz Castalda. Arcybiskupa zasztyletowano podczas modlitwy. Dla udokumentowania, że się nie pomylono, jeden z morderców odciął mu uszy, które powiózł do Wiednia Ferdynandowi.

Przed światem wyszło na jaw, że dynastia habsburska potrafi imać się sposobów, których nie znali ich niedawni konkurenci na Węgrzech, Jagiellonowie. Czyn ten wburzył nawet papieża, który wszak wiedział o niejednym przerażającym skutku wolnej woli człowieka. Wyklął on zbrodniarzy, choć potem, pod naciskiem Habsburgów, ogłosił Martinuzziego zdrajcą chrześcijaństwa. Nic bardziej błędnego: wraz ze śmiercią brata Jerzego interes Węgier, który zdawał się przedkładać nad wszystko, i racje Kościoła doznały poważnego uszczerbku. Zginął mąż stanu, który był bliski zrealizowania idei zjednoczenia państwa madziarskiego, choć fakt, że przez osiemdziesiąt dni nikt nie zadbał o jego ciało, dowodzi zupełnego niezrozumienia jego intencji przez ówczesnych możnych. W tym i Batorych.

Dopiero następujące szybko wydarzenia uzmysłowiły Madziarom grozę sytuacji. Wiedeń nie chciał bronić Węgier, które zostały skazane na samotną obronę pogranicznych twierdz. Na dodatek wojewoda Andrzej Batory z Ecsed — nowy wódz zbieraniny szlacheckiej, która mianowała się wojskiem — okazał się żołnierzem bojaźliwym i bezczynnie przyglądał się, jak w powodzi tureckiej toną poszczególne twierdze: Temesvár, Lippa, Szolnok. Panowie z Somlyó — Stefan i Krzysztof — niewiele mogli się nauczyć przy kunktatorskim wodzu, który czekał, jak zbawienia, pomocy generała Castaldo. Co najwyżej bracia mogli podziwiać bohaterską obronę Temesváru przez Stefana Losoncziego, którego Turcy, po honorowym poddaniu przezeń twierdzy, wbrew umowie, zamordowali, czy też legendarną wytrwałość obrońców Egeru i ich komendanta, Stefana Dobó.

Minęły zaledwie dwa lata od śmierci Martinuzziego, a Węgry znów się stały wielkim, krwawym i pełnym okrucieństwa pobojowiskiem, bez nadziei na rychły ratunek. Castaldo podał tyły; to samo uczynił urażony Andrzej Batory z Ecsed, gdy okazało się, że sejm węgierski wybrał Tomasza Nádasdyego na palatyna. Nasz Stefan i Krzysztof, obaj liczący na zrobienie kariery wojskowej u boku krewnego z Ecsed, musieli szukać nowej klamki dworskiej lub zdecydować się na prowadzenie pierwszoplanowej gry. Jeśli sądzili, że wraz z ożenkiem ich siostry Anny z bratem wojewody, Jerzym z Ecsed, wzmocnili znacznie pozycje rodu z Somlyó, to omylili się srodze: Andrzej Batory usunął się ostatecznie z życia politycznego.

Musieli zatem pogodzić się ze starszym bratem, który tymczasem, nadal nie siląc się na wspinanie po władzę, umacniał siłę rodu z przełęczy Meszes. Przede wszystkim Andrzej z Somlyó zajął się obronnością zamków, a następnie tworzeniem własnej klienteli. Oznaczało to, że myśli i patrzy wysoko — licząc raczej już na swych zdolnych braci niż na siebie. To im torował drogę do względnie niezależnej kariery. Twierdza w Somlyó została poważnie wzmocniona basztami i pałankami — gwoli prawdzie całe pograniczne Węgry stały się wielkim obozem warownym — a zamku strzegło 120 zbrojnych, czuwających dniem i nocą. Jeszcze mocniejsze i równie pilnie strzeżone były dwie twierdze trzymane nadal przez Andrzeja Batorego: Szatmár i Szinyér. Coraz więcej pieniędzy zaczęło napływać do sakiew Batorych. To ostatnie błogosławione zjawisko łączyło się z wprowadzeniem gospodarki folwarcznej i wzrostem dochodów z karczem,

młynów, rzeźni, które stanowiły własność panów, żądających za korzystanie z nich sutej opłaty.

Coraz częściej i wyraźniej do głów Węgrów przebijała się smutna prawda, że Ferdynand, który w 1556 roku został cesarzem rzymskim narodu niemieckiego, zostawił Siedmiogród i tereny nadcisańskie swojemu losowi. Toteż słowa Melchiora Balassy — awanturnika, którego ulubionym zajęciem był handel wiernością — natrafiły na żyzny grunt. Nie bez racji nawoływał on do zerwania z Habsburgami, którzy wystawiali dawne królestwo wschodnie na łup Turkom. W 1555 roku sejm węgierski zażądał od Ferdynanda zwolnienia z przysięgi na wierność, jeśli ten nie uderzy na Sulejmana. Następnie wybrał Balassę wodzem i wysłał do Polski posłów mających skłonić królową Izabelę Jagiellonkę i jej syna do powrotu.

Izabela z nie tajonym zadowoleniem przyjęła posłów. Ferdynand nie wywiązywał się z zawartej umowy. Znamy dokładny opis Opola, dokąd zgodnie z zawartym traktatem udała się królowa: zrujnowane, zawilgocone budynki, wypróżnione spichlerze, obory bez bydła, stajnie bez koni, nie obsiane pola. To miała być scheda dla Jagiellonki z łaski króla rzymskiego. Wprawdzie nadano jej potem księstwo raciborskie, ale Ferdynand nadal nie wywiązywał się z zobowiązań finansowych. Wszystko to powodowało, że Izabela, gdy gościła na Wawelu, zaczynała przychylać ucha tym, którzy namawiali ją na powrót do Siedmiogrodu. Pracowała nad tym rzetelnie królowa Bona, która zdaje się, posunęła się nawet do sfingowania zamachu na Jana Zygmunta. Osiemnastego lipca 1554 roku między pierwszą a drugą w nocy ciszę uśpionego placu przed zamkiem w Warszawie rozdarł strzał mierzony w okno królewicza. Ujęto podejrzanego Węgra, która, zdaje się, posunęła się nawet do sfingowania zamachu na Ja-Potem, gdy wstawiono mu wykręcone stawy na powrót i ustał piekielny ból od „hiszpańskich butów" miażdżących nogi, oskarżenia odwołał. Bona i Izabela nie usiłowały tej sprawy wykorzystać — co nasuwa przypuszczenie, że to raczej Włoszka stała za kulisami tej nie wyjaśnionej dotąd afery.

Nie to jednak zaważyło w głównej mierze na decyzji powrotu. O tron dla Jana Zygmunta upomnieli się Turcy, tradycyjnie przeciw-

stawiający się wzrostowi potęgi Habsburgów. Żądała powrotu „króla wybranego" większość szlachecka Siedmiogrodu. Popierali go herbowi polscy, wśród których Jan Zygmunt, siostrzeniec króla Polski, cieszył się wielką popularnością. Odwrotnie zresztą niż jego matka, nie obdarzana w Polsce nadmierną sympatią.

Izabela z narodu zacnego polskiego,
Dziewka onego króla, Zygmunta sławnego,
Potym była została węgierską królową,
A wiele światem trzęsła w młodości swą głową.
Króle, zacni książęta, a snadź i pogani
Mieli z nią pracej dosyć, dziwna była pani.
Ale jako dawno brzmią stare przypowieści,
Przedsię na cienkiej nici ten rozum niewieści

— pisał raczej z nieuzasadnioną niechęcią Mikołaj Rej. Dwudziestego trzeciego marca 1555 roku królowa Izabela z synem, po namowie panów siedmiogrodzkich, opuściła mury gościnnego Lwowa i w otoczeniu tysiąca zbrojnych Polaków ruszyła traktem przez Stryj, który prowadził do sąsiedniego Siedmiogrodu.

W sześć lat po smutnym pożegnaniu na szczycie przełęczy Meszes i wyryciu pokornych słów wracała do królestwa, które stawało się cieniem dawnego: odpadły tereny nad środkowym biegiem Cisy zajęte przez Turków, a te, które pozostały, trzymali mocno potężni magnaci, czyniąc z nich źródło targu. W zależności od ceny przechodzić będą to na stronę Habsburgów, to na stronę Izabeli i jej syna. Jakby nie dość było zagrożenia przez dwa imperia i rozdarcia wewnętrznego, to jeszcze sam Siedmiogród trapiły swary biorące się z podziałów narodowościowych. Węgrzy, Szeklerzy, chłopi rumuńscy, a nawet Sasi, którzy i tu wnieśli element germański do miast, tworzyli wielobarwną mozaikę, nad którą niełatwo było zapanować.

I na to wszystko nakładała się skomplikowana siatka podziałów wyznaniowych.

Pamiętamy, że Stefan Batory widział odjazd Izabeli; teraz, 22 października 1556 roku, przyszło mu wygłosić w Kolozsvárze mowę powitalną. Było to wielkie wyróżnienie, gdyż obok stali herbowi z pier-

wszych rodów węgierskich, bojarzy mołdawscy i, na wszelki wypadek, dwie setki janczarów. W imieniu stanów Batory uderzył się w pierś za porzucenie przez Węgrów królowej, której syn był potomkiem monarchy narodowego Jana Zapolyi. Chyba warto przytoczyć tę pierwszą, znaną nam, publiczną mowę Stefana Batorego:

„Radosnym ogłosimy dzisiejszy dzień, kiedy mamy szczęście po sześciu latach uczcić wśród nas, w dobrym zdrowiu, Waszą Wysokość i Najjaśniejszego Księcia. Jak miłym i radosnym jest powrót Waszej Wysokości do naszego kraju, niech zaświadczą licznie zebrane tu stany. Zostaliśmy ukarani ciężką nędzą, wieloma nieszczęściami za to, iż wzgardziliśmy spokojnym panowaniem Waszej Wysokości i poddaliśmy się obcemu rządowi.

Ciągłe spory doprowadziły do zasłużonego upadku Siedmiogrodu, ponieważ zerwaliśmy sojusz, który kiedyś zawarliśmy z Waszą Wysokością, i oddaliśmy się pod opiekę obcych patronów. Już byliśmy blisko ostatecznego upadku. Ale niebiosa, litując się nad nami, położyły temu kres. Żywimy nadzieję, że nam wybaczycie i prosimy, aby Wasza Wysokość stała się dla swojego wiernego ludu miłosiernym obrońcą.

A że Pan Bóg wszędzie towarzyszy Waszej Wysokości i błogosławi szlachetne zamiary wszystkich jej poczynań, niech świadczy o tym wypadek przebiegłego brata Jerzego. Bóg uchronił Waszą Wysokość od zarazy, która w tym czasie zabrała wielu ludzi i dzielnych mężów, od niebezpiecznych okoliczności i, jak Lota z Sodomy, tak wysłał Waszą Wysokość do innego kraju po odpoczynek, spokój i szczęście. Zlituj się nad nami, Pani, daj wiarę naszemu bólowi i ze szczerego serca płynącym słowom. Swoimi czynami i postępkami udowodnimy, że naszą wolą jest służyć Waszej Wysokości i podporządkować się każdemu jej życzeniu i rozkazowi. Biedna Ojczyzna już ponad miarę doświadczyła i odczuła, że obce panowanie zawsze jest szkodliwe i niebezpieczne. Tak więc jedynie w osobie Waszej Wysokości i Najjaśniejszego Księcia — jej syna — będziemy do śmierci szanować i uwielbiać naszą łaskawą panią, prawowitych władców i książąt oraz naszych obrońców.” [4]

Ze słów tych przebijało nie tylko niezrozumienie intencji Martinuzziego, ale i nadzieja na uczynienie z resztek królestwa wschodniego ostoi Węgrów. Nie Habsburg, nie lawirowanie między sułtanem a cesarzem, lecz królowa i jej syn mieli symbolizować ciągłość królestwa węgierskiego. Tym bardziej że królowa poprosiła „szlachetnych rycerzy i wiernych poddanych”, aby wyrzucili „ze swych serc wszelki strach i niewiarę”. „Wasze nieszczęścia już dawno wzbudziły naszą litość — stwierdziła — wybaczamy Wam błędy, nie chcemy pamiętać o postępowaniu niektórych osób.” Panowanie chciała rozpocząć od aktu przebaczenia i zrozumienia dla „ludzkiej niestałości”.

Królowa jak i Batory mówili po łacinie: czyżby dobra jej znajomość zaważyła na obraniu dwudziestodwuletniego Stefana z Somlyó mówcą? Z pewnością jego osoba nie wywoływała u Izabeli odruchu niechęci, skoro wysunięto go przed innych. Od pięknych słów i miłosiernych gestów do pożytecznych faktów była jednak bardzo daleka droga, jeśli przypomni się wymuszane okolicznościami zamiłowanie magnatów węgierskich do zmian oraz zrozumiałego powiększania majętności i władzy. Ledwie Izabela zasiadła na tronie w Gyulafehérvárze, już odsunięty od władzy magnat z pogranicza, Franciszek Bebek, usiłował namówić sułtana do interwencji. Niemal mu się to udało — i jedynie rozwaga królowej uchroniła kraj przed katastrofą. Jej zdecydowanie wpłynęło również ochładzająco na rozgrzane głowy innych możnych, w tym Jerzego Batorego z Ecsed, którego majątek znalazł się w granicach królestwa Izabeli. A przecież panowie ci już w pięć dni po przyjeździe Jagiellonki pośpieszyli do niej ze złożeniem uroczystej przysięgi na wierność królowej...

Izabela szukała wiernych: zrozumiałe, że nie wśród potężnych magnatów, którzy zgodnie z duchem okrutnych czasów i zagrożeń przechodzili bez pardonu na stronę więcej obiecujących bądź silniejszych. Usiłowała tworzyć nową magnaterię bądź wesprzeć się na Polakach, którzy z nią przybyli — Stanisławie Niżowskim i Stanisławie Ligęzie. Oczywiście nie mogli oni stanowić bazy społecznej, na której mogłaby cokolwiek budować, ale wpływy polskie — tradycyjnie duże na Węgrzech — znów wzrosły.

Batorowie z Somlyó znaleźli się początkowo w niejasnej sytuacji: byli potężnymi magnatami, wobec których zrażona Izabela okazywa-

ła, mimo przychylnej mowy, nieufność równą niechęci do innych Batorych. A jednak umiarkowanie panów z Somlyó w zmianach sympatii politycznych wyróżniało ich korzystnie spośród gromady wielmożów. Z biegiem czasu stanie się widoczne, iż Batorowie mają to, czego nie dostawało zupełnie innym: zasady. Bracia pozostali wierni katolicyzmowi mimo dalszego naporu wyznań reformowanych i wiedzy, która niejako skazywała ich na ustawienie siebie, swych poglądów, wierzeń wobec nowo odkrywanych, pociągających intelektualnie prawd *Ewangelii*. Mimo pewnych meandrów nigdy nie stali się przeciwnikami Izabeli ani sługami Habsburgów. To musiało zostać zauważone; tym bardziej że wierność królowej wykazali Batorowie z Somlyó podczas intrygi Bebeka. I wreszcie — panowali nad przełęczą Meszes, skąd tak blisko było do bezpiecznej Polski, i nad ważnym zamkiem Szatmár, którego komendantem został właśnie nasz Stefan Batory.

Nic zatem dziwnego, że przekonana do nich Izabela obdarowała w końcu najstarszego z braci, Andrzeja, urzędem ochmistrza dworu. Jej sympatia do Batorych wzrosła, gdy Stefan zaczął wykazywać się zdolnościami wojskowymi podczas starć z oddziałami prohabsburskimi o komitaty nadcisańskie, które rozpoczęły się już w 1557 roku i trwały aż do 1567. Stefan walczył pod Szatmárem, wykazał się też walecznością podczas oblężenia Egeru i Temesváru. Młodziutki komendant Szatmáru być może nawet został dowódcą wojsk nadcisańskich w służbie Izabeli — i tam właśnie miał poznać nie tylko sekrety wojowania, ale oswoić się ze sztuką znacznie trudniejszą niż machanie szablą: dowodzeniem.[5] „Mógł też Batory przyjrzeć się różnej wartości wojskowej narodów stanowiących tamtejszą ludność i zadać pytanie, czy należy wszystko unifikować, czy też lepiej będzie zastosować się do właściwości narodowych i odpowiednio do tradycji rozwijać organizację i wyszkolenie wojskowe poszczególnych narodów" — dostrzegł historyk węgierski.[6] Bezustanne ocieranie się o różnorodność i jej zrozumienie — to fundament pomysłów wojskowych Batorego pomnożonych o przyrodzoną bystrość umysłu.

Natomiast Krzysztof — inteligentny, oczytany, przy tym słabego

zdrowia, władający dobrze łaciną, włoskim, francuskim i hiszpańskim — został wysłany z bardzo ważną misją do cichego sojusznika Jagiellonki, na dwór w Paryżu. To był już wyraźny wzrost wpływów i znaczenia rodu z Somlyó. Dla Francji bowiem węgierskie królestwo wschodnie mogło stanowić część przeciwwagi w neutralizowaniu potęgi Habsburgów. Ceną za walkę królowej z cesarzem miało być uzyskanie ręki księżniczki francuskiej dla Jana Zygmunta oraz wywarcie nacisku na sułtana, by oddał on Izabeli odjęte w 1552 roku przez Turcję tereny nad środkową Cisą.

Krzysztof wywarł w Paryżu bardzo dobre wrażenie. Fancuzi spodziewali się — nie pierwszy zresztą i ostatni raz — barbarzyńcy „zza lasu" (aluzja do łacińskiej nazwy Siedmiogrodu, „transsilvania"), a rozmawiał z nimi dworny młody człowiek. Choć żądania Izabeli były zbyt wygórowane, to jednak dla zbadania stanu rzeczy król francuski Henryk II wysłał latem 1558 roku do królestwa wschodniego Węgier swego posła Piotra Ludwika de Martinés. Do Gyulafehérváru przywiódł go Krzysztof Batory. Rysowała się szansa zawarcia przez Jagiellonkę przymierza z Francją.

Niestety, tę korzystną sytuację popsuł zupełnie kolejną intrygą Franciszek Bebek do spółki z wybijającymi się szlachcicami siedmiogrodzkimi, Kendimi. Ich gra pełna oskarżeń i pomówień okazała się na tyle skuteczna, że między posłem francuskim i Turkami opłątana nićmi intryg i kłamstw królowa zrezygnowała z mariażu z Paryżem. Była jednak dobrze zorientowana w matactwach Bebeka i postanowiła wypalić zło złem. Wiedząc, że Balassa za jej plecami bez żenady handluje swymi wpływami z Habsburgami, z Bebekiem, a właściwie z kim się dało, obiecała mu przebaczenie, jeśli... rozprawi się ze swym kontrahentem i kolegą — Bebekiem.

Och, takie polecenie nie sprawiło Balassie ani trudności, ani przykrości: jego żołnierze po prostu poćwiartowali w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1558 roku Bebeka — byłego partnera i sojusznika Balassy. Ten sam los spotkał braci Kendich: wszyscy, nim ich zamordowano, zostali zwabieni na dwór Balassy w Gyulafehérvárze.

Krwawe ukrócenie zdradzieckich poczynań wielmożów przez konsekwentną i zdecydowaną władczynię wprawiło potężne rody znad

Cisy w stan zdziwienia i niepewności. Część z nich przeszła na stronę Habsburga; sądzono, że również Batorowie z Ecsed, których dobra pozostały po stronie królestwa wschodniego, knują spisek przeciwko Izabeli. Wszystko to oznaczało wzburzenie nowej fali nieszczęść zmierzającej do Gyulafehérváru wraz z wieściami o koncentracji oddziałów habsburskich nad granicą. Stało się jasne, że cesarz nie zamierza rezygnować z roszczeń: ruszył swe roty w kierunku Cisy. Kraj ogarniała nowa zamieć wojenna.

Królowa rozglądała się niespokojnie: kto miał bronić jej dziedzictwa? Mianem dobrego wodza i człowieka bez zasad cieszył się Melchior Balassa. Ale teraz, w zamian za wierność Izabeli i przyszłe zwycięstwa, żądał on od królowej dwóch zamków: Tasnád i Szatmár oraz dochodów z kopalni złota koło miasta Nagybánya. Uważał to za umiarkowaną cenę. Nie zrażał go fakt, że Szatmár należał do Batorych z Somlyó: zresztą, być może w ten typowy dlań sposób chciał i tu wbić klin między władczynię a dotąd wierny jej ród.

Nie powstrzymały go też wieści, że młody, o znakomitej prezencji, komendant Szatmáru wykazał się zdolnościami wojskowymi, zdecydowaniem i siłą woli. Zapewne widział w Stefanie Batorym co najwyżej dobrego mówcę witającego niedawno kwiecistą łaciną powracającą królową; zresztą iluż żołnierzy mógł wystawić ród z Somlyó? Dlatego Balassa nie zawahał się zażądać Szatmáru, co stało się dla Jagiellonki twardym orzechem do zgryzienia.

III. KOMENDANT WARADYŃSKI

Królowa nie mogła odtrącić Batorych, zabierając im Szatmár i skazując się tym samym na przejście wiernej dotąd familii w szeregi krewnych znad Cisy. Różnica wyznań — panowie z Ecsed byli protestantami — mogła okazać się niewystarczająca. Chciała też Jagiellonka przyciągnąć do siebie Balassę. Izabela zatem zdecydowała się oferować Batorym w zamian za Szatmár Waradyn: twierdzę kluczową ryglującą Siedmiogród tak od strony Habsburgów, jak i imperium otomańskiego. Wprawdzie zamiana ta była wymuszona, ale — gdy się uwzględni wartość Waradynu — oznaczała, iż królowa mocno wierzyła Batorym.

Komendantem twierdzy został w 1559 roku Stefan Batory. Nominacja ta chyba nie wynikała z uznania dla talentów wojskowych dwudziestosześcioletniego Batorego, ale raczej z naturalnej kolei rzeczy: był wszak dotąd komendantem Szatmáru, którą to godność mu odjęto. W zamian Stefan otrzymał we władanie zamek panujący nad tak zwaną Przełęczą Królewską, łączącą Nizinę Węgierską z Siedmiogrodem, dobrze ufortyfikowany przez Martinuzziego. Batory z Somlyó stawał się w ten sposób drugą personą w hierarchii wojskowej królestwa wschodniego. Wokół rozciągały się olbrzymie latyfundia komitatu Bihar, które pokrywały nie kończące się winnice: źródło bogactwa i obycia ze światem mieszkańców tych ziem. Duże dochody pozwalały im bowiem na podróże handlowe, z których przywozili nie tylko talary, złote, dukaty, ale i nowinki religijne. Reformacja szerzyła się tu w zastraszającym dla Martinuzziego tempie; gdy go zabrakło, mieszczanie waradyńscy wprowadzili luteranizm. Toteż z napięciem oczekiwano „żołnierzy Najświętszej Marii Panny", jak nazywano kpiąco, ale i z obawą, oddziały Batorych z przełęczy Meszes.

Stefan musiał odczuwać związek z tymi ziemiami: wszak jego matka, Katarzyna z Telegdich, wywodziła się z Biharu. Wspomnienie matki, żarliwej katoliczki, nie mąciło jednak Batoremu trzeźwego rozeznania w istniejącym stanie rzeczy w mieście i okolicach. Wiedział, że próba wprowadzenia katolicyzmu ogniem i mieczem pogłębiłaby rozdarcie wewnętrzne Siedmiogrodu. Europa nadal doświadczała skutków wystąpienia Marcina Lutra, które spowodowało w konsekwencji — wbrew intencjom twórcy tez wittenberskich — łączenie spraw religii z podziałami politycznymi i społecznymi. Batory, który otarł się o świat, nie uległ zrozumiałym skądinąd emocjom religijnym. Gdy został żupanem (starostą) Biharu, uzyskując w ten sposób najwyższą godność wojskową na Węgrzech,[1] pozostawił mieszkańcom Waradynu i komitatu swobodę wyznania. W kilka miesięcy po objęciu rządów, jesienią 1559 roku, wpuścił do Waradynu duchownych protestanckich zmierzających do

Siedmiogrodu i ziem nadcisańskich na zjazd generalny. I choć każda władza na ogół rozpoczyna swe funkcjonowanie od aktu łaski, to krok Batorego nie był pozorowany: spotkanie zaowocowało przyjęciem przez przedstawicieli religii reformowanej kalwinizmu jako podstawowego wyznania w Biharze.

Mimo to Batory miał również powody do zadowolenia: łatwiej było panować nad jednym wyznaniem niż zagubionymi w sporach doktrynalnych grupami, skłonnymi do mnożenia kontrowersji i kłótni. Tym bardziej że kalwinizm rozprzestrzenił się szybko. Siedmiogród, po uchwaleniu ustaw o zgodnym współżyciu protestantów i katolików, stał się pierwszym państwem w Europie, w którym zaprowadzono pokój religijny. Wyprzedził tym Rzeczpospolitą Polską, gdzie słynną konfederację warszawską, gwarantującą równość wyznań, wprowadzono w 1572 roku. Był to pierwszy promyczek zmysłu politycznego u Stefana Batorego: nie przeciwstawiać się przemożnej sile ciążenia faktów, nie wtrącać się tam, gdzie jest to niepotrzebne, czekać na stosowny moment, by powolnymi krokami, bez gwałtów — restytuować katolicyzm.

Chwila, w której Izabela Jagiellonka zdecydowała się mianować Melchiora Balassę wodzem swej armii i przyjąć jego warunki, była jedną z najmniej fortunnych dla królowej, dotąd zupełnie dobrze radzącej sobie, dzięki pomocy dyplomacji polskiej, z wieloma trudnościami. „Handlarz wiernością" cofał się i przegrywał potyczki z wojskami Ferdynanda. Obawa przed utratą tronu spowodowała, iż Izabela postanowiła jednak zawrzeć porozumienie z Habsburgami. Do Wiednia udał się z sekretną misją polski doradca królowej, Stanisław Niżowski.

Izabela gotowa była pogodzić się z dworem habsburskim, byleby tylko zachować koronę, kiedy 15 września 1559 roku o godzinie jedenastej tę już bardzo zmęczoną władaniem nad nieszczęsną krainą i bardzo chorą królową dosięgła śmierć. Miała wówczas ledwie czterdzieści lat. Umierała na dworze w Gyulafehérvárze nadal przekonana o dobrych intencjach Balassy: jemu powierzała opiekę nad dziewiętnastoletnim synem Janem Zygmuntem i zalecała pokój z Habsburgami.

Wiele zależy w dziejach państw i narodów od władcy: Historia poskąpiła jednak Siedmiogrodowi wybitnego króla w tym niesłychanie trudnym okresie. Jeśli Izabela była sprytna i zręczna, jak na córkę Bony przystało, choć mało konsekwentna, to Jan Zygmunt z Zapolyi i Jagiellonki — piękny młodzieniec o smutnych oczach — wobec innych powielał zachowanie wobec matki: ulegał im. Był raczej kopią uwielbianego przez rozwydrzonych magnatów węgierskich „króla dobrze": przyznawał rację temu, z kim ostatnio konwersował.

Taka właśnie rozmowa spowodowała odwołanie Stanisława Niżowskiego z Wiednia i gwałtowne pogorszenie się stosunków z Habsburgami. W ówczesnej sytuacji był to poważny błąd polityczny, który przyniósł zatrute owoce w postaci powstania w Wiedniu planu zupełnej likwidacji względnie niezależnego królestwa wschodniego. Znaleźli się chętni do rozbicia schedy po Izabeli: cieszący się wielką sławą pogromcy Turków admirał floty dunajskiej Franciszek Zay, grecki pretendent do mołdawskiego hospodarstwa Jakub Bazylikos, podający się za potomka Heraklesa i stąd zwany Heraklidesem, oraz nasz dobry znajomy Melchior Balassa.

W końcu 1562 roku, po osadzeniu Heraklidesa na hospodarskim stolcu — głównie dzięki pieniądzom i żołnierzom jednego z najświetniejszych polskich wysoko urodzonych awanturników, Olbrachta Łaskiego — Siedmiogród został okrążony. Nim do tego doszło, Zay, z którym Łaski zawarł porozumienie, ruszył z wojskami habsburskimi znad Cisy. Na wieść o tym Balassa wymówił wierność Janowi Zygmuntowi. Niedawno podległy Batorym nadgraniczny Szatmár i kopalnie złota koło Nagybánya miały służyć odtąd zwolennikom Habsburgów. Wojska Ferdynanda wsparli też Batorowie z Ecsed, co sprawiło, iż niemal cała połać nadcisańskich ziem odpadła od królestwa wschodniego.

Jak to bywa z władcami nie największego formatu, Jan Zygmunt dowiedział się o ataku Zaya i Balassy nie najpierwszy — choć trwożne plotki od dawna obiegały Siedmiogród. Wydawało się, że wojska procesarskie idące w stronę przełęczy prowadzących do Transylwanii nie zostaną powstrzymane. Wtedy porozumieli się komendanci dwóch twierdz: Stefan Batory i Franciszek Némethi, broniący Tokaju.

Batory, który przejął po Balassie dowodzenie wojskami siedmiogrodzkimi, widział sytuację w ciemnych barwach. Jeszcze w styczniu 1562 roku, tuż przed uderzeniem sił habsburskich, powiedział do kilku herbowych, że Jan Zygmunt nigdy nie czuł się na Węgrzech bezpiecznie i nadal liczy się z możliwością ucieczki przed Niemcami lub Turkami do Polski. Dlatego tam właśnie gromadzi majętności. Ustami życzliwych, a raczej lepiej opłaconych doniesiono słowa Stefana Zayowi, który powiadomił cesarza o rozterkach „króla wybranego" i jego dowódcy. W liście tym Zay donosił również cesarzowi o niedobrych dla interesu Habsburgów pomysłach oddania Turkom kluczowej twierdzy Siedmiogrodu, Wielkiego Waradynu, co miało ratować Transylwanię przed żołnierzami na usługach domu austriackiego. Pomysł był rzeczywiście straceńczy i Stefan Batory z Somlyó przeciwstawił mu się zdecydowanie i z całą mocą, powołując się na honor przodków, swój i rodu, w którym „nigdy nie zdarzył się zdrajca ojczyzny i chrześcijaństwa (...). Autor pomysłu oddania zamku Turkowi lub Diabłu (vel Turcis, vel Diabolis) to zdrajca i sprawca zamierzonej zagłady chrześcijaństwa i Siedmiogrodu" — dowodził wyraźnie oburzony.[2]

Do realizacji pomysłu na szczęście nie doszło; być może była to plotka mająca powstrzymać habsburczyków w ich agresywnych poczynaniach. W sumie niewiele przyniosła; Jan Zygmunt musiał zdać się na wątłe siły siedmiogrodzkie. Batory i Némethi postanowili zatrzymać roty habsburczyków, choć mieli znacznie słabsze siły. Czwartego marca 1562 roku armia Balassy i Zaya natrafiła pod zamkiem Hadad (Hodod) na siły Batorego i Némethiego.

Od twierdzy w Somlyó dzieliła ich odległość około dwudziestu pięciu kilometrów, co pozwala nam domniemywać, iż nie tylko racje stanu i państwa, czyli Jana Zygmunta, ale i konieczność obrony siedziby rodowej sprawiły, że Batory wdał się w bitwę na niekorzystnych dlań warunkach. Z pewnością miotała też nim wściekłość na zdrajcę: wraz z przejściem Balassy na stronę Habsburgów przepadły zamki będące własnością jego ojca, Szatmár i Szinyér. Nie szło w tym wypadku o umiłowane wśród rodzaju ludzkiego prawo własności: Batory był rzeczywiście mocno przywiązany do tych ziem, czemu będzie dawać wyraz nawet niemal w ćwierć wieku później. Wtedy to zwierzy się legatowi papieskiemu Antoniemu Possevinowi: „milszy mi jest dym snujący się nad mymi wioskami niż najdroższe skarby ukryte w łonie ziemi".[3] Te skarby to oczywiście kopalnie złota koło Nagybánya. Nie dość na tym — Batory będzie sprowadzać do Polski owoce z tych wiosek, częstować nimi wielce rozgoryczoną nań żonę, a nawet wskazywać posłańcom drzewa, które rodziły dorodne sztuki. Niemal do śmierci będzie się wadzić z Habsburgami o ukochany Szatmár, którego nie chcieli oni wypuścić ze swych potężnych rąk, gdyż sprawa ta będzie miała duże znaczenie polityczne. Ten człowiek — twardy i szorstki, jeśli skłonny do emocji, to raczej gniewnych — nosił w sobie pokłady tęsknoty i uczuciowości. Okrutne czasy sprawiały, że nie miał po temu okazji i nie chciał ich zapewne pokazywać.

Wróćmy jednak na pola koło zamku Hadad, gdzie wrogie sobie oddziały Węgrów ruszają do szarży. Pierwsze swe starcie w roli dowódcy Stefan Batory przegrał. Być może właśnie wtedy został groźnie zraniony, po czym przepowiedziano mu, że jeśli wyliże się z rany, dojdzie do wielkich zaszczytów. W tej bitwie Balassa przekonał się jednak, że byłemu komendantowi Szatmáru nie brak odwagi i woli walki. Wykrwawione oddziały habsburczyków stały się wprawdzie panami pola walki, lecz na jakiś czas straciły bojowość. Niepewność pogłębiały wieści o idącej w sukurs Janowi Zygmuntowi armii tureckiej. Dlatego Melchior Balassa zgodził się na korzystną dlań propozycję zawieszenia broni.

Wykorzystał ten czas z właściwym sobie zamiłowaniem do intryg: przeciwko Janowi Zygmuntowi podburzył Szeklerów, żyjących we wschodnim Siedmiogrodzie. Bitny ten lud pochodzenia bułgarsko-tureckiego przywędrował niegdyś z Madziarami i cieszył się znacznymi swobodami w warunkach feudalnego państwa. Pogłoski i próby ograniczenia ich wolności wystarczały jednak, by Szeklerzy porywali za broń: a Balassa szerzył takie wieści od pewnego czasu. Trafiły one na podatny grunt i przeciwko królowi wybuchło powstanie.

Jan Zygmunt zdołał pokonać Szeklerów w walnej bitwie. Batory patrzał teraz, jak król poskramia bitny lud zgodnie z duchem epoki,

a wbrew swoim interesom: możni Szeklerzy pozostali niemal bez kary; pospolitaków nabijano na pal bądź ucinano im ręce. A przecież to właśnie okaleczani plebejusze stanowili doskonałą „siłę żywą" armii siedmiogrodzkiej, na której mógłby monarcha próbować się oprzeć w walce z magnatami sprzyjającymi Habsburgom.

Było to ważne doświadczenie. Batory w przyszłości wyciągnie z postępowania władcy własne wnioski.

Pozycja Stefana rosła mimo porażki pod Hadad. Nie tylko jego czyny, ale zdolności i aura, którą wokół siebie roztaczał, wpłynęła na wysunięcie się przed braci na jedno z pierwszych miejsc w państwie. Wyniesieniu Batorych nad inne rody w królestwie służyło również przejęcie przez nich, za zgodą Jana Zygmunta, skonfiskowanych posiadłości Bebeka i Balassy, co zrekompensowało utratę Szatmáru i Szinyéru. Stefan Batory stał się pierwszą osobistością po królu — i zaczął myśleć poważniej o realizacji swej wizji ułożenia się z sąsiadami.

Historycy poznają bezpośrednio naszego bohatera dopiero 21 stycznia 1562 roku. Wtedy bowiem Batory napisał z Nagyvárad list — chyba pierwszy, którego treść zachowała się do naszych czasów. List pisany był po węgiersku, adresowany do szwagra, Władysława Kerecsényiego, komendanta zamku w Gyula podległego Habsburgom. Korespondencja dotyczyła koncepcji politycznych — spraw, które żywo interesowały Batorego. Twardy realista, widzący bezsens wylewania krwi w pogoni za ułudą niepodległości wielkich Węgier, opowiadał się za pokojem między Ferdynandem a Janem Zygmuntem „przekonany, że oszustwa armii cesarskiej przyniosą wielką szkodę Siedmiogrodowi". W przeciwnym razie sytuację wykorzystają bezlitośnie Turcy,[4] których chęć niszczenia dorównywała łajdactwom żołdaków na usługach Habsburgów.

Nie oznaczało to jednak, iż Batory sądził, że kraj należy oddać w pacht cesarzowi. Niechęć do domu austriackiego tkwiła w nim głęboko: toć przecie w dwadzieścia lat później ryknie z gniewem na nuncjusza apostolskiego w Polsce, Alberta Bolognettiego, iż „prędzej połączy się woda z ogniem niż Węgrzy z Niemcami!"[5] W okrzyku tym, jak i wyraźnym przeciwstawieniu Węgrów Niemcom tkwi cały

ładunek nienawiści nie tyle do nacji, ile do Habsburgów, którzy według Batorego frymarczyli królestwem węgierskim, powodowani zachłannością i ambicjami, a nie rzeczywistym interesem obrony kurczącego się chrześcijańskiego świata.

Podówczas jednak zawarcie pokoju było szansą ocalenia względnej niezależności Siedmiogrodu i — jak pisał w liście do Kerecsényiego — „ostanie się nas samych". Na swój sposób plan Batorego był przedłużeniem pragnień zmarłej królowej — z tą różnicą, że zmęczona i chora Izabela zdawała się mieć dość życia w niebezpieczeństwie. Komendant Waradynu nie unikał ryzyka ani nie brakło mu odwagi, lecz sądził, że w okresie pokoju uda mu się wzmocnić armię i królestwo, tak by w przyszłości móc znów podjąć grę o restytucję choć części Węgier.

Magnaci uznający Jana Zygmunta za władcę, zamroczeni utratą posiadłości, a więc państwa, chcieli walczyć. Przemożne to pragnienie powodowało, jak widzieliśmy, przerzucanie się do różnych obozów, bezustanne intrygi i oskarżenia. W takim wirze wydarzeń, ciągnącym uczestników w krwawy dół, coraz trudniej szło o ocenę rzeczywistych intencji, racji i planów. Doświadczał tego i chwiejny Jan Zygmunt, którego sejm siedmiogrodzki namówił, by zwrócił się do sułtana z prośbą o pomoc i zwrot zagrabionych w 1552 roku ziem nad górną Cisą.

Były to próżne nadzieje i namowy. Rychło okazało się, że to doradca króla, Stefan Batory, ma rację: w 1562 roku Sulejman odnowił pokój zawarty z Habsburgami. Sułtan, pogromca Węgier, nie zamierzał z nikim walczyć o to królestwo ani oddawać zagrabionych terenów, które niemiłosiernie gnębiono podatkami w imię wielkości Allacha i jego ziemskiego przedstawiciela, kalifa. Węgry kolejny też raz zapoznały się z roztropnością domu rakuskiego, który nie zamierzał zwrócić ziem odpadłych od królestwa wschodniego wskutek zdrady Balassy. Bogate kopalnie złota koło Nagybánya i ukochany przez Batorego Szatmár znalazły się w imperium Habsburgów. Mimo to komendant Waradynu uważał, że zawarcie pokoju z cesarzem jest właściwym wyjściem z trudnej sytuacji, która groziła usunięciem potomka Jana Zapolyi z tronu siedmiogrodzkiego.

Jan Zygmunt musiał się śpieszyć: upływał rok od chwili zawarcia rozejmu przez Batorego pod zamkiem Hadad. Na taki bowiem okres obie strony zobowiązały się trzymać szable i rapiery w pochwach. Dalsza walka, wobec podpisania pokoju przez oba imperia, wydawała się nierozsądna. Zrozumiał to król i zdecydował się — zapewne wskutek nacisku Stefana — że wyśle komendanta Waradynu z poselstwem na dwór Habsburgów.

Obie strony na czas rokowań przedłużyły rozejm na dalsze dwa lata.

IV. POSELSTWA DO WIEDNIA

Było to odpowiedzialne i trudne zadanie. Dyplomacja siedmiogrodzka miała nikłe doświadczenia i tak Izabela, jak i Jan Zygmunt, który otrzymał wychowanie polskie, woleli posługiwać się Polakami w grze dyplomatycznej. Kontakty z Habsburgami odbywały się często przez Kraków i Knyszyn, gdzie lubił przebywać Zygmunt August. Fakt ten wynikał nie tylko z potęgi Rzeczypospolitej i znaczenia Jagiellonów, ale i z pokrewieństwa: Jan Zygmunt był przecież siostrzeńcem króla polskiego i wielkiego księcia litewskiego.

Batory jechał do Wiednia w kwietniu 1563 roku z ciężkim sercem: na początku tegoż roku zmarł jego najstarszy brat, Andrzej, któremu wszak wiele, mimo politycznych nieporozumień, zawdzięczał. Stefan nie zastał cesarza w stolicy — przebywał on w Innsbrucku — i aż do lipca mógł zastanawiać się nad swą skomplikowaną misją i porozumiewać z komisarzem cesarskim, przez którego rozpoczął wreszcie pertraktacje z królem rzymskim Maksymilianem i jego ojcem, przybywającym z głębi Rzeszy, cesarzem Ferdynandem.

Tego ostatniego Batory znał: był wszak głównym pomocnikiem Ferdynanda podczas łowów. Teraz, dojrzały i doświadczony, chyba podzielał opinię posła weneckiego o cesarzu: „Węgrzy ani się go nie boją, ani go nie kochają; nie boją się, ponieważ tak jak i Niemcy znają jego słabość; nie kochają go, ponieważ jest Niemcem, a ich królestwo popadło w ręce cudzoziemców, w którym widzą swego nieprzyjaciela.”[1]

Głównym punktem spornym była kwestia tytułu królewskiego Jana Zygmunta, oddania przez Habsburgów ziem nadcisańskich i majątków, w tym czterech grodów warownych, zagarniętych przez niepoprawnego Balassę w trzech różnych komitatach, a osłanianego wówczas przez cesarza. Do tego dochodziły kwestie ożenku Jana Zygmunta i losów katolicyzmu w Siedmiogrodzie.

Drugiego lipca 1563 roku Stefan Batory spotkał się z polskim posłem Marcinem Kromerem, tak jak mu nakazywał Jan Zygmunt, z nadzieją znacznego wsparcia ze strony królestwa polskiego. Osiągnął tylko to, że uzgodnił z Kromerem i nieco przerobił treść postulatów swego władcy. Propozycje Batorego były kompromisowe: Jan Zygmunt zobowiązuje się zrzec godności monarszej, ale po śmierci sułtana Sulejmana. Poseł siedmiogrodzki motywował to całkiem zręcznie, iż Wysoka Porta może zareagować zbrojnie, jeśli potomka Zapolyi dom austriacki pozbawi raptownie tytułu. Natomiast małżeństwo Jana Zygmunta z którąś z licznych arcyksiężniczek habsburskich związałoby silniej obydwie chrześcijańskie strony.

Cesarz poprzez swą Radę Dworską w piśmie z 9 lipca odmówił: sam był wszak królem węgierskim, miał się nim niebawem stać jego syn Maksymilian. Trzech królów — dowodzono przed Batorym nie bez ironii — to za dużo; tym bardziej że „Dux Joannes Sigismundus... titulo illo Electi Regis Hungariae... sibi usurpavit”.[2] Nie trzeba znać łaciny, by zrozumieć, że Habsburgowie oskarżali Jana Zygmunta o uzurpację tytułu króla węgierskiego. Do Wiednia szły ponadto wieści o podejrzanych heretyckich zamiłowaniach religijnych Jana Zygmunta; przestrzegał go zatem cesarz, „aby szczególną swą troską zechciał otaczać Kościół Boży i religię katolicką”.[3]

Jedenastego lipca Stefan przedłożył więc rodzaj repliki. Omijając drażliwą dla Habsburga kwestię, czy Jan Zygmunt tytuł „króla elekcyjnego” sobie uzurpował, zastępując sporną godność w korespondencji do cesarza terminem „dominus meus” (pan mój), Batory prosił w liście o pozostawienie tytułu Janowi Zygmuntowi w jego stosunkach z Turcją. Proponował mianowicie, by cesarz nadał mu ty-

tulaturę „Joannes serenissimi Joannis regis Hungariae, Dalmatiae, Croatiae etc. filius, Dei gratia princeps Hungariae et Transilvaniae etc." oraz nadgraniczne komitaty nadcisańskie prawem dziedzicznym. „Chociaż nic w instrukcji pana mego łaskawego nie mam w sprawie religii — pisał Batory — pan mój miłościwy prawdziwej wiary katolickiej jest najlepszym nauczycielem." [4]

To nieprawda. Jan Zygmunt dbał jedynie o pozory wysyłając na dwór wiedeński jednego z nielicznych w jego państwie tak wysoko urodzonych katolików, który swą osobą miał dawać świadectwo przywiązania swego pana do papieża. W rzeczywistości Jan Zygmunt interesował się mocno innymi wyznaniami i sprzyjał im — i Batory musiał o tym wiedzieć. Jeśli jednak Jan Zygmunt miał marzyć o ręce jednej z arcyksiężniczek austriackich i dalszych rozmowach z Habsburgami, Batory musiał się uciec do wybiegu dyplomatycznego, jakim zwykło się w polityce nazywać kłamstwo. Zrobił to z miną niewiniątka: do swego władcy również napisze, że uważa go za obrońcę wiary katolickiej.[5]

Ale cesarz nie chciał się zgodzić nawet na tytuł: „syn króla Węgier, książę Węgier i Siedmiogrodu" dla potomka Jana Zapolyi, który napsuł tyle krwi Habsburgom. Niech Jan Zygmunt używa miana dux lub princeps: księcia. Podpierając się stosownymi racjami i traktatami — skrzętnie przechowywanymi i czekającymi na odpowiedni moment — cesarz stwierdził też, że nie może oddać ziem nadcisańskich. Natomiast w kwestii wydania arcyksiężniczki z domu rakuskiego lub choć kuzynki za Jana Zygmunta Ferdynand wahał się: król Polski dwukrotnie żonaty z Habsburżankami czuł nieprzepartą niechęć do ich epileptycznych ataków i unikał cielesnych zbliżeń. Gubił za to swe wątlejące męskie siły w ramionach oddziału miłośnic, co oczywiście nie gwarantowało potomka z prawego łoża. Istniała całkiem realna możliwość, iż to Jan Zygmunt zostanie obrany królem polskim po śmierci wuja. Wiemy przecież, że był wśród szlachty polskiej bardzo popularny.

Batory wysłał do swego pana dokładne sprawozdania z prowadzonych rozmów. Dwudziestego lipca w liście do cesarza dyplomatycznie „zdziwił się bardzo" treścią odmowy i przedstawił nową propozycję.

Czy Jan Zygmunt może się tytułować synem króla Węgier etc., „Dei gratia princeps partium regni Hungariae et Transilvaniae etc." — księciem części królestwa Węgier i Transylwanii.[6] Przecież utrzymanie niepodległości Siedmiogrodu otoczonego przez wrogów wymaga nadzwyczajnych poświęceń; jeśli Jan Zygmunt sceduje grody warowne i tereny — domyślcie się, komisarze Habsburgów, komu — oznaczać to będzie upadek Węgier. Niech się zatem Sacra Regia Maiestatis zastanowi nad tymi sprawami, ich konsekwencjami, i zgodzi na tytuł kompromisowy dla Jana Zygmunta — taka była z grubsza argumentacja Batorego.

Ale odpowiedź cesarza była wzgardliwa: „de titulo, quo posthae Illustrissimus Dominus Dux Joannes Sigismundus utatur, szintén nem targyalhat".[7] Syn Zapolyi ma odtąd używać tytułu księcia i dwór wiedeński nie zamierza więcej wracać do tej sprawy. Rozgrywki dyplomatyczne przedłużały się i zaniepokojony trudnymi rokowaniami Jan Zygmunt wysłał 7 sierpnia w sukurs „phisicum nostrum", swego lekarza nadwornego, Jerzego Blandratę, „tamquam privatum hominem".[8] „Niby prywatna osoba", czyli medyk Jana Zygmunta pojawił się z dwustoma florenami na potrzeby poselstwa i poleceniem władcy, by posłowie wracali, jeśli nie uda im się wytargować jego warunków.

Ale Batory i Blandrata nie mieli już komu przedstawić propozycji Jana Zygmunta, gdyż cały dwór wiedeński przeniósł się do Pozsony. Tam 8 września 1563 roku odbyła się w przebogatej oprawie koronacja Maksymiliana na króla Węgier: odtąd gród nad Dunajem będzie do 1830 roku miastem koronacyjnym królów węgierskich. Oczywiście Batory nie wziął w uroczystości udziału, gdyż mogło to być odczytane jako zgoda na uznanie nowego monarchy. Wolał odwiedzić miejsce swego chłopięcego terminowania, dwór w Nagyszombat. W Wiedniu był z powrotem 9 września i znów próbował podjąć wątek sprawy małżeństwa Jana Zygmunta z Austriaczką. Odpowiedzią było długie milczenie. Wreszcie, gdy 22 września również Blandrata otrzymał w Wiedniu respons odmowny, stało się jasne, że misja pana z Somlyó nie powiodła się.

Nie tylko to jednak zaważyło na odwołaniu Stefana Batorego

z Wiednia przez władcę Siedmiogrodu. Słabość państewka, niepewność, niewierność części rodów siedmiogrodzkich, nade wszystko wieloletnia tradycja i bliskie związki nakazywały nadal korzystać z pomocy dyplomacji polskiej. Obok Batorego widzieliśmy już posła polskiego Marcina Kromera, z którym Stefan, już po odjeździe, prowadzi żywą korespondencję z Pozsony. W pewnym okresie interesy Jana Zygmunta w Wiedniu reprezentował przyszły prymas Polski Stanisław Karnkowski i kasztelan rawski Stanisław Wolski. Gdy Batory wyjechał z Wiednia w początkach października 1563 roku, okazało się, że i Polacy niewiele mogą zdziałać na dworze habsburskim: rozzłoszczony cesarz żądał przybycia posła siedmiogrodzkiego. Ale Jan Zygmunt nie kwapił się już do tego, gdyż sytuacja zmieniła się nieco na jego korzyść wraz z wygnaniem z sąsiedniej Mołdawii awanturniczego sojusznika Balassy — Heraklidesa. Tak mu przynajmniej szeptała do ucha nowa wybijająca się postać na dworze w Gyulafehérvárze, Kasper Bekiesz.

Ciekawy to osobnik: ambitny klient Zapolyów o ujmującym wyglądzie i gładkim zachowaniu dworaka, postanowił zastąpić Batorego na dworze Jana Zygmunta. Pierwszy krok mu się udał. Stefan, jak wiemy, został odwołany z Wiednia, a Bekiesz został pierwszym doradcą „króla wybranego".

Tymczasem nad granicą znów wrzało — a to za sprawą nieocenionego Balassy. Napadł on z Szatmáru na komitat Krasna i kazał znosić do siebie stojące na polach w snopkach zboże oraz wino. Następnie usiłował podbechtać szlachtę siedmiogrodzką przeciwko władcy, a gdy spisek został zdławiony w zarodku, jesienią 1564 roku ruszył wraz z Franciszkiem Zayem na wierny Janowi Zygmuntowi Tokaj. Szło mu nie tyle o miasto bronione przez Némethiego, ile o wspaniałe wino, zwane opus divinum (boskim dziełem): liczba beczek, które wiózł, niewiele ustępowała liczebności jego armii opuszczającej Szatmár.

Balassa i Zay popełnili błąd, nie doceniwszy możliwości i woli walki Batorego. A przecież spokojny w tonie list pana waradyńskiego do kapitana Zaya powinien dać jemu i Balassie nieco do myślenia. Batory pisał: „także jestem chrześcijaninem i krwi chrześcijańskiej roz-

lewać nie pragnę, lecz jeśli wyruszy przeciwko mnie lub ktoś w pobliżu mych posiadłości będzie chciał stanąć i następować na mnie, z ochotą stoczę z nim bitwę".[9] Nie były to wcale czcze przestrogi i markowana często wola walki. Powiadomiony bowiem przez mieszczan komendant waradyński błyskawicznie przerzucił swą załogę pod Szatmár i poczekał na stosowny moment. Jak co dzień wieczorem, tak i 3 października 1564 roku bramy twierdzy otwierano, by wpuścić bydło spędzane z żółknących pastwisk. Jakież było zdziwienie, a potem przerażenie nielicznej załogi Szatmáru, gdy spoza kłębów kurzu i krowich rogów ukazały się posępne wąsate twarze i wzniesione do cięcia uzbrojone w szable ręce „żołnierzy Najświętszej Marii Panny". Nie oszczędzili oni nikogo poza najbliższą rodziną Balassy, którą Batory odesłał Janowi Zygmuntowi. Mocno też przywiązało żołnierzy do swego wodza zdobyte złoto i srebro, skrzętnie gromadzone przez Balassę w Szatmárze. Skarby te zostały podzielone sprawiedliwie przez Stefana między zwycięskich i okrutnych wojaków. Stefan dobrze wiedział, co czyni: cóż bardziej mogło zjednać ich serca!

Również Jan Zygmunt wykazał się nad podziw energią: zebrawszy dwanaście tysięcy zbrojnych, wsparty przez sześć tysięcy Turków, zdobył zamki w Hadad, Nagybánya[10], Ecsed, Bátor, Kisvárda i parł na Koszyce przyprawiając dwór nowego cesarza o przyśpieszone bicie serca. Dopiero ulewne deszcze zmieszane ze śniegiem zmusiły Jana Zygmunta do odwrotu.

Niedługo cieszył się odzyskanymi terenami i zamkami. Maksymilian zdołał zebrać siedem tysięcy wojska — nieduża ich liczba, jak i trudności Ferdynanda w wywiązaniu się z umów finansowych wobec Izabeli uzmysłowić nam winny, że ciągłe braki w skarbie nie były węgierską czy polską specyfiką. Habsburg namówił madziarską szlachtę z komitatów przygranicznych na przeciwuderzenie. Na czele tych wojsk stanął Andrzej Batory z Ecsed i Łazarz von Schwendi, komendant Koszyc. Był to dobry i sprytny żołnierz: nieoczekiwanie rozpoczął działania w czasie ostrej zimy, w lutym 1565 roku, zajmując błyskawicznie Tokaj i Szerencs. Dzielny Némethi padł śmiertelnie ranny podczas oblężenia słynącego z win miasta. Poddał się też

Szatmár i Nagybánya. Zwycięski Schwendi stanął na granicy Siedmiogrodu.

Jednocześnie cesarz, aby uniemożliwić pomoc Porty dla Jana Zygmunta, wypłacił sułtanowi zaległy haracz: 60 tysięcy talarów i 30 tysięcy bakczyszu dla wezyrów. Bekiesz, wysłany przez potomka Zapolyi do Stambułu, spóźnił się: Turcy po otrzymaniu haraczu od Habsburgów swoim zwyczajem nie kwapili się do niesienia pomocy Janowi Zygmuntowi.

Władca Siedmiogrodu znów użył Stefana Batorego w dyplomatycznych rozgrywkach. Wespół ze Stanisławem Niżowskim spotkał się on w Szatmárze z pełnomocnikami cesarza, Andrzejem Batorym z Ecsed i zwycięskim wodzem habsburskim Łazarzem von Schwendi, dla omówienia warunków pokoju. Wbrew życzeniom Jana Zygmunta, podtrzymującego swe prawa do używania tytułu „króla wybranego", „który to tytuł nie tylko prawem dziedziczenia, lecz i prawem tych, którzy królem swoim mnie ustanowili i wybrali"[11] — Batory i Niżowski poszli daleko w ustępstwach. W układzie z 13 marca 1565 roku zgodzili się na okrojenie dawnego królestwa wschodniego do terenu Siedmiogrodu i tytuł księcia dla Jana Zygmunta. Siedmiogród miał być „membrum Hungariae" — częścią królestwa Węgier — a jego książęta mieli składać przysięgę wierności królowi węgierskiemu, to jest Maksymilianowi. Układ zatwierdziłby sejm siedmiogrodzki.

Mimo zawarcia niekorzystnego dlań układu Jan Zygmunt znów wysłał Stefana Batorego do Wiednia z upoważnieniem z dnia 24 marca 1565 roku dotyczącym ratyfikowania umowy. Ceną za to miała być ręka arcyksiężniczki Joanny dla syna Zapolyi.

Gdy Batory podróżował do Wiednia, do Gyulafehérváru docierały nowe wieści, mocno poruszające „króla wybranego". Nie minął miesiąc od wyjazdu pana z Somlyó, gdy Jan Zygmunt doszedł do wniosku, że popełnił błąd. W ślad za Batorym pogalopował goniec z listem datowanym z Gyulafehérváru 21 kwietnia 1565 roku. Król nakazywał posłowi trzymać się nowych postanowień. Ton był zdecydowany: jeśli Maksymilian nie przyjmie warunków Jana Zygmunta — wracać.

Jakie były nowe rozporządzenia? Odpowiedź zawierała instrukcję, którą przywiózł goniec. Przede wszystkim — nie podpisywać układu szatmarskiego. Tereny nad lewobrzeżną Cisą mają pozostać przy potomkach Jana Zapolyi, podjęta ma być na nowo kwestia tytułu „króla wybranego". Cena: złożenie przez Jana Zygmunta wraz ze stanami przysięgi na wierność cesarzowi Maksymilianowi.

Wszystko to mogłoby się wydawać Batoremu niewykonalnym szaleństwem, gdyby nie wieści, że za warunkami Jana Zygmunta stoi sułtan oburzony wojennymi napaściami von Schwendiego. Na dworze w Gyulafehérvárze zjawił się czausz Mehmet z epistołą od padyszacha, który obiecywał pomoc zbrojną i dyplomatyczną dla Jana Zygmunta w utrzymaniu ziem nadcisańskich. I rzeczywiście: niebawem ruszyły się z Budy i Temesváru tureckie garnizony łączące się z innymi oddziałami wyznawców Allacha. W samym Wiedniu pojawił się też czausz ze słowami przestrogi. Słowa posła siedmiogrodzkiego nabrały w wiedeńskim Burgu znacznie większego ciężaru.

Nic więc dziwnego, że do 30 kwietnia poseł Stefan Batory uzyskał trzy audiencje u króla Maksymiliana. Podczas tych i następnych spotkań ukazał swój talent dyplomatyczny polegający na mnożeniu argumentów wspierających żądania Zapolyi i ukrytych gróźb spowitych w błyszczące opakowanie uprzejmości. Tu nie szło tylko o wskazywanie tureckiego zagrożenia dla Siedmiogrodu i — w kontekście — samego Wiednia, co miało uzmysłowić cesarzowi konieczność nadania tych ziem, a może i uznania za króla Jana Zygmunta dla zachowania pokoju. Batoremu chodziło też o ukazanie niecnych postępków Balassy chronionego przez urzędników cesarskich. W memoriale z 2 maja do cesarza Batory wymienił aż dwanaście ciężkich przestępstw, jakich dopuścił się „handlarz wiernością" wespół z Zayem. Mieściły się w tym i grabieże majątków Jana Zygmunta, zagarnianie zboża, budowa nowych zameczków na zajętych terenach, by okrążyć twierdzę Huszt, gnębienie szlachty, mordowanie chłopów. Wszystko to w krótkim czasie: „a die festo Natalis Domini Iesu Anni 1563".[12]

Odpowiedź Rady Dworskiej była charakterystyczna dla dyplomacji austriackiej: gravaminy (przestępstwa ciężkie) zbadamy, cesarz i król sądzi, że podpisanie warunków z Szatmáru jest wystarczające

do zapewnienia pokoju Madziarom, o los Węgier niech się książę Jan Zygmunt nie kłopocze; ma uznać cesarza za króla Węgier i podpisać uzgodnione kondycje. Wedle urzędników akty te miały przynieść uzdrowienie sytuacji.

Ale co począć z zagrożeniem tureckim Siedmiogrodu — pytał Stefan Batory w liście do cesarza z 14 maja — gdy sułtan „per chijawsium suum Mehmet"[13] oznajmia, iż rusza przeciw cesarzowi garnizony Budy, Temesváru, co sprawia, że ojczyzna węgierska jest „w najwyższym niebezpieczeństwie"? Jeśli rzeczywiście dba cesarz o los kraju, nad którym panuje, niech wyśle wojsko do obrony Siedmiogrodu — ale takie, które może równać się z tureckim. Święty Majestat Cesarski, odpowiadała na to Rada Dworska, rozumie troskę Jana Zygmunta o los Węgier, ale nie może spełnić próśb księcia. „W razie najazdu tureckiego na Siedmiogród cesarz nie zaniedba niczego, co jest obowiązkiem chrześcijańskiego monarchy" — troskliwie zapewniano.[14] Niech tylko Jan Zygmunt dopełni warunków umowy szatmarskiej, a wszystko ułoży się właściwie, to jest zgodnie z wolą cesarza.

Sytuacji patowej nie rozjaśniło nieoczekiwane wystąpienie posła polskiego Franciszka Krasińskiego (potem podkanclerzego koronnego), który raczej na zasadzie deus ex machina w imieniu króla polskiego witał zgodę między cesarzem a Janem Zygmuntem. W rzeczywistości do konkordii było bardzo daleko.

To odbijanie piłeczki miało się niebawem skończyć. Zapolya miał dość dyplomatycznej gry z Maksymilianem; wojska sułtana były znacznie bliżej. Cesarz jeszcze w maju dowiedział się o planach syna Zapolyi związania się z padyszachem. Groźnie przestrzegł Batorego, że jeżeli tak się stanie i nie będzie przezeń podpisana umowa szatmarska, gotów jest obrócić przeciw Siedmiogrodowi całą swą siłę. Do 3 czerwca Stefan mógł przeciągać grę, twierdząc, co było zgodne z prawdą, że nie ma dalszych instrukcji. Tego dnia jednak pojawił się na ulicach Wiednia, przed gospodą, gdzie mieszkał Batory, goniec z Siedmiogrodu: oczy wierne cesarzowi natychmiast go dostrzegły. Batorego w kategorycznym tonie wezwano do Burgu, by poinformował Radę Dworską o postanowieniach Jana Zygmunta.

Były one twarde i zdecydowane. Czując za sobą tureckie ostrza, „król wybrany" nakazywał Batoremu nie ustępować przed żądaniami cesarza, podtrzymywać swoje warunki zgody. Stosunki wzajemne zaczęły się zaogniać.

Cesarz, dowiedziawszy się od Batorego o postulatach Jana Zygmunta, zezłościł się: poseł ten niecałe trzy miesiące temu podpisał układ w Szatmárze, a teraz w imieniu Jana Zygmunta śmie wysuwać roszczenia oznaczające niedotrzymanie postanowień umowy! Batory został niemile zaskoczony. Piątego czerwca wieczorem, gdzieś w porze kolacji, nie mógł już wyjść z gospody, w której mieszkał. Została ona otoczona przez piechurów pod wodzą kapitana straży cesarskiej, Czecha Jerzego Proszkowskiego. Człowieka, któremu cesarz musiał bardzo ufać: w dwa lata później to właśnie jego wyśle jako posła do króla polskiego. Proszkowski zabronił komukolwiek — nawet służbie opiekującej się końmi Batorego — wychodzić na zewnątrz.

Uwięzienie posła było jednakowoż ciężkim pogwałceniem obyczajów między narodami, rzadko spotykanym w tej części Europy złamaniem prawa międzynarodowego — i cesarz czuł się w obowiązku wytłumaczyć ze swego postępowania. Tym bardziej że Batory następnego dnia po uwięzieniu napisał spokojny w tonie, choć cierpki list, Boga przywołując na świadka, iż nie działał jako przeciwnik Habsburgów. Ale cesarz zdawał się wierzyć w przysięgi na Boga, gdy zgadzały się one z jego racjami: to cecha ówczesnych władców. Święty Majestat i tak uczynił łaskę, wysyłając w dwa tygodnie po uwięzieniu Batorego i jego dwóch listach posła z pismem doń adresowanym. Posłem tym był prawdopodobnie Franciszek Krasiński, z natury rzeczy bardziej przychylny Siedmiogrodzianinowi niż przedstawiciele nacji niemieckiej. Na tym się jednak łaska Maksymiliana skończyła. Cesarz w liście wyjaśniał, że zatrzymanie Batorego nastąpiło skutkiem postępowania Jana Zygmunta. Postępowania niegodnego: doradcy węgierscy Habsburga wskazywali mu, że młody Zapolya, sprzymierzywszy się z pogańskimi Turkami, występuje przeciwko cesarzowi, nie zamierzając podporządkować się postanowieniom umowy szatmarskiej. To on winien nieszczęść króle-

stwa węgierskiego. Stefan Batory z Somlyó musi zatem obowiązkowo poczekać na odpowiedź cesarską. Z przedziwną retoryką dodawano, że nie jako więzień, lecz poseł, któremu odjęto możność swobodnego poruszania się po mieście.

W rzeczywistości był to areszt domowy.

Wedle głosów niektórych historyków Batory miał odpowiedzieć godnie. Zasadzała się owa godność na tym, iż pan z Somlyó stwierdził, iż to nie on jest winien nielojalności w rokowaniach. Na dowód przekazał cesarzowi listy i instrukcje Jana Zygmunta. Dziwna to zaiste godność polegająca na ukazywaniu przez feudalnego lennika nielojalności swego pana — i to widocznej w dokumentach. Przy tym cesarz, mimo dobrych i szczerych chęci Batorego, był nadal niekontent i żądał pierwszej instrukcji, którą Batory dostał jeszcze w kwietniu od Jana Zygmunta. Komendant waradyński nie mógł jednak zadośćuczynić żądaniom cesarza, gdyż na polecenie władcy siedmiogrodzkiego zwrócił ją uprzednio.

Korespondencja na temat wydania przez Batorego wszystkich listów i instrukcji była wyjątkowo obfita. Cesarz niezmiernie był ciekawy, jakie na przykład poseł Zapolyi miał instrukcje, kiedy wraz ze Stanisławem Niżowskim udawał się na rozmowy do Szatmáru zakończone układem. Batory opowiadał, że nie ma już tych zaleceń, gdyż oddał je Janowi Zygmuntowi. Wyjaśnienie nie zadowoliło Maksymiliana: jął czynić posłowi wyrzuty, iż świadomie sabotował wypełnienie umowy szatmarskiej. Areszt zatem jego osoby jest ze wszech miar słuszny, do chwili gdy nie zostaną usunięte przeszkody.

Apele Batorego, przedkładane dowody i zapewnienia niewinności natrafiały na potężny mur nieufności i niechęci. Nie mogąc pomóc sobie, poseł usiłował wymóc na cesarzu zwolnienie z oblężonej gospody niemałej liczby swych sług. Wysłał w tej sprawie kilka listów. W końcu radcy dworscy doszli do przekonania, że koniuchowie nie zagrożą jednak Habsburgom, i zwolnili ich z aresztu. Batory, dbały o swoich ludzi, może podejrzewając podstęp, domagał się dla nich u Proszkowskiego i innego oficera Jana Fieringera ówczesnego paszportu — „salvus conductus".

Minął rok w wilgotnej i zimnej gospodzie. Wydane przez Batorego dokumenty, wysłane zapewnienia były przysłowiowym grochem rzucanym o ścianę nieustępliwych doradców — i poseł jął się nowej deski ratunku. Dwudziestego trzeciego czerwca 1566 roku zaproponował cesarskiemu doradcy Udalrikowi Chasiusowi transakcję: w zamian za uwolnienie wyda małżonkę i dzieci Melchiora Balassy. Propozycję tę wystosował tego samego dnia w piśmie adresowanym do cesarza. Ale Maksymilian ani myślał o targach. Stefan Batory, rozżalony i podrażniony wieściami płynącymi od brata Krzysztofa, na szczęście wraz z talarami, śle więc do cesarza 24 listopada listę swych zasług, gdy był komendantem waradyńskim: zwierza się z udzielania pomocy i środków wojskowych, oswobadzania jeńców z oddziałów habsburskich, donosi o ważkim fakcie złapania dwóch szpiegów tureckich w Gyula i zorganizowaniu własnego wywiadu donoszącego o zamiarach muzułmanów. Oczywiście te zasługi nie uczyniły na cesarzu wrażenia. Sytuacja przy tym nie sprzyja Batoremu. Liczne prośby o uwolnienie nadal pozostają bez echa.

Czy takie postępowanie — oddawanie tajnych instrukcji, listów swego pana, targi wolnością etc. — ujmuje Batoremu prawości i uczciwości? Nie wdając się w prawnicze rozważania o chrześcijańskim cesarzu pretendującym do władzy nad światem, któremu chrześcijanie winni są wierność, czy też nie przymierzając tego do starej feudalnej zasady „wasal mojego wasala nie jest moim wasalem", należy stwierdzić, że Stefan uczynił to przytłoczony okolicznościami nieczęsto spotykanymi w cywilizowanym świecie: uwięzieniem jego, posła. Było to poważnym zagrożeniem, może nawet życia, wymuszeniem bierności w ważnych dla Siedmiogrodu i Węgier chwilach, było wreszcie polityką, która często, ku słusznej zgrozie idealistów, nie ma konotacji moralnych. Z drugiej strony — nie sposób postępowania Batorego uznać za godne.

Słał zatem Stefan listy z prośbami i wyjaśnieniami do cesarza, usiłując skorzystać z szansy uwolnienia, wpłynąć na swój los. Posunięcia jednak Maksymiliana mogą również nasunąć refleksje o względności wartościowania moralnego w odniesieniu do prowadzonej polityki. Aby poróżnić Jana Zygmunta z sułtanem, ludzie

cesarza natychmiast donieśli w Stambule o rozmowach prowadzonych przez Batorego w Wiedniu. Wbicie klina między Turcję a Siedmiogród udałoby się zapewne, gdyby haracz był większy, a Sulejman władcą mniejszego formatu. On jednak zdecydowany był przeprowadzić ostatni wielki plan swego życia: uderzenia na Wiedeń. Nieważne zatem było dlań, czy Jan Zygmunt spiskuje za jego plecami w Wiedniu posługując się Batorym, czy są to tylko prowokacje dworu habsburskiego. Trzymał władcę Siedmiogrodu w swej potężnej garści i wystarczało mu na razie uroczyste posłuchanie, którego udzielił 28 czerwca 1566 roku w Semlinie. Uroczystość ta kapała wprost od złota i rubinów, którymi obwieszony był na znak bogactwa i znaczenia Jan Zygmunt. Złożył on u sułtańskich stóp niebywale bogate dary i w końcu również siebie. Padał bowiem na kolana trzykrotnie i tyleż razy Sulejman podnosił swego lennika z ziemi. W końcu nazwał go ukochanym synem i stwierdził, że rozpoczyna wojnę z Austrią w celu włożenia korony węgierskiej na skronie Jana Zygmunta.

Prawdopodobnie były to czcze obietnice: zajęte przez Sulejmana Węgry czekałby raczej los Budy i jej mieszkańców, gdyby nie nieoczekiwana śmierć wielkiego sułtana podczas oblężenia Szigetváru w nocy z 5 na 6 września. Dowódcy tureccy zdołali zapanować nad chaosem, który na ogół towarzyszy śmierci wodza, i zdobyli twierdzę. Do uwięzionego Batorego dotarł wspomniany list od starszego brata Krzysztofa wysłany 24 września 1566 roku z Nagyváradu z hiobowymi wieściami o śmierci komendanta Szigetváru, Mikołaja Zrinyiego, oblężeniu zamku o znaczeniu strategicznym, Gyula, którego komendantem był szwagier Batorych z Somlyó, Władysław Kerecsényi, a nade wszystko — o bezczynności wojsk cesarskich. Krzysztof usiłował przekonać Kerecsényiego, aby oddał zamek wojskom Zapolyi, co uchroni go przed oblężeniem wojsk tureckich. Mimo zablokowania twierdzy przez Turków szwagier Batorych odrzucał dwukrotnie propozycje Krzysztofa wierząc — nieszczęsny — w odsiecz cesarskiego dowódcy Schwendiego. Zapewne ze zgrozą Stefan dowiedział się, iż Kerecsényi po dziesięciu tygodniach ciężkiego oblężenia zgodził się na honorową kapitulację, która w tradycyjny już sposób została

przez Turków pogwałcona. Wszystkich obrońców Gyula wyznawcy Proroka wyrżnęli, gdy wychodzili oni z zamku; Kerecsényiego powieźli ze sobą i potem również zamordowali.

Pucharu goryczy, który przyszło wypić Janowi Zygmuntowi, dopełnili Tatarzy przybyli z Turkami nad Cisę. Mieli oni poważne trudności w rozróżnianiu nieprzyjaciół i sojuszników: w końcu, choć obciążeni jasyrem, rzucili się na wojska siedmiogrodzkie. Wprawdzie Węgrom udało się pobić pohańców, ale wtedy właśnie Schwendi zdecydował się rozpocząć batalię z osłabionymi oddziałami siedmiogrodzkimi, zajmując przygraniczną twierdzę Jana Zygmunta, Munkács.

Można sobie wyobrazić, jakiej niechęci i odrazy do otoczenia cesarza nabierał Batory, jaki ból uczuł po stracie Kerecsényiego: to wszak na prośbę szwagra, gorącego zwolennika pokoju między Habsburgami a Janem Zygmuntem, cesarz zgodził się, aby poseł-więzień mógł wychodzić wreszcie na krótkie spacery. Komendant Gyula, trzymając w swym ręku ważną dla cesarza twierdzę, mógł uczynić dla uwięzionego posła znacznie więcej niż inne osobistości, jak ksiądz Franciszek Krasiński szczerze zabiegający u cesarza o zwolnienie Batorego, a nawet sam król Polski Zygmunt August, do którego Stefan również wysłał list z prośbą o troskę i wsparcie. Łaska cesarska nie trwała długo; zachowana korespondencja świadczy o złośliwości dworskich urzędników, gdyż nawet w grudniu 1566 roku poseł musiał interweniować u cesarza o zezwolenie na krótkie spacery i możność odesłania sługi do Siedmiogrodu w sprawach prywatnych. W końcu dopiął swego o tyle, że zmieniono mu kwaterę — wilgotną i zimną — na cieplejszą i wygodniejszą.

Po trudnych doświadczeniach przykre wrażenie musiał wywrzeć na Batorym, jak i na innych panach węgierskich, nawet tych, którzy popierali Habsburga, triumfalny wjazd cesarza Maksymiliana II do Wiednia. Nie zobaczywszy ani on, ani jego armia nagiego bułata tureckiego, fetowany zwycięzca wjeżdżał zadowolony, że tanim kosztem odjął następną twierdzę Siedmiogrodowi, a niebezpieczny Sulejman zmarł.

Nadeszło lato 1567 roku. W pierwszych dniach lipca kwaterę

w Wiedniu, gdzie tkwił nadal Batory, odwiedził sekretarz cesarski, Marek Sinkhmoser. Święty Majestat Cesarski łaskawie zezwalał posłowi siedmiogrodzkiemu na opuszczenie Wiednia.

Batory wyjeżdżał z miejsca, gdzie gorzko przeżywał swą bezczynność i samotność, zmieniony tak, jak zmienia człowieka dwuletnie niesprawiedliwe więzienie. Nieskory do obnażania emocji, stał się jeszcze bardziej zamknięty w sobie, ponury i stanowczy. Nosił odtąd w sobie zapiekłą nienawiść do Habsburgów — to będzie widoczne, choć nigdy do końca nie będzie mógł jej ujawnić. Zapewne wtedy nie tylko pogłębił wiedzę poprzez studiowanie ksiąg, ale zrozumiał też wagę gry pozorów i podstępu w słowach i działaniu. Z drugiej jednak strony — podziwianą potem prawość Batorego być może mogło zrodzić postanowienie, by postępować inaczej niż Habsburgowie. Jak zobaczymy, nawet byłemu więźniowi będzie przychodzić to z dużą trudnością. Nauczy się też postępować „prawem silniejszego", choć wiernym uczniem Makiawela nie zostanie nigdy.

Po zwolnieniu Stefan podążył w kierunku Pozsony, skąd wysłał 4 lipca list z partyjską strzałą. Przypomniał, że Szatmár, zajęty przez Balassę, jest jego własnością i dlatego oddaje miasto pod obronę cesarza, którego pozostaje oczywiście wiernym sługą. Następnie ruszył Batory na dwór siedmiogrodzki.

Tu jednak znalazł sytuację zupełnie zmienioną. Podczas jego nieobecności Kasper Bekiesz wyrobił sobie pozycję najważniejszego po władcy i wywierał przemożny wpływ na Jana Zygmunta, który coraz częściej oddawał się rozmyślaniom nad Bogiem, religią i wyznaniami. Bekiesz nadal usiłował podbechtać Jana Zygmunta przeciwko Habsburgom, dowodząc, że to pokojowa polityka Stefana Batorego sprowadziła na Siedmiogród krwawy deszcz nieszczęść. Wiemy, że syn Zapolyi łatwo ulegał wpływom innych. Gdy Batory po raz pierwszy po zwolnieniu z uwięzienia stanął przed obliczem władcy Siedmiogrodu, ten miał mu tylko jedno do powiedzenia: „Miałeś to, czego sam chciałeś!" [15]

Odwrócenie się plecami do Stefana i pozbawienie go stanowiska komendanta i żupana waradyńskiego przypieczętowało niełaskę Jana Zygmunta dla Batorych z Somlyó. Dowódcą twierdzy został mianowany Krzysztof Hagymássy. Batorym nie pozostało nic innego jak usunąć się w cień, z dala od dworskiego zgiełku, lub rozpocząć motanie własnej sieci intryg, aby w nią złowić ambitnego i niebezpiecznego Bekiesza.

Bracia Batorowie wybrali pierwsze rozwiązanie. Wrócili do zamku Somlyó, by przeczekać złe czasy; nie pogłębiać, jak twierdzi węgierski historyk, swym działaniem chaosu w wyniszczonym straszliwie Siedmiogrodzie: taka, zdaje się, była motywacja ich politycznej bierności. Słowa „zdaje się" są jak najbardziej na miejscu: w rzeczywistości Batorowie, nawet gdyby chcieli rozpocząć grę w wielkim stylu, nie mieli się na kim oprzeć. Powrócili zatem do Somlyó, gdzie czekała na nich niespodzianka: trzy siostry, dotąd żarliwe katoliczki, przeszły na wyznanie reformowane. Sprawy religijne dzieliły nawet najbliższą rodzinę Stefana. Ba, sam Jan Zygmunt, z zamiłowaniem nadal śledzący nowinki religijne, przeszedł na unitarianizm, który to przywędrował z nim z Polski i rozszerzył się na Węgry. Mimo to Batory trwał w katolicyzmie, jako jeden z nielicznych.

Tymczasem zdolny i przedsiębiorczy Bekiesz nadal usiłował przyciągnąć do siebie rozczarowanych do cesarza magnatów węgierskich. Jeszcze widział szansę na uwolnienie się spod zależności Habsburgów. Dopiero niechęć nowego sułtana Selima II do wspierania Jana Zygmunta i zdecydowane działanie Maksymiliana, który wykrył spisek przeciw sobie wśród wielmożów węgierskich, powstrzymały Bekiesza. Nadchodził czas nowych układów dla zmęczonego, potrzebującego choć odrobiny spokoju, narodu węgierskiego i innych, wchodzących w skład dawnej monarchii.

I tym razem okazało się, że wielka polityka Habsburgów popychania innych na pola chwały i wyciągania z tego korzyści, święciła triumfy. Pokój w Adrianopolu zawarty z Turkami w lutym 1568 roku zapewniał cesarzowi spokojne panowanie nad zajętymi ziemiami nadcisańskimi, Dalmacją, Chorwacją i Słowenią. Za pośrednictwem króla polskiego zawarto też traktat między Habsburgiem a Janem Zygmuntem. Na mocy układu w Spirze z 16 sierpnia 1570 roku syn Zapolyi zrzekał się tytułu „króla wybranego". Mógł go jedynie używać w stosunkach z Turcją, w zamian kontentując się

godnością „serenissimus princeps dominus Joannes, serenissimi olim Dalmatiae, Croatiae etc. filius, Dei gratia princeps Transilvaniae ac partium regni Hungariae" [16] — najjaśniejszego księcia Jana, syna najjaśniejszego Jana, niegdyś króla Węgier, Dalmacji, Kroacji etc., z Bożej łaski księcia Siedmiogrodu i części królestwa Węgier — nad którym zwierzchnictwo roztoczył sam cesarz. Układ w Spirze stanowił, iż w razie bezpotomnej śmierci księcia Jana Zygmunta Siedmiogród traci swą niezależność, stając się częścią monarchii habsburskiej.

W zawarciu tego układu niemałą rolę odegrała dyplomacja polska, co powinno nas dziwić: znów przecież wzrosła siła domu austriackiego kosztem interesów jagiellońskich. Należy jednak zdjąć z Zygmunta Augusta odium pomówień o brak dbałości o wpływy Jagiellonów, a jednocześnie Polski: nie mógł on działać na rzecz osłabienia Habsburgów, gdyż w konsekwencji groziłoby to wzrostem sił i przeniesieniem ciężaru „antemurale christianitatis" — przedmurza chrześcijaństwa — nad granice Rzeczypospolitej. A przecież miała Polska, po „aplikacji" w 1385 roku, ścisłym związaniu się z Litwą w 1569, dość trudności od wschodniej ściany, związanych z naporem Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Stąd działania ostatniego Jagiellona na rzecz zgody wśród chrześcijan na Węgrzech na warunkach habsburskich.

Dziesiątego marca 1571 roku sejm siedmiogrodzki ratyfikował układ zawarty z cesarzem w Spirze. Stało się tak dzięki energii Bekiesza, który z charakterystyczną dla epoki łatwością zmieniał polityczny kurs: z okrętu pod banderą wojenną i antyhabsburską przesiadł się na statek, na którym powiewała niebieska flaga pokoju. Oznaczało to przekreślenie ambicji Jana Zygmunta, który mógł odpocząć od politycznych podróży pełnych meandrów i szczęku oręża.

Niestety, nie był to odpoczynek, ale podzwonne dla działań syna Jana Zapolyi i Izabeli Jagiellonki próbującego zachować tron królewski w nadziei odzyskania i zjednoczenia Węgier. Do małżeństwa z kuzynką cesarską, księżniczką Julichu, Sybillą, już nie doszło. W cztery dni po ratyfikacji układu przez Sejm siedmiogrodzki Jan Zygmunt zmarł. Los nie oszczędził mu upokorzenia i w ostatnich

chwilach: również w opinii szlachty węgierskiej „król wybrany" umierał jako książę pomniejszonego Siedmiogrodu. Co gorsza bez potomka.

V. WOLNY WYBÓR?

Jan Zygmunt wierzył Kasprowi Bekieszowi do końca swych dni: to jego, księdza Michała Csákyego, komendanta Waradynu Krzysztofa Hagymássyego i Stanisława Niżowskiego wyznaczył na „panów testamentowych", mających sprawować rządy do chwili obrania przez sejm nowego władcy.

Bekiesz cieszył się niekwestionowanym autorytetem wśród tej czwórki i wiele wskazywało, że to on stanie się następcą Jana Zygmunta. Wprawdzie nie mógł być, bez koligacji, księciem z Bożej łaski, ale jemu nie zależało na tytule, lecz na władzy. Usiłował zatem wyjednać u cesarza w Wiedniu, tuż po śmierci Zapolyi, przywrócenie stanowiska wojewody siedmiogrodzkiego. Oczywiście — dla siebie.

Dla Transylwanii oznaczałoby to jednak zupełną zależność od Habsburgów, którzy odtąd mianowaliby wojewodów, i prawdopodobnie sprowokowałoby Turków do kolejnego przywracania „porządku" w Siedmiogrodzie na prawach wygodnych dla wyznawców Allacha, w zgodzie z roszczeniami do panowania „prawdziwej wiary" nad światem. Z tego zdawała sobie dobrze sprawę, spragniona choć kilku lat spokoju, szlachta siedmiogrodzka i jej sejm.

Dlatego ruch, jaki uczynił Bekiesz prosząc cesarza Maksymiliana o urząd wojewody, był błędny — i to na miarę dalszego życia. Wprawdzie Habsburg wysłał listy do możnych siedmiogrodzkich, w tym również do Stefana Batorego, żądając posłuszeństwa i poddania się woli władcy chrześcijańskiego świata — ale sejm siedmiogrodzki miał już dość zawodnej kurateli „cesarza rzymskiego".

Wtedy na usta herbowych znów wróciło nazwisko Batorych z Somlyó. Gwarantowali oni swym postępowaniem to, czego nie mógł im ofiarować obciążony błędami przeszłości, rzutki Bekiesz: umiarkowanie, spokój, uczciwość. Batorowie stali się najpotężniejszym rodem

w Siedmiogrodzie, pamiętano też o długiej i znakomitej tradycji: argument wówczas nie do pogardzenia. Nic więc dziwnego, że na zjeździe szlachty na wodza armii pospolitego ruszenia chroniącego porządek w państwie powołano... Krzysztofa Batorego. Stefan mierzył wyżej.

Młodszy z Batorych już w dniu śmierci Jana Zygmunta wiedział, że najwyższy czas wyjść z samotni w Somlyó. Miał swój plan, do szybkiego działania był przygotowany. Jeszcze tego samego dnia pchnął posła do Stambułu, proponując, jak możemy się domyślać, akceptację przez Wysoką Portę jego kandydatury do stolca książęcego. Ba, oto 17 marca 1571 roku w liście do sędziego w Kolozsvárze, Stefana Fejérdiego, podpisuje się jako „comes et Wayvoda Transsilvanus". Czuje się już wojewodą, ale mierzy wyżej: „et eo duci fecisset".[1] I tego księciem należy uczynić — pisał o sobie Stefan.

Przez prawie miesiąc sytuacja w Siedmiogrodzie była jednak niejasna, pełna napięcia i zrodzonych stąd pogłosek. „Panowie testamentowi" zorientowawszy się, iż sułtan potraktuje obsadzenie Siedmiogrodu przez wojewodę cesarskiego jako casus belli, nie bardzo wiedzieli, co czynić — i grali na zwłokę, odwlekając dzień wyborów.

Doczekali się: 27 kwietnia 1571 roku do Gyulafehérváru dostojnie wjechał czausz sułtański, trzymający pilnie koło siebie tajemniczy dokument obszyty czerwonym aksamitem. Był to edykt samego padyszacha. Czausz zapewne nie umiał lub nie chciał trzymać języka za zębami: kraj obiegła pogłoska, iż edykt zawiera nominację Stefana Batorego na księcia Siedmiogrodu.

Ale od plotek do potwierdzenia ich przez dokument biegnie niekiedy długa droga. Uczucie niepewności ogarnęło odważnych przecież, bo zahartowanych w bojach i czupurnych, herbowych madziarskich: wydawało się, że skutkiem mianowania dwóch różnych władców Siedmiogrodu przez cesarza i sułtana znów nieszczęsną krainę ogarnie krwawa wojna domowa. Dopiero Batory, świadom swej przewagi nad Bekieszem, zaproponował, by edyktu nie odczytywano, nie łamano sułtańskiej pieczęci. Rozwiązanie to szlachta przyjęła z ulgą, a wraz z nią nadal wyczekujący i ostrożni „panowie testamentowi".

Teraz Stefan z Somlyó mógł 29 kwietnia powiadomić cesarza o niespodziewanej a poważnej wizycie czausza i konieczności przeprowadzania wolnych wyborów w obecności sułtańskiego wysłannika. Batory pytał dyplomatycznie, jak należy owe wolne wybory przeprowadzić. I choć Bekiesz usiłował pokrzyżować spokojną, przemyślaną i rozsądną grę Stefana, wyjeżdżając pośpiesznie do Wiednia i nakłaniając Maksymiliana do osadzenia go siłą na stolcu siedmiogrodzkim — widać było, że jego akcje raptownie spadają. Habsburg nie śpieszył się do nowej wojny: zadowoli go, jeżeli nowy wojewoda złoży mu publicznie hołd, zaprzysięgając wierność. Taką odpowiedź dostał Bekiesz.

Od pojawienia się czausza z czerwonym edyktem upłynął niespokojny miesiąc, podczas którego biegali gońcy od cesarza bawiącego w Pradze czeskiej, jak i od Batorego, we wszystkie strony świata. Już 13 maja Stefan, powiadomiony przez czausza, dowiedział się, że sułtan „me electum declararet".[2] Padyszach popierał wybór pana z Somlyó. Gdy wreszcie 20 maja zebrał się w Gyulafehérvárze sejm, żołnierze Krzysztofa Batorego wkroczyli do miasta dla wzmocnienia jego bezpieczeństwa, a de facto dla poparcia sprawy brata. „Panowie testamentowi" nie chcieli, by sejm obradował w cieniu szabel Batorego i zażądali przełożenia terminu otwarcia wyborów. Znów źle trafili: szlachta była zmęczona wyczekiwaniem, a nade wszystko przekonana do kandydatury tego, którego popierał groźny sułtan. Wieści rozchodziły się szybko, a fakt wysłania przez Selima II listu bezpośrednio do Stefana Batorego wskazywał na kandydata Stambułu.

Na usztywnienie stanowiska szlachty wpłynął także inny fakt: Szeklerzy po około dwóch miesiącach zauważyli, że w Siedmiogrodzie nadal nie ma pana i ruszyli gromadnie na Gyulafehérvár. Przed sejmem stawili się posłowie szeklerscy, żądając przywrócenia dawnych swobód. Batory w lot wykorzystał okazję i odpowiedział legatom, iż uczyni wszystko, by znieść niesprawiedliwe prawa. Przemawiał do Szeklerów niczym zdecydowany, pewny swego władca i musiał wywrzeć odpowiednie wrażenie, gdyż zbliżające się bitne wojska szeklerskie zawróciły. Kraj uniknął w skomplikowanej sy-

tuacji wyboru księcia czy wojewody wojny domowej, która mogłaby doprowadzić do utraty przez Siedmiogród bardzo skromnych resztek niezależności.

Dwudziestego trzeciego maja w spokoju i powadze pochowano Jana Zygmunta. Spoczął on niedaleko zwłok Jana Hunyadiego w wyniosłej katedrze w Gyulafehérvárze. Wola młodego Zapolyi sprawiła, że on, niefortunny władca, za którego panowania upadło ostatecznie węgierskie królestwo wschodnie, miał leżeć obok słynnego pogromcy Turków, tego, który zdołał zatrzymać na pół wieku islam przed granicami wielkich Węgier.

Polaków bardzo interesowały wydarzenia w Siedmiogrodzie, choć — odmiennie niż sąsiednie hospodarstwo mołdawskie — Transylwania raczej nie była uważana za teren polskich wpływów. Na pogrzebie Jana Zygmunta pojawił się znaczny Polak, potężny wojewoda podolski Mikołaj Mielecki, słynący z umiejętności wojskowych. Uparty, skłonny do irytacji i łatwego obrażania się wojewoda był jednym z tych Polaków, na którym charyzma Batorego nie wywarła większego wrażenia. Ale tacy magnaci i dyplomaci jak Mielecki, Krasiński, Niżowski, Kromer, Karnkowski i wielu innych nieśli do Rzeczypospolitej wieści o nietuzinkowej postaci, wielce niechętnej Habsburgom, obdarzonej silną osobowością i bystrością umysłu, pretendującej do książęcej mitry w Siedmiogrodzie.

Funebralny spokój prysł jeszcze tego samego dnia, po uroczystościach pogrzebowych. Kiedy należy wybrać księcia transylwańskiego i jak to uczynić? — zastanawiała się szlachta. Głośne wyrażanie poglądów na tak skomplikowaną, podług herbowych, sprawę przeniosło się na dzień następny. Debata, jaka rozpętała się nazajutrz w sali sejmowej, znacznie już odbiegała od tonów umiarkowanych: siła głosów i ich gwałtowność wzrastały. Cały dzień szlachta wrzaskliwie wygłaszała oracje, coraz kierując spojrzenia czy też swe prawdy i żale w stronę Batorych.

Ci jednak — rzecz to znamienna — milczeli. Zrównoważonemu, kiedy chciał, na pozór ociężałemu Stefanowi przychodziło to chyba z niewielkim trudem. Wiedział, że sułtan jest po jego stronie i miotanie się, oskarżenia czy uczone oracje nic nie dadzą, a jedynie

rozjątrzą salę. To była mądra gra Batorego, dowodząca kolejny raz jego zmysłu taktycznego w walce na słowa i milczenie. Spokój pana z Somlyó na tle podniecony głosów stronników Bekiesza musiał działać niczym zimny tusz na rozgrzane głowy i zapewne potęgował wrażenie, że oto siedzi i czeka stateczny, pełen powagi — władca.

Zmrok zaczął wpełzać między posłów, gdy kanclerz ksiądz Michał Csáky zdecydował się pokazać zebranym czerwony edykt sułtański. Złamać pieczęć padyszacha czy nie? Emocje, nie pierwszy raz, przeważyły na moment nad rozumem: burza głosów żądających otwarcia przewaliła się po sali. Niech już skończy się to theatrum z obieraniem sobie pana! Na szczęście znaleźli się rozumni, którzy oprzytomnieli. Przecież złamanie pieczęci oznaczałoby poddanie się woli sułtana, sprowadzenie księcia Siedmiogrodu de facto do funkcji beja czy bejlerbeja, a Transylwanii — do rangi paszalikatu.

Niektórzy posłowie rzucili się do wyjścia, nie chcąc oglądać tragedii. To pozwoliło innym herbowym dojść do siebie. I oni odwrócili się tyłem do Csákyego. Pieczęć nie została złamana. Zbiorowy rozum — o ile taki istnieje — i zmierzch uchroniły Siedmiogród od nieszczęścia: formalnego poddania się woli sułtańskiej.

Chłodniejsza noc ostudziła też głowy rozgrzane od wytężonej całodniowej sieczki słów. Nazajutrz, 25 maja, „już bez żadnych dyskusji i sporów księciem okrzyknięto pana Stefana Batorego z wielkiego prastarego rodu, który wywodził się z Somlyó".[3] Miał wówczas trzydzieści osiem lat.

Po akcie wyboru, w złożonej przysiędze, nowy władca potwierdził, iż będzie przestrzegać testamentu Jana Zygmunta i uznaje jego darowizny, co oczywiście przysporzyło mu przyjaciół. Ponadto pokój religijny w Siedmiogrodzie i innych częściach podległych mu Węgier ma być utrzymany, a służyć temu stanowi rzeczy mają właściwe prawa: oto uroczysta deklaracja nowego księcia.

Jeszcze tego samego dnia nowy władca elekcyjny napisał również wiernopoddańczy list do cesarza. Zaczynał się on od słów: „Ego Stephanus Bathorÿ de Somlÿo, Vaÿvoda Transilvanus"[4]... Jak widać, już u progu panowania czy raczej rządzenia były kłopoty z tytułem: książę czy wojewoda?

VI. LIBER PRINCEPS ET VAŸVODA

Duży zmysł polityczny, cenna w polityce umiejętność wyczekiwania, energia i wola działania Stefana Batorego sprawiły, że początkowo w zasadzie wszystkie zainteresowane strony uczuły się zadowolone z wyników elekcji — choć oczywiście w różnym stopniu. Siedmiogrodzianie byli przekonani — była to wiara na miarę samopoczucia Batorego — iż samodzielnie wybrali niezależnego władcę. Wszak takim go właśnie obdarzyli tytułem: „liber princeps", suwerenny książę, nawiązując bez wątpienia do tytulatury Jana Zygmunta w traktacie zawartym w Spirze. Sułtan nie zwrócił uwagi na to, że jego edykt został odczytany już po akcie wyboru i uważał Batorego za lennika obranego z łaski i woli padyszacha. Fakt ten zresztą kojarzył się głównie Turkom z płaceniem haraczu i niesprzymierzaniem się z Niemcami — a Batory oczywiście gotów był im to obiecać. Prawnicze kruczki — wynalazek cywilizacji rzymskochrześcijańskiej — były na ogół obce wyznawcom Allacha, chętniej patrzącym na dukaty niż litery.

Papież ograniczył się do krótkiego listu do nie znanego mu bliżej elekta, w którym przypominał Batoremu o obowiązku szczególnej dbałości o religię katolicką. Jego list — suchy i zdawkowy — był jednak wyrazem uznania władzy pana z Somlyó w Siedmiogrodzie.

Cesarz też robił dobrą minę do nie najszczęśliwszej gry: w liście z Pragi 10 czerwca 1571 roku gratulował Batoremu wyboru, „radował się", ufał mu, chociaż — podkreślał — czynił tak, mimo docierających doń nieprzychylnych Batoremu wieści. W zamyśle Wiednia obszerna epistoła miała zapewne stanowić nadanie i określenie zakresu władzy nowego wojewody. Stało tam między innymi o prawach darowizn, sądownictwa nad czterema komitatami wchodzącymi w skład Transylwanii, komendantach twierdz, którzy mieli złożyć przysięgę na wierność Stefanowi Batoremu, uspokojeniu burzących się znów Szeklerów — nawet kosztem przywrócenia im starych przywilejów. Ponownie jednak wróciła najważniejsza kwestia — tytulatury: rzecz, która wprawdzie dziś może irytować lub śmieszyć w zależności od poczucia humoru, ale wówczas stanowiła miernik pozycji władzy,

jej niezależności, samouspokojenia i — w naszym wypadku — postępowania i zamiarów Wiednia. Otóż cesarz życzył sobie, by Batory używał również tytułu królewskiego namiestnika. A w dowód dobrych intencji Maksymilian wysyła sumę 25 tysięcy forintów, o którą elekt uprzednio prosił, jako zapomogę.

U progu rządów Stefana stało się widoczne, iż Wiedeń chce przekształcić niedawnego więźnia stanu, a teraz niepokojąco energicznego, znającego się dobrze na polityce i wojnie wojewodę w urzędnika Świętego Cesarskiego Majestatu i Jego Królewskiej Mości.

Ale Batory zdawał się już mieć nieźle przemyślany plan podróży między turecką Scyllą a austriacką Charybdą. Przykład dyplomacji Martinuzziego był pierwszą szkołą dla pana z Somlyó, choć jak pamiętamy, w młodości mierzył brata Jerzego powszechnie stosowaną, fałszywą miarą. Teraz sam rozpoczął lawirowanie od wiedeńskich wzgórz po stambulski seraj usiłując utrzymać względną niezależność Siedmiogrodu. W listach wysyłanych przez Batorego do cesarza roi się od pytań o radę, jak postępować? Co czynić, jeśli Turcy zdecydują się na takie, a nie inne kroki? Osiemnastego września 1571 roku donosi, iż sułtan żąda jak najszybszego wydania skarbu zmarłego księcia. Piętnastego października pisze o podejrzliwości Turków wobec machinacji związanych z ważną twierdzą leżącą na północno-zachodnim styku Siedmiogrodu z posiadłościami Habsburgów. Dochodzą też wieści o szykującej się wyprawie samego sułtana na królestwo węgierskie wiosną 1572 roku. Pytań było więcej — a w tym czasie Batory wykonywał zupełnie samodzielne posunięcia. Zaczął od... budowania dynastii bez zgody cesarza, wyznaczył brata Krzysztofa na swego następcę i nakazał szlachcie złożyć mu przysięgę wierności. W tym samym mniej więcej czasie pytał niewinnie Maksymiliana, co czynić?

W rzeczywistości Stefan Batory na ogół wiedział, co robić, a konsultacje były zasłoną dymną, wybiegiem dyplomatycznym: spoza okrągłych zdań adresowanych do cesarza przebijała nieprzyjemna dla Wiednia prawda, iż nie tylko Święty Majestat rości sobie prawa do zwierzchnictwa nad Siedmiogrodem. Markując strach i uległość wobec Turcji wojewoda Stefan odnosił niemiłe cesarstwu sukcesy:

na przykład w marcu 1572 roku dostał „szczere poparcie" sułtana Selima II z przypomnieniem, że padyszach oddał mu Siedmiogród w taki sposób, „w jaki posiadł go król Jan".[1] Zaraz potem Batory 23 marca wysłał list do Wiednia z prośbą o zaopiniowanie dwóch pism sułtańskich. Poczynania te, umiejętność wywoływania podtekstów w prowadzonej grze, bez konieczności bezpośredniego narażania się, przynoszą nie najgorszy skutek. W rzeczywistości bowiem prowadzone konsultacje, okraszane przypomnieniem o cieniu tureckich szabel, pozwalały wojewodzie prowadzić własną politykę: sułtan, w zgodzie z tradycją, odmiennie niż Habsburgowie, nie wtrącał się zanadto w sprawy wewnętrzne, nie przywiązując wagi do detali nie związanych ze złotem i siłą Austrii. W wielu innych kwestiach Stefan z Somlyó mógł rzeczywiście robić nieomal to, co chciał.

Być może, jak sądzą niektórzy historycy, Batory wyczuł „ducha czasów". Zrozumiał, że pokój w Adrianopolu, zawarty w 1568 roku, oznacza zahamowanie gwałtownej ekspansji tureckiej w Europie. Potwierdziła to przegrana przez mahometan bitwa morska pod Lepanto w październiku 1571 roku, o czym Batory natychmiast zawiadomił cesarza. Poczynania Habsburgów z kolei wskazywały, iż nie mają oni prawdziwej chęci na zorganizowanie krucjaty antyislamskiej, którą niegdyś tak starannie planował Maksymilian I, i oswobodzenie Węgier. Budowali tylko ozdobny ołtarz dla Madziarów, by klęknęło przed nim jak najwięcej dumnych, zmylonych słowami o wspólnocie chrześcijańskiej, blaskiem potęgi magnatów węgierskich. W tych warunkach „wybijanie się" Węgrów na niepodległość byłoby czystym szaleństwem; Batoremu szło zatem o utrzymanie resztek samodzielności Siedmiogrodu jako ostoi węgierskości. Nie poprzez oparcie się Turcji, niezmordowanej w szerzeniu prawdziwej wiary szablami i powrozami, ani nie w poddaniu się woli cesarza i króla jako jego urzędnik. „Ostanie się nas samych" — to wydaje się główną dewizą nowego władcy Siedmiogrodu, której był wierny od 1562 roku.

Oczywiście dyplomacja habsburska, mądra i doświadczona, nie po to była tak troskliwie i systematycznie rozbudowywana, by przegrywać walkę o wpływy: jak widzieliśmy, na papierowych układach pod-

partych orężem potrafiła ona, jak bodaj żadna inna, budować znakomicie potęgę dynastii. Grę Batorego, budzącą jej niepokój, przejrzała szybko. Dowodem było stosowanie przez Wiedeń zasady divide et impera poprzez wypchnięcie na schody władzy niedawnego pupila Jana Zygmunta, głównego inspiratora wygodnego dla Habsburgów układu w Spirze, Kaspra Bekiesza.

Aby protegowany Habsburgów miał dogodny punkt oparcia dla swych działań, cesarz pomógł Bekieszowi w zatrzymaniu bardzo ważnego granicznego zamku Huszt. Z tą twierdzą była nieco zawikłana historia: Jan Zygmunt w testamencie nadał ją ze skarbu królewskiego Michałowi Csákyemu i Krzysztofowi Hagymássyemu w zastaw za 30 tysięcy forintów. Huszt strzegł granicy Siedmiogrodu przed Habsburgami i doskonale nadawał się do roli, jaką wyznaczał mu cesarz i Bekiesz w akcjach przeciwko Batoremu. Nowy władca jednak mógł szybko pozbyć się problemu, zwracając owe 30 tysięcy zastawu. Nic zatem dziwnego, że Bekiesz, skaptowawszy kanclerza Csákyego i Hagymássyego, postarał się u cesarza o wyjęcie twierdzy spod jurysdykcji Batorego i oddanie jej pod zwierzchność króla węgierskiego, czyli Maksymiliana. Bekiesz dzierżył również drugi, chroniony dokoła wodami zamek w Fogaras przy południowo-wschodniej granicy z przylegającymi doń latyfundiami; niedaleko były ziemie skłonnych do buntów Szeklerów. To były solidne, dobrze położone twierdze — i miał się kogo obawiać liber princeps.

Antagonista Batorego zamierzał podburzyć przeciwko niemu Szeklerów. Nie musiał się zbytnio trudzić. Już w sierpniu 1571 roku Stefan Batory musiał ukarać tych Szeklerów, którzy nie chcieli podporządkować się jego rozkazom. W banie (okręgu) Csik w październiku tegoż roku wybuchło powstanie, którego główną przyczyną były pieniądze. Nowy władca Siedmiogrodu potrzebował ich bardzo i dlatego nie chciał, może nie mógł, zwolnić Szeklerów od wysokich podatków. Bunt nie zdołał jednak zagrozić władzy Batorego, gdyż ten — po zasięgnięciu, jakżeby inaczej, rady cesarza — stłumił powstanie metodą opanowaną dobrze już przez Jana Zygmunta. Gdy nie poskutkowały rozmowy, nawoływania i wyższe racje, Batory wysłał przeciwko chłopom szeklerskim żołnierzy o wyższej randze w hierar-

chii Szeklerów, którzy służyli w wojsku na własnych koniach, zwanych lófö. Bogatsi Szeklerzy pobili wprawdzie biedniejszych, a więc słabszych, ale oczywiście nie mogło to zagoić rany wewnątrz Siedmiogrodu, która jeszcze nieraz będzie się otwierać.

Jak jednak wyprzeć niebezpiecznego Bekiesza z Huszt i Fogaras bez narażania się na konflikt zbrojny? — to stało się jednym z głównych pytań w polityce wewnętrznej Stefana Batorego. Rozpoczął on od akcji propagandowej, wskazując na zatrzymanie przez kanclerza Csákyego skarbów pozostałych po Janie Zygmuncie, a nade wszystko na dwuznaczne zamiary Bekiesza oddania Husztu Habsburgom. Tym samym wywołał nie tylko oburzenie szlachty siedmiogrodzkiej, ale i zainteresowanie sułtana, zawsze czujnego wobec niemieckich zamiarów. W rezultacie tych działań Batorego padyszach w uroczystym piśmie oddał twierdzę na rzecz skarbu siedmiogrodzkiego, a sejm, który się zebrał pod bacznym okiem tureckich czauszów, głośno zażądał zwrotu Husztu i pieniędzy zmarłego „króla wybranego".

W ten sposób Stefan Batory dostał nowy oręż do ręki: poparcie narodu szlacheckiego żądającego zwrotu Husztu. Oto legitymacja roszczeń siedmiogrodzkiego władcy. Oczywiście cesarz i jego doradcy domyślali się, że jest to pomysłowa gra uwiarygodniająca działalność wojewody. Ba, sam Batory występował jako moderator gniewu ludu, uspokajając szlachtę, iż nie ma pieniędzy na wykupienie Husztu, więc na razie nie ma potrzeby głośno o tym krzyczeć. W takie tony uderzał w korespondencji z cesarzem. Gdy ten z kolei czynił wymówki wojewodzie, że pozwala się tytułować księciem i bez zgody Świętego Majestatu mianował Krzysztofa Batorego swym następcą, Stefan zawsze mógł zasłonić się tarczą lub raczej szerokim mieczem tureckiego zagrożenia.

Nie zawsze był to dobry puklerz czy też kord. Przegrana przez Turków w październiku 1571 roku bitwa morska pod Lepanto uskrzydliła Bekiesza. Jął on namawiać starostę Koszyc, Jana Ruebera, na wyprawę do Siedmiogrodu. Starosta był jednak lojalny wobec swego króla, a ten z kolei wcale nie był skłonny bić się z Batorym, ryzykując mimo chwilowej klęski tureckiej nowe zderzenie z jej potęgą. Tym bardziej że wojewoda 18 lutego 1572 roku poinformował

go o wizycie czausza i liście od Porty w sprawie wypełnienia testamentu Jana Zygmunta i skarbu po nim, na który czekał padyszach. Batory w tym liście znów prosił o radę, jednocześnie niewinnie donosząc cesarzowi, iż wdowa po bracie Stefana, Andrzeju, niegdyś dzierżącym zamek Fogaras, zatem wdowa Małgorzata Majlát wytoczyła proces o odzyskanie twierdzy i latyfundiów na mocy prawa spadkowego...

Był to następny krok w przygotowaniach do wyrzucenia Bekiesza z ważnego zamku. Trudno też uznać za przypadek, że akurat w tym liście Batory narzekał, iż jest otoczony murem arian — Bekiesz był właśnie antytrynitariuszem — co miało jeszcze raz uświadomić Maksymilianowi II, kogo popiera. „Ja jednak, ponieważ zawsze byłem w objęciach wiary katolickiej, nie zechciałem oddalić się od niej" — napisał Batory.[2] Nie był to najlepszy adres, gdyż cesarz znany był z chwiejności w sprawach wyznaniowych, a żonaty ksiądz w Wiedniu — to zjawisko podówczas nieomal powszechne. Wojewoda prosił zatem Habsburga o przysłanie księdza „głębokiej wiary" do opieki nad nielicznymi duszami katolickimi. Pikanterii tej prośbie dodawał fakt, iż z podobną sprawą zwracał się wojewoda do biskupa Esztergomu Andrzeja Mindszentiego, od którego, pisał Batory, „odpowiedzi dotąd nie otrzymałem".

Zabiegi Stefana, usiłującego nie dopuścić do procesu, sprawiały, że musiał on zdwoić wysiłki w pisaniu listów — nie tyle do Maksymiliana, ile do ludzi z jego otoczenia. Znamy między innymi jego pismo wysłane 18 lutego, z Gyulafehérváru, do biskupa Györu Jana Lisztlhyego, w którym wyraźnie przebija zmysł dyplomatyczny Batorego połączony z jego zasadami. Oto skarży się bliskiemu doradcy cesarza, niedługo już kanclerzowi, iż ma starych wrogów. Jedni bowiem uważają go za Niemca, ponieważ rzekomo poprzysiągł wierność Maksymilianowi będąc w wiedeńskim areszcie, inni — za zwolennika Turków. A przecież on wysłał prezent do Stambułu nie z sympatii dla islamu, ale dla spokoju i dobra kraju. Z tego też powodu pozwala się tytułować przez poddanych księciem. Zawsze ma przed oczami interes państwa i w takich wypadkach nie liczy się z kosztami, nawet z własnej szkatuły. Wobec cesarza „pilnuje się" w słowach; ale

przykro mu, że jego, Batorego, dobre imię jest w Wiedniu tak nadszarpnięte. I kto to czyni? Bezwzględni oszczercy, którzy są zdolni nawet — tu oskarżycielski palec wymierzył znów w Bekiesza — do pozbawienia Chrystusa jego boskości. Dlatego, jeśli Jego Eminencja usłyszy w komnatach dworskich, iż ci oszczercy poniewierają dobre imię Batorych z Somlyó i podają w wątpliwość ich dobre intencje, zechce to sprostować.

List pisany był po węgiersku, co wydaje się celowym zabiegiem Batorego: nie tylko, jak się okaże, uderzaniem w patriotyczną strunę. Oto w dwa i pół tygodnia później biskup Liszthy zawiadomił — również po węgiersku, z Pozsony — wojewodę, iż przetłumaczył jego pismo na łacinę i przesłał je cesarzowi ze stosownymi wyjaśnieniami. Biskup zapewniał, iż Maksymilian jest Stefanowi Batoremu przychylny i „nie słucha tych, którzy go oskarżają".[3]

Biskup mylił się, i to bardzo: gdy rozochocony Batory zaczął myśleć o sakralizacji władzy i dynastii poprzez podjęcie prób skoligacenia się z Habsburgami, otrzymał ochładzającą go reprymendę. W odpowiedzi na jego prośbę, cesarz wzgardliwie odpisał, iż wojewoda nie dostanie ręki arcyksiężniczki austriackiej, gdyż „Somlyó nie jest miejscem godnym krwi królewskiej".[4] Zabolało to ambitnego Batorego: uświadomił Maksymilianowi, iż z woli padyszacha posiadł tytuł księcia dziedzicznego dla swojej rodziny.

Spór zaogniał się, oparty na solidnym fundamencie niechęci z obu stron. Z jednego tylko Batory mógł się cieszyć szczerze: panował na dworze, na którym nie było starej magnaterii, a więc klik, stronnictw i innych koterii czy płynnych grup nacisku, tak charakterystycznych dla wielkich dworów europejskich. Zastąpiła je szlachta siedmiogrodzka, daleka od wielkich pretensji do sięgania po władzę najwyższą, z rodów Kendich, Apafiów, Banffyów. Także przybyli z Węgier habsburskich rozczarowani do Maksymiliana magnaci, niedawno spiskujący przeciw cesarzowi na czele ze Stefanem Dobó, nie wykazywali większej chęci podważania pozycji Batorego. Może dlatego że w Siedmiogrodzie uzyskali wielkie urzędy i apanaże: kanclerzem po kontrowersyjnym Michale Csákym został Franciszek Forgách, sekretarzem, a rychło i podkanclerzym księcia stał się równie światły wychowanek Padwy, Marcin Berzeviczy, wodzem armii — Władysław Gyulafi. Nagrodą dla wiernych była ziemia, którą Stefan hojną ręką rozdawał.

Jakim władcą był Batory? Już samo otaczanie się ludźmi wybranymi podług miary mądrości, wiedzy, znajomości rzeczy lub odwagi, a nie urodzenia było novum w sprawowaniu władzy. Aby stworzyć armię z prawdziwego zdarzenia, rozdawał hojnie szlachectwo, w zamian żądając wiernej służby wojskowej. Na zaciągi cudzoziemskie Batory nie miał pieniędzy: 300 tysięcy forintów stałego dochodu księcia stanowiło jedną piątą dochodu Habsburgów, którzy przecież wiecznie borykali się z kłopotami finansowymi. Armię uzupełniał zatem Szeklerami, pogłębiając przy okazji wewnętrzne nierówności wśród nich.

Stefan Batory wyraźnie dążył do centralizacji i wzmocnienia władzy poprzez zestawienie rządów silnej ręki z oświeconym rozumem. Te dwie sfery trudno jednak pogodzić. Z jednej strony Batory spraszał intelektualistów na dwór siedmiogrodzki, na przykład historyka Michała Jana Bruta, klepiącego biedę w Lyonie, na co ów, widząc sponsora z pieniędzmi, przydał od razu tytulaturze księcia nowego blasku nazywając go w liście „princeps illustrissime atque augustissime".[5] Oczywiście Bruto, niespokojne dziecko epoki, nie wymawiał się, gdy „książę znakomity i majestatyczny" zaprosił go, by napisał historię Siedmiogrodu pod mecenatem i za pieniądze księcia. Okoliczności tworzenia dzieł pod opieką Batorego poznamy później. Ale też trzeba tu dodać, że dwór Batorego był w ogóle dość wyjątkowy na tle dusznej atmosfery intryg i alkowy, przenikającej inne ośrodki władzy: panował tam szacunek dla wiedzy, a wysyłanie Węgrów na uniwersytety zagraniczne było kolejnym dowodem estymy księcia dla intelektu. To była ta jedna, błyszcząca strona. Druga jednak jawi nam się znacznie mroczniej: niedługo po osiągnięciu władzy Batory zakazał drukowania jakichkolwiek pism i książek o treści religijnej „sine nostra annuentia et consensu"[6], bez jego pozwolenia. Wprawdzie było to rozporządzenie mające godzić w główną drukarnię arian w Kolozsvárze, oficynie Heltaiego, ale przy okazji Batory wykonywał pierwszy planowy krok w podporządkowaniu sobie umy-

słów. Wiedza — tak, ale na użytek i potrzeby państwa; historia — tak, ale wygodna, gloryfikująca, stworzona pod patronatem księcia, a nie dla podburzania ludu krytycznym wobec władzy słowem drukowanym. Nie ma się czemu dziwić: takie utylitarne pojmowanie wiedzy poprzez blokowanie przepływu prawd niewygodnych było jednym z niezmiennych, choć bardzo brzydkich cech władzy mającej pieniądze i siłę. Notabene, która też stale popełniała ten sam błąd zapominając, że oprócz druku istnieją ludzkie usta, uszy, a w ostateczności inne znaki — i one bodaj silniej urabiają ludzką świadomość niż osławione zakazy. W przypadku dekretu Batorego prewencja rozpowszechniania dzieł religijnych rzekomo dla utrzymania pokoju wyznaniowego, zaowocowała rozkwitem literatury świeckiej, nie wymagającej ocenzurowania. Energia twórcza musiała gdzieś znaleźć ujście i znalazła.

Był też Batory, jak wspomnieliśmy, władcą tolerancyjnym z konieczności, a nie świadomego wyboru. W prowadzonej przezeń korespondencji znajdujemy listy wskazujące, jak usilnie dążył do zwalczania arianizmu, którego radykalny odłam był niebezpieczny z punktu widzenia interesów silnej władzy; jak mocno dążył do restytucji katolicyzmu w Siedmiogrodzie. Batory korespondował na przykład z prowincjałem Towarzystwa Jezusowego z Wiednia, Wawrzyńcem Maggią, prosząc go o przysłanie do Transylwanii jezuity Stefana Szánta (Aratora), który rozpocząłby akcję wypierania wyznań reformowanych; 27 marca domaga się dwunastu jezuitów do Gyulafehérváru, w tym „dwóch lub trzech poważnych wiekiem i nauką".[7] Złudne zresztą były to nadzieje wobec przywiązania Węgrów, Sasów, Szeklerów do wyznań protestanckich, a wieśniaków rumuńskich do Kościoła grecko-wschodniego. Książę przyczynił się też do powstania ustawy ograniczającej reformację i na jej podstawie zmusił do opuszczenia Siedmiogrodu, w 1572 roku, radykalnych arian wywodzących się w znacznej mierze z emigrantów włoskich. Ich przywódcę, Franciszka Dávida, polecił uwięzić. Pikanterii temu wykorzenianiu radykalnego odłamu arian dodawał fakt, iż w znacznej mierze czynione to było rękoma umiarkowanych arian, między innymi lekarza Jerzego Blandraty. Książę hamował również rozprzestrzenianie

się kalwinizmu wśród Sasów siedmiogrodzkich, choć jednocześnie z dwojga złego wolał, by arianie byli nawracani przez kalwinistów. Brakowało bowiem nie tylko księży. „Dbaj więc, by biskupstwo tym sposobem zostało przywrócone"[8] — nakazywał Batoremu papież Grzegorz XIII, bo i biskupa nie stało w Siedmiogrodzie. Potem Stefan będzie się skarżyć, że zasady wiary katolickiej przypominał mu jakiś tajemniczy mnich, Juliusz Alba(?), zaszyty gdzieś w lasach, do którego Batory skrycie jeździł. Walka o restytucję katolicyzmu w Siedmiogrodzie przypominała zatem walkę z wiatrakami; mimo to Batory, z wiarą w siłę papiestwa, usiłował przywrócić katolicyzmowi znaczenie wśród węgierskich gór i nad Cisą. Stąd też ponawiane wobec Grzegorza XIII wyznanie przywiązania do religii katolickiej, wysłanie do Rzymu sekretarza Marcina Berzeviczyego etc.

Mimo to Batory był bezradny wobec istnienia pięciu wyznań w jego małym państwie; wyrachowane umiłowanie katolicyzmu na szczęście nie wpłynęło na zdecydowaną chęć antagonizowania odłamów wyznaniowych. Osiągnęły one stan równowagi religijnej, co przyszłym pokoleniom pozwoli szerzyć dziwną prawdę o bezinteresownej tolerancji naszego Stefana. W rzeczywistości ukochanie przez Batorego Kościoła katolickiego miało wymiar nie tylko transcendentalny, ale całkiem przyziemny, a wymuszona przez stan rzeczy tolerancja służyła de facto wzmocnieniu władzy księcia i jego urzędników. Batoremu potrzebna była potężna opoka, instytucja, na której mógłby się oprzeć: Kościół. Podobnemu celowi służyło trzymanie twardą ręką wiecznych wędrowców — Cyganów — od których Batory nakazywał bezwzględnie egzekwować podatki (rozkaz z 8 czerwca 1572 roku).

Nie były to działania przypadkowe, lecz głęboko przemyślane. Do wniosku takiego upoważniają późniejsze czyny i posunięcia Batorego. Pomysły dotyczące silnej władzy, roli Kościoła, cenzury, wojska etc. będzie się starał Stefan rozwijać konsekwentnie już jako król.

Wróćmy jednak do wydarzeń związanych z Bekieszem i zaognienia sporu wojewody z cesarzem. W marcu 1572 roku Stefan zaczął domagać się ukarania żołnierzy cesarskich z Tokaju i Szatmáru, którzy złupili Debreczyn. We wrześniu zbrojni Batorego aresztowali

dwóch wołoskich gońców wracających ze Stambułu — byli to posłowie Bekiesza usiłujący pozyskać Portę dla sprawy i ambicji tego magnata. Pretekstem do zatrzymania posłów był brak paszportu. O tym wszystkim wojewoda powiadamiał cesarza, jak i o żądaniach czausza Ahmeta wydania tysiąca kwintali prochu strzelniczego dla załogi tureckiej w Temesvárze — nie licząc pancerza, czterech koni pociągowych i pozłacanego szyszaka dla samego posła padyszacha.

Ale cesarz zagrożeniem tureckim, uzmysławianym mu może zbyt często przez Batorego, nie przejął się zbytnio: jeśli Wysoka Porta jego, wojewodę Stefana, wezwie, niech wytłumaczy się, że Siedmiogrodu opuścić nie może, z powodu zagrożenia ze strony „consanguineorum et amicorum clientela" [9], krewnych i ich przyjaciół, a prochu strzelniczego odmówi, zasłaniając się po prostu jego brakiem. W zamian niech pośle Turkom z Temesváru żywność.

Batory wprawdzie dziękował cesarzowi uniżenie za wspaniałe i życzliwe rady, ale kroplą przelewającą ów dzban skwaśniałego wina otrzymywanego od Świętego Majestatu była decyzja cesarza w sprawie toczącego się procesu o zamek w Fogaras. Maksymilian stanął po stronie Bekiesza i przerwał proces, nadając twierdzę swemu adherentowi. W odpowiedzi książę, by nie utracić autorytetu przed poddanymi, ujawnił krętactwa Bekiesza pozyskującego serca i uzbrojone ręce Szeklerów przeciw wybranemu przez sejm siedmiogrodzki władcy. Skąd Kacper Bekiesz miał na to pieniądze? Odpowiedź nie była trudna. Od cesarza.

Trzeciego października 1573 roku Batory przestrzegał cesarskiego komendanta Szatmáru, Krzysztofa Teuffenbacha, że stracił cierpliwość wobec „wroga ojczyzny" Bekiesza, usiłującego rozerwać państwo, i dlatego zmuszony jest wystąpić zbrojnie, by unicestwić jego machinacje. Wprawdzie powiadomił również o tym cesarza, ale rad by usłyszeć także ocenę komendanta Szatmáru. Po tym krótkim dyplomatycznym przygotowaniu ruszył pod Fogaras, obległ twierdzę z takim zdecydowaniem i siłą, że Bekiesz z niej uciekł. Zatrzymał się dopiero w Koszycach u generalnego starosty cesarskiego Jana Ruebera. Niedługo potem, wystraszony demonstracją siły Krzysztofa Hagymássyego, zrzekł się Husztu. Kanclerz Michał Csáky zmarł przedtem: Bekiesz bardzo szybko stracił ważne punkty oparcia, skąd spiskował przeciw Batoremu.

Z Koszyc Bekiesz popędził do Wiednia. Tutaj jednak nie okazano mu ani współczucia, ani co gorsza poparcia, jakiego oczekiwał: któż lubi przegranych? Bekiesz pchnął zatem swych ludzi do Stambułu, tam próbując zyskać zwolenników. Cena, jaką obiecywał zapłacić Wysokiej Porcie, była wysoka: znacznie wyższy haracz i oddanie Turcji kilku zamków siedmiogrodzkich.

Ale Batory już uprzednio pojął, że punkt ciężkości rozgrywek znów przesuwa się z Wiednia nad Bosfor. Zdaje się, że jeszcze przed rozpoczęciem akcji zbrojnej przeciw Bekieszowi wysłał w październiku „daninę państwową" ze słowami wierności dla sułtana, prosząc jednocześnie, by Selim II nie dawał wiary zapewnieniom „zdrajcy Kaspra Bekiesza", który chce w Siedmiogrodzie rozniecić wojnę.[10] Na dowód tego niecnego zamiaru Batory przekazał padyszachowi listy przejęte od gońców niepoprawnego magnata. Turcy wykorzystali sytuację na swój sposób, podnosząc podatek roczny, który już za następcy Selima II wzrósł do 5 tysięcy złotych forintów.

Cesarz również nie zamierzał umilać życia zbyt samodzielnemu Batoremu: w maju 1574 roku przesłał przez Gabriela Csákyego list do Gyulafehérváru nakazując wojewodzie oddać Huszt spadkobiercom zmarłego kanclerza Michała Csákyego. Batory skarżył się Baltazarowi Bornemissie z Kapolna, iż Maksymilian rozkazał mu to uczynić w ciągu siedemdziesięciu dni. Książę zatem starał się odwrócić uwagę Wiednia od sprawy Husztu, informując o konflikcie między Siedmiogrodem a Mołdawią, tureckich przygotowaniach, matactwach wysłannika Bekiesza do Siedmiogrodu, również arianina, Jana Trombitasa. Poparł też budowę fortyfikacji dworu leżącego niedaleko Husztu przez starostę Kaspra Kornisa. Na interwencję oburzonego tym cesarza odpowiedział, że nowy zamek, obsadzony drabami, powstał dla obrony przed partią Bekiesza.

Ale spór o Huszt był już wtedy sprawą drugorzędną, gdyż Batory zaczął wypływać na dużo szersze wody. Miało to związek z ucieczką niedawno obranego przez Polaków i Litwinów króla. Gra prowadzona przez Batorego wobec Wiednia nieoczekiwanie wyszła z zaścian-

ka siedmiogrodzkiego na wielki teatr europejski: szło o koronę polską. „Fidelis servitor", wierny sługa Świętego Majestatu Cesarskiego, jak zwykł Batory podpisywać listy wysyłane do Wiednia czy Pragi, przeistoczył się w konkurenta cesarza: najpierw wręcz śmieszącego swymi poczynaniami radców dworskich, a potem...

Tak, w Wiedniu szybko zrozumiano, że czas słów minął i należy się jak najszybciej pozbyć ambitnego, konsekwentnego i niewygodnego wojewody, który mimo wyrzutów i przestróg cesarza nadal pozwalał się tytułować księciem niezależnym — liber princeps — a wydaje mu się to wcale nie wystarczać. Bekiesz wciąż pukał do cesarskich drzwi wiedeńskiego Burgu: otworzono mu je, wybaczając konszachty z Turkami i podejrzane wyznanie. W początkach lata 1575 roku starosta Rueber dostał od cesarza pismo, nakazujące pomóc Bekieszowi (broń Boże ostentacyjnie) w uderzeniu na Siedmiogród.

W drugiej połowie czerwca Batory już wiedział o pobycie Bekiesza w Koszycach i jego planach. Książę rozpoczął przeciwdziałanie w charakterystyczny sposób: od uświadomienia poddanym celów wojny i zebrania ich hasłem „bądźcie wierni i gotowi".[11] Marsz oddziałów zaciężnych i szlachty węgierskiej pod Bekieszem zaskoczył go jednak nieco. Na szczęście Gyulafehérvár leżał w głębi Siedmiogrodu, przedzielony od Koszyc i Szatmáru górzystym terenem, a Bekiesz nieoczekiwanie — o tym niżej — obrał inną, niż się spodziewano, dłuższą drogę przemarszu. Początkowo wcale nie było rzeczą pewną, czy osobistości cieszące się autorytetem w podzielonym przecież Siedmiogrodzie staną za Batorym, a jego krótkie czteroletnie rządy przejdą na karty dziejów jako mało znaczący epizod. Szlachta oglądała się na Hagymássyego, spoglądano na Turków. Hagymássy, niedawny „pan testamentowy" i współrządca Husztu, po niedługim wahaniu stanął jednak za Batorym. Symbolicznego wsparcia nielicznymi janczarami i spahisami udzielił sułtan. Wtedy dopiero szerszą strugą wlała się do obozu księcia szlachta i Sasi siedmiogrodzcy.

Ale Bekiesz chciał mieć za sobą nie tylko zaciężnych najętych za pieniądze Habsburgów i części szlachty. Mania czy raczej konieczność społecznego poparcia już wtedy prześladowała kandydatów do władzy, więc i Bekiesz kaptował Szeklerów. Ci, zrażeni niefortunną

polityką Batorego wobec Szeklerów, skłaniali się na stronę Bekiesza, który obiecywał im, najszczerzej jak umiał, przywrócenie dawnych przywilejów.

Jednak właśnie wiara w pomoc szeklerską stała się podstawowym błędem Bekiesza. Mimo że posiadał siły zdolne zgnieść nie przygotowanego Batorego, zamiast iść szybko na południe, w kierunku Gyulafehérváru, parł na wschód, w stronę Szeklerów. Książę ruszył za nim w pościg, usiłując nie dopuścić do połączenia się tych sił. Był zadziwiająco opanowany lub pewny swego. Oto w trakcie działań wojennych mogących go kosztować utratę siedmiogrodzkiej mitry znajduje czas, by napisać uprzejmy list do Antoniego Mészárosa z prośbą o przysłanie złotych monet Lizymacha, aby mógł je spokojnie porównać ze swoimi zbiorami. Było to 22 czerwca 1575 roku.[12] W kilkanaście dni później dopadł Bekiesza nad rzeką Maros, koło Szentpál (Kereloszentpál, Castellum, Sancti Pauli). Tutaj zmusił 10 lipca 1575 roku Bekiesza do przyjęcia bitwy.

Walka była zacięta, krwawa i początkowo szala zwycięstwa nie mogła przechylić się na żadną ze stron. Dopiero atak hetmana siedmiogrodzkiego Władysława Gyulafyego i celny ogień artylerii Batorego rozrzucił zwarte dotąd szyki Bekieszowe. Ich odwrót, a potem ucieczka były tragiczne, gdyż część rot Bekiesza podczas ataku miała za plecami rzekę. Uciekając wpadali w toń, tam znajdując wieczne wybawienie.

Nie było to starcie dwóch potęg — ot, bitwa, jakich, wydawałoby się, w tych gorących czasach wiele. A jednak jej znaczenie wybiegało daleko poza Siedmiogród. Europa już wiedziała, że w rzeczywistości jest to poważny konflikt cesarza Maksymiliana II z jego ex nomine poddanym, a ceną zwycięstwa być może — korona.

Batory bowiem nie zaniedbał rozgłosić zaraz po bitwie wszem i wobec, kto w rzeczywistości wywołał wojnę. Następnego dnia z taboru koło Nyulas wydał Grzegorzowi Apafiemu rozkaz skonfiskowania wszystkich majętności i skarbów Bekiesza. Miał wreszcie pieniądze i mógł na nie łowić swą wielką niepowtarzalną szansę. Dwunastego lipca wystosował do polskiego wojewody podolskiego Mikołaja Mieleckiego list, ujawniając podstępne knowania cesarza dążącego

do uniemożliwienia Batoremu starań o koronę polską. Adresat okazał się nie najfortunniejszy: już niezadługo wyjdzie na jaw, że Mielecki zbyt był wpatrzony w cesarskie słońce, oczywiście „pro patria", by dać wiarę słowom wyraźnie przezeń nie lubianego wojewody siedmiogrodzkiego. Ale wieść o wiktorii Stefana nad Biekieszem popędziła z Podola szybko w głąb Polski, na podwarszawskie błonie.

Oczywiście po zwycięstwie pewność Batorego wzrosła: staroście Rueberowi zarzucił kłamliwość w wyrażanej przezeń dobrej woli wobec władcy Siedmiogrodu, która tak naprawdę polegała na udzieleniu bezpośredniej pomocy Bekieszowi. Groźnie brzmiały końcowe słowa listu o żołnierzach ambitnego magnata uciekających spod Szentpál, których część „przez nas została doścignięta, schwytana i ścięta".[13] Batory rzeczywiście zachował się niesłychanie okrutnie, nakazując powiesić na polu walki sześciu dowódców swego rywala. Na dodatek nie było to podyktowane ani emocjami, ani swoiście pojmowaną racją stanu: potem Stefan wpłynie na sejm siedmiogrodzki, by skazał na śmierć dziewięciu możnych szlachciców stojących za Bekieszem i wielu nieszczęsnych Szeklerów. Ci, którzy umknęli spod topora czy szubienicy, a brali udział w wyprawie przeciw księciu, mieli być pozbawieni uszu bądź nosów: szło o przestrogę i spokój w państwie.

Nie pomogły interwencje skazanych możnych u cesarza; sejm siedmiogrodzki odrzucił roszczenia Maksymiliana do zwierzchnictwa nad ich państwem. Wyroki wykonano. Miarą konfuzji cesarza może być fakt, że jeszcze przedtem, z Pragi czeskiej, tłumaczył się Batoremu, iż o planach wtargnięcia nie był wcześniej poinformowany, a w ogóle to starał się wpływać łagodząco na „niegodnego Bekessiusa"...[14]

Stefan Batory jednak i zainteresowany nim świat wiedział swoje: tułaczka opuszczonego przez wszystkich Bekiesza, a nade wszystko wzmacnianie sił Ruebera w Koszycach przez cesarza, a pogranicznych terenów starosty maramaroskiego Kaspra Kornisa wokół Husztu przez księcia świadczyło o obawach stron i stopniu wzajemnej nieufności. Zresztą zabiegi te nie miały już większego znaczenia, gdyż konflikt nabrał szerszych rozmiarów i wywędrował z gór siedmiogrodzkich przez przełęcze karpackie na zieloną nizinę polską.

Część druga

DROGA NA WAWEL

I. INTERREGNUM

W czasach gdy Stefan Batory musiał wytężać siły, by utrzymać mitrę książęcą na skroniach, roztropnością, mieczem i okrucieństwem chronić niezależność Siedmiogrodu, w sąsiedniej Rzeczypospolitej Polskiej ważkie wydarzenia zdawały się przyspieszać nieunikniony bieg losu. Siedmiogród od czasów Jana Zapolyi i wcześniej patrzył tęsknie na potężną pod dynastią Jagiellonów Polskę, widząc tam wielkiego i naturalnego sojusznika, na którym można się oprzeć w obronie przed mądrą polityką Habsburgów. Była to miłość różnie odwzajemniana przez obu ostatnich Jagiellonów. „Króla narodowego" Jana Zapolyę gościł na swym dworze Jan Tarnowski, jeden z pierwszych wielkich w poczcie hetmanów koronnych, dano też Węgrowi, jak wiemy, za żonę Jagiellonkę, wprowadzając go tym samym do wielkiej rodziny monarchów, jego syn wychowywał się na dworze królowej Bony. Ale z drugiej strony pamiętamy, że ostatni Jagiellonowie nie chcieli nadmiernie osłabiać Habsburgów, obawiając się, by „antemurale christianitatis", muru chroniącego Europę przed Turkami, nie musiały utworzyć polskie tarcze i miecze nad Dniestrem, na zboczach Karpat i na Śląsku. W rezultacie nie wygrywali karty węgierskiej, oddawali atuty dynastyczne, pełniąc co najwyżej funkcję mediatora między stronami i nie dając się wciągać w sprawy węgierskie. Z punktu widzenia interesów polskich chyba słusznie — wszak było to ogromne pole starć nie tylko Węgrów z Niemcami, ale

i z Turkami, których w Koronie Polskiej od przegranej bitwy pod Warną i tragicznej śmierci króla Władysława III po prostu się bano. Choć z różnym nasileniem — był to kompleks Polaków, porównywany z niedawnym wschodnim.

Fatalizm tej sytuacji skazywał zatem Jagiellonów na dość biernych obserwatorów wzrostu potęgi domu austriackiego. Przykład królowej Bony zwalczającej wpływy Habsburgów odstawał od działań ostatnich Jagiellonów, a szczególnie Zygmunta Starego, któremu były obce makiawelistyczne intrygi. Nie umieli bądź nie chcieli czynić polityki ani na miarę skutecznych metod Habsburgów, ani pobożnych życzeń i próśb swego krewnego węgierskiego, Jana Zygmunta.

Chłodne racje polityczne nie przeszkadzały jednak w ukorzenieniu się trwałych i dobrych związków emocjonalnych między szlachtą polską a herbowymi węgierskimi. Unie personalne obu krajów, liczne kontakty, przyjaźnie, koligacje, zbliżone racje stanu i mentalność wyrażająca się choćby w czupurności (Węgrzy przewyższali jednak rycerskich Polaków w skłonności do bijatyk, zobaczymy to później) i zamiłowanie do wspaniałych mocnych węgierskich win pieczętowały związek obu kultur i ludzi. Podczas upadku Węgier Kraków stał się centrum kultury madziarskiej. Już w końcu XV wieku studenci węgierscy stanowili jedną czwartą żaków krakowskich, wnosząc ożywienie nie tylko umysłowe. W Krakowie, u Hieronima Wietora, powstała w 1527 roku pierwsza drukowana książka węgierska. Wielu znanych pisarzy i osobistości (prymas Tomasz Bakócz, Piotr Bornemissa, Jan Honter) studiowało w podwawelskiej Alma Mater. Uderzające było podobieństwo architektury obu krajów, wskazujące na silne przenikanie i symbiozę kulturalną Polski i Węgier. Bariera językowa wówczas nie istniała, gdyż łacina była w obu krajach bardzo rozpowszechniona, co Aleksander Brückner nie bez racji uznał za „iście fatalną" przeszkodę w rozwoju narodowych literatur.[1]

Na szczęście wyrażaniu zbyt gorącej miłości, która przy bitności obu sąsiadujących ze sobą nacji łacno przerodzić by się mogła, i niekiedy przeradzała, w zupełnie przeciwny stan emocjonalny, przeszkadzały wyniosłe Karpaty. To one miłosiernie osłoniły mit o nieskalanej wojnami przyjaźni obu narodów, skąd wyrosło przekonanie, iż Polak, Węgier to dwa bratanki i do szabli, i do szklanki, w którym zginęła prawda o silnych związkach kulturalnych. Tam jednak, gdzie między górami karpackimi były „dziury", tam właśnie niedługo wlewać się będą strugi okrutnych sabatów węgierskich, w niczym nie przypominających „bratanków". Ruś i Małopolska nieraz zapłaczą po najazdach dzikich górali siedmiogrodzkich nie ustępujących czambułom tatarskim. Ale też prawdą jest, że dużej wojny, w skali państwa, obydwa kraje do połowy XVII wieku ze sobą nie prowadziły.

W lipcu 1572 roku smutny odgłos bicia w dzwony z Tykocina przetoczył się echem przez całą Rzeczpospolitą, odbił od spiętrzonych Karpat i pofrunął do Europy, do Siedmiogrodu, do Gyulafehérváru. Wieścił śmierć króla Polski i wielkiego księcia Litwy, Zygmunta Augusta. Umarł — być może na skutek przedawkowania napoju podniecającego — ostatni potomek jednej z najświetniejszych w Europie dynastii — Jagiellonów. Monarcha, który wpłynął na trwałe przypieczętowanie unii Polski z Litwą i powstanie federacyjnej Rzeczypospolitej na mocy aktu w Lublinie zawartego w 1569 roku. „Królestwo Polski, Wielkie Księstwo Litewskie jest jedno nieróżne i nierozdzielne ciało, a także nieróżna, ale jedna spólna Rzeczpospolita, która się z dwóch państw i narodów w jeden lud i państwo zniosła i spoiła" — stwierdzano w akcie unii.[2] W praktyce początkowo różnie z ową „jednością" bywało, choć z biegiem czasu szlachta litewska spolonizuje się niemal zupełnie.

Dla Stefana Batorego śmierć ostatniego Jagiellona w Knyszynie nie mogła być sprawą obojętną. Wiedział, jak i cała oświecona Europa, że król gubiący swe siły w ramionach gromady miłośnic, który oddalił od siebie z ledwo tajoną niechęcią żonę Katarzynę Habsburżankę, gaśnie bez potomka. Choć Batory podziwiał Polskę uczuciem księcia schedy po wielkich Węgrach, kontaktując się z Polakami nie mógł nie zauważyć, iż wiele spraw w Rzeczypospolitej nie doczekało się rozwiązania. Nade wszystko — kwestia stałej, dużej armii na miarę olbrzymiego państwa i czyhających ze wschodu i z południa zagrożeń. Zwycięstwo ruchu egzekucyjnego szlachty żądającej rewizji dóbr magnackich było po części pozorne: na miejsce podupadłych po-

tęg rodowych wchodziły nowe, jeszcze bogatsze i pazerniejsze, co miało związek z przyłączeniem ziem ukrainnych do Korony Polskiej. Choć Batory widział, że Polacy „mają i cenią swą odrębność wobec narodów świata; już kochają tej odrębności najpiękniejszą perłę, wolność obywatelską"[3] — to znał niebezpieczeństwa tejże wolności bez siły i autorytetu. Wystarczył mu przykład Węgier i pojmowanie wolności przez wielu magnatów madziarskich, które prowadziło ich od Wiednia do Stambułu lub na odwrót w niskich pokłonach bądź z odważnie dobytą szablą. Z zainteresowaniem, a nawet pewną nadzieją spoglądał więc w kierunku Rzeczypospolitej.

Nadzieja księcia miała oczywiście racjonalne uzasadnienie: związana była ze sprawą elekcji, wyboru nowego króla polskiego. Wprawdzie szlachta i magnateria koronna i litewska wykazały się bardzo wysokim zmysłem politycznym zawiązując po śmierci Zygmunta Augusta, dla ochrony porządku w państwie, konfederacje zwane kapturami, odbywając mnogie zjazdy i rozsyłając na wsze strony świata poselstwa z gołąbkiem pokoju, choć szablą w pochwie, ale sprawa wyboru władcy była niepokojąca skutkiem kolejnego niedopatrzenia Zygmunta Augusta, nieuregulowania kwestii porządku elekcji jego następcy. Mimo że ustawa z 1530 roku stanowiła, iż każdy szlachetnie urodzony może wziąć udział w wyborze króla, to jednak zabrakło przepisów wykonawczych. W rezultacie najbogatsi — magnaci — dążyli do ustanowienia wyborów przez ich reprezentację, senat, co wyłączyłoby szlachtę z elekcji. Przywódcy herbowych natomiast spod znaku egzekucji dóbr żądali wyboru króla przez rozszerzony sejm.

Wewnętrzne sprzeczności, jeśli tylko nie towarzyszy im wyraźnie zła wola z obu stron, przyczyniają się do postępu. Cały szkopuł tkwił jednak w tym, iż wybory króla polskiego prowadziły nie tylko do ewentualnego starcia szlachty i magnatów, co zresztą charakteryzowało XVI-wieczną Europę pod niemal każdą szerokością geograficzną, ale do mieszania się w wewnętrzne sprawy polskie obcych sił prowadzących swój handel interesami państwowymi. Nie należy zatem dziwić się zaniepokojeniu szlachty i cenom broni, które po śmierci Zygmunta Augusta między Dnieprem a Wartą gwałtownie szły w gó-

rę, ani pogłoskom, że „syn cesarza (...) zmierza ku Litwie do infantki polskiej Anny",[4] które więcej przyniosły domowi austriackiemu szkody niż pożytku.

Habsburgowie od dawna patrzyli łakomie na niedaleki wszak Kraków; uczucie to spotęgowało się wraz z wiekiem słabnącego Jagiellona. Na rzecz domu rakuskiego w Polsce pracował usilnie i niecierpliwie świetny węgierski humanista Andrzej Dudycz, były biskup Pécs. Cesarzowi i współpracującym z Dudyczem polskim biskupom wcale przy tym nie przeszkadzało, iż jako renegat został on obłożony klątwą papieską ani szczere wyznania tego humanisty w listach do cesarza, że dobrą, skuteczną politykę można opierać jedynie na ludziach przewrotnych i zepsutych, a najważniejszą rzeczą w całej tej grze są — pieniądze i przekupstwo. Renesans ze swoją względnością wartościowania moralnego i swobodą poglądów trwał przecież. Dudycz forsował kandydaturę arcyksięcia Ernesta, zyskując poparcie niektórych panów koronnych i najbardziej liczących się na Litwie Radziwiłłów.

Ale szlachta — głównie małopolska i ruska, przyglądająca się z bliska losowi Węgier, Czech i Śląska — nie chciała Niemca na wawelskim tronie. Nienawidził też ponoć Germanii były rektor uczelni padewskiej, sekretarz królewski, wielbiciel republikańskich swobód i rzymskich praw Jan Zamoyski: wybijająca się postać spośród ciżby ambitnych i gadatliwych. To Zamoyski, wielki znawca prawa polskiego, rozgłosił konieczność wyboru „viritim" — przez całą szlachtę. I ta właśnie zasada została przyjęta na sejmie konwokacyjnym w styczniu 1573 roku. Po drodze wprawdzie zapomniano — rzecz to fatalna — o propozycjach Zamoyskiego stosowania reguły większości na elekcji, ale jednocześnie szlachta wykazała się znów przed surowym sądem pokoleń dbałością o porządek w swoim państwie: uchwaliła konfederację warszawską. „Którzy jesteśmy dissidentes de religione [podzieleni religią] pokój między sobą zachować."[5] Polska miała pozostać budzącym podziw świata, ale i zgrozę Kościoła krajem religijnej tolerancji, bez nocy, a raczej dni świętego Bartłomieja, wojen szmalkaldzkich i stosów, zapalanych tak rękami katolików, jak i — choć rzadziej — innowierców.

Senatorowie zrobili też wiele, by uchronić siebie, swą warstwę, klientów, a w końcu i szarych szlachciców przed talarkami i dukatami, którymi posłowie obcych państw chcieli kaptować umysły i wota herbowych dla swoich kandydatów. Praktyka ta była tak powszechnie stosowana, że nieomal mieściła się w granicach ówczesnych przekonań moralnych: chodziło więc głównie o to, by nie brać nad stan. Obcym posłom nakazano zatrzymać się na granicach państwa polskiego. Wysłannicy cesarza, Wilhelm z Rożemberku (Rosenberg) i Wacław Perstein, bogaci Czesi, nie uszanowali tego zakazu — ale ze skutkiem dla Polaków znamiennym. W warszawskiej gospodzie przy dzbanku wina rozczulili się nieoczekiwanie nad losem niemczonych Czech. Słowiańscy bracia z drugiej strony stołu rozumieli ich dobrze; cesarz wiele stracił w wyniku tej pijatyki. Dużo mądrzej uczynił poseł francuski Jan de Monluc, zachwalający brata króla Francji, Henryka Andegaweńskiego: zatrzymał się pokornie w Koninie za Poznaniem, skąd wysłał znakomicie ułożony a kłamliwy list, wyliczający zalety swego księcia. Był to dyplomata wysokiej próby.

Habsburg i Francuz stali się dwoma najpoważniejszymi kandydatami do tronu polskiego, ale nie jedynymi. Na Litwie — oprócz głównych magnatów litewskich, kanclerza Mikołaja „Rudego" Radziwiłła i starosty żmudzkiego Jana Chodkiewicza, skłaniających się ku Habsburgowi — szlachta spoglądała na wielkiego księcia moskiewskiego Iwana IV, zwanego Groźnym, i jego syna Fiodora. Ale szaleństwo władzy absolutnej i przed zdumioną Litwą rychło obnażyło swe bezwzględne oblicze. Hosudar moskiewski zażądał dziedzicznego tronu w Polsce, prawosławnej koronacji na Wawelu, Kijowa na własność Moskwy, a na koniec, jak zawsze chytry i nieufny, zdziwił się, że Litwa chce Fiodora, „skoro to nie panna i posagu nie dostanie". Były to bezsensowne żądania i toporne dowcipy, godzące w godność Litwy, i przekreśliły kandydaturę Iwana. Ale nie pogrzebały sentymentu i nadziei Litwy na spokojne granice wschodnie.

Wśród herbowych mówiono nieco o księciu Siedmiogrodu jako cichym konkurencie cesarza do wawelskiego tronu. Działo się tak prawdopodobnie skutkiem wieści i plotek rozsiewanych przez niektórych wielmożów polskich. Były to jednak pogłoski mające raczej

na celu zbadanie nastrojów szlachty do tej kandydatury. No cóż — herbowym Rzeczypospolitej, która z rzymską republiką równać się chciała, nie mógł imponować książę sąsiedniego małego Siedmiogrodu, który wprawdzie sporo wycierpiał od Habsburgów, zaprowadził spokój w swym na wpół suwerennym państwie, ale poza tym niczym szczególnym się dotąd nie wyróżnił. Żeby choć w jego żyłach płynęła krew królewska, był władcą „z Bożej łaski". Przecież Jan Zygmunt, choć król właśnie z Bożej łaski i nic nadto, jak wiemy, cieszył się wielką u szlachty estymą. Gdyby nie ariańskie wyznanie i przedwczesna śmierć — jego prawdopdobnie Polacy mieliby na tronie.

Stefan Batory chyba zdawał sobie sprawę ze swych nikłych szans i oficjalnie o wystawienie swej kandydatury się nie starał. Pozostawał bierny, choć jednocześnie bolał nad tym, że jest zbyt słaby, by podjąć starania o tron krakowski. Mimo nalegań polskich przyjaciół nie wziął na siebie ryzyka konkurowania z cesarzem. Ale że już wówczas myślał o polskiej koronie — to pewne.

Wybór króla polskiego przez szlachtę w kwietniu 1573 roku pod Warszawą, na polach koło wsi Kamień, odbył się zatem bez udziału posłów Stefana Batorego. Pięćdziesiąt tysięcy zgromadzonych tam herbowych, mimo gorączkowych poczynań wysłanników obcych mocarstw posiłkujących się złotem i księżycowymi obietnicami, nie dało się ani zwieść, ani ponieść emocjom. Spokojnie zachowywała się dziesięciotysięczna masa ciemnych, cieszących się złą sławą rabusiów, nietolerancyjnie katolickich i biednych Mazurów, „gdzie jest dwudziestu tylko zamożniejszej szlachty, reszta za pługiem chodzi".[6] Gdy nie udało się przeforsować kandydatury „Piasta" — ośmieszył ją z kretesem Piotr Opaliński proponując poczciwego sędziego z Bydgoszczy Piotra Słupeckiego o przydomku Bandura — wiadomo było, że los Korony zależy nie tylko od racji politycznych szlachty i dukatów, lecz także od wymowności posłów Habsburga i Andegaweńczyka.

Monluc, który we wspaniałym przemówieniu porównał walecznych Franków do bohaterskich Sarmatów-Polonusów, przyćmił zupełnie posła Ernesta Wilhelma z Rożemberku: Mazurzy, a wraz z nimi i szla-

chta, nie chcieli „Rdesta", tylko pana „Gaweńskiego". Ernest, zwany też swojsko przez Mazurów „Agrestem", przegrywał z Henrykiem Andegaweńskim. Jakąż siłę słowa okazał Monluc: wszak jego książę brał udział w niedawnej masakrze hugenotów w Paryżu w dzień świętego Bartłomieja, a mimo to na jego wybór godziła się różnowiercza szlachta i blisko połowa senatorów niekatolików. Oczywiście pod warunkiem, że elekt zaprzysięgnie pokój religijny w wielonarodowościowym państwie polskim i — ledwie dwudziestolatek — ożeni się z kobietą, która mogłaby być jego matką, Anną Jagiellonką.

Jedenastego maja 1573 roku, po dłuższych sporach, głowa państwa w czasie interregnum (bezkrólewia) prymas Jakub Uchański nominował Henryka d'Anjou królem Polski i wielkim księciem Litwy. Radosny dźwięk trąb, bicie w bębny, trzask samopałów i uroczysta pieśń dziękczynna *Te Deum laudamus* w katedrze Świętego Jana w Warszawie przypieczętowały wybór pierwszego władcy elekcyjnego w Rzeczypospolitej. Nie obyło się bez swarów stanowiących złą zapowiedź na przyszłość: różnowiercy w osobie Piotra Zborowskiego negowali uprawnienia prymasa do nominowania, a wojewoda poznański Stanisław Górka „ręką prymasowi wygrażał, powtarzając tylko: księże, księże!" [7]

Ale ogół szlachty zdawał się radować całkiem szczerze: przywiązanie do króla pierwszego stanu Rzeczypospolitej oraz symbolu władzy i spokoju było ogromne, pomnożone o dumę z „wolnego obierania sobie pana" przez ogół herbowych. Olimpijski wprost spokój — jeśli się uwzględni różnicę wyznań, interesów, dzielnic etc. — wielotysięcznej rzeszy, pilne przestrzeganie surowego zakazu, „aby nikt nie śmiał na ten plac, gdzie namioty rozbite stoją, wozić ku szynku gorzałki, wina, piwa ani wszelkiego picia" [8], nieuleganie podszeptom i złotu obcych posłów wystawia chwalebne świadectwo instynktowi społecznemu Polaków. Było to myślenie racjami państwa: lepszy nie znany bliżej król niż rządy magnackie. Ceny broni wracały do normy, a w zawołaniu „habemus regem", mamy króla, pobrzmiewały nuty niekłamanej radości, której nie zagłuszyła różnica zdań w kwestii konfederacji warszawskiej, nominacji i przysięgi, którą miał złożyć elekt.

Henryk Walezy, pierwszy król elekcyjny w Polsce, surowo dotąd oceniany przez polską historiografię jako „król malowany", nie znający dobrze żadnego języka prócz ojczystego, lekkomyślny, moralnie dwuznaczny, doczekał się ostatnio pochlebniejszych ocen.[9] Zarzucano mu grzechy moralne: skłonność do współtowarzyszy zwanych „mignons", pieszczoszkami, a jednocześnie do nierządnic, hazardu, do wyuzdanych, podług miary epoki, tańców, na przykład volty, którą ośmielił się wykonać na oczach zesromanej wielce, niedoszłej żony, Anny Jagiellonki. W ważniejszej jednak dla narodu dziedzinie — w polityce — zapowiadał się ponoć na niezłego monarchę.

Do Moskwy wysłano poselstwo o jego elekcji. Iwan IV był przekonany, że poseł polski, cześnik halicki Andrzej Taranowski, przyjechał z wieścią o obraniu jego, hosudara, królem na Wawelu. Toteż wpadł w straszliwy gniew, gdy okazało się, że jest inaczej. Dzięki kłamstwom, które zwie się uczenie dyplomatycznymi wybiegami, Taranowski zdołał ułagodzić gniew wielkiego kniazia i być może ocalić głowę. Natomiast nie udało się powtórzyć wyczynu Taranowskiego doradcom Iwana. Jako odpowiedzialni za elekcyjną porażkę hosudara postradali życie, przedtem wyzwani od niedorajdów i zdrajców.

Walezy miał fatalny początek jak i koniec swego króciutkiego panowania w Polsce: szczęśliwa gwiazda nie świeciła ani nad nim, ani na niebie Rzeczypospolitej, ani, jak się okaże, francuskim. Ledwo wstąpił na tron, już zaczęła się sprawa, która zamaże potem na długie lata krwią i niepokojem karty historii Polski. Dotknie ona, i to mocno, samego Batorego, więc należy jej się bliżej przyjrzeć.

Szło o Zborowskich. Ród ów był ambitny, rósł w siłę od 1562 roku, kiedy to Marcin został najwyższym senatorem świeckim, kasztelanem krakowskim, spłodził pięciu synów i stawiał na dobre, jak się wydawało, karty popierając wybór Walezego. Szybkiej karierze towarzyszyły jednak zbyt często krew i zdrady, nawet jak na gust zwolenników sobiepaństwa. Już Marcin Zborowski był właściwie mordercą, a jego synowie Andrzej, Krzysztof i Samuel zdawali się dziedziczyć inklinacje ojca — dwaj ostatni w jeszcze gorszym wydaniu. Niezłe natomiast świadectwo przed osądem pokoleń wystawił sobie

wojewoda sandomierski, a potem krakowski, Piotr Zborowski, a całkiem dobre Jan, kasztelan gnieźnieński. Ten sam, który będąc w poselstwie, miał powiedzieć elektowi Henrykowi osławione „Si non irabis, non regnabis", jeśli nie zaprzysięgniesz (pokoju religijnego w Polsce), nie będziesz panował.

Król zaprzysiągł warunki. Wiele zawdzięczał rodowi Zborowskich, którzy mocno pracowali na rzecz jego wyboru. Zborowscy mieli wielką szansę zajęcia pierwszych po królu miejsc w państwie. Gdyby nie ten nieszczęśliwy wypadek...

Dziedziniec zamku na Wawelu. Jeszcze trwa zima. Tętent koni dźwigających zakutych w blachy i kapaliny jeźdźców wytłumia rozrzucony piach; proporce, złotogłowia, pióra, ostry zapach końskiego potu, oczy rycerzy kierowane coraz ku królewskiemu majestatowi. Atmosfera rywalizacji; wyścig do monarszych łask. Podczas pierwszego wielkiego turnieju rycerskiego, wyprawionego przez króla Henryka na dziedzińcu wawelskim, bitny Samuel Zborowski obyczajem węgierskim zatknął w piasku kopię z wezwaniem równego mu urodzeniem do walki za zdrowie króla. Nieodpowiedzialny sługa kasztelana wojnickiego Jana Tęczyńskiego, niejaki Chorwat, człowiek niewiadomego stanu, lecz z pewnością waleczny, wyrwał ją. Zrobił to, jak potem stwierdził Tęczyński, bez jego rozkazu, na własną odpowiedzialność. Samuel natychmiast się wściekł: do walki z Chorwatem wysłał swego totumfackiego, szlachcica Mościńskiego, a sam wyzwał kasztelana na pojedynek.

Wydawało się, że incydent będzie rozstrzygnięty honorowo: panowie po krótkiej rozmowie zgodzili się walczyć na ostre, po rycersku podali sobie prawice, a następnie Tęczyński wyjechał z zamku do swego dworu się uzbroić. Tymczasem odbyła się konna walka na kopie Mościńskiego z Chorwatem zakończona zranieniem szlachcica. Okrzyki Węgrów powstrzymały sługę Tęczyńskiego, który sięgnął już po miecz, by dobić przeciwnika. Ujrzawszy Mościńskiego na ziemi, Samuel wpadł w szał i, porwawszy toporek, zwany z węgierskiego czekanem, rzucił się na Chorwata wymierzać sprawiedliwość. Nie dziwmy się: kursowało podówczas w Rzeczypospolitej przysłowie, że „kto się o pachołka nie weźmie, ten się o żonę nie weźmie", a Zborowski to umysłowość nieskomplikowana. Toteż doszłoby do masakry, gdyby rycerstwo nie odgrodziło rozszalałego Zborowskiego od sługi Tęczyńskiego i nie interweniował sam król, którego mdlił widok krwi. Kiedy jednak Henryk, zdegustowany widokiem, wyszedł, nieostygły z emocji, nadal rozwścieczony do białości Zborowski rzucił się do bramy.

Znalazł tego, którego szukał: na podwórze dzielące katedrę od domu siostry Zygmunta Augusta, Anny, wjeżdżał właśnie Tęczyński z licznym zbrojnym pocztem. Jak to bywa, rozpoczęto od słów, gróźb i obelg, aż obaj adwersarze rzucili się na siebie, spiąwszy konie. Spór usiłował załagodzić kasztelan przemyski, starszy już Andrzej Wapowski, stanąwszy między zwaśnionymi. Wtedy Zborowski uderzył go obuchem czekana, raniąc w głowę; relacja Orzelskiego zadaje kłam twierdzeniom, że czekan rzucony był przez Zborowskiego w Tęczyńskiego i trafił mimowolnie w Wapowskiego. Porwano się do szabel, ludzie Tęczyńskiego dali ognia z arkebuzów. „Król, świadek tej rzezi, niemałym strachem był zdjęty; niektórzy powiadają, że uroił sobie, jakoby to na jego zgładzenie bunt ten wszczęto." Zamknięto bramy, walka wygasła, a Tęczyński z Wapowskim poszli do króla zaprezentować rany zadane kasztelanowi przemyskiemu przez Samuela.

Krew na głowie Wapowskiego już zakrzepła, mógł on zatem okazać skaleczenia i odziany, jak zauważył Świętosław Orzelski, w lamparcie skóry dodające mu godności, wygłosić przed Henrykiem Walezym długą orację. Uskarżał się w niej „na wielkość zbrodni popełnionej przez Samuela". Prawdopodobnie Wapowski pozwalał się dotykać albo ranę przemyto mu brudną wodą czy też obwiązano starymi szmatami, gdyż w tydzień później po tym nieszczęsnym zajściu zmarł.

Nad Samuelem zawisła groźna chmura: zbrodnię pod bokiem króla karano w Rzeczypospolitej na gardle i czci. Tymczasem wiele głosów senatorskich, a nawet paszkwile, których fala przepłynęła przez Kraków, ujmowały się za porywczym wielmożą. Bitność była w cenie. Król Henryk zachował się z wyczuciem w tej trudnej sytuacji: dał się wygadać senatorom, a gdy emocje i głowy nieco ostygły, wy-

dał na Samuela Zborowskiego wyrok wygnania, konfiskaty dóbr, lecz bez utraty czci i honoru, gdyż „zabójstwo nie ze zdrady i namysłu, lecz niejako przez porywczość i nagłą popędliwość, czyli raczej z przypadku i trafunkiem popełnione zostało".

Gdzież banita Samuel mógł się schronić, u którego z sąsiadów? Znaleźć oparcie, zrozumienie i nadzieję? W Wiedniu, Pradze, Sztokholmie, a może w Moskwie? Wybrał Siedmiogród. Dlaczego? Możemy tylko snuć domysły. Przecież wybór miejsca wygnania przez magnata z licznego i wziętego rodu o wielkich ambicjach, to był akt o znaczeniu politycznym. Musiał być przemyślany. Namówiony przez lekarza Stefana Batorego, Jerzego Blandratę, Zborowski zjawił się na dworze w Gyulafehérvárze. Został tam dobrze przyjęty.

Mimo całej porywczości i okrucieństwa — Samuel ponoć kazał walczyć bezbronnemu Włochowi z niedźwiedziem — niemożności poddania się do końca rygorom władzy, Zborowski miał albo niezwykły zmysł polityczny, albo dobrych doradców, którzy wiedzieli o marzeniach Batorego. Chyba niewłaściwe jest określenie Samuela mianem: debilowaty. To on zaczął namawiać księcia Siedmiogrodu, aby przygotowywał się do wyścigu po polską koronę. Brat Henryka Walezego, król Francji Karol IX, jest bardzo chory. Któż wie, co się może zdarzyć. Batory pilnie słuchał wieczornych opowieści o Rzeczypospolitej płynących z ust Zborowskiego, porównywał z wieściami od innych Polaków, znacznie wyższych lotów umysłowych, których na dworze siedmiogrodzkim przewijało się sporo. Jeśli jednak coś planował, to mogły to być jedynie rozważania teoretyczne: Henryk rządził i dobrze się bawił na Wawelu.

II. «ŚMIESZNE USIŁOWANIA»

W początkach lipca 1574 roku przybiegła do Gyulafehérváru zdumiewająca wieść. Henryk de Valois, król Polski, uciekł z Wawelu w nocy z 18 na 19 czerwca, gdy dowiedział się o śmierci swego brata, króla Francji. Przedłożenie przez Walezego milszego sercu i ambicjom tronu francuskiego nad koronę polską było po części usprawiedliwione

i zrozumiałe, ale i tak wprawiło w zdumienie Europę. Uciekać z jednego z najwspanialszych tronów w chrześcijaństwie, jak to niedawno określiła matka Henryka, Katarzyna Medycejska?

Polacy byli wściekli, czuli się oszukani, a nade wszystko zaniepokojeni. Henryk wprawdzie zapewniał, że wróci na Wawel, ale czynił akurat odwrotnie do zapewnień; nakazał, by odesłano mu z Krakowa do Paryża jego osobiste rzeczy i meble. List, w którym król tłumaczył się ze swego postępowania, znaleziono w piecu. Niewielu miało nadzieję, że wróci; mimo to zjazd senatorów wyznaczył królowi termin powrotu na dzień 12 maja 1575 roku.

A oto państwo bez najważniejszego elementu władzy:

Niezmordowany poszukiwacz władzy, pieniędzy, kobiet i dzieł sztuki, Olbracht Łaski, gwałtem zajmuje twierdzę Lanckoronę i chce uderzyć na Kraków. Jest uwielbiany przez chłopów, których zdarza mu się bronić przed nadmiernym wyzyskiem, a pospolite ruszenie zwołane przez wojewodę krakowskiego Piotra Zborowskiego odstępuje od oblężenia Lanckorony. Pozostaje ona w rękach Łaskiego. Do Jana Dymitra Solikowskiego — księdza i walczącego piórem z innymi wyznaniami pisarza, który ledwo wrócił z Francji, gdzie usiłował namówić Henryka do powrotu — strzelano w Warszawie z gospody „w blasku pochodni". Katoliccy studenci i plebs krakowski burzą tzw. Bróg na Rynku Świętojańskim, kalwińską świątynię; trzy dni straż nie może lub nie chce opanować sytuacji, „podwojewodzi Zygmunt Palczowski, chcący gwałt ten powściągnąć, zmuszony był uciekać z wielkim dla się niebezpieczeństwem" — jak stwierdził Orzelski. Jan Zamoyski, starosta bełski i trybun szlachty, zajechał obiecane mu przez Walezego starostwo knyszyńskie trzymane przez Stefana Bielawskiego, który miał akurat pecha bawić w patriotycznej potrzebie w Krakowie. Zamoyski, „strzelbą ognistą" grożąc, wypędził Bielawską z dwojgiem małych dzieci z Knyszyna. Nic nie pomogły łzy zasłużonego dla Rzeczypospolitej Bielawskiego wylewane potem przed senatem i posłami: współczuto mu szczerze, ale starostwa nie odzyskał. Tatarzy, skutkiem niedołęstwa hetmana polnego Mikołaja Sieniawskiego i małych podówczas umiejętności, lecz ogromnych ambicji wojskowych dwóch krewniaków, Zamoyskiego i Żół-

kiewskiego, pustoszą bezkarnie we wrześniu 1575 roku Ruś Czerwoną i Podole. Jacyś Węgrzy na dobitkę wpadli na nieszczęsną Ruś Czerwoną, pojmali Krzysztofa Gnoińskiego i uwięzili go. Tło tej afery nie jest znane, ale szlachcic, oswobodziwszy się, odgrażał się ustami Mikołaja Herburta na sejmie, że złamie wieczne przymierze polsko-węgierskie, by pomścić gwałt śmiercią napastników. Znów podnoszona jest na Litwie, za przyczyną niektórych Radziwiłłów, sprawa unii z Polską. Pojawiają się poważne podówczas trudności rynkowe w postaci niedostatku soli w Wielkopolsce, trzeba interwencyjnie zakupywać ją w Saksonii, ale i to niewiele łagodzi jej brak. I wreszcie — dają o sobie znać oczywiście siły nadprzyrodzone: w Poznaniu na niebie potykają się jakieś powietrzne wojska, a przed oczami wiernych pojawia się wielki obóz rozłożony ku wschodowi. Widok ten bardziej zdaje się trwożyć serca i umysły niż niedostatki rynkowe.

Obraz Polski cokolwiek apokaliptyczny. Prymas pełniący funkcję interrexa nie miał sił wykonawczych do egzekucji prawa, a jego autorytet w wielowyznaniowej Rzeczypospolitej, choć duży, nie powstrzymywał niektórych przed gwałtem i nadużyciami. „Swawola ludzka, nie hamowana surowością królewską, urosła do bezmiaru" — napisał kronikarz. W rzeczywistości nie było aż tak źle: należy się raczej zgodzić z historykiem, że „duch publiczny zostawał czujny i zdrowy".[1] Żadnemu z sąsiadów nie udało się zanarchizować Rzeczypospolitej. Im jednak bliżej było maja, tym szybciej topniały nie tylko śniegi, ale nadzieja na powrót Henryka i liczba jego zawiedzionych zwolenników, od których szlachta na ogół odwracała się z niesmakiem, choć król — lecz nie taki — był jej bardzo potrzebny.

Znów jednak korona Jagiellonów stawała się obiektem zabiegów obcych państw. Tym razem Habsburgom zdawało się, że oto nadchodzi chwila, kiedy przed Bramą Szwajcarską ich starego Burgu w Wiedniu lub przed zamkiem na Hradczanach w Pradze trębacze zadmą w fanfary triumfu. Wprawdzie do tronu wawelskiego pretendował i arcyksiążę Ernest, „wzór hiszpańskiego bigota", i arcyksiążę Ferdynand, wsławiony morganatycznym małżeństwem z mieszczką z Augsburga, Filipiną Welser, i sam cesarz Maksymilian II, specjalista od ostrożnych polityk i przegranych bitew — ale zdawało się, że nie

mają oni godnych sobie konkurentów. Bo któż nim był tym razem? Wielki kniaź moskiewski Iwan Groźny; Jan III, król ubożuchnej i dzikiej Szwecji; książę Ferrary i Modeny Alfons d'Este, inteligentny, kulturalny rówieśnik Stefana Batorego, zbyt jednak mało znaczący, mogący jedynie oddziaływać na czułych na symbole Polaków swym herbem, Orłem Białym, no i paroma milionami gotówki. A może chan krymski Dewlet Girej, którego obietnice wprowadzenia ordy tatarskiej — samowystarczalnego wojska — w granice Rzeczypospolitej wywołały śmiech ni to grozy, ni zdumienia wśród poważnych senatorów? Czy może Wilhelm z Rożemberku, znany nam z poprzedniej elekcji bogaty Czech, który jednak przestraszył się rywalizacji z Najjaśniejszym Majestatem Cesarskim i szybko wycofał swą kandydaturę mimo poparcia Zborowskich? A może szwedzka Anna Wazówna z matki Jagiellonki, zachwalana, w zgodzie z prawdą, jako kobieta mądra, która mogłaby stać się dla Polski tym, kim stała się dla Anglii Elżbieta I?

Był pewien pomysł, jeszcze z poprzedniej elekcji, wydawało się, świetny: obrać „Piasta". Spory o koronę niech zostaną w kraju. Ba, aleć też od czasów Chrystusa dobrze wiadomo, że nikt nie jest prorokiem we własnym domu. Królem nie mógł zostać ani kasztelan gdański, potem wojewoda sandomierski, cieszący się opinią szlachetnego i prawego człowieka Jan Kostka, ani wojewoda bełski Andrzej Tęczyński, ani tym bardziej wojewoda podolski Mikołaj Mielecki czy też zadziwiający swymi ambicjami i iście renesansowym bujnym życiem Olbracht Łaski. Wszyscy bowiem, oprócz Łaskiego, zdawali się przestraszeni blaskiem i ciężarem królewskiej korony. Nie chciała też „Piastów" część senatorów. Do ich dyskredytowania przyczyniała się podówczas nie tyle osławiona zawiść tworząca polskie piekło, ile żwawa działalność adherentów cesarza, a głównie nieocenionego Węgra wywodzącego się z Chorwacji, Andrzeja Dudycza, który niedawno ożenił się z piękną mieszczką krakowską Reginą Straszówną. W Polsce jak najusilniej kandydaturę Habsburga popierał biskup płocki Piotr Myszkowski, który wraz z Dudyczem zdołał przyciągnąć do swego obozu wielu magnatów, w tym Olbrachta Łaskiego. Wojewoda sieradzki gotów był nawet dobywać dla Habsburga Wawel, ale

za cenę, która wyniosłaby go do roli wicekróla: otrzymania urzędu hetmana wielkiego koronnego, orderu Złotego Runa, czyniącego go kuzynem cesarza, i kilku innych drobnostek pieniężnych związanych z jego astronomicznymi długami. Łaski szykował się do roli, którą za kilka lat zacznie odgrywać ktoś inny. Ambicje jego władzy sięgały co najmniej mołdawskiej mitry książęcej.

Zagrał zbyt wysoko: Habsburgowie byli za bardzo pewni zwycięstwa, by nawet Łaski, którego energii i pomysłów obawiali się tak samo jak i większość Polaków, mógł stawiać im kondycje. Propozycja Łaskiego nie została w Wiedniu przyjęta.

I wtedy, nieśmiało zrazu, wypłynęła na powierzchnię życia politycznego w Polsce sprawa kandydatury Stefana Batorego. Wojewoda siedmiogrodzki podczas krótkiego panowania Henryka był zwolennikiem utrzymywania jak najlepszych stosunków z Polską i Francją. Nie było to nic nowego: kontynuował w ten sposób politykę Zapolyów. Na uroczystą koronację Henryka wysłał więc Batory do Krakowa swego kanclerza, świetnego przy tym historyka, biskupa Franciszka Forgácha, który w najwyższym sekrecie wiózł plany zmontowania ligi antytureckiej z udziałem Polski, Francji, Moskwy i Siedmiogrodu. Już wtedy Batory miał polityczne wizje, którym starał się być do końca wierny. Termin rozmów wybrany był jednak zupełnie niefortunnie i Forgách zdołał jedynie zapewnić nowego króla polskiego o przychylności Siedmiogrodu wobec Polski i Francji.

Doceniono to: król Francji Karol IX wysłał do Transylwanii posła, Tomasza Normanda. Przywiózł on Batoremu zgodę króla na ożenek z dalszą jego krewną, dwudziestodwuletnią panną de Châteauneuf, obdarowaną stu tysiącami franków posagu. Prawdopodobnie szło o rękę byłej metresy Henryka Walezego, słynnej z piękności blondynki, Renée des Rieux.

Wojewoda wstępnie nawet zgodził się na propozycję małżeństwa — ale czy to miało oznaczać kres jego ambicji, którą ten ożenek zdawał się zamykać? Ręka pięknej kuzynki króla Francji to niewiele, a ze strony Habsburgów spotkała go, jak wiemy, przykra rekuza. Toteż Batory zwlekał z małżeństwem; potem odwróciły jego uwagę

inne ważkie wydarzenia — i ta gra na zwłokę sowicie mu się opłaciła. Batory bowiem podczas ślimaczących się, raczej pozorowanych starań o francuską „rękę dynastyczną" ciągle miał nadzieję. Trzeźwą, chłodno skalkulowaną. Oto ledwie Henryka de Valois 21 lutego, w niedzielę, uroczyście ukoronowano w Krakowie, już 16 marca 1574 roku wojewoda siedmiogrodzki śle list do swego brata Krzysztofa:

„Za słaby byłem — pisał z goryczą, ale i świadomością celu — by sięgnąć po wolną niedawno w Królestwie Polskim koronę, miałbym wtedy już dziś wszystko, na co muszę jeszcze tyle lat czekać".[2]

Zdumiewający człowiek. Ledwie przyozdobił skronie książęcą mitrą — i to jedynie w oczach swych poddanych, nie wszystkich — już myślał o włożeniu na głowę jednej z najwspanialszych koron europejskich. Ukazać Polakom, Litwinom, Rusinom swą siłę i możliwości w rywalizacji z Habsburgami. Niech wybierają. Takie wydają się drogi rozumowania Batorego.

Nie wiemy, kiedy książę Siedmiogrodu dowiedział się o ucieczce Henryka: data przytoczona wyżej oparta jest na znajomości terminu, w jakim Stambuł poznał prawdę o pustym tronie na Wawelu: 18 lipca, wieczorem. Zainteresowanie Batorego sprawami polskimi, dotąd i tak żywe, musiało się wzmóc, jak i temperatura rozmów z Samuelem Zborowskim. Odwrotnie niż ton korespondencji: jak zawsze dworny, chłodny i rzeczowy. Batory pisze do sułtana, cesarza, wielkiego wezyra, dostojników państwowych, swych posłów i — rzecz charakterystyczna — nigdzie nie ma śladu zapowiedzi, że on też zamierza uczestniczyć w wielkiej grze o polską koronę. A przecież domyślano się tego, ba, na niektórych dworach nawet wiedziano o tym — tuż po ucieczce Walezego z Krakowa.

Skąd? Turcja była mocno zainteresowana sprawą wyboru na tron wawelski jako mocarstwo de facto sąsiadujące z mocarstwem polskim. Na wszelki wypadek w rewanżu za najazd Mołdawian hospodara Iwonii, wspomaganych przez Kozaków i rzekomo przez Olbrachta Łaskiego, na Białogród, spuścili ze smyczy Tatarów, aby splądrowali nieco Podole i Ruś Czerwoną. Krzyk rabowanej, branej w jasyr szlachty i ich chłopów miał dotrzeć do Warszawy i przy-

pomnieć senatorom o możliwościach imperium otomańskiego. Jednocześnie Stambuł miał forsować kandydatów wygodnych dla interesów islamu. Tradycyjnie Habsburg na tronie polskim był dla padyszacha nie do przyjęcia: oznaczał powstanie chrześcijańskiego supermocarstwa ze szkodą dla wiary Proroka i ziemskiej wygody padyszacha. Szanse Habsburga w Stambule były tak znikome, że wśród przekupnych Turków nawet naczelny tłumacz nie chciał za austriackie złoto agitować na rzecz domu rakuskiego. Ten sam casus — powstania supermocarstwa — wedle Dywanu groził Turcji na wypadek unii personalnej Rzeczypospolitej i Moskwy, której siły wojskowe mahometanie przesadnie obliczali na sto pięćdziesiąt tysięcy samej jazdy (notabene przesada ta brała się z jednej przegranej przez Turków bitwy z Rosjanami w 1569 roku). Wysoka Porta postanowiła zatem, że będzie popierać kandydaturę Jana III, króla Szwecji, który przesunie aktywność polskiej polityki na północ i wschód, lub „Piasta", lub...

Batory rozpoczął swe dyplomatyczne zabiegi właśnie od prób pozyskania Turcji. Znany był tam jako wierny i odpowiedzialny lennik, który dotąd nie uczynił nic, by wzbudzić podejrzenia lub urazić władcę absolutnego nad Bosforem. Stefan wysłał zatem do Stambułu swego agenta Piotra Ráca z sekretną, acz przejrzystą misją. Rác miał rozgłaszać koło wysokich murów seraju i po stambulskich mahalleach, tak by dotarło to jak najszybciej do uszu sułtana, o bliskim już wyborze wielkiego księcia Moskwy lub któregoś z Habsburgów.

Och, trafiło to na żyzną glebę niepokoju. „Mehmet basza nie bardzo wesół" — pisał do senatu wysłany jeszcze za Zygmunta Augusta, uczący się pilnie tureckiego i pełniący funkcję informatora Krzysztof Dzierżek.[3] Zaniepokojenie Porty brało się nie tylko z szacunku dla Rzeczypospolitej, której jak twierdzono w Stambule, „nie masz równej na całym chrześcijańskim świecie".[4] Do sierpnia 1574 roku Polacy nie powiadomili Stambułu o ucieczce króla Henryka i nie wypadało ich o to zapytać ustami czausza. Teraz jednak szły do sułtana wieści o rychłym już obraniu jednego z nieprzyjaznych Turcji

kandydatów. Należało działać: w sierpniu Dywan zdecydował się pchnąć do Polski posła Ahmeta.

Po jego wyjeździe Rác nagle zaczął gwałtownie dowodzić, że nowym pewnym kandydatem do korony Jagiellonów stał się Stefan Batory, gdyż jego szanse wśród szlachty polskiej bardzo szybko rosną. Do Warszawy ze Stambułu odległość była znaczna i Batory znakomicie wygrywał atut przestrzeni: był mniej więcej w jednakowej odległości od Krakowa, Stambułu, Wiednia czy Pragi i mógł wiedzieć o wszystkim szybciej i dokładniej. Turcy, nie chcąc przegapić korzystnej sytuacji, ulegli sugestiom Piotra Ráca i wysłali w pogoń za Ahmetem gońca z ustną instrukcją, by wobec senatorów polskich i litewskich wymienił również nazwisko Stefana Batorego jako kandydata miłego sułtanowi. Goniec dopadł czausza już we Lwowie i przekazał instrukcję.

I choć w rzeczywistości wielki wezyr Mohammed Sokolli, kierujący sprawą elekcji w Polsce, nie wierzył w możliwości i szanse Stefana Batorego, to akcje księcia siedmiogrodzkiego wzrosły. Stanęła za nim, choć bez zdecydowania, groźna siła, z którą szlachta polska musiała się liczyć.

Ahmet dotarł do Warszawy 8 września. W dwa dni później został przyjęty przez senat, któremu przekazał listy od sułtana i wielkiego wezyra. Następnie wygłosił niedługą orację, przestrzegając senatorów przed obraniem królem polskim Habsburga i zachwalając elekcję „Piasta" Jana Kostki albo króla szwedzkiego.

„(...) a jeśli owi także mniej się spodobają, to Stefana Batorego, palatyna Siedmiogrodu, męża wiernego cesarskiemu majestatowi sułtana, odznaczającego się powagą i skromnością, pielęgnującego w pokoju i przyjaźni wiedzę — jesteście godnymi przyjąć go w królestwie rządzonym mądrością i siłą" — zalecił czausz senatorom.[5] Batory był ostatnim z wymienionych przezeń kandydatów padyszacha.

Nie tylko w rachubach Stambułu książę Siedmiogrodu był najmniej liczącym się pretendentem do polskiej korony. Oto w relacji posła weneckiego w Rzeczypospolitej, Hieronima Lippomano, znajdujemy ledwie kilka zdań o Batorym; więcej miejsca poświęca on Alfonsowi, księciu Ferrary i Modeny. Ale są to słowa znamienne:

„Wojewoda siedmiogrodzki mający lat czterdzieści pięć [w rzeczywistości miał czterdzieści dwa lata — J. B.] zostaje w przyjaznych stosunkach z Polakami, jest od nich kochany i jeżeli przyjdzie do nowej elekcji, będzie przez niektórych podawany do tronu, jako pan katolicki, równie dobry do rady, jak do oręża, od którego Rzeczpospolita może spodziewać się znacznego zasiłku na swe obecne potrzeby i bezpieczeństwa ze strony Turcji, bo go sułtan po Piaście do tronu zaleca." [6]

Zawsze jednak kandydatura Batorego wymieniana była przez Turków na ostatnim miejscu. Działo się tak nawet po śmierci dotychczasowego sułtana Selima II, gdy nowy, Murad III, niepewny swej władzy, na wszelki wypadek kazał wydusić pięciu swych braci, a następnie co ważniejszych urzędników. Człowiek niesłychanego sprytu, mistrz dyplomatycznych bajań, Andrzej Taranowski, ten sam, który wykpił się Iwanowi Groźnemu, był podówczas posłem polskim w Stambule. Bez pieniędzy i — o zgrozo — bez darów musiał wymyślać bajki o zatopionych na dnie Dunaju skarbach sobolowych wiezionych dla wezyra z Polski. Kto będzie zatem królem Rzeczypospolitej? — pytał go ze złością Mohammed Sokolli, zdaniem Orzelskiego „bardziej do dzikiego zwierza niż do człeka podobny", z którym nikt dotąd nie śmiał i nie mógł rozmawiać bez odpowiednich podarunków. Taranowski, który kupił je „na borg" w Stambule — nędzne, jak na przyzwyczajenia i wyobrażenia wezyra, purpurowe i jedwabne szaty — odparł całkiem zręcznie, że tylko „Bóg raczy wiedzieć". Nie przekonało to Sokollego, który warknął, że jeżeli Polacy chcą pokoju z potęgą sułtana, niechaj wybierają Jana Kostkę, Jana III albo Stefana Batorego. To samo zalecenie otrzymał Taranowski od sułtana, który ponowił swe życzenie w liście skierowanym do senatu. Wprawdzie podczas audiencji u padyszacha posła Najjaśniejszej Rzeczypospolitej nieco spostponowano, ale ten zrewanżował się rozgłoszeniem po Stambule plotek o wyborze wielkiego księcia Moskwy na tron wawelski. A takie wieści zawsze wzbudzały w pałacu sułtańskim niepokój.

Ale Batory nie poprzestał na zjednaniu sobie Turcji, co przyniosło mu nie najgorszy status jednego z trzech pretendentów. Skończyły się wieczorne rozmowy z Samuelem Zborowskim na temat sytuacji i możnych czy znacznych w Polsce. W mroźny luty 1575 roku Zborowski przeszedł górami do Rzeczypospolitej i on, banita, pod zmienionym nazwiskiem rozpoczął werbunek żołnierzy dla Batorego, a przeciw Bekieszowi, jednocześnie głosząc, jakim wspaniałym władcą jest książę Siedmiogrodu. Bardzo istotne było pozyskanie brata Samuela, wojewody krakowskiego Piotra Zborowskiego, jak i innych bliskich familiantów rozdzielających dotąd swe sympatie pomiędzy Wilhelma z Rożemberku a Batorego. Ba, Samuel usiłował skaptować samego Dudycza. Bezskutecznie. Mimo to wypad Samuela mógł Batory zaliczyć do udanych. Agitacja banity przyniosła żywsze zainteresowanie osobą Batorego u wojewody krakowskiego. A z Krakowa było już łatwiej prząść nici sympatii dla księcia siedmiogrodzkiego wśród tamtejszej szlachty.

Samuel to nie jedyny wysłannik Stefana do Polski. Następnym legatem był siedmiogrodzki Polak, arianin Hieronim Filipowski, który miał rozpoznać i przygotować grunt pod przyszłą walkę elekcyjną. Czynił to oczywiście nieoficjalnie i niesłychanie ostrożnie, choć w Rzeczypospolitej już zorientowano się, że Batory będzie starał się o koronę. U stronników Habsburgów wywoływało to jedynie odruchy lekceważenia. Dwunastego marca 1575 roku Andrzej Dudycz pisał pogardliwie do cesarza o poczynaniach wojewody siedmiogrodzkiego:

„Śmieszne są usiłowania Batorego i na nic się nie przydadzą, chybaby Bóg chciał dziwowisko pokazać i naród ten już zupełnie zatracić." [7]

Wydawało się, że Dudycz ma rację. Gdy 12 maja 1575 roku w Stężycy — małej mieścinie wtulonej między wody Wisły i Wieprza, otoczonej ze wszystkich stron lasami — rozpoczął się zjazd mający oficjalnie ogłosić bezkrólewie, Batory miał nadal szanse bliskie zeru i tyluż zwolenników. Olbrzymia szopa kryta potrójnym dachem z tarcicy, zabezpieczona przed zaciężnymi hufcami co ambitniejszych magnatów głębokim rowem — dzieło przezornego starosty Bartosza Zielińskiego — pęczniała od głosów. Ale żaden nie tyczył wojewody siedmiogrodzkiego. Na zjeździe senatorowie i szlachta wysłuchi-

wali wprawdzie długich relacji posłów, lecz po okresie bezkrólewia i związanymi z tym gwałtami trudno było o harmonię i zgodę. Dochodziło do sprzeczek, dąsów, wylewania żalów przez zakompleksionych panów litewskich na głowę koroniarzy, w czym brylował kasztelan wileński Jan Chodkiewicz, zastanawiano się nad zaprowadzeniem porządku podczas elekcji, kandydatami i setkami najróżniejszych spraw, rozmywając naczelną kwestię w pospolitym lub uczonym gadulstwie. Między obozem szlacheckim a szopą kursowały deputacje, Litwini straszyć zaczęli zebranych demonstracją zbrojną, a senatorowie nadal nie godzili się na elekcję hic et nunc na polach stężyckich, tak jak żądała tego masa herbowych. W rezultacie nastąpił rozłam i sejm konwokacyjny rozszedł się z niczym.

Dopiero 22 lipca w Skierniewicach prymas Jakub Uchański ogłosił termin zwołania konwokacji na 3 października w Warszawie. Batory miał niebotyczne szczęście, że nie doszło do wyboru, gdyż jego kandydatura w ogóle nie była podnoszona w Stężycy.

A jednak lekceważący śmiech z nadziei księcia siedmiogrodzkiego niebawem zamarł Dudyczowi na ustach i zaczęło się „dziwowisko", gdy w lipcu spod wzgórzy koło Szentpál frunęła wieść o świetnym zwycięstwie Batorego nad Bekieszem popieranym przez cesarza. Szlachcie polskiej objawił się władca waleczny i silny, zdolny bić cesarskich zauszników. Na dodatek — co ogromnie ważne — dzięki zwycięstwu Batory skonfiskował fortunę Bekiesza i jego zwolenników, a były to dobra ogromne. Wśród senatorów i szlachty zaświtała nadzieja, że książę siedmiogrodzki byłby w stanie zapełnić pusty, mocno zadłużony skarb królewski.

Bez wątpienia właśnie w lipcu w grze Batorego nastąpił przełom, a jego akcje w Polsce gwałtownie poszły w górę. Korzystną dlań sytuację gruntowały zupełnie niezręczne poczynania cesarza, najpierw oficjalnie wypierającego się jakichkolwiek związków z Bekieszem, a następnie usiłującego poprzez Dudycza pochwycić w Polsce niedawnego adherenta. Ten krok Dudyczowi się nie udał, gdyż w tym czasie Bekiesza pilnie strzegli Zborowscy. Dudycz zatem rozpuszczał wieści o straszliwych cierpieniach Bekiesza skutego łańcuchami w lochach panów ze Zborowa — ale szlachta nie dawała temu wiary.

Wręcz przeciwnie: z oburzeniem patrzyła na „niecne praktyki domu rakuskiego" prześladującego niedawnego zausznika cesarza, dybiącego na jego wolność, a może i życie.

Tuż po bitwie Batory uczynił pierwszy oficjalny krok przeciw cesarzowi: 13 lipca wysłał list do senatorów polskich ukazując wiarołomność Maksymiliana II, który wbrew zawartemu układowi wsparł Bekiesza. Dzień wcześniej zawiadomił o bitwie i zamiarach Wiednia wojewodę podolskiego, jednego z „Piastów" — Mikołaja Mieleckiego.

„Nigdy nie sądziliśmy, że imperator był nam wrogi — pisał Batory z goryczą z taboru koło Nyulas — ponieważ korzystne obietnice i przysięgi często nam potwierdzał, że ani otwarcie, ani tajemnie przeciw nam żadną radą nie wystąpi. Kiedy jednak jawnie siłą nie mógł, skrycie i przewrotnie niespodziewanie Kaspra Bekiesza przeciw nam zbroił. Boga zaś wzywamy na świadka, że nie daliśmy imperatowi żadnej przyczyny do wojny." [8]

Batory napisał ten list nie tylko, by pozyskać sympatię wpływowego wojewody, jednego z filarów stronnictwa filoaustriackiego. Z Podola i Rusi Czerwonej było najbliżej Siedmiogrodu przez przełęcze karpackie, a Stefan nie wiedział, jak zareagują na rozbicie wojsk Bekiesza pograniczni panowie polscy sprzyjający Habsburgom. Wołał się zaasekurować. Przyszło mu to tym łatwiej, że już od lat znał Mieleckiego: korespondowali ze sobą, poznali się podczas pogrzebu Jana Zygmunta, choć wojewoda daleki był od uczuć przyjaźni dla księcia. Podczas interwencji Mieleckiego w Mołdawii na rzecz Bogdana IV Batory był przecież mu przeciwny.

Tymczasem fala niechęci do domu rakuskiego podnosiła się w Rzeczypospolitej, zatapiając powoli niedawną dumę części szlachty, szczególnie litewskiej, że oto na tronie polskim i litewskim zasiądzie być może sam „cesarz świata". Jednocześnie fala ta wynosiła w oczach herbowych coraz wyżej Batorego i jego Siedmiogród. Tak, szlachtę, szczególnie ruską, ruchliwą, ciekawą świata, znów uderzyło podobieństwo między Rzecząpospolitą a Siedmiogrodem. Batory zwał się „wajda", co żywo przypominało polskiego „wojewodę", tu i tam panowała niespotykana w Europie tolerancja religijna, tu i tam

szlachta zawiązywała niezależne związki zwane z węgierska rokoszem (od miejsca zgromadzenia nad rzeką Rákos), obydwa kraje miały elekcyjnych władców i zdecydowaną odrazę do absolutum dominium, choć jednocześnie władza księcia była niemal absolutna. I na dodatek — cierpiały na silną fobię zagrożenia tureckiego. O symbiozie kultur już pisaliśmy.

Wreszcie — sam Batory. Zwycięstwo pod Szentpál udowodniło, że jest świetnym wodzem. Ci, którzy wracali z Siedmiogrodu, twierdzili, że wojewoda to dobry władca, który zezwala na wolność religijną, lecz nie wolność intryg dworskich, jest księciem silnym i twardym, lecz nie absolutnym. Potrafi zapanować nad skomplikowaną sytuacją, dać ludności więcej chwil spokoju niż Jan Zygmunt. Nadto w Polsce wiedziano, że Batory ma świetną, choć wymagającą bardzo silnej ręki, piechotę węgierską, osławionych hajduków. Pomimo że jest kawalerem, przestrzega surowych obyczajów: to nie młodzieniec Henryk hulający za prostytutkami po Paryżu i „gamratkami" po Krakowie ze swoimi dwuznacznymi „mignons". Ze zdziwieniem, a potem zadowoleniem patrzano na postępowanie Batorego wobec Bekiesza: książę zaprosił go do Siedmiogrodu obiecując przebaczenie! Czyn ten mocno kontrastował z poczynaniami cesarza i jego urzędników. I mimo że Bekiesz, wymknąwszy się Zborowskim, nadal usiłował intrygować przeciw Batoremu rozsyłanymi korespondencjami, wykazując przy tym spore talenty dyplomatyczne, to szlachta polska znów z sympatią zerknęła na Stefana: wspaniałomyślność miała u Sarmatów prawie taką samą cenę jak waleczność.

Jedna rzecz mogła odpychać serca i umysły herbowych od wojewody siedmiogrodzkiego — i agenci, posłowie, stronnicy Habsburgów usiłowali kartę tę wygrać. Miała ona kolor zielony: barwę wielkiej chorągwi Proroka, którą noszono przed sułtanem. Oto sługa turecki, niewolnik padyszacha — wołali głośno adherenci domu austriackiego, wskazując, iż Stefan Batory płacił sułtanowi haracz i bez wątpienia był jego nominalnym lennikiem.

Byłby to bardzo mocny, może decydujący argument, gdyby senatorowie nie wiedzieli, że cesarz również płacił padyszachowi daninę z zajętej części Węgier, co przecież nie oznaczało, że jest lennikiem

władcy islamskiego. Trudno powiedzieć, czy w Polsce zwrócono uwagę na ważny szczegół, iż Batory czynił to, co zapoczątkowała Izabela Jagiellonka, i nie płacił trybutu osobistego, lecz z Siedmiogrodu. Mógł się zatem uważać za władcę niezależnego, choć — przyznajmy — raczej dzięki interpretacji prawnej niż rzeczywistemu stanowi rzeczy. Natomiast samodzielność Batorego w ramach istniejącego uzależnienia, jak widzieliśmy, była duża.

Niedługo po zwycięstwie nad Bekieszem w połowie sierpnia 1575 roku wojewoda decyduje się na nowy jawny krok: wysyła do Polski swego lekarza Jerzego Blandratę. Nieoficjalny poseł Batorego doskonale zna Polskę i jest tu dobrze znany: to były medyk królowej Bony, Izabeli i Jana Zygmunta, popularny wśród innowierców arianin. Trzyma on w zanadrzu dwa listy cesarza do Bekiesza i Michała Telegdyego, których ujawnienie postawiłoby Maksymiliana w kłopotliwej sytuacji. Blandrata przy tym to niedawny przyjaciel Dudycza; odwiedza go natychmiast po przyjeździe, ściska prawicę i zapewnia, że Batory tylko dlatego włączył się w sprawy elekcji, gdyż sami Polacy go o to poprosili. Jeśli jednak miałby stanąć na drodze któremukolwiek z Habsburgów — natychmiast ustąpi. Dudycz jest umiarkowanie zachwycony; nie na tyle, by nie przydać Blandracie anioła stróża w osobie starosty będzińskiego Prospera Prowana. To również znajomy lekarza.

Zamydliwszy nieco oczy Dudyczowi, Blandrata z rozmachem przystąpił do akcji pomnażania zwolenników Batorego. Wojewoda wiedział, że to drogo kosztuje i nie żałował medykowi pieniędzy, które kupowałyby twarde serca i umysły — senatorskie i szlacheckie. Było to o tyle łatwiejsze, że ścieżka do niektórych senatorów była już przetarta i Blandrata szybko tam dotarł: wojewoda krakowski Piotr Zborowski dostał 20 tysięcy guldenów i wskazówkę, że może działać na rzecz wyboru Batorego tak, jak uzna to za stosowne, Jan Zborowski — 8 tysięcy, Andrzej — 35 tysięcy guldenów za skruszenie najtwardszych serc litewskich obstających przy Habsburgach i pozyskanie ich dla Siedmiogrodzianina. Szło tu głównie o szwagra Zborowskich, Jana Hieronima Chodkiewicza. Pikantnym szczegółem tej charakterystycznej dla czasów walki politycznej był fakt, że

inny Zborowski, Krzysztof, oferował swe usługi Dudyczowi, obiecując powstrzymać w agitacyjnych zapędach na rzecz Batorego swego brata Andrzeja. A Krzysztof znany był jako świetny orator. Wziął za to okrągłą sumkę, po czym nie potrafił odnaleźć brata, który... również niewiele robił. Zdaje się, że obaj panowie z zadowoleniem wsypali guldeny i talary do mieszków — i na tym się agitowanie skończyło. Przekonamy się o tym później: po reakcji Litwy na wybór i osobę Stefana Batorego.

Dlaczego Zborowscy popierali Batorego, asekurując się zresztą i podając za zwolenników Habsburgów? Zaważył tu, wydaje się, krótki okres panowania Henryka Walezego. Piotr Zborowski umyślił sobie sterować słabym książątkiem z Siedmiogrodu. Jeśli zaczęło mu się to udawać w odniesieniu do francuskiego księcia krwi, który został królem polskim, to dlaczego nie miałoby się udać wobec Transylwanina bez koligacji dynastycznych?

Dzień 3 października 1575 roku w Warszawie, wyznaczony przez prymasa na rozpoczęcie sejmu konwokacyjnego, był w rzeczywistości introdukcją „najświetniejszego theatrum", za jakie szlachta zaczęła uważać „wolne obieranie pana". Dzień wcześniej Batory wysłał z Gyulafehérváru list, w którym ustanowił legalnych posłów i swych komisarzy — Marcina Berzeviczyego i Jerzego Blandratę. Mieli oni oficjalnie reprezentować interesy księcia Siedmiogrodu. Do Warszawy przybyło jednak mało herbowych; ustalono więc, po krótkich jednodniowych naradach, że elekcja odbędzie się 7 listopada w Warszawie. Ów szybki bardzo termin miał swoje uzasadnienie. Prymas Jakub Uchański, targany wątpliwościami, jeszcze niedawno niemal zwolennik reformacji i trzech naraz kandydatów — luterańskiego Szweda, prawosławnego cara i katolickiego cesarza — zgromiony zjadliwie przez nuncjusza papieskiego Wincentego Laureo, że tylko sułtana brakuje, a będą reprezentowane wszystkie wiary, liczył, że na elekcję nie przybędzie szlachta ruska. Starzejący się, niezdecydowany arcybiskup po wyśmianiu go przez Laurea stał się bowiem zwolennikiem Maksymiliana II, którego nie chciała szlachta ziem zagrożonych przez Turcję i jej pomocników. Właśnie w październiku trwało potworne łupienie Podola i Rusi Czerwonej przez Tatarów

— i bitni herbowi tych ziem zajęci byli obroną przed lotnymi ordyńcami. Obrazu nieszczęść dopełniała fatalna susza: ogromnej szopy ze Stężycy nie można było spławić Wisłą do Warszawy, gdyż rzekę w wielu miejscach przebywano w bród.

Arcybiskup gnieźnieński pomylił się. Dzięki Zamoyskiemu to właśnie szlachta ruska — „wynędznieni na twarzy, w żałobnym odzieniu" — stawiła się licznie. Oczekiwano zwarcia między Habsburgiem a „Piastem", a nawet carem; prymas, pilnie strzeżony przez nuncjusza, by nie zmienił znów poglądów, zauważał, że nieoczekiwanie z tego starcia może wyjść zwycięsko Stefan Batory. Laureo sądził, że jeśli już dojdzie do wyboru słabszego kandydata, to będzie nim książę Ferrary. Rozmowy te, powiadomienie papieża o kandydaturze Batorego świadczyły jednak o liczeniu się z księciem Siedmiogrodu i obawie przed jego wyborem. Kojarzył się przecież z Turcją jako jej lennik. Czy można się zatem dziwić, że cesarz zawarł z wielkim księciem moskiewskim porozumienie, na mocy którego obaj władcy zobowiązali się rozebrać Rzeczpospolitą, gdyby Stefan Batory został obrany królem? Iwan zadowalał się Litwą i Kijowem, Maksymilian resztą, z arcyksięciem Ernestem na tronie wawelskim. Nie łudźmy się: to nie osoba księcia Siedmiogrodu budziła obawy i szaleńcze pomysły, ale lęk przed wprzęgnięciem Rzeczypospolitej w sferę interesów tureckich.

Siódmego listopada zaczęło się wreszcie „najświetniejsze theatrum", czy jak chcieli inni, bliżsi prawdy, „dziwowisko". Do Warszawy na sejm elekcyjny zaczęły zjeżdżać obce poselstwa; posła moskiewskiego Łukę Nowosilcowa senatorzy litewscy zatrzymali zgodnie na granicy pod jakimś pretekstem. Niektórzy myśleli o bardziej radykalnych środkach. Oto w maju 1575 roku widzimy rozpartego wygodnie na wozie Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, który w otoczeniu silnego pocztu jedzie do Stężycy. Prowadzi on bardzo interesującą rozmowę. „Na wozie jadąc mówiliśmy ze sobą, podoba się nam, aby temu hończowi moskiewskiemu dać jaką pigułkę, żeby do Stężycy nie przyjechał. Nie wiem, jeśli się to waszmości zda, wszakże WMość, hetmanem będąc, często ich do Abrahama czasem cicho posyłał[?!], a co by temu wadziło? Bo się boim, aby czym nie siał mię-

dzy ludźmi, a dla dobrego ojczyzny nie wadzi łotra Moskwicina stracić, dawszy mu co zjeść, potem rzec, że upiwszy się, apopleksją umarł. A jeśli się WMości zda, tedy kogo by na to posłać, racz WMość dać znać, który by przysiąc musiał, żeby to cicho zostało..." — podpowiadał Radziwiłł sprawdzone ponoć rozwiązanie wojewodzie wileńskiemu.[9]

Trucicielstwo było obce na ogół Polakom, choć list może wywołać wrażenie, że dość często posuwano się na Litwie do makiawelicznych podstępów. Historycy jednak dotąd nie znaleźli przypadków trucia moskiewskich posłów: Mikołaj Krzysztof Radziwiłł po prostu koloryzował. Ale sprzeciw szlachty litewskiej wobec zatrzymania Nowosilcowa na granicy, obawa senatorów przed intrygami carskimi skłoniła historyka radzieckiego do wysunięcia tezy, iż „ich akcja bez wątpienia przyczyniła się do tego, iż na sejmie elekcyjnym 1575 roku Iwan Groźny nie został wybrany królem..." [10] Skąd taka pewność, skoro szlachta koronna nie podzielała sympatii części szlachty litewskiej, zresztą w większości spolonizowanej — nie wiemy. Nawet gdyby posła moskiewskiego dopuszczono na pole elekcyjne pod Warszawą — to przeważała tam szlachta koronna. Poza tym — trwała zażarta walka konkurencyjna, a nie nadzieja na nominację na mocy liczby posiadanych tytułów i straconych przeciwników. Wystarczy przyjrzeć się posłuchaniom posłów zachwalających przed szlachtą i senatorami swoich kandydatów.

Kolejność przemówień była gradacją ważności kandydatów. Pierwsi mówili posłowie Habsburgów. Po nich chory wysłannik króla Szwecji, Francuz Andrzej Lorichs. Następnie przedstawiciele władcy Ferrary, Prus Książęcych i sześciu elektorów Rzeszy niemieckiej. Dopiero po nich zaszczytu wystąpienia przed senatorami dostąpił poseł siedmiogrodzki. Miał to uczynić podkanclerzy Marcin Berzeviczy, ale zaniemógł — czyżby to tylko skutek jesiennych deszczów — jak wielu posłów. Zastąpił go, co zauważył z przekąsem luteranin Świętosław Orzelski „doktor nauk przyrodzonych znakomity, ale zarażony trądem ariaństwa" Jerzy Blandrata, w trzy dni po wystąpieniach innych posłów, 15 listopada.

Nie wiemy, czy Blandrata odczytał orację — Orzelski twierdzi,

że nie — czy ktoś inny. Ale napisana ona była znakomicie. Szkopuł w tym, że „nieliczne było zgromadzenie, które mu się przysłuchiwało i nie zwracano na nie prawie uwagi, ponieważ poseł nie miał listu wierzytelnego, a przy tym nie posiadał stronników" — zauważył z nutką ironii Orzelski.

Sprawa listów uwierzytelniających jest zagadkowa. Wiemy przecież, że Blandrata i Berzeviczy mieli taki list: albo kronikarz się pomylił, albo nie pokazali go senatowi polskiemu. Wszak Blandrata wszędzie mianował się prywatnym człowiekiem księcia, a nie posłem. Takie postępowanie budzi po wiekach podejrzenie. Czyżby ostrożny Batory do ostatnich chwil nie ujawniał, że zamierza z całych sił walczyć o polską koronę? Czy rzeczywiście choroba Berzeviczyego — człowieka wypróbowanego przez Batorego w misji do Rzymu — uniemożliwiła przedstawienie listów? Przytoczmy jednak za Orzelskim, co mówił znakomity doktor nauk przyrodzonych, choć mało kto go słuchał:

„Ponieważ do tego doszło, że odłożywszy próżne wyrazy na stronę, trzeba koniecznie głębokiego namysłu i dojrzałej rady, ponieważ teraz więcej waży czyn niż słowo, ażeby nie poniosła większego jeszcze uszczerbku rzeczpospolita chrześcijańska, której Sarmacja jest spiżowym murem, zmuszony byłem podjąć się obowiązku, przechodzącego słabe siły moje, przedstawienia wam w prostych wyrazach, jasno i zwięźle, życzeń mego księcia.

Najdzielniejszy naród węgierski z powodu sąsiedztwa i ścisłych stosunków cieszył się zawsze jednakim z niezwyciężonym narodem polskim szczęściem. Zarówno jeden, jak i drugi z rzeczonych narodów obawiali się zawsze, aby gdy u sąsiada gore, i on sam od tego pożaru nie spłonął. Książę siedmiogrodzki wyżej ceniąc to prześwietne królestwo nad wszystkie państwa Europy, tknięty świętym zapałem i prawie, rzec można, obawą o wspólną ojczyznę, w tak trudnym znajdującą się położeniu, nie chciał opuścić się zręczności przysłużenia się jej i okazania swej gorliwości (...) Aczkolwiek książę zadowolony jest ze swego losu i nie pragnie nic więcej, nie będąc próżną żądzą panowania podżegany, jak o tym wiedzą prawie wszyscy senatorowie królestwa, jakkolwiek wie, jak słabe są jego siły

i moralne, i fizyczne i nie tajno mu bynajmniej, jak ciężkie brzemię, jak trudne obowiązki i jak wielkie troski połączone są z Koroną Polską, mimo to jednak gorąco pragnąc przyłożyć się do szczęścia Polski i dołączyć do dawnych nowe stosunki zażyłości, książę chce dać dowód wieczysty prześwietnym stanom królestwa przyjaźni swojej, stałości i przywiązania (...) osobą swoją, życie i skarby oddaje jej i ofiaruje. Wszystko to gotów jest uczynić, życzy jednak przede wszystkim, aby dostojne stany królestwa oddały pierwszeństwo w wyborze austriackiej, cesarskiej familii, której książę bardzo wiele zawdzięcza i chciał zawsze pierwej i teraz się przysłużyć."

Rzeczywiste zamiary Batorego czy wybieg taktyczny? Gdyby nie pamiętny list księcia do brata Krzysztofa, znaleziony w wiedeńskim archiwum przez Ludwika Bazylowa, już bylibyśmy przekonani co do zupełnej ustępliwości Batorego wobec cesarza podczas walki elekcyjnej. Świadczyłby o tym również list Blandraty do księcia wysłany przez lekarza w dwa dni po odczytaniu jego mowy przed sejmem: „naturalnie, nie będziemy mogli rywalizować z cesarzem, gdy zostanie obrany królem".[11] A nim zostanie królem?

„Przy tym książę posiada królewskie przymioty — kontynuował Blandrata — bogobojność i przywiązanie do wiary katolickiej, stosowne wychowanie, głęboką naukę, zwyczaje proste, skromne, dziwną ludzkość, przezorną hojność, długie doświadczenie, biegłość w sztuce wojennej, równą zręczność w prowadzeniu wojny, jak w zachowaniu pokoju i wymiarze sprawiedliwości, nawyknienie do pracy, sąd bystry i głęboki, rozsądek i pamięć obszerną, piękność postawy, moc fizyczną i zdrowie zadziwiające — wszystkie warunki najbardziej w państwie pożądane. Niektórzy mogą mu zarzucić nieznajomość języka polskiego, lecz zarzut ten upada, bo wszyscy senatorowie i większa część rycerstwa umieją po łacinie i sprawy wszelkie państwa w tym języku się odbywają. Książę jest wymowny i zdolny; w ciągu jednego roku wyuczy się z łatwością mówić po polsku, bo już od dawna język ten trochę rozumie."

Sprawa języka była dla Polaków istotna: prymas odmówił poparcia dla arcyksięcia Ernesta, „dlatego że za młody i po polsku nie umie".[12]

Blandrata, wychwalając Batorego pod niebiosa, kłamał niewiele: książę zupełnie nie znał polskiego i nie przywiązywał do tego wagi oraz miał pewną trapiącą go rzadko, acz dotkliwie skazę fizyczną. „Co się tyczy haraczu — wyjaśnił najbardziej drażliwą sprawę poseł Batorego — nie płaci go sam książę, który nie został przez nikogo pokonany i nie przestał być wolnym, ale składa go państwo siedmiogrodzkie dla spokoju publicznego i własnej dogodności. Nie sam książę począł płacić ten haracz, ale płaci go, ponieważ płacić go poczęła królowa Izabela i syn jej Jan Zygmunt, którym sułtan nadał Siedmiogród w podarunku; sądzę, że i stany Królestwa Polskiego nie odmówiłyby podobnego haraczu, gdyby cesarz turecki darował im Mołdawię."

Argumentacja trafna: Rzeczpospolita też czasem musiała opłacać się Tatarom i Turkom. Tym łatwiej przyszło słuchać nielicznym zainteresowanym warunków Batorego. „Wolności polskie sławne" miały być uszanowane i nietykalne, długi Rzeczypospolitej spłacone, ziemie, które zagarnęła Litwie Moskwa — odebrane, wszystkie granice zabezpieczone, w czym miała pomóc obiecana przez wojewodę suma 200 tysięcy guldenów, szlachta ruska wzięta w jasyr przez Tatarów — wykupiona.

Mowa ta nie uczyniła większego wrażenia: inni obiecywali to samo lub więcej, tyle że w gorszym stylu. Na przykład poseł Alfonsa d'Este z Ferrary, Aleksander Baranzoni, obiecywał wybudowanie z pieniędzy księcia twierdz pogranicznych w Polsce, utrzymywanie czterech tysięcy strzelców, sprowadzenie wybitnych uczonych do podupadłej Akademii Krakowskiej. Mimo to spotkał się z chłodnym przyjęciem szlachty pamiętającej dobrze obietnice posła Walezego, Jana Monluca.

Stosunek senatorów i posłów szlacheckich do wysłanników Batorego był przy tym wyraźnie lekceważący: być może działo się tak skutkiem niezdecydowanego zachowania się Blandraty i Berzeviczyego występujących z kandydaturą swego księcia jako osoby prywatne, deklarujących niechęć do rywalizacji z cesarzem. Kiedy wreszcie po kilku dniach posłowie Batorego wyrazili chęć pokazania listów uwierzytelniających od księcia, senat i reprezentanci szlachty

nie przyjęli ich, lecz wysłali do Węgrów deputację na czele z Janem Orzelskim. Może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby po powrocie Orzelskiego, podczas jego relacji ze spotkania „bardzo mało senatorów znajdowało się przy tym, a reszta albo nic nie wiedziała o poselstwie, albo przez niedbałość bawiła w swoich gospodach". Przenoszono pogawędkę przy dzbanie piwa czy kielichu wina nad nudę słuchania o najmniejszym z kandydatów do polskiej korony, który tak długo decydował się, by oficjalnie stanąć w wyborcze szranki.

Dopiero głos spóźnionego bardzo czausza tureckiego kazał się znów szlachcie zastanowić nad kandydaturą Batorego. Ponownie była ona wymieniana przez posła tureckiego, choć nadal na trzecim miejscu, za „Piastem" i szwedzkim królem. Mimo to w głosowaniu senatorskim ani jeden głos nie padł za Batorym; miażdżąca natomiast większość była za Habsburgami. Jedynie Andrzej Zborowski poczuł się zobowiązany z powodu przyjętych 35 tysięcy guldenów wspomnieć o swym sponsorze — ale na drugim miejscu, po Alfonsie d'Este.

Wydawało się, że stanie się to, co było do przewidzenia: „felix Austria" dostanie bez jednego wystrzału czy błysku szabli tron mocarstwa sięgającego od Dniestru i Dniepru po Bałtyk i Wartę. Konsekwencje tego wyboru mogły być dla Polski i Austrii fatalne, pchając je do wojny z Turcją. I wtedy na dziejową widownię wkroczyła, i to głośno, szlachta.

„Między Polakami a Niemcami na wieki zgoda być nie może, struny niemieckie z polskimi się nie zgodzą, a orzeł czarny z białym", „aż do gardł naszych nie chcemy Niemca" — takie oto hasła przebiegały wśród szlachty świadomej konsekwencji wyboru Habsburga. Koło rycerskie odsunęło się od szopy senatorskiej; niechęć zresztą widoczna była już w Stężycy. „Chcemy Piasta" — wołano za Janem Zamoyskim. Dodajmy, że mąż ów wygłosił za „Piastem" mowę równie przekonującą jak uprzednio za Walezym. Potem będzie się śmiać, że dwie mowy otworzyły mu drzwi do kariery: przeciw „Piastowi" i za „Piastem". Ten człowiek znał się na względności rzeczy tego świata, choć w obu wypadkach kierowała nim niechęć do wyboru Habsburga. Ale nie do Niemców, jak to się zwykło pisać i sądzić.

Równie dobry mówca Krzysztof Zborowski udowadniał coś wręcz przeciwnego: iż „Piasta nie ma za stworzenie Boże".[18] Ale przytłaczająca większość herbowych nie tylko uważała „Piasta" za „stworzenie Boże": ogłosiła się za nim i przeniosła spod szopy senatorskiej na pole elekcyjne. Chodziło o to, by senat nie wykorzystał obecności herbowych do nominowania królem Habsburga. Jak było do przewidzenia, nastąpił ostry podział, w którym chór większości zderzył się z dostojnymi głosami senatorskimi.

Możemy się dziwić dawnym Polakom, a nawet na nich psioczyć: przecież głos większości winien być uszanowany. Po pierwsze, wieki upłynęły i nadal trzeba udowadniać, w tym zbiedniałym i brudnym zaścianku Europy, prawo do demokracji, pluralizmu i wolności. A po drugie, wyobraźmy sobie, jak zachowywaliby się ci, którzy byli przeciw, a ich głosów nie uszanowano. Pola i stepy w Rzeczypospolitej były szerokie, zamków i stałej armii mało, egzekucja praw i administrowanie nigdy nie były silną stroną Polaków. Lepiej było zatem czekać i przekonywać, przekonywać, przekonywać aż do ostatniego magnata i jego klienta. A to wymagało gadulstwa.

Wybrano zatem wspólną komisję, ale ta zaraz utonęła w morzu kolejnych przemówień, wotów, oracji. Zamoyski odważnie wyrzucał posłom austriackim, że nie raczą zniżyć się do poziomu stanu szlacheckiego, pertraktując jedynie z senatem; że wybór Habsburga w oczach herbowych polskich to przygotowanie Polsce losu Węgier. Z kolei gdy wojewodowie Kostka i Tęczyński ostatecznie odmówili przed szlachtą włożenia korony, do koła poselskiego przybyło trzech senatorów, by przekonać „panów braci" do Maksymiliana. Był wśród nich wojewoda Mielecki, który widząc nieprzejednanie szlachty wobec elekcji cesarza, uderzył w podniosłe tony profetyczne. Podczas wyboru Henryka wieścił „najzgubniejsze skutki"; teraz jak najlepsze, po obraniu Maksymiliana królem polskim. Gdy i to mało wzruszyło szlachtę, rymnął na kolana, płacząc nad „nieupamiętaniem" braci herbowej. Co wrażliwszym pokazały się również łzy w oczach — równie łatwo płakano, jak wpadano w szalony gniew — ale nie wszystkim. „Wojewoda niby w rozpaczy" — stwierdził trzeźwo Orzelski. Do żadnych kompromisów nie doszło.

Działo się to 12 grudnia, zapadał już wieczór, senatorowie wysłani do „braci mniejszej" nie wracali — i wtedy około godziny piątej po południu prymas Jakub Uchański zdecydował się na stanowczy krok. Nadal pilnie strzeżony od innych poglądów przez nuncjusza Laureo, który roztaczał niezwykłe miraże imperium katolickiego, arcybiskup od 5 grudnia był zupełnie przekonany do elekcji Habsburga. Mimo że jednocześnie zdawał sobie sprawę ze słabości partii austriackiej w Polsce.

Królem Polski i wielkim księciem Litwy został przezeń obwołany cesarz Maksymilian II.

Ale był to wybór niepewnych: do katedry Świętego Jana dotarli z prymasem nieliczni, w tym jeden tylko biskup — płocki, Piotr Myszkowski. Drżącym głosem zaintonowano dziękczynne *Te Deum laudamus*, w którym było chyba więcej strachu niż wzruszenia.

Gdy następnego dnia wieść o obwołaniu cesarza królem polskim poza plecami szlachty dotarła na pole elekcyjne, wywołała tam olbrzymie wzburzenie: wielu chciało iść z dobytymi szablami na senat. Prymas cudem ocalał: „tegoż dnia ktoś z tłumu śród miasta strzelił z pistoletu do arcybiskupa jadącego z zamku konno i zabił osobę, która znajdowała się podle prymasa". Zabitym miał być jakiś kanonik, strzelającym szlachcic, który żądając wyjaśnień, wymierzył rusznicę wprost w pierś arcybiskupa. Do siekaniny i mordu politycznego, który w Polsce byłby ewenementem epoki, na szczęście nie doszło.

Ale stronnictwo szlacheckie znalazło się w kropce: zabrakło „Piasta". Była jednak Jagiellonka. Pięćdziesięcioletnia Anna, odtrącona niedawno przez Walezego, trapiona bolesnymi migrenami klimakterium. Mimo że jej dewizą na pokaz było sic fata volunt, nie czekała biernie, co Bóg i szlachta przyniesie, ale usiłowała wpływać na swoje i kraju szczęście. Początkowo chyliła się ku Ernestowi i Austriakom: była nawet na nabożeństwie dziękczynnym po obwołaniu Maksymiliana królem. Szlachta z tego powodu odwróciła się od niej z niechęcią. Ale teraz była ostatnią nadzieją na wybór „Piasta". Walnie przyczynił się do ożywienia tej nadziei Jan Zamoyski, radząc wybrać Annę na królową Polski i przydać jej męża. Starosta bełski

i od niedawna knyszyński przypomniał tu zręcznie dzieje Jadwigi i danego jej za małżonka wielkiego księcia litewskiego Władysława Jagiełły. Ta właśnie paralela otworzyła umysły i serca szlachty do propozycji Zamoyskiego.

Tylko — kto miał być tym mężem? Zamoyski nie podał kandydata, chyba nie za bardzo wiedział, ku któremu się przychylić, by zyskać jak najwięcej. Wtedy wstał kasztelan biecki Stanisław Szafraniec, mówca ponoć dobry, choć z zachowanych wotów tego nie widać, cieszący się ze względu na wiek i zasługi większym szacunkiem niż młody Zamoyski. Mówił dość rozwlekle, aż w końcu zapytano go, kogo proponuje na męża Jagiellonki.

„Wiem takiego młodzieńca, książę jedno, który ma lat czterdzieści cztery, jest uczony, mądry, w rzeczach rycerskich biegły i doświadczony w męstwie i hetmanieniu — odparł Szafraniec — który nam na ratunek prędko z ziemie swej z wojskami swymi może przybyć, a przedtem sumę pieniędzy niemałą może dać na żołnierze, a ten i cesarzowi, jeśliby się na nas targnął, i moskiewskiemu na potem łatwie odeprzeć jako pan mądry i rycerski z nami może, od Turków i Tatarów pokój wieczny mieć możemy, bo on ma z nimi pakta poprzysiężone (...) Jeśli go mianować każecie, mianuję."

Choć trudno uwierzyć, to wedle uczestnika elekcji i kronikarza z kręgów reformacji, część szlachty nadal nie wiedziała, za kim to imć kasztelan wotuje. „Bo acz nas wiele było, cośmy wiedzieli, gdzie mierzy, ale też było takich wiele, co się tego nie domyślili, bo tak mały był u nas przez wszystek on czas elekcji kandydat Batory, że się ani przez sen o nim myślić nie chciało, a mówić co się śmiesznego zdało" — dodał z rozbawieniem autor *Poloneutychii* Andrzej Lubieniecki.

Kolejny to głos świadka wydarzeń, że z kandydaturą siedmiogrodzką prawie się nie liczono. Wreszcie, gdy Szafraniec zorientował się, że ci, którzy domyślają się osoby kandydata, nie protestują, powiedział: „Stefan Batory".

I zaraz potem usłyszał głosy szlachty: „Dobry, dobry, przestaniem na nim." [14]

Anna uczyniła dla sprawy wyboru księcia siedmiogrodzkiego bar-

dzo istotny gest: na wieść o projekcie wydania ją za Batorego prychnęła z niechęcią. Wolała Habsburga. To wystarczyło, by szlachta tym mocniej poparła sprawę obrania Stefana królem. Casus Elżbiety, królowej Anglii, nie mógłby mieć miejsca w Rzeczypospolitej: tutaj całowano rączki, dwornie kłaniano się, deklarowano szacunek, ale nie było w zwyczaju, by białogłowa rządziła, choćby była królową. Zbyt świeża była pamięć o Bonie.

Duchowieństwo było ostrożne, aczkolwiek dalekie od poparcia prymasa. Część biskupów skłonna była uznać Batorego, gdyby nie pewne podejrzenia: mimo deklarowanego gorącego umiłowania wiary katolickiej książę stale przysyłał innowierców, głównie nie lubianych w Polsce arian.

Pojawienie się Batorego w roli głównego rywala cesarza zaskoczyło posłów Maksymiliana. Zaczęli prosić Blandratę i Berzeviczyego, by ich książę zaniechał polskiej korony. Ci jednak byli już zupełnie innymi ludźmi: oświadczyli twardo, bez cienia dawnej ustępliwości, że ich pan zamierza koronę przyjąć. Mimo że miesiąc temu deklarowali poparcie dla elekcji cesarza, które brzmiało tak szczerze.

Wypadki potoczyły się już znacznie szybciej niż rozwlekłe mowy i wzajemne przekonywania. Czternastego grudnia znany przywódca herbowych marszałek szlachty Mikołaj Siennicki obwołał na żądanie wszystkich województw królem polskim Stefana Batorego. Następnego dnia wygotowano oficjalne, ozdobione dziesiątkami pieczęci pismo senatorów popierających elekcję Batorego. „Nos consiliari", rada senatorska i stany stwierdzały, że Henryk de Valois nie dotrzymał warunków umowy i nie pojawił się na tronie krakowskim. Zawiadamiano zatem Annę i Stefana Batorego o elekcji obydwojga. Imię Anny stało na pierwszym miejscu nie tylko przez wzgląd na szacunek dla pamięci Jagiellonów i kobiety.[15] Król miał być małżonkiem królowej. Do Gyulafehérváru ruszyło poselstwo wojewody lubelskiego Jana Tarły, a do Anny, na komnaty zamku w Warszawie, wojewoda sandomierski Jan Kostka.

Jagiellonka nie dała się długo namawiać: w dwa dni po napisaniu dyplomu oświadczyła, iż woli być królową niż małżonką syna króle-

lewskiego. Senatorom prohabsburskim wyrzucającym jej zmianę sympatii odrzekła z godnością: „Ponieważ wysocy mocarzowie nie wahali się ubiegać o koronę, któż by jej chciał odradzać, aby tego, co jej szlachta nie proszona ofiarowała, nie miała przyjąć?"[16]

Historia zna wiele podwójnych wyborów. Na ogół kończyły się one niedobrze. Dwudziestego grudnia na zamku marszałek wielki koronny uroczyście ogłosił królem Maksymiliana, podczas gdy sto metrów dalej Andrzej Zborowski obwieścił na Rynku Warszawskim ustanowienie królem polskim księcia siedmiogrodzkiego. Stało się to, co jeszcze kilka dni temu wydawało się zupełnie niemożliwe: książę czy może wojewoda niewielkiego Siedmiogrodu, lennik turecki, sługa cesarski ex nomine, partner odpowiedni dla wojewody podolskiego, wybrany został władcą Rzeczypospolitej, mocarstwa decydującego o kształcie i poczynaniach w tej części Europy. Opinia Reinholda Heidensteina, że „raczej śmiałością jednego stronnictwa niż powagą senatu i ogólną zgodą królem obrany został", jest bliska prawdy, a przynajmniej na taką prawdę zgadzał się przyszły przyjaciel Batorego, Jan Zamoyski.

Podkreślała wszak jego, trybuna szlachty, znaczenie.

III. RYWALE

Z wyboru Batorego najpiękniej bez wątpienia ucieszono się w seraju. Sam sułtan Murad III nakazał „świętować triumf w mieście naszym Konstantynopolu" z okazji wyboru jego lennika, Stefana Batorego, na króla Polski.[1]

Ale książę siedmiogrodzki był jednym z dwóch nominowanych królów polskich: potężny cień „władcy świata" cesarza Maksymiliana wisiał nad nim i popierającą Batorego szlachtą. Należało się śpieszyć. Do Gyulafehérváru wyjechały poselstwa.

Z Wiednia jest nieco bliżej do stolicy Siedmiogrodu niż z Warszawy. Toteż pomimo że poselstwo rady senatorów i stanów polskich z Janem Tarłą ruszyło do Gyulafehérváru wnet po napisaniu dyplomu elekcyjnego, poseł cesarski był pierwszy. Maksymilian II wyda-

wał się poważnie zaniepokojony: starosta koszycki Jan Rueber donosił o wielkim spisku wśród magnatów węgierskich, gotowych nawet oderwać habsburską część Węgier od cesarstwa. Nie zwlekając pchnął zatem do Batorego starostę szatmarskiego Krzysztofa Teuffenbacha, który miał nie tylko przekonać księcia, iż to „pewni warchołowie i wichrzyciele mianowali go wprawdzie królem polskim", ale że nie należy im wierzyć i przyjmować korony. Poseł cesarski miał też zorientować się, czy Batory nie szykuje się do wojny.

Przytyczek był przykry dla księcia z dwóch względów: cesarz okazywał swą władzę i siłę, żądając od wojewody zrzeczenia się pretensji do tronu wawelskiego, na który, niemal bez jego udziału, powołała go szlachta. A z żądaniem tym przysłał obecnego pana Szatmáru, z którym Batory był mocno związany emocjonalnie.

Książę jednak umiał schować emocje pod żupanem. Ze spokojem przyjął Teuffenbacha 14 stycznia 1576 roku w komnatach zamku w Gyulafehérvárze. Jak miał w zwyczaju, na ważne posłuchanie cesarskiego posła zaprosił swego brata, Krzysztofa. Batory wydawał się człowiekiem mocno zdziwionym tym, co się wydarzyło, skromnym, by w końcu objawić zdecydowanie i siłę. Jak to? — dziwił się początkowo — przecież on, wojewoda siedmiogrodzki, zalecał Blandracie i Berzeviczyemu popieranie w Warszawie kandydatury cesarza. Nie jest więc winien, że go „dziwnym zrządzeniem boskim większa część senatu polskiego i szlachty koronnej, litewskiej i pruskiej obrała". W tym miejscu Batory mocno błądził, gdyż właśnie Litwa i Prusy dalekie były od popierania jego kandydatury. Cesarza „mianowanie odbyło się nie w miejscu i nie w czasie należytym, nocną porą, mimo protestacji większości narodu". „Mnie — oznajmił Batory — nie godzi się (...) puszczać z rąk korony. Gdybym to uczynił, obraziłbym i uzbroił przeciwko sobie sułtana, którem go stanom polskim zalecał."

Były to mocne argumenty, bo niemal zgodne z prawdą, ale Teuffenbach miał przygotowany repertuar zagrywek i odpowiedzi. Po pierwsze, Stefan Batory nie zdoła udźwignąć ciężaru obrony przed Turcją, co jest podstawowym obowiązkiem chrześcijańskiego władcy. Wojewoda siedmiogrodzki, oznajmił poseł, złamał przy tym przyrzeczenie ustąpienia miejsca, gdyby Habsburg został obrany królem polskim. Zresztą, dodał łaskawie Teuffenbach, dobry cesarz godzi się na oddanie kilku zamków pogranicznych wojewodzie, o co toczyły się dotąd gorszące spory, jeśli ten zaniecha pretensji do korony wawelskiej. Zaogniła się nie zagojona całkiem od czasów uwięzienia rana Batorego: wojewoda przypomniał posłowi, jak jego cesarski władca wbrew zapewnieniom popierał i poduszczał nań Bekiesza. Kto zatem łamie układy? Ależ wasz wybór jest bezprawny, mości wojewodo, gdyż nie przez arcybiskupa gnieźnieńskiego ogłoszeni byliście — dowodził Teuffenbach. W tym jednym momencie katolik Batory się skonfundował. Nie na tyle jednak, by celnie nie zauważyć:

„Gdy arcybiskup zdawał się senatorom i rycerstwu podejrzany, kto inny za niego czynił mianowanie, elekcja zawsze należała do rycerstwa."[2]

Starał się jednak być układny i spokojny, a nawet w sprawach odszkodowań ustępliwy i niezdecydowany, by broń Boże nie sprowokować cesarza i jego posła. Jednocześnie prowadził grę na zwłokę, niby wahając się, a w rzeczywistości nie chcąc krępować sobie rąk zobowiązaniami. Uparty Niemiec nachodził go zresztą wielokrotnie, żądając kategorycznej odpowiedzi.

W końcu Teuffenbach doczekał się jej w ostatniej dekadzie stycznia 1576 roku. Wtedy to w Gyulafehérvárze pojawiło się wielkie poselstwo polskie. Dwudziestego piątego stycznia wojewoda Tarło wręczył Batoremu dyplom elekcyjny. Pewny już swego książę siedmiogrodzki mógł wobec posła cesarskiego zdjąć maskę: „Niechby powiedzieli [cesarz] zgłodniałemu, który trzyma dobry kąsek w ustach: nie połykaj, bo umrzesz z tego"[3] — rzekł ironicznie do Teuffenbacha. Tym cennym kąskiem była oczywiście korona polska. Poseł cesarski został wyproszony z Gyulafehérváru.

Ale szlachta polska wcale nie była pewna, czy ich elekt łatwo przyjmie koronę: walczył o nią przecież tak nieśmiało, dostał ją w gruncie rzeczy przypadkiem, choć z woli podzielonego narodu. Toteż wysłane do Gyulafehérváru poselstwo na wszelki wypadek przygotowało w bukiecie kwiecistych przemówień o przyjaźni pol-

sko-węgierskiej i niewzruszonych wolnościach polskich ciężki argument. Jeśli, królu, nie zechcesz panować w Rzeczypospolitej, to Turcja zrozumie to jako twój tajny sojusz z cesarzem. A wiesz, co to oznacza dla niepełnej wszak niezawisłości Siedmiogrodu. Ustne ostrzeżenie miało być przekazane Batoremu na tajnym posłuchaniu, bez świadków, by nie dotarło do Stambułu.

Ale poselstwo nie musiało uciekać się do argumentu, choć długie, odczytane przed elektem pismo z paktami polskimi, które już Walezego wprawiały w niemiłą rozterkę, mogłoby mniej wytrawnego polityka zniechęcić. Batory chciał tej korony bardzo — a Polacy widzący go po raz pierwszy, z kompleksem Walezego w sercach, byli wprost oczarowani trafnością wyboru. „Sam jest to słuszny pan, a nie dziecko" — pisał z nietajoną radością poseł Jan Płaza, późniejszy starosta lubaczowski, po pierwszej rozmowie z elektem. — „A w tym krótkim czasie mogliśmy go przecie poznać, iż za pomocą Bożą mieć będziem takiego pana, że wszelka waśń i niezgoda ustanie, a nasza Rzeczpospolita wielkiej wspaniałości i wszystkiego dobrego pod jego panowaniem zażywać będzie. P. Bóg dał mu wysoki rozum, także prawdziwie królewską postawę, obok szczególnie wspaniałych obyczajów, także wielką walecznością P. Bóg go obdarzył. Waszmościowie wszyscy to zobaczycie" — zapewniał brać szlachecką imć Płaza.[4] Wrażenia tego nie zatarła, ale raczej wzmocniła je dociekliwość Batorego, który z sumiennością jął studiować przywiezione do zaprzysiężenia przez elekta pacta conventa. Dziwił się wielce artykułowi zakazującemu królowi rozdzielania pospolitego ruszenia na dwie części, wywodząc obszernie, chyba z nutką ironii, że „każdy rozsądny wojownik hufców swoich nie posyła tam, gdzie by je ktoś chciał mieć, lecz tylko tam, gdzie nieprzyjaciel wymaga ich bytności".[5] Przecież „wódz może przegrać, trzymając się tak przewrotnego prawidła"[6] — zżymał się Batory. Chyba też poczuł się nieco urażony sformułowaniem, „iż winien dawać przebaczenie i przysięgą zatwierdzać". Czyż królewskie słowo i łaska nie wystarczą? Może zauważył, że w zastrzeżeniach polskich tkwiło ziarno obawy przed jego porywczością, okrucieństwem i brakiem skrupułów, które to cechy bez wątpienia okazał po bitwie pod Szentpál. Posłowie zatem wyjaśnili elektowi, że pospolite ruszenie to kamień węgielny siły wojennej Rzeczypospolitej i jej demokracji, ale będą stosować się do woli króla, jeżeli ten nie będzie używał tych sił do własnych celów.

Wbrew pozorom nie była to błaha sprawa i sygnalizowała możliwość pojawienia się poważnych rysów na stosunkach króla ze szlachtą.

Ale Batory gotów był zaprzysiąc i podpisać wiele i szybko, by nie ubiegł go cesarski rywal. Był o wiele mądrzejszy i bardziej doświadczony niż młody spierający się w Paryżu o pacta Henryk Walezy: trzeba mieć koronę, by droczyć się o prawa. Obiecał uroczyście zaprzysiąc pacta po zakończeniu obrad sejmu siedmiogrodzkiego i uregulowaniu tutejszych spraw, oznajmiając jednocześnie, że posłowie węgierscy „już na podróż postąpili dużo pieniędzy", mimo że błagają go tu, by został, niebawem ruszy w ziemie Rzeczypospolitej. Posłowie polscy byli zadowoleni.

Batorego nie mógł powstrzymać inny wysłannik biegnący z Rzeczypospolitej — prymasa — który najpóźniej zjawił się na dworze księcia. Siostrzeniec arcybiskupa Uchańskiego, proboszcz łowicki Jakub Woroniecki, niczym deus ex machina oznajmił księciu siedmiogrodzkiemu o nominacji cesarza na króla polskiego i wyłożył, iż Batory nie powinien przyjmować wawelskiej korony, gdyż jego obranie jest bezprawne. Interwencje księcia u Turków, szukanie ich poparcia, dowodził, mogą wywołać nie tylko wielką wojnę, ale i upadek jego ojczystej dziedziny. Polityka jest jednak polityką i po części oficjalnej Woroniecki na posłuchaniu w cztery oczy odkrył sekretne karty. Prymas w najgłębszej tajemnicy zapytywał, czy Batory w razie objęcia tronu zgodzi się na przywrócenie pełnej jurysdykcji kościelnej, tak jak przyrzekł to arcybiskupowi cesarz? Jeśli Batory się zgodzi, wydając odpowiedni skrypt z postanowieniami, prymas gotów jest uznać księcia siedmiogrodzkiego za króla. Batory wysłuchał posła arcybiskupa gnieźnieńskiego uważnie, „z wielką uprzejmością (...) i robił mu najświetniejsze obietnice". Jednocześnie stanowczo unikał wplątania się w grę coraz bardziej zagubionego siedemdziesięciotrzyletniego starca „twierdząc, że sprzecznym byłby

z paktami, na które złożył przysięgę i bardzo słusznie obawiając się, by taki dokument nie odstrychnął od niego wielu stronników. Z drugiej znowu strony nie miał dobrej racji zaufać prymasowi, że całą rzecz w głębokim zachowa sekrecie." [7]

Obawy Batorego były bardzo na miejscu: Rzeczpospolita to kraj wielowyznaniowy, tolerancyjny i gwarancje dla katolicyzmu i prymasa, zmiany sojuszów politycznych nie mogły być tu dobrze przyjęte.

Należało działać śmiało, ale ostrożnie. Prawdziwy tytuł do władzy to nie tylko wybór, ale i liczba pozyskanych w Polsce autorytetów: za nimi idą szlacheccy stronnicy, całe ziemie i prowincje. Taka jest struktura państwa, a autorytety — to wielcy panowie, magnaci, choć nie zawsze. Batory po elekcji zwraca się najpierw do narodu szlacheckiego: „Nie ambicja ani chęć panowania każą nam chwycić się oburącz tego postanowienia [o wyborze na króla — J.B.] (...), chętnie byśmy praw naszych ustąpili Jego Cesarskiej Mości, gdyby to zależało od nas, a nie od waszej wolnej woli i od pożytku waszego kraju" — zapewniał elekt w liście z 2 stycznia 1576 roku.[8] Jest to ton człowieka skromnego, odpowiedzialnego, z odwołaniami do predestynacji, schlebiający polskiej szlachcie i stale odtąd przez Batorego używany. Ileż w tym prawdziwego przekonania — trudno dociec, choć książę to z pewnością również człowiek prostolinijny, mówiący często wprost.

Pisma z Gyulafehérváru wysyłane są w samą porę, gdyż masa herbowych pieczętuje wybór swojego króla zwołaniem na styczeń do Jędrzejowa pospolitego ruszenia. Szlachta łamie tym samym prawo, ale zdobywa zdecydowaną przewagę nad „cezarianami" i okazuje swą siłę: oto czyje jest państwo, którego republikańską demokrację należy szanować. W Jędrzejowie bowiem zdecydowano się wszystkich, którzy kwestionują postanowienia zjazdu, uznać za nieprzyjaciół ojczyzny oraz — co ważniejsze — iść jak najszybciej na Kraków, by zabezpieczyć insygnia koronne przed cesarczykami. Przemarsz odbył się szybko, bo już 1 lutego pospolite ruszenie wlało się bramami Krakowa, wyrzucając tym samym poza mury zwolenników Habsburga. Za 100 tysięcy guldenów, które przysłał Batory, najęto cztery tysiące jazdy i piechoty mającej chronić stolicę. Część rot odesłano do niechętnego Węgrowi Lwowa, spodziewając się zapewne, że przez to miasto będzie szedł elekt w drodze do Krakowa.

Szlachtę koronną, która ujawniła swe możliwości, demokratyczne przekonania i siłę, miał Batory za sobą. Jednocześnie usilnie pracował nad pozyskaniem „de amplissimis virtutibus" — dostojników i ludzi znacznych, niekoniecznie tytułami.

Siedmiogrodzki arianin Hieronim Filipowski często i „z niesłychaną szybkością" przemierzał Karpaty z listami Batorego. Gdzieś w połowie stycznia 1576 roku pismo od wojewody dostał Jan Zamoyski. „Jesteśmy świadomi aż nadto największych zasług Waszej Miłości dla naszej sprawy wśród najznakomitszych mężów i mówców przesławnej Rzeczypospolitej" — pisał elekt podpisując się skromnie Stephanus Bathory Vaivoda Transilvaniae i obiecując staroście bełskiemu największą przychylność, nagrody i rychłą pomoc.[9] Tak zaczęła się zdumiewająca kariera jeszcze niedawno średniego, choć starannie wykształconego szlachcica, którego Batory prawdopodobnie na oczy nie widział.

Skąd ten wybór? Czy ktoś elektowi podpowiadał? Być może. Zamoyski uchodził za trybuna szlachty, która poparła mocno kandydaturę siedmiogrodzką i na tej opoce społecznej chciał zapewne król oprzeć swe rządy. Mimo że Batory więcej zawdzięczał Szafrańcowi, który podał jego kandydaturę, marszałkowi szlachty Mikołajowi Siennickiemu, który decyzję o wyborze obwieścił, a szczególnie wpływowym wielce Zborowskim, z których większość znalazła się po jego stronie, pociągając innych, to pierwszy nie liczył się zbytnio, drugiego sława przebrzmiewała, ostatni zaś byli zbyt potężni, by kokietować ich nadmierną przychylnością. Zamoyski był padewczykiem, przywódcą szlacheckim, jurystą znającym prawa Rzeczypospolitej jak nikt inny w Polsce i na dodatek, miast pędzić do Gyulafehérváru po łaski pańskie, pojechał w paszczę lwa, do Wiednia. Do cesarza, który jeszcze niedawno, bo w październiku, kaptował Zamoyskiego osobistym listem, aby przeszedł w szeregi jego zwolenników.[10] Teraz przedstawiciel szlachty osobiście miał prosić Maksymiliana, by zrzekł się praw do wawelskiej korony. To mu-

siało się odważnemu elektowi bardzo podobać: doceniał intelekt ożeniony z odwagą.

Batory wie również o przychylności biskupa kujawskiego Stanisława Karnkowskiego. Pierwszego lutego śle do niego list z zapewnieniem o względach dla religii katolickiej i poszanowaniu tak praw kościelnych, jak i Rzeczypospolitej.[11] Nie podpisuje się tu jeszcze „electus rex", król wybrany. Jego kancelaria pracuje pełną parą: pisma rozsyłane są na wszystkie strony świata, nawet do starostów. koszyckiego Jana Ruebera, lwowskiego Mikołaja Herburta, komendanta Kolozsváru Antoniego Ferencziego. To są ludzie czuwający nad gorącymi granicami państw. Ważną sprawą jest pozyskanie cesarczyków. Ton listów jest w takich wypadkach nieco surowszy: zawiera na ogół mieszaninę obietnic, upomnień i odwoływania się do wyższych racji. „O wielkiej trosce powinnej ojczyźnie" pisze 11 lutego do nieprzejednanego wojewody Mieleckiego. Batory może już wedle prawa polskiego używać rozwiniętej tytulatury króla wybranego Polski etc.; czyni to jednak w sposób dość charakterystyczny: „nec non Transilvaniae Princeps" (a także książę Siedmiogrodu).[12]

Wie, że motorem sprawczym poczynań ludzkich jest głównie ich interes, strach i pieniądze. Podczas gdy Maksymilian w grudniu obiecuje senatorskim adherentom 100 tysięcy guldenów — i na tym poprzestaje, gdyż jest panem świata, ale nie pieniędzy — Batory w końcu stycznia zapełnia skarb szlachecki 200 tysiącami guldenów. Są to pieniądze przeznaczone głównie na zaciąg wojska. Pierwszego lutego z Gyulafehérváru galopuje jego wysłannik Wawrzyniec Kozłowski z listem do Zamoyskiego, w którym Batory zapewnia szlachtę, że niebawem przybędzie, poprzedzony przez podkomorzego lwowskiego Wojciecha Starzechowskiego. Jednocześnie książę mobilizuje armię w Siedmiogrodzie, zapewnia sobie pomoc turecką z Budy, nawet hospodara mołdawskiego Bogdana, który przesadnie oferuje Batoremu czterdzieści tysięcy wojowników. Po pierwsze takiej armii nie mogła Mołdawia wystawić, po drugie było to bodaj najbardziej zawodne wojsko w Europie: przechodziło na ogół na stronę silniejszego, ma się rozumieć w najbardziej dramatycznych momentach, gdy któraś ze stron zyskiwała przewagę. Wreszcie — przyjmował i wysyłał Batory poselstwa na wsze strony świata, z zadowoleniem odnotowując, że Porta przyjęła jego wybór z najżywszą radością. Już mniej satysfakcji odczuł wojewoda, gdy okazało się, że Turcy równie żywo zaczynają wtrącać się w wewnętrzne sprawy Siedmiogrodu, kwestionując Stefanowy projekt osadzenia Krzysztofa Batorego na stolcu w Gyulafehérvárze.

Tak, sprawy siedmiogrodzkie były dla Batorego ważną kwestią, mocno leżącą mu na sercu. Z pewnością z wyborem na króla polskiego wiązał jakieś nadzieje na odmianę losu własnej ojczyzny. Jeśli tak — to nadzieje były płonne: senatorowie i szlachta będą pilnie zważać, aby był to król Polski, a nie kandydat do korony świętego Stefana. W lutym Batory wpłynął na sejm siedmiogrodzki, by wybrał jego brata Krzysztofa. Właśnie — na kogo? Otóż Stefan nie zamierzał rezygnować z władzy w Siedmiogrodzie: Krzysztof zatem został „wojewodą siedmiogrodzkim i namiestnikiem króla, a raczej namiestnikiem z tytułem wojewody" — jak celnie rzecz ujął historyk.[13] Nie była to wcale prosta do przeprowadzenia sprawa, nie tyle ze względu na opór Turcji, ile podejrzliwość rodzimej szlachty. Batory uciekł się do fortelu, najpierw proponując na wojewodę powszechnie znienawidzonego Krzysztofa Hagymássyego. Oczywiście stany siedmiogrodzkie z niesmakiem odrzuciły tę kandydaturę i wybrały Krzysztofa Batorego, oszczędzając Stefanowi konieczności stosowania dalszych manipulacji, jak przystało na dyplomatę, który zna sposoby mądrych Habsburgów.

Ustaliwszy sprawy siedmiogrodzkie, elekt dopełnił aktu, do którego się kilka dni temu zobowiązał. Ósmego lutego w kościele parafialnym w Meggyes poselstwa polskie, tureckie, wołoskie i mołdawskie oraz agenci cesarza mogli się przyglądać, jak książę siedmiogrodzki gnie twarde kolana przed ołtarzem, ślubując przestrzeganie praw polskich i wszystkich paktów, jakimi szczelnie obłożyła go szlachta polska, a potem zaręcza się per procura z Anną Jagiellonką. W zaprzysiężonych paktach konwentach Batory zobowiązał się między innymi zapewnić królestwu polskiemu bezpieczeństwo przez wzmocnienie armii, utrzymanie pokoju z imperium otomańskim

oraz odbicie ziem Rzeczypospolitej zagarniętych przez Wielkie Księstwo Moskiewskie.

Zachował się ogólny opis uroczystości. „To także Waszej Wysokości śpieszę donieść, że wojewoda siedmiogrodzki około godziny jedenastej w kościele i przed społecznością miastą Meggyes dnia dzisiejszego uroczyście i publicznie został zapowiedziany królem Polski; gdzie wobec posłów Królestwa Polskiego i przed wszystkimi stanami Królestwa [?] Siedmiogrodu zgięciem kolan w tymże kościele przed najświętszą Ewangelią złożył przysięgę i tamże królem Polski ogłoszony został, że podczas ceremonii *Te Deum laudamus* odśpiewano, bębny i trąby huczały, a przez dwie pełne godziny oddawane były na wiwat silne salwy armatnie" — pisał 8 lutego 1576 roku przyjaciel Teuffenbacha, Franciszek Pestlius.[14]

Uroczystość w Meggyes przypieczętowała uczta. Posłowie polscy, którzy złożyli elektowi przysięgę na wierność, dostali bogate dary. Odtąd król zaczął używać tytułu „electus rex", przywołując już w mocniejszym tonie niechętnych mu senatorów Rzeczypospolitej do posłuszeństwa i przyjaźni. Kolejny poseł Emeryk Sulyok pogalopował z Siedmiogrodu; w Krakowie zjawił się wraz z Wojciechem Starzechowskim 3 marca, niosąc radosną nowinę, że król Polski wjedzie na Wawel już 8 kwietnia.

Co w tym czasie robił jego groźny rywal, cesarz? Również przyjmował posłów, obiecywał, dyplomatyzował — ale wszystko to było spowolniałe i wielce spóźnione, tak jakby niewielu w Wiedniu wierzyło w sukces lub też... sukces był pewny. Wprawdzie jego stronnicy rozsiewali wszędzie słuchy o uwięzieniu Batorego przez wojska cesarskie, ale plotka ta tylko zaszkodziła cesarzowi: w Polsce, jak wiemy, nie cierpiano „makiawelistów", a Wawrzyniec Kozłowski, który właśnie przygalopował z Meggyes, wyjaśnił, że to kłamstwo. Cesarz usiłował pozyskać szlachtę: przyjął uprzejmie posłów ze zjazdu jędrzejowskiego na czele z Andrzejem Trzecieskim i cierpliwie wysłuchał ich argumentów, że wybór jego cesarskiej mości na króla polskiego przez prymasa i znikomą część senatorów odbył się „wbrew woli reszty senatorów i całej szlachty (...), wywracając tym samym podstawy wszystkie swobody Rzplitej." „Jeżeli zaś — mówił poseł do Maksymiliana II — będzie uporczywie trwać w tym zamiarze, nie tylko wznieci wojnę domową, ale turecką (...). Niech więc Cesarz raczy zostawić Polaków z ich prawami w spokojności."[15] Odpowiedź Maksymiliana była równie pewna i zdecydowana: jesteśmy prawnie obranym królem polskim, swobody polskie nie tylko uszanujemy, ale i powiększymy. Majestat cesarski oczywiście nie zniżył się nawet, by wspomnieć o Batorym.

Stronnictwo cesarskie w Polsce, choć bezustannie zaskakiwane rozwojem wypadków, również starało się nie zasypiać gruszek w popiele. Do Wiednia z Warszawy powędrowało poselstwo „cezarianów" na czele z wojewodą sieradzkim Olbrachtem Łaskim. Maksymilian przyjął uroczyście senatorów i posłów, każdemu z nich — a było ich siedemdziesięciu — zafundował swą cesarską dłoń, mówił do Polaków po czesku, nie śmiesząc ich przy tym, ale były to gesty maskujące chęć żywszego działania. Podczas gdy Batory podpisywał i godził się, po krótkich, acz znamiennych zastrzeżeniach, na wszystko, co mu podsunęli pod oczy przedstawiciele szlachty, wysyłał posłów, którzy umknąwszy niemieckim zasadzkom, zakurzeni, nie odpiąwszy ostróg — to nie literackie bajdurzenia — wystukiwali podkówkami w sali obrad senatu polskiego zdecydowanie Węgra i wręczali jego „cztery dyplomata paktów pieczęcią siedmiogrodzką opatrzone" — cesarz mitrężył. Początkowo nie godził się na przyjęcie paktów konwentów. Uczynił to o wiele za późno, choć uroczyście: 22 maja, w kościele augustianów w Wiedniu.

Habsburska polityka wyczekiwania tym razem jednak wydawała kwaśne owoce. Była to zresztą polityka tajemnicza i dziwna: kiedy każdy dzień mógł decydować o wygranym tronie wawelskim, w wiedeńskim starym Burgu zapewniano, że „cesarz najśpieszniej uda się na sejm do Ratyzbony zwołany na 1 maja".[16] W odwrotnym kierunku niż na Wawel. To było niepojęte: może rację mieli ci, którzy sądzili, że Maksymilian czekał na wybuch wojny domowej w Polsce, by tym łatwiej sięgnąć po osłabione państwo? A może, schorowany, bardziej był przywiązany do zasady „sic fata volunt", niż nam się wydaje?

Poza tym inne rzeczy również wpływały na decyzje cesarskie i je-

go doradców. Do pewnego paraliżu poczynań austriackich przyczyniały się groźne upomnienia paszy Budy, by cesarz nie mieszał się w sprawy polskie, jeśli mu pokój miły. Ale nie tylko. Oto od księcia legnicko-brzeskiego Jerzego, jednego z ostatnich Piastów na Śląsku, płynęły do Wiednia wieści, iż „rebelizanci Polacy podobno postanowili, gdy jcmć [Maksymilian II] wyruszy do Polski, wpaść do Śląska, wszystko spustoszyć i podpalić, aby jcmci wojsku odebrać sposób utrzymania".[17] Wprawdzie książę, przestrzegając, głównie dbał o własną skórę, a nie interes Habsburga, ale bitwa pod Byczyną w kilkanaście lat później dowiedzie, że Polacy bez kompleksów wchodzili na Śląsk odpadły od Polski na rzecz królestwa Czech. Zapowiedź dywersji polskiej na Śląsku równoważyły co prawda zapewnienia tajemniczych Litwinów. „Jeżeli jcmć za cztery lub najdalej pięć tygodni stanie na granicy polskiej i arcyksięcia Ernesta w 5 tysięcy koni wyprawi do Polski, wtedy Moskwicin także ześle 50 000 ludzi za granicę".[18] A zatem — przedłożenie projektu rozbioru Rzeczypospolitej, zresztą dość nierealnego. Iwan IV miałby się bić o koronę dla Habsburga? Raczej niemożliwe. Poza tym, choć może się to wydać paradoksalne, na straży wszelkich pomysłów rozbiorowych Rzeczypospolitej stała Turcja. Ona nie zgodziłaby się na tak raptowny wzrost potęgi Habsburgów. Szybko też się okaże, że moc Rosji jest zbudowana na słabych fundamentach podmywanych krwią nieszczęsnych mieszkańców ziem okrutnego cara, a Rzeczpospolita dysponuje ogromną siłą, zdolną nie tylko powstrzymać oba mocarstwa, ale — niebawem wykażą to dzieje — pobić je dotkliwie.

Powstał jednak niebezpieczny dla Polski projekt. Dla statystów w Rzeczypospolitej było to miarą konieczności rozstrzygnięcia problemu Rosji napierającej na wschodnie, jak je wówczas określano, ściany Litwy i Korony. Ekspansja rosyjska była groźna, gdyż prowadzona konsekwentnie i zaciekle. Stawianie Batoremu warunku powstrzymania Moskwy, było podyktowane koniecznością rozwiązania jednego z najbardziej groźnych i palących problemów polskiej polityki zagranicznej. Bez wątpienia doradcy cesarza, lub on sam, byli jednym z motorów tworzenia planów rozbiorowych Rzeczypospolitej. To przecież poselstwo habsburskie wspomniało w Moskwie o takim projekcie. Nic dziwnego, że nawet polscy i obcy adherenci cesarza zauważali, że jego intencje wobec Rzeczypospolitej nie są czyste. Nuncjusz Laureo popierający interes katolicyzmu w osobie Maksymiliana w marcu 1576 roku zauważał: „Z listów moskiewskiego [kniazia] pisanych do Litwinów oraz z instrukcji, których kopie dołączę do tegoż listu, wynika, że arcybiskup i kilku innych panów są zdania, że cesarz, wysławszy posłów, aby negocjować ugodę i przymierze z Moskwicinem, a także zwlekając z decyzją przyjęcia królestwa [polskiego], nie postępuje z nimi [panami polskimi, jego zwolennikami] uczciwie, co oznaczałoby, że zamierza pod pretekstem elekcji zająć królestwo nie zobowiązując się do przestrzegania artykułów [pacta conventa] i tymczasem osłabić królestwo jego rozbiorem [divizione], i z tym większą wygodą zawładnąć całością lub większą częścią, ustępując Litwę, czyli Inflanty z Prusami [?!] moskiewskiemu [kniaziowi]."[19] Nuncjusz nie mylił się; a wobec takich podejrzeń partia „cezarianów" w Rzeczypospolitej wyraźnie słabła. Wprawdzie prymas po miesięcznym oczekiwaniu na Maksymiliana ocknął się, rozsyłając w lutym z Łowicza uniwersały potępiające jędrzejowski zjazd szlachty jako nielegalny (miał rację), ale jednocześnie wezwał herbowych na powtórny sejm konwokacyjny do Łowicza, na 30 kwietnia. Zwątpił w rychłe przybycie cesarza do Polski i, za podpowiedzią Laurea, zaczął chylić się znów ku kandydaturze hosudara moskiewskiego. Idea stworzenia potężnej ligi antytureckiej i nadzieja posiania w Moskwie choć kilku ziaren katolicyzmu przesłaniała obu duchownym prawdę o niemożności ożenienia carskiego despotyzmu ze szlacheckimi wolnościami na warunkach Iwana Groźnego.

Niebawem zresztą, ujęty pięknymi gestami, prymas wróci do popierania cesarza. Nadal więc za Maksymilianem stał w Rzeczypospolitej autorytet najwyższego duchownego, większości biskupów, kilku ważnych senatorów, jak sławny Mielecki ciągnący za sobą Lwów, część Podola i Rusi Czerwonej, znany w Europie Olbracht Łaski, a główną bazę społeczną dla cesarza stanowiły wielkie miasta. Między innymi Gdańsk, Toruń i Elbląg. Nie tylko dlatego że przeważało w nich mieszczaństwo niemieckie: Rzeczpospolita bywa-

ła lepszą matką dla wielu narodów niż ich własna ojczyzna. Po prostu: połączenie z olbrzymim rynkiem imperium habsburskiego, w którym „nigdy nie zachodziło słońce" rokowało gigantyczne zyski, a człowiek od czasów wprowadzenia pieniądza niewiele się zmienił.

IV. IN POLONIAM

Tymczasem Batory działał niczym Hannibal. Szesnastego marca już opuszczał spadziste góry, wąwozy i lasy budzącego się do wiosny Siedmiogrodu i żegnał się z ojczystym krajem. W przygranicznym Sybinie refleksyjny spokój zakłócił mu incydent, którego widmo odtąd miało wisieć nad dworem Batorego: bijatyka Polaków z Węgrami. Zaczęło się od nizin społecznych: na ostre walczyła służba polska z mieszkańcami węgierskimi. Sprawę załagodzono; poza tym podróż przeszła bez większych przeszkód, w czym była spora zasługa elekta. Znając bowiem dobrze umiejętności poddanych habsburskich wiedział, że urzędnicy cesarscy nie omieszkają zatrzymać go siłą. Dlatego zastosował manewr skuteczny, choć stary jak świat: poprosił cesarza o glejt na przejazd przez habsburskie Węgry, oznajmiając wszem wobec, iż jedzie do Polski przez Koszyce. Tamtejszy starosta Rueber przygotowywał zatem zgrabną zasadzkę — ale do chwili gdy okazało się, że Batory zmierza do Rzeczypospolitej zupełnie inną drogą.

Szedł przez Mołdawię wspomagany przez podkanclerzego Berzeviczego i dowódcę husarzy Jerzego Banffyego, z dwoma tysiącami groźnej piechoty hajduckiej i tysiącem jazdy. Nie był niepokojony ani przez podstępnych Mołdawian, ani przez bardziej chytrych i przerażająco szybkich Tatarów, gdyż ich spokój opłacony był solidną ceną: strachem przed Turkami. Ci nadal sprzyjali „swojemu" elektowi i wspomagali go znacznie. Bez ich pomocy — a szczególnie paraliżowania i blokowania ruchów cesarskich — Batory miałby dużo gorszą przeprawę do tronu polskiego.

Mimo spokoju droga przez góry i wąwozy nie była łatwa i dopiero 28 marca 1576 roku Batory ujrzał graniczny Prut. Za tą szeroką rzeką rozciągały się ziemie polskie: Ruś Czerwona, Podole, Wołyń. Tutaj, koło przejścia przez Prut, stali nieliczni magnaci — wojewoda ruski Hieronim Sieniawski, jego brat, kasztelan Kamieńca Podolskiego, Mikołaj — a mowę wygłaszał podsędek Marcin Mężyński. Wprawdzie ozdobną wielce i po łacinie, aby elekt zrozumiał, ale „zaczął już wątpić Stefan" o poparciu szlachty, o czym go wytrwale w Gyulafehérvárze i Meggyes zapewniano. Dziwna, zaiste, musiała być to scena i początki panowania mało obiecujące: ledwie kilku szlachty witających oczekiwanego ponoć króla, „nikogo ze znakomitych mężów", jak stwierdził Heidenstein.

Ale zmartwienie trwało krótko. Wątpliwości Batorego szybko rozwiała szlachta pędząca gromadnie rozmiękłymi drogami do nowego pana i wiwatująca na jego cześć. Do Śniatynia dotarł elekt w licznym orszaku.

Tutaj czekał na Batorego ksiądz Jan Dymitr Solikowski z wielce odpowiedzialnym zadaniem. Ku zgrozie Kościoła wśród posłów polskich otaczających Batorego tylko jeden ośmielił się być papistą; reszta to „heretycy". Przy tym sprawa wyznania Batorego wcale nie była oczywista dla przedstawicieli Kościoła w Polsce, w owych czasach niesłychanie łatwej zmiany wyznań. Znakomity wywiad kościelny zawodził tam, gdzie wkraczała szerzej reformacja. Nie widziano biblioteki księcia, po której najłatwiej byłoby się zorientować w rzeczywistych sympatiach religijnych Batorego. Chociaż i to bywało zawodne: prymas Uchański miał w swym księgozbiorze w Łowiczu wiele druków reformacji, które czytywał z przyjemnością i niebezpiecznie rosnącym zrozumieniem. Biskup Karnkowski zatem postanowił bronić duszy króla, którego katolicyzm był podawany od dawna w wątpliwość. Stąd wysłanie Solikowskiego.

Innowiercy usiłowali zagrodzić drogę księdzu, „lecz jako bywa u nas", z tych, którzy mieli przeszkodzić energicznemu Solikowskiemu, zjawił się tylko jeden, a i to ustępliwy. „Więc umówiono się o czas tajemnej rozmowy; i o godzinie nieszpornej dnia tegoż [była to sobota 3 kwietnia], król z Solikowskim przy zamkniętych drzwiach, których strzegł Philliponius [Filipowicz, dziwny to, zaiste, wybór

króla, wszak to arianin — J. B.], miał rozmowę" — pisał w trzeciej osobie sam Solikowski.

Ciekawa musiała być ta konwersacja, prowadzona w istniejącym podówczas jeszcze zamku śniatyńskim; grube mury odgradzały ich od ciekawych uszu. Solikowski, jak wiemy, był wysłannikiem biskupa kujawskiego Stanisława Karnkowskiego, filaru stronnictwa „batorowców", człowieka zdolnego, któremu już Mikołaj Rej zgryźliwie przepowiadał: „pomnicie, że ten popek niedługo urośnie". Karnkowski poznał osobiście Batorego w Wiedniu w 1564 roku, załatwiając sprawy rozwodowe króla Zygmunta Augusta z nieszczęsną epileptyczką Katarzyną Habsburżanką. Wtedy jeszcze ów „popek" wahał się, czy przyjąć święcenia kapłańskie i tu lokować swe olbrzymie ambicje i duże zdolności. Wybrał sutannę. Podczas elekcji, załamany ucieczką Henryka Walezego, początkowo nie popierał kandydatury wojewody siedmiogrodzkiego; uczynił to dopiero w finale walki wyborczej, ale na tyle energicznie (między innymi usiłując wpłynąć na prymasa), by stać się jednym z ważniejszych stronników Batorego. Teraz wysłannik Karnkowskiego miał wybadać elekta i wmówić mu, że tylko „katolicka wiara jest utwierdzeniem Polskiego Królestwa, a osobliwie duchowieństwo są pierwszą a najznakomitszą częścią Rzeczypospolitej, głową senatu, duszą króla", który ma „codziennie mszy słuchać, biskupom jako ojcom oddawać cześć i posłuszeństwo, papieża uznać za namiestnika Chrystusowego". Żądania biskupa pachniały ciasnym papizmem i kontrreformacją, a ponadto przedziwnie współbrzmiały z niedawnym wotum czy raczej panegirykiem Karnkowskiego, który dwa lata temu twierdził przed monarchą i szlachtą, że „król rozkazuje, senatorowie doradzają, szlachta słucha".[1]

Dopiero po religijnych wywodach ksiądz Solikowski nakreślił obraz sytuacji w Koronie i Litwie: bardzo korzystny dla Batorego w tej pierwszej, bardzo niedobry w drugiej.

„Słuchał król Stefan Solikowskiego z westchnieniem i pociechą." Pociechy dla księdza było więcej niż westchnień: elekt uczynił wyznanie wiary katolickiej, co wprawdzie uradowało Solikowskiego, ale nie przekonało do końca. Toż sam król wyznał, iż cały Siedmiogród, Węgry, „wszyscy zarażeni byli heretyckimi błędami", a on sam „pod pozorem polowania często wybiegając do pewnego starego mnicha, odbywał spowiedź i uczęszczał do sakramentu ołtarza. Jako żołnierz znał tylko przedniejsze zasady wiary katolickiej, lecz chętnym umysłem słuchając i przyjmując to wszystko, co się ściągało do zbawienia jego duszy i Rzeczypospolitej, obrony i ozdoby Kościoła, dobrze się od biskupa nauczyć przyrzekał" — pisał ksiądz Solikowski w wiele lat po pamiętnym spotkaniu.

Nazajutrz była niedziela i wysłannik biskupa mógł na własne oczy przekonać się, czy jego interlokutor wykazuje właściwą gorliwość w praktykach religijnych. W Śniatyniu kościół katolicki „był przez Tatarów zburzony", ale Solikowski przewidział to: wiózł ze sobą księdza i ołtarz. Zachowanie elekta zadowoliło surowego i wymagającego wysłannika biskupa: na niedzielnej mszy świętej Batory cały czas klęczał, modlił się ze łzami w oczach, a podaną sobie Ewangelię ucałował.

Znamienna była ocena posłów, z których ani jeden nie uczestniczył w mszy, odbytej w zamkowej kaplicy. Zgodnie orzekli oni: „Oto księża wdarli się w posiadanie króla."[2]

Wiele na to wskazywało — ale za przyzwoleniem szczerym i chęciami Batorego. Trudno osądzić, kiedy zdecydował się on oprzeć na potędze Kościoła papieskiego: posunięcia siedmiogrodzkie i scena przywołana tutaj wskazywałyby, że już wcześniej Solikowski — persona wielce ciekawa, bardzo zdolny nietolerancyjny katolik, Europejczyk w dobrym tego słowa znaczeniu, używany do tak skomplikowanych misji jak namawianie Walezego podczas tańców w Chambéry do powrotu na Wawel, pisarz nie cierpiący innowierców, ciekawe go interesujące świadectwa zostawił na papierze — miał powody do zadowolenia. W tym też duchu powiadomił swego kościelnego pryncypała o niewątpliwej religijności elekta i poddaniu się woli Kościoła. Oczywiście w sprawach religii, choć już wtedy zauważono, że kwestie te decydowały o wielu obszarach życia społecznego.

Ze Śniatynia postąpił elekt w kierunku Lwowa, podejmowany po drodze, w Tłumaczu, przez wojewodę krakowskiego. Radującej się szlachty przybywało. Pozostawało natomiast tajemnicą, jak przyjmie

Batorego miasto. Jeden z najliczniejszych i najbogatszych grodów Korony — w czasie bezkrólewia Lwów stać było na wystawienie sporej armii w czerwonych uniformach i szafranowych tunikach (dziesiętnicy) — popierało ponoć mocno kandydaturę Habsburga.

Warto może przyjrzeć się wjazdowi i pobytowi Batorego we Lwowie, który stanowił preludium jego panowania. Możemy to uczynić dzięki Wojciechowi Ostroszowi, podpiskowi na ratuszu, który spisywał wydatki urzędu radzieckiego od 1572 roku, z własnej inicjatywy wtrącając czasem opis cenny dla przyszłych pokoleń badaczy. Mimo poparcia dla Habsburgów rada miejska nie zapomina o Batorym: gdy Jan Płaza jedzie do Gyulafehérváru, dostaje od lwowian sześć garnców małmazji, „aby nowego króla przychylnie do miasta przysposobił". Miłość mieszczan do nowego króla podwaja się nie tylko na wieść, że do Batorego z dyplomem elekcyjnym pojechał wojewoda pobliskiego Lubelskiego, Jan Tarło, z krajczym koronnym Jerzym Mniszchem, ale również z powodu groźnej famy o towarzyszącej elektowi w drodze do Polski trzytysięcznej armii siedmiogrodzkiej pod Jerzym Banffym. Niestety — to okazuje się prawdą smutną, więc rozpoczęto oczyszczanie ulic z błota, „które furmanki z Kleparowa, Hołoska i Zamarstynowa precz wywoziły za miasto", a nawet poszerzanie gościńca stryjskiego, którym miał nadciągnąć elekt. Prac było mnóstwo, wszystkich, prócz źle opłaconego architekta Noska, ogarnął szał przygotowań; zresztą i u niego wzmożono pracowitość podnosząc mu w końcu zapłatę.

Największy problem w mieście, które później słynęło z muzykalności, stanowiła marna kapela, z którą wstyd było witać króla. „Był wprawdzie Krzysztof Gajda gwiazdą na ówczesnym muzykalnym horyzoncie Lwowa, ale ten, z wyjątkiem wprawnego uderzania w bęben i kilku kawałków wygrywanych na trąbie, żadnych nie posiadał wiadomości z dziedziny muzycznej" — smętnie zauważył podpisek. W sukurs musiała przyjechać „banda" z pobliskiego Przemyśla grająca na trąbach i flecie pod dyrekcją niejakiego Jakuba Bojaryna.

Piękny Lwów przeżywał wtedy — mimo niedawnego spalenia przedmieść przez Tatarów — okres świetności i musiał sprawić do-

bre wrażenie na Batorym. Powitanie bowiem króla w sobotę 7 kwietnia było na miarę bogactwa i znaczenia miasta, tak bujnie rozkwitającego na styku wspaniałych kultur. Orszak złożony z rajców, Polaków, najbogatszych Ormian, Greków, Rusinów kapał wprost od złota i srebra, którymi obwiesili się mieszczanie, po bokach gościńca ustawiały się liczne cechy, niestrudzony Gajda walił w wielki bęben przytroczony do konia, głusząc konkurencyjną „bandę" z Przemyśla. Stefan Batory nadciągnął na czele kolumny, ubrany w purpurowe szaty, z kołpakiem na głowie, na którym powiewała kita wysokich piór. I tu wywarł silne wrażenie na mieszczanach i herbowych swą wyniosłą majestatyczną postacią.

W imieniu szlachty do króla przemówił Hieronim Sieniawski; po nim burmistrz. Odpowiedź Batorego była krótka i pełna nieoczekiwanie gorzkich tonów, mimo znakomitej oprawy jego powitania: przychodzę, nieznany, do kraju wielkiego i wolnego, ale wkrótce pokażę, „ile król wybrany wolnymi głosami swojego narodu przewyższa monarchów, których ślepy traf albo urodzenie na trony królewskie wynosi i narodom narzuca".

Pomieszany orszak ruszył do Lwowa wśród okrzyków, bicia w dzwony i bęben, strzałów armatnich, fanfar z wieży ratuszowej i muzyki „bandy". Król zsiadł z konia na ulicy Halickiej, skąd udał się do katedry na mszę, po czym odjechał na Niższy Zamek, gdzie czekały nań królewskie komnaty. Oprócz osoby Batorego podziwiano również widocznego w orszaku sławnego banitę Samuela Zborowskiego, który przybył z elektem.

Radość miasta, nad którym zapanowała muzyka, palba z armat, samopałów i iluminacje, „jakoby Lwów cały stanął w ogniu", trwała trzy dni. Następnego poranka, w niedzielę do komnat królewskich przyszli mieszczanie z hołdem i darami: beczką wina kreteńskiego „za 90 złp i dwu skrzyń pięknie i ozdobnie przez lwowskich stolarzy wyrobionych a napełnionych świeżymi rybami".[3] Winem i rybami obdarowani zostali również możni panowie z otoczenia elekta.

Batory bez wątpienia miał już w głowie zarys pierwszych posunięć politycznych i wojskowych, kiedy przyjmował we Lwowie czterech przedstawicieli Kozaków: Iwana Siewiernego, Marka Winnic-

kiego, Chwedora Zachwostnego i Siemiona Pachowskiego. Odbył z nimi rozmowę, po której dostali oni „loco expeditionis z łaski królewskiej po 15 florenów na głowę”.[4] O jakiej wyprawie zamyślał król, opłacając przedstawicieli Kozaków?

Przywołany wyżej radosny opis jest jednak dalece niepełny i pomija cienie pobytu króla we Lwowie. Czerwono-szafranowa gwardia ratuszowa najęta przez radę miejską była bardzo niesforna i „w braku innego nieprzyjaciela” prała się na ulicach z hajdukami królewskimi z Niższego Zamku. Oczywiście, broń Boże, nie pod bokiem króla — to groziło śmiercią. Ale „we Lwowie żołnierze o żołd dopominać się poczęli, co mu niemałą przykrość sprawiło”. Szło o nie opłacone wojsko kwarciane — 1650 jazdy, 500 piechoty i obsługi trzydziestu hakownic. Na ich żądania król zmuszony był wypłacić to, co mógł, to jest 39 tysięcy złotych stanowiące tylko część żołdu, i polecił im maszerować ze sobą na Kraków. Miała to być siła skłaniająca oponentów do uznania Batorego za króla.

Ale kwarta, czy to skutkiem nieopłacenia, rozprzęgającej bezczynności, czy też postawy wojewody Mieleckiego, odmówiła wspierania króla w głębi kraju. Porywczy Batory latem 1576 roku rozwiąże ją, co przyniesie dość zatrważający skutek: Podole, Ruś Czerwona, Wołyń zostaną pozbawione regularnej obrony. Nie była to jednak ślepa gra ze strony króla: na kresach stały poczty magnackie, można było liczyć na Kozaków, pospolite ruszenie, a w ostateczności — na umowę elekta z popierającymi go wszak Turkami. To oni powstrzymywali Tatarów przed nowymi rajdami, ułatwiając Batoremu grę w Polsce.

Jeszcze większy afront niż żołnierze we Lwowie, zaskakujący króla swymi płacowymi słusznymi żądaniami, uczynił elektowi wojewoda Mielecki — mały wzrostem, co było powodem kpin Mikołaja Reja, za to wielki drażliwością i nieprzystępnością, znany w Polsce hetman (był to wówczas urząd tymczasowy). To właśnie on w swoim czasie oświadczył senatorom, że Lwów stoi przeciw Stefanowi Batoremu, co mocno zaniepokoiło senat i wpłynęło na wysłanie do miasta zaciężnych hajduków. Jak pisze Heidenstein, Mielecki „bawiący właśnie w Gródku bramy miasta przed nim [Batorym — J. B.]

zamknął i ani go przywitał, ani z nim się zobaczyć nie chciał”.[5] W kolejnym natomiast grodzie, Medyce, sędzia ziemi przemyskiej Walenty Orzechowski wyłożył elektowi, że „nad to miano samo szlachcica polskiego Polska zacniejszego nic nie ma, skąd by inne słynne zacności róść miały (...) bene regnat, qui legibus imperat [dobrze będzie rządził, kto praw będzie przestrzegał — J. B.] wobec ludzi szlachetnie wolnych”.[6] Kwiecista mowa do Batorego jest tu przytoczona, gdyż była swoistą wykładnią przekonań przeciętnego szlachcica. Ukorzeniały się właśnie wtedy racje o szczególnym umiłowaniu Polski przez Boga, co wyrażać się miało w niespotykanej nigdzie, może poza Hiszpanią, liczebności dobrze urodzonych (około 1 miliona, co stanowiło blisko 10% populacji), przystępowaniu do Korony Polskiej innych narodów nie przez przymus, lecz akty dobrej woli, co stworzyło największe obszarem państwo w Europie, jeśli nie liczyć Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, a także w rzadkim szacunku dla majestatu władzy, zrodzonym nie ze strachu, lecz z idei partnerstwa. To prawda, że w Polsce nie było sztyletów ani dworskich trucizn, poza sporadycznymi wyjątkami, ani królobójstwa, choć też prawda, że również żaden z władców niemieckich nie został skrytobójczo zamordowany. Ale te piękne polskie przekonania o wielkości państwa miały w sobie zaródź zła: wiarę w doskonałość ustroju Rzeczypospolitej. Wielkość polska miała być utkana z wolności szlacheckich, a żadnej z cegiełek praw nikt nie mógł bez zgody szlachty wyjąć. Gdybyż jeszcze obce państwa zechciały te swobody uszanować lub chociaż ich nie wykorzystywać!

Król nie pozostał dłużny witającym go oratorom. „Non ambitio regnandi, non cupiditas dominandi me ducit in Poloniam, sed predestinatio, voluntas Dei omnipotentis” — nie ambicja królowania ani żądza panowania przywiodła mnie do Polski, lecz przeznaczenie, wola Boga Wszechmogącego. Oprócz deklaracji poszanowania praw elekt nawoływał, aby na Rusi „reliquantur discordiae omnes” (porzucone zostały wszelkie waśnie). Zrewanżował się też uczonemu sędziemu znajomością starożytnych maksym, jak to było w modzie i niemal obowiązku oratora. „Concordia parvae res crescunt, discordia maximal dilauntur” — zacytował Sallustiusa. „Zgodą rosną małe

sprawy, niezgodą choćby największe upadają."[7] Szlachta musiała być zachwycona skromnym, rycerskim i uczonym panem.

Z pewnością w Batorym rosło coraz mocniej przekonanie o szczególnej łasce Bożej, która pokierowała głosami wyborców, by on, bez koligacji, niemal samozwańczy książę stał się królem Polski. „Bóg mnie tu powołał, bym dokonał rzeczy ku podziwowi całego chrześcijaństwa" — powie niebawem. Chyba to przekonanie będzie potężnym motorem jego gigantycznych planów i niespożytej energii.

Inni „cezarianie" byli jednak bardziej przystępni niż Mielecki, bo też nie mieli za sobą takiego autorytetu: Herburtowie jeszcze niedawno, bo podczas zjazdu jędrzejowskiego, znienawidzeni przez szlachtę ruską, podjęli elekta gościnnie i z rewerencją w Wiśniowcu i Przemyślu, a niedoszły król „Piast", wojewoda sandomierski Jan Kostka — w Jarosławiu. Wreszcie orszak dotarł 17 kwietnia do Mogiły, gdzie znużony Batory postanowił odpocząć w tamtejszym klasztorze.

Ksiądz Solikowski twierdzi, że elekt był wtedy chory; oddalony o milę Orzelski, iż Batory odpoczywał w tradycyjny sposób — polował. Różnica zdań dość znaczna, choć w obu relacjach nie mylono się. Batory w Mogile miał krótką zapaść, co mu się już w Siedmiogrodzie i Wiedniu zdarzało. Bagatelizował to i taił starannie przed światem i poddanymi: jego zdrowie było wszak kategorią polityczną. Podziwiać należy odwagę elekta i poczucie godności panów polskich: Batory polował w pochmurne i deszczowe dni w małej asyście, jakby okazując wzgardę pogodzie, a nade wszystko zakusom „cezarianów", których posądzano o brzydkie zamiary. Polacy zaś umówili się, że nie urządzą odwiecznego, praktykowanego zawsze i wszędzie wyścigu po łaski i zaszczyty do słoneczka władzy. „Nikt z senatorów ani posłów nie wyjechał z Krakowa i nie stawił się przed nim, każden bowiem unikał podejrzenia, że chce innych ubiec i wkręcić się naprzód do łaski królewskiej" — stwierdził Orzelski. Batory mógł w zupełnym spokoju spędzić w Mogile pierwszy dzień Wielkiej Nocy. Dworskie pieski nie przybiegły: to były czasy honoru nade wszystko.

Elekt ruszył drugiego dnia wielkanocnego. Czułych na łaskę niebios uderzyło to, że był on wreszcie bardzo jasny i ciepły. Powitanie

było niecodzienne i wspaniałe, co oczywiście sprowokowało kronikarzy do szczegółowych opisów. W promieniach słońca tańczących na zbrojach, złoceniach, srebrach, drogich kamieniach, kitach piór, złotogłowiach, lamparcich skórach i setkach innych wspaniałych detali konne hufce Jana Tęczyńskiego, Bernarda Maciejowskiego, Stanisława Górki i innych potężnych magnatów witających nowego króla sprawiały wielkie wrażenie mieniącej się niezliczonymi barwami orężnej łąki rozlewającej się szeroko — od Mogiły aż po mury Krakowa, i furgocącej setkami proporców. Jak zwykle towarzyszyły temu radosne dźwięki trąb, piszczałek i basy kotłów. Takie powitania były zawsze również manifestacją możliwości, bogactwa i siły.

Stefan Batory wyjechał z klasztoru mogilskiego o czwartej po południu. Wiedział, że na Rusi mawiano „Lach bez konia jak ciało bez duszy", że Polacy kochają się w koniach. Poprzedzały go trzy „dziwnej piękności i mocy" wierzchowce. Nie one jednak głównie wabiły oczy rycerzy, ale osoba elekta, siedząca na wspaniałym rumaku, w ulubionym kolorze, purpurowej szacie szytej na wzór węgierski i podbitej miękkimi sobolami, w brunatnych spodniach i żółtych butach. Ciekawym wzrokiem mierzono też wojsko, które przywiódł: gwardię przyboczną, cieszącą się wielkim zaufaniem Batorego, zbrojną w długie arkebuzy, proste miecze i halabardy, odzianą jednakowo w fiolety oraz — pięciuset — w czerwienie, a także 700 jeźdźców i 400 piechurów pod Banffym. Nie gorzej prezentowały się polskie chorągwie, a szczególnie Jana Tęczyńskiego okryta podobnymi skórami lamparcimi lub futrami z białych i czarnych niedźwiedzi. Gawiedź otwierała usta nie tylko na widok olśniewających rycerzy, ale i widząc trzy nie znane tutaj bliżej wielbłądy i prowadzących je ludzi o czarnych twarzach — Murzynów.

Nie dziwmy się temu zamiłowaniu Sarmatów do wystawnych widowisk: poza okazaniem szacunku dla elekta i własnej siły odgrywały one wszędzie rolę ludyczną, wielkiej rozrywki i możliwości zaspokojenia skrytych pragnień plebsu obcowania z możnymi tego świata. Na ich widok Batory zsiadł z konia i zbliżywszy się, podał każdemu z oczekujących rękę. Wiedział, że witająca go reprezenta-

cja drugiego — po królu — stanu Rzeczypospolitej jest dalece niepełna.

Wielu bowiem senatorów nie chciało dotykać tej dłoni. Z Litwy nie przybył ani jeden wielmoża, ba, kasztelan wileński Jan Chodkiewicz nie raczył nawet odpisać na dwa listy elekta. Ziemie niedawno przyłączone formalnie do Korony — Ukraina, Wołyń, Podole — choć od wieków związane z Polską, nie przysłały nikogo. A przecież kilka miesięcy temu dwóch posłów z tychże prowincji przybyło na zjazd jędrzejowski „oświadczając o przywiązaniu swoich współobywateli do infantki Anny i Batorego, za których gotowi są położyć życie". W rzeczywistości sympatie tamecznej szlachty były mocno podzielone między Habsburga a Batorego. Bardziej niepokojąca była konsekwentna nieobecność panów litewskich in gremio: unia Polski z Litwą znów została poddana niepotrzebnej próbie.

Na godzinę przed zmierzchem, gdy elekt wjeżdżał na wyniosły zamek wawelski, murami miasta wstrząsnęły salwy powitalne ze wszystkich dział. Batory najpierw wszedł do katedry, gdzie pomodlił się chwilę, a następnie zbliżył do Anny Jagiellonki, czekającej nań na Wawelu już od 27 marca. Stała otoczona zastępami dam dworu i niewiast polskich wysokich rodów, wspierających na duchu infantkę. Obydwoje, wymieniając dworne ukłony, z pewnością rzucili ciekawe spojrzenia.

Nie wiemy, jakie wrażenia odniósł Batory z tego krótkiego spotkania, choć nie miał chyba złudzeń i wiedział to, co wiedziała dynastyczna Europa: Anna była brzydka, cierpiała na opuchlinę twarzy, a nie spełnione nadzieje zamążpójścia, przy połowie włoskiej krwi w żyłach, w ciągu kilku dziesiątków lat uczyniły z niej zgryźliwą i hardą starą pannę. Późniejsze postępowanie Batorego pozwala nam domniemywać, że i pierwsze wrażenie elekta nie było korzystne. „Dwie rzeczy niepokoiły go najbardziej — małżeństwo z królową już dosyć w wiek podeszłą i pospolite ruszenie" — napisze Heidenstein będący blisko króla i kanclerza. Wiemy natomiast, jakie Batory wywarł wrażenie na obecnych, a sądzić należy, że i na Annie: stał przed nimi człowiek, po którego zachowaniu widać było, iż „nie smakował nigdy w próżnym przepychu (...), budowy ciała

osadnej, kształtnej i mocnej, rysy twarzy miał piękne i wyraziste, ręce żylaste. Jednym słowem wszystko w nim tchnęło krzepkością i zdrowiem" — ocenił Orzelski. Jan Płaza i Adam Gorajski nie koloryzowali.

Cóż za różnica w zestawieniu z wiotkim, wspaniale zblazowanym młodzieńcem, Henrykiem de Valois! Urodą się jednak nie rządzi; Batory musiał szybko uczyć się kraju, w którym miał panować. Uderzała go mocno, tuż za progiem panowania, polska specyfika, wyrażająca się w jawności polityki i umiłowaniu wolności. Gdy na sejmie koronacyjnym, który rozpoczął się 24 kwietnia, poprosił posłów szlacheckich o wybranie deputacji do rady sekretnej, zwrócono mu uprzejmie uwagę, że nie ma w polskiej tradycji parlamentarnej miejsca na tworzenie tajnych rad: każdy poseł ma prawo i obowiązek wiedzieć o wszystkim, co się zamierza w i c h kraju, by mógł zdać relację przed wyborcami. Elekt szybko się uczył: może w godzinę później, „gdy niektórzy senatorowie chcieli cichczem coś szepnąć królowej do ucha, zabronił im tych szeptów Stefan i kazał głośno się tłumaczyć". Natomiast przedtem nakazał posłom wysłanym do niego do Meggyes zdać przed zebranymi pełną relację z rozmów prowadzonych przezeń w Siedmiogrodzie, by nie podejrzewano go, iż uczynił cokolwiek poza plecami herbowych polskich.

„Oto zbliża się, powiadał, czas koronacji i honor mój żąda, abym nosił już na głowie koronę, lecz zastanówcie się uważnie, jak do tego aktu przystąpić macie, albowiem przedkładam zgodę w Polsce nad koron tysiące" — mówił elekt.[8]

Mimo niekłamanej radości pięciotysięcznej rzeszy szlachty — jedna piąta tych, co go obrali — nadal sytuacja była niepewna i niepokojąca. Kwietniowe słońce zdawało się sprzyjać Batoremu, ale jeśli oddać wierniej atmosferę sejmu koronacyjnego, to była ona przeszyta ciemnym lękiem o następstwa „rozerwania korony", obawą przed interwencją cesarza, dobywaniem bratnich szabel przeciw sobie. Batory wiedział, że jego władza będzie na tyle silna, a widmo wojny pogrzebane, na ile zdoła przyciągnąć i przekonać niepewnych, kupionych, zdezorientowanych, oszukanych i biernych. Dotąd wyniki były mierne. Z pewnością jednak liczono, że sacrum koro-

nacji na Wawelu elekta z Węgier przyćmi uroczystości koronacyjne z kościoła augustianów w Wiedniu.

V. SAKRA

Istniały jednak poważne przeszkody formalne. Prymas Uchański nie chciał się zgodzić, by koronować wojewodę siedmiogrodzkiego. Nie pomagały namowy batorianów, jak kasztelana kowalskiego Stanisława Sierakowskiego czy też wysłanie przez Batorego do arcybiskupa, jeszcze spod Lwowa, osobistego legata Jerzego Niemsty. Wprawdzie prymas 14 kwietnia przyjął obu w warszawskich komnatach, wysłuchał spokojnie argumentów o szkodliwości panowania „Niemca" w Polsce, ale po czterech dniach solennego namysłu wespół z posłami cesarskimi Władysławem Lobkovitzem i Janem Koblenzem, mógł jedynie odmówić uznania Batorego za króla. Uzasadniał to w oryginalny sposób, oddający jego profetyczne skłonności: przewidywał „najopłakańszą epokę, nawałnicę i mrok", pisał o zaletach cesarza, tureckim zagrożeniu i powinnościach wobec chrześcijańskiego świata. Epistoła arcybiskupa była dobrze napisana i trafiłaby z pewnością tak do serca, jak i rozumu herbowych, gdyby nie dwie rzeczy. Oto słuchali jej ewangelicy, składający się na blisko połowę posłów, którym nie imponował kolor kardynalskiej purpury i charyzma słów. Oto i do katolików dobiegły wieści, że woźny idący od Batorego — był to poważny, choć niebezpieczny urząd „posła prawa" wiozącego najczęściej wyroki sądowe, oficjalne pisma etc. — został w Warszawie oćwiczony batogiem. Stało się tak na rozkaz podstarościego Wolskiego, tuż koło gospody prymasa, do którego woźny wiózł listy z pozwaniem. Bezpośrednią przyczyną batożenia była odmowa ogłoszenia przez posła uniwersału cesarza tytułującego się królem Polski. Być może też dowiedziano się w Krakowie — wieści rozchodziły się nieprawdopodobnie szybko — że cesarz wzmaga upór prymasa i łechce jego próżność, przysyłając mu z Wiednia swój autoportret, a Iwan Groźny w liście do Uchańskiego cieszy się z wyboru Maksymiliana zapowiadając „wojnę przeciw

każdemu innemu kandydatowi do korony".[1] Takie postępowanie nie mogło zjednywać Jakubowi Uchańskiemu popularności a cesarzowi zwolenników.

Dotąd jednak w tradycji polskiej stało, iż tylko prymas mógł koronować elekta. Szukano więc dróg wyjścia poza tę tradycję. Przed przybyciem Batorego wojewoda krakowski Piotr Zborowski domagał się, by pozbawić prymasa urzędu jako człowieka, który „opiera się woli całej Rzplitej i obala wolność pospolitą (...) i pozwać prymasa przed sejm koronacyjny imieniem Rzplitej (...) Ten wichrzyciel — unosił się Zborowski — nieci niesnaski nie jako Uchański, bo Uchański nic w Polsce nie znaczy, lecz jako arcybiskup i prymas."[2]

Zborowski kalwinista dostał wcale mocne poparcie, ale do drastycznych posunięć — złożenia prymasa z urzędu — dojść nie mogło: katolików była większość i ani myśleli oni wtrącać się w sprawy nominacji zastrzeżone dla papieża i Kościoła. Jednak echo tej mowy dotarło do elekta: w drodze do Krakowa Batory skłonił się ku myśli, by prymasa „pozwać urzędownie", co, jak widzieliśmy, skończyło się oćwiczeniem nieszczęsnego urzędnika. Całe szczęście, że nie był to znaczny szlachcic, chyba raczej plebejusz (do 1766 roku woźny nie musiał być szlachcicem). Ale na sejmie koronacyjnym nastroje były tak nieprzychylne Uchańskiemu, że proponowano najprostsze, choć dotkliwe rozwiązanie: odebrać przywilej koronacyjny prymasowi. Luteranin Świętosław Orzelski poszedł nawet dalej niż jego współwyznawca, Piotr Zborowski, radząc zapomnieć o Rzymie i pozbawić arcybiskupa godności pierwszego duchownego w Polsce, a nadać ją gorącemu zwolennikowi Batorego, biskupowi kujawskiemu Stanisławowi Karnkowskiemu. Czynności tej miał dokonać sam król. I ta rada znakomitego dziejopisa nie była najfortunniejsza, gdyż z punktu widzenia ówczesnego prawa król nie był królem, a tylko elektem, biskupów mianował papież — jak więc król elekt miał składać z urzędu prymasa? Trzeba zatem odłożyć koronację do czasu przekonania arcybiskupa Uchańskiego — wotowali inni.

Takie postanowienie oznaczałoby jednak oddanie inicjatywy obozowi przeciwnemu i wywołało zdecydowany sprzeciw biskupa Karn-

kowskiego. Środki, które proponował, były ostre, ale jak się wydawało, na miarę zwycięzcy i okrutnika spod Szentpál: koronację przeprowadzić jak najszybciej, arcybiskupa, którego w akcie koronacji prawdziwego króla obranego przez szlachtę zastąpić miał jeden z dostojników Kościoła, ogłosić po wszystkich krajach zuchwałym wichrzycielem nie dotrzymującym przyrzeczeń, ze zjazdami przeciwników nie patyczkować się, lecz przepędzić siłą z Warszawy i Tykocina, zakazać pod groźbą utraty głowy wszelkich zebrań, przeprowadzić egzekucję na dobrach przeciwników, skoro się nie da na ich gardłach...

Jak na biskupa i chrześcijanina — niezbyt miłosiernie. I raczej nie po myśli Batorego. Raz wylany strumyczek krwi zbyt często staje się rzeką, która dzieli ludzi i narody niekiedy na całe wieki i pokolenia. Stefan wie o tym. Mówi: „przedkładam zgodę w Polsce nad koron tysiące (...). Co do mnie, wolę lat kilka czekać na pojednanie niż przedwcześnie, z pośpiechem odbyć koronację, gdy po jej dokonaniu rozpocznie się wojna domowa.”[3] Nadal rozsyła pojednawcze listy z zachętą do współpracy, a „o zdanie zapytany odpowiedział, że woli upamiętać arcybiskupa niż go usunąć”.[4]

Elekt czuje się jednak zaniepokojony faktem, iż w Krakowie jest właściwie tylko szlachta małopolska i ruska; niewielu przyjechało z Wielkopolski, a nikt z Litwy i Prus. Dostrzega możliwość uderzenia Austrii i Moskwy na Rzeczpospolitą. Chyba orientuje się, że pozorna bierność cesarza to charakterystyczne wyczekiwanie na rozwój wypadków z nadzieją na wykrwawienie się bądź wykruszenie strony przeciwnej. Batory daje temu wyraz na zwołanej radzie, ukazując lek na czającą się chorobę: rozpuszczenie, nie zwlekając, dwóch wici i zwołanie pospolitego ruszenia. Radzi wysłać posłów do Niemców (szło zapewne o sąsiednie księstwa Rzeszy), przyjąć dobrze legata króla Szwecji. Zwraca też uwagę senatorom, by nie „przyczepiali się” do formuły przysięgi, gdyż będzie ją składał taką samą jak w Meggyes.

Dwudziestego piątego kwietnia uchwała konstytucji sejmowej stłumiła głosy ekstremistów. Elekta koronować miał Stanisław Karnkowski jako najstarszy po arcybiskupie gnieźnieńskim biskup w Wielkopolsce. Uroczystość namaszczania przewidziano na 29 kwietnia; przygotowano też dokładny scenariusz. Dotąd wzruszenie może budzić widoczna dbałość nie tylko o przebieg uroczystości, ale ubiór króla, dla ówczesnych sacrum: w humerale, albie, dalmatyce koronowali się Jagiellonowie. Mamy też w owym scenariuszu staranny opis gestów, słów przy koronacji i namaszczaniu, a także pełną troski instrukcję na końcu: „dla ścierania unctiones olei [olej do pomazania] z Króla Jmci nie zawadziłoby zawiesić namiotek jaki przy wielkim ołtarzu in dextru cornu [w prawym rogu — J.B.]. Także kobierzec trzeba mieć, na którym położyć się ma król nachylony, kiedy nad nim litanię mówić będą...”[5]

Ale koronacja nie odbyła się 29 kwietnia. Wprawdzie biskup kujawski, ubrany w przebogaty ornat, czekał, zebrały się tłumy mające prowadzić elekta na koronację, mijała godzina za godziną, słońce powoli kryło się za pagórkami, gdy okazało się, że na przeszkodzie stanęły ciągnące się w nieskończoność wota i oracje sejmowe, a nade wszystko — Anna Jagiellonka. Na dzień przed koronacją infantka uparła się i wbrew uprzednim obietnicom nie chciała zrzec się na rzecz skarbu państwa ani dóbr, ani kosztowności. A były to sumy olbrzymie, które uczyniłyby Annę potężną w Rzeczypospolitej, co było bez wątpienia jej nadzieją i zamiarem: l'esprit de l'escalier, więc poniewczasie zrozumiała, że pozbawia się ją nie tylko majątków po Bonie, ale i pretensji do Mediolanu, włoskich księstw Bari i Rosano, do osławionych sum neapolitańskich, których dochodzić miała odtąd Najjaśniejsza Rzeczpospolita. Upór był raczej kobiecy, lecz Batory, choć zupełnie nie miał doświadczeń z kobietami, zobowiązał się przekonać Annę. Było to odważne postanowienie. Posłowie nie mieli jednak złudzeń: znali Stefana jako pogromcę w bitwach, a nie zdobywcę upartych kobiet i woleli pogrozić infantce, iż niedotrzymanie warunków umowy zmusza ich do wyznaczenia Batoremu innej żony...

Szkoda, że to tylko pogróżki, choć i one podziałały na Annę jak zimny prysznic. Obiecała powtórnie zrzec się skarbu tykocińskiego i innych majętności po królowej Bonie. Termin koronacji wyznaczono nieodwołalnie na 1 maja.

Chyba warto przyjrzeć się ceremonii, która była dla ówczesnych Polaków, Litwinów, Rusinów i innych nacji olbrzymim przeżyciem, gdzie każdy gest i osoba uczestnicząca w obrzędzie miała swoje znaczenie, kiedy to przydawano pomazańcowi owej charyzmy sprawiającej, iż władzy można było nie cierpieć, głośno wyrzucać swe racje i żale — ale należało ją szanować. Nawet szarganie majestatu królewskiego spotykało się w Polsce z wielką niechęcią szlachty. Wszak to był ich król, z „wolnego obierania pana", nie narzucony.

W przeddzień koronacji, 30 kwietnia, elekt w otoczeniu tłumów, poprzedzany przez senatorów i duchowieństwo, jak nakazywała tradycja, zszedł do kościółka Na Skałce. Tu, wedle znanego podania, porywczy król Bolesław Szczodry zabił w XI wieku przed ołtarzem biskupa Stanisława, jednego z pierwszych świętych polskich. Czy w ten sposób chciano przypomnieć i Walezemu, i Batoremu, aby nie próbowali uszczknąć bogactwa ani, broń Boże, porwać się na potęgę Kościoła? Zapewne tak, choć jednocześnie wskazywano w tym geście na konieczność zachowania pokoju między władzą świecką a duchowną i niewchodzenia sobie w drogę. Szło również o licznych, stukocących podkówkami, grzechoczących drewnianymi trepami, idących cicho w ciżmach i węgierskich wysokich butach urodzonych szlachetnie i mniej szlachetnie: oto potęga prawdziwego Kościoła. Ale wywołać refleksję w tym tłumie różnorodnych wyznań, urodzeń, postaw i ubiorów — to też zapewne źródło ówczesnej polskiej tolerancji — nie było łatwo: dominowała „wielka rzesza chłopiąt krzyczących wniebogłosy". Tłum zachowywał się jak na tłum przystało.

Lecz oto dzień 1 maja się święcił. Posłowie zaczęli go rzetelnie: od intensywnych obrad. Sprawy państwowe przedkładano nad ceremonie. Szło nadal o nieszczęsną sprawę zrzeczenia się skarbów przez Annę. Deputaci szlacheccy rozstrzygając kwestie pieniężne zrezygnowali nawet z oglądania uroczystości ślubnych. Inna sprawa, że mówiąc złośliwie, nie było gdzie i co oglądać. Ślub odbył się bowiem jakby po kryjomu: w jadalni Anny, w której urządzono naprędce kaplicę, w obecności nielicznych senatorów. Wielmoże chyba z równym zainteresowaniem przyglądali się młodej parze, co katedrze, pod którą zbierały się tłumy; nie bez kozery kronikarz odnotował, że z jadalni roztaczał się widok na miasto i zamkowy kościół. Ów cichy ślub przeplatały zadrażnienia, gniew, łzy: na szczęście takie, o których szybko zapomniano.

Oto Anna — świadoma tematyki obrad izby poselskiej, rozdąsana, zła i rozżalona, na miarę swej dumy podsycanej poczuciem odtrącenia i znanego uporu. Oto Batory, widząc insygnia koronne w zasięgu ręki, zdejmuje przed szlachtą maskę człowieka jej uległego. Wyznacza niedawnego posła do prymasa, Jerzego Niemstę, na tego, który ma nieść przed nim podczas uroczystości miecz. Wprawdzie Stefan uzgadnia to z posłami, ale łamie za jednym zamachem dwa tradycyjne prawa: ważna dla szlachty przestrzegającej zwyczajów i prawa godność niesienia miecza przed władcą podczas koronacji powierzana była miecznikowi krakowskiemu, a elektowi, choćby miał kilka kroków do świętych olejów i tronu w katedrze, nie wolno było nadawać urzędów. Jakiż to despekt dla jednego z nielicznych na koronacji mieczników, Lasoty Dembowskiego, mimo że okazało się, że jest on, jako miecznik łęczycki, ósmy w hierachii mieczników koronnych! Jakiż grymas na twarzach szlachty tak pilnie strzegącej każdej cegiełki gmachu swej wolności. Na dodatek Batory oznajmił posłom, że wbrew ustanowionym warunkom nie będzie respektował zakazu nabywania przezeń dóbr. Zresztą, dodał, więcej ma do wykupienia zastawionych i zadłużonych majętności ostatniego Jagiellona, by myśleć o nabywaniu nowych. Cóż było robić — Izba Poselska uznała za stosowne ulec prośbom i oświadczeniom elekta. Król, kiedy prosi, żąda, a Batory przy tym nie sprzeciwiał się głosom wołającym na „wyprawę po strzelbę do Tykocina i po skarby" jagiellońskie, które przytacza Orzelski.

Z zamkowej jadalni pełniącej funkcję kaplicy było blisko do katedry. Drogę od kościółka Na Skałce do zamku i stąd do katedry wyznaczały fioletowe rzędy postawnych hajduków. Po ubraniu elekta przez marszałka nadwornego Andrzeja Zborowskiego (marszałka wielkiego koronnego nie było na uroczystości) w bogate szaty koronacyjne kojarzące się ówczesnym oświeconym ze świetnością i wystawnością ubioru kapłana w starożytnym Rzymie, okadzeniu, po-

kropieniu elekta i wygłoszeniu krótkiej modlitwy po łacinie przez biskupa Karnkowskiego, tchnący umiarkowanym dostojeństwem orszak ruszył z zamku ku kościołowi katedralnemu. Najpierw szło duchowieństwo, a następnie wielmoże niosący insygnia: wojewoda krakowski Piotr Zborowski z koroną, wojewoda sandomierski Jan Kostka z jabłkiem, wojewoda łęczycki Jan Sierakowski z berłem, szczęśliwy Jerzy Niemsta dzierżący miecz i Kacper Maciejowski niosący chorągiew Polski. Za królem, który miał po bokach dwóch biskupów, sunęła świta królowej z jej insygniami koronnymi. Orszakowi przydawały powagi pieśni religijne śpiewane po łacinie przez wyższych duchownych. Nie mógł to jednak być donośny śpiew, gdyż w ceremonii uczestniczyło jedynie czterech biskupów opowiadających się za Batorym — krakowski, przemyski i chełmski oraz kujawski odgrywający rolę prymasa. Gdyby nie opaci, nie sposób byłoby nawet dojrzeć w tej podniosłej chwili infuł „tak koniecznych, tak potrzebnych, podnoszących blask urzędu, świadczących, że prawdziwe błogosławieństwo Kościoła zlewało się na głowę pomazańca!"

W kościele katedralnym było sporo pustych miejsc; widzów prawie połowę mniej niż podczas koronacji Henryka de Valois. Nie był to tylko wynik sprawności gwardii królewskiej, która przedtem opróżniła katedrę i wpuszczała wybranych, ale i lekceważącej nieobecności wielu magnatów. Król stanął naprzeciw ołtarza; Jagiellonka weszła na podniesienie dla chóru, oczekiwana przez niewiasty i matrony. Naprzeciw siedzieli posłowie. Ledwie Anna usadowiła się, już zjawili się przed nią dwaj posłowie, Biejkowski i Orzelski, z ozdobnym pismem w ręku. Na oczach zebranych rozegrał się mały dramat dumnej Jagiellonki: wręczony uroczyście dokument, wygotowany podczas jej ślubu z Batorym, zawierał akt zrzeczenia się wszystkich skarbów i pretensji do schedy po Bonie, który miała podpisać na oczach dostojnych świadków. Tego już było za wiele. Żal i gniew wycisnęły Jagiellonce potoki łez z oczu, które popłynęły na przepiękną białą suknię symbolizującą jej dziewictwo. Posłowie byli jednak niewzruszeni i dotąd czekali, aż infantka złożyła pod pismem swój znak. Na jej wyrzuty, że publiczne zmuszanie królowej do podpisywania podobnych aktów uwłacza jej godności, Orzelski i jego kolega odparli, że taka jest wola posłów (czytaj: narodu), a królowa tylko potwierdza swym znakiem to, co uprzednio przyrzekła. „Lecz daremne to było gadanie i nie przekonało niewiasty" — stwierdził z sarkazmem Orzelski.

Tak naprawdę czyn posłów dowodził niewiary szlachty w dobre intencje Anny. Okaże się, że herbowi się nie mylili: mimo obietnic wydania cesji na najbliższym sejmie Jagiellonka dopiero w 1581 roku zrzeknie się oficjalnie spadku w zamian za zaopatrzenie na dobrach mazowieckich i litewskich. Królowa Anna nie cieszyła się przy tym najlepszą opinią jako kobieta zbyt niezależna, chcąca odgrywać pierwszoplanową rolę, rządzić w państwie. Szlachta zbyt dobrze pamiętała królową Bonę, jej matkę. Mocno niechętni zapędom „niewiasty" byli Zborowscy. Natomiast znacznie lepiej traktowano Annę jako latorośl rodu Jagiellonów, ostatnią, choć „doletnią dziewicę".

Batory pozostał obojętny wobec sprawy skarbów swej małżonki. Cierpliwie czekał na rozpoczęcie obrzędu koronacyjnego. Celebrował tę uroczystość biskup kujawski i składała się ona ze znacznej liczby pieśni, modlitw, zawołań i odpowiedzi biskupa, króla, chóru, które przetrwały w kronikach. Ówcześni „dziennikarze" odnotowali je dość skrupulatnie: z pewnością i dlatego że podnosiło to świętość władzy pomazańca, który po wielekroć przysięgał na Ewangelię przed biskupem, wobec zebranych, padał na złotogłowia krzyżem, a „prymas koronacyjny" modlił się za niego głośno przed ołtarzem. Kiedy marszałek nadworny spytał uczestników ceremonii, czy ma włożyć koronę na skronie elekta, a potężne „chcemy" przetoczyło się przez kościół i odbiło od wysokiego sklepienia echem, biskup Karnkowski przystąpił do namaszczenia. Zmoczywszy wielki palec w świętym oleju zwanym oleum catechumenorum, pomazał Batoremu, jak nakazywała tradycja, rękę prawą od dłoni do łokcia, prawe ramię, piersi i między łopatkami na plecach.

Po modlitwie króla biskup kujawski włożył mu na głowę koronę, wręczył jabłko, w prawą dłoń wsunął berło i przypasał miecz do le-

wego boku. Marszałek nadworny powtórnie zapytał, czy wszyscy chcą koronacji.

Stała się rzecz nieoczekiwana. Oto ledwie przebrzmiał kolejny chór zgody, po kościele potoczył się wyraźny głos:

„Nie chcemy! Nie pozwalamy, nie wszyscy! Bo do zgody wszystkich musiałaby być Litwa!"

Fala zdziwienia i poruszenia przeszła przez katedrę. Jakiś pachołek dostrzegł wetującego i uchwycił go z tyłu.

„Nuż go! — krzyknął. — Dotrzymam ja go, zdrajcę!"

Zdarzenie wyglądało groźnie, ale oburzenie szlachty było letnie; krzyczącemu nic się nie stało. Okazał się nim kniaź Massalski — jedyny przedstawiciel Litwy na koronacji, figura dość drugorzędna. Szlachta koronna mogła się z nim nie zgadzać, ale szacunek dla godności pana brata „z naszej Litwy" trwał i był niezafałszowany. Nawet wtedy gdy Massalski odważnie witał Batorego imieniem panów Wielkiego Księstwa Litewskiego jako księcia Siedmiogrodu. Było to już po koronacji. Herbowi ograniczyli się do gorzkich wymówek.

„Ex mea persona [jeśli idzie o mnie], mógłbym go rzec królem, ale ci mi tego nie zlecili, od którychem posłan" — odparł rezolutnie Massalski.[6]

Nad zachowaniem niesfornego kniazia, a raczej Litwinów, uczestnicy obrzędu szczęśliwie przeszli do porządku dziennego. Jego weto nie zostało uwzględnione. Na pytanie marszałka po raz trzeci szlachta wyraziła głośno zezwolenie na koronację, Massalskiego już nie dopuszczając do głosu, uroczysta msza przeszła spokojnie. Marszałek podniósł do góry laskę, którą przez cały czas bezkrólewia nosił schyloną, jakby w żałobie, ku ziemi.

Polska miała króla, pomazańca Bożego. Biskupi i panowie świeccy odprowadzili Batorego sprzed ołtarza na tron wzniesiony wysoko na środku kościoła. Jego miejsce zajęła Anna, którą ukoronowano dużo szybciej, bez zbędnych ceremonii: była wprawdzie elekcyjną królową, ale tylko niewiastą. Polska tradycja koronacyjna nie przewidywała w tym wypadku jakichś szczególnych względów. Senatorowie wykonali przy tym wobec Batorego znamienny gest: tron, do którego doprowadzono króla, stał pod wielkimi chorągwiami, które rzucano przed Władysławem Jagiełłą po bitwie pod Grunwaldem. Później Batory będzie mógł się dokładniej przyjrzeć wielkim, spłowiałym już nieco, sztandarom zakonu krzyżackiego, którego potęgę Polacy i Litwini złamali, powstrzymując niemiecki Drang nach Osten. Przyjrzeć i lepiej zrozumieć, dlaczego tak silnie wśród pospolitej masy herbowych polskich zakorzeniona jest niechęć do Habsburgów. To przecież owa awersja — oprócz poparcia tureckiego pomnożonego o obawę szlachty przed potęgą islamu, oprócz zwycięstwa pod Szentpál, zbliżającego się konfliktu z Moskwą i kilku innych ważnych czynników — włożyła mu na skronie wspaniałą koronę.

Pomazańcowi przedstawiono młodzież do pasowania na rycerzy. Mieczem koronacyjnym dotykał barków wyróżniających się giermków. Wzbudziło to wojenne zapały:

„Kto cesarczyk, wychodź, będą ścinać, ćwiartować!" — krzyczano.

Przed kościołem nie pojawił się chętny, Massalski nabrał wody w usta.

Po koronacji wydano ucztę na pokojach zamkowych. Król i królowa biesiadowali za środkowym stołem pod złotym baldachimem, w otoczeniu niewiast i dziewic. Za innymi stołami zasiedli senatorowie; posłowie polscy bratali się z Węgrami, którzy licznie zjawili się w Polsce wraz z Batorym. Następnego dnia przyszła kolej na gonitwy i kopie: na rycerskim turnieju starli się „na ostre" jeszcze tego samego dnia Węgrzy pod okiem Banffyego i koroniarze. W obawie „zajątrzenia" obie nacje walczyły oddzielnie. Polaków nieco dziwiło uzbrojenie Madziarów, „jak Hunnowie", i osłanianie się przez nich tarczami, które w Polsce wyszły z użycia. Oczywiście porównanie kronikarza z uzbrojeniem „Hunnów" było śmieszne, gdyż w gruncie rzeczy szlachta już wówczas przejmowała wiele z węgierskiej sztuki wojowania, a przede wszystkim — szablę! Ale przekonanie kronikarza dobrze oddawało poczucie wyższości Sarmatów nad Madziarami w sztuce wojennej. Na szczęście, mimo bitności i czupurności obu nacji, do niecodziennych zdarzeń nie doszło i królestwo mogli się udać do pałacu na Stradomiu, zwanego dla rzeźb twa-

rzy zdobiących portal „Głową". Tam Batory, Anna, senatorowie i dworzanie zabawiali się tańcami — bardziej poważnymi niż budząca zgorszenie przywieziona z „rozpustnej" Francji volta.

Jeszcze kilka miesięcy temu słowa o kandydaturze Batorego wywołały śmiech inteligentnego Dudycza. Stefan potrafił jednak działać skrycie (czasem to budzi wrażenie niezdecydowania), choć koronę osiągnął nie tylko dzięki sprytnej asekuracyjnej grze dyplomatycznej i wojskowej, ale w dużej mierze — przypadkiem. Do korony popchnęły go sprzyjające okoliczności, turecka pomoc i groźba, spór z cesarzem, szlacheckie fobie i sympatie; w tym niechęć do Niemców i wielowiekowe związki Polski z Węgrami. „Le Transylvain, dit roi Pologne" [7], Siedmiogrodzianin zwany królem Polski — mówili ironicznie niechętni mu w chwili elekcji Francuzi. W ich oczach Siedmiogród był rzeczywiście „transsilvaniae", za lasem, gdzieś na końcu świata, gdzie ostali się jeszcze krwawi i dzicy Hunowie, a wojewodzie tej krainy gotowi byli z dąsami przeznaczyć co najwyżej rękę kuzynki królewskiej, prawdopodobnie kochanki Walezego, tej, która już niedługo nie zawaha się zabić zbyt kochliwego męża.

Ale teraz, podobnie jak cesarz i polski prymas — obaj zresztą mocno postarzali i chorzy — mieli do czynienia z pomazańcem Bożym namaszczonym świętymi olejami na Wawelu. Papież, zgodnie z wiekową tradycją Kościoła i jej dyplomatycznymi zwyczajami, milczał czekając na rozstrzygnięcie. Sakra — świętość namaszczenia podczas aktu koronacji budziła respekt w świecie dużego znaczenia symboli, nawet w dobie renesansowego rozchwiania tradycyjnych wartości. Choć sakra ułatwiała znacznie działanie Batoremu, to nie rozjaśniała sytuacji, w której miał naprzeciw siebie cesarza, Litwę, Moskwę, Francuzów, prymasa z duchowieństwem, Łaskiego, Mieleckiego i wielu innych najbardziej wpływowych w Rzeczypospolitej magnatów.

Czy przychylność większości szlachty koronnej i neutralność, a nawet poparcie Turcji zrównoważą siłę nieprzyjaciół Batorego? I jak przyciągnąć do tronu opozycję, by uniknąć najgorszej z wojen — domowej?

Część trzecia

STEPHANUS REX

I. KIJ CZY MARCHEWKA?

Następnego dnia po koronacji, 2 maja, dwór i szlachtę zbudziła wieść, iż niepoprawny Olbracht Łaski zbiera wojsko, przeciąga na swoją stronę szlachtę i plebs i gotuje się do walki z królem. Przyszedł też list od starosty brodnickiego Łukasza Zalińskiego przypominający posłom, że Prusy są przychylne cesarzowi.

Ale Batory nie wydawał się tym przejęty; nie chciał działać porywczo i impulsywnie. Przyjął na zamku wszystkich obecnych w Krakowie senatorów, starostów zamków pogranicznych i grodzkich, którzy złożyli mu uroczysty hołd. Wysłuchał posłów proszących, by król nie nadawał na razie nikomu żadnych godności i urzędów, póki nie zorientuje się w rzeczywistych zasługach kandydatów do stanowisk. Batory z wdziękiem obiecał — i dość szybko obietnicę złamał. Bo też w jaki sposób miał utrwalać swą władzę i kaptować oddanych mu szczerze zwolenników, jak nie nadawaniem urzędów?

Ale obiecując Batory zyskał przychylność senatorów i posłów dla wniosków, którymi sypnął hojną ręką władcy dbającego o swą monarchię. Niektóre z nich — na przykład o podporządkowaniu pospolitego ruszenia królowi bez względu na to, gdzie będzie ono użyte, czy też natychmiastowym ściągnięciu zaległych podatków — szlachta z niesmakiem pominęła milczeniem. Natomiast inne — wysłanie uniwersału o koronacji, poselstw do Niemiec, listu do nie-

złomnego cesarczyka wojewody Mieleckiego, pozwanie winnych przestępstw przed sądy — zatwierdzono.

Jednakże już u progu panowania Batorego daje się zauważyć potężna różnica między rozmachem króla w planowaniu i działaniach a rozmienianiem na drobne jego zamierzeń przez posłów w parlamentarnych mowach i sporach. O wysłaniu poselstw do papieża, Turków, Moskwy, do lenna pruskiego, zreformowaniu kancelarii królewskiej i przygotowaniu wyprawy króla na Warszawę — posłowie i senatorowie mniej mówili. Za to długo i namiętnie rozprawiano nad egzekucją uchwały jędrzejowskiej — tak skutecznie, że aż się podzielono na trzy stronnictwa. Nie było to zjawisko groźne — po prostu przypisane demokracji — a Batory, co świadczy o jego zręczności, umiał przechodzić nad tymi sporami i podziałami do porządku dziennego. W polskim systemie sprawowania władzy mądry władca powinien słuchać posłów, potakiwać im i robić swoje w granicach prawa — tak jednak, by nigdy nie mieć szlachty przeciw sobie. Herbowi, wybierając Batorego, pokazali wszak światu, że nadal są w Rzeczypospolitej pierwszą siłą, na której władca, jeśli marzy o reformie i sukcesach wojennych, powinien się oprzeć. Czy Batory będzie o tym pamiętał?

Trzeciego maja król poprosił posłów, by towarzyszyli mu w drodze z zamku na rynek, gdzie, zgodnie z następną tradycją, miał odebrać publiczny hołd rady miejskiej Krakowa. Chodziło tu również o ukazanie przed światem entuzjastycznego poparcia szlachty i innych stanów; zatarcia nie najlepszego wrażenia z koronacji, której gdy się uwzględni świetność i liczebność prominentów czy tłumu, nie dało się porównać z aktem pomazania Walezego, a tym bardziej ostatniego Jagiellona. Senatorowie, pomnożeni o osobę i poczet kasztelana biechowskiego Jana Kościeleckiego, który zdecydował się stanąć przy królu, jechali tuż obok Batorego. Ale na wszelki wypadek osobę monarchy otaczały gęste szeregi jego fioletowej gwardii. Lud miał trudności z podziwianiem przepysznego stroju i rumaka króla, którego dobrze widział i opisał świadek tych uroczystości i poseł, nieoceniony Orzelski.

Lud tłoczył się i z innego powodu: spodziewano się, że nowy monarcha, jak nakazuje zwyczaj, sypnie groszem — i nie pomylono się. Na środku rynku Stefan Batory w majestatycznym stroju królewskim z wysokości tronu przyjął hołd senatu i miasta, pasował wielu młodych herbowych na rycerzy, ponownie zadbał o trwałość swej władzy, obdarowując dowódców gwardii złotymi łańcuchami i zyskując gorące uczucia tłumu, w który nakazał miotać monety. Stanisław Tarnowski twierdził, że „majestat" oszczędzał: rzucano gapiom „szelągi i półgroszki, kilka złotych tego było nie było dziesiątka"[1] — donosił cesarzowi, co miało pocieszać go, iż nie tylko on cierpi na chroniczny deficyt w skarbie. Potem przyszedł czas na kolejną ucztę, którą Batory wydał dla królowej i magnatów, i tańce. Powoli zmierzch oplatał miasto, zamek i król wespół z Anną zaczęli zmierzać w dostojnym otoczeniu wcale licznej rzeszy senatorów, posłów i duchowieństwa do sypialni.

Różnymi jednak krokami odmierzana była przestrzeń między salą zabaw a łożnicą.

Batory nie czynił tego chętnie: Heidenstein twierdzi, że ustąpił „nalegającym na siebie". „Król raczej przemyśliwał nad tym, jak by wrogów państwa pokonać niż o małżeństwie" — dostrzegł rozterki Batorego ksiądz Solikowski. Szlachta była jednak nieustępliwa, żądając od króla rzetelnego dotrzymania przysięgi poślubienia Anny, choć kierując króla do łożnicy starszej znacznie Jagiellonki czyniła gruby błąd. Medyk Anny złamał bowiem tajemnicę lekarską i przypuścił do sekretu oddanego dworzanina infantki, kanonika Gasparo. Ten z kolei zwierzył się nuncjuszowi papieskiemu, nieprzyjaznemu zresztą Batoremu, Wincentemu Laureo. „E perciocché la signora Infante per via naturale non é per aver figlivoli, essendo già, per quanto s'afferma, entrata nel anno cinquanta tre della sua età" — pisał nuncjusz do kardynała di Cômo.[2] Królowa miała pięćdziesiąt trzy lata i była po klimakterium.

O tym dowiedziano się szybko; zresztą wskazywał na to wiek. W tych warunkach oczekiwanie na potomka graniczyło z cudem; no, ale szlachta polska od dawna uważała, że jest pod szczególną opieką boską.

Jakoś rozmnożył Sarę w jej starości,
Elżbietę świętą w wielkiej niepłodności,
Tak stąd potomki Korona niech wsłynie
W szczęsnej nowinie

— pisano.[3] Niestety, szansa na utworzenie nowej dynastii, zamknięcia piekiełka wolnych elekcji w tę właśnie noc majową została pogrzebana w królewskiej pościeli: królowa, mimo migren, okropnych bólów głowy i gardła, kobiecego poczucia odtrącenia i związanych z tym silnych stresów, była, wbrew pozorom, mocniejszego zdrowia niż czterdziestoczteroletni Batory. Przeżyje króla.

Wróćmy jednak do sypialni, „gdzie stało łoże prześlicznie ubrane, jak to jest u szlachty polskiej we zwyczaju" — zauważył Orzelski. Tutaj rozpoczęła się nowa ceremonia. Biskup Karnkowski wygłosił do króla mowę łacińską, w której złożył władzę opiekuńczą nad Anną w silne ręce Batorego. Król odwdzięczył się zawczasu przygotowaną oracją wygłoszoną po polsku przez podkanclerzego, księdza Piotra Dunina Wolskiego. Po nim znów przemówił wojewoda krakowski Piotr Zborowski, imieniem senatorów również przekazując opiekę i władzę nad Jagiellonką. Akt pokładzin musiał mieć wszak oprawę z oracji.

Wtedy czy może po ślubie zdarzył się charakterystyczny incydent. Gdy senatorowie winszowali królewskiej parze, inny senator, któremu węgrzyn pomieszał daty, możliwości i skruszył polski szacunek do majestatu i kobiety, skwitował życzenia bezpośrednio i głośno:

„Zródź, babo, dziecko, a babie sto lat!"

Batory miał niekłamaną niechęć do małżeństwa w ogóle, a tego mariażu szczególnie.[4] Mimo to „dzieląc łoże z królową dokonał ślubowanego małżeństwa". Był na tyle miły, a raczej świadomy znaczenia gestów w oczach pilnie podglądającej sypialnię szlachty, że po tej nocy przysłał żonie wspaniałe prezenty, w tym puchar złoty napełniony portugalskimi monetami. Tak bowiem nakazywała polska tradycja szlachecka. Niewielki pokój oddzielał obie sypialnie królewskie i Batory spotkał się w łożu z Anną jeszcze dwa czy trzy razy, po czym oznajmił, że królowa może go odwiedzać, kiedy zechce.

Gdy jednak Jagiellonka przyszła, króla nie zastała. Czekała wytrwale pięć godzin; następnego dnia przez siedem. Ze wstydu, gniewu, nie spełnionych nadziei dostała ataku nerwowego, który objawił się gorączką, tak że musiano jej krew puszczać. Batory odwiedził chorą żonę, ale skutkiem usilnych namów niektórych oddanych Jagiellonce panów. Rozczarowanie Anny było wprost proporcjonalne do utraty złudzenia, że będzie rządzić książątkiem z Siedmiogrodu. Tymczasem stało się jasne, że król wykonał akt polityczny, jakiego oczekiwała szlachta i nie zamierza go powtarzać. Niedługo potem niechętny Annie Andrzej Zborowski podczas przechadzki pod krużgankiem wawelskim nauczy Batorego, że nie godzi się władcy iść pod ramię z niewiastą, choćby była królową. Król miał iść pierwszy — z czego Batory skwapliwie skorzystał. Zresztą — może to nie była złośliwość Zborowskiego, tylko przywiązanie do tradycji: Bona dreptała za Zygmuntem Starym, a tylko jego syn chadzał z ukochaną Barbarą Radziwiłłówną razem. Odsunięcie od Jagiellonki było zatem dość bezceremonialne, ale czyż mógł tłumaczyć kobiecie, że przyszedł do Polski po koronę, a nie po żonę? Jako królowa — może zrozumiałaby, jako niewiasta — nigdy.

Większość tych szczegółów znamy z listów nuncjusza pisanych do Rzymu. Na dworze już w kilka dni później dostrzeżono właściwy układ stosunków małżeńskich. „O Pani Annie nihil bonum sperandum [dobrze myśleć nie można]. Widzę jako chłopa dopadła, gębę nosi wysoko i hardo, ale widzę po samym [Batorym], że go rządzić nie będzie, bo prawy chłop i, by nie trwoga, widzi mi się, że sobą nie dał tak bardzo chybać" — pisał na Litwę kasztelan miński Jan Hlebowicz do kasztelana wileńskiego Jana Chodkiewicza.[5] Miał rację: nadzieje Anny na realną władzę, z których zresztą długo nie zrezygnuje, zaczęły się rozwiewać.

Jagiellonka nie dawała się lubić i trafiła na mężczyznę, który za kobietami nie przepadał. W korespondencji Batorego nie znajdujemy dotąd właściwie ani jednego listu od niewiasty. Nigdy bodaj mu serce żywiej nie drgnęło na widok dziewczyny, wrażliwość na kobiece wdzięki gdzieś zgubił. Ten człowiek, będący uosobieniem męskiej dorodności i tężyzny, rumiany, co podług ówczesnych wy-

obrażeń miało właśnie określać mężczyznę skłonnego i zdatnego do częstych miłosnych zapałów, był zaprzeczeniem tego obrazu. Jest w tym wszystkim jakaś tajemnica, której nie rozjaśnia nawet legenda o pięknej leśniczance, Batorym i bastardzie, który narobi tyle zamieszania na wschodzie, ani plotki o królu, który spał w jednej komnacie z Bekieszem. Psychologia twierdzi, że u mężczyzny, który nie przywyknie do kobiety w łóżku, zanika koło czterdziestki popęd seksualny. W każdym razie wstręt Batorego do małżeństwa był tak wyraźny, że został on odnotowany przez pilnych obserwatorów świeckich i duchownych.

Tradycyjnie już przedstawiciele Kościoła należeli do najwnikliwszych podglądaczy alkowy. Jak ceremonialność i jawność pokładzin miały gwarantować urodzenie potomka królewskiego z prawego łoża, tak obserwacja przez Kościół sypialni wynikała nie z ciekawości tego, co dlań niecodzienne, lecz z konieczności szybkiego orientowania się w szczegółach dynastycznych mogących wszak wpływać na bieg dziejów Europy i chrześcijaństwa. Nie powinno nas zatem dziwić, że początki pożycia małżeńskiego Stefana i Anny znamy z relacji nuncjusza Laureo, który — tytułując nadal króla ironicznym „Il Transilvano" — wysyłał na ręce sekretarza papieża, Tolomeusza Gallio, szyfrowane depesze.

Czwartego dnia zjawił się w Krakowie dotychczasowy zwolennik cesarza, znany Batoremu jeszcze z czasów wiedeńskich poselstw i uwięzienia, biskup krakowski Franciszek Krasiński. Przed senatem usprawiedliwiał swą nieobecność na koronacji ciężką chorobą i odradzał stosowanie gwałtownych środków wobec przeciwników Batorego. Tego samego dnia przed obliczem króla stanęli posłowie litewscy. Samo ich pojawienie się, z kasztelanem mińskim Janem Hlebowiczem na czele, oznaczało, że niechęć Litwy do Batorego kruszeje, a wzrasta obawa kary czy raczej spóźnienia się do królewskich łask. Wprawdzie Hlebowicz przemawiał dość hardo, tytułując Stefana księciem, wypominając mu, że — obrany tylko przez koroniarzy — używa tytułu wielkiego księcia litewskiego, prosząc na końcu o wstrzymanie koronacji — ale było to wyrażone z widocznym respektem. Poseł usprawiedliwiał się nawet, że takie otrzymał instrukcje (stąd nonsensowny ustęp o powstrzymaniu się od koronacji, która się przecież już odbyła). Wprawdzie potem przed senatorami i posłami Hlebowicz groził, iż „jużeśmy całkiem rozwiązani i wyzwoleni od węzła unii z Polską"[6] — ale miast konkretnych postanowień wylał on kolejny skopek pełen żalu, goryczy i znanych litewskich kompleksów na głowy panów koroniarzy. Ci wcale się tym nie przejęli, bo widzieli to, co i ze słów Hlebowicza wyzierało: rozerwanie unii było niemożliwe, zbyt mocno spajała ją wspólnota interesów, kultury, wolności. Mieliby się Litwini z pyszna naprzeciw wchodzącej coraz głębiej w Inflanty, coraz bliżej Wilna, Moskwy. Udzielono zatem Hlebowiczowi odpowiedzi polskim parlamentarnym trybem: po jakimś czasie, na nalegania kasztelana. Przypomniano w niej o wielu zaproszeniach do wspólnej elekcji i koronacji, kierowanych pod adresem wielu znacznych litewskich panów braci. W końcu Batory zatwierdził przysięgą prawa obojga narodów, do Litwinów wysłano poselstwo, które miało wezwać ich do porozumienia się na sejmie z koroniarzami. Charakterystyczne, że senatorowie chcieli zgody na osobnym zjeździe, szlachta — nihil sine consensu omnium — właśnie na sejmie. Król poparł szlachtę.

Ostrożni, wyczekujący, spóźnieni coraz częściej i liczniej przechodzili na stronę Batorego. Siódmego maja stawili się na sejm krakowski posłowie z Wołynia i Bracławszczyzny. Tymczasem na Wawelu trwały nadal spory, jak postępować wobec przeciwników: Piotr Zborowski był za użyciem „gwałtownych środków". Choć Batory skłonny był do powoływania się na ius gladii, to albo sam doszedł do wniosku, albo ktoś mądry podpowiedział mu: nie dzielić, lecz przyciągać, nie jątrzyć, lecz upominać, a dopiero na zdeklarowanych gwałcicieli prawa i wrogów ogłosić wyroki i „wydać im wojnę". Król mówił o tym nie tylko przez osoby drugie, ale sam przemawiał. Szlachta zauważyła to i potwierdziła opinie o krasomówczych talentach Batorego i wspaniałej znajomości łaciny.

Ale kłopot był znaczny — właśnie z wojną. Senatorom niechętnym Batoremu dano trzy tygodnie na pojednanie z królem, po czym miano zmusić ich do posłuszeństwa. Odżyła sprawa pospolitego ruszenia: posłowie wbrew przyrzeczeniu nie zgodzili się na rozdział armii

szlacheckiej. Król słuchał tego z niedowierzaniem — przecież Rzeczypospolitej groziła wojna z cesarzem i Moskwą, nieznana była postawa książąt niemieckich i Prus. „Cóż począć, gdy do Polski wkroczą jednocześnie dwa różne nieprzyjacielskie wojska z dwóch różnych stron?" — pytał tedy król Izbę Poselską ustami kasztelana lubelskiego Andrzeja Firleja.

Odpowiedź marszałka szlachty, podkomorzego chełmskiego Mikołaja Sienickiego była szczera: „odpowiedział, że woli z jednym wojskiem jednego nieprzyjaciela podbić niż z rozdwojonym żadnemu podołać".[7] Cóż, nie da się o znanym przywódcy szlachty powiedzieć, iż był on prekursorem nowoczesnej sztuki wojowania. A szło oczywiście o to, by król nie użył swojej części wojska do własnych celów, a szczególnie, uchowaj Boże, do wzmocnienia władzy.

Batory nie rezygnował; groźbami i protestami usiłował wymóc na Izbie Poselskiej zmianę postanowienia. Ale trafił na doświadczonych kauzydyków w parlamentarnych bojach: protestacje królewskie mianowali oni prywatnymi, a nie publicznymi, i po prostu zrezygnowali z ich słuchania. Nowy król miał się nauczyć praw i szanować wolności polskie nade wszystko. Stefanowi pozostało zatem wymóc na stanach podatki (kwartę z dochodów), które miały być użyte tylko na obronę Rzeczypospolitej. Nie było to już tak trudne, gdyż szlachta nie pozostawała głucha na głosy wołające o bezpieczne państwo i wolała rozwiązywać mieszki niż nadwerężać swe „źrenice wolności".

Zetknięcie się Batorego z mozaiką trudnych, specyficznych problemów olbrzymiego państwa wielu nacji, narodowości, wyznań, przekonań nawet dla tej twardej osobowości musiało być wewnętrznym wstrząsem. Sejm polski w niewielkim stopniu przypominał hałaśliwy, ale ustępliwy wobec Batorego parlament siedmiogrodzki; inna była skala, pozycja, jakość politycznego działania wewnątrz i na zewnątrz Polski. Tego trzeba było się w lot nauczyć — i Rzeczpospolita trafiła na zdolnego, choć wiedzącego swoje, ucznia. Po pierwsze Batory zrozumiał, że nie przezwycięży szybko ułomności wiedzy o realiach polskich, tym bardziej że nie znał i nie zamierzał poznać języka polskiego. Zbyt łatwo porozumiewał się nad Wisłą po

łacinie. Musi zatem wesprzeć się z pełną ufnością na jakimś wielmoży i sile społecznej, którą on reprezentuje. Po drugie, już u progu rządów zauważył, że o ile się da, należy działać z ominięciem posłów, gdyż poddanie się trybom parlamentarnej maszyny hamuje wszelkie plany i poczynania.

Dowiódł tego w sprawie Lanckorony, choć tu, wobec jawnego złamania prawa, zgoda posłów właściwie nie była konieczna. Lanckorona była zameczkiem położonym pięć mil od Krakowa i strzegła ważnego traktu wiodącego na cesarskie Morawy. Tę właśnie niedużą, acz ważną twierdzę zajął 11 sierpnia 1574 roku Olbracht Łaski. Ambitny awanturnik podpierał się aktem nadania Henryka Walezego, który przysłał mu przywilej na starostwo warszawskie i lanckorońskie już po swojej ucieczce z Wawelu do Luwru. Mimo niezwykłej odwagi i zamiłowania do ryzyka Łaski obawiał się zająć Warszawę. Natomiast na Lanckoronę uderzył, gdy tylko jej dzierżawca, kasztelan czerski i starosta warszawski Zygmunt Wolski, zamknął powieki na zawsze. Płacz wdowy po Wolskim, której Łaski bez pardonu odebrał dożywocie, dotarł do sejmu konwokacyjnego odbywającego się we wrześniu 1575 roku. Przypomniano tam z oburzeniem inne bezecne występki wojewody sieradzkiego i nakazano mu ustąpić z Lanckorony.

Ale Łaski znał dobrze Polaków i wiedział, że od postanowienia do egzekucji bywa daleka droga. Wprawdzie wojewoda krakowski zagroził mu, iż zwoła szlachtę województwa wiciami przeciw niemu i wreszcie to uczynił, ale niepewność i opieszałość znienawidzonego przy tym wśród szlachty podstołecznej Piotra Zborowskiego sprawiła, iż Łaski rozsyłanymi listami pozyskał sobie wielu herbowych. Gdy wreszcie zebrało się, niezbyt liczne zresztą, pospolite ruszenie województwa krakowskiego, okazało się, że nastroje są dalekie od bojowych. Oto delegacja szlachty z sieradzkiego zagroziła wojną, jeśli Krakowianie postąpią przeciw ich wojewodzie. Dowiedziano się ponadto, że zameczek leżący na wysokiej skale, z natury obronny, Łaski wzmocnił nowymi osłonami, góralami i, jak na złość Batoremu, wspaniałą hajducką piechotą węgierską. To wystarczyło, by pospolite ruszenie ograniczyło się do wyznaczenia wojewodzie sieradz-

kiemu nowego terminu ustąpienia, po czym — ustąpiło samo do ukochanych dworków i zagród.

Batory nie mógł sobie pozwolić po koronacji na tolerowanie takiego stanu rzeczy. Po pierwsze oznaczałoby to zgodę na sobiepaństwo w Rzeczypospolitej — choć w tym wypadku było ono kulawo podparte prawem nadanym przez zdetronizowanego króla polskiego — i samowolę tuż pod bokiem Batorego. Po drugie, co ważniejsze, Lanckorona w rękach stronnika Maksymiliana II mogła stać się bazą wojsk cesarskich. Do Koszyc i przyjaciela Łaskiego, starosty Ruebera, było całkiem niedaleko, w Krakowie wiedziano, że wojewoda sieradzki gotuje się do wyprawy na stolicę Polski i czeka tylko na wsparcie swych sił ze strony cesarza. Starosta sieradzki 8 maja doniósł królowi, że w Łasku wojewoda zgromadził wiele piechoty niemieckiej i czeka na posiłki z armatami. Łaski uchodził za dobrego dowódcę; sprawa Lanckorony nabierała znaczenia strategicznego.

Nie powiadamiając posłów ani nie konsultując się z sejmem, Batory wysłał na Lanckoronę polskie chorągwie i węgierską gwardię wzmocnioną kilkoma armatami pod Stanisławem Górką, któremu podlegał węgierski dowódca Jerzy Banffy. Przewaga sił po stronie królewskiej była olbrzymia, szybkość, z jaką Węgrzy ustawili działa i zaczęli prażyć w mury — zatrważająca. Toteż zamek broniony przez zastuosobową najemną załogę niemiecką pod Zachariaszem Goreckim padł 24 maja 1576 roku po pięciodniowym oblężeniu. Walka była anemiczna, zginęło kilku obrońców, reszcie Górka i Banffy zezwolili na spokojne odejście na Śląsk. Kasztelanowa Wolska otarła wreszcie łzy po stracie męża i Lanckorony, która wróciła do niej w dożywocie.

Wyrzucenie z zamku wysokich lotów polityka, wodza i awanturnika, którego energii obawiał się sam cesarz, dowodziło zdecydowania i siły Batorego. Król pokazał światu, że gotów jest bronić korony nie tylko atramentem i słowem, lecz szablą i armatą. To było groźniejsze i działało jak ochładzający prysznic na rozgrzane głowy „cezarian". Olbracht Łaski, jeden z filarów stronnictwa habsburskiego, zrozumiał szybciej niż inni, że nie ma co robić w kraju, i udał się na emigrację. Życie na obczyźnie — równie niecodzienne i barwne jak w Polsce — rozpoczął od stracenia komendanta Lanckorony, Goreckiego, którego dopadł w Opolu. Ale odtąd, mimo że losy Łaskiego skrzyżują się z działaniem Batorego, nie będzie to już pozycja konkurenta, lecz wyłącznie poddanego.

Nie oglądając się na posłów, którzy również nie mieli zrozumienia dla niektórych próśb (czytaj: żądań) królewskich, Batory postanowił nadać wakujące urzędy. Wyrobił też indygenaty dla zasłużonych Węgrów, między innymi dla podkanclerzego Marcina Berzeviczyego, który po ożenku z Katarzyną Wojanowską na stałe osiądzie w Polsce jako starosta starogrodzki, osiecki i zaufany poseł królewski. Początkowo, za radą niektórych panów, Batory był nawet skłonny pozbawić urzędów najbardziej zatwardziałych cesarczyków. Ale Zamoyski mu to wyperswadował. To przede wszystkim on — jeśli wierzyć Heidensteinowi — sugerował łagodność. Rozdawanie wakatów zawsze rozogniało namiętności — a co dopiero ich odbieranie! Jakiż huk przetoczyłby się przez całą Polskę i jeszcze mocniej ją podzielił! Nadania królewskie wskazywały przy tym, jaką drogą będzie szedł władca, na jakiej sile społecznej, stronnictwie, „partii" dworskiej się oprze, kto będzie realizował jego „polityki". Nie mówiąc o dochodach, splendorze i wzroście znaczenia szlachcica wyróżnionego urzędem.

Rozrodzony ród Zborowskich, któremu wszak Batory wiele zawdzięczał, miał i umotywowane wielkie nadzieje na zyskanie pierwszej pozycji w państwie i sterowanie „książątkiem" z Siedmiogrodu. Podobne nadzieje, o czym też wiemy, miała Anna Jagiellonka. Najważniejszy ze Zborowskich, Piotr, musiał jednak zauważyć, że Batory nie ma właściwie słabych punktów i sterować nim niesłychanie trudno. Walezy był młodzieńcem lubiącym kobiety i swoich „pieszczoszków", grę w karty, hazard, wyuzdane tańce i dziwaczne upokarzanie prostytutek; miał całą gamę słabości, na których artysta w polityce mógł wygrywać swoje melodie. Batory był w wieku dojrzałym, kobiet i strojów modnych nie lubił, udział w wielkiej namiętności króla — łowach — nic nie dawał prócz wątpliwej przyjemności obcowania z człowiekiem szorstkim, twardym, bezpośrednim, o prostych manierach, który wtedy najchętniej zrzucał z siebie dworskie maski. Już pierwsze czynności króla wskazywały, że

nikomu nie da się zahukać i prowadzić. Są osobowości autorytarne, stworzone do rządzenia — i Batory bez wątpienia taką był. Stwierdzenie tych faktów było pierwszym poważnym zawodem Zborowskich. Drugi przyszedł szybko i był znacznie poważniejszy w skutkach nie tylko dla rodu, ale i wewnętrznych dziejów Rzeczypospolitej.

Kanclerz wielki koronny Walenty Dembiński, acz zasłużony dla sprawy Batorego, był już zniedołężniały, źle wypełniał swoje obowiązki i gotów był ustąpić z urzędu. Ale pod warunkiem, że któryś ze Zborowskich dostanie pieczęć wielką. Grzech pazerności i nieumiarkowania gubił ich jednak: coraz do urzędników i króla dochodziły słuchy szerzone przez Zborowskich, iż Batory obiecał kanclerstwo marszałkowi nadwornemu Andrzejowi, że i inne urzędy temu rodowi się należą, gdyż „tylko im Batory tron był winien". Być może głosy te, przytoczone za Heidensteinem, były swoistą próbą wywarcia nacisku na króla. Ale pycha Zborowskich uświadomiła jeszcze raz Batoremu, że wyniesienie ich na wyżyny potęgi może być bardzo dla króla niebezpieczne. Być może za fobią króla kryła się też niechęć katolika do protestantów Zborowskich; kwestia ta wydaje się dotąd nie doceniana przez badaczy. Zborowscy znaczyli jednak tak wiele, że Stefan początkowo działał ostrożnie: nie zgodził się na warunki Dembińskiego.

Zborowscy z tym większym zapałem rzucili się na starego kanclerza: niech złagodzi warunki postawione królowi, a pieczęć wielka będzie ich! Tego było za wiele, nawet dla zmęczonego urzędowaniem Dembińskiego. Pomaszerował do króla, godząc się na lżejsze warunki, byleby pieczęć nie dostała się w ręce pazernego rodu. Batory spełnił życzenie kanclerza: pierwszy urząd w Koronie dostał Piotr Wolski, a podkanclerzym został dosyć nieoczekiwanie trybun szlachty — Jan Zamoyski. Wybór ten zdawał się wskazywać, że król przede wszystkim chce opierać się na masach szlacheckich z jej republikańsko-demokratycznymi upodobaniami. Ze Zborowskich jedynie Jan został uhonorowany buławą hetmana nadwornego.

Andrzej Zborowski przełknął gorzką pigułkę, która okazała się zresztą zretardowana: jako marszałek nadworny musiał wręczyć tak

drogie jego ambicjom pieczęcie Wolskiemu i Zamoyskiemu. Uczynił to z wielkim oburzeniem; jego brat, Piotr, uciekł dyplomatycznie w chorobę nie chcąc patrzeć na despekt. Czas i nadzieja nieco znieczulą ich gniew.

Ponoć po raz pierwszy w dziejach polskich posłowie podziękowali królowi za powierzenie pieczęci mniejszej. Nie ma się czemu dziwić: Zamoyski uosabiał w oczach szaraczków i średniaków możliwość osiągnięcia najwyższych stanowisk w państwie, potwierdzał swą karierą ideały i jasne strony demokracji szlacheckiej, tworzył szlachecką przeciwwagę starych czy też ambitnych wielkich rodów magnackich. Rozczarowanie, które przyjdzie niebawem, będzie tak gorzkie, jak słodka była początkowa wiara, że Zamoyski reprezentować będzie przede wszystkim interesy masy herbowej.

Na temat związków Batorego z Zamoyskim wypisano całe morze atramentu i nie ma potrzeby powtarzać tego wszystkiego, co i tak przewija się przez karty tej biografii. W Krakowie król uzyskał potwierdzenie słuszności decyzji podjętej w Gyulafehérvárze: ujrzał Europejczyka w każdym calu, który równie łatwo wysławiał się w kilku językach, znał skomplikowane prawa polskie, jak potrafił gwałtem dochodzić do majętności, mając przy tym poparcie szlachty. Na tym tle miernie rysowała się pozycja wojewody krakowskiego Piotra Zborowskiego, któremu szlachta małopolska była wielce nieprzychylna. Ten, zdaje się, fakt przeważył szalę na korzyść młodego Zamoyskiego.

Ledwie 30 maja skończył się sejm koronacyjny, już Batory, jak zapowiedział, szedł w Polskę, by kijem i marchewką skłonić nieprzejednanych do uznania go za króla. Inna sprawa, że pomimo groźby użycia siły, by nie dopuścić do zapowiedzianego zjazdu „cezarian" w Warszawie, w postępowaniu Batorego więcej było podsuwania pod nos marchewki niż kija. Do siedziby prymasów polskich, do Łowicza, wysłał Jana Bobickiego z listem, w kategorycznym tonie zapraszając Uchańskiego do siebie. Arcybiskup był zdezorientowany, a nade wszystko chory: ręce mu drżały, niedowidział, dokuczał mu reumatyzm i hemoroidy. Nie przekonywały go listy Jagiellonki, znanego w Europie humanisty Andrzeja Patrycego Nideckiego, Karn-

kowskiego ani samego króla, który ostro przypominał mu o obowiązkach senatora. Odmówił więc spotkania, zasłaniając się chorobą i wiekiem, choć jednocześnie zaczął tytułować Batorego królem. Po naradzie w Przedborzu z biskupem kujawskim 4 czerwca Stefan zdecydował, że musi „być na śniadaniu u księdza arcybiskupa", sam do niego przybędzie. Chwiejny „Jakub", zwany tak z lekceważeniem nawet przez swych stronników, opuszczany w popłochu przez swych cesarskich i papieskich doradców, wystraszony zbliżaniem się groźnych oddziałów węgierskich, zgodził się w końcu spotkać z królem w Warszawie i uznać jego władzę.

Mimo że Batoremu bardzo zależało na poparciu Kościoła, 10 czerwca król w liście pisanym z Bolimowa nakazał nuncjuszowi Laureo opuścić granice Polski. Dworzanin, który miał odprowadzić legata papieskiego, dopadł go już w drodze. Laureo, wiedząc o zapowiedzi królewskiej wizyty w Łowiczu i Warszawie, nie chciał swą obecnością podczas nabożeństwa Zielonych Świątek utrwalać znaczenia sakry nie lubianego przez Kościół króla Polski. Teraz Batory sam nakazywał legatowi poza granicami jego państwa czekać na polecenia papieskie.

Marsz króla na Warszawę momentami przypominał pochód triumfalny. W czerwcowe dni garnęła się do niego dotąd nieufna bądź wręcz niechętna szlachta wielkopolska, na czele z marszałkiem wielkim koronnym Andrzejem Opalińskim, zewsząd dobiegały nowiny, że „Litwa nasza (...), z Prus (...) zgodzili się na króla JMci, kondycje jakieś niosą". Wielmoże z otoczenia króla byliby zachwyceni, gdyby nie znamienny wypadek pod Rawą. Oto króla oblegli „ze wsi chłopi, mieszczanie, szlachta, wdowy ubogie z dziećmi etc.", czyniący przed Batorym „skwierk"[8] w nadziei poprawy strasznego niekiedy żywota. Nie bez powodu wiek XVI określany jest epoką „wtórnego poddaństwa".[9] To była inna, prząśna Polska, choć do miana „infernum rusticorum", piekła włościan, jeszcze było daleko, bliżej już Rosjanom lub Niemcom, a szlachta nie była „klasą próżniaczą", jak do niedawna wbijano w głowy. Dla dostojników jednak „żałosna była facies" i nic nadto, bo też kto by wówczas litował się nad potomkami Chama, którym sam Pan Bóg kazał pracować...

Pojawienie się Batorego w Rawie tamtejsza szara i ta herbowa biedota mazowiecka, marząca niekiedy o „skoku" swego życia na pieniądze z kwarty, idące do skarbu w tym mieście, wykorzystała wręczając królowi suplikę. Skarżono się w niej mocno na wojewodę płockiego i starostę rawskiego Anzelma Gostomskiego, który miał nieszczęście być zagorzałym zwolennikiem cesarza. Zadziwiająca była ta skarga, gdyż u współczesnych Gostomski słynął jako zapobiegliwy i nowoczesny gospodarz, a później jako autor pierwszej polskiej oryginalnej fachowej książki rolniczej pod tytułem *Gospodarstwo*. Król słów supliki cierpliwie wysłuchał, po czym skorzystał z okazji, by Gostomskiego, akurat bawiącego na cesarskim dworze, postraszyć przekazaniem starostwa w surogację (zastępstwo, namiestnikostwo). Inni radzili pozbawić cesarczyka urzędu. Ale Batory poszedł za radą podkanclerzego i było to dobre posunięcie. Och, gdy szło o godności, urzędy i majętności, szlachta działała niespodziewanie chyżo. Wystraszony wojewoda, gdy tylko dowiedział się o surogacji, pojechał w te pędy do Polski i w Błoniu złożył przysięgę wierności Batoremu. „Takeśmy tam siecią ułowili wieloryba", cieszył się biskup Karnkowski.[10] Król, by dotrzymać słowa, nadał surogację synowi Gostomskiego, szlachta była zachwycona ludzkim panem.

Trzeba przyznać, że sieć była misternie utkana: z oczek siły, łaski i życzliwości. Zamoyski przyznaje się do jej autorstwa, ale nie należy mu zbytnio wierzyć. Król już w Siedmiogrodzie wybrał drogę pojednania przez demonstrację siły — a Zamoyski go w tym utwierdził. Większość urzędników dotąd stojąca za cesarzem garnęła się do króla, by wreszcie w Błoniu zaprzysiąc mu wierność. Wśród nich marszałek wielki koronny Andrzej Opaliński i bardzo wpływowy, zdolny starosta generalny Wielkopolski Wojciech Czarnkowski.

W Warszawie, po odprawieniu nabożeństwa, również prymas stanął wreszcie przed królem i złożył przysięgę wierności. Ale i wtedy nie obyło się bez zgrzytów. Arcybiskup „zaprotestował, że nie zgadza się na nic, cokolwiek z pacta conventa sprzeczne było z religią katolicką, ze swobodami i prawami Kościoła".[11] Protest niewiele znaczył, autorytet, choć chwiejny, głowy polskiego duchowieństwa katolickiego stanął za Batorym. Rozgoryczony nie pierwszą pomyłką w ży-

ciu prymas po kilkunastu naradach senatu wycofa się z czynnego życia politycznego, a jego rozczarowanie pogłębi choroba i olbrzymie sukcesy nie chcianego przezeń króla. Ugięła się też ostatecznie Litwa przysyłając do Warszawy kasztelana wileńskiego Jana Chodkiewicza, kasztelana trockiego Eustachego Wołłowicza i innych znacznych panów. Nie było jednak widać Radziwiłłów. Król wysłuchał przeprosin i przyjął od deputacji litewskiej przysięgę wierności. Urazy litewskie biorące się z wyboru króla tylko przez koroniarzy zaleczył sam, składając przedstawicielom Wielkiego Księstwa Litewskiego odrębną przysięgę. Nadal nie pojawiali się pyszni Radziwiłłowie, skoligaceni od ślubu Barbary Radziwiłłówny z rodem Jagiellonów. Ale i ich będzie umiał Batory ugłaskać wysyłając późno, bo dopiero 9 marca 1577 roku, odpowiedź na list wojewody wileńskiego Mikołaja Radziwiłła, w którym zapowiadał, że „z pomoczoju Bożoju radibychmo za uspokojeniem spraw koronnych, ku onomu państwu [na Litwę — J. B.] przybyli".[12] Armia koronna i sam król byli już wtedy bardzo Litwie potrzebni.

Na koniec godziły się z Batorym Prusy — ale nie całe. Jak zobaczymy, bez „ozdoby tej prowincji".

Otaczająca króla gwardia węgierska, odziani w fiolety hajducy wzbudzali w Polsce dwuznaczne wzruszenia — z przewagą obawy nad podziwem. Zapewne dlatego Batory 23 czerwca 1576 roku zdecydował się „za zezwoleniem panów rad naszych (...) wystawić nowy oddział nadworny wojska dla obrony osoby naszej i godności królewskiej złożony z tysiąca ludzi wyborowej jazdy bez różnicy stanu w prowincjach Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego zaciągać się mających". Brak Węgrów w tej gwardii król powetował sobie rozkazem, iż gwardziści „ubiór węgierski nosić mają", wymieniał też elementy uzbrojenia i ochrony: „dzielne i mocne konie", zbroje, przyłbice, koncerze i bandolety, „na koniec dla okazałości i trwogi nieprzyjaciela pióra i inne ozdoby podług upodobania każdego rotmistrza". Służba w gwardii miała przynosić towarzyszowi żołnierzowi 18 złotych na kwartał, a rotmistrzowi stukonnej roty 50 złotych na miesiąc. „W boju z nieprzyjacielem nie odmówimy mu zaszczytu stawania w pierwszym szyku"[13] — zapowiadał uprzejmie król. Tegoż dnia rotmistrzami stukonnych chorągwi zostali: starosta sandomierski Andrzej Firlej oraz dwie sławne potem persony, Marcin Kazanowski i Mikołaj Zebrzydowski. W tydzień później Batory wyznaczył następnych rotmistrzów gwardii.

Niemal cała, niedawno podzielona Rzeczpospolita składała hołd nowemu królowi. Nie uznawał nadal Batorego wojewoda Mielecki, ale jego opór stracił na znaczeniu. Teraz szło o to, by świat uznał Batorego za niekwestionowanego monarchę polskiego. Stąd poselstwa i niezwykle energiczna działalność epistolograficzna króla, której nie sposób na kartach tej biografii odnotować bez szkody dla płynności narracji. Dwie jednak osoby muszą przyciągać naszą uwagę, a to dlatego że jedna — cesarz — nadal rościła pretensje do korony polskiej, a druga — papież — racje te znaczyła stygmatem świętości i wielkości Kościoła.

Laureo, ponaglony do wyjazdu listem królewskim i wieściami o zbliżaniu się do Łowicza strasznej fioletowej piechoty hajduckiej pod Węgrem Bolemonem, stanął w Chróślinie, by stąd wyjechać do Wrocławia leżącego w granicach cesarstwa habsburskiego. Miarą strachu nuncjusza były epitety: hajduków zwie janczarami, a Batorego żelaznym lennikiem Turcji.

Ale Laureo zdawał sobie sprawę już w końcu kwietnia, że cesarz przegrywa wyścig o koronę. To zdaje się on wysyła do papieża szyfrowany list podpowiadający, by Maksymilian zrezygnował z korony polskiej za następującą cenę: Batory i sejm zgodzą się na oddanie berła po śmierci Węgra arcyksięciu habsburskiemu Maciejowi. Projekt był nierealny, a i cesarz, mimo choroby, nie chciał zbyt łatwo zrezygnować z pięknego królestwa. Wspierali go w tych przekonaniach niektórzy panowie polscy, między innymi Krzysztof Zborowski, który znalazł się na dworze Habsburga.

Batory chce zgody z cesarzem: to podstawowy warunek spokojnego panowania. Śle w czerwcu do Ratyzbony Jana Dymitra Solikowskiego. Ale przebywający tam Maksymilian II zwleka z audiencją; dopiero po wysłuchaniu argumentów, którymi Batory szermuje do znudzenia — „mianowano cesarza królem polskim na ustępie, wbrew powszechnemu zdaniu" — przyrzeka dać łaskawą odpowiedź. To

tylko dyplomatyczny wybieg, gdyż wbrew świętym zwyczajom i prawu narodów wracający z misji polscy posłowie zostają oblężeni przez podejrzanie wyglądających wieśniaków we wsi Vatter i uwięzieni w Linzu przez cesarskiego komendanta jako... Turcy. Dowódca Linzu, starszy człowiek, czynił to z wyraźnym obrzydzeniem, domyślając się mistyfikacji. Rzeczywiście: był to wynik niecnej intrygi polskich cesarczyków bawiących na dworze wiedeńskim, a Maksymilian o tych planach najprawdopodobniej nie wiedział. Ale teraz, po haniebnym uwięzieniu, mimo listów biegnących do cesarza ze wszystkich stron, nie robi nic, by posłów Batorego szybko uwolnić. Jest przyzwyczajony do takich metod i zdaje się nie widzieć w nich, z pozycji „władcy świata", nic gorszącego.

Cesarz bowiem nadal szykuje się do wyprawy, choć czyni to tak samo ospale jak na początku walki o tron wawelski. Przygotowuje grunt propagandowy: jeszcze w sierpniu 1576 roku nakazuje świetnemu oratorowi i pisarzowi łacińskiemu Krzysztofowi Warszewickiemu napisanie relacji z dziejów sejmu elekcyjnego ukazującej, że to on jest jedynym prawowicie obranym królem Polski. Batory uczyni to później, piórem Reinholda Heidensteina, na znacznie większą skalę. W końcu sierpnia Maksymilian zwracał się do hiszpańskiego Habsburga Filipa II z prośbą o wypłacenie zaległych pensji staroście koszyckiemu Janowi Rueberowi. Prawdopodobnie stąd, z Moraw, wzmocniony finansowo namiestnik króla węgierskiego, starosta koszycki, miał ruszyć na Polskę i otworzyć cesarzowi wawelskie podwoje.

Co na to Rzym? Papież Grzegorz XIII popiera w zasadzie cesarza, ale czyni to w zgodzie z wypracowaną przez wieki tradycją dyplomatyczną Kościoła: ostrożnie. Świeża była jeszcze trudna sprawa pretensji do korony polskiej zasłużonego podczas dnia świętego Bartłomieja katolika Henryka de Valois i próby rządzenia Polską z Paryża. Teza, że dużą rolę odgrywał w tej sprawie sceptycyzm papieża wobec katolicyzmu Batorego, wydaje się błędna. W korespondencji księcia Siedmiogrodu wiele miejsca zajmowały listy do papieża, w których Batory, wspierający początki działalności jezuitów, usiłujący odzyskać pole dla wyznania rzymskiego, daje się poznać jako gorliwy katolik, upatrujący w tym nie tylko transcendentny, ale i polityczny sens. Mimo to Kościół jest Batoremu, jako kandydatowi do korony i już jako królowi polskiemu, wyraźnie niechętny. Osobę Batorego kojarzy z faktem „jakoby Królestwo Polskie pod moc turecką poddać się miało" [14], co uchowaj Panie Boże. W Rzymie zanoszone są modły publiczne, „żeby cesarz mógł się pozbyć Stefana z Polski".[15] Jeszcze 15 maja nieświadom koronacji Batorego na Wawelu kardynał Hozjusz pociesza się w Rzymie, iż w Warszawie „o inszym królu nie wiedzą, jeno o cesarzu", a biskup kujawski „podobno już tej chuci nie ma, którą przedtem miał na Batorego".[16] Były to tylko pobożne życzenia wybitnego polskiego kardynała: Karnkowski, jak wiemy, „chuć" na Batorego miał przemożną, a z listu Hozjusza przebija wyraźny ton niepewności.

Akt sakry, sukcesy króla w Warszawie, list prymasa, między innymi do cesarza, w którym gorzko wyrzucał on Maksymilianowi brak wsparcia i pomocy, co zmusiło go do uznania Batorego za króla — wszystko to Rzym zbywał niechętnym milczeniem. Obszerny list Batorego do papieża, zapewniający o wierności wierze katolickiej i świętemu Kościołowi, domagający się potwierdzenia jego intronizacji [17] — pozostawał bez odpowiedzi. Ale niektórzy dostojnicy Kościoła, będący blisko spraw polskich, zauważali zdecydowane przeważenie się szali na korzyść Batorego i nie omieszkali przestrzec papieża przed konsekwencjami bierności Watykanu. Kardynał Komensky donosił nuncjuszowi apostolskiemu w Rzeszy, kardynałowi Janowi Morone:

„Ponieważ wiadomości odebrane ze wszystkich stron Polski w tym się ze sobą zgadzają, że rzeczy tak się dobrze składają dla Batorego, że cokolwiek by uchwalił sejm Rzeszy, to by mało pomogło partii cesarskiej (...) zdaje się Ojcu św. być jego obowiązkiem zwrócić na to uwagę cesarza, że dla dobra królestwa polskiego i reszty chrześcijaństwa byłoby może dobrze, widząc niepodobieństwo osiągnięcia tego królestwa, nie jątrzyć dalej wspomnianego Batorego i nie zmuszać go do rzucenia się w objęcia Turka." [18]

Dyplomacja papieska była dobrze poinformowana i przewidująca. Oto w kilkanaście dni później wielki wezyr wysyła ze Stambułu list

adresowany „między Jezusa chwalącymi Panu najwyborniejszemu, między Mesjasza chwalącymi najzacniejszemu, wszystkich Nazareńczyków sprawy naprawującemu, wszelkiej czci i poszanowania godnemu, wielkich gromad ludzi i zastępów Panu miejsce zacności i wielmożności trzymającemu Stefanowi Batoremu, któremu Bóg ku dobremu prowadzi... etc." [19] Tytulatura była typowo wschodnia — rozkwitająca i schlebiająca, jak na strach przed mocarzem przystało — lecz równolegle wysłany list sułtana do króla, choć bardzo układny, był już inny w tonie. „Trzeba tedy, abyście (...) z Portą Otomańską (...) statecznie i nieodmiennie w przyjaźni stali byli" — przestrzegał padyszach.[20]

Tureckie nawoływanie do przyjaźni było Batoremu bardzo na rękę. Tuż po zakończeniu sejmu w Warszawie wysłał do Rzymu poselstwo z księdzem Janem Zamoyskim herbu Grzymała. Miał on zastąpić nieudanego posła Batorego, który nie potrafił lub nie chciał wygrywać w Rzymie atutu swego nazwiska — Pawła Uchańskiego. Krewnego prymasa, dla którego jeszcze niedawno Lobkowitz i Koblenz domagali się od swego cesarza, w uznaniu zasług, „6000 złotych z wydzielonych mu z sumy 100 000".[21] Zamoyski przyjechał z listami, w których Batory opisywał sytuację w Polsce i konsekwentnie przypominał o posłuszeństwie wobec Kościoła.

Ale Zamoyskiego niemal nikt w Watykanie nie chciał słuchać. Wyjątek stanowił przychylny Polakom kardynał Farneze. Papież Grzegorz XIII, stojąc nadal pomiędzy superkatolickimi Habsburgami a gorącymi protestacjami posła francuskiego de la Roche Pozaya, wstrzymywał się z wyciągnięciem upierścienionej dłoni w kierunku Batorego. Ba, Zamoyskiego nie przyjął nawet pierwszy polski kandydat do tiary papieskiej, kardynał Stanisław Hozjusz. Jak się można domyślić, był to nie tylko wynik przewlekłej, męczącej choroby płuc i przewodu pokarmowego wybitnego polskiego dostojnika Kościoła, ale przekonanie, że panowanie cesarza w Rzeczypospolitej jest zgodne z katolicką i polską racją stanu.

„Jego Cesarska Mość otrzymawszy od sejmu [niemieckiego — J. B.] pomoc, powinien jak najśpieszniej wyprawić się do Polski, jeżeli ma chęć i odwagę pozyskać to królestwo" — pisał jeden ze wspomnianych kardynałów.[22] Jeszcze we wrześniu niektórzy z rzymskich duchownych i polskich „cezarian" na dworze Habsburga oczekiwali, że Maksymilian z pomocą książąt Rzeszy upomni się siłą o koronę polską. Ale jednocześnie piszący te słowa kardynał przestrzegał kilkakrotnie, że Batory „ustala się na tronie" i ma za sobą niemal całą Rzeczpospolitą.

II. «NON FICTUS NEQUE PICTUS»

Po sukcesach w Warszawie, rozesłaniu korespondencji, poselstw i odesłaniu części orszaku węgierskiego do Siedmiogrodu Batory ruszył do Tykocina i Knyszyna: ulubionych miejsc ostatniego Jagiellona. Jedzie po schedę po Zygmuncie Auguście. W Tykocinie „przywłaszcza sobie — tak całkiem słusznie rzecz ocenia Orzelski — skarby pozostałe po śmierci Augusta". Nie dziwmy się: z 200 tysięcy florenów, które wysłał z Siedmiogrodu do skarbu koronnego, pozostało tylko 70 tysięcy. Nieco wzmocniony finansowo, w Tykocinie dowiaduje się o nieoczekiwanym pojmaniu posła cesarskiego Henryka Kurtzbacha. W dramatycznych okolicznościach został on 6 lipca postrzelony z rusznicy przez dzierżawcę starostwa puckiego Ernesta Wejhera i ujęty. Przy Kurtzbachu znaleziono listy: stało w nich, że pomoc cesarska bliska i pewna, a sam cesarz prosił księcia pruskiego Albrechta Fryderyka, stany, a szczególnie miasta — wszystkich poddanych lub lenników Korony Polskiej — aby były mu nadal wierne.

To brzmi poważnie. Trzeba jak najszybciej wracać z Tykocina do Warszawy, a stamtąd do Prus. Mimo zapewnień niektórych posłów z tej prowincji, lenne księstwo pruskie było nadal niepewne swych uczuć do nowego władcy Rzeczypospolitej. Może nie tyle szlachta, ile tamtejsze miasta, gdzie przeważali Niemcy instynktownie sprzyjający Habsburgom, a nade wszystko duszący się wraz z polskimi mieszczanami w obcisłym stroju praw skrojonym na potrzeby szlachty, a nie miast. To jeden z polskich fatalizmów dziejowych, wywołujących dalekosiężne skutki.

Trzynastego lipca z Lubotynia król uprzedza szlachtę wojewódz-

twa łęczyckiego, że „mamy pewną sprawę, iż niektórzy ludzie w pruskich miastach niektórych do posłuszeństwa naszego przyjść nie chcą" i dlatego „żądamy i napominamy, abyście każdej potrzebie byli gotowi"[1]: stawili się na wezwanie w określonym miejscu. Uniwersał ten sygnalizował możliwość szybkiego zwołania pospolitego ruszenia województwa. Istna rzeka pism z kancelarii królewskiej wypływa 8 sierpnia: zgodnie z postanowieniami sejmu koronacyjnego Batory zwołuje parlament do Torunia na dzień 4 października. W obszernej instrukcji na sejm walny kancelaria wyjaśniała, dlaczego akurat to miasto wybrano na miejsce obrad: „gdzie by za zapaleniem ognia [w Prusach — J. B.] bliższym był [król — J. B.] ku gaszeniu jego". Mocno też wybijano tam „nierząd" w państwie i konieczność zaprowadzenia porządku przez ukaranie „innych wiele szkaradnych postępków", by Rzeczpospolita mogła „zakwitnąć".[2]

W natłoku spraw o głównym ciężarze gatunkowym król znajduje czas na, wydawałoby się, kwestie drugorzędne. Żydzi od dawna (i do niedawna) oskarżani byli w Polsce o porywanie i mordowanie chrześcijańskich chłopców dla celów rytualnych. Sprawa ta odżyła u początków panowania króla w związku z podejrzeniami szlachcica z powiatu gostyńskiego, jakiegoś Studzieńskiego. W wydanym 5 lipca dekrecie Batory potwierdził, że Żydzi „żadnej z przypisywanych im zbrodni [wobec dzieci chrześcijańskich] nie są winni"[3], zabronił występować z podobnymi oskarżeniami pod karą śmierci oraz potwierdził ich przywileje oddając pod jurysdykcję sądów kościelnych i sejmowych. W ten sposób Batory kontynuował politykę ostatnich Jagiellonów, a Żydzi zyskiwali prawa niespotykane w innych państwach Europy. Czyż można się dziwić, że nazwa Polski w języku hebrajskim brzmi Polin (po lin), czyli — tu spocznij?

O chęci wprowadzenia rzetelnego porządku i stabilizacji pozycji Batorego świadczył też kolejny akt wydany 16 sierpnia w Warszawie przez marszałków koronnych. Szło o bezpieczeństwo osoby królewskiej i uczynienie z dworu przykładu dla reszty kraju. „Artykuły spraw i sądu, jaki ma być na dworze króla" stanowiły, iż ma tam panować wzorowy spokój i porządek. Dworzanie i inne osoby wokół

króla miały się strzec od „wszelakich skandalów", zbrojnych gestów (te karano na gardle), „białe głowy nierządne i wszeteczne" miały zostać odpędzone, „aby za dworem nie jeździły".[4] (Rzecz przy tym ciekawa, że w opinii niektórych cudzoziemców Polska uchodziła za kraj wielu nierządnic, co zadaje kłam wielu historycznym i obiegowym opiniom o pruderii i wstrzemięźliwości erotycznej ówczesnych Polaków.) W akcie dotyczącym dworu zwraca także uwagę humanitarność przepisów chroniących handlarzy, kupców, chłopów, szynkarzy, których sprytni dworzanie, kiedy się dało, wykorzystywali i łupili bez zmrużenia oka. To przecież w tych czasach miało powstać słynne „mydlenie oczu": dworzanie Zygmunta Augusta udając balwierzy zwabili mieszczanina ze złotym łańcuchem na szyi, zamydlili oczy goląc go, zerwali ozdobę i uciekli. Biedny mieszczuch z mydłem w oczach nie mógł potem rozpoznać owych „dworskich balwierzy", a cały Kraków trząsł się ze śmiechu ze sprytu dworzan, karzących wystawność „pośledniego stanu", i łatwowierności mieszczan. Zakazano też wyszynku mocnych napojów w godzinę po zapadnięciu zmroku. Wiedziano aż zanadto, co nadmiar gorzałki robi z człowieka w kraju, jednym z nielicznych, gdzie upijanie się już wtedy było dowodem dobrego wychowania i szczerości. I już wtedy cudzoziemcy nie mogli się nadziwić częstym objawom owego dobrego wychowania...

W drugiej dekadzie sierpnia widzimy monarchę w Służewie u wojewody brzeskiego w otoczeniu wielu senatorów. Po opuszczeniu Warszawy, podczas posuwania się w kierunku Prus, Batory zauważa rzecz charakterystyczną: i tu „wszyscy prawie wyglądali tylko Maksymiliana", lecz gdy tylko pojawiał się wawelski król, „poszli za przykładem innych stronników austriackich"[5], przysyłając do Batorego posłów ze słowami wierności. Również lennik polski, książę Prus, Albrecht Fryderyk, wysłał do Brześcia Kujawskiego posłów. Złożyli oni Batoremu hołd w imieniu księcia i zaprosili na chrzest córki lennika. Król jednak z zaproszenia, pisanego w takt kroków jego gwardii, nie skorzystał. Orientował się przy tym, że książę jest niepoczytalny, owładnięty chorobą umysłową — i stanowi to poważny polityczny problem.

Umysłowość i charakter Batorego można docenić, gdy dodamy, że w tych pracowitych dniach nie zaniedbuje kaptowania ludzi, o których mógł spokojnie i chyba z lekceważeniem zapomnieć. Mowa o Kasprze Bekieszu. Dawny przeciwnik znalazł schronienie w byłej rezydencji Łaskiego, w Kieżmarku. Cesarz jednak był nadal mocno niechętny swemu niedawnemu adherentowi, który nie zdołał zmienić pod Szentpál biegu dziejów w tej części Europy — i wyrzucił Bekiesza z Kieżmarku. Ambitny Węgier jest zrujnowany, upokorzony — lecz nadal świadom swych zdolności. Szuka chlebodawcy. Batory u początków swego panowania w Polsce bez wątpienia potrzebuje kogoś z Węgier, wyciąga dłoń w przyjaznym geście. Dawny konkurent nie może już mu zaszkodzić, za to jego nienawiść do cesarza jest zbyt cenną monetą, by ją łatwo strwonić. Mediacji podejmuje się Piotr Zborowski — z Krakowa ma blisko, jeszcze liczy na łaski królewskie — i 26 sierpnia dostarcza Bekieszowi list od króla. Pełen słów przebaczenia i wyrazów serdeczności, z zaproszeniem na dwór króla Stefana. Bekiesz jest przejęty i wdzięczny — niebawem da temu wyraz.

Batory następnego dnia jest na błoniach toruńskich, gdzie mieszczanie toruńscy i elblęscy korzą się przed królem. Robią to oddzielnie: Elbląg popierał gorąco Batorego nie z miłości do władcy „zza lasu", lecz z nienawiści do kłującego go w oczy bogatego Gdańska. Elbląg chce być rzeczywistym konkurentem największego portu Rzeczypospolitej. Toruń natomiast 27 sierpnia złożył hołd z obawy przed armią królewską. Batory stosuje tu sprawdzoną strategię postępowania: kupuje miasta pruskie przysięgą potwierdzającą publicznie i prywatnie prawa i wolności wyznań. To ostatnie potwierdzenie jest bardzo ważne: w Prusach zdecydowaną przewagę mają protestanci.

Jakże ważne są ludzkie oczy. Nadjeżdżały delegacje z miast pruskich do Torunia, układały się o prawa i formuły stany pruskie. Szybko jednak w otoczeniu króla dojrzano, że brakuje posłów najważniejszego handlowego miasta Korony. Mimo obietnic władz potężnego grodu.

Szlachta nie lubiła tego miasta, a jednocześnie podziwiała je

umysłowością ludzi nie mających zmysłu konsekwentnego, skrzętnego oszczędzania. Gdańsk, zwany „Wenecją północy", był szczególnym przypadkiem na mapie Rzeczypospolitej, która niczym olbrzymi wygłodniały orzeł leżała uwiązana cienką srebrną nitką Wisły do morza. Tędy szło niemal wszystko, co mogła Polska sprzedać i kupić; tutaj drogę do Bałtyku przegradzał Gdańsk, który czerpał z pośrednictwa handlowego krociowe zyski.

> Iż co się rodzi na polskim ugorze,
> Połknie to morze.
> Pan nie nasyci morza bezdennego,
> Wsi nie nasycą pana choć jednego.
> To wszystko ginie, co użną poddani
> Jako w otchłani. (...)
> Te zaś żołądki prowadzą do Gdańska
> Poty cnych kmiotków, a raczej do Chłańska

— pisał Sebastian Klonowic. Nie bez kozery Gdańsk herbowi nazywali z przekąsem „Chłańsk", obserwując bezradnie, jak obrasta on w przywileje i w fortyfikacje, jakich nie miało żadne miasto w Polsce. Gdańsk posiadał system zapór i śluz umożliwiających w razie niebezpieczeństwa zatopienie wrogich armii. Potęgi miasta broniła budowana własna flota oraz zaciągane w razie potrzeby świetnie wyszkolone wojsko. To, że „okno, którym patrzy cała Rzeczpospolita na świat",[6] obsiadł dość szczelnie patrycjat niemiecki i miasto było powiązane z Hanzą, szlachtę mniej raziło, gdyż Polska była wówczas dobrą (może za dobrą) matką dla wielu narodów i nie miarą nacjonalizmów mierzono wówczas ludzi. Gdańsk był Rzeczypospolitej potrzebny, a Rzeczpospolita Gdańskowi. Z tego zdawali sobie bardzo dobrze sprawę niemieccy rajcowie miasta: szczyt wspaniałego ratusza gdańskiego wieńczył pozłacany wizerunek króla Zygmunta Augusta z koroną na czole, tą samą, którą Gdańsk miał w herbie.

Ustalił się pewien schematyczny pogląd, że dowodem krótkowzroczności stanu szlacheckiego i królów polskich było niedocenianie sprawy Prus i Bałtyku. To nie tak: podczas zawierania unii polsko-litewskiej w Lublinie 1569 roku zawarto też unię z Prusami, które

wraz z Gdańskiem weszły do Rzeczypospolitej. Zlikwidowano odrębność Prus Królewskich. Senatorzy pruscy zasiedli w polskim senacie, niezależny dotąd skarb tej prowincji został skasowany. Z punktu widzenia prawa wszystko wydawało się klarowne i jasne, natomiast w praktyce Gdańsk z całych sił bronił się przed uszczknięciem obszarów swej niezależności i przywilejów. To nie szlachta pierwsza publicznie wywiesiła hasło „złota wolność"; uczynił to Gdańsk fundując swym oddziałom sztandar z napisem wyhaftowanym złotem „Aurea libertas". Wprawdzie tak zwane statuty biskupa Karnkowskiego (Constitutiones Carncovianae), ustanowione za panowania Zygmunta Augusta, zwiększały uprawnienia króla, który miał decydować o otwarciu czy zamknięciu portu, zaciągach wojskowych, odbierał poprzez swych komisarzy przysięgi wierności od patrycjatu i komendanta twierdzy chroniącej Gdańsk — Latarni — decydował o wojnie i pokoju, rozstrzygał apelacje sądowe, ale teraz właśnie miało się okazać, ile wart jest, zapisany 68 artykułami, papier z wielkimi pieczęciami i podpisami.

Patrycjat gdański bowiem wytrwale stał za cesarzem. „Wielkie obietnice Maksymiliana zapaliły im głowy" — stwierdził Heidenstein. Rządzący samowolnie miastem Konstanty Ferber i Grzegorz Klefeld liczyli na zniesienie nienawistnych „statutów Karnkowskiego" i szersze związanie z olbrzymimi rynkami Habsburgów. Już w kwietniu niedaleko pozłacanego wizerunku Zygmunta Augusta Dwór Artusa ozdobiło wielkie ogłoszenie Maksymiliana II o przyjęciu korony polskiej. Trzeciego czerwca, gdy Batory szedł już na Warszawę, Gdańsk pozwolił sobie na luksus ugoszczenia posłów moskiewskich zmierzających do cesarza. Oczywiście nie tylko dla poczęstunku słynną „złotą wódką" gdańską przyjmowano we wspaniałych komnatach bojarów groźnego cara: pamiętamy plany rozbiorowe wobec Rzeczypospolitej. Przez Batorego mogło być to odczytane jako szykowanie się do sojuszu trzech uzupełniających się — autorytetem, liczebnością i bogactwem — potęg.

Wróćmy jednak na błonie podtoruńskie w słabnącym blasku sierpniowego słońca. Nie było tam posłów gdańskich, a wysyłane do miasta królewskie legacje — od pisarza płockiego Mikołaja Kossobudzkiego przez marszałka nadwornego Andrzeja Zborowskiego — wracały z listami do króla, zawierającymi mniej więcej to samo: niech się Batory ugodzi z cesarzem i zniesie „ciężary" statutu, a wtedy my, gdańszczanie, będziemy się korzyć.

Marchewka nie skutkowała, trzeba było sięgnąć po kij. Batory wyjeżdża do Grudziądza — miasta, gdzie jeszcze w maju sejmik pruski gorąco opowiadał się za Maksymilianem — a następnie do Malborka. Stąd 15 września obwieszcza: „rozkazujemy, aby żaden od tego czasu zboża i wszelakich innych rzeczy dalej Malborku i Tczewa Wisłą spuszczać nie śmiał (...) pod srogim karaniem naszym".[7] Był to początek blokady Gdańska. Jednocześnie Batory wezwał niepokorne miasto przed sąd królewski wyznaczony na 20 września, zarzucając mu „nieposłuszeństwo, zuchwalstwo, wściekłość", a więc obrazę majestatu, i oskarżając o bunt. Król kazał pozew rozrzucić po mieście, zapewne z nadzieją, że jeśli nie patrycjat, to plebs się wystraszy.

Na sąd nikt się z Gdańska nie stawił i 20 września jego mieszkańcy, zgodnie z prawem, na podstawie wyroku zaocznego, zostali ogłoszeni buntownikami. Król zawiadamiał o tym stany pruskie specjalnym uniwersałem, wyjaśniając, że po wyczerpaniu środków pokojowych zmuszony jest użyć siły dla uspokojenia prowincji. Miał nadzieję, że stany pruskie go w tym wspomogą. Stało się jasne, że król nie sięga już po kij, ale szablę.

Akcja propagandowa i manifestacja siły Batorego przyniosły jednak skutek odwrotny do zamierzonego. Rozwścieczona wyrokiem królewskim tłuszcza gdańska rzuciła się na katolicki kościół Świętego Mikołaja, sprofanowała i obrabowała świątynię. Ojcowie dominikanie opiekujący się nią musieli przed niechybną śmiercią salwować się ucieczką. Splądrowano też majątki duchowne, w tym biskupa Karnkowskiego, które musiały być znaczne: obrócono bowiem w perzynę dwa przedmieścia gdańskie doń należące, Schottland i Hoppenbruch. Zrabowane zostały też inne przedmieścia, Stolzenberg, Bischofsberg, a potem polskie wsie, w tym Sopot, Zaspa, Gdinno (Gdynia). Nieliczne katolickie punkty oparcia w luterańskim mieście kojarzyły się szaremu tłumowi z nienawistnym królem, który chce

dławić wolne miasto wyrokiem. Ofiarą rabunku padły również inne miejsca kojarzone z papistami.

Wyjęte spod prawa miasto Korony Polskiej musiało zostać ukarane, jeśli Batory chciał zachować autorytet. Tymczasem miecz, którym król groził Gdańskowi, był z dość miękkiej stali. Pogróżki Batorego podpierało ledwie sześciuset hajduków z węgierskiej piechoty i tysiąc znakomicie uzbrojonej jazdy dowodzonej przez hetmana nadwornego Jana Zborowskiego. Król mógł też liczyć na małą stałą armię kwarcianą — 2590 żołnierzy — kosztem kolejnego osłabienia bezpieczeństwa kresów wschodnich. To za dużo na asystę, za mało na wojnę.

Tym mocniej liczył Batory na postanowienia sejmu toruńskiego i zaangażowanie posłów szlacheckich. Na tydzień przed jego otwarciem, aby postraszyć gdańszczan, król wkracza na ich posiadłości zdobywając niewielki zameczek, zwany Grzebień lub Grabin. Patrzy przez palce, jak hajducy i gwardia Zborowskiego obracają w perzynę ziemie należące do opornego miasta. Rozpoczyna się rzeczywiście najgorsza z wojen — domowa. Następnie król idzie pod Gdańsk i staje na wzgórzu koło wsi Schönfeld. Stąd widzi jak na dłoni całą potęgę jednego z największych i najbogatszych miast w Europie, co łatwo można rozpoznać po obwarowaniu grodu. Trzeba dobrej piechoty, armaty i szczelnej blokady, by pokusić się o jego zdobycie.

Pewną pociechą jest pojawienie się pod Gdańskiem jednego z ostatnich cesarczyków, Mikołaja Mieleckiego. Przybywa z wcale liczną asystą odzianą w białe szaty symbolizujące niewinność. To nie ja jestem winien opóźnienia w złożeniu przysięgi wierności, tylko me prawo do wolności, innego zdania, miał powiedzieć wojewoda. Król zapamięta ten wywód, choć na razie hetman koronny jest mu potrzebny ze względu na wiedzę, doświadczenie i autorytet.

Wtedy też świtą nadzieja na dobry obrót rzeczy. Gdańsk znów śle posłów, tym razem do Grzebienia, gotów uznać Batorego za króla. Niepotrzebnie jednak obwarowuje pokorne pismo zastrzeżeniami o prawie do wypowiedzenia posłuszeństwa. Tego natura Stefana, jego poczucie racji stanu i prawa znieść nie mogą. Przepuszcza pierwszą okazję pokojowego rozstrzygnięcia sprawy, zrywając wszelkie układy z gdańszczanami: nikt nie będzie mu stawiał warunków wstępnych. Zostawia koło miasta hetmana nadwornego z niewielką, około tysięczną armią, rozsyła wici nakazując zwołanie pospolitego ruszenia ziem pruskich, mianując wodzem tych ziem Achacego Zemę. Na punkt zborny wyznacza Starogród. Następnie zmierza ociężale, bo z licznym dworem, do Torunia, gdzie na świętego Franciszka, 4 października, miał odbyć się sejm.

Batory dotarł do Torunia 16 października, co może wywołać wrażenie dziwnej opieszałości i lekceważenia. Spóźnić się na przełomowy sejm aż dwanaście dni? Czyżby do Stefana dotarły opinie szlachty niechętnej wojnie? Należy jednak zdać sobie sprawę, że czas wtedy miał zupełnie inny wymiar niż w późniejszym świecie pośpiechu i stresów. A król miał zapewne nadzieję, że posłowie się wygadają, ostudzą jeszcze przed otwarciem sejmu — i przyjmą jego propozycje.

Ale ten właśnie sejm wykazał, jak złudna jest zapowiedź zgodnej współpracy szlachty z jej królem, jak pozornie zostały zagojone rany podziałów i animozji. Dawni „cezarianie" wybuchnęli zrozumiałymi żalami ludzi spóźnionych do królewskiego stołu wakansów. Zborowscy z Górką, który za zdobycie Lanckorony dostał województwo poznańskie, podnieśli krzyk, że ich król za zasługi słabo wynagrodził. Batory nie dbał o to: żądał głównie uchwalenia podatków na wojnę. Zagaił o to sejm 19 października. Równolegle toczyły się z posłami gdańszczan rozmowy. W końcu października wydawało się, że pokój zostanie zawarty, gdyż gdańszczanie szli na ustępstwa zobowiązując się wypełnić obowiązki wobec króla, a nade wszystko wypłacić zaległą od kilku lat sumę 200 tysięcy złotych w czterech ratach.

Niespodziewanie pokojowe usposobienie Gdańska miało konkretny powód: 12 października zmarł schorowany cesarz Maksymilian II. Rzeczpospolita ex titulo i de facto miała odtąd jednego króla; zniknęła zmora porozumienia się cesarza z hosudarem i uderzenia na Polskę. Szczęśliwy Solikowski z towarzyszami został wreszcie 29 października uwolniony z Linzu i pośpieszył na sejm toruński. Gdań-

szczanie dowiedzieli się z pewnością o śmierci cesarza gdzieś pod koniec października, gdyż wtedy właśnie piszą ustępliwe, a nawet błagalne listy do stanów Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Wydaje się, że to już koniec oporu miasta. Do Torunia przyjeżdża burmistrz Gdańska Konstanty Ferber, rajca Jerzy Rosenberg, syndyk Henryk Lembke. Pragną zgody.

Ale król nie chce pokoju. Wypowiedzeniem posłuszeństwa Gdańsk usiłował podeptać jego autorytet: to może być w przyszłości groźne, jeśli nie zostanie ukarane. Mobilizacja szlachty do wojennego wysiłku jest przy tym Batoremu bardzo potrzebna w związku z jego planami i zobowiązaniami. Wydaje się przekonany, że istnieje potrzeba okazania sąsiadom swej siły — a przeciwnik, choć bogaty, może prowadzić jedynie wojnę obronną. Zaostrza więc warunki, żądając między innymi zburzenia nowych fortyfikacji, wydania ośmiu ciężkich armat, oddania oddziałom królewskim Wisłoujścia, wysłania wojska najętego przez gdańszczan na wojnę z Moskwą.

Warunki postawione przez Batorego są zgodne z racją stanu Rzeczypospolitej, ale na ich realizację trzeba mieć poparcie reprezentantów szlachty. Jest inaczej: kiedy król prosi sejm o uchwalenie podatków na zaciąg żołnierzy, spotyka się jedynie z życzliwością senatorów. Posłowie szlacheccy, ta szlachta, która wybrała Batorego na króla, zaczyna czynić wszystko na opak życzeniom monarchy. Wojna? Jeśli tak, to zwołajmy pospolite ruszenie. A że można wici rozsyłać tylko w wypadku zagrożenia zewnętrznego? To uznajemy Gdańsk za wroga z zewnątrz. Gdańszczanie są zachwyceni, już widzą się poza Koroną, samodzielni; nie będą musieli opłacać się królowi polskiemu. Ferber i Lembke wiedząc o sejmowych bojach oczywiście poczuli się pewniej i podnoszą cenę ewentualnej ugody. Domyślają się żachnięć Batorego: przecież z tą hałastrą szlachecką można, owszem, próbować walczyć z przeciwnikiem w polu, ale nie dobywać znakomicie ufortyfikowane miasto. Na dodatek posłowie przestrzegają powtórnie króla, że nie zezwalają na rozdzielanie pospolitego ruszenia. Uchwalcie chociaż podatki, żąda rozczarowany Batory od szlachty. Ale i wtedy herbowi znaleźli świetne dla siebie rozwiązanie, wskazując na królewszczyzny, z których przez okres interregnum starostowie nie płacili należności. Tam, twierdzą, można znaleźć pieniądze na tę wojnę. Posłowie pamiętają dobrze i o skarbach tykocińskich: zaraz zobaczymy, jak przymówka o nich mocno dopiecze Batoremu.

Dlaczego tak się dzieje? Solikowski, bystry, choć często jednostronny obserwator, po czteromiesięcznym więzieniu ma wyczulone spojrzenie i chyba się nie myli oceniając to, co się stało w Toruniu. „Widząc nowy obyczaj wprowadzania uciążliwej piechoty węgierskiej, tak z dnia na dzień obrady sejmowe zwłóczyli" — jakby bardziej obawiając się siły króla niż rebelii Gdańska. Nie są to szlacheckie fobie bez pokrycia: herbowych niepokoi energia władcy, który stale ma koło siebie potężną, zbyt potężną i dobrze wyszkoloną gwardię, w tym piechotę hajducką. To nic, że król odesłał do Siedmiogrodu część orszaku i wojska węgierskiego, że wprowadził polską gwardię. Liczba Madziarów w otoczeniu króla niepokoi i rodzi różne podejrzenia. I do tego Batory chce narzucić swoją wolę, jakby zapominając o paktach konwentach, polskich wolnościach, i upiera się, by walczyć z Gdańskiem, godzącym się na znośne dla Polski warunki, świadomym śmierci cesarza, na którego pomoc dotąd liczył. Dlaczego zatem król chce walczyć z Gdańskiem?

„Jan Zamoyski, już podkanclerzy koronny, z płaczem miał mowę od imienia króla." [8] Rozpaczliwa w tonie oracja, nie ostatni raz płaczącego przecie nad Rzeczpospolitą świetnego demagoga, jakim bez wątpienia był Zamoyski, miała skutek odwrotny do zamierzonego. Bardzo szybko w oczach szlachty Zamoyski przestał być jej trybunem. To już magnat, senator, tuba Batorego. Miast zajęcia się sprawą uchwalenia podatków posłowie ziemscy zażądali, by Batory „zdał sprawę ze swych czynności", a szczególniej ze skarbów zabranych z Tykocina. I mają rację: przecież to kraj demokratyczny i ich prawem, obowiązkiem wręcz jest spytać o los niemałych skarbów, których nie zdołali rozkraść dworzanie Zygmunta Augusta, a przez które Jagiellonka wylała tyle gorzkich łez.

Dla Batorego nie był to jednak żaden dowód wolności, lecz swawola. Jego, który wpłacił do skarbu Rzeczypospolitej 200 tysięcy guldenów, tak bezceremonialnie śmiano pytać o pieniądze. A prze-

cież jeszcze nie rozwiązana jest sprawa zwrotu około 600 tysięcy długu ostatniego Jagiellona, zaciągniętego u książąt pomorskich. Król „okrutnie się rozgniewał" i pokazał, obrazowo mówiąc, pierwszy smoczy ząb, który miał w herbie. Zaskoczeni posłowie zobaczyli rozsierdzonego nie na żarty władcę i wysłuchali słów, których dotąd nie wyrzekł do nich bodaj żaden z monarchów polskich. Aby oddać nastrój sali, wspaniałą rytmikę wyrzucanych z mocą zdań, warto przytoczyć krótką mowę króla, która stała się głośna w Europie i zawędrowała do watykańskich archiwów.

„Nie w chlewie, lecz człowiekiem wolnym urodziłem się: zanim w te ziemie przybyłem, nie zbywało mi ani na jedzeniu, ani na przyodziewku; wolność moją zatem kocham i zachowam. Z łaski Boga przez was królem waszym obrany zostałem; przybyłem tu za waszymi prośbami, waszymi głosami. Przez was korona została na mą głowę włożona, zatem jestem królem waszym a n i n i e u r o j o n y m, a n i n i e m a l o w a n y m. Chcę panować i rządzić i ani nie ścierpię, aby ktoś z was w tym mi przeszkadzał. Bądźcie strażnikami wolności waszej, ale nie pozwolę, abyście byli moimi nauczycielami i stróżami moich senatorów. Zatem pilnujcie tak wolności waszej, aby wasza swoboda w swawolę nie została obrócona."[9]

Król był tak wściekły, że zapomniał o pluralis maiestaticus przemawiając w pierwszej osobie. Tuż za progiem objęcia władzy potknął się o upór reprezentantów szlachty pilnie chroniących swych praw. Zapowiadając, że będzie „non fictus neque pictus", Batory nawiązywał do postaci poprzedniego władcy, Henryka de Valois, zwanego królem malowanym: twierdził, że będzie jego przeciwieństwem. Ważniejszy był ton przemówienia króla, który nie rokował dobrej współpracy ze szlachtą; oznaczał, że król oprze się na przychylniejszych mu senatorach. Brak bazy społecznej w republikańskim ustroju, jaki reprezentowała Rzeczpospolita, mógł się okazać dla władcy poważnym kłopotem, jeśli nie poważnym błędem. Szlachta bardzo szybko, wręcz instynktownie, dojrzała — nie tylko silna gwardia węgierska króla i hajducy byli tego przyczyną — że Batory będzie dążył do zaprowadzenia rządów silnej ręki. Jego energia i sukcesy w opanowaniu bardzo podzielonej Rzeczypospolitej były

tak wielkie, że aż zatrważające. Kiedy zmarł cesarz, zniknęło widmo bezpośredniej cesarskiej interwencji, co w Polsce wywołało charakterystyczne pęknięcie zwartych dotąd szeregów zwolenników Batorego, miał on odtąd wielkie szanse, by z króla ukochanego, któremu szlachta trzy miesiące temu dziękowała za rozdanie urzędów po jej myśli, stać się królem nie lubianym. Sprawa stosunków między szlachtą a królem w Rzeczypospolitej stała się jedną z głównych osi polityki wewnętrznej. Przemówienie Batorego ukazywało wyraźnie rozmiar różnicy między pojmowaniem roli władcy przez Stefana a wyobrażeniami herbowych. To już początek drogi rozejścia się króla i usposobionego republikańsko narodu szlacheckiego.

Sejm toruński po bezowocnych wotach i namowach rozszedł się w końcu listopada. Król po wybuchu gniewu schował urazę na zaś, nie zamierzając rezygnować ze swych planów. Z Torunia śle listy do hetmana polnego litewskiego, od którego wiele teraz zależy wobec szybkiego posuwania się Rosjan w Inflantach, pisze do chana i jego syna. Chodzi o zabezpieczenie kresów południowo-wschodnich przed Tatarami, których pojedyncze czambuły, wbrew cichej umowie o neutralności, przemykają tradycyjnie na Podole, Wołyń i Ruś Czerwoną.

Mimo że Zamoyski podpowiada królowi pokojowe rozwiązanie sporu z Gdańskiem, Batory nie wierzy w uległość mieszczan. Ma w tym sporo racji. Nadal więc szykuje się do zbrojnej rozprawy z opornym miastem.

Ale na podjęcie działań wojennych z prawdziwego zdarzenia brakuje pieniędzy i jest już za późno: szła zima.

III. POD GDAŃSKIEM

Śmierć cesarza Maksymiliana w opinii ówczesnych ludzi dowodziła niezbicie, iż Batory urodził się pod szczęśliwą gwiazdą i wart jest korony. „Baczny człowiek przyznać to musi Panu Bogu wielką łaskę jego (...) a przy tym wielkie szczęście Korony Polskiej i Księstwa Litewskiego" — zanotował kronikarz.[1] Jesteśmy skłonni są-

dzić, że miał rację: fatalizm i przypadek w historii odgrywa zbyt ważką rolę, by go lekceważyć i pokrywać stosem papierów zapisanych ukochanymi przez naukę procesami.

Również dla Kościoła zgon cesarza oznaczał, że łaska Boża stoi jednak za Batorym. Z dnia na dzień poseł króla w Watykanie, Jan Grzymalita Zamoyski, stał się persona grata, przed którą, jak zaczarowane, otworzyły się wszystkie podwoje, a gwardia szwajcarska, ze skrzyżowanymi halabardami strzegąca apartamentów papieskich, odsłoniła wspaniałe freski Rafaela w stanzach watykańskich. Polaka wnet przyjął papież Grzegorz XIII, listy króla przeczytał i 7 listopada odpisał Batoremu „z oświadczeniem wysokiego poważania" i troski o wiarę katolicką.[2]

To samo uczynił kardynał Hozjusz. Ale Zamoyski zrewanżował mu się za uprzednią oschłość. „Nie ozwał się, chociam go pilno kilkakroć prosił do domu swego i kęs chleba swego z chęcią ofiarował" — żalił się kardynał. Żal niesłuszny i słuszny, bo jednocześnie Hozjusz przyznaje się w tym liście, że on to namówił biskupa Rzymu, by odpisał Batoremu jako królowi polskiemu i na kongregacji kardynałów dał „czytać list, który ks. Rozrażewski o tego pana [Batorego] cnotach wielkich do mnie pisał".[3] W rzeczywistości nie była to zasługa Hozjusza; o przychylności Rzymu do Batorego zadecydowała śmierć cesarza. Zagadka — kto? — została rozwiązana, papież przestał wyczekiwać.

Tymczasem król opuścił Toruń i rozesłał pierwsze wici deklarując tym samym niezłomną chęć dojścia swych praw wobec Gdańska siłą. W początkach stycznia przenosi się z dworem do Bydgoszczy. Tutaj, w tydzień po Nowym Roku, zjawiają się Ferber, Rosenberg i Lembke z nowymi pełnomocnictwami od władz Gdańska. Król gotów jest ponownie rozpatrzyć kwestię „statutów Karnkowskiego", ale zauważa, że każde ustępstwo poczytywane zostaje przez posłów za objaw słabości. Tu już oczywiście nie idzie o uznanie Batorego za króla, ale o zaległe długi — 200 tysięcy złotych, których Gdańsk nie chce wypłacić władcy — i jego zwierzchnie prawa nad miastem. Dwanaście dni zastanawiają się posłowie nad warunkami króla, nie dotrzymując terminu odpowiedzi. Zostaje to źle odczytane przez

Batorego: już nie jako coś w rodzaju uniku, ale lekceważenie. Polityka ugody forsowana przez podkanclerzego Jana Zamoyskiego przegrywa z kierunkiem wojennym. Rozsierdzony do żywego król z pasją wyrzuca z siebie przewiny Gdańska, „które snać już z wielkim obelżeniem naszym i korony naszej wszej były i zrozumieliśmy, żeśmy więcej czynili, niżeliśmy byli powinni, aniżeli oni tego godni byli. Nie zdało nam się dalej z nimi w żadne traktaty wdawać, ale co innego przedsięwziąć" — zapowiadał król.[4]

Miał w zwyczaju dotrzymywać słowa, kiedy chodziło o godność jego i majestatu: by przerwać uwłaczającą dlań grę na zwłokę i spory z podlegającym mu miastem, Batory rozkazuje uwięzić Ferbera, Rosenberga i odesłać ich pod strażą do Łęczycy. Niech luteranów popilnuje ksiądz prymas. Uważa zapewne, że nie złamał prawa, gdyż gdańszczanie są jego poddanymi. Ba, ale tak samo myślał cesarz, kiedy w Wiedniu kazał aresztować posła Batorego. Syndyk Lembke wraca do Gdańska z wieściami o strasznym gniewie króla. 12 lutego 1577 roku Batory „rzucił na miasto interdykt ognia i wody": te groźne słowa oznaczają wyjęcie Gdańska spod prawa jako wroga ojczyzny. Od tej chwili każdego mieszkańca tego miasta można bezkarnie zabić, posiadłości i majętności, gdziekolwiek by się znajdowały — zabrać. A wiadomo, że bogaty patrycjat i kupcy mają sumy, weksle, wierzytelności w wielu miastach Rzeczypospolitej. Batory skwapliwie korzysta z okazji — i wszelka własność Gdańska przechodzi do skarbu królewskiego. Dobrami gdańszczan w Toruniu i Krakowie król nagradza zasłużonych.

Odpowiedź tłumu gdańskiego jest szybka i skuteczna. Klasztor w Oliwie zostaje obrabowany, a armaty miejskie, chyba za zgodą władz, wycelowane w mury klasztorne. Strzelają, dopełniając dzieła zniszczenia. To już preludium wojny.

W dniu obłożenia miasta interdyktem król rozsyła drugie wici. Jest to właściwie pozór. Batory raczej zamyśla chronić Rzeczpospolitą pospolitym ruszeniem przed Moskalami, coraz śmielej napierającymi na granice państwa, niż iść z tą demokratyczną armią pod Gdańsk. Szuka nadal pieniędzy na zaciąg solidnej armii zaciężnej, która się będzie bić, a nie debatować. Aby wymóc na szlachcie wy-

łożenie groszy na wojnę, jeszcze bardziej zaostrza stosunki z Gdańskiem: po chwilach ustępstw mnoży i podwyższa żądania. Może nie jest to tak celowa i konsekwentna polityka króla, jak wynik nacisku doradców i otoczenia Batorego. Przecież sprawy handlowe i morskie są dla Węgra terra incognita. A tu z jednej strony usiłował ognisty spór załagodzić, bynajmniej nie bezinteresownie, podkanclerzy Zamoyski, z drugiej strony na siłowe rozstrzygnięcie sprawy Gdańska naciskał, znający dobrze miasto, właściciel zrujnowanych przez plebs tamtejszych majętności — biskup Karnkowski. Król zresztą podsyca złość biskupa, pisząc doń o zniszczeniach w Oliwie; że „nawet Tatarzy nie byliby takich sprawili spustoszeń, jak uczynili to gdańszczanie". To chyba celowe stwierdzenie: wojna bardziej odpowiada przekonaniom i naturze króla.

Wydany przez Batorego 7 marca kolejny uniwersał oznaczał wprowadzenie całkowitej blokady ekonomicznej miasta. Cały handel zagraniczny i polski, wszystek spływ wiślany miał odtąd kierować się do Torunia i Elbląga. Postanowienia króla tyczące się handlu potężnie uderzały w źródło potęgi Gdańska — monopol pośrednictwa handlowego — ale świat nie miał wówczas jeszcze przekonujących doświadczeń, że mało kto wygrał wojnę blokadami. Pomysł przeniesienia ciężaru handlu z opornego miasta do Elbląga poddał królowi opat oliwski Kasper Geschkau (Geschkow) — i Batory skwapliwie z niego skorzystał. W kilka miesięcy później widać było skutki tego zarządzenia: do Elbląga spłynął nie tylko olbrzymi strumień towarów, ale tutaj zaczęły przenosić się spółki handlowe, cudzoziemcy, gwałtownie wzrosła liczba statków przybijających do nabrzeża elbląskiego. Odwet Gdańska w postaci zarekwirowania polskich towarów nie mógł wyrównać strat, jakich doznało dumne miasto.

Ale do ruiny Gdańska było bardzo daleko: tu potrzebna była nieprawdopodobna cierpliwość i konsekwencja. Tymczasem sprawa miasta hanzeatyckiego miała międzynarodowy wydźwięk. Batory niespokojnie patrzył na wschód, wiedząc, że o długim oblężeniu nie może być mowy. Konieczne było poparcie senatorów: zwołał więc do Włocławka radę, przedtem grzecznie pytając gospodarza miasta,

biskupa Karnkowskiego, czy nie ma nic przeciw jego przyjazdowi. Odpowiedź była zaskakująca: Karnkowski żalił się, że Włocławek to takie ciche miasteczko, „wolne od wrzawy i zgiełku", otoczone lasami i borami, tak że tylko do modlitwy, a nie obrad stworzone. Ponadto — żywności tu nie ma, nawet ryb, choć miasto nad Wisłą położone. Ja sam, kiedy do Włocławka jadę, dłużej tam nad cztery do sześciu tygodni bawić nie mogę dla braku żywności — biada zacny biskup koronacyjny. Poniechaj zatem Włocławka, miłościwy panie...

Oj, dojadło już ojcu biskupowi kujawskiemu złupienie gdańskich majętności, by miał teraz spokojnym wzrokiem przyglądać się, jak spłachetek jego biskupstwa ginie w przepastnych brzuchach senatorów, a nade wszystko wiecznych głodomorów obsiadających gęsto każdy dwór: pachołków, giermków, czeladzi, a nawet dworzan. Król jednak, jak miał w zwyczaju, o czym zdecydował, tego nie poniechał i gdzieś w ostatnim tygodniu marca zjechał na radę do Włocławka. Swoje pojawienie się z licznym dworem i senatorami Batory osłodził biskupowi budującą pobożnością, gnąc publicznie kolana przed krzyżem, co wycisnęło biskupowi i wielu obecnym katolikom łzy z oczu. Epoka i polskość nakazywały wzruszać się gestami; poza tym czyżby poprzedni władcy mniej okazywali pobożności?

Choć religijność Batorego z pewnością nie była na pokaz, to jednak w tym wypadku miała wartość polityczną i finansową: król zachęcał Karnkowskiego, by ten wpłynął na otwarcie skarbców kościelnych i klasztornych na rzecz państwa. Stąd zapewne wybór Włocławka jako miejsca narady, co miało wyróżnić biskupa, a zostało przezeń odczytane zupełnie inaczej. Otóż Batory spore nadzieje wiązał z uchwaleniem przez duchowieństwo tak zwanego subsidium charitativum, dobrowolnego podatku. Na to jednak musiała być zgoda prymasa Uchańskiego. Karnkowski już od grudnia 1576 roku zabiegał u arcybiskupa o zwołanie synodu prowincjonalnego. Wysłał nawet do Łowicza dawnego wychowanka prymasa, księdza Solikowskiego, pod pozorem załatwienia pewnych spraw kościelnych. W końcu Uchański, po konsultacjach z nuncjuszem Laureo, do którego pisał również Karnkowski, zezwolił na złożenie synodu w dniu

19 maja w Piotrkowie. Wtedy można było podjąć sprawę dobrowolnej opłaty Kościoła na cele państwowe.

Laureo, wyczuwając przychylne dla Kościoła i papieża wiatry, wjechał z Wrocławia w granice Polski. Natomiast we Włocławku pojawił się prymas, który podczas obrad zobowiązał się wysłać królowi roty piechoty złożone z 300 ludzi i 60-osobową chorągiew jeźdźców. Słowa dotrzymał — z dziwnie fatalnym zresztą dla żołnierzy tych rot skutkiem.

Z Włocławka poszły w Polskę uniwersały zwołujące sejmiki powiatowe i główne (generalne). Senatorowie znów musieli hamować zdecydowanego Batorego, który gotów był natychmiast wysyłać trzecie wici. Lepiej, aby posłowie „nam drogę pokazali do zapobieżenia temu upadkowi rzeczy pospolitej" — twierdzili senatorowie, wskazując królowi, że bez aprobaty narodu szlacheckiego trudno rządzić. Stefan zgodził się nie rozsyłać trzecich wici, tym bardziej że przecież nie zamierzał użyć przeciw gdańszczanom pospolitego ruszenia.[5]

Z doświadczenia i lektur starożytnych wodzów król wiedział, że pieniądze są „nervum belli". O tym przyjdzie mu mówić nieraz, o tym wiedział przeciętnie obyty szlachcic znający łacinę. Ale skąd wziąć upragnione złotówki, gdy wyciekły one ze skarbu mimo ostatnich wpływów gdańskich, a szlachta tak niechętna do sięgania do sakiewek? Batory użył całej siły argumentacji, by ją przekonać do wojny: w rozległej instrukcji na sejmiki wskazywał na powiązania Gdańska z Moskwą i niebezpieczeństwa stąd płynące. Tekst pisał dobry znawca spraw polskich, najpewniej Zamoyski; odwoływał się tam do przeszłości, walki Polaków o Gdańsk, Pomorze i dostęp do Bałtyku od czasów XIV-wiecznego króla Władysława Łokietka. Dbałości o sprawy morskie przodkowie nasi „jakoż tego za łaską Boga dowiedli (...) A zażby się godziło tego odstąpić za lekkim uważaniem tych rzeczy?" — pytano szlachtę w instrukcji.[6]

We Włocławku senatorowie zgodzili się na zastawienie klejnotów koronnych, co dopełniło smutnego obrazu nędzy finansowej ambitnego króla. Batory zresztą pierwsze kroki w tym kierunku uczynił bez zgody senatu wcześniej, w styczniu: zastawił koronę u kasztelana śremskiego Jakuba Rokosowskiego, dzierżawcy ceł w Wielkopolsce i Małopolsce, otrzymując 70 tysięcy złotych i należność na konto ceł. Z Włocławka pchnął też poselstwo z Kasprem Geschkauem i Mikołajem Firlejem do margrabiego brandenburskiego Jerzego Fryderyka z Ansbachu. Za 200 tysięcy złotych „tytułem honorarium" król Polski gotów był oddać niepoczytalnego czasami księcia pruskiego Albrechta pod opiekę niebezpiecznie ambitnego sąsiada z rodu Hohenzollernów. Inicjatywa ta nie wyszła od Batorego, lecz od sprytnego i niezwykle energicznego Brandenburczyka, który jeszcze za czasów pierwszego bezkrólewia i panowania Henryka Walezego czynił starania o przejęcie lenna pruskiego. Następnie nagabywał wypoczywającego w 1575 roku w Norymberdze znajomego mu kasztelana wiślickiego Mikołaja Firleja, by poprosił króla o udzielenie mu zezwolenia na opiekę nad chorym księciem Prus. Batory zgodził się łatwo — zbyt łatwo — a z nim senat. Do Ansbachu ruszyło poselstwo od króla, którego zadaniem było wytargowanie jak największej sumy pieniędzy. Pozostawała wszakże nadzieja, że do umowy nie dojdzie, a w ostateczności podważy ją sejm walny.

Gdańsk nie czekał na skutki działalności króla. Rozwinął ożywioną akcję propagandową: sekretarz miejski, znany kronikarz Kasper Schutz, zebrał i opublikował dokumenty dotyczące sporu, które rozesłano za granicę, usiłując zyskać sympatię i poparcie innych. Gdańszczanie chcieli zjednać i elektora brandenburskiego, i księcia pruskiego, i nowego cesarza Rudolfa II. Na ogół jednak natrafiali na chłodne postawy władców przekonanych o nieuchronnej porażce miasta. Najbardziej przychylnego przyjęcia doznał Gdańsk dopiero ze strony duńskiego Fryderyka II. Powód był prosty: Dania obawiała się, by Polska z katolickim królem na tronie po zdławieniu rebelii Gdańska nie wypłynęła na Bałtyk już jako mocarstwo morskie dyktujące warunki. Gdańszczanie dość łatwo uzyskali w Kopenhadze pożyczki na zaciągi żołnierzy.

Do zaostrzenia stosunków między obydwoma państwami walnie przyczynił się starosta pucki Ernest Wejher. Zajął on w lutym pod Helem dwa duńskie statki handlowe. Toteż już w marcu niedaleko Gdańska pojawiło się jedenaście okrętów z powiewającą na topach

banderą z białym krzyżem na czerwonym tle. Z rozkazu króla duńskiego miały one na razie obserwować bieg zdarzeń — oczywiście w sposób korzystny dla Gdańska. W połowie listopada flotę duńską widzimy płynącą koło Królewca.

Król w tym czasie opuszcza objedzony z kretesem, jeśli wierzyć wcześniejszym wstrząsającym zapewnieniom biskupa Karnkowskiego, Włocławek i kieruje się w stronę Warszawy. Heidenstein podaje, że jechał „na krótki czas dla zobaczenia się z królową". Dziwna to wiadomość, bo Batory konsekwentnie Jagiellonki unikał; niektórzy historycy skłonni są uznać, że liczne podróże i wojny króla były wynikiem niechęci do spotkań ze zbyt późno rozbudzoną królową. Wydaje się jednak, że to sumy zajęte gdańszczanom przyciągnęły Batorego do Warszawy. Siedemnastego kwietnia król staje w Kowalu, stamtąd idzie na Gostynin, Gąbin, gdzie czeka nań królowa — i tu 19 kwietnia dopada go zdyszany goniec z niecodzienną wieścią.

Przez całą zimę 1576/1577 wokół Gdańska odbywały się harce, podjazdy i potyczki między siłami Jana Zborowskiego a mieszczanami. Szło o żywność, podtrzymanie wojennego ducha i wywiedzenie się o planach i liczebności przeciwnika. Lody puściły, śnieg tajał i Gdańsk był już dobrze zorientowany w słabości sił królewskich, liczących 1446 jeźdźców i 1000 piechurów. Tymczasem gdańszczanie zwerbowali 3900 żołnierzy i uchodzącego za świetnego znawcę sztuki wojennej, głośnego obrońcę Magdeburga, Jana Winkelbrucha z Kolonii. Mógł on liczyć ponadto na wsparcie 8 tysięcy mieszczan, z czego tylko 1200, zahartowanych w rabunku Oliwy etc., nadawało się do walki. Znając zapewne dysproporcję sił, obawiając się nadciągnięcia głównej armii królewskiej, dbając o własną kieszeń, z której wypływało dużo złota na opłacenie zaciągów, stronnictwo wojenne w Gdańsku wpłynęło na podjęcie decyzji wyprawy pod Tczew. Było to mądre i przemyślane posunięcie.

Tam bowiem stały niewielkie siły Jana Zborowskiego. Siódmego kwietnia, w pierwszy dzień świąt Wielkiej Nocy, armia gdańska usiłowała wymaszerować z miasta, ale powstrzymała ją okropna nawałnica. Ulewny deszcz zmienił drogi i pola w grząskie bajora; był

tak potężny, że zwalał jeźdźców z koni. Niemcy wystraszyli się jawną przestrogą niebios na krótko: 16 kwietnia Winkelbruch wyprowadził już bez przeszkód z Gdańska knechtów z bronią ognistą i spisami, mieszczan różnie uzbrojonych, armaty i rajtarię z piękną ponoć chorągwią, na której wyszyty był złotą nicią wielki napis, który już poznaliśmy — Aurea libertas. O złotą wolność miał walczyć Gdańsk z wojskami kraju złotej wolności, któremu w gruncie rzeczy zawdzięczał bogactwa i gospodarczą potęgę.

Znana już wtedy była prawda, że jedną z podstaw sukcesu w bitwie jest zaskoczenie przeciwnika i narzucenie mu miejsca i czasu starcia. Winkelbruch chciał zaskoczyć Polaków z lądu i wody, którą wysłano obsadzone strzelcami małe statki o wdzięcznych nazwach: dwa szyfy i dwie pińcie. Jan Zborowski na wieść o marszu sił Winkelbrucha wyszedł z Tczewa, zostawiając tam ledwie 100 piechurów i 4 działa. Wydzielony oddziałek 60 Tatarów miał blokować owe szyfy i pińcie, a sam Zborowski, zerwawszy most, zajął znakomitą pozycję pod wsią Rokitki, przecinając biegnący tam trakt gdański.[7] Wódz gdańszczan, ku swemu zdumieniu, zmuszony był oszańcować swe siły, opierając je o Jezioro Lubieszowskie.

To był poważny błąd. Stoczona tu bitwa wykazała przewagę szybkiej i manewrowej jazdy polskiej i żądnych walki hajduków nad zaciężnymi wojskami dowodzonymi statycznie, na sposób zachodni. Potwierdzała starą zasadę, że najlepszą obroną jest natarcie i manewr, tak ulubione przez staropolską sztukę wojenną. Chorągwie Zborowskiego uderzyły silnie na prawe skrzydło, a hajducy na lewe, nim Winkelbruch zdołał zrealizować swój manewr obejścia pozycji polskich i węgierskich. Na dodatek gwałtowne, niespodziewane uderzenie uniemożliwiło gdańszczanom użycie długich spis. Szybki odwrót przemienił się w paniczną ucieczkę. Droga wymknięcia się spod polskich i węgierskich szabel prowadziła przez wąską groblę, spadający w zimną toń knechtowie i mieszczanie tonęli setkami. Obrazu klęski gdańszczan dopełnili straszni hajducy. Zborowski usiłował powstrzymać ich od zabijania bez pardonu i mordowania, ale ci w zapale rzezi odrzekli, że „gdyby się im było powiodło, tożby byli nam [tę rzeź] uczynili".[8] Nie byli to najbezpieczniejsi sojusznicy

i szlachta dobrze wiedziała, co czyni obawiając się węgierskiej gwardii króla.

„Pan Bóg za sprawiedliwością i szczęściem WKMci inaczej wszystko obrócił, bo mu [Winkelbruchowi — J. B.] dawszy bitwę wstępną, poraziłem. (...) Z Niemców Hans von Koln [Winkelbruch — J. B.] hetman zabit" — czytał Stefan Batory krótki opis bitwy pióra Jana Zborowskiego, który „długim pisaniem WKMość bawić" nie chciał, zajęty wyłapywaniem niedobitków. Walnie mu w tym pomagali okoliczni chłopi: raczej nie z sympatii do Polaków, ale z odwiecznej chęci łupu: „bili, imali, tak że wszędy między górami pełno trupów leżało".[9] Wedle zakarbowanych danych tysiąc gdańszczan dostało się do niewoli, 4416 padło pod polskimi i węgierskimi szablami, kijami i nożami czy sierpami chłopów.[10] Siedem dział większych spiżowych, 30 mniejszych żelaznych, „które będą godne cekhauzu WKMci" [11] przybyło siłom polskim. Po raz pierwszy Polacy i Węgrzy mogli oglądać działo, które dzięki śrubom zastępującym kliny mogło obracać się we wszystkich kierunkach. Zborowski armaty zatrzymał „do szczęsnego sam przyjazdu WKMci", wierząc, że to „żadnej niełaski WKMci nie przyniesie". Twierdził, że gdyby miał silniejsze wojsko, mógłby zdobyć Gdańsk — i może należy żałować, że nie usiłował uczynić tego z marszu, gdy miasto nie otrząsnęło się z żałoby klęski. Natomiast odesłał Batoremu „chorągwie wzięte nieprzyjacielowi, których jest pięć knechcich, a szósta jezdna", ta właśnie z napisem Aurea libertas.[12]

Zborowski pomylił się w jednym: Winkelbruch ocalał dzięki szlachcicowi z Prus, jakiemuś Choińskiemu, który oddał mu swego konia, płacąc za to życiem. Polacy w bitwie stracili 58 zabitych i 130 rannych[13]; rzecz ciekawa, że największe straty poniosły roty prymasa, wystawione przez protestanta Zborowskiego na najtrudniejszy odcinek. Bitwa miała znaczenie nie tyle militarne, ile moralne: wsparła letni autorytet wojenny króla i jego zabiegi.

Badacze wojskowości zauważają, że jest ona dobrym przykładem zastosowania manewru z położenia wewnętrznego przynoszącego zaskoczenie przeciwnika w wyniku „daleko posuniętej ekonomii sił".[14] W pięć tygodni później wspaniale napisana piórem Jana Łasickiego *Clades Dantiscanorum*, wydana we Frankfurcie, będzie sławić w zachodniej Europie polskie zwycięstwo.

Co jednak różniło gdańszczan od Polaków — to umiejętność racjonalnych działań w trudnych chwilach. To nie był ten osławiony, zauważony przez wielu bystrych cudzoziemców w XVI wieku słomiany zapał Polaków: Gdańsk natychmiast po klęsce stara się w Danii o nowy zaciąg żołnierzy, kupno prowiantu i amunicji, odtwarza zdziesiątkowane roty, tak że już w maju liczba zbrojnych w mieście sięga 10 tysięcy! Wewnątrz murów ustają spory, wszyscy koncentrują się na świętej sprawie obrony miasta.

Oczywiście pisanie o słomianym ogniu wszystkich Polaków jest grubym nieporozumieniem: Zborowski na przykład 8 maja z Tczewa zachęca króla do jak najszybszych działań, gdyż wyczekiwanie „jest szkodliwsze, bo zatem nieprzyjaciel zemdlony i strachem zdjęty".[15] Tylko — kto ma walczyć? Oto rycerstwo koronne żąda, „aby wysługa skończyła się w dzień fortunnego wygrania bitwy, gdyż to starodawny zwyczaj bywał za przodków JKMości". Żalów i żądań — między innymi pod adresem króla — jest znacznie więcej i bardziej sensownych. Batory z widocznym rozdrażnieniem odpisał, iż „wie i to, że we wszystkich krajach, nad którymi go Pan Bóg przełożyć raczył, ten obyczaj nigdzie nie bywał", bo „przyzywa wielkie niebezpieczeństwa".[16] Wysłał jednak starostę Krzysztofa Rozdrażewskiego, wybitnego specjalistę od cudzoziemskich zaciągów, z niewielkimi pieniędzmi, pozostawił jeńców w rękach zwycięskiego wojska, aby uzyskało okup, opisał starania o sprzęt wojenny i żywność. Była to odpowiedź na prośbę Jana Zborowskiego wołającego o „dwie rzeczy najprzedniejsze jako pieniądze a żywność".

Król zdaje sobie sprawę z konieczności pośpiechu: „cały zysk naszego zwycięstwa polega na szybkości działania, abyśmy, zanim gdańszczanie zbiorą nowe wojska, albo Latarnię zdobyli, albo obóz między Latarnią a Gdańskiem od strony Żuławy nad Wisłą założyli i prędko most na Wiśle zbudowali, w ten sposób łatwo powstrzymamy posiłki i nowe ich wojska" — pisze do Zborowskiego jeszcze przed otrzymaniem listu od hetmana nadwornego.[17]

List pisany jest w Brodnicy; stąd wychodzi cała masa pism od króla. Batory zabawił w Warszawie bardzo krótko, być może 1 maja świętując pierwszą rocznicę koronacji i panowania w Polsce, po czym szybko wrócił na Pomorze. Będąc w drodze chwali Jana Zborowskiego za przerwanie pertraktacji z Gdańskiem, „do niczego bowiem dobrego te traktaty nie prowadzą, już tym zostaliśmy doświadczeni".[18] Króla może zadowalać teraz jedynie zdanie się Gdańska na jego łaskę lub niełaskę bez żadnych kondycji wstępnych.

Surowe to warunki jak na słabość militarną i nędzę finansową Batorego. Mimo to król miał zdumiewającą pewność siebie i wiarę w sukces. A przecież synod piotrkowski rozpoczęty 19 maja, na którym pojawił się nuncjusz Laureo, przyniósł mniej, niż się mógł Batory spodziewać. Sprawa wojny „była to rzecz świecka, której snać pierwszeństwa przed sprawami duchownymi dawać nie było można" — jak zauważył z przekąsem religijny skądinąd historyk.[19] Króla domagającego się „summa aliqua certa pecuniae"[20], jakiejś znacznej sumy, reprezentował kasztelan inowłódzki Szymon Szczawiński. Kasztelan postępował zresztą oględniej, niż zalecała instrukcja królewska, by nie zrazić sobie duchowieństwa. Mimo to biskup Karnkowski musiał rozgrzewać serca ukryte pod fioletami i purpurami, dobywając publicznie 24 maja, na ostatnim posiedzeniu synodu, tysiąc złotych i składając je na ołtarzu; za nim uczynił to prymas darując trzy tysiące. W sumie, po obłożeniu się przez duchowieństwo jednorazowym podatkiem, Batory mógł liczyć na subsidium charitativum na dzień świętego Bartłomieja, 24 sierpnia, w wysokości 70 tysięcy złotych. Donatywę wyższego duchowieństwa powiózł królowi ksiądz Solikowski.

Była to suma, jaką król dostał od Rokosowskiego w zastaw korony i w niewielkim stopniu złagodziła deficyt w skarbie. Inni skąpili jeszcze bardziej. Elbląg, tak wywyższony przez Batorego, odmawia nawet przysłania puszkarzy, noszących wówczas dumne miano dyrektorów. Skarżył się bowiem Elbląg, że ma tylko jednego dyrektora i przysłać go nie może. Król się uniósł: „Dziwimy się wam, że w tak drobnych rzeczach uciekacie się do wybiegów. W takim mieście jeden miałby być tylko dyrektor dział? Zatem i tego jednego

przyślijcie, a dbajcie, aby ich się więcej znalazło, co surowo wam od nas zalecamy".[21]

Ten drobny fakt może unaocznić moc trudności organizacyjnych, jakie musiał Batory pokonać, by przedrzeć się przez osławiony mur improwizacji po polsku. Rozległa korespondencja jest potwierdzeniem, że król nie zaniedbywał niczego, żadnej niemal kwestii nie puszczając luzem. Zauważono jego pracowitość, również za biurkiem, i intelektualną ciekawość. Energia w prowadzeniu najróżniejszych spraw była naprawdę zdumiewająca.

Było to tym ważniejsze, że szło nie o jedną bitwę w polu, ale o zdobycie potężnego miasta, do czego Polacy nie nawykli i na czym po prostu się nie znali. Trzeba było wielkich dział, wozów, podwodów, rydli, motyk, prochów, odpowiednich kul i innych wynalazków, wreszcie wyszkolonych fachowców w robieniu różnorodną bronią, a i samej broni siecznej, bo nawet tej zabrakło. Wraz z wypłatą części żołdu zmieniały się nastroje. Prośby samego wojska o kopie, szable, koncerze, „a posiłki, by nam pilno trzeba, aby się zaczęta victoria kończyła, gdyż szkoda tego nie używać, co Bóg do ręki podaje"[22] — świadczyły raczej o ponownej chęci walki niż deklarowanego jeszcze niedawno rozejścia się „starożytnym obyczajem". Na wzrost nastrojów wojennych i konieczności pośpiechu wpływały wieści od Wejhera, że Dania gotowa jest przyjąć Gdańsk do siebie, a flota Fryderyka II planuje zajęcie okolic Pucka i Oliwy.

Król doceniał sprawy handlowe i morskie, mimo że wychował się w kraju, gdzie do morza było daleko. Tuż za progiem swego panowania w 1576 roku nakazał urzędnikom chełmskim, Stanisławowi Rozwadowskiemu i Feliksowi Stawskiemu, skontrolować stan udrożnienia Bugu, nad czym pracował Wawrzyniec Krzywczyński. Niebawem Batory domagać się będzie utrzymania spławności trzech rzek wielkopolskich — Warty, Noteci i Gwdy — wyznaczając do tego trzech strażników i niemałą sumę z podatków. Istotniejsza jednak była sprawa utworzenia własnej floty. Miał ją erygować Elbląg: 19 lipca 1577 roku Batory zażądał od miasta uzbrojenia dziesięciu statków; jeśli nie jest w stanie, niech najmie obce. W zamyśle Batorego miała to być straż przybrzeżna, niwelująca przewagę Gdańska na wodzie.

Ale brak tradycji morskich przez jakiś czas ważył na niepowodzeniach: dopiero staroście małopolskiemu, niegdyś posłowi do Lubeki i portów hanzeatyckich, początkowo przeciwnikowi elekcji Batorego na tron wawelski, Piotrowi Kłoczowskiemu, udało się przezwyciężyć zadziwiającą bierność rajców elbląskich. Ten światły padewczyk, już w maju odznaczający się energią przy budowie mostów pontonowych, dobry znajomy Zamoyskiego, najął sześć statków holenderskich, obsadził ośmioma działami zdjętymi z murów Elbląga i oddał tę flotyllę pod dowództwo Bartłomieja Becka. Z nadzieją, że zdobędzie ona na gdańszczanach resztę okrętów. Nadzieje okazały się płonne, bo już w dwa dni po wyjeździe Kłoczowskiego flotylla została rozgromiona przez Duńczyków. Król jednak dostrzegł, jak zdolnego i energicznego ma organizatora spraw morskich: niebawem Kłoczowski otrzyma kasztelanię zawichojską i zostanie „deputatem od kwarty", zbierającym i liczącym tak potrzebne Batoremu podatki.

Zwycięstwo nad Jeziorem Lubieszowskim miało dla Batorego jeszcze jedno znaczenie: podbechtana nim mile szlachta godziła się na sejmikach i sejmach głównych w Wielkopolsce, Mazowszu i Małopolsce na podatki, nazwane w Wielkopolsce całkiem właściwie „nervus rerum". Dalej już szło zwyczajnym trybem. Dlaczego król nie zwołuje sejmu walnego? Przecież to wbrew tradycji — wołano na sejmach głównych.

Król wiedział dobrze, co czyni: na wotowanie sejmowe trwające ustawowe sześć tygodni nie było czasu. I tak samo wybieranie podatków sprawiało mu niemało kłopotów, gdyż daleko jeszcze było do oględnie nawet pojmowanego ideału sprawności administracyjnej. Musiał grozić i napominać, a nawet — w przypadku ciekawej sprawy z księstwem warmińskim — unosić się honorem, grożąc odesłaniem zbyt małej sumy. Tamtejszy biskup, znany i ceniony przez Batorego i całą Europę historyk Marcin Kromer, z którym Stefan od czasów spotkania wiedeńskiego korespondował, człowiek z natury wesoły, nie za bardzo się groźbą afrontu królewskiego przejął. A i król pieniędzy nie zamierzał odesłać. Nawet te 5 tysięcy z Warmii było zbyt potrzebne.

IV. OBLĘŻENIE

Jedenastego czerwca, po obejrzeniu pod Tczewem gromadzącej się armii liczącej już 10 tysięcy zbrojnych, nadal z przewagą jazdy (6 tysięcy), i 22 armaty, Batory opuścił Malbork i stanął w Pruszczu. Stąd uniwersałem pisanym po polsku dał znać wszem uprzejmościom, „iżeśmy już dziś mila od Gdańska w obozie, a jutro, da Bóg, bliżej się podemkniemy".[1] W jaki sposób „się podemkniemy"? — na to pytanie miała odpowiedzieć rada wojenna złożona w Pruszczu 12 czerwca.

Król, pod wpływem Wejhera i Zamoyskiego, chciał zdobyć potężną twierdzę zwaną Latarnią, chroniącą port i miasto od strony morza; Zborowscy i kasztelan lubelski Andrzej Firlej namawiali do uderzenia bezpośrednio na miasto, co było efektowne, lecz wielce niebezpieczne ze względu na możliwość zatopienia atakujących oddziałów poprzez spuszczenie przez gdańszczan wody z systemu śluz i zapór. W końcu wybrano wariant pośredni: blokadę miasta i rażenie go z tak zwanego Blockhausu ogniem armatnim oraz oblężenie samej Latarni przez wydzielony, około półtoratysięczny oddział z czterema działami, dowodzony przez Wejhera.

W dwa dni później starosta pucki podszedł pod twierdzę i rozpoczął regularny ostrzał. Niebawem ustawiono armaty na wzgórzach okalających Gdańsk. Stąd prażono w mury i zabudowania miejskie; ale tylko od strony południowej i południowo-zachodniej. Część bowiem okolicy została przez gdańszczan zalana i zamieniła się w niedostępne grzęzawisko.

Król nakazał rozbić swój namiot na jednym z przedmieść, skąd ustąpiły straże mieszczańskie, w Stoltzenbergu, leżącym na wysokim wzgórzu. Stąd mógł obserwować poczynania puszkarzy ciężkich, stufuntowych dział. Miasto nadal usiłowało grać na zwłokę zapraszając do Gdańska posłów królewskich. Batory nie dał się zwieść: wysłał wprawdzie wojewodę chełmińskiego Jana Działyńskiego, ale nie z gołąbkiem pokoju, lecz z nadzieją wbicia klina między pospólstwo a radę miejską. Posłowie królewscy w Gdańsku, po wygłoszeniu 19 czerwca z okna ratusza w Gdańsku mowy o łasce królew-

skiej, rozrzucili z tychże okien hojną ręką drukowane odezwy nawołujące do złożenia królowi przysięgi wierności i otwarcia bram miejskich.

Ale wbrew oczekiwaniom ten papierowy koń trojański nie trafił ani do serc, ani umysłów pospólstwa, które mocniej sobie ceniło triumfy podczas rabowania majętności Karnkowskiego niż odległą łaskę królewską. A i odpowiedź radców dowodziła, że podłoże sporu było głębokie i sięgało nie tylko spraw gospodarczych, prawnych, finansowych, ale i w dużej mierze religijnych. Nade wszystko gdańszczanie żądali teraz zapewnienia swobody wolności wyznania augsburskiego.

Wydaje się jednak, że wtedy jeszcze króla nie poniosła niechęć do wyznania, lecz uraziło ponowne stawianie warunków przez oporne miasto. Oburzony znów zerwał rokowania i po blisko dwutygodniowej przerwie 29 czerwca ponownie w kierunku miasta poleciały z polskich szańców ogniste kule.

Wydawało się, że poddanie się Gdańska jest tylko kwestią czasu: wszak potencjał, środki, możliwości stały po stronie bitnego króla i Rzeczypospolitej. To jednak oblężenie potwierdziło, jak ważne w państwie były dobrze ufortyfikowane i silne twierdze. Ognista symfonia z armat była efektowna, aż uszy puchły, skutecznie płoszyła konie — i niewiele nadto. Potężne mury miejskie trwały nienaruszone. Na dodatek zdrada pokrzyżowała udane dotąd działania starosty Wejhera, który niespodziewanie tuż przed wschodem słońca 3 lipca został zaskoczony w swych piaskowych szańcach przez wycieczkę z Latarni. Dowodził nią, przysłany przez duńskiego króla, Klaus Ungern. Walka o mały włos nie zakończyła się wycięciem oddziału starosty; dopiero husarze Marcina Kazanowskiego galopujący spod Gdańska rozerwali okrążenie, w jakim znaleźli się Polacy. Przeciwuderzenie było jednak mocno spóźnione i królewskie wojsko poniosło znaczne straty: zdemolowano obóz, szańce i co gorsza, gdańszczanie zatopili bądź zabrali czternaście dział.

Była to dotkliwa porażka, która uzmysłowiła Batoremu konieczność znacznego wzmocnienia armii. Tymi siłami nie sposób już było zdobyć miasto. O świcie 14 lipca kłęby dymu i języki ognia widoczne z Gdańska stały się dla mieszczan powodem nadziei i radości: król palił resztki obozu i wycofywał się spod murów. Chciał uzupełnić swe siły i jeszcze raz przemyśleć plan wojenny.

Porażka Wejhera musiała mocno dopiec Batoremu i zachwiać nieco jego pewnością siebie. „Postanowiliśmy n a s e r i o [J. B.] dobywać miasta" — pisze jakby skonfundowany z Pruszcza do senatorów.[8] Niepokojące wieści dochodziły z Inflant. Przez resztę lipca król imał się coraz to nowszych pomysłów — niekiedy bardzo interesujących, jak na przykład zmiana biegu Wisły i osuszenie rzeki Leniwki — aż wreszcie wrócił do pierwotnego. Armia urosła do 16 tysięcy zbrojnych i Batory zdecydował się pomaszerować z nią pod Latarnię.

Tutaj od 7 sierpnia znów wyrastają potężne, choć w części piaskowe, szańce, na których stają armaty. Zaczynają one bić w wieże i mury Latarni. Koncentryczne uderzenia są wreszcie skuteczne: wali się zapalona od bomb wyniosła wieża, a w murach zieje potężny wyłom, w który bez trudu mogłaby się wlać chorągiew w szyku. Po zażartej walce gdańszczanie ustępują za przygotowane zawczasu szańce; aby tam się dostać, Polacy muszą zbudować most. Batory nakazuje przerzucić tratwy przez Wisłę poniżej Latarni; gdy zamysł się nie udaje, 23 sierpnia rzekę przecinają, wzdłuż rozpiętej nad nią liny, łódki wypełnione najemną piechotą niemiecką, polską i węgierską. Dochodzi do krwawej walki, podczas której gdańszczan wspierają ogniem okręty duńskie. Następnego dnia znów zgrzyt szabel, mieczów, pałaszy, huk z rusznic i muszkietów wokół Latarni nie ustaje: wtedy to właśnie pada niefortunny, acz dzielny, wódz gdańszczan, Jan Winkelbruch. Mimo to twierdza nie poddaje się.

Ale wojska królewskie są bliskie sukcesu: utrzymują się na prawym brzegu Wisły i przerzucają przez rzekę most z tratew. Tutaj przenosi się punkt ciężkości starcia, gdyż gdańszczanie chcą za wszelką cenę most zniszczyć. I choć trudno dociec, jak to się stać mogło i kto tu zawinił, to 1 września ochotnicy mieszczańscy, bez wątpienia ożywieni duchem sprawiedliwej wojny, zdołali dotrzeć na ciężkich szkutach do mostu, porąbać tratwy, liny, a most puścić z bie-

giem Wisły, odcinając 600 doborowych żołnierzy królewskich z zaciężnych rot piechoty.

To były poważne straty. Z samego Gdańska zaczęły przeciekać niedobre wieści o tym, że były kapitan duński a zwycięzca spod Latarni, Klaus Ungern, aktualny idol pospólstwa, prze do poddania miasta pod protekcję króla duńskiego zyskując zaskakująco duże poparcie. Zapachniało umiędzynarodowieniem konfliktu, a rozgłośna i ognista obecność duńskich okrętów prażących bez kompleksów i dyplomatycznej oględności kulami w Polaków stała się pierwszym tego sygnałem. Jak wiemy, flota Kłoczowskiego rozsypała się. Inna rzecz, że kroki króla z Siedmiogrodu zdumiewały i po wiekach budzą podziw: „nikt by się nie spodziewał, że właśnie Batory, Węgier z żywiołem morskim nie obeznany, dążył będzie do wskrzeszenia polskiej bandery na Bałtyku" — zauważył trafnie znawca tych spraw.[3]

Jednak obraz niepowodzeń był aż nadto widoczny: Gdańsk rozzuchwalony ustąpieniem króla 3 września spod Latarni, postanawia ukarać Elbląg. W dół Wisły 10 września popłynęła flota dwudziestu okrętów z dwu i pół tysiącem żołnierza na pokładzie, ściągając wzdłuż brzegu kontrybucję, grabiąc okoliczne wioski i zagarniając statki „kolaborujące" z Elblągiem i Polską. Liczba „aresztowanych" jednostek pływających musi budzić respekt i zastanowienie nad niefrasobliwością, choć zapewne nie króla: gdańszczanie zajęli sześćdziesiąt okrętów, kilkanaście zatopili. Był to srogi rewanż za klęskę nad Jeziorem Lubieszowskim i sankcje gospodarcze nałożone przez króla. Batory na szczęście zdołał uchronić Elbląg przed zajęciem go przez siły gdańsko-duńskie, wysyłając w ostatniej niemal chwili — na dzień przed atakiem przeciwnika — trzystuosobowy oddział pod Kasprem Bekieszem. Poczyna on sobie bardzo obiecująco, bijąc oddziały gdańskie i spędzając je z pozycji. Bekiesz jest wówczas najbliższym wojskowym, a może i nie tylko, powiernikiem króla: sypia z nim nawet w jednej izbie w obozie pod Gdańskiem, co wywołuje bardzo złośliwe, choć niesprawiedliwe komentarze.

Działania utknęły w martwym punkcie. Pewne wyczerpanie się sił obu stron, pomnożone o nagłą bierność króla, wpłynęło na przerwanie akcji około 28 września. Wojna ogranicza się do walki podjazdowej.

Stefan Batory miał dość tej wojny. Gotów był do ustępstw, na które teraz nie chcieli się zgodzić gdańszczanie. Śpieszyło mu się na sejm, zaczął pojmować, że w gruncie rzeczy wojna ta nie ma dla niego większego znaczenia. Nie przynosiła ani wzmocnienia jego władzy, ani tym bardziej nie utrwalała sławy wielkiego wodza. Nie chciała jej też — jak to widać było w Toruniu — szlachta koronna. A przecież to powinna być jej wojna. „Król JMć rad by i ptakiem stąd wyleciał do Malborku dla słuchania posłów Rzeskich [Rzeszy? — J. B.] — pisał Zamoyski. — Nie chcąc jednak król JMć stąd leda jako odjechać, rozkłada ludzi około Gdańska."[4] Mieli oni ratować królewski prestiż. Nie przyzwyczajony do porażek Batory chciał się z całej sprawy wywinąć tanim kosztem: groźniejsze chmury gromadziły się nad Litwą i król nie miał już serca ani chęci na zdobywanie Gdańska.

V. POCZĄTEK ZŁEGO EPILOGU

Król przegrywał, król ustępował, król był zadziwiająco bierny. Dlaczego? Następne rozdziały wyraziście odpowiedzą na to pytanie i po części usprawiedliwią Batorego. Tutaj jednak trzeba zaznaczyć, że przez wieki niemal całą kadź z winą za sprawę Gdańska zwykło się wylewać na głowy szlachty. Tej, która rzekomo nie rozumiała króla, a los „Chłańska", gdzie przechodziły wszak towary będące źródłem dobrobytu herbowych i państwa, a nie tylko miasta — był jej obojętny. Jeśli tak — to byłby to przerażający obraz debilizmu politycznego, na które to miano XVI-wieczna szlachta z pewnością w niczym nie zasługiwała. Było wręcz przeciwnie: w porównaniu z wyzutymi z sumienia rauberritterami, okrutnymi hidalgami, miłośnikami pojedynków, sztyletu i trucizny na dworach francuskich i włoskich szlachta polska, nawet z „Diabłem" Stadnickim w tle, prezentuje się wcale dobrze. Wbrew utrwalonym opiniom herbowi myśleli nie tylko o zagrodzie, ale kategoriami państwa, jego racji stanu.

Oczywiście na sposób demokratyczny — co jest nieodłączne od drastycznej niekiedy różnicy zdań, zamiłowania do szczegółu, a nawet rozmaitych partykularyzmów. Wprawdzie szlachta myślała nader często o własnym mieszku, ale to przecież jest dotąd aż nadto zrozumiałe i nie powinno pobudzać do wygłaszania ohydnych tanich dydaktyzmów z wyżyn władców sumienia i pieniądza. Rozejście się sejmu w Toruniu zostało naprawione już w pół roku później na sejmikach i sejmach głównych: uchwalono tam podatki tak wysokie jak podczas pamiętnego sejmu unijnego w Lublinie w 1569 roku! Spójrzmy na armię, która pęczniała od sprzętu i fachowców wojennych, na skarb królewski przestający, choć znacznie wolniej, świecić dnem. To nie szlachta była winna.

Co zatem było źródłem niepowodzeń?

Batory przed szlachtą usprawiedliwiał swe porażki pod Gdańskiem niezwykle ciężkim terenem poprzecinanym siatką rzeczek, strumieni i bagien. Wskazywał na zdradę wśród zaciężnych oddziałów niemieckich będących w polskiej służbie. Ale nie tylko. „Często żalił się na panów [Piotra i Jana Zborowskich], do których posłowie gdańscy pod pozorem rokowania raz po raz chodząc w napełnianych winem naczyniach ukryte złoto nosili; stąd zapewne król mawiał, że on ołowianymi, a gdańszczanie złotymi kulami strzelali." [1] Co do kul — znaczna przesada, a piszący o tym kronikarz przy okazji spuścił miłosiernie kurtynę milczenia na podejrzane machinacje nader pazernego Jana Zamoyskiego. Wreszcie — król twierdził, że „umyślnie dobywania i wzięcia" miasta zwłóczył, gdyż nie chciał go rujnować z kretesem i burzyć [2]: przecież to brylant w jego koronie. Możemy to uznać raczej za konieczny urzędowy optymizm: miasto po prostu nie dało się zburzyć.

Poza tym usprawiedliwienia Batorego były zasadne. Ale nie wszystko tłumaczyły.

„Króla JMci jest intencja i o tym teraz myśli, aby co śpieszniej gdańskiej sprawy dokonał (...) odprawiwszy tę sprawę gdańską ma król JMć do Rusi dla opatrzenia Ukrainy od Tatar" — donosił wojewodzie wileńskiemu Mikołajowi Radziwiłłowi Jan Zamoyski. Co ciekawe, w liście polityka bliskiego królowi uderzała pewność zwy-

cięstwa: gdańszczanie „z Niemiec nie mogą mieć ratunku", posłowie ciągną do Batorego ze słowami ustępliwej przyjaźni, nowy cesarz Rudolf II „od tego, aby się z królem JMcią pobratał, nie jest bardzo alienus [niechętny]". [3] Sądzono zapewne, że kwestia poddania się Gdańska jest w gruncie rzeczy kwestią czasu.

Tymczasem królowi przyszło po raz pierwszy dowodzić w tak trudnym terenie, co wymagało niezwykłych kwalifikacji wojskowych. Tych zresztą królowi nie brakowało. Nie miał jednak pod Gdańskiem czasu na naukę: był pod przemożnym naciskiem tego, co działo się z Rzeczpospolitą od wschodniej i południowej ściany. To bez wątpienia zaczęło wpływać na widoczną nerwowość poczynań władcy, gdy okazało się, że Gdańsk szybko się nie podda, a manifestacja siły nie wystarczy. Nerwowość objawiła się w charakterystyczny sposób: król — ten zdecydowany, pewny swego wódz — w pewnym momencie zaczyna się miotać od pomysłu do pomysłu, coraz ulegając podpowiedziom to własnego rozumu, to Zborowskiego, to Zamoyskiego. Spod Gdańska pod Latarnię, spod Latarni pod Tczew i Malbork. Tymczasem duża, jak na warunki polskie, dobrze wyszkolona armia tkwiła w Prusach czekając Bóg wie na co: większość działań prowadził król niewielkimi siłami. A przecież tu nie szło o przestraszenie nuncjusza Laureo czy też prymasa Uchańskiego fioletową czy czerwoną gwardią węgierską, ale o walkę z nowocześnie ufortyfikowaną, bogatą i, jak się okazało, bitną twierdzą. Ów brak jednolitego planu gry wojennej dał się mocno odczuć i był jedną z przyczyn niepowodzeń króla. Rozwlekłość działań, przedłużanych umiejętnie gdańskimi rokowaniami, grą na zwłokę i pieniędzmi, też się do tego znakomicie przyczyniała.

Ale Batory był mężem stanu wysokiej próby. Jedną z ważniejszych umiejętności jest przeobrażenie niepowodzenia w choćby pozorny sukces. Miecz na gwałt potrzebny był gdzie indziej, należało zatem dać się wygadać mediatorom chętnym do przyrządzenia smakowitej pieczeni w ogniu polskiego sporu, podniesienia swego autorytetu i prestiżu. Chciał mediacji król duński Fryderyk II, książę pruski Albrecht Fryderyk i król szwedzki Jan III, którego reprezentował poseł znany dobrze z interregnum — Andrzej Lorichs. Żaden nie zy-

skał aprobaty Batorego. Przychylnym natomiast okiem patrzył władca Polski na reprezentantów elektorów brandenburskiego i saskiego, księcia Ansbachu Jerzego Fryderyka, książąt Wirtembergii, pomorskich, landgrafa heskiego. Heidenstein tłumaczy to następująco: „bo tym sposobem wielu książąt niemieckich uznawało go już królem i przyjaźń mu swą ofiarowało". On, siedzący już tak mocno na tronie, obawia się zwaśnionych kurstfirsów z Rzeszy w rok po śmierci cesarza Maksymiliana II? Chce neutralizować nowego cesarza poddanymi mu książętami Rzeszy? On, tak nie cierpiący Habsburgów, godzi się, forytuje niemieckie pośrednictwo, które gotowe było czynić pokój bynajmniej nie za darmo? Dziwna to zaiste metamorfoza, za którą kryły się wpływy osób i zdarzenia, do których zaraz wrócimy.

Oczywiście mediacja i zawarcie pokoju nie mogły przynieść najmniejszej ujmy na królewskim honorze i potężnej Rzeczypospolitej. O pośrednictwo poprosił elektorów Gdańsk — i dopiero wtedy Batory łaskawie zgodził się na mediację. Ale to tylko gra pozorów. Jeszcze trwały rabunkowe rajdy floty gdańsko-duńskiej po Wiśle, gdy 25 września król nakazał wypuścić z aresztu malborskiego posłów gdańskich: Konstantyna Febera i Jerzego Rosenberga. Pospólstwo Gdańska, oddziałujące silnie na radę miejską, znów odebrało to jako przejaw słabości polskiej i na czele z nowym idolem Kasprem Goebelem głosowało przeciw ustępstwom wobec króla. Prestiż Batorego o mały włos nie został wtedy zakrzyczany w salach ratusza i na rynku, gdzie żądano zerwania rokowań. Dopiero misja posła saskiego Abrahama Bocka, który przez miesiąc omawiając punkt po punkcie, cierpliwie przekonywał gdańszczan do ugody, sprawiła, że doszło do bezpośrednich spotkań polsko-gdańskich.

Zawarty wreszcie 12 grudnia 1577 roku układ ukazał wyraziście, że Batoremu mocniej szło o pieniądze niż o interes morski Polski i zupełne podporządkowanie niesfornego miasta. W myśl traktatu oporne miasto przeprosić miało króla, złożyć jego komisarzom przysięgę wierności, zobowiązało się uiścić należne podatki. Ale nade wszystko miało zapłacić, tak gorąco i głośno kwestionowane przez plebs gdański, 200 tysięcy złotych oraz 20 tysięcy tytułem rekompensaty za zniszczenie klasztoru oliwskiego. Tę ostatnią sumę król sam zawyżył, wbrew zdaniu najbardziej zainteresowanego odbudową klasztoru, opata Kaspra Geschkaua. W zamian za te ustępstwa Batory znosił interdykt, którym obłożył miasto, potwierdzał przywileje i wolność wyznania augsburskiego. Natomiast ważną sprawę utrzymania „statutów Karnkowskiego" i podatku zwanego palowym, znacznie ograniczających swobody finansowe i polityczne miasta, odłożono na czas sejmu.

Być może Zamoyski wytłumaczył królowi, że nie należy do końca upokarzać Gdańska. Batory odłożył wjazd triumfalny do miasta „na stosowniejszą porę". Stwierdzenie to znalazło się poza układem, a „stosowniejsza pora" nigdy już za panowania króla przyjść nie miała. Batorego zatem zastąpili w ceremonii jego komisarze — podkanclerzy litewski Eustachy Wołłowicz, kasztelan lubelski Andrzej Firlej i starszy sekretarz królewski ksiądz Hieronim Rozrażewski — którzy uroczyście wjechali do miasta. Przysięga wierności, złożona przez rajców reprezentantom króla 16 grudnia 1577 roku w kapiącej złotem wspaniałej sali ratusza, zdawała się zamykać okres niefortunnej wojny z poddanym mu bogatym Gdańskiem.

Jakże mylą pozory i gesty. Wskazywały one podczas ceremonii w Gdańsku na wielki triumf króla — podczas gdy w rzeczywistości była to porażka władcy polskiego. W tym momencie Stefan Batory zupełnie zaniedbuje politykę północną Polski, co nie da się wyjaśnić prostym i raczej zabawnym tłumaczeniem kronikarza z kręgów reformacji, że mu się „to wżdy uprzykrzyło".[4] Król był zbyt konsekwentnym i twardym politykiem, by mu się tak łacno tak ważna sprawa „uprzykrzyła". Solikowski, będący blisko tych rzeczy, zauważa, że Batory daje się w tym wypadku powodować zdaniem innych, że zdąża do pokoju, który również wedle księdza jest „niegodny".[5] Świętosław z Bożejowic Orzelski, który nam towarzyszył przez wiele miesięcy na stronach tej książki i z którym przychodzi nam się tu z żałością pożegnać, na zakończenie swych cennych *Bezkrólewia ksiąg ośmioro* dodaje z przekąsem, że „taka była treść umowy zawartej w miesiącu grudniu, niezupełnie godnej króla i królestwa, lecz na którą przystać kazała konieczność".[6] Czy surowa ocena

Batorego wynikła z tego, że Orzelski był historykiem szlacheckim, niezależnym od dworu, republikańskim?

To prawda: konieczność zawarcia pokoju była pilna, gdyż na wschodzie Rzeczypospolitej było niespokojnie. Ale Batory zbyt łatwo i tanio sprzedawał akcje polskie na północy. Chodziło nie tyle o Gdańsk, tu zupełnie możemy rozgrzeszyć króla, kiedy znajdziemy się na wschodzie i przypomnimy o przysiędze odzyskania Inflant, ile o Prusy Książęce: lenno polskiego króla.

Tamtejszy książę Albrecht, początkowo nawet brany przez szlachtę pod uwagę jako kandydat do polskiej korony, prawdopodobnie odziedziczył po ojcu skłonności do choroby umysłowej. Cierpiał na manię prześladowczą. Żądni władzy panowie rada zrobili wszystko, by stan młodego księcia pogłębiał się: nie dopuszczali doń lekarzy. Nie zdołali jednak przeszkodzić sprytnemu i bezwzględnemu margrabiemu z rodu Hohenzollernów Jerzemu Fryderykowi w przybyciu do Królewca, gdzie usiłował on przejąć opiekę nad chorym księciem.

Ale stany pruskie i sami panowie rada nienawidzili margrabiego z Ansbachu dla jego ciężkiej ręki i zbytniej energii: dał się on poznać jako ciemiężyciel w rodzinnej krainie. Aby uzyskać kuratelę, musiał dostać zgodę zwierzchnika lennego Albrechta, czyli króla Polski. Prusy, jak wiemy, długo nie uznawały Batorego, nikt z tej prowincji nie przybył na koronację, a książę Albrecht, za podpowiedziami swej rady, uchylił się od złożenia hołdu lennego. Poselstwo wysłane przez Batorego z kasztelanem nakielskim Stefanem Grudzińskim na czele musiało posunąć się do groźnych zapowiedzi porażenia Prus „strasznym gniewem królewskim", kiedy miast sejmu pruskiego książę zwołał deputatów szlacheckich do wysłuchania legacji królewskiej. Ale i groźby niewiele skutkowały, gdyż książę zawsze mógł zasłonić się zawiłymi wywodami prawnymi, co uczyni najpierw, lub uciec w chorobę, co uczyni potem. Za tymi posunięciami stała oczywiście rada książęca, która jednak starała się, by nie sprowokować Batorego, ale i nie ułatwiać mu prowadzenia polityki gróźb: dodajmy przy tym, że prawo nie zawsze stało po stronie żądającego króla.

Batory marnie orientował się w zawiłościach polskich praw do Prus — i trudno mu się dziwić. Tym pilniej słuchał podpowiedzi świetnego znawcy archiwów królewskich, Jana Zamoyskiego. Król początkowo nie tracił jednak zdrowego rozsądku: zdecydował, że skład rady książęcej naznaczą wysłani do Królewca na sejm pruski komisarze królewscy. Postanowienie takie zostało podjęte na sejmie toruńskim 1576 roku za radą Zamoyskiego i miało zapewnić Polsce znaczący wpływ na politykę wewnętrzną prowincji Rzeczypospolitej. W ten sposób Jerzemu Fryderykowi pokazano z Torunia znak odmowny.

Ale ambitny margrabia nie zamierzał rezygnować; tym bardziej że nieustabilizowana sytuacja wewnątrz Prus sprzyjała jego zamiarom. Widzieliśmy go, jak w Norymberdze namawia do pośrednictwa Mikołaja Firleja, jak ów magnat wpływa w Bydgoszczy na swego przyjaciela Zamoyskiego, a wespół wpływają na króla, który we Włocławku decyduje się na wysłanie poselstwa do Ansbachu. Skąd ta nagła, po naradach z senatem, królewska zmiana rozsądnych postanowień toruńskich? To dość łatwo rozszyfrować: król ma kłopoty z Gdańskiem, z Danią, może — jak sam twierdził — rzeczywiście zależy mu na uznaniu go ex iuris królem przez książąt niemieckich i neutralności Brandenburgii? Może sądzi, że w ten sposób zantagonizuje ich z cesarzem habsburskim? Z Niemiec Batory planuje najmować żołnierzy. Poza tym: Albrecht Fryderyk, a raczej jego rada, nie stronią od drobnych, lecz dokuczliwych uszczypliwości. Ślą na przykład z Królewca w sukurs Gdańskowi statek z pięćdziesięcioma żołnierzami, wyładowany po brzegi prochem i żywnością. Zbrojni Batorego przechwytują ten okręt, a król widzi, że zapewnienia księcia Albrechta, iż Prusy nie sprzyjają i nie pomagają Gdańskowi, są niewarte funta kłaków. Gorycz i złość Batorego rośnie, sprawa Prus dojrzewa do rozstrzygnięcia.

Ale nie są to jedyne powody znamiennej decyzji króla. Chodzi o nieszczęsne pieniądze, o honorarium dwustutysięczne, które pozwoliłoby mu machnąć ręką na ospały sejm, pospolite ruszenie, demokratyczne biadania i inne przedziwne wynalazki tego kraju, nie na miarę epoki, czyhających zagrożeń i planów króla.

Jerzy Fryderyk wie, w którą stronę wieje wiatr, i usilnie namawia gdańszczan do przyjęcia warunków królewskich i zawarcia pokoju. Przy tym ustanowienie kolegialnego zarządzania Prusami nadal Batoremu wychodzi bokiem: jego kolejne polecenia — na przykład przygotowanie bazy wojennej w Królewcu — są wyraźnie sabotowane. Król to widzi: albo rada czyni na przekór życzeniom władcy, albo Albrecht Fryderyk cierpi nadal na przedziwne szaleństwo. Objawiające się na przykład niechęcią do oddawania do skarbu Rzeczypospolitej części opłat celnych ustanowionych na Piławie, którą żeglowały statki idące do Elbląga, albo unikaniem przysłania królowi w sukurs kilku chorągwi jazdy ponad ustalony limit 100 żołnierzy. Chodzi o pięciuset jeźdźców lub o pieniądze pozwalające na zaciągnięcie takiej liczby wojaków, czego domaga się król. Dochodzi do tego, że Zamoyski, usilnie kaptowany przez radę, która schlebia jego próżności i zamiłowaniu do darów jak umie (a rzeczywiście potrafi), zmuszony jest ostrzec ją przed gniewem króla i niełaską. To brzmi poważnie i groźnie. Albrecht Fryderyk godzi się w końcu przysłać Batoremu 10 tysięcy złotych na żołd dla zaciężnego wojska. Nie ustępuje natomiast w sprawie opłat celnych, zasłaniając się koniecznością obrony kraju przed rosnącym zagrożeniem ze strony Rosjan zajmujących Inflanty. Po trosze ma rację, a sprawa ta jest czułym punktem króla.

To przeciąganie liny między wasalem a zwierzchnikiem mocno zniechęciło Batorego. Mógł wprawdzie dochodzić swych praw lennych siłą w majestacie prawa, ale na sięgnięcie do szabli i nauczanie moresu panów radę książęcą, którą król podejrzewał o najgorsze, nie było czasu, możliwości ani chęci. Król bowiem miał już w ręku kartę atutową, włożoną mu tam przez Zamoyskiego i Firleja, której pokazanie, wedle jego doradców, miało przynieść spokój w Prusach Książęcych. Trzymał ją król w ręce przez całe lato 1577 roku. Wiedziano o tym w Prusach, budziło to niepokój, ale uspokojenia — zupełnej uległości wobec majestatu monarszego — nie przyniosło. Na karcie tej jaśniało coraz radośniej oblicze margrabiego z Ansbachu, Jerzego Fryderyka z Hohenzollernów.

Szesnastego września 1577 roku widzimy króla w Malborku, w otoczeniu dygnitarzy, między innymi kanclerza Piotra Wolskiego, który z racji urzędu powinien właściwie wszędzie towarzyszyć królowi, wojewody Jana Kostki, Piotra i Andrzeja Zborowskich, Mikołaja Firleja oraz Zamoyskiego. W kilka dni później w królującą na zamku malborskim mowę polską i łacińską wmieszały się głosy niemieckie. Oczywiście nie byli to Krzyżacy, choć cesarze habsburscy nosili tytuł wielkiego mistrza zakonu pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny — i na tym świecie różne dziwne rzeczy mogły się zdarzyć. Tym razem jednak przybyli do Malborka posłowie pełnomocni Jerzego Fryderyka w niezwykle licznej asyście wysłanników książąt Rzeszy i pomorskich: w sumie czternastu szlachetnie urodzonych reprezentowało i wspomagało interesy Brandenburgii. Batory i Polacy mogli uczuć coś na kształt triumfu, a nie powinni: oto stali przed nimi przedstawiciele krajów Rzeszy, którzy jeszcze niecały rok temu mieli w Ratyzbonie wespół z cesarzem Maksymilianem stanowić o wojnie z wojewodą „von Siebenbürgen". Teraz byli gotowi czapkować przed królewskim majestatem na zamku, którego widok musiał budzić w Niemcach wiele gorzkich skojarzeń. Nieprzypadkowo został on przez Batorego wybrany na miejsce spotkania.

Posłowie przyjechali prosić króla o łaskę i pokój dla Gdańska. Ale w rzeczywistości sprawa ta była na drugim planie mimo błagalnego pisma gdańszczan do Brandenburczyków i przysłania do nich dziełka będącego wywodem niewinności miasta. Posłom tym bowiem szło głównie o uzyskanie zgody królewskiej na kuratelę nad nieszczęsnym księciem Prus dla margrabiego Ansbachu.

Zamoyski już w marcu namawiał Batorego, by „ad arctiorem... amicitiam — descenderet": zechciał zniżyć się do przyjaźni z margrabią.[7] Życzeniu podkanclerzego stało się zadość. Ale ów akt „polubienia" margrabiego przez Batorego, jak to w polityce bywa, miał swą konkretną cenę. W zamian za uznanie przez króla polskiego Jerzego Fryderyka za księcia kuratora w Prusach margrabia zobowiązywał się złożyć hołd na najbliższym sejmie warszawskim, wypłacić Batoremu „tytułem honorarium" sumę 200 tysięcy złotych płatnych w czterech ratach w ciągu trzech lat. Czyli tyle, ile już nie-

długo będzie w ciągu roku wyciskał ze swych olbrzymich posiadłości ojciec chrzestny tej umowy, Jan Zamoyski.

Niewątpliwie była to suma olbrzymia jak na jedno życie, ale bardzo mała, jak na dzieje przyszłych pokoleń i państwa. Otwierała ona prostą drogę do zespolenia wysiłków Prus i Brandenburgii i budowy niezależności pruskiej wobec władz Rzeczypospolitej. Doraźność, jak to często bywa, zwyciężyła przed długofalowymi racjami stanu, choć jak zobaczymy, przedziwna to była doraźność.

Trzeba jednak pamiętać, że król i Zamoyski kontynuowali dzieło zaczęte wcześniej: przez Zygmunta Augusta. To właśnie Jagiellon, będąc w 1563 roku w sytuacji przypominającej pozycję Batorego — szło o uzyskanie pomocy od księcia pruskiego na wojnę w Inflantach — dopuścił do współlenna krewniaków Hohenzollerna wywodzących się z Brandenburgii. Batory i Zamoyski, miast zatarasować tę ledwie wydeptaną dróżkę, która z Prus do Brandenburgii przechodziła przez wielkopolskie i pomorskie ziemie koronne, i obsiać ją trawą zapomnienia, przeszli się po niej powtórnie, zamieniając ją w niebezpieczny dla Polski trakt.

Umowa została zawarta w Malborku zgodnie z prośbami posłów niemieckich, a król, nadal „lubiąc" Jerzego Fryderyka, warunki ustanowienia kurateli złagodził, ze szkodą dla Rzeczypospolitej. Król zobowiązał się zastawić 10 tysięcy złotych złożonych w Elblągu i Toruniu tytułem rekompensaty, jeśliby umowa nie doszła do skutku. Batoremu tak bardzo brakowało gotówki, że złote monety musiał zastąpić srebrem, które złożył w obu miastach. Ale już w dowód szczególnej życzliwości Batory nadał margrabiemu tytuł przysługujący dotąd książętom pruskim — dux in Prussia. Wprawdzie w układzie zostawiono furtkę dla wpływów polskich — król nic nie tracił ze swych uprawnień zwierzchnika lennego — ale Batory niewiele uczynił, by przez tę wygodną bramę wejść, w wielu korzystnych momentach, do coraz bardziej niezależnych Prus. Z punktu widzenia interesów, które reprezentował, był to błąd.

A okazje były foremne i wielkie. Do Królewca musieli wprowadzać margrabiego... komisarze królewscy. Szlachta pruska bowiem — jej elita to familie polskie — nadal nie chciała dopuścić do kuratorstwa Jerzego Fryderyka. Ale król był „w pełni zadowolony z dokonanej umowy z Jerzym Fryderykiem, ani myślał o jakichkolwiek ustępstwach względem dotychczasowych rządców Prus Książęcych".[8] Powyższa uwaga historyka badającego wnikliwie te sprawy jest nie tylko odzwierciedleniem nastrojów Batorego. Rychło okaże się, że król uważał sprawę Prus za zamkniętą, korzystną dla niego, a więc i Rzeczypospolitej, i nie zamierzał do niej wracać. Dowodem chęci, wręcz dziwnego pragnienia upokorzenia i skompromitowania stanów pruskich było wysłanie przez króla do Królewca w listopadzie 1577 roku sekretarza Mateusza Konopackiego z dowodami „winy" stanów prowincji popierających buntowniczy Gdańsk. Wysłana następnie przez Batorego komisja wojewody płockiego Piotra Potulickiego, Andrzeja Firleja i Solikowskiego, która przybywa 16 grudnia do Królewca, odmawia prośbie stanów pruskich domagających się przysłania kasztelana gdańskiego Jana Kostki jako gubernatora na miejsce księcia Albrechta. Komisja zasłania się brakiem zezwolenia od króla i nie kłamie: instrukcja batoriańska jest bardzo szczegółowa, posłowie przećwiczyli odpowiedź na każde spodziewane pytanie i nie ma w nich miejsca na omówienie sprawy polskiego gubernatora Prus Książęcych! Inna rzecz, że okropne skłócenie wewnątrz stanów pruskich, grających tak przeciw Jerzemu Fryderykowi, jak i rozszerzaniu praw Rzeczypospolitej wobec lenna, mocno zniechęcały króla do złamania słowa danego margrabiemu Ansbachu. Dwudziestego lutego 1578 roku Batory przyjmie od samego Jerzego Fryderyka hołd lenny, przy czym nie obejdzie się bez charakterystycznego skandalu. Zobaczymy to jeszcze.

Mimo to w następnych latach, szczególnie od 1582 roku, kiedy było już po wojennych wyprawach, król zupełnie nie reaguje na gwałty Jerzego Fryderyka i związane z tym liczne rozpaczliwe prośby i petycje stanów pruskich słane na ręce królewskie. A przecież dzierżył w nich Batory prawa ustanowione jeszcze przez Zygmunta Augusta, zwane ius appelandii, które pozwoliłyby mu zaprowadzić w Prusach porządek na swoich warunkach. Nie dość na tym: stany pruskie już w maju 1577 roku gotowe były płacić 100 tysięcy złotych czerwonych do skarbca Rzeczypospolitej, byleby król wreszcie

przestał forytować znienawidzonego Jerzego Fryderyka! To jest właśnie ów przedziwny moment w postępowaniu króla wobec Prus: wydawało się przecież, że w całej tej nieszczęsnej sprawie przeważają motywy pieniężne.

Okazało się, że nie. Król propozycji nie przyjął, a Rzeczpospolita straciła w tym momencie szansę inkorporacji Prus. Batory, wiecznie potrzebujący pieniędzy, dalekowzroczny, umiejący snuć plany nie na rok, dwa, ale na przeciąg życia i pokolenia, oddala błagalną prośbę stanów pruskich gotowych chronić się przed własnym księciem w silnych ramionach polskich i płacić za to daninę. Przejmujące to stwierdzenie. Szersza odpowiedź na pytanie „dlaczego" — nie znajdowała na ogół miejsca na kartach dzieł o Batorym, gdyż musiałoby to prowadzić do zerwania co najmniej kilku listków laurowych z wieńca, w którym król występował przez wieki całe. Próby tej dokonał dopiero Kazimierz Lepszy obwiniając króla, w wyważonym i delikatnym tonie, o pośpiech w sprawie pruskiej, niezrozumiałe postępowanie w kwestiach pieniężnych i niewykorzystanie możliwości osadzenia polskiego gubernatora w Królewcu. Usprawiedliwieniem miał być splot niekorzystnych zdarzeń na wschodzie, ciężkie położenie skarbowe Rzeczypospolitej i prostolinijność króla, nie umiejącego złamać słowa danego margrabiemu Ansbachu.

Sporo w tym prawdy, lecz nie sancta veritas. Nade wszystko prawda do chwili, gdy Batory miał za sobą zwycięskie kampanie na wschodzie. Wtedy mógł jednym pociągnięciem pióra, a w ostateczności szabli, zmienić sytuację na północy na korzyść Rzeczypospolitej. Nie uczynił jednak tego. Nie lekceważmy uwarunkowań psychologicznych: Kazimierz Lepszy zauważył uczciwość króla, która nie pozwalała mu traktować umów na sposób renesansowy czy też nie spełniać obietnic takich jak z Włocławka czy Malborka. Ważniejsze jednak wydaje się to, że król mając pod sobą margrabiego z Rzeszy, a za sobą książąt niemieckich neutralizował Habsburgów. Potem zaś — o czym przekonamy się pod koniec życia Batorego — podporządkował on całą swą politykę, w tym i bałtycką, planom wschodnim i południowym. Tutaj zatem należy szukać pierwszego klucza do zrozumienia

przedziwnych meandrów królewskiego postępowania wobec Gdańska, Prus, Elbląga — choć kluczy tu wiele.

Batory bowiem potrafił być wierny swym niechęciom, a żale, petycje, wzajemne oskarżenia wewnątrz podzielonych poglądami stanów pruskich musiały mu przypominać żywo sejm walny. Ten, z którym przychodziło mu tak sumiennie spierać się i prosić o podatki, zasięg władzy, prowadzoną politykę, skarbowość. Należy sądzić, że jego niechęć do kolegialnego zarządzania Prusami była funkcją niechęci do polskiego parlamentaryzmu. Wolał jednego gwałtownika na tronie, który czasem cechami przypominał jego samego, niż panów radę, którzy tak sprytnie i skutecznie wykręcali się sianem podczas wojny króla z Gdańskiem. Batory, znawca łaciny i maksym starożytnych, zupełnie przy tym zapomniał o podstawowej zasadzie władzy: divide et impera. Intryg nie stosował, zresztą w zgodzie z tradycjami polskimi. Od Kłajpedy po Gdańsk miał być spokój: to wydaje się główną dewizą północnej polityki króla. Cena była mniej ważna.

Wielu jednak widziało błąd w postępowaniu króla wobec Prus — na przykład uczestniczący w licznych komisjach i poselstwach Jan Dymitr Solikowski. Ale król przerywał im zawsze stwierdzeniem, „że on i tylko on jako zwierzchnik lenny ma prawo obsadzenia kuratorstwa w Prusach".[9] Jeśli niektórzy senatorowie liczyli, że Batory powróci do spraw Gdańska i Prus, to mylili się bardzo: król, po początkowym zainteresowaniu sprawami morza i floty, ostygł w swych zapałach. Ostatecznie odwróci się bokiem do Bałtyku, patrząc na wschód i południe. Będzie to wynik nie tylko świadomego wyboru, ale i ciążenia faktów, które skazywały Batorego na szukanie rozstrzygnięć nie pod Gdańskiem i Królewcem. Dla polskiej racji stanu oznaczało to utratę szansy powstrzymania wzrostu niezależności Prus; dla Hohenzollernów — następny krok w dziejowej karierze. To zrozumiałe, że nie Węgra sprawa ta najbardziej obciążała, ale jego doradców, a właściwie jednego, który coraz silniej wpływa na króla — Jana Zamoyskiego.

Spór o tę postać z panteonu wielkości narodowych trwa nadal, a jednym z ostatnich, choć z pewnością nie ostatnim, jest głos kry-

tyczny Janusza Tazbira.[10] Nie da się ukryć, że laur na głowie genialnego polityka, jak Zamoyskiego jeszcze niedawno określano, jest w niektórych partiach mocno przyschnięty. To on, świetny znawca praw narodów, jest właściwym twórcą polityki północnej Batorego. Wpływając na króla i redukując oddziaływanie znawców problemów polskiego wybrzeża — Wejhera, Kostki czy opata Geschkaua — Zamoyski naraził króla na przewlekłe spory z Gdańskiem. Na przykład o tak zwane palowe, prawo zamykania portu przez rajców, co paraliżowało bardzo skutecznie gospodarkę polską, i o setki innych „detali", takich jak załamanie się handlu z Anglią, które w końcu wyrosły w istną górę wielkiej i groźnej niezależności „Chłańska". Na dodatek król za namową Zamoyskiego starał się prowadzić politykę obok sejmu, a nawet senatu, tworząc i rozwiązując coraz to nowe komisje na nic nie wpływające. Większość spraw gdańskich, przykrych dla godności wielkiego króla, załatwiać zaczął sekretarz Batorego, uważający się głośno za Niemca, historiograf Reinhold Heidenstein.

Nie przydaje też Zamoyskiemu chwały, że jego „amor singularis", miłość nieprzeparta do Gdańska, brała się z bogatych darów w postaci pieniędzy, sukna, a nawet nici — o czym zresztą król na ogół wiedział, na co nawet przyzwalał. To swoiste łapówkarstwo mieściło się podówczas w kategoriach najbardziej i najpowszechniej usprawiedliwianych ułomności ludzkich. Poza darami miał już wtedy Zamoyski w ręku spory obszar władzy: to do niego, za zgodą króla, zwracają się strony bezpośrednio zainteresowane sprawą Prus i Gdańska. Podkanclerzy podpowiada królowi rozwiązania typowe dla kresowiaka i ziemianina zapatrzonego w czarnoziemy i wspaniałe plony starostw wschodnich. Notabene przekonania szlachty i Zamoyskiego co do urodzajności tych ziem były częściowo złudne: ostatnie badania wykazały, że otrzymanie dziesięciu ziaren z jednego wysianego było tworem fantazji podróżników przemierzających Ukrainę i zdarzało się wyjątkowo.[11] Przy tym opiewana przez wieki rzekoma niechęć Zamoyskiego do Niemców kończy się na Habsburgach; Brandenburczycy już są godni łask i uśmiechu podkanclerzego. Nie skąpi im przyjaznych gestów i król. Takie są wymogi wielkiej polityki.

Oczywiście — nie sposób było wówczas przewidzieć tak dużego wzrostu „komara w paszczy lwa", jak czasem określano Prusy i Rzeczpospolitą. To nie Batory ani Zamoyski wywołali wojnę na wschodzie, która odwróciła ich uwagę od północy. Dziwić jednak może nieładna niefrasobliwość obu mężów stanu: nie załatwione do końca sprawy między Polską a Gdańskiem będą ślimaczyć się zawile wiele lat i zakończą niefortunnym aktem „tractatus portorii" w 1585 roku, będącym jednym wielkim bezsensownym ustępstwem króla. Obalenie „statutów Karnkowskiego", zdobyczy Zygmunta Augusta nad miastem, milczenie Batorego pośród żałosnych próśb stanów pruskich — oto ofiary, jakie składał Batory wówczas na ołtarzu swych gigantycznych planów. Miarą meandrów polityki północnej stanie się sprawa Elbląga, który gotów był płacić Batoremu dwukrotnie wyższe palowe niż Gdańsk i gdzie sposobiła się do energicznej działalności angielska kompania handlowa. Wiały wtedy dla Elbląga wiatry z wielkiego świata, grożące wywianiem za morza i oceany monopolu handlowego Gdańska. Oczywiście powodowało to przeciwdziałanie bogatego miasta, wieloletnie spory, rosnące rozdrażnienie Batorego chylącego się rozsądnie raczej ku Elblągowi i... interwencje Zamoyskiego u króla. Po nich właśnie Gdańsk nie tracił nic ze swych ogromnych przywilejów, mimo powoływania niezliczonych komisji, rozlicznej korespondencji, zaleceń, rad etc. Rola Elbląga ostatecznie osłabła; Polska straciła szansę stworzenia prawdziwego konkurenta dla Gdańska, kupieccy i racjonalni Anglicy nie stworzyli stałej rezydencji w Elblągu. Błąd ten przyjdzie Polakom naprawiać w trzysta pięćdziesiąt lat później; w 1924 roku budując Gdynię.

Za niefortunnymi posunięciami często widać rękę, niekoniecznie uzbrojoną w gęsie pióro i inkaust, Jana Zamoyskiego. W niczym to nie umniejsza winy Batorego: władca dobiera sobie doradców i wraz z nimi błądzi. Bywało, że poprzednicy Batorego nie podpisywali się na dokumentach, które wychodziły z kancelarii, co stwarzało pole do nadużyć. Podkanclerzy „przywiódł rzeczy do tego, że się król

podpisywał na to, co z kancelaryjej wychodziło, aż czasem i na małe rzeczy".[12] Musiał być tytanem pracy: jak odkrył Ludwik Kieniewicz, Batory zwiększył dwuipółkrotnie liczbę dożywotnich etatów sekretarskich (150 urzędników), prowadząc politykę z olbrzymim rozmachem. Co drugi sekretarz studiował za granicą.[13] Batory był zatem doskonale zorientowany w poczynaniach swego pierwszego ministra. Z biegiem czasu ta aprobata przejdzie w niebezpieczny dla każdej władzy stan bezgranicznego niemal zaufania.

Ale w ostatnich latach panowania król sam, bezpośrednio, sterował polityką zagraniczną, w tym sprawami północnymi Rzeczypospolitej. Zamoyski będzie w swym przepięknym Zamościu, kiedy Batory w Grodnie podejmie grę polityczną na olbrzymią skalę, jej podporządkowując inne, „drobne", sprawy Prus i Gdańska. Tu nade wszystko potrzebny był mu spokój, a ten, który mu go zapewniał, to książę kurator. Za tę cenę w obronie przywilejów Gdańska będzie król wygłaszać wspaniałe oracje, a Elżbietę I, królową angielską zainteresowaną sprawami handlu również na Bałtyku, nazwie „misera".[14]

„Misera", pożałowania godne, były raczej interesy polityczne Rzeczypospolitej w prowincji pruskiej.

Część czwarta

ZAPROSZONY DO WOJNY

I. «TY, SOSIED»

Jedną z głównych przyczyn ściślejszej unii Korony Polskiej z Wielkim Księstwem Litewskim w 1569 roku i utworzenia Rzeczypospolitej Obojga Narodów była bez wątpienia sprawa nacisku Wielkiego Księstwa Moskiewskiego na ziemie litewskie. Rzeczpospolita stała się, obok Moskwy, największym krajem Europy. Ale cena, którą za to przyszło jej płacić, była niemała: przesunięcie środka ciężkości państwa na Wschód i włączenie Korony do krwawych i niemal bezustannych walk z pęczniejącą we wszystkich kierunkach Rosją. Ściana wschodnia Litwy, a potem Rzeczypospolitej, od Dniepru po Dźwinę płonęła w różnych miejscach; od XV wieku Moskwa naciskała na ogromne połacie ziem litewskich z coraz lepszym skutkiem. Wojny w pierwszej połowie XVI wieku odbywały się w znajomym doskonale z historii Polski stylu: Litwini i Polacy wygrywali bitwy (efektownie — pod Orszą w 1514 roku), a Rosjanie zajmowali twierdze (utrata niesłychanie ważnego Smoleńska w tymże roku).

Nie jest schlebianiem próżności narodowej Polaków stwierdzenie, że Rzeczpospolita była krajem pokojowo nastawionym. Tak było w istocie. Wynikało to nie tylko z poziomu świadomości obywateli, ogromu ich państwa, ale i możliwości zaspokojenia wszystkich niemal potrzeb, w tym gospodarczych. Wychwalane pokojowe usposobienie szlachty wobec sąsiadów nie brało się z „natury rzeczy", ale miało wymiar prozaiczny: niechęci herbowych do wojaczki poza gra-

nicami państwa, wysupływania ukochanych grosików z mieszków na potrzeby wojenne, z podejrzeń wreszcie, że zwycięski król może wzmocnić swą władzę pozbawiając ich, słynnych na całą Europę, przywilejów i wolności. Do chwili „rozrodzenia się", to jest wyraźnego wyżu demograficznego w pierwszej połowie XVII wieku, szlachta kochała się w pokoju i, co ważniejsze, mogła na ten stan rzeczy wpływać.

Inaczej w Rosji. Wiele czynników, w tym niesłychana surowość obyczajów ludzi niewolonych przez dwieście pięćdziesiąt lat z okładem przez nomadycznych Tatarów, nie znających wartości wytrwałej stałej pracy, i przejęcie bizantyjskich wzorców sprawowania władzy wyniosły księcia moskiewskiego do niebotycznej wysokości samodzierżcy. Zrzuciwszy pęta tatarskie, po przejściu tak okrutnego i gruntownego „wychowania", księstwo moskiewskie rychło stało się krajem ekspansywnym, usiłującym w zaciekłej walce o dominium Russiae odbić Litwie ziemie ruskie, a nade wszystko dojść do Bałtyku i włączyć się do europejskiego handlu i kultury.

Dla Rosji droga do Morza Bałtyckiego prowadziła przez Inflanty. Kraina ta, gdzie w połowie XVI wieku dogorywało niemieckie państwo zakonne Kawalerów Mieczowych, stała się terenem starć krajów dążących do dominium maris Baltici, panowania nad Bałtykiem. Rzeczpospolita, Moskwa, Szwecja, Dania tworzyły charakterystyczne dla tamtych czasów ziemne sojusze, w które usiłowali wprzęgać mistrzów zakonu inflanckiego. Udało się to w 1553 Rosji; ale marsz silnej armii Zygmunta Augusta w kierunku Inflant powstrzymał mistrza zakonu Wilhelma Fürstenberga przed zbytnim zaprzyjaźnieniem się z wielkim księciem moskiewskim; zresztą zobaczymy, jak niebezpieczna bywała ta przyjaźń. Inflanty zaczęły się więc chylić ku Litwie i Polsce, podpisując z nią traktat. Oczywiście rezultat tego przymierza był taki, że Rosjanie uderzyli na Inflanty w 1558 roku, łatwo zajęli port w Narwie wyrąbując sobie tym samym wynoszone w rosyjskiej historiografii „okno na świat", a następnie zdobyli niektóre ważne twierdze. Rozbiór Inflant przypieczętowali Duńczycy, lądując w dwa lata później na wyspie Ozylia, i Szwedzi, którzy dbając o równowagę sił między nie cierpiącymi się podówczas

Skandynawami, niebawem zajęli południowy brzeg Zatoki Fińskiej wraz z Rewlem.

Nowy mistrz zakonu Gotthard Kettler zrozumiał, że o utrzymaniu samodzielności Inflant nie może być mowy i należy schronić się pod opiekuńcze skrzydła któregoś z państw. W sierpniu 1559 roku widzimy go w Krakowie płaczącego przed majestatem króla Zygmunta Augusta nad nieszczęsną swą krainą i błagającego o ratunek. Wybór mistrza i szlachty inflanckiej padł na Rzeczpospolitą: wydawała się najmocniejsza; wzór Prus Książęcych i tamtejsze swobody były znacznie bardziej pociągające i bezpieczne niż „rabstwo" moskiewskie czy szwedzka bieda i surowość. Granice polskie były otwarte, odwrotnie niż u sąsiada wschodniego, co sprawiało, że panowie inflanccy nader często biesiadowali u panów litewskich i pruskich: mogli się przyjrzeć dobrze polskim wielmożom, szlachcie i jej swobodom. W 1561 roku Gotthard Kettler zdecydował się zawrzeć w Wilnie traktat z królestwem polskim, na mocy którego Inflanty podzielono: Kurlandia i Semigalia stała się lennem polskim, a resztę kraju wcielono bezpośrednio do Rzeczypospolitej tworząc tak zwane Inflanty polskie. Zakon z zadowoleniem zdjął zakurzone, czarne z białym krzyżem płaszcze rycerzy Kościoła, przeistaczając się z łatwością charakterystyczną dla czasów reformacji w krainę nie uznającą władzy papieża. Sam mistrz, wzorem pruskim, zmienił się w księcia lennego i przyjął wraz ze swą świtą luteranizm.

Akt ten oczywiście nie oznaczał kresu wojny szarpiącej Inflanty na części. Odwrotnie — oznaczał jej rozognienie, które charakteryzowało się między innymi znamiennym przyśpieszeniem w odwracaniu sojuszy. Nigdy jednak Rzeczypospolitej nie udało się wejść w przymierze z Moskwą: walka między tymi właśnie państwami z biegiem czasu zaczęła być główną osią konfliktu. Moskwa była stroną przeważającą mimo wspomnianych częstych zwycięstw Litwy w polu: do 1570 roku, wykorzystując nieporozumienia polsko-litewskie, Rosjanie zajęli większą część północnych Inflant i zdobyli kluczową twierdzę nad Dźwiną, litewski Połock, oskrzydlając lenno polskie i coraz silniej zagrażając Litwie. Równie niebezpieczne stało się zajęcie przez Rosjan Uświatu i Wieliża, gdyż oznaczało

to przerwanie ważnej linii rzecznej Dźwiny. Ten stan rzeczy zmusił Zygmunta Augusta na sejmie w Piotrkowie do smutnej oracji o losie ojczyzny „z częstym ocieraniem oczu, łez pełnych".[1] Powodem była nie tylko utrata ważnego Połocka, ale i napływające gęsto wieści o niesłychanym okrucieństwie hosudara, który po wzięciu tej twierdzy kazał w Dźwinie potopić Żydów, bernardynów rozsiekli jego Tatarzy, a szlachta i mieszczanie zostali popędzeni w pętach do Moskwy. Wolno natomiast zostali puszczeni żołnierze: cztery roty królewskie. Wreszcie zawarty w 1570 roku trzyletni rozejm, zwany „słomianym", oderwał od głowni szabli większość rąk zajętych głównie wyrzynaniem mieszkańców nieszczęsnych ziem.

Parciu Moskwy do morza i rozpalaniu coraz krwawszej i bezlitosnej walki patronowała jedna z najbardziej mrocznych, bo oblanych, bynajmniej nie symbolicznie, krwią od czapki Monomacha po żelazo posocha, postaci w dziejach Rosji: Iwan IV zwany Groźnym. Jego okrutna, w wielu wypadkach bezsensowna działalność polegająca na masowym wyrzynaniu ludzi podejrzanych o jakąkolwiek formę opozycji, została już nieźle oświetlona.[2] „Książę chce być absolutnym panem nie tylko dobytku i ciał, lecz także dusz i myśli. Ponieważ zaś chce wszystko wiedzieć, co się dzieje pośród poddanych, nikt nie śmie nawet ust otworzyć, a jeśli już coś powie, to albo dla zjednania sobie łaski, albo dla uniknięcia kary. Wyjechać za granicę żadną miarą nie można bez jego wiedzy i zezwolenia (...) Nie wolno im nawet posiadać statków, aby nie było możliwości ucieczki, lub zawierać zbyt ścisłej znajomości z cudzoziemcami" [3]: oto recepty Iwana na poskromienie społeczeństwa i jego niebezpiecznej mobilności obok wpajania głębokiego przekonania o wyższości Rosjan nad innymi, ksenofobii, fałszywych opinii (o Polakach twierdzono, że co wieczór zmieniają wiarę) i utrzymywania potwornej, nie spotykanej nigdzie ciemnoty, nawet wśród bojarstwa.

L. Bazylow sądzi, że Iwana zrodziły straszne czasy i doświadczenia wyniesione z dzieciństwa i młodości. Niektórzy badacze rosyjscy twierdzili wręcz, że większość krzywd car wyimaginował sobie sam, by móc się za nie mścić. Stąd zapewne brał się niebywały wśród władców europejskich sadyzm: sam potrafił wchodzić między powiązanych poddanych i „dopóty kaleczył szablą lub tłukł obuchem skrępowanych, dopóki nie wyzionęli ducha. Drugich zaś (...) układano (...) tysiącami na wznak po wierzchu trzęsawisk, po których następnie przejeżdżano brykami i końmi." [4] Trudno jednak w tym miejscu powstrzymać się od refleksji, że psychopatia szarego zjadacza chleba pada jedynie brzydkim cieniem i rozpaczą na nieliczne środowisko; psychopatia władcy dzierżącego władzę totalną — objawia się zbrodniami przeciw ludzkości i daje groźny przykład bezkarności następnym pokoleniom tyranów. Przecież ten władca, jak i wielu jego następców, którzy go pilnie naśladowali tłumacząc swą krwawą działalność „obiektywnymi koniecznościami", został wyniesiony na piedestał, zamiast jednoznacznego potępienia moralnego. Te fakty mogą być miarą potwornego niebezpieczeństwa rządów tyrańskich, których nieszczęsna Rosja doznawała i doznawać miała jeszcze nie raz; mogą być też miarą potrzeby demokracji. Dlatego na kartach tej książki nie będziemy zapominać o okrucieństwach Iwana IV.

Bez wątpienia tyran chciał związać Rosję z Europą: pojmował to jednak głównie jako związek dynastyczny. Początkowo pragnął skoligacić się z Jagiellonami. Prosić miał nawet o rękę Anny Jagiellonki w czasach panowania Zygmunta Augusta, ale ta w odpowiedzi posłała ponoć hosudarowi siwą klacz odzianą w kobiece szaty. Niechęć Iwana do Rzeczypospolitej wzrasta, a okres bezkrólewia umożliwia mu podjęcie działań przeciw Polsce. Wprawdzie początkowo w podpaleniu „słomianego pokoju" przeszkadzają mu walki ze Szwecją, a nade wszystko nadzieja na tron wawelski, ale już podczas drugiego interregnum zmienia taktykę. Podejrzewa, że Litwa dlatego wystawia jego kandydaturę na polu elekcyjnym, by przedłużyć rozejm. Uderza więc na Inflanty.

Tymczasem w tej krainie „także i zamki pograniczne tak są bardzo źle opatrzone, że ludzi pieszych zgoła nie mają. Dział mało i konnych ludzi bardzo mało" — biadał poseł polski Andrzej Taranowski jeszcze w 1573 roku, jednocześnie „widząc też naszą ukrainną szlachtę [pograniczną litewską — J. B.] tak życzliwą temu Hospodarowi Moskiewskiemu". Taranowski, jeden z nielicznych polskich makiawelistów — „czegom nie mógł lwią skórą oprawić, tedym musiał li-

sią nadstawić", powołujący się na rzekome słowa Zygmunta Augusta: „nieprzyjaciela oszukać nie tylko jest rzecz słuszna, uczciwa, ale pożyteczna Rzeczy Pospolitej" — przestrzegał od dawna przed słabością polską w Inflantach.[5]

Rezultat uderzenia Iwana był dla Rzeczypospolitej opłakany: od stycznia do lipca 1575 roku Rosjanie zajmują całe Inflanty północne włącznie z portem Parnawą. Przeciwdziałanie mało energicznego administratora Inflant, starosty żmudzkiego i kasztelana wileńskiego Jana Chodkiewicza, jest nikłe ze względu na jego asekuracyjne poczynania, a nade wszystko olbrzymią dysproporcję sił. Litwini zmuszeni są targować się z Moskwą o rozejm. Uzyskają go tylko na rok: do sierpnia 1576 r.

Elekcja Stefana Batorego i jego umocnienie się na tronie jest dla Iwana Groźnego dzwonkiem ostrzeżenia; zresztą w takiej umysłowości nie było ludzi poza podejrzeniem. Tym razem jest to suspicja umotywowana: król Batory podpisując pacta conventa zobowiązuje się odzyskać utraconą część Inflant i Iwan dowiaduje się o tym. Oczywiście początkowo Batory usilnie pragnie pokoju, śle list do Moskwy datowany 12 lipca 1576 roku, w którym w bardzo grzecznej formie zawiadamia hosudara o wstąpieniu na tron wawelski i oznajmia chęć zawarcia traktatu pokojowego. Jednak na trzy kolejne pisma car nie odpowiada; czyni to dopiero w styczniu, i to przez posłów polskich. „Jeśli król pragnie braterstwa z nim, nie powinien się mieszać do Inflant, powinien go nazywać carem, wielkim księciem smoleńskim i płockim" — czyli panem ziem zagrabionych Litwie. Jest to odpowiedź dla Batorego obelżywa i ton wzajemnej korespondencji gwałtownie zniża się do poziomu wzajemnych gróźb, paktowania „przez miecz" i wyrzutów. Batory jednak nie ucieka się do obelg, choć jego listy stają się coraz ostrzejsze, oskarżycielskie, pełne pasji, bez owijania w dyplomatyczne jedwabie. Mimo emocjonalności — są logicznie ułożone, pełne historycznych i prawnych argumentacji.[6]

Ale tej logiki Iwan zdawał się nie pojmować; przemawiała do niego jedynie siła. Batory zatem odbywa „zastanowienie" z kniaziem Aleksandrem Połubińskim i innymi panami litewskimi nad obroną Inflant, wynikiem jest wzmocnienie pustych dotąd zamków ledwie 375 drabami (takie zaszczytne miano nosili wówczas piechurzy) i 100 jeźdźcami pod Połubińskim.[7] Była to liczba śmiesznie mała. Historyk, który wykonał olbrzymią pracę zbadania przygotowań wojennych Batorego[8], wyliczył sumiennie, ilu to drabów miało powstrzymywać taran moskiewski, o którego sile i męstwie żołnierzy już wtedy stanowiła liczba. Nie ma specjalnej konieczności danych tych przytaczać i nie jest to celowe przy pisaniu biografii; dość powiedzieć, że poszczególne zamki inflanckie w najlepszym wypadku król zdołał obsądzić niewiele ponad setką, a częściej dziesiątkami żołnierzy. Niewiele więcej liczyły chorągwie w polu pod hetmanem polnym Krzysztofem Radziwiłłem — sześciuset ludzi — których wspomagała bliżej nie określona liczba wojska administratora Inflant, Jana Chodkiewicza. Pomiędzy nimi kręciły się smętnie jakieś kupki pospolitego ruszenia z Kiesi pod tamtejszym kasztelanem, ale na wieść o ruchach armii rosyjskiej i oni „wszyscy rozjechali się (...) Na królewskie obietnice licząc, zginiem marnie za taką niedbałością wszystkich" — żalił się kniaź Połubiński do stanów litewskich.[9] Był to żal udokumentowany i rzetelny.

Król bowiem stał pod Gdańskiem i choć jednocześnie usiłował uczynić jak najwięcej dla obrony Inflant — to nie był cudotwórcą, tylko władcą bez pieniędzy. Dwudziestego piątego lipca 1577 roku rozesłał wici „o gotowosti na wojnu", mianował hetmanem wielkim litewskim Mikołaja „Rudego" Radziwiłła, nakazując mu rozgłosić, że król po zakończeniu działań pod Gdańskiem idzie na Inflanty. Aby zmylić Rosjan, Radziwiłł miał przygotować miejsca pod rzekomy postój wojsk królewskich, i to wedle określonego schematu: oddzielnie dla Litwy, Korony, Węgrów i Niemców. Batory imał się też sposobów, które niewiele by kosztowały skarb królewski: z jego pomysłu miano rękami tamtejszych chłopów zbudować nowe fortyfikacje — „magna propugnacula" — chroniące kluczowy port Inflant, Rygę, od zagrożenia z północy. Król usiłował też wymienić załogi twierdz — złożone z zaciężnych i drogich knechtów niemieckich, skłonnych do przejścia na stronę bogatszego i chwilowo silniejszego — na litewskich drabów. Wreszcie Batory zalecał ruchliwość i im-

prowizacje w walce, przypominał zwaśnionym Radziwiłłowi i Chodkiewiczowi o konieczności współdziałania z Połubińskim i księciem Kettlerem, projektował w ostateczności odwołanie się, „gdzieżby uchowaj Boże", do pospolitego ruszenia. Słów tych nie napisał Batory, choć z pewnością tak myślał, tylko światły podskarbi litewski Wawrzyniec Wojna, biadając nad pustkami w skarbie. Nad katastrofalną sytuacją radzić miały rozpisane przez króla sejmiki powiatowe i niezgodny z prawem sejm generalny zwołany do Wołkowyska. Tam Litwini w końcu uchwalili 24 grosze podatku z każdej włóki.

Ale były to jedynie półśrodki, zastosowane niekiedy zbyt późno: pobór uchwalono dopiero w drugiej połowie lipca 1577 roku. A przecież już od stycznia spod Nowogrodu Wielkiego, którego mieszkańców siedem lat temu Iwan kazał do imentu wyrżnąć za domniemane poddanie się królowi polskiemu (padło ich prawdopodobnie około 40 tysięcy), a potem spod Pskowa, cudem uchronionego przed represjami przez „jurodiwego" (jednego z obłąkanych, których Rosjanie brali za świętych), szły groźne wieści o koncentrującej się tam ogromnej armii rosyjskiej. Nieco wcześniej Batory dostał list od hosudara, który zarzucił królowi polskiemu uchybienia w rozległej tytulaturze. Była to niesłychanie poważna sprawa: od chwili przyjęcia bizantyjskiego dwugłowego orła i justyniańskich pomysłów inscenizowania władzy, która miała powalać na kolana, samodzierżcy rosyjscy skrupulatnie wymagali, by wszyscy przestrzegali skomplikowanej tytulatury. Posłowie moskiewscy na dźwięk imienia hosudara padali plackiem na ziemię, podczas gdy w Polsce Batory kwestionował prawo Iwana do tytułu cara — Kazania i Astrachania. Inna sprawa, że carem zwano również w Polsce chana krymskiego. Grzech Batorego, podług wielkiego kniazia Moskwy, był zatem na tyle uwłaczający, a tak naprawdę szanse dla Rosji tak wielkie, że w lipcu 1577 roku uderzył trzydziestotysięczną armią na Inflanty. Wspomagał go królewicz duński Magnus, niegdyś kandydat do ręki Anny Jagiellonki, wbrew imieniu daleki od wspaniałego postępowania, nie bez słuszności ochrzczony przez Zygmunta Augusta „ubogim pijanicą". Magnus panował na kilku zameczkach inflanckich, a już kreował się na „regem Livoniae": króla Inflant.

Iwan, uderzając na Inflanty, twierdził, że nie rozpoczął wojny z Rzecząpospolitą i nie złamał zawartego rozejmu, gdyż zajmował Inflanty jako swe dziedzictwo po Prusie, bracie wielkiego cezara imperium rzymskiego, Auguście, panującym ponad półtora tysiąca lat temu. Batory i Zamoyski, czytający tak zachłannie antyczne „historyki", ba, najlepsi znawcy dziejów starożytnego Rzymu, po raz pierwszy dowiedzieli się od cara o nowym bracie cesarza Augusta, którego imienia nie utrwaliły żadne dzieła przeszłe i nie utrwalą przyszłe. Uzasadnienie wywołania wojny mogło rozśmieszyć króla i jego podkanclerzego oraz oświeconych władców zachodniej Europy — ale na krótko. Wielki kniaź Moskwy, car Kazania i Astrachania „pisząc do Turków nakazał nazwać się również cesarzem Niemców (...), można sobie wyobrazić, jakie plany będzie miał wobec Niemiec i całego Zachodu" — stwierdził przestraszony wysłannik papieża.[10] Jesteśmy w czasach, kiedy rodziły się marzenia carów o władzy uniwersalnej.

Jak można było przewidzieć z dysproporcji sił i talentów militarnych czy organizacyjnych Jana Chodkiewicza, dla Iwana był to marsz triumfalny. Początkowo hosudar był łaskawy dla zdobywanych bez wysiłku załóg twierdz i ich mieszkańców, ale rozzuchwalony powodzeniem, rychło dał upust swym straszliwym skłonnościom. Nie był to sadyzm bezsensowny, o ile można tak nazwać jakikolwiek sadyzm: Iwan podkreślał, że walczy z Niemcami inflanckimi, a nie Litwą, i załogi Rzeczypospolitej na ogół puszczał wolno. Inaczej rzecz się miała z rodzimą ludnością. Od zajęcia 20 sierpnia Schwaneburga ćwiartowanie, rozdzieranie końmi, topienie, wbijanie na pal mieszczan, gwałcenie kobiet ze zdobywanych miast stały się codziennym niemal elementem w podboju Inflant. Niekiedy mieszczanie woleli sami zdobywać własne miasto zaskakując i obezwładniając załogę królewską, by oddać je Magnusowi przed przybyciem wojsk carskich. Tak stało się w przypadku Kiesi, spod której uciekła niewielka zbieranina pospolitego ruszenia i część załogi; pięćdziesięciu nieszczęśników pozostałych w zamku zostało obezwładnionych przez tych, których mieli bronić. Koniec tej świetnej akcji był żałosny, gdyż wszyscy, być może skutkiem celowego podpalenia prochów

przez kapitana Henryka Boismana[11], wylecieli w powietrze. Obraz ten ukazuje jednak rozmiar obawy przed Rosjanami.

Na niewiele się też zdało „zastanowienie wojenne" Batorego z Połubińskim; bardzo szybko padł dowodzony przez Połubińskiego Wolmar i kniaź litewski, spuszczony przez Moskali w koszu z okna przed szalejącym pożarem, powędrował na wschód jako jeniec Iwana. „I tak starca nieboraka przywiedziono przed Moskiewskiego" — jęknął kronikarz.[12] Psychopatia Iwana zbudowana była jednak na solidnym fundamencie sprytu i bystrości: wolał on na wszelki wypadek nie przelewać krwi wysoko urodzonego kniazia, co wywołałoby nienawistną mu solidarność każdego herbowego w Rzeczypospolitej. Poczucie jedności stanowej i honoru w Polsce odgrywało wtedy znacznie większą rolę niż w czasach zupełnie splebejonych. Car zatem wolał zaprosić kniazia i jego rotmistrzów do biesiadnego stołu, ugościł, po czym oznajmił:

„Ręka moja wysoka; byliście świadkami mojej potęgi; powiedzcie mu [królowi Stefanowi], że powinien ją także poznać." [13]

Nie były to czcze przechwałki i próżność zwycięzcy. Rosjanie w ciągu trzech miesięcy zajęli dwadzieścia siedem zamków i miast i doszli do Dźwiny. Ryga znalazła się w polu operacyjnym; stąd było już tylko sto siedemdziesiąt kilometrów do serca Litwy, Wilna. Kraj popadał w ruinę. „Budynki, które arcybiskup ryski i mistrzowie Zakonu wznieśli wielkim kosztem, zostały zniszczone przez Moskwicinów lub groziły zawaleniem, były pełne nieczystości i oddane na pastwę żywiołów z powodu wyłamanych okien. Wzgardziwszy nimi, wybudowali sobie drewniane chatynki, w których, wypełnionych dymem, woleli mieszkać (...) Mając w pamięci dokonane przez Gotów zniszczenie Koloseum, łuków triumfalnych i w ogóle całego Rzymu, nie dziwiłem się temu, co się kryło w sercach tego narodu, który nie mógł znieść wspaniałości i znaczenia innych narodów." [14]

Można by podejrzewać stronniczość opisu, gdyby słowa te napisał Litwin lub koroniarz. Ten opis wyszedł jednak spod ręki legata papieskiego przejeżdżającego przez ziemie inflanckie dotknięte pożarem wojny.

Zagrożenie Rygi i Wilna musiało wpłynąć na dziwiące nas uprzednio ustępliwe postępowanie króla Stefana wobec Gdańska i w Prusach Książęcych. Batory nakazywał wprawdzie hetmanowi wielkiemu litewskiemu wykonanie przeciwuderzenia na Inflanty bądź wtargnięcie „w inszą stronę w państwa jego własne, czym by się on od oblężenia w ziemi inflanckiej odwrócić mógł" [15] — ale i Radziwiłł nie widział możności wykonania rajdu dywersyjno-odwetowego wyniszczającego ziemie rosyjskie. I on zgryźliwie zauważał, że nawet gdy się zbierze pospolite ruszenie, to „podobno będziem jeszcze chcieć gadać o wolnościach", a nie słuchać rozkazów. „Ano o wolnościach, jeśli je szczerze miłujem, już do tego przyszło, żeby o nie już czynić ręką i piersiami, za nie się zastawować nieprzyjacielowi, a nie oracyje sejmowe stroić" [16] — dodawał gorzko pyszny magnat, w którym racje władzy (koligacje z Jagiellonami) kłóciły się o lepsze z umiłowaniem polskich wolności.

Nie było jednak aż tak źle, gdy w końcu września 1577 roku stanęło w Rakiszkach 18 tysięcy litewskiego pospolitego ruszenia. Cała słabość tkwiła raczej w opieszałości zbierania się tej masy herbowej: w październiku Iwana już nie było w Inflantach. Nie pokusiwszy się o zdobywanie Rygi, wypatrywał z zadowoleniem z Pskowa, a potem ze swojej osławionej rezydencji w Aleksandrowskiej Słobodzie, jak jego załogi w zdobytych zamkach się umacniają, zwlekał z przyjęciem posłów wysłanych przez Batorego jeszcze wiosną, czekał na ruchy króla Stefana, świadom, że pospolitacy potrafią czasem świetnie bić się w polu, ale nie dobywać twierdz właśnie umacnianych na jego rozkaz. Jego nieokiełznana buta — nauczyciela dyplomacji rosyjskiej — wzrastała wraz ze zwycięstwami inflanckimi. Iwan IV zapomni o zwyczajach między panującymi, zwracającymi się do siebie „bracie". Do Batorego, jak zobaczymy, będzie słał pogardliwe listy, niekiedy zaczynające się od słów: „Ty, sosied!"

Rozpuszczenie pospolitego ruszenia przez Batorego byłoby potwierdzeniem sukcesów hosudara, a nade wszystko obniżeniem ducha bojowego w narodzie szlacheckim. Do odbijania twierdz tej dzielnej hałastry użyć nie mógł, ale do wojny podjazdowej tak: toteż z zadowoleniem przyglądał się, jak pod koniec 1577 roku rozpętana przez Polaków walka podjazdowa w Inflantach zaczyna „fruktyfi-

kować". Tutaj wykazali się Litwini i koroniarze nie tylko mistrzostwem w walce, ale i przypisywaną Polakom finezją. Wilhelm Plater z jakimś dzielnym Kozakiem Borysem Sawą zdobywa ważną twierdzę Dyneburg, od Wilna „mil dwadzieścia cztery", gdzie, jak stwierdził król, „nie ma żadnych bagien lub wód na przeszkodzie".[17] Plater odnosi sukces dzięki beczce wódki, którą śle rosyjskiej załodze Dyneburga. Car daleko, nie ma ukazów określających godziny picia tak jak w Moskwie, więc alkoholizują się z fatalnym dla siebie efektem. Jeszcze dziwniej odbita jest Kieś, gdzie niedawno Połubińskiego spuszczano w koszu z wieży: Maciej Dembiński i sekretarz Chodkiewicza, Jan Bühring, dzięki jakiemuś Łotyszowi, ślusarzowi, który odcisnął w wosku klucze do bram, dorobić je kazali i po otwarciu wierzei gwałtownie wtargnęli do zamku biorąc w niewolę stu strzelców moskiewskich. Rozochoceni sukcesem poszli w głąb Inflant zajmując kilka innych zameczków. Nie był to wynik niefrasobliwości załóg hosudara, ale szczególnej mieszaniny sprytu, naiwności i odwagi charakteryzujących ludzi tamtej epoki.

Pewien udział w sukcesach Moskwy miało lekceważenie ich przez szlachtę: od Wiadroszy w 1500 roku w większej bitwie Litwini nie ulegli Rosjanom, a obawa Moskwy przed starciem w polu długo jeszcze cechować będzie carską sztukę wojowania. Król Stefan zorientował się niebawem, że senatorowie, panowie rada, cierpią na brzydkie poczucie wyższości wobec „barbaris", Rosjan. Ten niepojęty dlań stosunek — wszak właśnie Rzym padł pod ciosami „barbarii" — drażnił go wielce, szczególnie w obliczu sukcesów Moskwy. „Moskwicin nie jest takim nieprzyjacielem, którego by można lekceważyć, chociaż lekceważą go Polacy, nie wiadomo, czy przez pychę, czy przez ambicję — dowodził król 14 grudnia 1577 roku w Malborku przed posłami z Rzeszy Niemieckiej. — Ma on żołnierza wyćwiczonego (...) ma większe owe arkebuzy, czyli bombardy, jakie widziałem u Hiszpanów i Szkotów. Są one dłuższe, a do strzelania opierają je na kołku lub kiju wbitym w ziemię; przywożone są z Anglii drogą morską do Narwy. Dawniej Moskwicini byli tak nieudolni, że jeden opierał się i nastawiał na cel arkebuzę, po czym głowę odwracał, a drugi lontem zapalał."[18] Batory miał rację: w Rosji dokonywała się właśnie reforma wojskowa, która przyniosła jej półzawodową armię piechoty — nieźle wyszkolonych strzelców uzbrojonych w importowane rusznice — i silną, nowoczesną artylerię. Wzmacniane i ulepszane fortyfikacje drewniano-ziemne, o dużej grubości, chroniły pograniczne miasta przed armatami przeciwnika: okażą się bardziej odporne na ogień z dział niż umocnienia murowane, nie mówiąc już o przestarzałych fortyfikacjach drewnianych. Posłowie niemieccy dowiedzieli się również od króla, nie pierwszy raz zapewne, o niesłychanym okrucieństwie i tyranii, „jakiej świat nie widział", Iwana IV. Batory mówił to w całkiem określonym celu: przestrzeżenia przed siłą Rosji i mobilizowania Europy do obrony przed zaborczą tyranią.

Nie jest to bezpodstawna supozycja. Przed nuncjuszem Laureo, który nie tylko wrócił do Polski, ale został dopuszczony do łask królewskich, Batory roztaczać zaczął swe wizje. Działo się to w Warszawie podczas sejmu 1578 roku. Mówił wysłannikowi papieża nie tylko o konieczności odzyskania Połocka i Smoleńska, ale i o marszu w głąb Rosji, stoczeniu walnej bitwy z Rosjanami i — zdobyciu Moskwy.[19] Stolicy prawosławia. Pojednanie z papieżem nastąpiło szybko: obie strony bardzo się potrzebowały.

Jak na króla, który utracił Inflanty po Dźwinę, poznał świetną, ale improwizowaną czasem do granic ostateczności wojskowość polską, były to odważne słowa. Mógł je wypowiedzieć człowiek lekkomyślny albo świadom ogromu przygotowań wojennych, konieczności reform, wzniesienia się ponad nawyki polskiej szlachty, jej parlamentarne upodobania. Mający cel ostateczny i plan przed oczami.

Stefan Batory nigdy nie był lekkomyślny.

II. WAŻNY SEJM

Po odprawieniu poselstw brandenburskich i gdańskich w Malborku król po 16 grudnia ruszył w stronę Warszawy. Tam chciał spędzić święta Bożego Narodzenia, tam miał zebrać się, zwołany przezeń na styczeń 1578 roku, sejm walny.

W drodze do Warszawy do Batorego przybiegł goniec aż z Podola

z niedobrymi wieściami. Tamtejsze kresy naddnieprzańskie były miękkim podbrzuszem Rzeczypospolitej, w które wchodziły bez trudu zagony Tatarów. Tam, niedaleko od granic imperium otomańskiego, które odgradzały zależne od obu państw, więc z konieczności lawirujące, Mołdawia i Wołoszczyzna, były punkty zapalne. Tam wreszcie mogła się urodzić bitna i swawolna społeczność zbiegów wszelkich nacji, języka, odcieni skóry i pochodzenia — Kozaków. Tych, którzy przyczynią się do zmiany tych pięknych, choć pustych stepów i jarów w istne piekło na ziemi i odmienią, z wielką szkodą, dzieje swoje i Rzeczypospolitej.

Batory, świadom wagi pokoju z Turcją, chciał utrzymać spokój na tych ziemiach. Mimo zaangażowania pod Gdańskiem, złej sytuacji na wschodzie znajdował czas, by pilnie przyglądać się południowo-wschodnim kresom. Błąd rozpuszczenia niesfornych oddziałów kwarcianych naprawił wystawiając nowe. W styczniu 1577 roku widzimy „nowe wojsko podolskie", liczące 2859 żołnierzy, wzmocnione artylerią.[1] Nie wykazało się ono wielką odpornością, gdy w marcu i kwietniu Tatarzy rozpuścili swe straszne, bo palące wszystko, i niebywale szybkie czambuły. Umykająca przed nimi straż przednia koronna szukała schronienia we Lwowie, a hetman polny Mikołaj Sieniawski zmuszony był usztywniać swą obronę pospolitym ruszeniem i alarmować króla. Najazd Tatarów bowiem objął wielkie przestrzenie i docierał aż na Litwę. Batory musiał i tam zwołać pospolite ruszenie. Nie zdołało się ono zebrać, gdyż lotni, choć już objuczeni jasyrem Tatarzy umknęli do swych krymskich siedzib.

Dwudziestego drugiego maja 1577 roku Batory w liście do wojewody bracławskiego Janusza Zbaraskiego, księcia Aleksandra Wiśniowieckiego i do kilku innych znacznych magnatów na Podolu, Rusi Czerwonej i Wołyniu pisał, by „większe lub mniejsze roty w miejsce nadwornych żołnierzy do dóbr swoich na załogi wzięli". „Pieniądze przyślemy" — zobowiązywał się król, na barki tamecznych wyższych urzędników składając ciężar uzbrojenia, stacjonowania i rotmistrzowania poszczególnymi stukonnymi chorągwiami pod ogólnym dowództwem hetmana polnego.[2] Była to próba oparcia obrony kresów na wpółprywatnych chorągwiach. W końcu czerwca król

zreformował chorągwie kwarciane zmniejszając im żołd i stan liczbowy (w sumie do 1500 koni oraz piechoty). Reforma ta wydawała się podyktowana koniecznością przesunięcia siły wojennej w innym kierunku.

Nie było to rzeczą prostą i łatwą, gdyż na kresach południowo-wschodnich było tradycyjnie, czyli niespokojnie. Goniec, który zabiegł królowi drogę między Warszawą a Malborkiem, niósł listy i wieści o niepokojących krokach jednego z tych dzielnych watażków, których poczynania mogły ważyć na losach Rzeczypospolitej.

Szło o Iwana Podkowę. Człowiek ten, z opadającym poniżej brody sumiastym wąsem, wpiętym w ucho kolczykiem i pięknym czubem na wygolonej głowie wyłonił się z ciemności naddnieprzańskich ziem w małym pogranicznym zameczku Bar jesienią 1576 roku. Stanął on przed obliczem tamtejszego starosty Mikołaja Buczackiego, zwanego inaczej Tworowskim. Było to ciekawe wejście na oświetloną widownię historii, gdyż przypominało późniejszą introdukcję Dymitra Samozwańca. Otóż niespodziewany gość starosty barskiego podał się za ni mniej, ni więcej tylko za Iwana Wołoszyna, przyrodniego brata zamordowanego niedawno hospodara mołdawskiego, Iwoni. Twierdził, że ma listy, opatrzone pieczęciami bojarów mołdawskich, wołające go na tron hospodarski. Prosił zatem królewskiego starostę o wsparcie go w uderzeniu na Mołdawię.

Starosta miał na tyle rozumu i pamięci o bliskim sąsiedztwie Porty, pilnie patrzącej, czy Polacy nie wpychają na mołdawski tron znów swojego kandydata, że wyprosił „brata przyrodniego Iwoni" z Baru. Poradził mu, aby poszedł dalej, a on tymczasem zawiadomi króla. Iwan posłuchał rady i powędrował do Bracławia, w ziemie tamtejszego wojewody Janusza Zbaraskiego, który upatrując w tym dobry interes, patrzał przez palce na poczynania Podkowy i wspierającego go szlachcica Stanisława Kopyckiego. W ostatnich dniach 1576 roku, zebrawszy w Niemirowie sześciuset mołojców, Podkowa przeszedł przez skuty lodem Dniestr, chcąc tą śmiesznie małą liczbą watażków zdobyć mitrę. Wyprawa nie udała się, co miało i tę dobrą stronę, iż panujący w Mołdawii hospodar Piotr nie podniósł zbyt wielkiej wrzawy wobec Porty i Rzeczypospolitej.

Ale niepokojące wieści o zamiarach Iwana przelatywały dość szybko znad Dniestru nad Wisłę i docierały do uszu królewskich. Batory był zły: kłopot z kresami polegał nie tylko na gorącej granicy, powikłanych stosunkach wewnętrznych w tych krainach różnych nacji i ich dążeń, ale na nawykowej wprost samowoli tamecznych wielmożów panujących nad słabo zaludnionymi ziemiami. Trudno się zresztą dziwić, gdyż na ich szablach i pocztach wspierała się w znacznej mierze obronność ziem stykających się ze światem islamu. „Pokój wieczysty" zawarty przez Polskę z Turcją w 1533 roku był wprawdzie dotąd przez oba państwa respektowany, ale było to zabezpieczenie dalece niewystarczające, podobnie jak zbyt słabe były wojska potoczne, by samodzielnie udźwignąć ciężar obrony. Wszyscy panowie kresowi, a nawet urzędnicy królewscy, którzy się zetknęli ze sprawą roszczeń Podkowy, po cichu sprzyjali mu — wbrew rozkazom Batorego. Wojewoda Zbaraski był aż nadto pobłażliwy wobec Iwana; zresztą cóż w tym dziwnego, skoro panowie polscy nieraz wprowadzali swych kandydatów na hospodarski tron i nic groźnego z tego tytułu dla Rzeczypospolitej nie wynikło oprócz godności, tytułów, zaszczytów i pieniędzy dla panów kresowych? Ba, nawet kasztelan halicki Jan Sieniеński, czekając na rozwój sytuacji, zwlekał z poselstwem do Turcji, mimo że król przysłał mu pieniądze na potrzeby misji. Toteż nigdzie nie znajdziemy dotąd w korespondencji Batorego tak ostrych i zdecydowanych tonów, jak w uniwersałach czy listach do tamtejszej szlachty. „Napominamy i żądamy" — to dość często używane przez króla słowa wobec urzędników ziem kresowych. Pokój z Turcją był kamieniem węgielnym polityki Batorego.

Ale jak Sienieński nie mógł wyruszyć z poselstwem, tak i wysłany z zadaniem pojmania Podkowy rotmistrz Jeromonach Bobolecki przestraszył się — stojąc na czele 150-osobowej chorągwi — ledwie pięćdziesięciu rusznic mołojców Iwana i zawrócił spod kozackiego Niemirowa. To była posiadłość Zbaraskiego i nic dziwnego, że jemu dostało się najbardziej od rozzłoszczonego wielce króla. Starostowie i dumny książę czytali słowa, których nie nawykli słuchać:

„Wierność Twoją ostatnie napominamy, abyś się w powinności swej przeciwko nam a Rzeczypospolitej poczuł, a tego Iwana żebyś oddał do ręku szlachetnego Walentego Makowieckiego, komornika naszego, którego tam posyłamy. Jeśli co innego uczyniwszy (...), tedy wiedz, Wierność Twoja, że tego lada jako nie zbędziesz, ale będziesz miał dosyć kłopotu od Rzeczypospolitej (...): musielibyśmy zaraz przeciw Wierności Twojej instygatorowi naszemu [prokuratorowi — J. B.] kazać postępować, jako temu, który gwałci przymierze i pokój pograniczny." [3]

Podobnej treści pisma otrzymali starostowie pograniczni. Król mianował inkwizytora, Stefana Bielawskiego, który ma czuwać „dla zachowania w całości przymierza z cesarzem jmością tureckim" [4], a ktokolwiek by „miał co przeciwko temu przymierzowi spólnemu i dobrej przyjaźni wystąpić, takiego każdego jako gwałtownika przymierza, dosyć w tym czyniąc prawu pospolitemu, srodze karać będziemy. Dla łaski naszej inaczej żaden czynić nie będzie" — groził Batory.[5]

Ale owa nasilona w dniu 5 listopada korespondencja w sprawie zachowania pokoju na kresach była nieco spóźniona. W tym czasie Iwan Podkowa bił się już w Mołdawii, zwyciężając hospodara Piotra wspomaganego przez Turków i zajmując Jassy. Jako nowy władca panujący od 29 listopada 1577 roku przybrał miano — Jan Woda. Mimo że chłopisko ogromnej siły — pierwsze nazwisko brał z umiejętności łamania podków końskich „jak opłatki" — rozpoczął rządy zupełnie nietradycyjnie w tej niełatwej krainie. Nie ściął ani jednej głowy, wypuścił więźniów z lochów i przy tym zachowywał się niesłychanie dwornie wobec białogłów. Nic dziwnego, że długo nie utrzymał się na tronie. Wprawdzie mniej przyczynił się do tego wygnany hospodar — usiłował on wrócić do Jass pod osłoną wołów, aliści te, przestraszone palbą, zawróciły i stratowały jego armię — ile wieści o nadciągającym z Siedmiogrodu oddziale krewnego króla Polski, Stefana Batorego z Ecsed.

Pojawił się on tam z rozkazu króla. Batory bowiem, widząc niepokojącą nieporadność polskich panów wobec Jana Wody, co na odległość czuć było aromatem aprobaty kresowiaków dla sympatycznego skądinąd nowego hospodara, poprosił swego brata — car tel

est notre plaisir — o pomoc i natychmiast ją uzyskał. By uniknąć starcia, Jan Woda wolał wycofać się z Jass, uwożąc ze sobą czternaście armat.

Był to koniec stycznia, drogi na Niż zawalone śniegiem i Podkowa wraz z atamanem kozackim, Szachem, ruszyli przez Dniestr w kierunku Niemirowa. Powiadomiony o tym Zbaraski również zjechał do miasteczka. Nie wiedział za bardzo, co czynić, mimo długiej narady z hetmanem Mikołajem Mieleckim: z jednej strony miał wyraźny rozkaz królewski pojmania Podkowy i oddania go w ręce komornika, z drugiej nie chciał przelewać krwi Kozaków, i to uzbrojonych w armaty, których książę nie posiadał. Zaprosił zatem Zbaraski do Niemirowa starszyznę kozacką z Szachem na czele i poradził, by Iwan Podkowa udał się do Warszawy, przed oblicze króla. Pokłoni się przed majestatem, złamie podkowę na dowód wielkiej siły i odwagi — i Batory, kochający ludzi bez trwogi, przebaczy mu z pewnością.

Krótkotrwały hospodar, nie namyślając się długo, rozdał zdobyte armaty — dwanaście przekazał wojewodzie, dwa hetmanowi, który wzmocnił nimi Kamieniec Podolski — wyściskał się z Kozakami, po czym powędrował do Mieleckiego na Ruś. Stamtąd, przyjmowany wszędzie gościnnie, otoczony niekłamaną rewerencją szlachty, stawił się w Warszawie w końcu marca, gdy sejm dobiegał końca.

Król nie docenił ani dobrej woli, ani odwagi Podkowy, ani rewerencji, jaką cieszył się u herbowych, ani dobrych skłonności „hospodarczyka" ku Rzeczypospolitej. Dla Batorego, z takim natężeniem patrzącego na reakcje Turcji i Tatarów — krwawych zwiastunów sułtańskiej potęgi — to był tylko wichrzyciel i przykład samowoli kresowej. Tej, która mogła zniszczyć pokój z imperium otomańskim. „Do więzienia dać i okowy na nogi włożyć, a straż pilną nad nim mieć" [6] — oto był sposób Batorego na niesforność kresowiaków i pokazanie, co władza centralna może i musi. Z pewnością wpływ na tę decyzję miał odwetowy wielki najazd ordy krymskiej prowadzony przez samego chana w lutym 1578 roku, będący zapewne odpowiedzią na poczynania Podkowy. Zbaraski zdołał pobić czambuły w dwóch potyczkach, ale oblężony wojewoda kijowski kniaź Konstanty Ostrogski musiał się uciec do układów. Na rozkaz rozgniewanego króla nieszczęsny Podkowa miał zatem w Warszawie zapłacić głową nie tyle za swoje ambicje, ile za ratowanie w ten sposób dobrych stosunków z Turcją. W intencji władcy polskiego ścięcie Iwana miało też solidnie wystraszyć zwolenników samowolnego prowokowania sąsiadów.

„Cóż się na sejmie stać nie mogło dla próśb za nim [Podkową — J. B.] posłów stanu rycerskiego" — zauważył Solikowski. Król kazał zatem wywieźć Podkowę sprzed oczu posłów szlacheckich z Warszawy do Lwowa. O jego losach miał zadecydować rozwój wypadków; król nie chciał mieć opinii szlacheckiej przeciw sobie, więc czekał na przyschnięcie sprawy i stosowną okazję.

Wróćmy jednak na trakt wiodący z Malborka do Warszawy, gdzie goniec spotkał króla. Tuż przed Wilią Bożego Narodzenia Batory dotarł wreszcie do Zamku warszawskiego. Tu spędził święta z królową, markując jedynie dobre stosunki małżeńskie, a nade wszystko przygotował się do ważnego sejmu, którego diariusz, niestety, nie zachował się do naszych czasów. Sejmu mającego zadecydować o wojnie albo pokoju z Moskwą, reformach sądowych i wojskowych, na które państwo czekało już w czasach ostatnich Jagiellonów.

Rozsyłane na sejmiki powiatowe instrukcje od tronu donosiły nie tylko o przygotowaniach do zawarcia ugody z Gdańskiem, ale krzyczały wprost o niebezpieczeństwie moskiewskim. Król dowodził, że Iwanowi nie idzie jedynie o Inflanty, ale o ziemie Rzeczypospolitej aż po Wisłę, włącznie z Prusami, do których rości sobie pretensje spadkobierca po Rzymianinie, niejakim Prusie. Choć były to roszczenia z punktu widzenia historycznego i prawnego fantastyczne co się zowie, to nie zostały wyssane z palca przez króla: o prawie do Gdańska, Malborka, Chojnic hosudar dał wyraz w liście do kniazia Połubińskiego. Jeśli posłowie nie zdecydują się na obronę i odbicie Inflant — „prowincji zacnej, która ma w sobie zamki mocne, miasta gęste, porty osobliwe, pożytki tak z żyzności ziemie" — zagrożona będzie nie tylko Litwa, ale i Korona, utrudniony jej handel. Należy zatem, czytano w instrukcji, jak najszybciej „rekuperować" zabrane lenno inflanckie. „W tej Koronie (...) nic na rycerstwie jezdnym

nie schodzi", trzeba zatem na sejmie postanowić, „skąd by i jakim sposobem mieli być piesi do spraw rycerskich sposobniejsi".[7]

Król był uprzejmy wobec szlachty na koniach, ale w rzeczywistości sprawa braku piechoty z prawdziwego zdarzenia była solą w oku monarchy i dla zmodernizowania armii Batory był gotów poczynić ustępstwa wobec szlachty. Dlatego w instrukcji zapowiadano podjęcie ślimaczących się od wielu lat kwestii sądownictwa i utworzenia nowej mennicy koronnej.

Sejm rozpoczął się 20 stycznia 1578 roku na Zamku tradycyjnym odśpiewaniem hymnu do Świętego Ducha. Dopiero następnego dnia król ustami podkanclerzego Zamoyskiego „sprawę z Moskwą i Tatarami sejmowi przedłożył, pytając się o zdanie: czy wojną czy pokojem ma być załatwiona?" Senat opowiedział się za wojną z Moskwą i wyłonił komisję do obliczenia wydatków na nią. Zdumiewa precyzja, z jaką wyliczono potrzeby armii: znalazły tam miejsce kwoty nie tylko dla rzemieślników różnych fachów, ale także na takie detale jak „targańce z konopi" czy też „windy do prędkiego wyciągania dział z błot".[8] Każdy grosz publiczny ze szlacheckich podatków miał być rozliczony. Co do najazdu Tatarów „na razie (...) postanowiono przymknąć na to wszystko oczy" [9], co było zgodne z intencjami Batorego niedrażnienia Turcji.

„Uchwalono tedy wojnę przeciw Moskwie i postanowiono prowadzić ją w nieprzyjacielskim kraju", co jak zobaczymy, było echem pomysłu strategicznego autorstwa Stefana Batorego i jego rady. Szlachta mimo oporu posłów z Krakowskiego, Sandomierskiego i Sieradzkiego zdecydowała się uchwalić niesłychanie wysokie podług niej podatki: jeden złoty (równy wtedy 30 groszom) z łanu, włóki lub służby chłopskiej. Suma ta stanowiła niemal równowartość połowy cielęcia lub dniówki mistrza murarskiego w Warszawie (około 21 groszy).

Zadziwiająca skwapliwość szlachty w uchwaleniu wysokich podatków miała swą wysoką cenę. Nie był to łatwy dla króla sejm. Posłowie z dużymi oporami uznali Jerzego Fryderyka za kuratora księcia Prus; znamienne, że stało się tak „mimo protestacji większej części senatorów, pomimo łez pruskich wysłanników".[10] W końcu

wysłuchano uroczystej przysięgi margrabiego z Ansbachu złożonej przed królem, ale zaraz potem posłowie ziemscy zaprotestowali ostro przeciwko niektórym gestom wysłanników elektora brandenburskiego. Szło o trzymanie przez Brandenburczyków rąk na chorągwi podanej Jerzemu Fryderykowi, co mogło symbolizować pretensje elektora do wspólnoty w opiece nad lennem pruskim. Tego już dla szlachty było za wiele: linia elektorska do lenna nie była przypuszczona. Złożono ostrą protestację. Brandenburczycy w odpowiedzi poskarżyli się przed królem, ten jednakowoż pocieszył ich, że protestacja „ani wzmacnia niczyjego prawa".[11] Król nie mógł na to wpaść sam, gdyż nie był jurystą: to zapewne inicjatywa Zamoyskiego oznaczająca aprobatę dla poczynań przedstawicieli elektora. Zastanawiająca, choć w kontekście poprzednich naszych wywodów zrozumiała, ufność, a raczej jej okazywanie elektorowi jeszcze się pogłębi: od lekarza Brandenburga Leonarda Thurneisera już niedługo król sprowadzi „Alexifarmacum przeciw wszelkiej truciźnie, przystosowane do natury i kompleksyi WKMci (...) stosownie do prawideł kabalistyki i magii naturalnej" sporządzone.[12] Oczywiście wiara Batorego w elektora była ograniczona: w obecności posła królewskiego Thurneiser sam musiał skosztować maści. Próbę przeżył. Fakty te jednak wskazują, że król zaczął obawiać się otrucia. Z czyjej ręki?

Jeszcze jednej rzeczy posłowie domagali się głośno i zdecydowanie, od niej uzależniając uchwalenie podatków. Szło o zreformowanie sądownictwa, cieszącego się fatalną opinią, bardzo ospałego i rozprzężonego. Sprawy te usiłowano podjąć za Zygmunta Augusta i podczas bezkrólewia, składając na ręce senatu i interrexa projekt utworzenia sądu głównego w postaci nadrzędnego trybunału dla szlachty i duchowieństwa. Niechęć prymasa i senatu spowodowały oddalenie projektu, co tym bardziej zdeterminowało herbowych. W Jędrzejowie zgodzili się, by Batory panował, ale składnikiem ceny przyzwolenia i poparcia miała być zgoda elekta na utworzenie trybunału zależnego od szlachty.

Batory, który podówczas podpisywał niemal wszystko, co mu w imieniu szlachty podsunięto pod rękę, zgodził się na ten warunek.

Już jako król zorientował się jednak, jak wielka część władzy wymyka mu się z rąk i na sejmie toruńskim postawił swoje kondycje. Batory, jak zauważył wybitny znawca tych spraw, „nie sprzeciwia się reformie. Robiąc jednak ustępstwa, pragnie im zakreślić granice, o ile możliwości jak najszczuplejsze, innymi słowy, zachować chce dawną jurysdykcję królewską.”[13] Czyli reforma — tak, ale bez uszczerbku dla władzy.

Między styczniem a marcem 1578 roku ustawowe sześć tygodni trwały ustalenia co do wyboru, kompetencji, udziału senatorów w trybunale, podległości duchowieństwa sądom etc. Szlachta groziła nieuchwaleniem podatków, jeśli król lub senat będzie hamować sprawę reformy w niezgodzie z jej poglądami. Trzeciego marca ustanowiono wreszcie Trybunał Koronny „w Piotrkowie i Lublinie na wieczne czasy odbywać się mający”. Król wyszedł z batalii z poważnym uszczerbkiem swej władzy, gdyż nie on nominował sędziów, których wybierała szlachta, co w przyszłości często zmieniających się sędziów uzależni od sejmików. Natomiast był to bez wątpienia triumf szlachty i jej demokratyczno-republikańskich opcji. Gdybyż jeszcze umiano zachować tyle wigoru i skrupulatności przy formowaniu przepisów wykonawczych. Nie, nie stało wytrwałości, słomiany ogień się wypalił, a luki w przepisach otworzą krętą i ciemną dróżkę do brzydkich nadużyć w tak przecież delikatnej materii, ważnej dla zdrowia społecznego, jaką jest sądownictwo.

Mimo że akt ten był wyraźnym uszczupleniem królewskich prerogatyw, dobrze się stało, że wreszcie utworzono Trybunał: najwyższy sąd w Koronie (Litwa miała zreformować sądy na zjeździe w Nowogródku), od którego wyroku nie było apelacji. Sprawy cywilne szlachty i duchowieństwa miały być tam rozstrzygane ostatecznie, po wyrokach niższej instancji, przez wybranych zaprzysiężonych deputatów szlacheckich oraz duchownych.

Nas oczywiście głównie powinno zainteresować, jaki był udział Batorego w erygowaniu Trybunału, będącego wszak nadzieją na lepsze sądownictwo w kraju, podobnym zresztą do innych krajów, gdzie swego dochodzono nie tylko „prawem”, ale i „lewem”, atramentem, ale i szablą czy rapierem. „Przypisywano dotąd powszechnie zasługę w dokonaniu jego Batoremu, a po części i Zamoyskiemu — pisał autor traktatu o genezie Trybunału. — Cały skreślony poprzednio przebieg rzeczy świadczy o czymś zupełnie innym. W chwili gdy Batory wstępował na tron, kwestia reformy sądownictwa była już od dawna w pełnym toku, zbliżała się nawet szybkim krokiem do rozwiązania. Batory zastał rzecz już prawie całkiem gotową; danym mu było przyłożyć ostatnią rękę do jej dokonania.”[14]

I przyłożył — choć trzeba uznać, że na tę rękę mocno musiała naciskać szlachta ciężarem groźby nieuchwalenia tak potrzebnych królowi podatków.

Na sejmie ustanowiono też, „iż potrzeba jest pilna bić swą myńcę [monetę], tak w Litwie, jako w Polszcze”[15], co związane było z utworzeniem nowej mennicy. Wiele innych spraw na krótko zaprzątało umysły narodu szlacheckiego — zakaz sprowadzania piwa wrocławskiego, łazęgostwo Cyganów przychodzących z Mołdawii, których nakazano wyrzucić z kraju, nobilitacje plebejuszy i obcych, zbiegli kmiecie, ochrona woźnych etc. Znalazło to wyraz w konstytucjach sejmowych: uchwała o nobilitacjach stanowiła, iż nadanie szlachectwa mogło odbyć się jedynie na sejmie lub na wojnie, za odwagę w walce. Zdaje się, że w ten sposób szlachta chciała przestrzec króla przed próbami nadawania indygenatów polskich Węgrom i poszerzania eksskluzywnego stanu o plebejuszy. Jak się okaże, dla Batorego były to sprawy ważne, ale ważniejsza była teraz reforma wojska.

Aby iść na zamki inflanckie, trzeba było piechoty i zaciężnej bądź ochotniczej armii. Wokół tej materii koncentrują się zabiegi króla: „uchwałą sejmu tego piesze tak z miast, miasteczek, jako i wsi naszych królewskich jakichkolwiek wedle słusznej liczby łanów, żeby to było bez ciężkości wielkiej, wyprawiać rozkażemy”. Na mocy tej właśnie konstytucji sejmowej król powołał do życia chłopską piechotę wybraniecką; potem, w lipcu, ustalił pobór w wysokości jednego kmiecia z dwudziestu łanów królewskich, co powiększy armię o zatrważającą szlachtę liczbę 1800 wybrańców chłopskich. Lęk herbowych przed tym niesłychanym nowum — utworzeniem plebejskiego wojska — pomniejszy dopiero słabe, wbrew oczekiwaniom Batorego, wyszkolenie wybrańców i mała wartość bojowa.

Król i Zamoyski imali się różnych sposobów, by stworzyć piechotę, której tak bardzo brakowało. Kanclerz usiłował powołać formację pieszą złożoną ze szlachty szaraczkowej. Próba nie powiodła się: indygena, choć z drewnianą szablą u boku, dobrze się czuł jedynie na koniu, na którego z kolei nie było go stać. Łatwiej nacierał, ale i szybciej mógł uciec: kółko niechęci do chodzenia pieszo na wojnę się zamykało. W ślady biednej szlachty bełskiej, która utworzyła 630-osobowy oddział piechoty, nie poszli inni, nawet głodni i czupurni Mazurzy. Batoremu pozostały cudzoziemskie zaciągi, na co trzeba było mieć dużo pieniędzy.

Ten niezmiernie ważny sejm zamykały nadania urzędów przez króla 6 marca wieczorem, „już przy świecach". Trzydziestosześcioletni Jan Zamoyski po niecałych dwóch latach trzymania pieczęci mniejszej obejmował po biernym, jak na potrzeby energicznego króla, biskupie płockim Piotrze Wolskim kanclerstwo wielkie koronne. Pieczęć po Zamoyskim brał kanonik krakowski Jan Boruchowski. Kanclerz litewski i wojewoda wileński Mikołaj „Rudy" Radziwiłł wzmacniał swą władzę otrzymując hetmaństwo wielkie litewskie. Piotr Zborowski natomiast i wojewoda poznański Stanisław Górka, ubiegający się o starostwo generalne Wielkopolski, znów odeszli z kwitkiem, gdyż godność tę otrzymał marszałek wielki koronny Andrzej Opaliński. Na nic się zdało „podchodzenie" króla w sprawie nadań przez życzliwych wojewodom senatorów, „na ostatek przez Bekiesza".[16] Batory stawiał na zdyscyplinowanych, ambitnych, a nie silnych, energicznych sobiepanów, którzy śmieli się z nim wdawać w spory. Kronikarz, przebywający często na dworze, zauważył, że król „powoli zaniechawszy inne radźce, z wszystkiego mu [Zamoyskiemu — J. B.] się zwierzał i za jego zdaniem szedł otwarcie. W miarę jak mu fortuna sprzyjać poczęła, rosła zawiść niechętnych, której aby się nie poddać, ze znakomitymi ludźmi, jak Janem Kostką wojewodą sandomierskim, Piotrem Zborowskim krakowskim i Mikołajem Mieleckim podolskim częste miewał i nieprzyjazne zatargi."

W świat pofrunęły postanowienia królewskie i konstytucje sejmowe. Nie ma w tym żadnej przesady. Jak żaden dotąd z polskich

władców Batory docenił wagę słowa drukowanego i propagandy. To nie był wpływ Zamoyskiego — przypomnijmy sobie edykt Batorego z 1571 roku wydany w Siedmiogrodzie o zakazie druków religijnych bez zezwolenia księcia. Kanclerz jednak podsunął, zdaje się, królowi pomysł założenia ruchomej drukarni. Zresztą influencję na to miała również szara codzienność, gdyż Stefan był monarchą bardzo ruchliwym. Prawda musiała być odtąd po stronie Batorego, a kto pierwszy docierał słowem przed oczy i uszy opinii światowej, ten miał prawdę w swoim ręku: taka dewiza zdawała się przyświecać Batoremu i Zamoyskiemu podczas tworzenia drukarni. Nie wiedzieli, jak dotąd wielu rządców nie chce wiedzieć, jak zawodne to przekonanie. W lutym 1577 roku król mianował znanego wydawcę Mikołaja Szarfenbergera swym drukarzem nadwornym, impresorem, z prawem wydawania druków państwowych; drukarnią jednak bezpośrednio kierował jego czeladnik, syn sołtysa ze Strzałkowa koło Radomska, Walenty Łapka, nobilitowany potem przez Batorego na Łapczyńskiego za zasługi w szerzeniu i upowszechnianiu ideologii królewskiej. Z Włocławka, spod Gdańska, a wreszcie z sejmu zaczęły płynąć w świat królewskie druki, przyczyniając się do tworzenia obrazu wybitnego władcy na tronie polskim.

Ale nie tylko. Jednym z pierwszych dzieł tłoczonych przez Łapkę, może pierwszym, była *Odprawa posłów greckich* napisana przez niedawnego zwolennika Habsburgów, Jana Kochanowskiego, a wystawiona z okazji ślubu Zamoyskiego z Krystyną Radziwiłłówną. W Ujazdowie „odśpiewano przy lirze, gdy dramat spełniono" *Orfeusza sarmackiego*, który w łacińskich heksametrach sławił polski oręż i pobudzał niewątpliwie animusz wojenny szlachty przed bliską już wojną z Moskwą. I ten utwór znalazł się także w druku pana Łapczyńskiego.

W tym nurcie działań króla mieści się też przywilej dla pewnego Żyda na drukowanie książek w języku hebrajskim. Oto motywacja przywileju: „Znając zaś zdatność Kalmana, syna Mordechaja Żyda lubelskiego, upoważniamy go tym naszym listem królewskim do założenia drukarni hebrajskiej i przedawania Żydom drukowanych w niej książek, co aby z tym większym dla niego stać się mo-

gło pożytkiem, surowo zakazujemy, aby nikt książek hebrajskich z zagranicy nie sprowadzał ani drukowanych przez Kalmana dzieł bez jego pozwolenia nie przedawał pod karą tysiąca czerwonych złotych węgierskich."[17] Kontrola druków miała być i w pismach talmudycznych — zupełna.

Król dostał do rąk mocny oręż, który stanie się zmorą i naszych czasów: propagandę i reklamę. Wymogi wojny sprawią, że pójdzie jeszcze dalej, wydając 27 lipca 1579 roku zakaz wysyłania „sub poena capitis"[18], pod karą więzienia, zapieczętowanych listów z teatru działań wojennych. Każda, nawet prywatna i intymna informacja miała być do wglądu sekretarzy królewskich i mogła być ocenzurowana. Zastanawiająco potulnie zgodzono się w Rzeczypospolitej na tak poważne ograniczenie wolności: nie znane mi są wypadki zdecydowanego sprzeciwu. Być może edyktu nie respektowano z całą surowością lub rozumiano, że jest to przejściowy stan rzeczy spowodowany nadciągającą wojną z Moskwą. Okazało się jednak, że nie: zachęcony uległością Batory wydał 7 lutego 1580 roku uniwersał królewski do drukarzy, w którym ustanawiał, iż „żadnego w królestwie naszym (...) dzieła historycznego i obrazów nie można wydrukować bez osobistej zgody".[19] Pretekstem do drastycznego pociągnięcia stały się pojawiające się tu i ówdzie pisma ulotne widzące króla i wojnę w innym świetle, niż on by chciał. Druków nie było wiele: w porównaniu z poprzednim okresem za Batorego literatura polityczna zamrze. „Res gestae" w myśl nowej ustawy miała zatem sławić czyny monarchy i jego zaufanych, a potępiać wrogów: być na usługach władzy.

Pamiętniki Wawrzyńca Müllera wydrukowane w 1585 roku poza granicami Rzeczypospolitej, *Kronika*, najprawdopodobniej pióra Leonarda Goreckiego, *Krótki pamiętnik* arcybiskupa Jana Dymitra Solikowskiego, pełne gorzkich słów pod adresem króla, pokazały szybko, jak śmieszne, pobożne i krótkotrwałe okazały się nadzieje uczynienia z historii nauki dworskiej. Natomiast późniejsze reakcje szlachty udowodnią, że z masy czytającej królewskie druki nie udało się uczynić niewolników batoriańskich poglądów i obrazu. Stanie się rzecz niekiedy wręcz przeciwna do zamiarów i nadziei Stefana.

Trzeba jednak również zrozumieć króla i jego zapędy: trwała wojna i podporządkowanie ówczesnych massmediów wydawało mu się konieczne. On, zwolennik silnej władzy, nie mogąc wiele w tym zakresie dopiąć na sejmie, wykorzystywał swe prerogatywy tam, gdzie w przepisach istniały luki. Zniewoleniu wolności druku towarzyszyły charakterystyczne objawy: skutkiem rozpowszechniania głównie oficjalnych pism komentujących działalność króla obraz jego piękniał wprost proporcjonalnie do odległości od ziem Rzeczypospolitej.

III. LWÓW—KRAKÓW—WARSZAWA—GRODNO—WILNO

Mimo postanowień sejmu niektóre województwa nie chciały zgodzić się na tak wysokie podatki i tę okropną piechotę chłopską: znamienne, że były to ziemie wojewody Olbrachta Łaskiego (sieradzka), Piotra Zborowskiego (krakowska), Jana Kostki (sandomierska) i pruska. Ich stanowisko było kłopotliwe dla króla. Batory musiał się tłumaczyć obszernie szlachcie tamtych województw ze swych planów, dzięki czemu możemy dobrze poznać jego zamiary.

Były imponujące. Rozwinął je w początkach maja przed najbardziej oporną szlachtą krakowską i sandomierską. Rozwiązanie podpowiedziały mu stany inflanckie domagające się od króla uderzenia prewencyjnego na Psków. Batorego musiała zastanowić trafność planu, który być może już wtedy pokrywał się z jego zamiarami operacyjnymi: odbijanie małych zamków inflanckich i wykrwawianie królewskich oddziałów pod murami i wałami miast tej trudnej do wojowania, często rozkisłej w deszczach krainie byłoby poważnym błędem. Zapowiadał zatem przejście z wojny obronnej, w jaką wpędził go Iwan IV, do „bellum offensivum" na terenach moskiewskich, którą on osobiście poprowadzi. Było to może wbrew tradycji polskiej — wódz nie powinien się narażać — ale schlebiało bez wątpienia szlachcie i podnosiło autorytet króla w jej oczach. Tym mocniej, że Batory już przedtem zapewniał uroczyście, że „idzie tu tedy nie

o pożytek JKMości, gdyż JKMość tego podatku tknąć się nie będzie raczył, ale idzie o sławę narodu naszego, idzie o zadzierżenie Rzptej, idzie o to, jako starości swej pościelemy, jako potomstwo nasze zostawiemy".[1]

Takiej wojny nie sposób jednak prowadzić pospolitym ruszeniem, a jedynie „ludźmi służebnymi" — twierdzi Batory. Uzasadnienie tego faktu zajęło królowi sporo czasu i miejsca na papierze świetnie napisanej instrukcji na sejmik korczyński. Nie należało też lekceważyć potęgi hosudara, „że lubo ludziom jego, jako cnym narodom naszym, nie dał Bóg takowego poczuwania się w poczciwości, przedsię jednak wiele ludzi mieć może; że ma ludzi, którymi przez te ustawiczne lata w sprawach wojennych robił i przeto w rzeczach rycerskich ćwiczone, którzy głód, zimno, niedostatek wycierpieć mogą i dlatego impedimentis [tu: taborami] nie obciążają się".[2] Liczebność armii i niesłychana wytrwałość żołnierza rosyjskiego, zbudowana na strachu, znane były w Polsce. W instrukcji król wskazywał również, że jest to, mimo wyraźnego zapóźnienia gospodarczego, żołnierz dobrze uzbrojony, którego chronił „aparat wojenny, strzelba i rzemieślnicy", z czego wysnuwał przed szlachtą wniosek o konieczności jak najdokładniejszego przygotowania wyprawy. A to musiało kosztować. Aby pocieszyć w tym miejscu strapionych herbowych, król przypominał o „premia belli", korzyściach wojennych. Nadzieja zyskania łupów i nadań była pod każdą szerokością geograficzną jednym z głównych motorów wojen. To najsilniej działało na patriotyczne uczucia i wyobraźnię ludzką — a jeśli jeszcze uzupełnione było ideologiczną otoczką wojny sprawiedliwej i „Bóg z nami"...

Należało poczekać na reakcję dwóch wetujących województw. Król jednak, nie chcąc, by granica inflancka „zaschła", wysłał w głąb Rosji zagony „przezacnych mężów, sług naszych Marcina Hollanda i Rydygiera Arbi", z zadaniem „pustoszenia jego [Iwana IV — J. B.] dzierżaw ogniem i mieczem i obracania na własny użytek zyskanych łupów".[3] Był to przemyślany i trafny wybór króla, gdyż Niemcy inflanccy nie tylko najlepiej znali krainę, lecz mieli szczególne powody, by nienawidzić Iwana za jego zbrodnie wobec tamtejszej ludności.

Car jakby przeceniał swe zwycięstwa i słabość Rzeczypospolitej. Wprawdzie w styczniu 1578 roku wreszcie przyjął posłów króla, ale przedtem dość im się nadokuczał karmiąc najlichszą strawą. Owszem — powiedziano posłom w imieniu cara — zgadza się on na „pokój wieczysty", jeśli Rzeczpospolita zrezygnuje nie tylko ze schedy po bracie Augusta, Prusie, ale przekaże Iwanowi, jego sukcesorowi, Kijów, Witebsk, Kurlandię i Rygę! Polacy w odpowiedzi pokłonili się hosudarowi i także zgodzili się na pokój, ale za zwrot zagarniętych przez Moskwę ziem włącznie ze Smoleńskiem... Były to zdumiewające pertraktacje, które znakomicie zagmatwał sam Iwan. Kręcił bowiem w tak przedziwny sposób, zmieniając akty i dokumenty, że Polacy przysięgli na swoje warunki, a hosudar na swoje. Zawarty trzyletni rozejm, z pozoru fatalny dla Polski, od razu pozostaje na papierze, gdyż pod Kiesią w lutym toczą się walki, w wyniku których armia rosyjska zostaje wyparta przez chorągwie jazdy Macieja Dembińskiego. Obie strony dobrze zdają sobie sprawę, że tu nie słowo i układy mają decydować.

Batory umiał wykorzystać despekt, jakiego doznali jego legaci, do propagandy wojennej. Okrutny tyran „posły nasze tak przycisnął, iż musieli zezwolić na przymierze", które „sławy nam żadnej i bezpieczeństwa pokoju państwom koronnym nie niesie, jedno wieczną zgubę i zatrudnienie"[4] — pisał w instrukcji do szlachty czułej na urazy i zniewagi. To racjonalny, to emocjonalny wywód działał nie najgorzej na serca, umysły i kieszenie hajdawerów braci herbowej.

Król, opędziwszy co ważniejsze sprawy w Warszawie, w połowie kwietnia ruszył do Lwowa. W drodze przybiegają gońcy z wieścią, iż wprawdzie województwo sieradzkie zgodziło się, po wysłuchaniu instrukcji królewskiej odczytanej przez sekretarza Jana Bużeńskiego, na uchwalenie podatków, ale „sandomierzanie i krakowianie powariowali nam, co się przez kilka osób tych dzieje".[5] Owo „zwariowanie" polegało oczywiście na dalszej odmowie płacenia podatków. Król skręcił zatem z traktu lubelskiego na Sandomierz, by przekonać senatorów i panów małopolskich, że i oni mogą skorzystać na

tej wojnie, że obrona przed Moskwą nie jest jedynie sprawą Litwy, ale i Korony, że Małopolska nie jest tak daleko od Rosji, jak jej się zdaje. Senatorowie w Sandomierzu zgodzili się z Batorym, radząc wszakże, by król złożył nowy sejmik w Korczynie i zyskał tam poparcie szlachty. Pierwszego maja, w rocznicę koronacji i ślubu, Batory wysłał z Sandomierza uniwersał i obszerną instrukcję na sejmik korczyński, w której dokładniej skreślił swe plany.

Szlachta małopolska, acz z oporami, uwierzyła królowi i 24 maja wreszcie uchwaliła podatki. Niewielkie Inflanty leżały daleko i nadal nie bardzo ją obchodziły. Nie ma się czemu dziwić: bliżej były cesarskie granice, nieco dalej groźna potęga islamu. Interes Małopolski z pewnością nie leżał na północnym wschodzie; jeśli czegoś mieli się obawiać, to raczej Tatarów i sabatów, przed którymi jednak chroniły ich ziemie bardziej zagrożonej Rusi Czerwonej.

Batory jechał tam właśnie, by zabezpieczyć granice i uregulować stosunki wewnętrzne. Cena, którą gotów był płacić za spokój na tych ziemiach, spokój, będący funkcją jego planów wobec Moskwy, była wysoka. Król chował bowiem godność wielkiego władcy, kiedy tłumaczył szlachcie: „kilkadziesiąt tysięcy złotych [upominku dla Tatarów — J. B.] może się to sprawić, że i kraje ruskie będą zabezpieczone, i Moskwicin trafion".[6] Batory wiedział — powiadomił o tym herbowych — że ze względu na opieszałość w zbieraniu podatków, trudności z zaciągiem wojska, przewiezieniem armat i „prochów" nie będzie mógł podjąć przeciwuderzenia na Moskwę wcześniej niż latem 1579 roku. Pozostający do wyprawy czas chciał wykorzystać nie tylko do przygotowań, ale na załatwienie palących kwestii wewnętrznych i zagranicznych. Miał nadzieję, że nie tylko zabezpieczy ziemie ruskie przed Tatarami, ale zdoła ich przyciągnąć do wyprawy przeciw Moskwie.

Dwunastego maja król po raz wtóry zjechał do pięknej stolicy ziem czerwonych, Lwowa. Tutaj w miesiąc później, 16 czerwca, kazał ściąć Iwana Podkowę, którego „wszyscy niemal ludzie żałowali".[7] „Księgi, pieśni o nim drukują, malarze ciało ścięte odmalowali" — dodawał ksiądz sekretarz królewski.[8] Nie jest wykluczone, że ten właśnie fakt uzmysłowił królowi konieczność poddania wszelkich

druków i ikonografii kontroli państwowej. Poprzednio od ciosu kata uchroniły mężnego Podkowę nalegania polskiego rycerstwa; teraz król, by uniknąć nowej fali próśb i wotów, wyjechał na polowanie gdzieś w pola lwowskie, glinianskie czy szczerzeckie. Egzekucji — odważny do końca Podkowa sam podał katowi miecz — dokonano na oczach przypatrującego się z bliska kaźni czausza tureckiego, by dowieść lojalności króla polskiego wobec Turcji. I rzeczywiście: „sędziak contentissimus i w Konstantynopolu także".[9]

Kaźń ta, wykonana przed ratuszem, w zwykłym miejscu pod pręgierzem, w oczach szlachty nie przysporzyła królowi popularności. Przeciwnie. A przekonanie o fałszywym, nie podobającym się Bogu, kroku Batorego potwierdziła wieść o zawaleniu się, w chwili gdy spadła głowa Iwana Podkowy, dachu nad przedsionkiem lwowskiego ratusza. Nie pochwalili czynu króla i mieszczanie: ciało skazańca uroczyście i z wielką żałobą pogrzebało w cerkwi bractwo stauropigialne.

Aż dziw bierze, że właśnie wtedy rodzi się słynna legenda batoriańska wśród Kozaków; toż właśnie Batory jest tym żelaznym władcą, który dąży do zgniecenia w zarodku swawoli tej „zbieraniny różnych nacji", „łotrów", „hultajstwa stałych siedzib nie mającego" — jak raczy ich nazywać publicznie i prywatnie.[10] To przeciw nim wysyła i będzie wysyłał karne ekspedycje, jak na przykład księcia Konstantego Ostrogskiego z przesłanym z Warszawy poleceniem, by nie tylko „łotry niżowce zegnał, ale których dostanie, aby na gardle karał" [11]...

Ale w oczach następnych pokoleń mołojców, szukających na gwałt swej złotej legendy, którą tak łatwo rodziły bezkresne stepy, Batory stanie się królem idealnym. To on tuż po wkroczeniu do Polski odbył przecież tajemną rozmowę z czterema przedstawicielami kozactwa, „loco expeditionis", względem zapewne jakiejś wyprawy mieszczącej się w ramach królewskiego planu, wręczając im po 40 florenów na głowę; to on przyjął na żołd 530 Kozaków, których wodzem zostaje przodek późniejszego pogromcy mołojców, „krwawego Jaremy", starosta czerkaski Michał Wiśniowiecki zwany Bajdą. To Batory dał im zatrudnienie i łupy w wojnach na wschodzie. Wresz-

cie — to król miał stworzyć w podkijowskim monastyrze Trechtymirów stałą siedzibę Kozaków, choć wiele wskazuje, iż król uczynił zeń nadanie szpitalowi żołnierskiemu dla starych i kalekich niżowców.[12] Podobnie zresztą w Warszawie stworzył lecznicę dla weteranów wojennych.

Legendy nie zaćmiła pamięć ciężkiej ręki Batorego wobec „hultajstwa" ani to, że jego ordynacja *Postanowienie z Niżowcy*, wydana 16 września 1578 roku we Lwowie,[13] była przedłużeniem ordynacji Zygmunta Augusta biorącej niewielką część mołojców na żołd, ani to, że Kozaków „chciał koniecznie wygubić",[14] rozkazując wojewodzie lubelskiemu Janowi Tarle jeszcze w lipcu 1578 roku spacyfikować niżowców i ukarać na gardle ich przywódców za samowolną wyprawę do Mołdawii.

W sześć lat później Batory każe ściąć we Lwowie ponad trzydzieści głów co swawolniejszych mołojców, a resztę uwięzić; ten ostatni rozkaz nie miał oczywiście szans na wykonanie. Mimo to przez pokolenia całe Batory chadzał w szatach zbawiciela zaporożców. Dziwny zaiste jest żywot legendy; gorzej, że powielany przez wielu biografów króla.

Oczywiście Batory nie rozlewał krwi kozackiej z upodobania — choć i ten zarzut przyjdzie mu z biegiem czasu usłyszeć — ale z politycznych konieczności. Królowi „umilały" pobyt we Lwowie bezustannie przylatujące wieści o czambułach tatarskich: efekt wspomnianych wyżej samowolnych wypraw kozackich do Mołdawii. A przecież zabezpieczenie południowej ściany było jednym z fundamentalnych warunków wojny z Iwanem Groźnym. Toteż za cenę corocznej daniny, głowy Podkowy i pacyfikacji Kozaczyzny król w sierpniu uzyskał wreszcie upragnione potwierdzenie pokoju z Turcją i Tatarami. Udało mu się także pozyskać do swych wschodnich planów chana i jego krymską ordę.

Wydawać by się mogło, że Batory we Lwowie to człowiek o sercu z żelaza, nieludzki dyktator, przedkładający swe racje, które utożsamiał z państwowymi, ponad rzecz najcenniejszą — ludzkie życie. Trochę w tym prawdy: racje polityczne nie mogą być jednak do końca mierzone racjami moralnymi, a łamanie praw przez Kozaków

było ewidentne. Jednocześnie ten srogi król w sporze pomiędzy mieszczanami lwowskimi a tamtejszymi Ormianami, których prawa handlowe rada miejska chciała poważnie ograniczyć, staje po stronie Ormian. Odtąd mogą oni mieć kamienice w rynku i sprzedawać słodką małmazję detalicznie, a nie całymi kufami, jak chcą zazdrośni o zyski detaliczne mieszczanie polscy. Postanowienie królewskie było dla Polaków niezupełnie zrozumiałe i zostało nazwane z przekąsem przez światłego skądinąd kanonika dążeniem Batorego do „cudzoziemskiej równości". Działy się rzeczy, o których szlachcie się dotąd nie śniło: oto jakiś Żyd pozwał przed sąd starostę lwowskiego Mikołaja Herburta, a gdy starosta chciał się pozbyć natręta, „król ostro rzekł, iż tak Żyd, jako i starosta jego są poddanymi, a zatem tu odpowiadać powinni. Co wielu przypisywało staraniu królewskiemu o sprawiedliwość."[15] A może szło o to, że przywódcy szlachty ruskiej, starosty lwowskiego nie było widać podczas interregnum w szeregach batorian? A może — dowodów z biegiem lat nagromadzimy sporo — królowi szło o podłamywanie hegemonii szlachty? Jeśli tak — to z góry można było przewidzieć, że straty będą przed zyskami. A może wielki król swymi poglądami na sprawy stanowe i istotę władzy wyprzedzał epokę? Ulotne dowody są rozsiane na kartach książki, ale jasnego wywodu Batorego na ten temat brak, poza wyraźnym dążeniem do stworzenia silnej pozycji sprawiedliwego władcy wobec wszystkich poddanych.

Liczba spraw, korespondencji, listów, dyplomów, nadań, które wychodziły i przychodziły do Lwowa, może przyprawić o zawrót głowy. Tak zresztą będzie przez całe panowanie; działanie we Lwowie ułatwiała drukarnia Pawła Szczerbica, którą król ściągnął na kilka miesięcy do miasta. Batory nie tylko zajmował się ziemiami ruskimi i przygotowaniami do wyprawy inflanckiej — aczkolwiek te sprawy głównie przykuwały jego uwagę. Stąd wysyła swego sługę Moreta do Włoch i Hiszpanii „na skupienie koni", gdyż „za nieżyczliwością pogańską nie mogliśmy po te czasy mieć koni dobrych z Turek",[16] starostę trembowelskiego Jakuba Pretwicza na Węgry z podobnym zadaniem. Tutaj w sierpniu wydaje *Uniwersał koło pieszych* określający sposób powoływania i szkolenia piechoty wybranieckiej,

wprowadzając, bodaj pierwszy w Europie, jednolite umundurowanie. Pomysł ten skopiuje dopiero w sto lat później Ludwik XIV. Pieszy ma „na miejsce oznajmione stawić się do lustracyi z rusznicą swą dobrze narządzoną, szablą, siekierką i barwą taką, jaką mu rotmistrz albo naznaczy z inszymi pieszymi podobną" — nakazywał król.[17] Od szczegółów Batory z łatwością przenosi się na pola wielkiej polityki od Ansbachu po Moskwę, od Sztokholmu po Stambuł, i na tę małą. Jeszcze raz przypomina, „aby Cyganie w ziemi naszej nie byli, gdyż też to konstytucją obwarowane jest".[18] To uraz jeszcze z Siedmiogrodu, niemożność pogodzenia się Batorego z ludźmi „luźnymi" w stanowym społeczeństwie, nie poddanymi kontroli, szerzącymi złe obyczaje. Królewskie lato we Lwowie było bardzo pracowite i gorące.

Po podpisaniu 16 września *Postanowienia z Niżowcy* Batory udał się na przejażdżkę z obożnym po Lwowie. Z Niskiego Zamku, dwupiętrowego nieregularnego budynku okalającego obszerny dziedziniec, mógł wyjechać przez którąś z bram, przypatrując się miastu: odbudowywanej katedrze, wykańczanej przepięknej wieży wołoskiej, cerkiewnej, wystawionej przez wzbogaconego niebywale na handlu winem, uszlachconego mieszczanina Konstantego Korniakta. Przyjrzeć się wielojęzycznemu tłumowi, który już dawno zrzucił niemieckie wpływy, przyjmując polski język i większość zwyczajów. Przejeżdżając przez bramę halicką miał okazję podziwiać wizerunek ogromnego orła namalowanego przez źle opłaconego artystę Bogusza, którego za dzieło skąpa rada miejska wynagrodziła 1 złotym i 6 groszami. Po nawale zajęć z miejskich bruków umykał król na ukochane polowania, bodaj na zające. Teraz jechał w obecności obożnego, odpowiedzialnego za zakładanie obozów i bezpieczeństwo marszu. Pan ów jednak miał pechowy dzień i sam znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie, gdyż „wypadł z powozu, zbił się okrutnie i końmi zdeptan, i czas niemały poleży".[19]

Wypadek nie powstrzymał Batorego w podjęciu decyzji o wyjeździe ze Lwowa do Krakowa. Za radą Zamoyskiego do obrony przed Tatarami zostawiał na ziemiach ruskich wojska kwarciane pod hetmanem polnym Mikołajem Sieniawskim. Co ważniejszych dygnitarzy z biegiem lata wymiotło z dusznego miasta albo zostali porozsyłani przez Batorego do załatwiania przeróżnych spraw — tak że król podróżował w otoczeniu niewielkiej garstki z najbliższego otoczenia: bez marszałka i dworzan. Mimo splendoru Lwów z pewnością odetchnął, utrzymanie dworu kosztowało.

Może właśnie skromność orszaku spowodowała, że w Przemyślu przyjęto Węgra butnie, „jakom żyw, buczniejszych ludzi nie widział",[20] napisał sekretarz królewski podróżujący ze Stefanem. Tutaj też doszło do charakterystycznej sceny wskazującej na rolę Zamoyskiego w kreowaniu polityki Rzeczypospolitej i ujawniającej rozmiar podejrzliwości i nieufności Polaków wobec króla cudzoziemca. „Poseł wołoski przyjechał tu, trzy konie tureckie królowi przywiódł (...) Matko Boża, też nie wiemy, co rzec bez p. kanclerza, onegdaj gdy miał audiencję ten poseł, po węgiersku sprawował poselstwo, tłumacza nie było, król mu odpowiadał po węgiersku i potem, gdy poseł uszedł, sam król panom referował to, z czym przyjechał. Miły Boże, by ale był co rychlej p. kanclerz" — wzdychał pobożnie ksiądz Piotrowski.[21]

Nie było to ostatnie westchnięcie sekretarza jego królewskiej mości podczas podróży. Podpatruje nasz ksiądz, jak Batory, oczywiście własną ręką, kreśli z Łańcuta grzeczny list do królowej, „Do Krakowa zdążamy, gdzie nie zabawimy dłużej nad trzy tygodnie, za czym do Warszawy, do Waszego Majestatu przybywamy"[22] — pisze i usiłuje osłodzić gorzkie życie Jagiellonki wysyłając jej węgierskie brzoskwinie zdjęte z drzew, które sam, z pamięci, wskazywał swym wysłannikom. Dziwi się też imć Piotrowski, a z nim gorszą inni panowie, gdy król w Jarosławiu „w dobrze budowanym dworze stać nie chciał, ale w rynku u mieszczanina". Cóż to za pomysły, od których niesie się fala plotek i pomówień i rozbryzguje brudną pianką niechęci dobrze urodzonych do dziwnego króla wyraźnie sprzyjającego „gorszej" części społeczeństwa! Gęstej atmosfery wędrującego dworu nie rozładowuje przybycie Zamoyskiego do Łańcuta: potrącony mimowolnie przez dworzanina Cikowskiego ze znanej w Polsce familii rzucił się „z furią" na nieostrożnego, trącając go i popychając. Działo się to pod bokiem króla, a „Cikowscy nie pro-

stacy" — jak pisał Rej. „Owa przybywa nam przyjaźni" — skwitował zajście sarkastycznie ksiądz Piotrowski.

Zwarzone, nie wiadomo właściwie dlaczego, humory poprawiły wieści nadciągające z Inflant. Gdy w połowie października król wreszcie wjechał na Wawel, doniesiono mu, że nadciąga poselstwo od wielkiego kniazia Iwana, pomniejszone o osobę głównego posła hosudara, który zmarł w drodze. Polacy nie byli mściwi, choć mogli — za przyjęcie niedawne wysłanników polskich w Aleksandrowskiej Słobodzie. Przywitali posłów carskich przed miastem z rewerencją, wyznaczyli kwatery bez płotów i straży. Jednak postępowanie Moskwicinów — jak podówczas zwano poddanych państwa moskiewskiego — wyprowadzało Batorego z równowagi: „kiedy stanęli przed królem, nie chcieli nic mówić, dopóki by się król, odkrywszy głowę i powstawszy, o zdrowie i powodzenie ich monarchy zapytał". Historyk dworski twierdzi, że tym razem Batory „pozwolił wrócić do mieszkania i stamtąd do Litwy ich odesłał". Za tymi eufemistycznymi słowami kryje się najprawdopodobniej inne oblicze prawdy: król kazał bezczelnych podług niego posłów uwięzić w Brześciu.[23]

Jeśli uczynił tak, to zapewne nie tyle z braku szacunku dla prawa narodów, ile skutkiem wieści o sukcesie litewskim 21 października pod Kiesią. Andrzej Sapieha i Maciej Dembiński z dwu i pół tysiącem żołnierzy w sojuszu z trzyipółtysięczną armią szwedzką Jerzego Boye rozbili osiemnastotysięczną armię rosyjską „czterech wodzów" usiłującą zdobyć Kieś. Pod rapierami szwedzkimi i polskimi szablami miało tam paść 6022 Moskali. Dla Batorego było to dużo, ale nie dla Iwana, któremu zdarzało się nieraz większą liczbę ludzi tracić. Wspominamy o tym dlatego w tym miejscu, że imię cara niektórych porażało na odległość: dzielni puszkarze rosyjscy „Wilka", „Jastrzębia", dwóch „Dziewek" i „Sokoła" (to nazwy armat), widząc klęskę armii hosudara powywieszali się wzajemnie na powrozach uwiązanych u wylotu luf armatnich.

Miłą tę dla Batorego wiadomość klęski wojsk carskich przesłoniła jednak gorsza: zaczynało brakować pieniędzy na kontynuowanie przygotowań do wyprawy. Miast przewidzianych 800 tysięcy wpłynęło 600 tysięcy złotych, podczas gdy na wystawienie 22-tysięcznej

armii z kompletnym zapleczem trzeba było 1,2 miliona złotych. W tamtych czasach suma to astronomiczna. Król znów się odwoływał do zażyłej przyjaźni z elektorem saskim Augustem i księciem Jerzym Fryderykiem, przed którymi „zamiary swoje wojenne odkrył". Grał na uczuciach narodowych: „oba ci monarchowie [?] oburzając się na okrucieństwa Iwana, którymi Niemców w Inflantach dręczył, pochwalili zamiar Stefana. Nie mogli sami dla odległości miejsc [?] przyjść mu na pomoc, ale Jerzy przysłał mu w darze kilka armat polowych."[24] Dla Polski to szczęście, że nie przyszli. Choć ich pomoc nie miałaby większego znaczenia, mogli potem, po sukcesach polskich, zażądać opieki nad Kettlerem i Inflantami, a ich przyjaciel król, w związku ze swymi gigantycznymi planami, na tak drobne ustępstwo zapewne by się zgodził. Może na układ podobny do malborskiego.

To oczywiście szyderstwo — ale chyba na miejscu. Króla w tamtych chwilach interesowało bowiem najczęściej — skąd wziąć pieniądze? Wprawdzie w Krakowie starosta przemyski Jan Tomasz Drohojowski oddał Batoremu srebro ze skarbu publicznego, które tuż po ucieczce Walezego miast trafić do wojska, zostało przejęte przez „ludzi dworskich". Ale było tego mało: skarb był nadwerężony, w co zamieszany był „jeden z potężnych obywateli", bogaty Erazm (?) Czeczotka. Król nie zwykł się patyczkować w takich sprawach: Czeczotkę skazano „wedle prawa może sprawiedliwie, ale samowolnie, bez wysłuchania", jak zaznaczył uczony kronikarz. Oczywiście taki brak respektu dla polskich praw nie mógł Batoremu przysparzać popularności, ale król przestrzegał ewentualnych oszustów i odzyskiwał nieco grosza. Potrzebował go więcej i musiał się zdecydować: czy odwołać się do sejmików, czy zwołać nowy sejm? Czy hetmana wielkiego koronnego mianować dożywotnio, czy czasowo, jak dotąd? — z tymi pytaniami zwrócił się Batory do rady senatorów 1 grudnia. Odpowiedź dostojników brzmiała: sejmu nie zwoływać, hetmana mianować na czas potrzeby wojennej. Wiele przy tym zależało od spokoju wewnętrznego w państwie. Dlatego mimo skarg innowierców na rektora Akademii Krakowskiej Jakuba Górskiego i wszystkich profesorów, którzy miast uczyć tolerancji, podburzali

żaków i plebs do zniszczenia zboru zwanego Kupą (Acervus) jeszcze w czasach bezkrólewia, Batory nie ponowił sądu. Według Solikowskiego chodziło o to, „aby w chwili kiedy wojna zewnętrzna się toczy, wewnątrz kraju nie było rozterków".

Przygotowania wojenne w tym czasie szły pełną parą. Ten zadziwiający swym rozmachem i pracowitością król doceniał rolę artylerii, co wyrażało się w troskliwej opiece nad ludwisarnią w Malborku, głównym arsenałem w Tykocinie i sprowadzaniu mistrzów odlewnictwa „boga wojny". Planowanie, zbieranie sił, wydawanie masy rozkazów w Koronie i Litwie, piecza nad powstawaniem znakomitego mostu na łodziach dającego się zmontować w trzy godziny — to główne fragmenty działalności króla.

Miał jednak czas, by uczynić coś dla nauki, do czego zobowiązał się w paktach konwentach. Przychodziło mu to tym łatwiej, gdyż do tego stopnia czuł się jej adeptem, że podczas swego pobytu w Krakowie wziął żywy udział w jednej, czterogodzinnej, z publicznych dysput naukowych, jakie odbywały się na Rynku w każdą sobotę. Niestety, Akademia Krakowska była wówczas uczelnią podupadłą, biadano, że ostatnią w chrześcijańskim świecie, co nie było dalekie od prawdy, i dyskusje były na takim też poziomie. Batory usiłował wydźwignąć ją z mrocznego zaścianka, w jakim się znalazła. Wysłany do Rzymu Jan Grzymalita Zamoyski miał nie tylko pozyskać kardynała Hozjusza i papieża dla nowego króla, ale przyciągnąć do Krakowa sławnych profesorów z uczelni włoskich — Karola Sigoniusza, Marka Mureta i Fulwiusza Orsiniego — które tak bardzo imponowały królowi. Batory też wiedział o odwiecznej prawdzie, że konkurencja jest podstawowym warunkiem postępu. Dlatego Grzymała Zamoyski starał się w Rzymie również o utworzenie w Krakowie drugiej niezależnej uczelni, Kolegium Królewskiego, co zmusiłoby profesorów Akademii do wzniesienia się nieco wyżej nad podburzanie żaków do niszczenia przybytków zła — protestanckich zborów — i naukowe udowadnianie pozytywnych właściwości takich czynów. Zresztą, cóż tu się dziwić, skoro profesorowie teologii opływali w dostatki, podczas gdy na przykład profesor poetyki miał dwa, trzy razy mniejszą płacę niż trębacz w Lublinie i nie miał nawet

pieniędzy na zakup niezbędnych mu książek. Państwo dbało o profesorów ideologicznych, pozostawiając innych prawdziwych miłośników wiedzy na ogół swemu losowi, bez nadziei na sakiewki magnackie lub sławę pośmiertną.

Przy tworzeniu Kolegium wzorem dla Batorego było tu z pewnością prężne paryskie Collegium Regium Galliarum (Collège de France), kierowane przez uczonych włoskich, będące rywalem starej Sorbony. Bez wątpienia próba utworzenia tej placówki to nie tylko wynik bezinteresownej miłości Stefana do nauki. Wydaje się, że była ona wpisana w szerszy plan króla, który usiłował realizować z konsekwencją: wzmocnienia jego władzy i słabej administracji. Z Kolegium miały się rekrutować rzesze oddanych królowi urzędników.

Ale Kościół, co zrozumiałe, wolał wojujących szermierzy kontrreformacji niż prężne Kolegium Królewskie: Hozjusz a wraz z nim biskup krakowski Piotr Myszkowski i nuncjusz Laureo utrącili starania króla w sprawie utworzenia drugiej uczelni w stolicy Rzeczypospolitej. „Jak zarazy jakiejś morowej niechaj unika WKMość wszelkiego nowatorstwa i niechaj nie dopuści, aby — jak dozwolono [o boleści], w Krakowie, (...) stworzyć sługom szatańskim przybytek szatana." Akademia Krakowska bowiem do „wielkiej doszła sławy, że od chwili swego założenia nigdy nie chciała cierpieć wśród siebie żadnego profesora heretyka" — unosił się w liście do króla kardynał Hozjusz uprzednio ugłaskawszy Batorego i jego katolicką wierność.[25] Kardynał w imię interesów Kościoła wolał nie wiedzieć, że sława Alma Mater zupełnie przebrzmiała. Nie przekonywało go nawet, że proszeni do Polski uczeni włoscy to zagorzali katolicy stanowiący rękojmię dla zachowania propapieskiego oblicza uczelni. W Rzymie pamiętano zapewne i o tym, że Zamoyski sam był konwertytą, i o blisko 40 procentach innowierców w Rzeczypospolitej.

Dziwnym trafem Grzymale Zamoyskiemu nie udało się również zwerbować żadnego ze znanych profesorów: a to na przeszkodzie stawał senat wenecki, to znów zainteresowani tłumaczyli się, że są starzy i chorzy, by znieść polskie mrozy (sporo w tym racji, dokuczały one mocno nawet zahartowanym włoskim kondotierom), to znów przekonanym i sposobiącym się do wyjazdu uczonym podwyż-

szano znacznie „salarium". W sumie Batory z Zamoyskim — poza nadaniem Akademii Krakowskiej prepozytury (patronatu) nad probostwem świętego Floriana, dzięki czemu od 1578 roku spływało rocznie do kasy uniwersytetu 400 złotych — niewiele zdziałali w tej dziedzinie w Krakowie. Zahamowali jedynie upadek finansowy Akademii, ale nie zdołali podnieść życia umysłowego. Na szczęście obaj nie zniechęcili się i nie będzie to ostatnia inicjatywa mężów stanu na marniej niż za Jagiellonów kwitnącym w Rzeczypospolitej polu nauki.

Król, potrzebujący wsparcia Kościoła, początkowo dość łatwo pogodził się z niepowodzeniem. Pozostał jednak silny uraz. Po kilku latach legatowi papieskiemu, wytykającemu, że Batory trzyma w swym otoczeniu heretyków, przypomni storpedowanie przez Rzym planu uzdrowienia Akademii Krakowskiej i utworzenia nowej uczelni. „Woleli mieć jednego skuda we Włoszech niż dziesięć w Polsce" — miał powiedzieć z goryczą o rzymskich kardynałach.[26] Być może ma rację Stanisław Łempicki sądząc, że dodatnią stroną nieudanego przedsięwzięcia będzie fama rozchodząca się po całej Europie o królu — mecenasie nauki i jego światłym kanclerzu.

Po świętach Bożego Narodzenia 1578 roku król nie mógł się zdecydować, gdzie jechać. Do Sandomierza czy Lublina? W końcu na „trzeci dzień conclusum, że już do Warszawy".[27] Dzień Nowego Roku 1579 Batory spędził w Niepołomicach; w mieście sejmów walnych widzimy go w święto Oczyszczenia, przed 9 stycznia. Tutaj pocieszył swą obecnością, i nic nadto, królową i wysłał następną porcję instrukcji: między innymi do hetmana wielkiego litewskiego Radziwiłła z podaniem spisu dróg, którymi miały zdążać na Litwę chorągwie koronne. W Warszawie zezwolił też na rozpisanie listów przypowiednich na zaciąg jazdy i piechoty i wreszcie — zdecydował się na wskazanie osoby hetmana wielkiego koronnego. Drugiego lutego został nim mianowany wojewoda podolski Mikołaj Mielecki, wódz, który u schyłku panowania Zygmunta Augusta zdołał wyprowadzić z Mołdawii przyparte do Dniestru przez Turków wojska polskie interweniujące na rzecz hospodara Bogdana IV. Notabene w sprawę tę był wówczas zamieszany i sam wojewoda Stefan Batory — niechętny nowemu hospodarowi. Mielecki, choć nie rozegrał żadnej bitwy, „wielką sławę" sobie zyskał, był dowódcą z dużym autorytetem. Sława ta i opinia o dowódczych umiejętnościach Mieleckiego sprawiła, że Batory w długiej rozmowie opierającego się i zasłaniającego złym zdrowiem wojewodę podolskiego przekonał do przyjęcia buławy i ustalił kwestie zaciągów. Opieranie się Mieleckiego wydaje się pro forma: pilny obserwator dworski ksiądz Piotrowski już przedtem zauważył, że „pan wojewoda podolski (...) jest tu, a widzi mi się, że mu coś wielkiego dadzą, bodaj nie hetmaństwo, dziwna rzecz jako nam teraz zabiegliwie służy..." [28]

Zaraz potem, 3 lutego, król ruszył do Grodna, gdzie, wedle Solikowskiego, zebrał się sejm litewski. W rzeczywistości była to rozszerzona o reprezentantów szlachty rada senatu. Szło o sprawy zaciągów z Litwy i jej wkładu finansowego, nad wyraz zresztą miernego: roczny pobór z olbrzymiego wszak obszaru mógł przynieść tylko 150 tysięcy złotych. Jakby nieco zawstydzeni tym stanem armii i finansów magnaci litewscy zobowiązali się wystawić poczty prywatne i wolontariuszy; liczono ich, chyba z przesadą, na 10 tysięcy żołnierza. Również sejmiki powiatowe poczuły się w obowiązku uchwalić zwołanie pospolitego ruszenia w całym Wielkim Księstwie Litewskim: była to wszak bardziej ich wojna niż Korony.

Choć zapewne istniał ogólny plan wyprawy, w sprawie kierunku uderzenia musieli się wypowiedzieć panowie rada. Nikt już nie poddawał myśli, by dobywać zamki inflanckie — i był to wpływ instrukcji królewskich. Kontrowersje dotyczyły jednak kwestii, na którą twierdzę odcinającą Rosję od Inflant uderzyć: Połock, Wielkie Łuki czy Psków? Jan Zamoyski, wysłuchawszy głosów senatorskich, „wedle starego przysłowia: bierz, co najbliższe, to jest radził iść na Połock, który przed siedemnastu laty Moskwa odebrała Zygmuntowi Augustowi".[29] Bez wątpienia ta propozycja była uzgodniona z Batorym: Zamoyski jako kanclerz reprezentował interesy i zdanie króla.

Aby zmylić Iwana IV koncentrującego swoje siły koła Pskowa, a jednocześnie chronić część Inflant, Batory pchnął pod hetmanem polnym litewskim Krzysztofem Radziwiłłem, zwanym potem Pio-

runem, całą jazdę Litwy — 2250 koni — pod koniec lutego w kierunku Dorpatu. Dywersja początkowo powiodła się — dotknięto krainę ogniem i mieczem, uprowadzono dwa tysiące sztuk bydła — do chwili jednak, kiedy żołnierze Radziwiłła przypomnieli sobie o żołdzie i usłyszeli o olbrzymiej armii rosyjskiej, zbierającej się koło Pskowa. Pociągnęli zatem, wbrew rozkazowi, za swym hetmanem do Wilna na spotkanie z królem, od którego zamyślano wydębić żołd.

Batory był w stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego od 2 marca. Przygotowania osiągały apogeum. W cztery dni po przybyciu do Wilna wydał król uniwersał do stanów koronnych, by wzorem Litwy wystawiły ochotnicze chorągwie; w licznych listach namawiał również magnatów koronnych do wystawienia pocztów. Przynosiło to niezłe rezultaty; na przykład magnat na dorobku z Rusi Czerwonej Stanisław Żółkiewski senior wystawił 12 husarzy, co kosztowało majątek. Z Malborka do Wilna przeniesiono odlewnię armat, mających uzupełnić arsenał w Tykocinie: szło o dwadzieścia jeden dział burzących i dwanaście moździerzy brakujących do zaplanowanego stanu. Batory, można to rzec bez nadmiernej przesady, zajmował się niemal wszystkimi, nieraz drobnymi, sprawami armii. Postępował nie tylko jak strateg, ale i jak oficer. A pomysłowość w tym zakresie miał naprawdę dużą. Oto król poprzez odpowiednie zakupy ujednolica i polepsza jakość broni palnej, usuwa zbędny oręż, np. rohatyny, wprowadzając wszędzie broń ognistą, szable i siekierki. Tu pojawiają się pierwsze w Europie gotowe pociski z prymitywną spłonką, a sam król miał ponoć wynaleźć kule zapalające, tak istotne przy zdobywaniu drewnianych umocnień, choć zdania, kto był rzeczywistym autorem tego wynalazku, są podzielone. Odlew armat nie może odbywać się bez dobrego hutnictwa; Batory przyczynia się do jego rozwoju w postaci tak zwanych hamrów. Przekształca też lekką jazdę, husarię, w ciężkozbrojną siłę uderzeniową — ówczesny taran czy raczej czołgi — rozbijające i przełamujące w pędzie szyki nieprzyjaciela. Ustanawia siedmiu administratorów do spraw zaopatrzenia w żywność i przestrzegania cen urzędowych oraz namiastkę korpusu medycznego w osobach chirurgów Bartosza Mayera, Hen-



1. Stefan Batory jako książę Siedmiogrodu



2. Stefan Batory



3. Anna Jagiellonka

4. Karta tytułowa *Odprawy posłów greckich* Jana Kochanowskiego

Odpráwá Posłow Greckich.

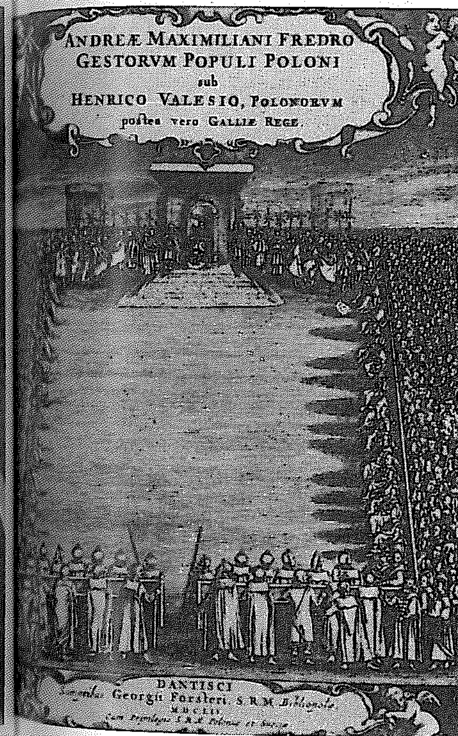
IANA · KOCHANOVVSKIEGO.

Podána ná Theátrum przed Krolem Jego Mśćią y Krolową Jey Mśćią/ w Jázdowie nád Wárszáwą. Dniá dwunastego Styczniá/ Roku Páńskiego. M. D. L X X Viij.

Ná Feśćie v Jego Mśći Páná Podkánclerzego Koronnego.



W Wárszáwie/ M. D. L X X Viij.



5. Sejm polski w XVI w.

6. Jan Zamoyski



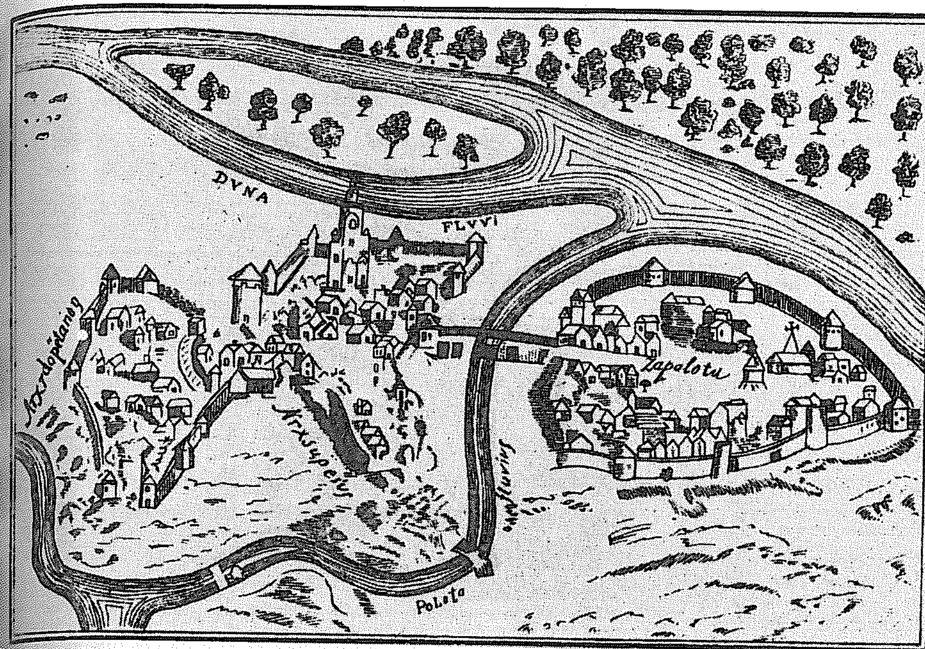


7. Medal Stefana Batorego



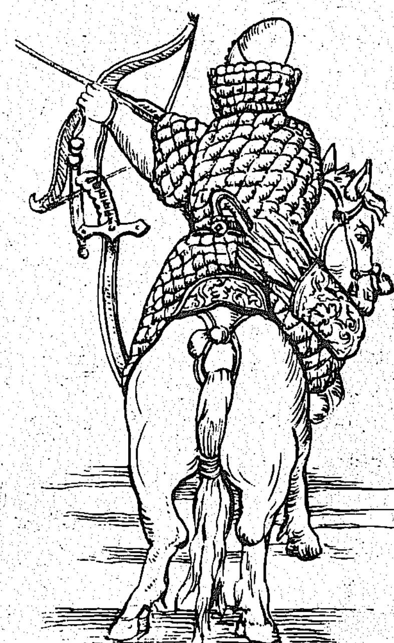
8. Typy polskie i węgierskie

9. Mieszczanie gdańscy

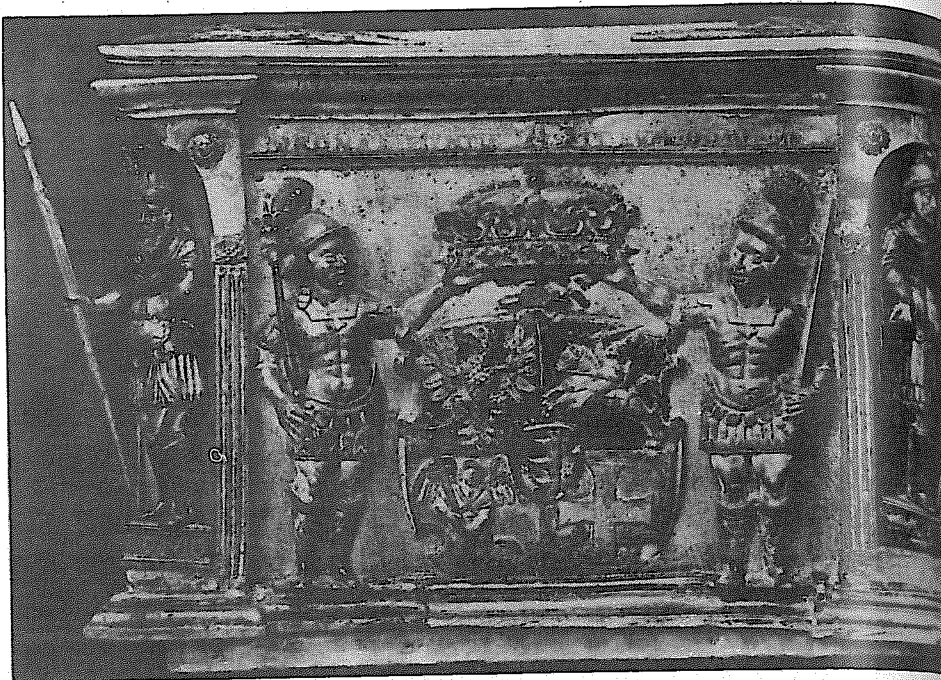


10. Plan Połocka z 1579 r.

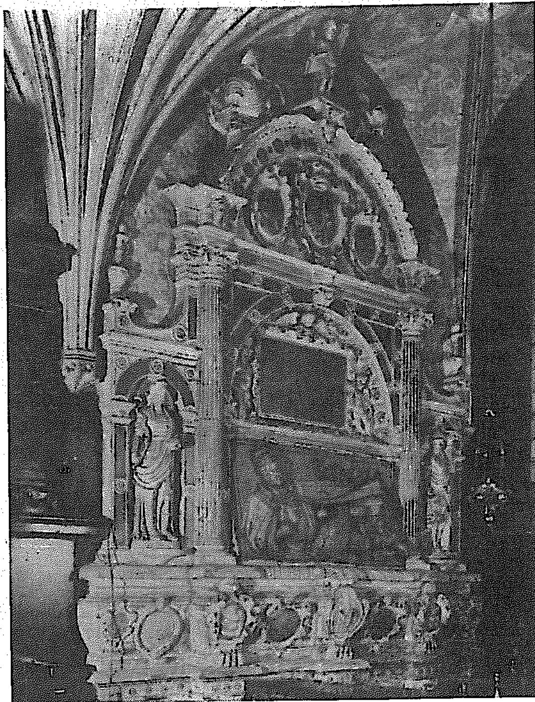




11. Żołnierze moskiewscy



12. Trumna Stefana Batorego



13. Nagrobek Stefana Batorego

ryka Hellera i Michała Węgra. Tworzy służbę kartograficzną będącą w Polsce, odwrotnie niż na Zachodzie, w zgrzebnych powijakach. W 1526 roku wydana została wprawdzie szczegółowa mapa Bernarda Wapowskiego, ale nieszczęściem zaginęła, tak że już za czasów Batorego nic o niej nie wiedziano, choć na Wapowskim opierali się inni. Na początek Batory angażuje do wykonania mapy Rzeczypospolitej i terenów sąsiednich sekretarza Macieja Strubicza; ten ukończył ją pod koniec 1579 roku, przy czym nadawała się ona ze względu na skalę i skromne informacje co najwyżej do planowania operacyjnego i oczywiście strategicznego. Potem skład kartografów powiększy się o nowe nazwiska — Stanisława Pachołowieckiego, Piotra Frankusa, którzy „rejestrować" będą tereny podczas wyprawy, oraz dworzanina Sulimowskiego, Stanisława Sarnickiego i twórcę mapy Krymu, Marcina Broniowskiego. Nie bez kozery zatem Stefan Batory zostanie uznany za kreatora polskiej kartografii, choć podówczas do doskonałości było jej jeszcze bardzo daleko.

Z imieniem Stefana Batorego jest też związana nierozdzielnie sprawa utworzenia Akademii Wileńskiej, pierwszej uczelni wyższej we wschodniej Europie. Litwa nie była najwdzięczniejszą dla katolicyzmu i papieża krainą: religijność ludu niewiele miała wspólnego z katolicyzmem, koło wsi szumiały święte gaje z równie świętymi zaskrońcami i trzymanymi po domach „wężami", składano ofiary ze zwierząt, a chrzest był dla wieśniaków litewskich i białoruskich czynnością rytualną raczej niż wyznaniem wiary. Natomiast wśród szlachty, a nawet księży, „zastraszająco" szerzyły się wyznania reformowane. Jak bodaj nigdzie w Rzeczypospolitej na Litwie widać było, że to moda i presja środowiska, a nie głębsze zainteresowania intelektualne, pociągające prawem do interpretacji Biblii, wyprowadzają herbowych z kościołów do zborów. Oto od chwili przyjęcia w 1533 roku kalwinizmu przez brata późniejszej królowej Barbary I, Mikołaja „Czarnego" Radziwiłła, czołowe rody litewskie, a w ślad za nimi szlachta, przechodziły na to wyznanie. Kalwini „są to szlachta, wyście kupcami", luteranie — twierdzono nie bez racji w anonimowej *Relacji* wydanej w Wilnie. Mimo to podsędek nowogródzki, ewangelik, Teodor Jewłaszewski po pobycie w Wilnie w 1565 roku (?)

zauważył: „naonczas różności wiary nie czyniły żadnego poróżnienia w przyjacielskiej miłości. I dlategoż samego on wieku w stosunku do teraźniejszego (...) złotym mi się być wydawał."[30] Rzeczywiście: w początkach XVII wieku, kiedy podsędek wspominał na kartach *Pamiętnika*, pokój religijny ulotnił się, w czym była spora zasługa kontrreformacji. Do spotkania przyszłego papieża bawiącego u króla Stefana w Wilnie (?!) i ewangelika (co opisał podsedek) już by nie doszło.

Kościół katolicki, dotąd jeden z głównych animatorów nauki i kultury, dzięki czemu mógł tak dobrze sprawować przez wieki rząd dusz, czuł się na Litwie niepewnie. „Nie potrzeba nam Indyi wschodnich i zachodnich, prawdziwymi Indyjami jest Litwa i północ" — tak porównywał z typową dlań kaznodziejską przesadą mieszkańców puszczańskiej Litwy z rdzennymi „dzikusami" odkrytej Ameryki ksiądz Piotr Skarga.[31] Wybawieniem „dzikiej" Litwy z grzechu „złych" wiar i ciemnoty miało być utworzenie w Wilnie Kolegium Jezuickiego. Starania trwały od 1565 roku i, dzięki wytężonej działalności biskupa wileńskiego Waleriana Protaszewicza, Kolegium Jezuickie w sierpniu 1570 roku z rektorem Stanisławem Warszewickim rozpoczęło pracę.

Celem głównym było utworzenie Akademii. Widzieliśmy już po zabiegach Zamoyskiego i króla w sprawie utworzenia Kolegium Królewskiego w Krakowie, że nie była to rzecz prosta. Po wstąpieniu Batorego na tron biskup Protaszewicz, starszy już, „chory na chiragrę i podagrę", Jerzy Radziwiłł i Stanisław Rozdrażewski rozpoczęli poprzez księdza Solikowskiego starania u króla. Naciskał też na Batorego kasztelan wileński, sprowadzony z meandrów herezji luterańskiej na drogę prawdy katolickiej — to oczywiście opinia Kościoła — Jan Chodkiewicz. Ale z drugiej strony barykady wyznaniowej stali za kanclerzem litewskim Mikołajem „Rudym" Radziwiłłem „heretycy" widzący — i mieli rację — w nowej akademii ostoję wojującego papizmu.

Wedle Solikowskiego, będącego blisko tych spraw i żywo zainteresowanego odbudową potęgi Kościoła, król nie palił się do podpisania aktu utworzenia uniwersytetu w Wilnie. Uczynił to skutkiem kilkuletniej presji biskupa Protaszewicza i katolickich możnowładców litewskich: „tak zniewolony król polecił Solikowskiemu napisać przywilej na Akademię dla Kollegium Ojców Towarzystwa Jezusowego".[32] Stało się to 7 lipca 1578 roku we Lwowie i zostało potwierdzone bullą papieską 29 października tegoż roku. Z relacji Solikowskiego, kapelana dworu, przebija jakaś dziwna niechęć do Batorego, katolika, z którego Kościół powinien być zadowolony, jeśli nie dumny, co niebawem zobaczymy. Może rzecz w tym, że Solikowski upatrywał wroga w każdym, kto nie okazywał nadmiernej gorliwości w padaniu na kolana przed obrazami świętych. A przecież Batory nie mógł, jak Solikowski, myśleć kategoriami Kościoła, kierował się racjami państwa, pełen obaw, jak nową akademię przyjmą litewscy innowiercy. I tak wykazał sporo odwagi i zamiłowania do ryzyka, godząc się na akt utworzenia katolickiej uczelni tuż przed wyprawą z ziem Litwy na Rosję.

Obawy króla nie były płonne: kanclerz litewski nie chciał na akcie przyłożyć pieczęci, tak jak nakazywało prawo. „Rzecz zaczęła iść na zwłokę. Jedni bowiem mówili, że: założenie kollegi i Akademii Jezuickiej przeciwi się wolnościom i przywilejom, drudzy: że jest uciskiem dla reformowanego wyznania." Rzecz działa się w Wilnie i miała wysoką temperaturę małego dramatu. Taka argumentacja podziałała bowiem na króla niczym zbyt gorący prysznic: posłał do Mikołaja Radziwiłła sekretarza Mikołaja Jasieńskiego, Litwina i katolika, „aby spytał wojewody wileńskiego Radziwiłła [„Rudego" — J.B.], skąd owa wolność, która się nie chce uczyć i umieć, i że się dziwi król, skąd mają owe przywileje żyć w barbarzyństwie, w niewiadomości Boga, cnoty i dobrych obyczajów, a nigdy nie poznać ani wiary Pańskiej, ani wyzwolonych nauk".[33] W słowach Batorego kryła się nuta złośliwości: listy króla do Radziwiłła sekretarze królewscy musieli tłumaczyć na ruski, nie ze względu na uczucia „patriotyczne" wojewody, gdyż o takich w końcu XVI wieku trudno mówić, ile na nieznajomość podstawowego języka Europy i Rzeczypospolitej, łaciny. Nie znał go zresztą i jego zastępca, podkanclerzy litewski Eustachy Wołłowicz. Oto bowiem chociaż szlachta litewska była prawie zu-

pełnie spolonizowana — „gente Lituani, natione Polonii" jak twierdziła o sobie [34] — to jeszcze do niedawna wyznawała:

Polsza kwitniet łacinoju,
Litwa kwitniet ruszczinoju,
Bez toj w Polsze nie priebudiesz,
Bez siej w Litwie błaznom budiesz [35]

— napisał anonimowy strażnik odrębności litewskich na ruskim rękopisie I Statutu Litewskiego w 1529 roku.

Perora króla, wygłoszona ustami Jasieńskiego, mogła co najwyżej mocniej urazić dumnego kanclerza: ani myślał przyłożyć pieczęci na dokumencie. Batory zatem nakazał wołać podkanclerzego. Wołłowicz przyszedł, ale i on wzdragał się przed przyłożeniem pieczęci. Wtedy Batory objawił — bodaj po raz pierwszy przed zdziwionymi senatorami — całą swą porywczość i skłonność do niepatyczkowania się z opornymi:

„Niech przyłoży pieczęć, jeśli chce, a jeśli nie chce, niech odda pieczęć, to się i bez niego zapieczętuje, ale już wtedy pieczęci na powrót nie otrzyma" — miał zawołać król.

Jak twierdzi Solikowski, „przerażony i zawstydzony podkanclerzy spełnił królewską wolę", a Batory przypomniał sobie sposób (jak się okaże, zawodny) na opornych senatorów.

Ksiądz Stanisław Bednarski w swej krótkiej monografii o narodzinach Akademii twierdzi, że „król Stefan popierał myśl założenia uniwersytetu w Wilnie całą duszą".[36] Być może ksiądz znał tajniki duszy królewskiej; z relacji Solikowskiego i długich starań biskupa Protaszewicza wcale to nie wynika. Podobnie jak w przypadku utworzenia Trybunału Koronnego, Batory po pewnych wahaniach zgodził się na to, co zmierzało do rozwiązania. Duża w tym zasługa biskupa Protaszewicza, który wydębił najpierw zgodę prowincjała Towarzystwa Jezusowego, Wawrzyńca Maggio, a następnie zdołał pozyskać dla swych planów elekcyjnego króla.

W niczym nie umiejsza to ostatecznej decyzji i aktu nadania podpisanego przez Batorego. Bez tego pierwsza uczelnia od Wisły po

Ural nie mogłaby zaistnieć. A rzecz się działa przecież na Litwie, tej, która wysuwała kandydaturę Iwana IV, a nade wszystko długo i wytrwale odpychała i ignorowała „Siedmiogrodzianina". Król zrobił dla Litwy więcej, niż można by się po tamtych niemiłych dlań zdarzeniach spodziewać, choć jednocześnie trudno nie zauważyć, że był to prztyczek oddany „reformowanym" wielmożom i szlachcie. Czyn doskonale przy tym mieszczący się w batoriańskim planie oparcia się na Kościele katolickim, objawiania swej siły, wzmocnienia władzy przez ograniczanie pozycji niewygodnych wielmożów.

Akademia z trzema wydziałami — teologii, nauk wyzwolonych i filozofii — zaczęła funkcjonować nie najgorzej dzięki pieniądzom biskupa Protaszewicza, wynajęciu dużej kamienicy przy ulicy Bernardyńskiej na potrzeby Kolegium i Akademii oraz zwolnieniu przez Batorego z wszelkich ciężarów podatkowych. Król przy okazji upiekł dwie pieczenie w jednym ogniu: dotychczasowego rektora Kolegium, wspaniałego tłumacza Biblii, księdza Jakuba Wujka, przeniósł do Kolozsváru, gdzie na czele tamtejszych jezuitów, początkowo z dawnego opactwa benedyktynów w Colosmonostra, miał przywracać w Siedmiogrodzie katolicyzm. Pierwszym rektorem uniwersytetu wileńskiego został Piotr Skarga — już wówczas mocniej zajęty szerzeniem idei Kościoła katolickiego niż sprawami Akademii, które za niego prowadził jezuita z Rygi, Paweł Boksza.

Wiosna 1579 roku w Wilnie była bardzo zimna; przymrozki trwały aż do dnia świętego Jana, 24 czerwca. Jakby nie dość było zmartwień, podczas przygotowań ogromnej wyprawy na wschód trawy niemal nie rosły; brakowało paszy dla koni. Ale król był dobrej myśli: konfiguracje polityczne układały się znakomicie. „Die 2 Mai wojsko tureckie przeciw Persom z Konstantynopola i inszych prowincji się ruszyło" — pisał poseł polski Jan Drohojowski znad Bosforu.[37] Również sułtan wykorzystywał zaangażowanie Rzeczypospolitej na wschodzie. Od południowego wschodu nic Polsce nie groziło, gdyż orda białogrodzka, dzięki pertraktacjom Michała Wiśniowieckiego, zgodziła się wtargnąć w ziemie moskiewskie. Chan krymski natomiast za olbrzymie upominki od sułtana w wysokości 200 tysięcy

złotych machnął ręką na własne obietnice dane królowi, że „z drugiej strony do Moskwy wpadnie"[38] i na marne kilkadziesiąt tysięcy złotych ofiarowane mu przez Batorego. Pociągnął z padyszachem do odległej Persji. Ale i tak Polacy mieli się z czego cieszyć, gdyż Tatarzy znani byli z tego, że łatwo mylili wrogów i doraźnych przyjaciół, przymierza i szlaki błyskawicznych przemarszów. Zapanować nad dwoma ordami Polakom i Litwinom nie byłoby łatwo. A byli jeszcze Tatarzy litewscy, tytułujący królów polskich „białymi chanami" (kolor ten był symbolem potęgi) — na szczęście wierni władcom polsko-litewskim, cieszący się znaczną życzliwością i zaufaniem ostatnich Jagiellonów.

Wreszcie 26 czerwca 1579 roku król wysłał z Wilna do Moskwy posła Bazylego Łopacińskiego z memoriałem dla hosudara zawierającym akt wypowiedzenia wojny. Instrukcja ustna, jakiej udzielił gońcowi, była krótka. „Masz uważać, jak wielki kniaź będzie się pytać o zdrowie nasze, powiesz, że jesteśmy przy wojsku naszym — a pilnie masz baczyć, co mówić do ciebie będzie tak wielki kniaź, jak i bojarowie, i to wszystko spisać dokładnie" — oto cała instrukcja.[39]

Memoriał do hosudara był znacznie obszerniejszy. Batory zawarł tam, nie odbiegający od prawdy, cokolwiek przerażający obraz postępków cara, który uciekał się do zbrodni, podstępów, kłamstw, przeinaczeń, łamania praw narodów. Król przestał prosić o traktat; zapowiadał wielkiemu księciu, że „wszystkich szkód i krwi rozlania poddanych naszych chcemy za pomocą Bożą pozyskować. Krwi poddanych twych, ludzi chrześcijańskich, nie pragniemy..."[40]

Ostatnie zdanie było raczej skierowane do Rosjan niż ich władcy, choć argumentem „rozlewania krwi chrześcijańskiej" przez Batorego Iwan będzie się posługiwać bardzo często. W istocie memoriał zawierał wypowiedzenie wojny. Poseł króla Łopaciński uczynił to teatralnym gestem, wzniósłszy przed carem obnażoną szablę, co wywołało strach, a potem złość Iwana. Łopaciński został uwięziony.

IV. ŚWIR

W cztery dni po napisaniu memoriału król ruszył z Wilna do wyznaczonego przezeń miejsca koncentracji wojsk, do Świra. Tutaj oczekiwała na niego piechota i jazda siedmiogrodzka przysłana przez Krzysztofa Batorego i część wojsk litewskich. Chorągwie zjeżdżały się opieszale i przypominały zbieranie podatków, co wywoływało rozdrażnienie hetmana Mieleckiego. Zwarzone humory poprawił nieco przegląd części jazdy litewskiej: „nic nad nią nie było piękniejszego, a szczególniej odznaczały się hufce książąt Radziwiłłów i Jana Kiszki" — odnotował Heidenstein.

W Świrze odbyła się również narada wojenna senatorów i wyższych dowódców pod przewodem Batorego. Tu miała zapaść ostateczna decyzja co do kierunku głównego uderzenia. Litwini radzili iść na Psków wskazując, że Moskale, nie spodziewając się aż tak głębokiego i ryzykownego uderzenia, nie zabezpieczyli miasta, nie naprawili murów, nie przygotowali załogi, prowiantu etc. Batory jednak uważał ten plan za zbyt ryzykowny: zapuszczenie się dużej masy wojsk tak daleko od granic, pozostawienie za sobą tylu warowni nieprzyjacielskich, widmo fatalnego odwrotu na wypadek niepowodzenia (król nie obawiał się snuć i takich wizji, nie czarował rzeczywistości) sprawiało, że, podług niego, należało zaatakować cel bliższy. Tym celem był Połock nad Dźwiną, „brama do Inflant i Litwy".[1]

Batory wyłuszczył przy tym racje, które i teraz mogą uderzać nas logiką i fachowością stratega: zdobycie Połocka odetnie siły rosyjskie od części Inflant i Litwy, przywróci kontrolę nad Dźwiną i handel rzeczny, będzie miało olbrzymi wpływ na umysły szlachty, gdyż niedawno twierdza ta odpadła od Rzeczypospolitej. W wypadku niepowodzenia — granica była bardzo blisko.

Król zatem rezygnował z wielkiego planu, który snuł u progu 1578 roku przed nuncjuszem Laureo — uderzenia na Moskwę i Smoleńsk — na rzecz sięgnięcia po mniejszą stawkę. Chyba zaważyła tu niechęć do rzucania wszystkiego na jedną kartę, chociaż niektórzy historycy sądzą, że — wobec olbrzymiej przewagi polskiej w polu

— król mógł ruszyć na Moskwę i doprowadzić do walnej bitwy, która zadecydowałaby o wszystkim.

Rada senatorów i dowódców przychyliła się do zdania króla. Teraz Batory zadbał o rzecz być może równie ważną jak bombardy, arkebuzy i szable: o uzbrojenie żołnierzy w świadomość sensu i celów wojny. Dwunastego lipca 1579 roku z „latającej drukarni" Walentego Łapki wyszedł duży manifest pisany po łacinie, kierowany do wszystkich narodów. Aby zrozumieli go również żołnierze idący na Połock, manifest przetłumaczono na polski, węgierski i niemiecki.

Był on napisany świetnie — i żołnierze przekonali się, że nie idzie tu o chęć rewanżu i nieodłączne od wojny łupy, lecz o wojnę sprawiedliwą, prowadzoną w imię obrony Rzeczypospolitej, której granice Iwan podstępem, niemal bezustannie, przesuwał na zachód. Batory zobowiązywał rycerstwo do wierności jemu, królowi, i chrześcijańskim ideałom, zakazując wszelkich gwałtów i odwetu wobec ludności rosyjskiej: okrutnicy mogli się spodziewać surowej kary, mężni — królewskiej nagrody.

Ten manifest możemy uznać za początek pracy ideologicznej w wojsku, które dotąd na ogół podrywano do walki hasłami w rodzaju „Bóg z nami". Król, usiłując rzetelnie wytłumaczyć sens wojny, zapoczątkował jednak rzecz niebezpieczną, która później sprowadzi się do przerażającej niekiedy manipulacji świadomością młodych, podatnych jak wosk żołnierzy.

Szesnastego lipca hetman Mielecki zebrał rotmistrzów, wygłosił stosowną mowę i nakazał odczytać przed chorągwiami artykuły wojskowe, by towarzysze dobrze je zapamiętali, a nade wszystko przestrzegali. Tego dnia i następnego król dokonał ponownego przeglądu, w którym znów najlepiej wypadły wspaniale wyposażone poczty możnych litewskich. Na wieść o zbliżającej się ponoć ośmiotysięcznej armii strzelców rosyjskich wzmocnionej dwustoma bojarami, mającej osłaniać Połock, Batory pchnął przodem część jazdy litewskiej pod Radziwiłłami, jazdę węgierską i kilka rot piechoty, nad którymi stanął Kasper Bekiesz. Oddziały te miały zablokować Połock i nie dopuścić wojsk rosyjskich do twierdzy. Za Bekieszem potoczyła się

powoli reszta z olbrzymiej, jak na europejskie ówczesne warunki, 56-tysięcznej armii królewskiej.

Wojsko szło w dwóch kolumnach: w lewej przez Postawy i Głębokie, gdzie znajdował się sprzęt ciężki i tabor, posuwał się król; nad prawą, osłaniającą siły główne od ewentualnych wypadów z zamków Krasne, Susza i Turowla, obsadzonych rosyjskimi załogami, stał Mielecki. Maszerowano ociężale: rok był wyjątkowo podły, bardzo zimną wiosnę zastąpiło deszczowe lato. Kilkanaście dni deszczów w lipcu zmieniło drogi w trzęsawiska; koła wozów z ciężkimi działami zapadały się tak często, że „król od własnych powozów musiał posyłać konie, ażeby przyśpieszyć wyprawę". Wreszcie w początkach sierpnia przemoczone do cna wojsko dobrnęło do Dzisny. Za nią już było widać dużą rzekę.

Miny żołnierzy musiały być skwaszone: wielką wagę wówczas przywiązywano do łaski niebios, między innymi w postaci objawionej pogody. Ale i tę okoliczność umiał król obrócić na swoją stronę. Fatalna deszczowa aura, która „zaszła w początkach wyprawy, zbijała milcząco zdanie tych, co radzili daleką drogą ruszyć na Psków". Pozwalało to rycerstwu i senatorom inaczej patrzeć na lejące z nieba potoki.

W Dzisnej leżącej nad Dźwiną, gdzie Iwan usiłował ustanowić granicę, hetman Mielecki 5 sierpnia urządził przed królem „popis" wszystkich niemal chorągwi i rot defilujących pod rozwiniętymi sztandarami. Pośród hałaśliwego dudnienia bębnów, świergotania piszczałek, ostrych dźwięków trąb przemarsz miał wypaść doskonale. Ale czujne oko Batorego dostrzegło „rzeczy błazeńskie", „maskaradę" w uzbrojeniu pancernej jazdy polskiej: ciężkie kulbaki tureckie, pod którymi klekotały jakieś manierki, wiaderka, osełki i młoty do rozbijania pełnych zbroi płytowych, powiewające skóry lwie i tygrysie, bardziej dla ozdoby niż ochrony. Patrzał król na husarza, który na uboczu drogi daremnie usiłował pokonać wysoką kulbakę i owe „przeszkadzajki" podczas wspinaczki na siodło mocno znarowionego konia. To wtedy, zdaje się, zrodziła się w Batorym myśl zmiany i całkowitego ujednolicenia uzbrojenia husarii.

Hetman Mielecki był bardziej kontent: twierdził, że „wojska takie-

go jak obecne, to jest tak właściwie że względów strategicznych dobranego i tak dobrze opatrzonego dotąd jeszcze nie widział". Dla potomności utrwalił to Heidenstein w *Pamiętnikach.*

Po Litwinach i koroniarzach zaprezentowało się wojsko księcia kurlandzkiego. Węgrów Batory wysłał przodem. Niejako przy okazji król sfinalizował sprawę nadania Kettlerowi uroczystej inwestytury: książę ślubował wierność i posłuszeństwo Batoremu, a ten brał go pod swą opiekę i obronę. Notabene akt ten nie wzbudził entuzjazmu senatorów koronnych, którzy będąc w mniejszości naprzeciw senatorów litewskich, nakłaniali króla, by rzecz odłożył do najbliższego sejmu.

Co robił w tym czasie, w lipcu, car? Wieści biegnące z Rzeczypospolitej zmusiły go do demokratycznych, jak na jego wyobrażenia, działań: zwołania szerszej rady bojarów i duchowieństwa. Różnica w naradach władców była znamienna, mimo że Batory z usposobienia i przekonań demokratą nie był: król wysłuchiwał rad senatorów, wydawał manifesty tłumaczące cel wojny, natomiast Iwan oświadczył zebranym o bezprzykładnych zbrojeniach w Polsce i Litwie, co oznaczać miało, że nadeszła „chwila wielkiego rozlewu krwi".[2] Następnie hosudar pchnął swe wojska na zachód wzdłuż Wołgi, Dniepru, Donu i Dźwiny, obsadził załogami osiemdziesiąt najważniejszych zamków granicznych, a sam w lipcu znalazł się w Nowogrodzie Wielkim, drugim po Pskowie miejscu koncentracji olbrzymiej armii. Miało się przy nim znajdować 40 tysięcy gwardii, złożonej ze strzelców, kozaków, dworzan.

Była to siła znaczna, albowiem pomnożona o wielkie pułki rosyjskie napływające do obu miejsc koncentracji. Mimo to Iwan nie odważył się podjąć działań zaczepnych; nie próbował nawet osłonić granic od strony Połocka czy Wielkich Łuków. Ośmiotysięczna armia strzelców, którą jak wiemy, w połowie lipca wysłał w stronę Połocka, to było za dużo na podjazd, a za mało na armię. Historyk rosyjski sądził, że zachowanie i plan Iwana wynikały z głębokiej niewiary w swych dowódców — „zaufanie jest tylko własnością czystego sumienia"[3] — sentencjonalnie westchnął i zapewne miał w części rację. Głównym jednak powodem wydaje się lęk Iwana przed spotkaniem z wojskami królewskimi w polu; obawa skazująca go na bierność, defensywę, stawianie tak zwanych ostrożków, małych zameczków otoczonych zaostrzonymi balami, próby osaczenia nimi przeciwnika, blokowanie — ale nie na otwartą walkę.

Miał jednak car Kazania i Astrachania pod sobą Tatarów, nie lękających się starcia, bo umiejących sprytnym manewrem odskoczyć od przeciwnika w wypadku klęski. Do Dzisnej nadbiegły wieści o dużym zagonie tatarskim pędzącym spod Pskowa na Dyneburg i Birże. Car, uderzając Tatarami przez Inflanty na Litwę, liczył, że dywersja ta spowoduje zmianę planów Batorego, a przynajmniej rozszczepi siły królewskie zmierzające pod Połock. Ale wypuszczenie na zachód ordyńców było niekonsekwentne: wprawdzie przeszli oni Dźwinę, zaczęli sumiennie rabować Kurlandię, a następnie ziemie Krzysztofa Radziwiłła wokół Birż, rozproszyli nikłe siły kurlandzkie i litewskie, lecz wszystko to było czynione na sposób tatarski, pośpiesznie, zbyt małymi siłami. Na dodatek właściwie bezplanowo, raczej jako odwet za rajdy sił królewskich. Batory również nie zasypiał gruszek w popiele i wysłał naprzeciw kasztelana żmudzkiego Mikołaja Talwosza, by zebrał miejscowe siły i odparł napaść. Stało się dla Iwana jasne, że próba rozszczepienia sił królewskich nie powiedzie się; nim Talwosz dotarł w okolice Birż, Tatarzy na rozkaz hosudara zawrócili.

Król posłużył się podobną bronią co Iwan, nakazując Maciejowi Dembińskiemu szarpać Rosjan w Inflantach, a jeśli się uda, to w głębi państwa rosyjskiego. Dembiński znał się na walce podjazdowej i dał się we znaki Rosjanom odcinając dowóz żywności, wygrywając potyczki i zapuszczając się aż pod Psków. Tym samym osłaniał kierunek głównego uderzenia od północy. Natomiast na południu król ruszył starostę orszańskiego Filona Kmitę Czarnobylskiego dowodzącego kilkoma rotami zaciężnymi. Miał on strzec głównych sił od strony Smoleńska. Rozmach działań i przestrzeń operacyjna były wielkie; już u progu właściwego oblężenia i wojny obejmowały ziemie od górnego Dniepru po Inflanty ocierając się niemal o Morze Bałtyckie. Liczba użytych wojsk z obu stron zapierała ówczesnym dech w piersiach.

W ślad za strażą przednią główne siły polsko-litewsko-węgiersko-niemieckie zaczęły przeprawiać się przez Dźwinę pod Dzisną po znanym nam spod Gdańska moście Wedla rozłożonym w trzy godziny i przeć w kierunku Połocka.

Działo się tak przy niemal zupełnej bierności rosyjskich żołnierzy.

Część piąta

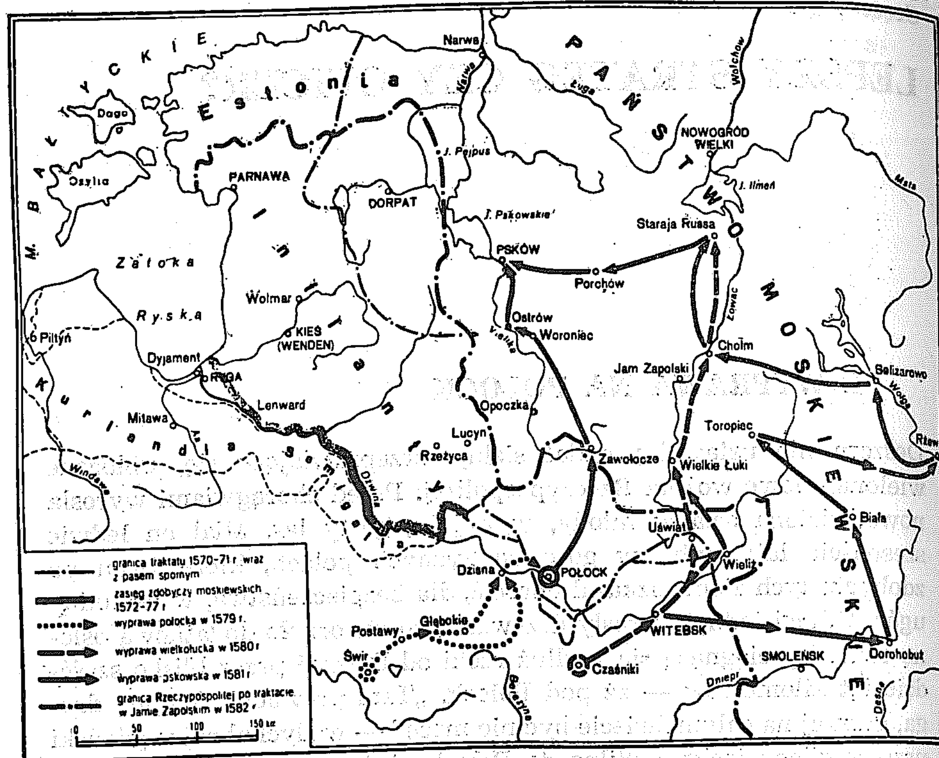
LEPSZY STRATEG CZY OFICER?

I. WYPRAWA NA POŁOCK

Deszcze nie ustawały; nadal siekły przeprawiające się, ubłocone wielonarodowe wojska Rzeczypospolitej. Przed chorągwiami wyrosła nowa, zielona ściana: młody, wybujały, gęsty las. Miał on ledwie szesnaście lat; wybił w górę na żyznych polach, które Iwan po zdobyciu tych ziem rozkazał obrócić, dla bezpieczeństwa, w bezludny ugór. Odłogi jednak zarosły drzewami, co stworzyło dodatkową osłonę twierdzy ciągnącą się wzdłuż rzeki od Dzisnej przez blisko sześćdziesiąt kilometrów — aż pod Połock. „Tam prowadzi okropna droga, gorszej na całym świecie być nie może" — wzdychał rajca gdański przebywający trakt z Wilna do Połocka już w czasach bardziej pokojowych.[1]

Ale żołnierze oczywiście poradzili sobie z błotem i zaroślami: idąca przodem piechota węgierska, wycinając toporami drzewa, mościła drogę sunącej powoli armii. Towarzyszył im szczególny, aż przerażający widok: trupy polskie i litewskie przywiązane do belek i spławiane w Połocku Dźwiną, gwoli przestrodze maszerującym oddziałom królewskim. Taki los zdawali się obiecywać im obrońcy twierdzy.

Widok ten miast straszyć mobilizował żołnierzy: lekkie chorągwie idące w przodzie szybko rozpoczęły oblężenie słabych zameczków obsadzonych załogami rosyjskimi w rejonie Połocka. Już 23 lipca padły dzięki Kozakom Koziany, a w osiem dni później zajęto dość silne Krasne leżące na wzgórku na południe od głównej twierdzy. Krasne



Wyprawy Stefana Batorego na Moskwę (1579—1582)

opanował nocą Franciszek Sak z żołnierzami za sprawą drabinki przystawionej w ciemnościach do murów. Wreszcie 4 sierpnia żądni łupów i walki Litwini i Węgrzy otarłszy się ledwie o Połock, odbili na północny wschód, oblegli znienacka, zdobyli i spalili Sitno, chronione wodami Połoty.

Wojskom królewskim mogła jedynie bezpośrednio zagrażać silna załoga Sokoła — twierdzy leżącej w równej odległości od Połocka i Dzisnej.

Król jeszcze w Dzisnej zastanawiał się z Mieleckim, czy wpierw nie należałoby zdobyć Sokoła: dostrzegał bowiem niebezpieczeństwo nie

tyle dla głównych sił armii, ile obawiał się przecinania przez załogę Sokoła szlaków dowozu żywności. Po namyśle jednak nie zdecydował się na rozpraszanie sił i postanowił rozprawić się z zamkiem sokolskim po zdobyciu Połocka. Poprzedzany przez Mieleckiego z doborowym hufcem ruszył wyrąbanym przez piechotę węgierską traktem na główną twierdzę. W drodze spędził trzy noce, zupełnie nie przywiązując wagi do wygód — ku zdumieniu i podziwowi otoczenia — na gałązkach sośniny z siodłem pod głową. Tempo marszu nie było imponujące: 20 kilometrów dziennie. Przyczyną nie była królewska flegma, ale deszcze, które nadal lały na skisłą, rozdeptaną drogę.

Jedenastego sierpnia król był wreszcie pod Połockiem. Twierdza musiała wzbudzić jego szacunek: to właśnie historyk Batorego zauważy, że „Połock, dzięki szczęśliwemu położeniu nad Dźwiną [u której ujścia leżał port w Rydze — J.B.], do takich przyszedł dostatków, że swymi bogactwy zaćmił zawet stolicę Litwy, Wilno". Uwagę króla musiało przykuć położenie twierdzy oblewanej wodami Dźwiny i niedużej rzeczki Połoty oraz dwa zamki — większy, górny, stojący na urwistym wzgórzu i mniejszy, zwany Ostrogiem Strzeleckim, na pagórku, oba sprzęgnięte mostem. Mniejszy zamek ochraniał miasto zwane Zapołociem. Wszystko to było okolone ostrokołem z drewnianych bali oblepionych gliną, wałem obłożonym kamieniami, przegrodzone fosą, obsadzone 6-tysięczną załogą przywiedzioną tu z głębi Rosji i mającą silną artylerię.

Który z nich najpierw należało dobywać?

Nim król przystąpił do zastanowienia się wespół z senatorami nad planem oblężenia, wysłał spod Połocka uniwersał do całej ludności ziem moskiewskich. Bodaj po raz pierwszy w tej części Europy monarcha zwracał się bezpośrednio do ludu, a nie jego pana, objaśniając przyczyny wojny wywołanej przez wiarołomnego Iwana i obiecując „wszystkim tym, którzy się wojskom naszym nie przeciwiąc, dobrowolnie się pod łaskę i panowanie nasze poddadzą z zamki, miasty i pomiesty swymi (...) po miejscach swych nieporuszenie zachowani będą".[2] Oczywiście list celował przede wszystkim w połoczan; był jednak czymś więcej niż tradycyjnym, podczas każdej niemal wojny, wezwaniem do poddania się.

Niemniej załoga nie kwapiła się do rozmów, do bitwy pod murami miasta, jeszcze przed przybyciem króla, również nie: Moskale zrejterowali na widok straży przedniej — chorągwi Mikołaja Radziwiłła i Węgrów Bekiesza. Batory podczas narady twierdził, że należy wysiłek wojenny skupić na zdobyciu zamku wyższego panującego nad Strzeleckim; zajęcie tegoż ostatniego niewiele by przyniosło — dowodzi król. Bekiesz odwrotnie: był za szturmem Zapołocia, mając głównie na uwadze łatwość dostępu przez ledwie sięgającą kolan Połotę i pognębienie moralne przeciwnika, który utraciłby jeden z zamków. Zamoyski stanął za królem „sam jeden", jak podkreślił podległy mu kronikarz, znalazłszy ponoć znakomite miejsce do podejścia i ataku na górny zamek: do dyskusji chciał wmieszać się hetman Mielecki i inni senatorowie, gdy nieoczekiwanie samodzielne działania niezbyt zdyscyplinowanych żołnierzy przerwały „zastanawienie" i zadecydowały o kierunku operacji.

Oto bowiem piechota niemiecka bez rozkazu przechodzi Połotę i rozkłada obóz naprzeciw obu zamków nad Dźwiną. Król nie mógł ich stamtąd spędzić, obawiając się, „aby z samej niezgody narodowej jaka niesnaska nie wszczęła"[3], o co w wielonarodowej armii nietrudno. Zezwolił zatem Bekieszowi na sypanie szańców w miejscu, które on wskazywał jako właściwe do szturmu. Z drugiej strony Połoty Polacy rozłożyli dobrze zorganizowany, z trzema głównymi ulicami, obóz królewski. Był on strzeżony przez polskie tabory, straże i placówki. Oczywiście im kto wyższy miał urząd, tym bliżej namiotu króla stawiał swą kwaterę. Koło Węgrów stanęła Litwa pod Mikołajem Radziwiłłem i jego synem Krzysztofem. Most Wedla, spławiony spod Dzisnej, spiął brzegi Dźwiny pod Połockiem.

Następnie stawiano obozy. Heidenstein odnotuje, że 500 żołnierzy wyborowej piechoty, którą przysłał przyjaciel króla, książę pruski, margrabia Jerzy Fryderyk, na jej „własne żądanie umieszczono między Niemcami" zaciężnymi. Niecierpliwy Bekiesz nie czekał, aż się wszyscy uszykują i, szybko usypawszy szańce, jął walić w mury Zapołocia. Efekt był piorunujący: Rosjanie wycofali się z miasta. Wydaje się jednak, że kanonada artylerii bekieszowej miała tu mniejsze znaczenie niż uprzednia hramota hosudara nakazująca Zapołocie,

na wypadek ataku sił królewskich, podpalić. Tak też się stało: miasto spłonęło, Rosjanie uszli do zamku.

Teraz Węgrzy — „jakoż jest to naród na trudy wojenne niesłychanie wytrzymały" — zaczęli podsuwać się, kopiąc rowy, ku zamkowi, nad Połotę. Nie była to najwdzięczniejsza praca, stąd zresztą powyższy okrzyk zachwytu kronikarza nad Madziarami: oto bowiem ich łopaty, kopiące rowy i szańce, natrafiły na jakieś cmentarzysko z grobami, smutnymi resztkami ludzkimi i kloakami; „były tam i inne w najwyższym stopniu wstrętne miejsca". I tę przeszkodę zdołano szybko pokonać, bo żądza zdobycia łupu górowała nad odruchami wstrętu.

Za Węgrami posuwali się oczekujący na szturm Polacy; dalej piechota litewska i węgierska zaciągnięta przez Zamoyskiego. Czekali na efekt poczynań artylerii Bekiesza, która zaczęła teraz bić w drewniane bale otaczające zamek. Tutaj jednak nie poszło już tak łatwo, gdyż kule dziurawiły ów „parkan" bez większej szkody dla całości umocnień. Bekiesz nakazał zatem strzelać bombami zapalającymi, ponoć wynalezionymi jeszcze przezeń w Siedmiogrodzie. W Polsce znalazły one zastosowanie pod Latarnią gdańską, której drewnianą część spalono dzięki owym kulom. Dodajmy, że nie był to jednak rewolucyjny wynalazek — kule musiały być rozpalone w ogniu przed nabiciem do armaty, w środku świeża, wilgotna trawa — nie o każdej porze roku wszak dostępna. Inne jednak okoliczności przesądziły o nieprzydatności tego wynalazku pod Połockiem. Kule te bowiem na ogół przeszywały drewniane fortyfikacje na przestrzał, a jeśli już tam zupełnie przypadkiem utkwiły, to gasił je lejący nadal leszcz.

Ów mokry dar niebios przynoszony wraz z zachodnim wiatrem, który naganiał spęczniałe od dżdżu chmury, przez kilkanaście dni służył znakomicie oblężonym. Dla żołnierzy królewskich było to istne przekleństwo, jeszcze jeden nieprzyjaciel do pokonania. Płyciutka dotąd Połota wezbrała tak, że nawet jazda nie odważyła się w nią wjechać. Do umocnień zamkowych prowadził most wybudowany jeszcze przed rozłożeniem się armii przez Węgrów Jana Bornemissy; Bekiesz usiłował zdublować go poprzez położenie nowego pomostu na zatopionych łódkach rybackich. Celne strzały puszkarzy połockich roz-

niosły go w drzazgi. Zawzięty Węgier, choć wymęczony reumatyzmem i przewlekłym nieżytem żołądka, jął namawiać żołnierzy, by podeszli z pochodniami przez ocalały most Bornemissy pod umocnienia Połocka i podpalili je. Obiecywał wielkie nagrody, więc posłuchano go: „Polacy i Litwini wytrwale lecieli tam, jeden za drugim."

Natrafili na tajną broń połocczan: wielkie bale spuszczane ze wzgórza miażdżyły i gniotły śmiałków. Pożary, które nielicznym udało się w owym „parkanie" rozniecić, załoga, a nawet kobiety i dzieci gasiły z dużym poświęceniem. „Godnym uwielbienia" — napisze Heidenstein, było to, że nawet pożary na zewnątrz murów były gaszone przez odważnych Rosjan spuszczających się w dół po linach z wiadrami pełnymi wody. Reszty dopełnił deszcz.

Sytuacja zaczęła się dla króla robić krytyczna — nie tylko dlatego że zabobonny żołnierz zaczął dawać wiarę, iż Rosjanie mają za sobą nieziemskie moce, skoro potrafią wpłynąć na naturę. „Ziemia bowiem tłusta i sama przez się wilgotna, tak dalece przesiąkła wszędzie wodą, że nawet pod skórzanymi dachami w namiotach pierwszych panów nie było gdzie stanąć." Nikt bodaj z żywych nie pamiętał takiego lata. Na dodatek niedaleko, koło Sokoła, stanęła armia Borysa Szeina i Fiodora Szeremietiewa. Skutkiem niedbalstwa padł niedawno zdobyty przez Polaków zamek Krasne, który Moskale spalili i zrównali z ziemią. Zaczęły się też pierwsze kłopoty z żywnością podbieraną ze szlaku dziśnieńskiego przez oddziały rosyjskie stojące w Suszy i Turowie: próba wydania im walnej bitwy przez Krzysztofa Radziwiłła i kasztelana mińskiego Jana Hlebowicza spaliła na panewce, gdyż Szein i Szeremietiew zniknęli za murami Sokoła. W ręce litewskie dostało się zaledwie kilku jeńców.

Ceny żywności i paszy pod Połockiem nagle podskoczyły: Węgrzy, Niemcy i co odporniejsi Polacy ratowali się przed kruczeniem w żołądkach i chudnięciem zjadając końskie ścierwa uwięzione w tym morzu błota, w jakie zamieniła się okolica Połocka. To oczywiście kronikarska przesada, ale nieprzywykłych do takiego jadła Niemców zaczęła męczyć krwawa biegunka, zwana podówczas czerwonką; piechocie polskiej i węgierskiej „wżdy im to nic nie wadziło, przed się zdrowi i czerstwi byli".[4] Na inną żywność

nie można było chwilowo liczyć: szykowała się „głodna" jesień, dokoła teren był wyniszczony skutkiem celowej polityki Iwana Groźnego. Przy tym puszkarzy Połock miał dobrych, czego wynikiem była śmierć jednego z rotmistrzów węgierskich Mikołaja Madazy, akurat odbywającego radę wojenną przy armatach ze Stanisławem Pękosławskim, oraz bolesne rany w czole i koło oka marszałka nadwornego WX Litewskiego Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła. Bekiesz, czuwający przy armatach, zadowolony, że w ferworze walki może zapomnieć o łamaniu w kościach i dokuczliwych wrzodach żołądka, narażał się niczym prosty żołnierz i nieraz obryzgiwany był krwią ginących i ranionych, między innymi polską, Jana Kurosza czy Kurowskiego.

„Król, zafrasowany takimi trudnościami, zwołał radę, co dalej robić." Wprawdzie od dawna namawiano go, by ruszyć do generalnego szturmu, ale Batory nie chciał się nań zgodzić: „jakby się szturm taki, na którym cała nadzieja polegała, nie udał, nic innego by nie pozostawało, jeno odstąpić od oblężenia" — stwierdził.[5] Zdążył już poznać „słomiany ogień" żołnierzy i ich przesądy. Zachęcił zatem Węgrów, by powtórnie spróbowali podpalić nieszczęsny „parkan", wsparci przez jeźdźców, których Batory usilnie namawiał do spieszenia. Zachęty króla były typowe: nagroda dla odważnych, hańba dla tchórzy, a w ogóle — lepiej umrzeć pod murami twierdzy od „nieprzyjacielskich kul, ratując sławę narodową i honor wojskowy, aniżeli nic nie wskórawszy, odstąpić od oblężenia i okryć się hańbą. Więc żołnierstwo z wielkim zapałem drapie się znów ku zamkowi, niosąc łuczywo i inne palne materiały."[6] Namowa króla poskutkowała. Co ważniejsze, podparta była jednorazowym aktem łaski niebios: 29 sierpnia, w dniu szturmu, deszcz ustał, a „słońce wesoło jasne promieniami długo pożądanymi świat oświeciło".[7] Rezultat był szybko widoczny. Wzniecony przez „kotlarczyka ze Lwowa, którego potem Połotyńskim nazwano", pożar objął część drewnianych umocnień.

Blask ognia wywołał nadzieję, ale i pewną obawę króla: wszak mogli go dojrzeć wodzowie rosyjscy z Sokoła i uderzyć na siły zajęte szturmem. Dlatego wyprowadził z obozu całe wojsko i ustawił jak do bitwy od strony Sokoła. Był to zapewne wynik nie tylko przezor-

ności Batorego, ale i swoista demonstracja wobec połocczan gotowości do ostatecznego szturmu.

Parada ta o mały włos nie zakończyła oblężenia twierdzy. Oto bowiem z murów skacze dziesięciu zbiegów z wieścią, iż załoga Połocka zastanawia się nad poddaniem twierdzy. Bekiesz nakazuje ich odesłać do króla. Węgrzy, którzy ich prowadzą, nie zastanawiają się długo: jeśli załoga podda miasto, koniec z olbrzymimi łupami, osobliwie z cerkwi Świętej Zofii, o której odwiecznych skarbach, w tym srebrnych posągach, marzyli dzielni kruczowłosi żołnierze. Obawa przed utratą spodziewanych zdobyczy sprawia, że odesłani przez Bekiesza do króla zbiegowie padają pod szablami prowadzących ich bezlitosnych hajduków. Rozlana niewinnie krew połocczan zmywa nadzieję na zawarcie pokoju bez dalszej walki.

Zaczyna się ściemniać, szturm przy blasku pożaru staje się zbyt niebezpieczny, więc król chce wracać do obozu. Wtedy kilkudziesięciu niecierpliwych Węgrów, którym sprzed oczu za nic nie chce zejść srebrny i złoty blask Połocka, pnie się w górę, przebiega przez roznieconą niedawno ścianę dymu i ognia. „Na wpół popaleni" wdzierają się na zamek. Tutaj jednak natrafiają na wykopany naprędce przez Rosjan rów z wodą, za nim wał, zza którego zieją ogniem hakownice. Oczywiście świst kul bijących wprost zmusza Węgrów do odwrotu — znów przez dym i płomienie. Ucieczka jest równie szybka jak uprzedni atak, gdyż mają oni na karkach Moskali. Dopiero wyborowy 200-osobowy pododdział piechoty Zamoyskiego, stojący na straży przy moście Bornemissy, zatrzymuje rozpędzonych obrońców Połocka, chroniąc Węgrów od wycięcia.

Przeciwnatarcie to zaniepokoiło króla, może bardziej hetmana Mieleckiego — do tego stopnia, że posłali oni w okolice mostu większe siły. Nie zapominajmy o niesłychanej labilności ówczesnych mas żołnierskich; byle porażka, nawet plotka mogła przynieść opłakane skutki w postaci paniki. Toteż sam Mielecki dla przykładu zsiadł z konia i pobiegł w kierunku armat i szańców, ciągnąc za sobą wielu towarzyszy szlacheckich. Chciał uczynić to i sam król, widzący nie tylko przeciwnatarcie Moskali, ale i groźnie wzbierającą falę waśni pomiędzy Węgrami i Polakami. Już „zeskoczywszy z konia, a rodelę

wziąwszy [małą okrągłą drewnianą tarczę — J.B.], poszedł sam do szturmu, aż go ledwie od tego odwiódł Jerzyna, podstoli królewski".[8] Ów ruch nie uszedł uwagi załogi Połocka, która prawdopodobnie przekonana o przygotowaniach do generalnego szturmu, jęła strzelać na wszystkie strony. Król rozmawiał właśnie z Zamoyskim; w pewnej chwili kanclerz przeprosił Batorego, gdyż musiał zmienić konia, i jeździec, który znalazł się przypadkiem koło monarchy na miejscu Zamoyskiego, padł trupem od moskiewskiej kuli. Zatem i Batory był bardzo narażony na poważne niebezpieczeństwo. Chociaż... Niepodanie przez Heidensteina nazwiska owego jeźdźca i dziwna maniera zamiany konia pod ostrzałem budzić może podejrzenia, czy już wtedy kanclerz nie fundował sobie i przy okazji królowi wielkiej legendy.

Noc z 29 na 30 sierpnia była bardzo niespokojna. Żalono się, iż po wznieceniu pożaru nie przystąpiono do ostatecznego szturmu: była w tym żalu zawarta bez wątpienia krytyka postępowania króla. „Wybuchły nawet ostre kłótnie między wojskami. Polacy oskarżali Węgrów o nierozważny pośpiech i zaczęcie tak niepomyślnego ataku, a Węgrzy zarzucali Polakom, że ich nie dość silnie w potrzebie wsparli."[9] Z biegiem czasu dojdzie do rękoczynów, a niechęć z szeregowych żołnierzy przeniesie się pomiędzy wysokich dowódców i możnych panów. To typowe cienie koalicyjnego działania.

Król jednak zdołał wykorzystać nocną gorycz umiejętnie: rankiem pchnął Węgrów do nowego ataku, uniemożliwiając Moskwie odtworzenie utraconej pozycji i obwarowanie jej na powrót. Stąd Madziarzy pod Piotrem Rácem rozpoczęli rycie przykopów, dzięki którym udało im się nie tylko podpalić najbliższą basztę, ale i podejść blisko szańców nieprzyjacielskich. Ustawienie tam armat i przerwanie w wielu miejscach linii obrony, tak że zamek znalazł się w polu bezpośredniego rażenia, zaczęło zniechęcać załogę Połocka do dalszej, coraz bardziej beznadziejnej obrony.

Wysłali zatem posłów. W zamian za poddanie twierdzy połocczanie prosili o zachowanie życia i możność udania się w jednym odzieniu dokąd chcą. Przeciwni tym warunkom byli wojewodowie i władyka Cyprian, którzy, wbrew zdaniu wszystkich, zamknęli się w cerkwi

św. Zofii. Gotowi, jak oświadczyli, ogień między prochy rzucić, lękając się „nie zaciętości Stefana, lecz gniewu cara!" [10] Na szczęście przeszkodzono im w tym, a Batory przystał na kondycje załogi. Połock przestał się bronić. Władykę i wojewodów przywiedziono przed oblicze króla. Okazało się, że zwarcie szeregów, tak charakterystyczne wśród ludzi zagrożonych, tu akurat było pozorne: rosyjscy wodzowie byli mocno zwaśnieni. I tak jeden z dowódców Piotr Wołyński oskarżał drugiego, Wasyla Mikolińskiego, prosząc króla polskiego o rozsądzenie sprawy. Batory takich okazji nie zwykł przepuszczać: nakazał ich zatrzymać do czasu śledztwa i oddał pod straż podskarbiemu litewskiemu Wawrzyńcowi Wojnie.

Czy było to złamanie układu, czy raczej wykorzystanie okazji? Całą załogę Batory zwolnił, mimo że większa część wracała „do Moskwy, do pana swego, nie chcąc gwałcić zaprzysiężonej wiary, chociaż wiedzieli dobrze, że idą na pewną śmierć i na okrutne męki", zauważył Heidenstein. Dość nieoczekiwanie śmierć z rozkazu cara ich nie spotkała, ale Batory przedtem zrobił wszystko, by być wiarygodnym: na wszelki wypadek osłonił wychodzących z twierdzy kordonem żołnierzy i już 29 sierpnia dał połocczanom „list glejtowny, który się nazywa opasny, za którym przez wszystkie nasze wojsko polskie, litewskie, węgierskie i niemieckie dobrowolnie przepuszczonymi być mają do ich Hospodara z żonami i z dziećmi, i z majętnością, którą człowiek na sobie zanieść może, wyjąwszy zbroję i wszelką broń". [11] Glejt wysłał jeszcze raz wraz z kasztelanem trockim Eustachym Wołłowiczem, który prowadził rokowania, „za czym zamek poddan". Obrońcy, „nawieszawszy na sobie obrazków, wychodzili" z twierdzy. [12]

Zdecydowana większość załogi Połocka nie skorzystała z oferty króla i nie przyjęła poddaństwa. W swej niewiedzy i przerażeniu bardziej bodaj obawiając się Batorego niż cara.

Osłona wychodzących z twierdzy żołnierzy Iwana nie była podyktowana nadmiarem ostrożności: wokół zamku i wewnątrz znaleziono okaleczone potwornie zwłoki żołnierzy Batorego porwanych podczas zbierania ziół. Szczególnie srogo Moskale pastwili się nad Niemcami, gotując ich żywcem w kotłach, darli z nich pasy (to chyba jeszcze echo spraw inflanckich). Nic więc dziwnego, że załogę musiały daleko odprowadzić przydane im przez króla dwie chorągwie polskie pod rotmistrzem Sadowskim.

Rozkładających się trupów na zamku było tyle, że Batory nie zdołał, jak zamyślał, odprawić tam dziękczynnego nabożeństwa. Uczyniono to w obozie. Łupy, mnożone w wyobraźni szturmujących, okazały się daleko mniejsze nad spodziewane. Ale dwaj najważniejsi mężowie w Rzeczypospolitej byli zadowoleni: „znaleziono też i bibliotekę, kosztowniejszą może niż wszystkie razem łupy". Były tam kroniki uczone i pisma „o hierarchii niebieskiej i kościelnej przetłumaczone starannie na słowiański". Używane do kazań jako dogmat, żeby jak zauważył złośliwie Heidenstein, „umysłów zwykle nowości łaknących od starej wiary i prawdy nie odwodzić".

Ale wojsko nie podzielało zachwytu Batorego nad biblioteką. Wprawdzie znaleziono tyle żywności i paszy, by zapomnieć o głodzie swoim i koni, wiele prochu i armat, by kontynuować wojnę — ale czy to miała być cena za owe szturmy w deszczu i odwagę? Król z punktu widzenia szarego żołnierza dopuścił się rzeczy okropnej, nie zezwalając na grabież, przestrzegając umowy, chroniąc skarby i dzieląc łupy podług swojej miarki, a nie szybkości i bezwzględności rycerskich mieczów. „Stąd kłótnie między Polakami i Węgrami tak zawzięte urosły, że się z orężem na siebie porywali." Trzeba przyznać, że mocno przyczyniali się do tego Węgrzy, z natury czupurni, panoszący się, pewni poparcia ze strony króla. Hetman Mielecki, który przestrzegał uprzednio króla, iż „wielość wodzów" przyczyni się do powstania emulacji, nie zauważył, iż jego drażliwość jest również tego przyczyną. Pomimo więzów powinowactwa skłócony był bowiem z hetmanem Mikołajem Radziwiłłem, nie lubił Zamoyskiego, który już wtedy uważał się za eksperta nie tylko w dziedzinie rządzenia państwem, ale i wojskiem, a nade wszystko ścierał się z Bekieszem, na którym odcisnęły się wyraźne ślady siedmiogrodzkiego sobiepaństwa, ujawniające się w lekceważącym stosunku do powagi hetmańskiego urzędu.

Sukces zdobycia Połocka nie mógłby zostać utrwalony bez przejęcia innych ważnych zamków tej krainy: Sokoła, Turowli i Suszy.

Fakt ten Batory wykorzystał umiejętnie nie tylko do wzmocnienia bezpieczeństwa Połocka, lecz aby załagodzić niesnaski. Rozdane wśród żołnierzy królewskie upominki sprawiły, że ręce Polaków i Węgrów, gotowe do dobycia nagich szabel, wysiągnęły się po prezenty; zapomnieli na razie o ostrzach i urazach.

Mieleckiego wraz z jazdą i piechotą polską oraz Niemcami wyprawił Batory pod Sokół; Bekiesz miał iść na Turowlę. Tego ostatniego zastąpił Marcin Kurcz z Kozakami; bardzo szczęśliwie, gdyż załoga Turowli, nie słysząc od kilku dni głuchego odgłosu grzmotu dział, nadlatującego wraz z falami deszczu spod Połocka, domyśliła się klęski i uciekła, zostawiając samych wojewodów. Tych Kurcz odesłał królowi.

Znacznie gorszą przeprawę miał hetman Mielecki i jego 3200 żołnierzy. Deszcze zupełnie roztopiły drogi, nie spławiono na czas mostu, tak że chorągwie wojewody bracławskiego Janusza Zbaraskiego musiały wpław przebywać rzekę Dryssę, a resztę przeprawiono po grubych palach spiętych łańcuchami: moście pomysłu Mikołaja Urowieckiego. Mimo że w końcu wojsko Mieleckiego stanęło wokół Sokoła „nieporządnym obozem", zapowiadało się trudne i długie oblężenie. Szeremietiew nie chciał przyjąć walnej bitwy: starcia w polu skończyły się na krwawych harcach. Przypadek sprawił, że po długich dniach oblężenia jedna z kul zapalających niepostrzeżenie utkwiła w drewnianym ogrodzeniu z suchego drewna jodłowego, które zajęło się ogniem. Olbrzymi pożar wywołał panikę: oddział obrońców Sokoła pod wodzą Fiodora Szeremietiewa, złożony głównie z Kozaków dońskich, uciekając tylną bramą, wpadł w ręce Zbaraskiego, drugi pod Borysem Szeinem w ręce Niemców. Ostatni oddział miał straszliwego pecha: dysząc pragnieniem zemsty Niemcy wybili wszystkich wraz z Szeinem i wdarli się do zamku rżnąc załogę bez opamiętania. Widząc to Rosjanie spuścili kratę, zamykając tym samym na podwórcu siebie i Niemców. Tych ostatnich było mniej — i 500 zaciężnych znalazło szybko równie okrutną śmierć pod moskiewskimi razami. Resztę ocaliło uderzenie piechoty niemieckiej i polskiej starosty łęczyckiego Krzysztofa Rozdrażewskiego, która wyłamała kratę i wyrżnęła załogę Sokoła z przerażenia rzucającą się w płomienie przed ciosami. Wielkie stosy trupów zaległy dziedziniec sokolskiego zamku.

Owego potwornego widoku rozpasanego, unurzanego we krwi żołdactwa dopełniły tym razem okrucieństwa Niemców: Szein i wielu innych zostało po śmierci obdartych ze skóry, a ponieważ „między poległymi było dużo chłopów opasłych, tym to Niemkinie rozpruwszy brzuchy, wyjmowały sadło [między innymi Szeinowi], gdyż umiały nim goić rany". Przerażający to obraz (namalowany przez Heidensteina), jaki niesie ze sobą każda wojna, w której dowodzą inteligentni wodzowie, ale walczą, zabijają, a wreszcie mordują prymitywni żołdacy. „Żadnego narodu nie poznali, który by się mężniej bronił" — mówili potem Niemcy o Moskalach,[13] być może usprawiedliwiając rzeź. I trudno się tu zgodzić z opinią historyka rosyjskiego, iż „nigdy wojna nie była dla mieszkańców nad tę bardziej spokojną i ludzką".[14]

Batory zapewne wiedział o straszliwych okrucieństwach swoich żołnierzy, gdy pisał nieco później z Dzisnej do Iwana IV list, „w którym mu donosił o wyniku wyprawy, podobnie, jak tenże zrobił po spustoszeniu Inflant. W liście tym jednak nie tyle rozwodził się nad swoim powodzeniem, ile raczej ubolewał nad zgubą tylu ludzi niewinnych i całą winę tego rozlewu krwi składał na Iwana, który go niesłusznie zaczepił."[15] Car, który znał bardziej wymyślne sposoby umierania, wyrzucał jednak królowi „nieludzkie okrucieństwo" i nieuczciwą wojnę nie wstępnym bojem, lecz „sztukami". Była to aluzja do bomb zapalających.

Zajęcie Sokoła i złupienie go zaspokoiło w części nienasycone apetyty pazernych żołnierzy węgierskich, polskich, litewskich, ruskich i niemieckich. A przecież król przeznaczył niemałe sumy na nagrody za zajęcie Połocka: rzecz charakterystyczna, że najwyżej obdarował Węgrów, których rotmistrzowie otrzymali od 100 do 200 złotych (polscy — po 26 talarów).[16] Sypnie też Batory hojną ręką specjalnymi darami, nobilitacjami wyróżniających się piechurów i urzędami: wszystkie wakujące starostwa zostaną rozdzielone między rotmistrzów i poruczników.

Wreszcie „przystąpił król do urządzenia prowincji tak pod względem politycznym, jako też i kościelnym". Nie chcąc zrażać sobie

tamtejszej ludności, wielką, murowaną cerkiew oddał biskupowi obrządku greckiego mieszkającemu w Witebsku: przeciwwagę i ostoję katolicyzmu miał stanowić kościół, który po zbudowaniu król zamierzał oddać jezuitom. Stało się inaczej: cerkiew św. Piotra i Pawła stała opuszczona, aż król na prośbę Piotra Skargi nakazał wygotować urzędowy akt przekazania jej jezuitom. Przypieczętować go miał, wówczas już kanclerz litewski, Eustachy Wołłowicz. Ten jednak, innowierca, nie tylko odmówił, ale skrypt podarł na kawałki w obecności innych senatorów. „Nie dziwię się temu, że tak uczynił — miał powiedzieć z wielką powagą Batory — bo jest heretykiem. Niech wie o tym, że jestem katolickim monarchą. A co rozdarł, niech na nowo napisze." I Wołłowicz — napisał i opieczętował.[17]

Tuż po wejściu do Połocka Batory nakazał jak najszybciej odkopać fosy i rowy zasypane przez Węgrów podczas przygotowań do szturmów, odbudować zniszczone fortyfikacje: jakoż sprowadzono z Witebska 63, a z Dzisnej 14 cieśli, którzy zajęli się odnowieniem warowni od strony Połoty, wznosząc trzy kurtyny, pięć baszt z drewnianych bali obrzuconych gliną i podbijając sklepienia niekiedy trzema warstwami belek. Zarządził też sumienny król „spisanie armaty połockiej",[18] którą dla lepszego obsadzenia odbitego zamku sprowadzono również z arsenałów litewskich. W sumie 60 dział i 900 ludzi (rychło powiększono do 1350, aby komendant Połocka mógł prowadzić akcje zaczepne) miało chronić twierdzę przed zakusami hosudara.

Utracony za Zygmunta Augusta Połock wraz z krainą i 8 zamkami wrócił do Rzeczypospolitej. Batory przywrócił jej rangę województwa, zatwierdzając we wrześniu na urzędzie wojewody połockiego Mikołaja Dorohostajskiego. Było to potwierdzeniem jego nadania z 1576 roku, po śmierci poprzedniego wojewody Stanisława Dowojny. Umiejętnościom wojskowym, ale i dawnemu przyrzeczeniu Dorohostajski zawdzięczał urząd: był on kalwinistą. Jego wpływy i sympatie miał równoważyć nie tylko Skarga i tworzone przez zeń jezuickie kolegium, ale żona katoliczka oraz komendant Połocka. Dowódcą warowni, zwanym horodniczym, odpowiedzialnym za stan obrony zamków, mianował król „Franca" Żuka, kozaka-katolika, którego „do służb naszych zalecać raczył" hetman wielki litewski Mikołaj Radziwiłł.[19]

Mieleckiemu pozostało jeszcze zdobyć Suszę, a Dorohostajskiemu — Nieszczerdę: były to zadania o znaczeniu drugorzędnym. Do grudnia oba zamki poddały się, a „car stał nieporuszony w Pskowie", zauważył zgryźliwie rosyjski historyk.[20] Obsadzono je na ogół litewską piechotą, przesuwając linię polskiej obrony nad nową granicę. Już uprzednio na rozkaz króla przygotowano miejsca leż zimowych: wojsko podzielone przez Mieleckiego na 3 pułki odeszło goić rany i odpocząć do Hołowczyna, Szkłowa i Mohylewa. Nie odpoczęły wówczas tylko chorągwie starosty orszańskiego Filona Czarnobylskiego Kmity, który „włości smoleńskie okrutnie ogniem i mieczem zwojował (...) 2000 siół spalił i sam smoleńskie przedmieście w popiół obrócił".[21] O zdobyciu potężnej twierdzy, która 63 lata temu odpadła od Królestwa Polskiego, nie mógł oczywiście nawet marzyć. Podobnemu celowi — odbiciu zajętych przez Moskwę terenów, zyskaniu łupów i rzuceniu całunu strachu na hosudara i jego żołnierzy — służyły wypady kniaziów Konstantego Ostrogskiego i Michała Wiśniowieckiego na Czernihów i ziemię siewierską, gdzie obrócono w perzynę posiadłości carskie. Wreszcie wyprawa, podczas której w ręce lub pod szable polskie, węgierskie, niemieckie dostało się 16 województw, 10 tysięcy żołnierzy Iwana i 120 dział — kończyła się.

Sukces Batorego polegał nie tylko na tym, że przywrócono stan posiadania za Zygmunta Augusta, ale nade wszystko na wyłączeniu środkowej części Dźwiny spod władzy Rosjan zaopatrujących tą drogą Inflanty. Oczywiście nie oznaczało to zupełnie odcięcia tej krainy od Rosji: Batory doskonale wiedział, że przed nim jeszcze daleka i trudna droga. Choć straty polskie były znacznie mniejsze niż rosyjskie, to siła uderzeniowa królewskiej armii — jazda — straciła możliwości działania: w sierpniu i wrześniu padła bodajże większość koni, chroniąc zresztą w ten sposób armię przed głodem. Skrupulatne wyliczenia Konstantego Górskiego[22], Henryka Kotarskiego[23] i Adolfa Pawińskiego[24] obrazują nie tylko wysiłek wojenny, ale i trudną sytuację finansową króla. Wyprawa kosztowała około 1,2

miliona złotych. Była to suma ogromna, którą tylko w części mogły pokryć podatki i zdobyte łupy.

Zwycięstwo wszem wobec nie ogłoszone jest zwycięstwem małym. Batory znał tę prawdę doskonale. Już 30 sierpnia 1579 roku król kazał drukować pismo *Littera universales post recuperatem Arcem Polocensem* (Uniwersał po odzyskaniu twierdzy połockiej) i rozsyłać w świat. Poszybowało ono wraz z innymi późniejszymi relacjami nie tylko w ziemie wielkiej Rzeczypospolitej, ale i przefrunęło przez wiele granic, szczególne wrażenie wywierając w Rzeszy Niemieckiej. Król na oczach świata przywdziewał kostium wielkiego zwycięzcy i w takim odtąd zacznie w świadomości pokoleń paradować. Robił to jednak z taktem: opisy odbicia prowincji są rzeczowe i spokojne w tonie. Wizerunkowi triumfu sprzyjała też twórczość poetów najwyższego lotu: Jan Kochanowski pisze odę *De expugnatione Polottei* (*O zdobyciu Połocka*) wydaną w Warszawie już w 1580 roku. Pod naciskiem króla powstają też szczegółowe plany odzyskanych zamków, mapa prowincji połockiej (sporządził ją Stanisław Pachołowiecki), a także — ku nauce i rzeczy pamiątce — plan oblężenia Połocka.

II. I WYPRAWA PO ZGODĘ

„Po zwycięstwie król 17 września spod Połocka puścił się Dźwiną — bo droga otwarta i bezpieczna — aż do Drui, stamtąd lądem do Wilna" — napisał w swej relacji gdańszczanin Daniel Herman. „Nie można dosyć opowiedzieć, jaka tam śliczna ziemia naokoło, mianowicie naokoło Połocka pyszna, tłusta gleba — a teraz okropna tam puszcza. Mam to przekonanie, że Moskwa dla ważnej przyczyny sprawiła, by trakt ten na 20 mil wszerz i wzdłuż zarósł pustynią [!], a to dlatego, aby z tej strony Dźwiny z Polski nikt nie mógł nadejść."[1]

Obrazek pięknych ziem był niezafałszowany: równocześnie bowiem inny kronikarz pisał, iż „król wsiadłszy w Dzisnej na statek płynął z biegiem Dźwiny, napawając się pięknym widokiem jej brzegów".[2]

Za nim płynęła artyleria oblężnicza, dla której w Dzisnej urządzono magazyn. Bazę dla następnej wyprawy.

„Wojenka" jest bodaj najbardziej widowiskową częścią historii. Brzęk szabel, szarże, odór krwi tłumią skutecznie szmer rozmów, a tym bardziej idee rodzące się w mózgach mężów stanu i uczonych. Jak każda rzecz bardziej hałaśliwa, pozornie wycisza intelektualną wymianę racji i pomysłów. A przecież huk armat i świst szabel to zakończenie pewnego, cichego i pełnego napięcia dramatu przygotowań do wojny, dramatu granego w komnatach, za stołami i przy inkauście, karcie papieru, często na przekór ludzkiemu zamiłowaniu do spokoju.

Zajęcie Połocka było dla Batorego pierwszym etapem wielkiego planu. Aby iść jednak dalej, musiał przekonać do swych poczynań senatorów i szlachtę. Wbrew pozorom wewnątrz Rzeczypospolitej nie świętowano powszechnie wiktorii króla. „Wszyscy niechętni na gwałt krzyczeli, a jak to zwykle w każdej rzplitej, gdzie wolno wszystko mówić, co się myśli i czuje, zaczęli fakta przekręcać, najświetniejsze czyny i najlepsze zamiary króla na złe tłumaczyć." Ileż w tych słowach kronikarza dworskiego uproszczeń, przekąsu i niechęci do polskich wolności, jak mocno musiał król i Zamoyski nie cierpieć tego „wolnego gadania". Nolens volens musiał Batory spod Połocka rozpocząć nową wyprawę w głąb Rzeczypospolitej po pieniądze, zgodę szlachty i spokój w państwie.

Ale przecież usłyszał przedtem wiele słów podzięki i podziwu. Przed Wilno wyszedł królowi naprzeciw człowiek, który od pierwszych chwil pozostawał pod urokiem i siłą osobowości Batorego — nowy nuncjusz apostolski Jan Andrzej Caligari, w otoczeniu szlachty i mieszczan witających go jako triumfatora, i „longa oratione excipit".[3] „Jeśli tytuły nowe, już eś ich doszedł i już cię policzyć może między owe dawne Aleksandry, Juliusze i Karły" (szło o Karola Wielkiego — J. B.) — zapewniał gorąco Batorego w kolejnej kwiecistej mowie Jan Januszowski.[4] Inna rzecz, że takich odświętnych wotów wysławiających pod niebiosa wygłaszano przy lada okazji na kopy: to typowe sarmackie zamiłowanie. Mieszczanie i szlachta wileńska wiedziała jednak dobrze, co czyni: niedawno zagon rosyjski

wypadł aż po Birże, a zwycięstwo króla zapewniło Wilnu spokój — na razie — od południowej strony. Batoremu zresztą nie szło o słowa, ale o czyny. Dlatego 26 września wyznacza na świętego Marcina datę złożenia sejmu w Warszawie. Ma się on rozpocząć 23 listopada. Król spieszył się, gdyż należało przedsięwziąć środki obrony: toż wiedziano, że „Rosjanie lubili wychodzić w pole, natenczas gdy inni uciekali do domów, podczas mrozów lub niepogody".[5]

Tymczasem w Wilnie obmyśla z senatorami środki obrony na czas sejmu i nadaniami pozyskuje raczej znaczących niż zasłużonych. Wprawdzie staroście orszańskiemu Filonowi Kmicie za spustoszenia „ogniem i mieczem" daje w październiku urząd wojewody smoleńskiego, ale Smoleńsk już od dawna odpadł od Litwy. Bardzo mocno awansowani są Radziwiłłowie: hetman polny litewski Krzysztof otrzymuje kasztelanię trocką i podkanclerstwo, Mikołaj „Sierotka" — laskę marszałka wielkiego litewskiego. Pieczęć wielką Litwy za życzeniem króla obejmuje Eustachy Wołłowicz wraz z kasztelanią wileńską, a Jan Kiszka za wystawienie świetnie prezentującego się 400-osobowego pocztu dostaje bardzo ważne i ogromne starostwo żmudzkie. Znać, że Batoremu bardzo zależy na poparciu Litwy stojącej naprzeciw Moskwy, a wszak Wielkie Księstwo od czasów Barbary to Radziwiłłowie i olbrzymie wpływy oligarchii magnackiej. Nie bez powodu Zamoyski wziął za żonę „moje najmilse sercze"[6] — jak zwykł potem pisać — Krystynę z Radziwiłłów.

Nie te nadania jednak ściągnęły gromy panów koronnych na głowę króla. Zauważono, że Batory wbrew temu, co twierdził, mocno forytuje Węgrów: a pieniężne nagrody czy nadanie indygenatu koronnego i litewskiego, starostwa lanckorońskiego, a wreszcie kamienicy „Pod Baranami" w Krakowie Kasprowi Bekieszowi miało być tego dowodem. I to starostwa, na które chrapkę miał niespożyty Olbracht Łaski. Jak wiemy, hetman wielki koronny Mikołaj Mielecki od dawna nie darzył Batorego sympatią: teraz jego niechęć nabrała żywszych rumieńców. Król bowiem, wykorzystawszy talent organizacyjny i wojskowy Mieleckiego, nic mu nie dał, choć w istocie w tej wyprawie hetman szczególnie zasłużył sobie na łaski monarsze. Województwo podolskie było jednak daleko od głównego

teatru wojny z Moskwą, Mielecki zbyt swarliwy i urażający się o byle co, by można było na niego stawiać w następnych wyprawach. Król znając dumę i drażliwość hetmana, nie nadał mu zatem nowego urzędu i tym samym wysadził z siodła władzy i gonitwy po nowe stołki. Mielecki bowiem „tknięty żalem ze łzami w oczach powstał i odszedł od króla, który gwoli swej przychylności ku innemu, zawsze znajdował coś w Mieleckim do przygany, nie wiedząc już czego odeń żądać".[7] Święte słowa imć scholastyka i sekretarza królewskiego: Batory zapewne już wtedy kogo innego widział z buławą w dłoni.

Rozdawszy urzędy i opędziwszy co ważniejsze sprawy, ruszył Batory do Grodna na polowanie. Tutaj przyjął posłów z Rygi gotowych złożyć hołd królowi polskiemu, gdy po kilku dniach dobiegła go wieść o śmierci Kaspra Bekiesza. Odważny do szaleństwa i ambitny Bekiesz umierał, jak żył, wierny sobie, przestrzegając pilnie zasady: „Coelum non curo, infernum non timeo" (o niebo nie dbam, piekła się nie boję). Arianin, a właściwie ateusz, nie mógł być pochowany na cmentarzu, gdyż duchowieństwo nie chciało się na to zgodzić. Król polecił więc pogrzebać go pod okrągłą wieżą na górze w Wilnie, którą odtąd zaczęto nazywać Bekieszową. Pozostał zresztą po nim też inny, wyraźny ślad: jeszcze w XIX wieku noszono płaszcz bez rękawów, zwany biekieszówką, który dotąd w różnych formach przewija się we współczesnej modzie.

„Tymczasem w Polsce potworzyły się bardzo różne stronnictwa i najrozmaitsze walczyły z sobą zdania", a „w umysłach wrzało jak w garnku" — twierdził cenzurowany dziejopis. Przesadził nieco, choć nie zanadto. Szlacheckie „pomówienia króla" o odesłanie skarbów tykocińskich do Siedmiogrodu, obawy, by Batory nie rozwiódł się z Anną, do czego wytrwale namawiał króla Zamoyski, i nie przeznaczał podatków na nie znane ogółowi machinacje i tajemnicze osobiste cele czy też wskazywanie przez herbowych, iż monarcha jest bliski złamania prawa w kwestii nadania księstwa kurlandzkiego, nie były „szaleństwem", jak chce wierny Zamoyskiemu historyk, lecz demokratycznym objawem patrzenia władzy na ręce. Niepokój szlachty budziło również podrywanie autorytetu hetmańskiego przez

Węgra Bekiesza i forytowanie w urzędach zbyt potężnego, jak na wyobrażenia egalitaryzmu stanowego, rodu Radziwiłłów. Trzeba też przypomnieć, że szlachta widząc rosłą, świetnie uzbrojoną piechotę hajducką już w roku 1577 podejrzewała króla o brzydkie zamiary użycia jej dla wzmocnienia swej władzy. Niechęć do Węgrów, którymi Batory otaczał się słuchając ich rad, wzrosła w tymże roku, gdy przez Rzeczpospolitą poszła niepokojąca wieść, iż pod Gdańskiem król sypia w jednym pokoju z Bekieszem. Mikołaj Firlej pisał wtedy z otwartą złośliwością, że „tutaj nie wierzą w krzyż Pański, ale wierzą za to silnie w Bekiesza” [8], który jak wiadomo, uchodził za bezbożnika. Niechęć do dawnego antagonisty Batorego i forytowania Węgrów znalazła zrozumiały wyraz w otwartej niechęci szlachty do tego rodzaju posunięć; tym bardziej że miejsce Bekiesza zajął w sercu króla Franciszek Wesselényi. Batory, choćby miał zgrzytać zębami, musiał na żądanie posłów omówić kwestię spłaty długów Rzeczypospolitej, do czego się zobowiązał, wyliczyć z wydatków na wojnę, wyjaśnić, że nie forytuje Węgrów i nie podkopuje powagi hetmańskiego urzędu, wysłuchać uważnie senatorów i posłów. „Wolność i język bracia to. Traci swobodę, kto wolność mówienia traci” — zauważył potem kaznodzieja. Szlachta też tak sądziła. Praktyce patrzenia władzy na ręce i rozliczania się przez nią z każdego ruchu przed posłami i senatorami musiało stać się zadość. Nawet w glorii zwycięstwa na sejmie rozpoczętym 23 listopada w Warszawie.

Rzeczywistość „podzielonego”, choć zwycięskiego kraju, odmalowana bardzo ciemnymi barwami przez królewskiego kronikarza, tak naprawdę była znacznie jaśniejsza — i on sam to zauważył. „Posłowie nie mieli wprawdzie wątpliwości, że wojnę i dalszy pobór wypadnie im uchwalić z uwagi, że szlachta, uradowana powodzeniem i w nadziei przyszłych triumfów, na tłumnych zjazdach już przedtem się na to zgodziła; żeby jednak nie obrazić na siebie opinii, wywlekają niektóre z publicznie głoszonych zarzutów.” Godzono się więc z góry na podatki i wojnę; szło jednak o utrzymanie demokratycznych zwyczajów; ukazanie, że kwestie reform i uporządkowania wewnątrz kraju muszą jeszcze poczekać. Dlatego kanclerz wygłosił długą orację w obronie poczynań króla.

Ówczesne wota cechowała znaczna przesada — a Zamoyski celował w zręcznej demagogii, która niegdyś zyskała mu tak wielką przychylność mas szlacheckich. Twierdził, że odbicie Połocka „dawne triumfy Iwana wniwecz obróciło”, rozwodził się nad wielkością tej wiktorii, by znienacka oznajmić, że „wielkie stąd są wprawdzie korzyści, ale jeżeli wojny do końca nie doprowadzimy, obawiam się, żebyśmy nie tylko żadnej stąd wygranej nie odnieśli, ale nawet żebyśmy tyle trudów i nakładów ze szkodą naszą nie zmarnowali”. Car bowiem na czele ogromnych sił z pewnością będzie dążył do odbicia prowincji. Zamoyski, wiedząc dobrze, że wyśmiewani już wówczas za swe słabe talenty gospodarskie Polacy umieją jednak liczyć, zapewnił, że rozszerzenie granic Rzeczypospolitej mieści się w kategoriach tak dobra ojczyzny, jak i każdego jej obywatela. „Któż z was nie wolałby mieć dziesięć posiadłości zamiast jednej?” — wołał dramatycznie, uderzając we właściwą strunę. — „Niech idą na wojnę, niech położą widoczne zasługi krajowi swemu; wtedy słusznie od najdroższego naszego króla będą mogli domagać się nagrody.” [9]

Batory oczyścił się też z zarzutów: twierdził, że nie zezwalał na to, by Bekiesz uwłaczał powadze hetmańskiego urzędu: odwrotnie — pragnął, by służył on hetmanowi Mieleckiemu „za tłumacza”. Sprawa zaciągów cudzoziemskich wojsk przez Batorego była kolejną drobinką szkła w oczach szlachty: po co, pytano, król zaciąga obcych, skoro w żyłach rycerskiej młodzieży szlacheckiej płynie wojenny zapał? Ba, odparł Batory, „Królestwo Polskie, silne jazdą najlepszą w Europie, nie ma wcale piechoty”. Wszak już przedtem w instrukcji na poprzedni sejm wskazywał, że „w tej Koronie (...) nic na rycerstwie jezdnym nie schodzi”, problem w tym, „skąd by i jakim sposobem mieli być piesi do spraw rycerskich sposobniejsi”.[10] Do wojny per pedes herbowi oczywiście się nie garnęli — świat, szczególnie wojenny, bezpieczniej jest oglądać znad końskiego łba — i przyznali monarsze rację w zaciągu do armii piechurów z Siedmiogrodu i Niemiec.

Rozgrzeszono go też ze sprawy nadania księstwa kurlandzkiego: okazało się, że intencje poprawek w dyplomie nadania były czyste.

Podatki, równe tym z 1578 roku, uchwalono, starostowie „ustąpili królowi drugą część ze swych dochodów, która w Rawie do skarbu wnoszoną być miała", duchowieństwo też nie poskąpiło subsidium charitativum. Wyprawa do Warszawy na sejm po zgodę w państwie powiodła się.

Jeśli wierzyć Heidensteinowi, szlachta jeszcze wtedy kochała swego króla, choć była to wyrachowana i mądra miłość: proszono go, „ażeby przez namiestników wojnę prowadził, a sam na niebezpieczeństwo się nie narażał". Z drugiej strony był to wynik smutnych doświadczeń po śmierci Władysława Warneńczyka i Jana Olbrachta, które nauczyły Polaków pożytecznej mądrości, że król nie walczy, król dowodzi. Batory nie cierpiał siedzieć w miejscu, w czym z pewnością miały udział nadzieje jego żony: oznajmił, że jego obecność pociągnie wielu ochotników i załagodzi spory w wielonarodowej armii, szczególnie między panami koronnymi i litewskimi. Argument był celny, panowie nie oponowali, wiedząc zresztą, że protest na nic się nie zda.

Anna Jagiellonka nie miała już złudzeń co do męża: nuncjusz Caligari zauważył, że oczekiwała na powrót Batorego spod Połocka „z wielkim i otwartym smutkiem". Nuncjusz twierdził, że król nie ufał Jagiellonce, podejrzewał ją wręcz o zamiary trucicielskie, czego mogła się nauczyć od matki, królowej Bony. W styczniu 1579 roku Batory przełamał nieufność i zbliżył się do królowej. Caligari twierdził nawet, że „król i królowa kochają się, jedzą, śpią i komunikują często razem ku wielkiej wszystkich radości. Królowa jest tak świeżą i dobrze na zdrowiu, że nie uważałbym za cud, gdyby miała zajść w ciążę." [11] Ale ten nuncjusz, inaczej niż Laureo, jest wyjątkowo łatwowierny i naiwny: już w niecały miesiąc później spieszy donieść, że król wyjechał jednak od Jagiellonki, wzbudzając żal rozochoconej Anny.

Nie dajmy się zwieść — nie był to smutek osoby biernej. Królowa nadal domagała się, by być pierwszą w państwie, by jej najpierw oddawano honory i ją odwiedzano. Zaczyna zbliżać się do „malkontentów", prymasa Uchańskiego i referendarza koronnego Stanisława Czarnkowskiego. Mimo że król spędza z nią następną zimę 1579—1580 roku, jest to podyktowane jego planami, może kurtuazją. Rozdźwięk staje się widoczny, a Anna, nadal dbająca o swą wątpliwą, niestety, urodę, aspirująca do roli „kobiety z pretensjami", usiłująca odnieść sukcesy w roli małżonki, winą za obojętność króla skłonna jest obarczać Zamoyskiego. Nic zatem dziwnego, że kanclerz, urażony, widząc bezowocność małżeństwa, zaczyna planować rozwód Batorego, kaptując do tych zamiarów biskupów Karnkowskiego i Myszkowskiego.

Już w Warszawie rozpoczął król przygotowania do następnej wyprawy. „Ad suspectionem et educationem peditum ex Regno Hungariae" [12], na zaciąg piechoty z Siedmiogrodu Jan Bornemissa dostał 17 tysięcy florenów; na najem jazdy Gabriel Bekiesz ok. 30 tysięcy. To tylko cząstka dużych wydatków króla na zaciągi węgierskie. Na sejmie nie pojawił się hetman Mielecki; Batory napisał do niego, nakazując gotowanie wojska. Wydaje się jednak, że był to dyplomatyczny wybieg: monarcha chyba liczył, że Mielecki wymówi się od udziału w wyprawie i tak też się stało. Król tedy „hetmaństwo Janowi Zamoyskiemu, kanclerzowi koronnemu zlecił, który na rozkazanie królewskie chętnie się tego podjął". [13]

W Warszawie dobiegły też Batorego wieści o wzięciu 13 grudnia przez Dorohostajskiego Nieszczerdy i nieudanych próbach zajęcia podstępem Zawołocza przez jakiegoś Kosonia, który skończył swą błyskotliwą, acz króciutką karierę zdobywcy na palu wraz z dwoma synami. Natomiast inny ważny zamek, Uświat, usiłował zająć człowiek, który za dwadzieścia lat wstrząśnie Rzecząpospolitą — Mikołaj Zebrzydowski. Uczyni to z nudów, wiedziony tajnymi ścieżkami przez Kozaków — ale czujnego i przygotowanego do walki zameczku nie zdoła zaskoczyć.

Na początku 1580 roku król wydał słynny edykt *Litterae universales de typographis* krępujący zupełnie wolność druku. Motywacja Batorego była prosta: dzieje Rzeczypospolitej bywają opisywane „niedokładnie, a co gorzej nieprawdziwie", „uwłaczają godności tego królestwa", a więc ktokolwiek ważyłby się drukować, malować, sztychować „przedmioty związek jaki z interesami Rzeczypospolitej mające, chociażby się w tym nawet nic nagannego nie znajdowało, taki

ma podpadać karze".[14] Rozstrzygnąwszy sprawę wolności słowa, Batory wyjechał z Warszawy, pojawił się w Grodnie, a następnie w Wilnie, „cały zajęty już przyszłą wyprawą". W Grodnie polecił naprawiać działa i lać nowe wedle własnego pomysłu, tymczasem zastanawiając się nad planami wojennymi. Sprawy zaciągów wziął na swoje barki Zamoyski, piechotę siedmiogrodzką werbował brat króla, Krzysztof, na „wybieranie pieszych według liczby pewnej łanów ze wsi wszelakich naszych królewskich" wysłał Batory rotmistrza Antoniego Lubowickiego.[15] Kwestie pieniężne rozwiązał nader konwencjonalnie, zaciągając nowe pożyczki. Z Grodna wskazał Batory miejsce koncentracji: Czaśniki nad rzeką Ułą. Stąd rozchodziły się drogi na Wielkie Łuki i Smoleńsk. Car obawiał się marszu króla na Psków. Na którą jednak z tych twierdz Batory uderzy, nie bardzo wiedział, mimo słanych do Wilna szpiegów.

Wielki hosudar zmienił się nie do poznania od chwili upadku Połocka. Przyszło mu czytać listy poddanych, których dotąd nie zdarzało mu się otrzymywać. „Gdzież twoje zwycięstwa? — szydził z Iwana nagabywany przezeń kniaź Andrzej Kurbski, który uciekł spod żelaznej opieki hosudara. — Zamiast sławy wojskowej wstydem upojony jesteś, albowiem nie masz dobrych rządów bez dobrych bojarów, a niezliczone wojsko bez biegłego wodza jest stadem owiec, które powiew wiatru lub padnięcie liści z drzew rozproszy (...) kładę palec na ustach, zadziwiam się i płaczę!" — kończył tragiczny w tonie list rozdarty wewnętrznie kniaź intelektualista, pierwszy rosyjski tłumacz Cycerona, nie cierpiący cara równie mocno jak uwielbiający „ukochaną swoją ojczyznę", Rosję.[16] Nic więc dziwnego, że Iwan IV zwolnił z aresztu posła królewskiego Bazylego Łopacińskiego, tłumacząc się nieporozumieniem, i „łaskawiej niż kogokolwiek dotąd posadził przy stole i obdarzył nawet jedwabną szatą".[17] Natomiast trzem bojarom nakazał napisać epistoły do pierwszych panów na Litwie — Mikołaja „Rudego" Radziwiłła i Eustachego Wołłowicza — z gorącymi prośbami, by magnaci litewscy padli do nóg królewskich, tak jak oni do nóg hosudarskich, co miało powstrzymać rozlew chrześcijańskiej krwi. Do Batorego car wysłał zaś niebawem swego posła Iwana Naszczokina, który w wielkim sekrecie oznajmił królowi, iż jego pan, wzruszony rozlewem niewinnej krwi chrześcijańskiej, gotów jest zawrzeć pokój i przysłać nowych posłów. Niech król poczeka na nich w Wilnie.

Batory wiedział, że jest to gra na zwłokę. Proszę bardzo, miał oznajmić Naszczokinowi, „trafić można do króla wszędzie, nawet w obozie, gdzie wśród szczęku oręża posłowie są właśnie najbardziej potrzebni".[18] Ani myślał przegrywać walkę z czasem, bezczynnie oczekując w Wilnie na przybycie legatów carskich. I mimo że w końcu zgodził się na zawarcie pięciotygodniowego rozejmu — do lipca 1580 roku — był to raczej akt woli pokoju niż wiary w jego zawarcie. Przygotowania wojenne nie zostały zwolnione.

Zapewne król był dobrze poinformowany, że Iwan Groźny również nie zasypia gruszek w popiele: w styczniu 1580 roku car zwołał duchowieństwo do Moskwy. „Cerkiew i wiara są w niebezpieczeństwie" — grzmiał uroczyście do przedstawicieli Kościoła prawosławnego mającego przemożny wpływ na lud. — „Z jednej strony niewierne Turki, chan i nogajczycy; z drugiej Litwa, Polska, Węgry, Niemcy i Szwedzi jak dzikie zwierzęta wysypali się na pochłonienie Rosji." [19] Hosudar tym razem niewiele się mylił, ale też trudno uniknąć tutaj refleksji, jak bardzo musiał się starać, by ściągnąć na niedawno odnowioną państwowość rosyjską tak potężną koalicję! Iwan żądał pomocy duchowieństwa poprzez naruszenie ich majętności — i to bardzo odważne posunięcie mu się udało. Za pomocą bata czynowników, którzy jeździli z prowincji do prowincji z wykazem dzieci bojarskich w ręku i w imieniu hosudara karcili chłostą zwlekających, strasząc ich ożywającym widmem opryczniny, udało się również Iwanowi wepchnąć do szeregów armii pod Pskowem i Nowogrodem wiele młodzi bojarskiej.

Car nie zaniechał też tajnych machinacji, które mogły przynieść w Rzeczypospolitej wiele zamieszania. W chorągwi podczaszego koronnego Andrzeja Zebrzydowskiego służył towarzysz Zygmunt (Marcin?) Rybiński. Pewnego dnia zwierzył mu się niejaki Mirewski, totumfacki możnego pana litewskiego Grzegorza Ościka. Powiedział, że jego pan często bywa u posła carskiego, Iwana Naszczokina. Rozprawiają tam ponoć o handlu skórami i futrami, ale — któż to

wie, jak jest naprawdę? Może knują jakiś spisek? Od szeregowego towarzysza wieść doszła do króla.

W gruncie rzeczy Batoremu sprawa ta spadła jak gwiazdka z nieba. Mirewskiego wezwano przed oblicze marszałka nadwornego i osadzono pod strażą. Potwierdził swe rewelacje, dodając, że więcej o tej zagadkowej sprawie wie zaufany Ościka, jakiś Bartłomiej.

Batory wzywa czterech senatorów na radę. Zapada decyzja — ująć Ościka, choć broni go prawo, neminem captivabimus nisi iure victum, indygenat, starożytny ród. Okazuje się, że Ościk jest w Trokach; tam dopada go zastęp dworzan, więzi i przetrząsa gospodę. Wyniki rewizji są oszałamiające: w szkatule Ościka znaleziono podrobione pieczęcie różnych senatorów i karty ze sfałszowanymi podpisami gotowe do wysłania na wschód. Prawdopodobnie Ościk przed hosudarem stroił się w pióra przywódcy rozległej opozycji antybatoriańskiej. Na dodatek dworzanie królewscy szukający tajemniczego Bartłomieja dopadają go we wsi Kowarsk, dwie mile od Wilna, gdzie przejmują kruszce i młoty gotowe do bicia fałszywej monety. Ów Bartłomiej zeznaje, iż jego pan już w czasie bezkrólewia porozumiewał się z Moskwą.

Postawiony przed oblicza senatorów Ościk zaprzecza, jakoby zdradził króla. Jednak oczywiste dowody sprawiają, że staje przed sądem. Och, sprawa jest niebywała; szlachcic, słychać liczne głosy, powinien być nie inaczej sądzony jak na sejmie. To jest bezprawie. Jak to bezprawie, odpowiadają zwolennicy dworu i silnej władzy króla, przecież jest wojna, obowiązuje prawo wojenne, a neminem captivabimus jak i inne przywileje szlacheckie mogą chronić jedynie ludzi o nieskazitelnej sławie, a nie jawnych zdrajców. Ten argument przeważa. Nieszczęsny Ościk postawiony przed sądem kaja się na piśmie w sposób nieoczekiwany: tak, obiecywał carowi zabić króla Batorego, „dać w posesją Litwę Moskwie zdradą" [20] — lecz był to wybieg, aby upuścić nieco złota z hosudarskiego skarbca. Tonął wszak w długach wywołanych lekkomyślnym trwonieniem majątku i zamiłowaniem do licznych procesów; stąd też bicie przez jego Żyda fałszywej monety i podrabianie podpisów. Ościk nie kłamie — jest zadłużony po uszy i procesuje się zawzięcie, acz z coraz

gorszym skutkiem — ale weredyzm nie popłaca. Król po naradzie z senatem wydał dekret 15 czerwca skazujący Ościka na karę śmierci. Nie jest więc do końca prawdziwe twierdzenie kronikarza, iż „kazał go k r ó l ściąć, także i Żyda".[21] Za karą śmierci opowiedział się również senat, co w świetle późniejszych pomówień jest sprawą istotną. W trzy dni później w Wilnie wyrok wykonano.

Ale też król musiał dostrzegać, że wraz ze ścięciem głowy wielmoży litewskiego zbija ważny kapitał polityczny. Surowy wyrok nie tylko wpływał na chwiejnych, potrzebujących pieniędzy, choćby rubli, i ukazywał twardą rękę żelaznego władcy, ale nade wszystko prowadził do zwarcia szeregów litewskich naprzeciw podstępnego cara. Czyż taki kapitał nie był wart jednej, zdaje się bardziej lekkomyślnej niż zdradzieckiej głowy? Z drugiej strony Batory ryzykował, gdyż na Litwie i w Polsce szybko podniosły się głosy zarzucające królowi i senatorom złamanie praw II Statutu Litewskiego. Wedle nich Ościka mógł osądzić jedynie sąd sejmowy. Anonimowy *Lament Hrehorego Ościka za jego uczynek poczciwości osądzonego i na gardło skazanego*, wydany tuż po ścięciu, nie wywołał zdecydowanego rezonansu społecznego, gdyż trwała wojna i zdrada była jawna. Wydaje się jednak, że naród szlachecki dobrze zapamiętał poczynania króla i rady senatorskiej; zresztą, jak wiemy, nie było to pierwsze ścięcie, które wzbudziło dwuznaczne nastroje wśród szlachty.

Zakarbowano też w pamięci inne posunięcie króla: część schedy po Ościku, Owantę w województwie wiłkomirskim z przyległościami, syn Kaspra „pan Gabriel Bekiesz i po niemu obojeho rożaju dieti i wsi potomki jeho" [22] otrzymali. Batory, mimo oporu szlachty, nadal forytował swych ziomków, jak mógł, choć przestrzegając pilnie zwyczajów kancelarii litewskiej: obszerne nadanie napisane było po rusku. To jednak za mało, by zyskać przychylność szlachty do takich postanowień.

Dwudziestego dziewiątego maja, w niedzielę, w dzień Najchwalebniejszej Trójcy Świętej przed wielkim ołtarzem katedry zamku wileńskiego biskup żmudzki Melchior Giedroyć przypasał królowi miecz i ozdobił skronie czapką. Był to symboliczny, wiele znaczący

prezent „przez Pawła Uchańskiego od papieża Grzegorza XIII przysłany". To nie tylko akt potwierdzenia władzy królewskiej Batorego, ale głównie nadanie mu rangi rycerza Kościoła. Papież i wojujący katolicyzm był mocno zainteresowany losem niezmierzonych równin rosyjskich, chutorów i siół, żyjących w niedobrym dla zbawienia, a głównie dla interesów Rzymu, błędzie „schizmy wschodniej".

Odezwał się również cesarz Rudolf, przysyłając posła Kochcickiego: „stany bowiem Czech, Moraw i Śląska przedkładały cesarzowi, jak jest pożytecznym i korzystnym dobre z królem polskim sąsiedztwo i przyjaźń". Batory przyjął posła, ale nie omieszkał w liście do cesarza wypomnieć uwięzienia polskiej legacji i innych dotkliwych przykrości, jakich zdarzyło mu się doznać. „Wszelako obiecano przyjaźń, jeżeli się cesarz zachowa jako przystało na chrześcijańskiego monarchę."[23]

Tak mógł napisać cesarzowi władca pewny swej potęgi i znaczenia w świecie. Oczywiście znaczenie władcy jest najczęściej funkcją możliwości państwa, w którym panuje. Wyprawa pod Połock wykazała, że są one bardzo duże.

III. WIELKIE ŁUKI

Szesnastego czerwca 1580 roku króla nie było już w Wilnie, nie przyglądał się kaźni tego, który ponoć chciał go zgładzić. Batory nie miał zwyczaju przyglądać się egzekucjom. Przez Mińsk jechał do Borysowa, gdzie jeszcze w XIX wieku stał widoczny ślad pobytu Batorego: ciosany olbrzymi kamień królewski „z wyrytym obliczem króla i literami R(ex) S(tephanus) B(athory)" oraz leżąca koło przeprawy przez Berezynę karczma „Baturyna", w której miał się ponoć król zatrzymać. Z Borysowa monarcha pociągnął do Czaśnik, gdzie skoncentrowana była już wielka armia. Przygotowania były jeszcze staranniejsze niż uprzednio, a Batory wpadł na nowy pomysł: upaństwowienia zaprzęgów konnych do transportu artylerii i sprzętu. Niezwykle starannie dokonywano zakupów nie tylko uzbrojenia, ale i licznych materiałów pomocniczych, a nade wszystko żywności, której brak tak dotkliwie odczuli pod Połockiem zaciężni Niemcy. Notabene problemu zaopatrzenia w żywność król nie zdoła rozwiązać ze względu na wysokie ceny: nadal armia będzie rekwirowała i „picowała", de facto grabiąc okoliczną ludność.

Podczas tych podróży Batory kolejny raz ujawnił swe zdecydowane przywiązanie do katolicyzmu. Oto, wedle relacji księdza Skargi dla nuncjusza Caligariego, król między Grodnem a Kownem miał wstępować do każdego kościoła, który dojrzał. Rozmawiał z proboszczami i wikarymi, nie znajdując jednak, westchnął uczony jezuita, partnerów do transcendentnych, a i ziemskich konwersacji łacińskich — okrom księdza ze Stokliszek, doktora Augustyna Rotunda Meleskiego.[1] Do właściwego teatru działań wojennych była spora odległość, ale gesty takie bywały opacznie interpretowane przez żołnierzy katolików i wyznań reformowanych zawsze skłonnych do łupiestw prawosławnych (i na odwrót). Przecież różnice wyznań tak pięknie tłumaczyły prawo do gwałtu i miecza...

W toku przygotowań najmowano też wielu prawdziwych mistrzów rzemiosła, stąd zwanych dumnie „artifices", znanych oficerów artylerii i inżynierii wojskowej z południowej i zachodniej Europy. Najmowani byli oni głównie we Włoszech, a najkorzystniejsze okazało się skaptowanie Dominika Ridolfina, służącego pod słynnym kondotierem na usługach Republiki Weneckiej, bijącym się z Turkami na Krecie o Kandię, Latino Orsinim (Ursinim). Ridolfino został szefem włoskich inżynierów; potem fachowcy ocenią go jako najwybitniejszego cudzoziemskiego inżyniera w XVI-wiecznej Polsce. Notabene listy Ridolfiniego są źródłem, które bardzo przybliża nam postać Batorego. Król tworzył też służbę medyczną przez doraźny zaciąg cyrulików (chirurgów) na czele z Wilhelmem Lucenbergerem oraz aptekę polową prowadzoną przez Anioła Kobarta (Angello Caborti). Zadbano o przygotowanie planów przemarszu na podstawie map wykonanych przez Macieja Strubicza i Sulimowskiego. Przy tym przekupieni bojarowie słali do Zamoyskiego cenne wieści z Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, które uzmysławiają nam, że car do ostatniej chwili nie wiedział, gdzie zbrojący się tak potężnie król zamierza uderzyć. Iwan IV podejrzewał, że Batory ruszy na

Smoleńsk: fortyfikował go zatem i obsadzał nowymi oddziałami strzelców. Przekonania hosudara umocniły się, gdy Batory znienacka zaczął używać rozwiniętej tytulatury, nie pomijając rzecz jasna tytułu księcia smoleńskiego.

„Podsumowując przygotowania strategiczne Batorego do nowej kampanii, trzeba podkreślić przede wszystkim ich wielki rozmach i wszechstronność" — napisał historyk, który z niezwykłą precyzją i benedyktyńską cierpliwością ustalił owe, pozytywistyczne rzec można, działania króla[2] nie mające nic wspólnego z improwizowanym heroizmem. Ósmego lipca król stanął w Szczydutach, kilka kilometrów od Czaśnik, otoczony zewsząd chorągwiami swojej armii. Tutaj 18 lipca odbyła się rada wojenna, na której miano ustalić ostateczny kierunek marszu: następnego dnia kończył się przecież pięciotygodniowy rozejm z carem. Wiele wskazuje, że Batory znał dobrze cel wyprawy, ale tail go tak skutecznie, że poseł Iwan Naszczokin, mający wszak także sporą sakwę ze złotem na kaptowanie szpiegów, żalił się swemu hosudarowi, że ciągle nie wie, gdzie pomaszeruje Batory.

Na radzie w Szczydutach jedni radzili iść na Smoleńsk, drudzy na Psków, inni na Wielkie Łuki. Dwie pierwsze propozycje oznaczały, podług króla, podjęcie zbyt dużego ryzyka: Psków leżał zbyt daleko, olbrzymi Smoleńsk, liczbowo dwa razy większy od Warszawy, był zbyt silnie umocniony i broniony przez potężną załogę, a jego okolice złupione przez Filona Kmitę Czarnobylskiego. Na bitwę w polu nie można było liczyć. Należało zatem zdobyć, sądził Batory, Wielkie Łuki, odcinając konsekwentnie Moskwę od Inflant — choć mogło to oznaczać jedynie osiągnięcie celu pośredniego — choć mogło to oznaczać jedynie osiągnięcie celu pośredniego w wojnie o Inflanty. Prawdopodobnie w Szczydutach wyznaczono też trasy przemarszu poszczególnych oddziałów, co miało związek z blokowaniem bądź zdobywaniem twierdz.

Swojej armii przyjrzał się król dokładnie w połowie lipca stojąc na pagórku w Łukomli koło Czaśnik, przy wąskim moście, o którego belki terkotały podkowy i podkówki przechodzących koni i ludzi. Szczególne wrażenie wywierały zastępy sześciotysięcznej dywizji Zamoyskiego, który widząc blisko swych rąk buławę hetmańską, pościągał żołnierzy łapiąc ich na haczyk swej hojności. Wyróżniały się one w specyficzny sposób: plecy jazdy lekkiej przecinały rury samopałów miast przestarzałych łuków, a wszyscy żołnierze odziani byli w czarne sukna na znak żałoby po ukochanej żonie Krystynie Radziwiłłównie i córeczce. Porzuciwszy żałobną myśl o służbie Bogu przez przyjęcie święceń kapłańskich i kardynalskiej purpury, Zamoyski postanowił zrealizować swe niebotyczne ambicje w służbie Marsa. Zainscenizował więc przed królem wielkie widowisko z udziałem jeźdźców, którzy „formują swoje roty i czynią namiastkę bitwy jezdnej z wielkim szczękiem oręża i wystrzałami, tak że zdawało się, że prowadzi się ją na poważnie, tym bardziej że głośny huk wystrzałów rozbrzmiewał przez długi czas; wszystko jednak odbyło się pomyślnie i mimo wielkiego zamieszania żaden z uczestników nie doznał obrażeń".[3]

Jednym ze źródeł sukcesów było przywiązywanie przezeń wielkiej wagi do siły ognia. Obok oręża ręcznego każdy z jeźdźców miał mieć sprawną broń palną. Oczywiście to samo tyczyło się piechoty, której znaczenie za Batorego wzrosło, podobnie jak pozycja fachowców, takich jak Krzysztof Rozdrażewski, Ernest Wejher i Jerzy Farensbach. Dużą rolę miał odgrywać pięciotysięczny oddział węgierski, w którym obok Jana Bornemissy widzimy Gabriela Bekiesza, dowódców piechoty nadwornej, Stefana Karolyiego, i siedmiogrodzkiej — Jana Gála. Gros armii królewskiej stanowiły siły litewskie i koronne. Czternastego lipca Batory uhonorował rotmistrzów królewskim obiadem i wypłatą 51 253 złotych należnego wojsku żołdu, ale popis miał jeszcze trwać. Jak na ówczesne czasy armia była ogromna i przez cztery następne dni, do 19 lipca, król mógł patrzeć na przechodzące chorągwie. W sumie prezentowały się one lepiej niż przed wyprawą połocką.

Król miał już wyjeżdżać z Czaśnik, gdy dopadł go zdesperowany goniec carski, w szarych sukniach, prosto z drogi, nie przebrawszy się nawet w zdobne szaty wydawane specjalnie z carskiego skarbca na czas misji. Iwan IV przysłał list powiadamiający Batorego, iż wielkie poselstwo moskiewskie zjedzie 15 lub 16 sierpnia do Wilna, by z królem układać się o pokój. Goniec „przeto prosił, aby się król

do Wilna ich poselstwa słuchać wrócił na zwykłe miejsce. Ale król widząc szyderstwo"[4] i znaną mu dobrze grę na zwłokę, szczerze odparł, że „nie może też bez wielkich strat i szkód dłużej w granicach swoich żołnierza zatrzymywać. Jeśli posłowie carscy przybędą, wszędzie, gdziekolwiek się znajdować będzie, chętnie im da audiencję."[5] Okazało się rychło, że car nie kwapi się wysyłać wiarygodnych posłów; w zamian zaczął zasypywać Batorego sążnistymi epistołami, dość jednakowymi w tonie i treści, aż znudzony tym król przerwał na jakiś czas tę „zabawę" odsyłając Iwanowi jego własny list — nie odpieczętowany.

Dwudziestotysięczna armia, która miała się jeszcze znacznie rozrosnąć, potoczyła się wreszcie drogą z Czaśnik do Witebska. Sam król zboczył nieco z drogi, aby zbadać stan zamków Lepel i Uła i podjąć decyzję o ich wzmocnieniu bądź zburzeniu. Codziennie odbywały się rady „względem dalszych obrotów": w Witebsku postanowiono wojsko podzielić. Prawa kolumna miała pomaszerować na Wieliż i zdobyć go; dowódcą król mianował Jana Zamoyskiego, kanclerza wielkiego koronnego. Och, jak ci Polacy potrafili przestrzegać praworządności ku udręce żelaznego króla: na wieść o decyzji Batorego zażądali, by monarcha oddał dowództwo nad wydzielonym oddziałem hetmanowi polnemu koronnemu Mikołajowi Sieniawskiemu, a nie kanclerzowi. Właściwie, dowodzili z kolei Litwini, król winien wydzielony oddział oddać pod komendę hetmana wielkiego litewskiego — a już z pewnością nie kanclerza koronnego, który łatwiej trzyma w ręku pieczęć i pióro niż szablę i buzdygan: ponadto jest to wbrew prawu i zwyczajowi! Batory rozstrzygnął rzecz we właściwy sobie sposób: Litwinom schlebił, że ich hetmana chce mieć u swego boku. Gdy dowódcy litewscy zaczęli mimo to zwlekać, zagłębiając się w labirynt praw Rzeczypospolitej i II Statutu Litewskiego, a ich chorągwie zbyt wolno ściągać na miejsce koncentracji, król nie oglądając się na nic, przeciął prawnicze dyskusje. Dwudziestego dziewiątego lipca gotowego do wymarszu Zamoyskiego wysłał na Wieliż.

Rosyjskie drogi znane były od dawna — i teraz rycerstwo polskie miało okazję się z nimi dokładnie zapoznać. Ledwie wyszli z granic

polskich, za Surażem ogarnęły ich grząskie błota i gęste lasy, przez które musieli się przerąbywać z wielkim trudem, jak zauważył obrazowo Marcin Bielski, „wszędzie chrusty słać i mostek dziać". Stan dróg był funkcją polityki Iwana: łatwiej było mu sprawować kontrolę nad bierną, nieruchawą ludnością, przypisaną do miejsca, nie wyjeżdżającą za granice, dla której świat się kończył na obrzeżach chutoru czy posiadłości. Inna rzecz, że Zamoyski, wybitny znawca sztuki wojennej z ksiąg Cezara i Ksenofonta, wybrał efektowny, acz piekielnie trudny wariant zaskoczenia przedzierając się przez drogę, którą „lat temu 160 Witold tamtędy wojsko prowadzał, potem już nikt".[6] Ciche podejście na niewiele się zresztą zdało, gdyż wokół Wieliża na przestrzeni kilku kilometrów Rosjanie utworzyli ze ściętych drzew ogromne zasieki opóźniające jeszcze bardziej skryty marsz. Wychodzące z lasu, zmęczone chorągwie przywitały kule armatnie wieliżan i swąd ze zgliszcz chłopskich chałup.

Trzeciego sierpnia, gdy utrudzony Zamoyski stanął pod Wieliżem, z Witebska ruszyła główna część armii królewskiej. Podobnie jak to zarządził kanclerz, i teraz ciężki sprzęt dźwigały na sobie wody Dźwiny. Szóstego sierpnia król był już w Surażu, tutaj doszła go szczęśliwa wieść o zdobyciu Wieliża. Po kilku dniach sypania wałów i przykopów, za którymi ustawiono działa, Zamoyski dał znak artylerii: kilka celnych pocisków zapalających zajęło palisadę pokrytą nieszczelnie darnią i spędziło załogę Wieliża z dziewięciu baszt i zza drewnianych umocnień. Zamek poddał się nadspodziewanie łatwo.

Batory pośpieszył do Wieliża, obejrzał go dokładnie ze wszystkich stron, zbadał ustawienie oblegających chorągwi, odbył tajemną radę z Zamoyskim, po czym zmęczony zasnął w obozie, w namiocie kanclerza. Rano wjechał w mury Wieliża, gdzie wielce zadowolony miał powiedzieć, patrząc na zamek: „Kocham się w nim tak bardzo jako w połockim i jest tak obronny jako Połock."[7]

Przesada zawarta w tych słowach brała się zapewne z wielkiej radości: nową kampanię otworzyło szczęśliwe i szybkie zwycięstwo. Miało to wielkie znaczenie dla morale wojska. Przed królem na drodze do Wielkich Łuk stał już tylko zamek w Uświacie. Zadowolony Batory puścił jeńców wolno, dając jeszcze raz dowód, że

wojuje z carem, a nie z narodem rosyjskim, a sam zawrócił do Suraża. Stąd jego armia w dwóch kolumnach rozpoczęła żmudny marsz na Uświat.

Król śpieszył się: hosudar znów rozpoczął bombardowanie go listami. Ale armia królewska mogła posuwać się w dość ślamazarnym tempie czternastu kilometrów na dzień. Rosjanie bowiem „taki zwyczaj mają, że ziemię najbliższą granicy nieprzyjacielskiej na kilka tysięcy kroków nieuprawną i pustą zostawiają, tworząc tym sposobem z lasów, krzaków i zielska rodzaj naturalnego okopu. Sądzą, że jest to najpewniejszy środek od zasłonienia się od nagłych i niespodziewanych napadów."[8] Przez dwadzieścia lat zdobyty obszar przygraniczny na głębokości 180 kilometrów został na rozkaz Iwana zapuszczony, tworząc gęstą, zbitą knieję. Na dodatek ludzi, konie i sprzęt zaczęły wciągać straszne bagna; w tej błotnistej gęstwinie z najwyższą trudnością torowano sobie drogę na Wielkie Łuki. Okazało się, że to nie Uświat — zamek ten poddał się 16 sierpnia jeszcze szybciej i ochotniej niż Wieliż — lecz wyhodowana na mocy ukazu „puszcza" jest główną przeszkodą w marszu na twierdzę.

Chwile odpoczynku pod Uświatem osłodził królowi znany orator i pisarz Krzysztof Warszewicki, wygłaszając stosowną mowę po łacinie. Ów duchowny, człowiek „giętkiego sumienia", biorący roczną „pensyję, tj. 500 tal[arów]"[9] od cesarza, jednocześnie wychwalał Batorego po powrocie spod Połocka jako „wzór wszystkich królów".[10] Tym sposobem wkradł się w łaski królewskie, a dowodem było wypłacenie mu z kasy nadwornej w Szczydutach stu złotych. Mowę wygłoszoną koło Uświatu były rektor kolegium jezuickiego w Wilnie ofiarował królowi na piśmie; potem będzie robić tak częściej, zapewniając sobie nie tylko wysokie nagrody od wdzięcznego adresata panegiryków, ale stałą wysoką pensję roczną — 1000 złotych. Królowi wybitne pióra i głosy były bardzo potrzebne i doceniał ich wartość, kiedy służyły jemu.

Być może łatwy sukces spowodował, że tym razem Batory nie zawahał się puścić załogę Uświatu nie tylko wolno, ale z bronią. Trochę to ryzykowne, gdyż od Wielkich Łuk dzieliło armię około stu kilometrów, z czego sześćdziesiąt to znane żołnierzom do imentu

bagna, lasy, zasieki i walące się zmurszałe zupełnie mosty. Smutny krajobraz rozkładającej się zielonej pustyni. „Ruszyliśmy się z Królem JMścią. Uciągnąwszy dwie mile położyliśmy się w szczerym boru, gdzie nie tylko trawy, ale i biednego wrzosu mało" — biadał hetman nadworny Jan Zborowski w liście do brata.[11] Było nad czym się żalić, gdyż brak trawy oznaczał gwałtowne chudnięcie i opadanie z sił koni, które w końcu zaczęto karmić korą z drzew, gałązkami, sitowiem i trzciną, zrywaną przez unurzanych w wodzie żołnierzy i służbę.

Po czterech dniach uciążliwego marszu Batory wreszcie wydostał się na piaszczysty grunt pod monasterem zwanym Koptia. Tutaj miał się spotkać z siłami pod Zamoyskim opędzającym się nie tylko od Tatarów nogajskich w służbie cara, ale i własnych żołnierzy żądających wypłaty zaległego żołdu. Wszyscy odetchnęli z ulgą: „wyszło wreszcie wojsko na otwarte miejsca. Tutaj działać swobodnie mogło, mając otwarte niejako wrota do całej Moskwy." Trudne chwile przemarszu, tak barwnie odmalowane przez dworskiego kronikarza, jakby sam w nim brał udział, w rzeczywistości trwały krótko.

Spod monasteru Koptia do Wielkich Łuk były dwie mile (około 14 kilomerów) i król 25 sierpnia pojechał w lektyce obejrzeć twierdzę. „Oglądając zamek" jeździł tak, „że nie tylko z hakownice, ale z dobrej rusznice mogliby nas dosiąc (...) Strzelanoć, ale z łaski Bożej nam nic", choć „uderzyła kula tuż przed nami samymi, cośmy z Królem JMścią jechali" — westchnął znów Zborowski.[12] Batory rzeczywiście niepotrzebnie się narażał, choć uwielbiał to; jest coś głęboko słusznego w zgryźliwym stwierdzeniu świetnego znawcy dziejów wojskowości Tadeusza Korzona, że Batory był „dobrym, energicznym oficerem".[13] Na wystawianie piersi naprzeciw kulom przeciwnika nie powinien ważyć się wódz i król, od którego istnienia zależał nie tylko los armii, ale całego państwa i części Europy. A od ustawienia pododdziałów w szyku — „we trzy rzędy tylko Król JMość szykować kazał"[14] — jest oficer, no, generał, a nie strateg.

Choć — z drugiej strony...

Wielkie Łuki, nazwane tak od rozległych i żyznych przestrzeni

porosłych zielenią gęstych traw, musiały budzić respekt. Wzgórze, na którym stała twierdza, oblane było jeziorem, a od strony południowo-wschodniej wodami rzeki Łować, przecinającej miasto na pół. Między jeziorem a rzeką prowadziła wąska ścieżka. Olbrzymie wały zakrywały nawet wyrastające na ogół ponad wszystko kopuły cerkwi; wielkie baszty pobudowane przez jakiegoś niemieckiego mistrza okryte były wilgotną darnią. Wokół unosił się swąd i dopalały zgliszcza, gdyż miasto, „które było dobrze większe niż Wilno dwakroć", zostało przez załogę zamku spalone. Zborowski, oceniający wielkość Wielkich Łuk, przesadził; nie dodał też, co zrozumiałe, że były one całkowicie drewniane, jak niemal wszystkie miasta Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Na czele obrony twierdzy stał Fiodor Oboleński-Łykow; aby nie czuł się zbyt pewnie i samodzielnie, car przydał mu „dozorców: Iwana Wojejkowa, swego pierwszego komornika, do śledzenia Łykowa i innych".

Wiemy już, że wbrew pozorom umocnienia drewniano-ziemne były trudniejsze do zdobycia niż mury typu zachodniego, rozbijane dość łatwo przez silny i skomasowany ogień artylerii. Zamoyski i Bornemissa dokonali więc starannego rekonesansu okolic twierdzy, przygotowując plan ugrupowania wojsk. Przechodząc przez rzekę dowódca węgierski ugrzązł z koniem w błocie i tylko zrzucona przezeń kosztowna delia, z oberwanym podczas szamotaniny rękawem, zatrzymała podbiegających z zasadzki Rosjan. Bornemissa zdołał uciec: życie ludzkie bywało tańsze niż delia. Tego samego dnia — 26 sierpnia — król w lektyce przebył Łować i obejrzał zamek od strony rzeki, „zaraz skąd by go oblec, gdzie też obóz założyć, konkludował".[15]

Następnego dnia barwna fala wojsk królewskich w ozdobnym szyku zaczęła oblewać zamek od strony południowej; naprzeciw sunęły żałobne hufce ponad sześciotysięcznej dywizji Zamoyskiego. Zielone łąki wokół twierdzy zostały zasłane proporcami, mrowiem żołnierzy w barwnych strojach, błyszczącym sprzętem wojennym: widok z twierdzy był dla Rosjan groźny i oszałamiający. Kronikarze zgodnie podkreślają wielkie wrażenie, jakie uczyniły na obrońcach Wielkich Łuk liczne, świetnie wyszkolone i uzbrojone chorągwie

królewskie; inna sprawa, że ów podziw i pokaz miał z obu stron coś z dziecięcego zachwytu i zabawy na tym smutnym świecie przemocy i wojen. „Więc trąby i bębnów nasłuchać się co dosyć nie mogli i mało co tego dnia strzelali" — pisał kronikarz o reakcji Rosjan.

Nim król rozpoczął regularne oblężenie, pojawili się posłowie hosudara Iwan Sickoj i Roman Piwow. Na granicy koło Suraża kniaziowie ci błagali polskich rotmistrzów, by ich pojmano i tak odstawiono przed oblicze króla polskiego. Dlaczego? — dziwili się Polacy. Okazało się, że posłowie cara nie mogą odprawiać poselstwa na ziemi swego pana. Rotmistrzowie jednak ani myśleli łamać prawa nietykalności posłów; ci i na to znaleźli sposób. Krzycząc, że „im się gwałt dzieje", opuścili śmiejących się rotmistrzów i stawili przed obliczem króla „o godzinie dziesiątej na półzegarzu" w paradnych strojach. „W złotogłowy, altembasy ubrani, perłami bardzo pięknymi u sukien, kołnierze haftowane, jamołki i kołpaczki perłami także haftowane" — rozczulił się zazdrośnie na ich widok rotmistrz Łukasz Działyński.[16] Zazdrość niepotrzebna. Stroje wypożyczał sam hosudar tylko na okres poselstwa. Sickoj i Piwow oznajmili, że wielki kniaź chce braterstwa i przyjaźni, gotów jest zawrzeć pokój, byleby Stefan cofnął się z jego ziemi.

Król, owszem, podał posłom rękę do pocałowania, ale „przyjął ich w swoim namiocie z dumą i okazałością, siedział w czapce, gdy mu oni oddawali ukłon od cara i grzecznego im nawet wyrazu nie powiedział".[17] Zachowaniu odpowiadały słowa: respons, ostry i zdecydowany, podany był przez hetmana polnego litewskiego Krzysztofa Radziwiłła. Pozostali członkowie rady senatorskiej siedzieli na ławach, które król nakazał wnieść do swego namiotu. Teraz gdy on, król Batory, stoi ze świetną armią pod Wielkimi Łukami, kniaź moskiewski przysyła posłów z tymi samymi warunkami, które przyszło wysłuchiwać i czytać już kilka razy przedtem, myślał zapewne król. Przecież już w styczniu 1580 roku car pisał, iż chce „bractwa i brackiej przyjaźni i miłości"[18] za cenę wyprowadzenia z granic Wielkiego Księstwa Moskiewskiego wojsk królewskich. Batoremu jednak wraz z odnoszonymi sukcesami przestało zupełnie zależeć na uznaniu go za brata-monarchę przez wielkiego kniazia;

mógł pozostać dlań, jak niedawno i znów niebawem — „sosiedem". Dlatego po naradzie w „pokojowym namiocie" uznano to za kolejną próbę gry na zwłokę i nakazano posłom Iwana, aby „się gotowali jutro tą drogą, którą przyszli", bo „Król JMść dla nich czasu tracić nie chciał".[19] Jednocześnie Batory rozkazał Zamoyskiemu wspartemu piechotą siedmiogrodzką Bornemissy i Stefana Karolyiego rozpocząć prace nad podkopami w kierunku zamku, zgodnie z ustalonym uprzednio planem.

Zdecydowanie i pewność króla miały solidne podstawy: tego dnia, gdy odprawiał z kwitkiem kniaziów moskiewskich, przyszła wieść, że hetman Krzysztof Radziwiłł pobił hufiec rosyjskiej jazdy pod Toropcem. W twierdzy tej, około stu kilometrów od Wielkich Łuk, zgromadzone były poważne siły carskie pod kniaziem Wasylem Chiłkowem. Ich zadaniem miała być dywersja na tyłach wojsk królewskich oblegających Wielkie Łuki. Początek wojny w polu był dla Rosjan niespodziewany: mimo że car zabronił starć z Polakami, trzystuosobowy oddział moskiewski został zaskoczony i rozbity przez kozaków litewskich Radziwiłła właśnie na zewnątrz zamku.

Tymczasem Zamoyski jął przeprawiać piechotę węgierską przez bagnistą Łować, nakazując natychmiast po przejściu sypać szańce. Mimo jego nie kwestionowanych talentów organizacyjnych doszło do nielichego zamieszania, z którego skorzystała wycieczka wojsk rosyjskich bijąc i wypierając żołnierzy kopiących rowy bez ubezpieczenia. W garści mężnie walczącego, choć zaskoczonego wielce chorążego pozostała tylko część proporca pieszej roty; resztę wyrwali mu Rosjanie. Ów „szmat chorągwie" ocalił zresztą nieszczęsnego chorążego, gdyż ambitny „pan kanclerz był bardzo żałościw i propornika tego mało na gardle nie karał, aż go i wyświadczeniem i przyczynami ledwo ratowano".[20] Zamoyski piórem Heidensteina, a może i swoim, dość gęsto tłumaczył się potem z owego niepowodzenia. Sądzić więc należy, że wizyta króla, który nazajutrz przebył Łować, by przyjrzeć się poczynaniom artylerii Zamoyskiego, była wywołana chęcią sprawdzenia poczynań kanclerza, pełniącego funkcję hetmana.

To, co ujrzał Batory, nie było zachęcające. Wprawdzie Zamoyski

działa ustawił na szańcach szybko i sprawnie, przekopał też ścieżkę między jeziorem a Łowacią chcąc spuścić wodę z jeziora do rzeki, ale kanonada niewiele wnosiła prócz huku. Zapalające pociski wbijały się w wał ziemny, rozrywały darń — i gasły: zamek stał „w miejscu twardym z przyrodzenia". Król zatem „zrobił uwagę Zamoyskiemu, żeby się strzelaniem do niej darmo nie bawił".[21] Podniesiono lufy dział, celując w drewniane szczyty fortyfikacji, skąd ziała ogniem artyleria wielkołucka. Przyniosło to spore rezultaty: drewniane blanki zaczął obejmować pożar, Węgrzy rzucili się do szturmu na wały. Bohaterstwo Rosjan, którzy gasili ogień odziani w skóry zmoczone wodą, zapobiegło rozszerzeniu się pożaru. Swąd palonego i gaszonego drewna, zwilżonych osmolonych skór, gryzącego dymu i ostry zapach prochu roznosił się wokoło.

Ale ów pożar, śledzony pilnie przez posłów hosudara, wywołał ich błyskawiczną wprost reakcję: 2 września znów stawili się „do całowania ręki Króla JMości" z nowymi propozycjami pokojowymi. Były one na miarę zagrożenia twierdzy: w ogóle ich warunki zmieniały się w zależności od obszaru i wysokości płomieni ogarniających Wielkie Łuki. Od żądań zwrotu Połocka carowi przechodzili stopniowo do propozycji odstąpienia nie tylko tej twierdzy, ale Kurlandii i Rygi, a nawet chcieli oddać „Ozieryszcze [Jezierzyszcze], dotąd nie utracone. Senatorowie, którzy rokowali z nimi, odpowiadali na to sakramentalnym żądaniem zwrotu przez hosudara całych Inflant, Smoleńska, ziemi siewierskiej, Nowogrodu [!] i Pskowa, a nadto zapłacenia kosztów wojennych."[22] Były to warunki niesłychanie wygórowane i prawdopodobnie obliczone przez samego Batorego na zniechęcenie negocjatorów rosyjskich do prawienia, jak pisał Zborowski, a potem Stryjkowski i Bielski, „baśni".

Nieoczekiwanie jednak po podaniu warunków polskich kniaziowie „pojrzeli wprawdzie po sobie" — i poprosili o widzenie z królem, skłonni do dalszych negocjacji. Ale Batory miał dość dyplomacji, „odpowiedziało im się od Króla JMści, że Król JMść nie targując się upuszcza im Psków i Nowogród".[23] Zaskoczeni posłowie odrzekli, że car poszedłby na dalsze ustępstwa, byleby król przerwał oblężenie.

Jan Zborowski będący wówczas przy Batorym wymienił starannie nazwiska senatorów negocjujących z posłami wielkiego kniazia. Nie było wśród nich kanclerza Zamoyskiego: znak to, że król nie chciał rzeczywistych rokowań i zawierania pokoju nawet na tak korzystnych warunkach. Zapewne był przy tym przekonany, że jest to nowy wybieg Iwana wytrącenia armii królewskiej z uderzenia. Zamoyski pozostał przy działach, a nie w „namiocie pokojowym". To określało politykę króla.

Ale niektórym panom litewskim widoczne parcie Batorego do glorii zwycięzcy wojennego i przymykanie oczu na możliwość bezkrwawych triumfów, było nie w smak i rodziło spekulacje i podejrzenia. Nie tyle zniechęcały panów litewskich trudy oblężenia potężnej twierdzy, ile fakt, że Wielkie Łuki nigdy do Litwy nie należały i na obronę tego obszaru trzeba będzie wyskrobać z mieszka nieliche sumy. Trochę w tym racji — teren był straszliwie spustoszony i zapuszczony — ale Batory miał nadzieję, że zdoła opanować Wielkie Łuki mało uszkodzone.

Opcja pokojowa wśród Litwinów miała trwać niedługo. Niebawem okaże się, że Iwan IV wcale nie jest skłonny do nadmiernych ustępstw i porzucenia Inflant. Ale stanowisko Litwy wskazywało na pierwsze objawy znużenia wojną „poza granicami", tak jakby tamtejsi panowie zapominali, że z Inflant do Wilna jest blisko.

Prace oblężnicze nabierały rozmachu: chłopi z piechoty łanowej, słabo wyszkoleni do walki, za to uparci w pracach ziemnych, świadomi możliwości nobilitowania ich za męstwo, zdzierali kilkumetrową warstwę, aż wreszcie trafili na drewniane części fortyfikacji. Podpalono je. Niezmordowani Węgrzy parli do szturmu, ale Zamoyski, z natury kunktator, wolał zaczekać na rozkaz króla. Jak odnotował starosta Łukasz Działyński, do walki rwał się Samuel Zborowski, który „prosił Króla JMości, aby z niego zdjął banicję, ażeby mógł w Polsce mieszkać, na co mu Król JMść odpowiedzieć kazał, że tak tego zgoła uczynić nie może, ale chce li do tego przyjść, co prosi, niech tedy teraz w dobywaniu zamku co znaczniejszego pokaże". Och, takie dictum było na rękę odważnemu do szaleństwa banicie, który w szańcach czekał niecierpliwie na chwile szturmu. Zauważono, że niechętni mu panowie — głównie hetman polny koronny Mikołaj Sieniawski — starali się przeszkodzić Zborowskiemu w wykazaniu się męstwem, otaczając go swoimi rotami, by sława i na nich spłynęła.

Ale do szturmu nie doszło. Już przedtem w miejsce spodziewanego natarcia Rosjanie zaciągnęli armaty. Mimo to szykowano się do szturmu. W dniu, kiedy Samuel Zborowski prosił króla o zdjęcie banicji, to jest 4 września, Batory patrzał już z bliska na przebieg oblężenia. Zamek tlił się coraz mocniej. „Ujrzycie, że moi piesi niedługo tę ścianę zapalą" — miał rzec do otoczenia.[24] Rzeczywiście: w kwadrans potem część fortyfikacji stanęła w płomieniach. Profetyzm króla brał się po prostu z dobrej znajomości sztuki wojennej, ale nie z „jego" strony miało przyjść rozstrzygnięcie oblężenia.

Mimo niesłychanego hartu wykazanego podczas gaszenia pożarów Rosjanie nie zdołali zapobiec żywiołowi, który rozszerzał się w różnych punktach zamku. Wysłali do Zamoyskiego najstarszego popa z warunkami poddania się. Kanclerz zażądał zdania się twierdzy na łaskę króla. Na wieść o rokowaniach Batory stojący z wojskiem litewskim po drugiej stronie Wielkich Łuk zaczął zbliżać się z licznym orszakiem do kanclerza. Był to jednocześnie akt uznania dla Zamoyskiego jako dowódcy, co przypieczętowały łacińskie oracje z obu stron wygłaszane wśród odgłosów trzaskającego w ogniu drewna, na tle kłębów dymu unoszącego się nad Wielkimi Łukami. Król zapowiedział nagrodę dla kanclerza i jego ludzi. Szturm nie był już potrzebny. Wskutek pożaru załoga twierdzy zaprzestała walki. Wielka w tym zasługa piechoty chłopskiej, która zdarła darń z umocnień.

Starzy praktycy wojenni wiedzieli, że chwile po poddaniu się twierdzy bywają bardziej niebezpieczne niż samo oblężenie. Świadom tego Zamoyski jeszcze przed wygłoszeniem oracji do króla zakazał wchodzenia do zamku komukolwiek okrom pięćdziesięciu hajduków, którzy mieli wynieść z Wielkich Łuk działa i prochy. Jednakże żądza łupu innych żołnierzy, a nade wszystko czeladzi, przeważyła. Nie bacząc na nic, motłoch rzucił się na wały i wtargnął na zamek siekąc wszystkich po drodze. Za nimi runęła pozostała

piechota węgierska i polska, której nie zdołali powstrzymać ani rotmistrzowie, ani hetman Sieniawski. Oddajmy zresztą głos świadkowi tych strasznych zdarzeń, rotmistrzowi Łukaszowi Działyńskiemu:

„Zaczem haniebne wielkie morderstwo nasi czynili, mszcząc się swych, co ich pobito i nie mieli respektu, tak stare, jako i młode niewiasty, i dzieci wszystkie mordowali, czego nie mogąc uhamować starsi jechali precz, jednak który miał miłosierne serce, ile z jazdy siła odejmowano, a zwłaszcza białychgłów a dzieci, co ich nie dali pobić."

Krwawe miecze i szable nie oszczędziły nawet wojewody Jana Wojejkowa, który został zamordowany przez Węgrów już w obozie polskim, gdy usiłował przypaść do nóg Jerzego Farensbacha. Hajducy zupełnie opacznie odczytali to jako chęć ucieczki i zarżnęli jednego z faworytów cara. Żaden autorytet nie był w stanie powstrzymać rozszalałego żołdactwa; to już nie chęć zemsty, jak rozgrzeszał ich potem Heidenstein, ale żądza krwi i łupu ogarnęła wielojęzyczną bezmyślną tłuszczę na zamku.

Opatrzność jednak tego dnia wyjątkowo nie spała: sprawiedliwości, choć po części, stało się zadość. Najbardziej pazerni rabusie zapomnieli, bo zapomnieć chcieli, o pożarze. Kilkuset poszukiwaczy bezbronnych głów i złota zostało na zamku. Ogień dotarł wreszcie do prochów; olbrzymi wybuch wstrząsnął twierdzą grzebiąc katów i ich nieszczęsne ofiary, a nade wszystko nadzieje króla, iż zdoła przejąć uzbrojenie, skarby i twierdzę całą, niemal nie naruszoną.

IV. ZDOBYCZE

Co teraz? — zdawał się pytać król następnego dnia, 6 września, panów radę, swoim zwyczajem wysłuchawszy wszystkich głosów. Stale świadom wartości propagandy, tegoż dnia kazał bić polski i łaciński *Edykt Stefana Batorego z dnia 6 września 1580 roku spod Wielkich Łuk do szlachty polskiej przesłany*, zawierający relację z nowej wiktorii. O rzezi w edykcie nie wspomniano, a jedynie o wielkim pożarze, uporze nieprzyjaciela i, enigmatycznie, o „zajątrzeniu rycerstwa".[1]

Narada trwała kilka godzin: padały najprzeróżniejsze propozycje, od pozostawienia dopalających się zgliszcz i marszu w głąb Rosji do planów postoju wojska koło resztek Wielkich Łuk i tam przetrwania zimy. Wyrozumiałość Batorego wobec tych ekstremalnych wniosków brała się może i stąd, że chyba niewiele rozumiał: przecież większa część panów litewskich miała takie pojęcie o łacinie, jak on o języku ruskim. Nie widać jednak, by król narzucał swe zdanie. Spokojnie przyjął uradzoną konkluzję, aby pozostać na miejscu przez trzy tygodnie, odbudować zamek wielkołucki i obsadziwszy go załogą, zawrócić z wolontariuszami do Polski. Jeżeli nadarzy się okazja — niech inni dowódcy pokuszą się o zdobycie sąsiednich zamków: Jezierzyszcza, Newla, blokowanego przez wojewodę połockiego Mikołaja Dorohostajskiego, Zawołocza, może Chołma. Niestety, nie wiemy, czy owa „conclusia" nie była najzupełniej zgodna z radą pana kanclerza. Opisujący tę naradę dowódca straży przedniej, starosta kowalski i brodnicki Łukasz Działyński, nieźle znający łacinę, tego nie zauważył.

Miejsce na odbudowę zamku król wybrał samodzielnie, choć znów wysłuchał przedtem różnych rad. „Umyślił na starym miejscu już budować"[2], aby jak żartobliwie twierdził, Iwan go w tym nie uprzedził. Projekt i wykonanie powierzył znakomitemu Dominikowi Ridolfinowi, który nie tylko umiał zdobywać twierdze inżynieryjnymi sposobami, ale i je budować. Niemniej czujne oczy króla doglądały niemal codziennie postępu w pracach. Za 3 grosze dziennie, racje piwa i chleba ofiarowane ze szkatuły króla piechota polska, litewska i węgierska, machając dość zgodnie łopatami i siekierkami, do końca września odnowiła całość fortyfikacji. Budulca — drewna — było pod dostatkiem. Wysłanie różnych nacji do odbudowy było przy tym celowe: Batory spodziewał się, „że trzy narody będą pracowały na wyścigi i dzięki rozbudzonemu współzawodnictwu robota pójdzie raźniej".[3]

Nie wszyscy jednak chcieli machać łopatami, a już tym bardziej szablami: problemem stały się samowolne oddalenia spragnionych

domu Litwinów. Czarna piechota, której Zamoyski obiecał wysoki żołd, odmówiła posłuszeństwa. Aby powstrzymać falę ucieczek, król rozkazał osadzić koło Suraża, którego uciekając spod Wielkich Łuk nie sposób było ominąć, silną placówkę wyłapującą dezerterów. Spadek dyscypliny był przy tym, jak na zwycięską kampanię przystało, zastraszający: straże spały w najlepsze, ze zdjętymi zbrojami i nie osiodłanymi końmi. Król przekonał się o tym na własne oczy, dokonując niespodziewanej nocnej inspekcji. Z tego zresztą obrazka również widać, że rola stratega pociągała króla w równej mierze jak funkcja oficera. Rozdrażniony rozprzężeniem, zwołał na odprawę rotmistrzów, których napomniał „sam ustnie", że jeżeli „się to więcej będzie działo, tedy wielka kara za to będzie, tak że to poznają, że król umie dobre miłować, a złe karać". Wiemy o tym z relacji Działyńskiego. Dbałość Batorego, nie poddającego się w niczym ogłupiającej radości zwycięstwa, o bezpieczeństwo armii była tak wielka, że wszelkie „picowanie" za żywnością odbywało się co najmniej w tysiąc koni. Ponadto zabronił blisko obozu bić bydła i „plugastwa żadnego czynić": był to znak obawy przed nadciągającą epidemią, która mimo środków zabezpieczających niebawem zacznie zbierać fatalne żniwo.

Zagrożeń było więcej. Oto w zwycięskim obozie królewskim, gdy tylko przebrzmiały dość minorowe tony *Te Deum laudamus*, tradycyjnie zaostrzyły się swary narodowościowe, tym razem między Polakami a Litwinami. Wydaje się, iż nie wiązało się to wówczas z kwestią oddzielnych narodów: de facto szlachta obu członów federacji tworzyła jeden naród szlachecki ze wspólnym władcą, a nade wszystko sejmem, przywilejami, kulturą, w przeważającej mierze językiem polskim i wspólnotą interesów. Istniał jednak partykularny patriotyzm litewski, tak jak i litewskie odrębne, choć paralelne do Korony urzędy. Nade wszystko pożywką urazów Litwy do Korony była inkorporacja przez Polaków, tuż po zawarciu unii w 1569 roku, litewskiego dotąd Wołynia, Bracławszczyzny, Kijowszczyzny i Podlasia. Wykorzystano wtedy nieobecność posłów litewskich, którzy potajemnie opuścili Lublin. Wprawdzie akt unii lubelskiej pogodził w końcu Polskę i „Nową Polskę", jak niekiedy

zwano Litwę, ale tarcia, najczęściej zresztą prestiżowe, pozostały. Oto w obozie króla Stefana marszałek koronny Andrzej Zborowski jął się upominać, zgodnie z prawem i obyczajem, o miejsce jego taboru przed wozami marszałka litewskiego Albrychta Radziwiłła. Ale Batory, konsekwentnie niechętny Zborowskim, nie pozostawił koroniarzowi złudzeń:

„Gdyżeście nierychło przyjechali, tedyśmy p. marszałkowi litewskiemu zlecili niemało spraw swoich, także niektóre cudzoziemskie (...) Niech pan marszałek litewski rządzi." [4]

Dotknięty do żywego Andrzej Zborowski nie pojawił się już w obozie królewskim. Razem ze swoim bratem Samuelem, który nie zdołał popisać się swą niewątpliwą odwagą, stanął z dala od namiotów gwardii Batorego, choć z urzędu miał czuwać nad bezpieczeństwem monarchy. Mimo odstręczającej decyzji króla jeszcze mieli nadzieję, że karta jego dziwnej niełaski odwróci się: zobaczymy to po wyczynach Samuela. Być może wykoncypowali, że Batoremu mocno zależy na poparciu bliskiej teatrowi działań wojennych Litwy i stąd ta łaska dla Radziwiłła.

Wokół odbudowywanych błyskawicznie Wielkich Łuk nadal wisiały załogi rosyjskie kilku silnych warowni oraz jazda carska zgromadzona pod Toropcem. Wprawdzie król nadal chętny był do starcia w polu, ale ograniczonymi siłami. Pchnął pod Toropiec chorągwie polskie, węgierskie i niemieckie pod wojewodą bracławskim Januszem Zbaraskim. Batory obrał wodza tej ważnej wyprawy nie z miłości czy uznania talentów militarnych wojewody, lecz z tej prostej przyczyny, że Zamoyski zachorował, zdaje się na tyfus plamisty, który wtedy właśnie zaczął szerzyć się w obozie. Wybór był trafny, gdyż okazało się szybko, że kanclerz nie jest niezastąpiony w tej wojnie jako wódz: mimo przewagi Rosjan i unikania przez nich walnej bitwy Zbaraski w kilku potyczkach spędził ich z pola i zapuścił się aż kilkadziesiąt kilometrów za Toropiec. Samo miasto Rosjanie zgodnie ze swym doświadczeniem wojennym spalili, obawiając się oblężenia. W pogoni za Tatarami w służbie hosudara dziwnym trafem wyróżnili się jednocześnie ci, których nazwiska błysną złotym lub mdłym blaskiem na firmamencie Rzeczypospolitej: Marek So-

bieski i Stanisław Żółkiewski wespół z Samuelem Zborowskim i Stanisławem Stadnickim, niedługo nazwanym Diabłem. Jeszcze zgodnie tnący Tatarów, chroniący jeden drugiego przed razami i śmiercią, nieświadomi jakże bliskiego już krzyżowania się ich szabel, losu, politycznych dróg — do jakże różnej sławy w historii i legendzie.

Być może — dzieje wojen to również historia alternatywna — Batory popełnił spory błąd ruszając pod Toropiec jedynie w 2400 jeźdźców, nie wykorzystując potężnej siły jazdy koronnej i litewskiej do zdecydowanego rozbicia osłabionego moralnie, choć przeważającego liczbowo przeciwnika. Zamiast realizacji celu podstawowego król zaczął sięgać po mniejsze, umacniając obronę Wielkich Łuk. W końcu września padł wreszcie, oblegany przez Dorohostajskiego, Newel leżący na drodze łączącej Połock z Wielkimi Łukami. W trzynaście dni później poddało się Jezierzyszcze. Wreszcie — na początku października król wysłał wyleczonego Zamoyskiego na Zawołocze.

Czy była to wyprawa konieczna? Straciwszy szansę pod Toropcem leżącym od Wielkich Łuk w tej samej odległości co Zawołocze, tutaj chciał król wetować zwycięstwo wielkołuckie i umocnić sławę wojenną Zamoyskiego, co w planach personalnych Batorego zdawało się odgrywać bardzo ważną rolę. Ale to nie główne powody: Zawołocze leżało na drodze prowadzącej do Pskowa, stąd można było szlakiem wodnym dotrzeć pod tę potężną twierdzę. Zawołocze przy tym miało pozycję wybitnie obronną — „jako kaczka prawie na wodzie siedzi, a przystępu z żadnej strony nie ma”[5] — i ciężko stąd byłoby, jak z Toropca, rozwinąć Rosjanom działania ofensywne. Batoremu szło o ułatwienie sobie ewentualnej przyszłej wyprawy: „pamiętał o tym Zamoyski, że król tędy na przyszły rok dalej w głąb Rosji wtargnąć zamyśla”. To była główna przyczyna uderzenia na Zawołocze, jak twierdzi Heidenstein.

Jak było do przewidzenia, pod tą twierdzą spłynęło więcej krwi i potu niż wokół wałów i na zamku Wielkich Łuk. Na „Wielkich Łąkach” śmierć znalazł twórca kilkudniowej flotylli królewskiej, kasztelan zawichojski Piotr Kłoczowski, za co jego żona otrzymała od wdzięcznego króla apanaże, i trzech rotmistrzów; w walce o Zawołocze zginął jeden z najlepszych polskich specjalistów do spraw oblężenia i niemieckiej piechoty zaciężnej starosta łęczycki Krzysztof Rozdrażewski oraz bliski doradca Zamoyskiego, Marcin Wejher. Znana już wytrwałość kanclerza sprawiła jednak, że załoga Zawołocza w końcu października poddała się. Została puszczona wolno, bez broni.

Zwolnienie głównych sił od oblężenia miast pozwoliło na rozpuszczenie strasznych polskich zagonów jazdy. Szalały one od Siewierszczyzny po Inflanty niszcząc carskie posiadłości „ogniem i mieczem”: słowa podówczas często używane. Uczynił to również Zamoyski po zajęciu Zawołocza, wysyłając w kierunku Pskowa, na Opoczkę, na rozpoznawczy rajd Jerzego Farensbacha z tysiącem żołnierzy. Efektem rekonesansu, oprócz łupów i zniszczeń majętności hosudara, była mapa tych terenów wykonana przez Macieja Strubicza.

Król dowiedział się o ciężko wywalczonym sukcesie Zamoyskiego będąc już w Wilnie lub Grodnie. Na wieść o zdobyciu Newla, widząc Wielkie Łuki ufortyfikowane należycie, zostawił tam 1305 jeźdźców i 1858 piechoty pod komendą wojewody smoleńskiego ex nomine Filona Kmity Czarnobylskiego. Sam natomiast ruszył 3 października do Newla. Tutaj bawił kilka dni czekając na wieści od Zamoyskiego; zamiast nich otrzymał kolejną epistołę od cara, tym razem z genealogicznym wywodem mającym niezbicie świadczyć, że Inflanty mogą być tylko Iwana IV i jego potomków. Znów hosudar odwoływał się do braterstwa, co wywołało u króla wzruszenie ramion: Bielski przytacza, że „o braterstwo jego mało dbał, tylko żeby mu Inflanty puścił”.

Zły humor Batorego brał się i z innych, całkiem prozaicznych rzeczy: w ogołoconym z żywności Newlu ten nie dbający o jadło i wygody władca „ogłodził się” tak, że po kilku dniach musiał wyjechać do Połocka. Tutaj z kolei króla dopadła epidemia, która rozszalała się na dobre: w wyniku tyfusu plamistego rozprzestrzeniającego się od Krakowa do granic Litwy paść miało 10 tysięcy żołnierzy na około 48 tysięcy biorących udział w wyprawie! „Objawiała się ona zwykle naprzód dreszczami w okolicy dolnego szpiku pacierzowego, następnie sprowadzała na swoje ofiary ciężkość głowy i osłabienie a oso-

bliwie duszność." Według Heidensteina, Batorym przez kilka dni trzęsła „petecja", jak podówczas uczeni medycy zwali rodzaj febry, ale silny organizm przetrzymał atak: zdaje się, że nie puszczano mu krwi i nie dano środków przeczyszczających, co w przypadku tyfusu dla wielu kończyło się śmiertelnym zejściem. Zdrowiejący władca dotarł wreszcie do Wilna, a stąd po kilku dniach wyjechał do Grodna.

Szło o pieniądze. Łupy były marne, jeńców Batory nakazywał puszczać wolno, część żołdu — prawdopodobnie 300 tysięcy złotych — była nie zapłacona, a zdobyczy musiało pilnować aż 18 tysięcy żołnierzy. Kolejny raz król musiał przerwać, zresztą zbyt późno podjętą, wyprawę z powodu braku pieniędzy. Wedle oceny dworu to brak złotówek był przyczyną, że „wojsko nierychło się zjeżdżało, zaczem wojsko do szkody przyszło".[6] Rozwlekłość koncentracji, a nade wszystko brak ciągłości w wojowaniu miały zresztą niedobre następstwa, nie tylko w postaci krzepnięcia rosyjskiej obrony. Oto król zmuszony jest znów prosić o pożyczkę margrabiów niemieckich. Wprawdzie Jerzy Fryderyk, elektor saski August i brandenburski Jan Fryderyk nie poskąpili grosza w zastaw za klejnoty koronne, ale bałamutnie brzmi tłumaczenie Heidensteina, iż pożyczając król „spodziewał się osiągnąć dwie naraz korzyści: książętom obiecywał zaufanie, a okazana przez nich życzliwość dla obcej sobie sprawy miała tym bardziej zachęcić stany [Rzeczypospolitej — J. B.] do dalszego prowadzenia wojny". W rzeczywistości Niemcy osiągali swoje jeszcze niewygórowane polityczne cele kosztem niewielkich w sumie pożyczek. Z zagrożeń zdawano sobie w Polsce sprawę, spłacając długi terminowo — podatkami szlachty.

Jednak niechęć i ospałość herbowych do uchwalania i płacenia poborów miała bardzo istotny wpływ na dzieje Polski. Wydaje się bowiem, że król początkowo, u progu panowania, w imię realizacji szerszego planu, w którym mieścił się i interes ojczystych Węgier, chciał podbić całą Moskwę wciągając w to Rzeczpospolitą. Zderzywszy się przykro z samodzielnością polityczną szlachty, zrozumiawszy, jak wiele od niej zależy, król musiał zrezygnować z górnych planów do chwili znalezienia bazy społecznej, a głównie pieniędzy.

Odtąd podstawowym celem było odbicie Inflant, choć myśl, że łatwiej je zdobyć niż utrzymać przy takim systemie podatkowym, musiała trapić monarchę. Batoremu pozostało zatem wyznaczyć termin zwołania sejmu, zresztą dość odległy, bo na 22 stycznia 1581 roku, pożyczając pieniądze i podtrzymując działania polskich zagonów zimą.

Batoremu wyjeżdżającemu z Grodna towarzyszyli posłowie z Rygi. Zwycięstwa króla wywarły w portowym mieście silne wrażenie: przecież cały handel ryski dźwigała na swoich wodach Dźwina, nad którą w przeważającej części stały teraz polskie załogi i chorągwie. Ryżanie już od czasów wyprawy połockiej gotowi byli złożyć hołd królowi. Szło tylko o cenę. Warunki Batorego wzrosły wraz ze zwycięstwami: żądał teraz, by dwie trzecie zysków z ceł na wszystkie towary wpływało do jego skarbu. To cena ochrony i łaski królewskiej. W Drohiczynie delegacja z Rygi — świadoma, że już tylko trzy zamki siedzące nad Dźwiną trzymają Rosjanie — przystała na te warunki. Do Rygi powędrował Jan Dymitr Solikowski, by przyjąć przysięgę stanów miasta na wierność królowi i Rzeczypospolitej. Wyznaczenie przez Batorego wojującego papisty na posła do luterańskiej Rygi było z pewnością okazaniem ryżanom królewskiej przewagi i niepokojącym ich zadatkiem na przyszłość. Mimo to stany ryskie złożyły przysięgę wierności, ku żałości księcia Kurlandii Gotthar da Kettlera, „który się żalił, że wcielenie Rygi do Polski uwłacza jego własnym odwiecznym przywilejom".[7] Inne sprawy, dotyczące obronności miasta i losów niemal zamarłego tam zupełnie katolicyzmu, król miał uregulować po przyjeździe do miasta.

Wojna Rzeczypospolitej z Moskwą była nie tylko starciem dwóch różnych sztuk wojennych, ale i walką ludzi o odmiennej mentalności, kulturze, obyczajach płynących w przeważającej części z doświadczeń historii i systemu politycznego. Pochodzenie słowiańskie — to było jednak za mało, by gruntownie zbliżyć. Obyczaje rosyjskie dziwiły polskich panów i kronikarzy tak bardzo, że wiele osobliwości zostało skrupulatnie, niekiedy ze złośliwą intencją, w Polsce odnotowanych. Oto nie zrażony porażkami hosudar, bezprawnie oddaliwszy poprzednią małżonkę, zajęty jest szóstym czy siódmym

ożenkiem w śmieszącej Polaków scenerii. Dzieje się tak, mimo że odpadają mu twierdze, a kraj czy raczej jego posiadłości rujnują straszne zagony Kmity, Dymitra Wiśniowieckiego, Radziwiłłów. Oto posłom swoim nakazuje być w Polsce pokornymi podczas układów, „znosić, jeżeli będą bici” [8], choć nigdy się tak w Polsce nie zdarzyło. Straszną swą miarą car określał Rzeczpospolitą i jej godność: czyż możemy się dziwić, że goniec rosyjski na sejmie 1581 roku był „bardzo strwożonym i zdumiałym tak, że tytułów swego pana liczbę pomylił” [9], za co groziła mu kara śmierci. Strach pętał umysły i usta.

„Rosja zdawała się być słabą” — pisał z goryczą XIX-wieczny historyk rosyjski — „i prawie bezbronną, mając do osiemdziesięciu stanowisk, czyli twierdz, opatrzonych w broń palną i załogę, miała także liczne wojsko polne gotowe do boju. Zjawisko to zadziwiające i godne wiecznej pamięci dla najodleglejszego potomstwa wszystkich narodów i panów ziemi, dowód przekonywający, ile tyrania upadla duszę, zaślepia rozsądek przywidzeniem bojaźni, odrętwia siły panującego i siły ludu. Nie zmienili się Rosjanie, lecz car ich zdradził. Ukrywając się w Słobodzie Aleksandrowskiej ...” [10]

Ukrywał się tam, gdzie płodził i realizował straszliwe plany poskromienia podejrzanego rodzaju ludzkiego na swych ziemiach, skąd wychodziły watahy okrutnych opryczników.

V. AURATAE CONTIONES?

Szesnastego stycznia 1581 roku, kiedy sanie królewskie i jego orszaku dzwoniąc sunęły po śnieżnym puchu na sejm warszawski walny, na trakcie w Liwie chmara jeźdźców przegrodziła im drogę. Do sań królewskich, z czapką w ręku, podszedł potężny magnat, którym interesowała się cała Europa: Olbracht Łaski.

Wracał ze służby cesarskiej zbiedniały, ale — jak zawsze sprytny i pełen pomysłów — blaskiem swego imienia pociągnął za sobą kochającą go nadal szlachtę sieradzką, by tym okazalej wystąpić przed królem. Łaski zauważył to, co widziała Europa: że lekceważony najpierw „Le Transilvain” wyrósł niebywale szybko na jednego z najbardziej liczących się władców europejskich, z którym lepiej było się związać niż się mu przeciwstawiać. Napisał więc do Batorego list, bijąc się w piersi za występki, gotów „krew przelać oraz, co wszelkie majętności przewyższa, życie moje w służbie Najjaśniejszego Waszego Majestatu Królewskiego poświęcić”.[1] Teraz Łaski stał przed saniami królewskimi z czapką w dłoni, pokornie oczekując reprymendy.

Nie otrzymał jej. Łaski zdawał się zbyt potężną postacią na politycznej scenie, by lekceważyć go i zniechęcać połajankami. Król przyjął go na audiencji, rozmawiał na polowaniu, ponoć sam tłumacząc się z niektórych posunięć, a szczególnie planów oddania buławy wielkiej koronnej w ręce Zamoyskiego. Se non è vero è ben trovato: Łaski lubił naginać rzeczywistość do swoich ustaleń, a treść tych rozmów przekazywał łatwowiernemu nuncjuszowi Caligariemu, który słał je do Rzymu. Z pewnością wiele w tych relacjach megalomanii i mitomanii wojewody sieradzkiego, ale uderza jedno: król „uważa się za zobowiązanego do uwolnienia ojczystych Węgier z rąk wroga chrześcijaństwa. Jednak na to nie wystarczą jego własne siły, konieczne jest współdziałanie papieża i innych władców, a przynajmniej Filipa II i Wenecji. Wtedy użyłby jego, Łaskiego, jako zwiastuna wojny, który zapoczątkuje ją, przebijając się przez Mołdawię do granic Turcji. Za nim pośpieszy on sam na czele ligi i przekroczywszy Dunaj, przez Bułgarię uderzy na Konstantynopol.” [2]

Wizje i plany olbrzymie: zdumiewające, że król odkrył je przed człowiekiem, który umiał i wiedział, jak handlować informacjami. „Co się tyczy królestwa węgierskiego, to li tylko od poufałych Węgrów cesarz może się dowiedzieć o tamtych sprawach. Bo Polacy nawet znajomym krewnym, o których wiedzą, że są przychylni domu austriackiemu, nic o tym nie powiedzą” — żalił się cesarzowi Rudolfowi II biskup wrocławski Marcin Gerstmann.[3] Być może była to tylko zasłona dymna wypuszczona przez Batorego w rozmowie z Łaskim, która omroczyła go do tego stopnia, że poniewczasie pojął, iż tak wspaniale zapowiadające się pojednanie z królem praktycznie niczego mu nie przyniosło. Nadzieja uzyskania buławy koronnej okazała się złudą. Nawet starostwa spiskiego, wynudzonego dlań u króla

przez nuncjusza, nie mógł wykupić z rąk Jana Maciejowskiego ze względu na pustki w kiesie.

A jednak w wizjach Batorego, nawet uwzględniając prostolinijność jego wypowiedzi, było ziarno prawdy. Los Węgier nie schodzi mu z oczu, bardzo potrzebował i szukał poparcia papiestwa, gdy szlachta polska zablokowała realizację jego dalekosiężnych, mglistych jeszcze planów.

W dwa dni po spotkaniu z Łaskim na zamku w Liwie Batory wyjechał do Warszawy, witany we wsi Kamionna przez wysłannika królowej. W katedrze Świętego Jana wysłuchał kazania archidiakona wileńskiego, które spodobało mu się na tyle, że zezwolił je drukować, po czym w otoczeniu pierwszych panów Królestwa wspiął się na podwyższenie dla chóru. Tam odśpiewano dziękczynne *Te Deum laudamus*. Przywitanie z żoną, czekającą „u samych drzwi przed gankiem wchodowym" zamku było uroczyste: „obejrzała się królowa na księdza biskupa chełmskiego" (Adama Pilchowskiego), który w jej imieniu wygłosił orację. Pobrzmiewały w niej tony radości nie tylko ze zwycięstwa króla, ale i dziwnych nadziei związanych z jego powrotem do zdrowia.

Batory odpowiedział wprawdzie sam, ale zdawkowo, jednym zdaniem, po czym poszedł witać „od Pani począwszy aż do karlic i karłów" fraucymer królowej. „Potem zaś usiadł, a mało co posiedziawszy, od Panów Rady prowadzony, do swego pokoju przyszedł." Nie było mu dane i tu odpocząć: niebawem rozpoczęła się rada z udziałem kanclerza. Dopiero następnego dnia „Król JMość u królowej obiad jadł".[4]

Obrazki te, przytoczone za diariuszem sejmowym, ukazują te uroki bycia władcą, za którymi Batory nie przepadał. Anna zdawała się nie rezygnować z sukcesów w pożyciu małżeńskim, choć wieści o staraniach Zamoyskiego w kwestii rozwodu pary królewskiej musiały docierać do Jagiellonki. Prawdopodobnie mnożyły się one wraz z postępem choroby i zniedołężnienia prymasa Uchańskiego, który podtrzymywał w początkach 1581 roku gasnące życie spożywaniem rosołu, surowych jaj, wódki i ponad dwunastogodzinnym snem. Jego śmierć otwierałaby drogę do zwołania synodu prowincjonalnego, na

którym projektowano uzyskać zgodę wyższego duchowieństwa na rozejście się Batorego z Jagiellonką. Nie wiedziano jednak, jak do tego odniesie się legat papieski i sam zainteresowany — król Stefan. Dotąd starał się postępować wobec królowej uczciwie, choć było to opacznie odczytywane przez Annę.

Król nigdy nie polubił sejmu. Wprawdzie rozumiał zamiłowanie narodu szlacheckiego do ceremonialności, gestów i swą rękę do pocałowania posłom „ochotnie i łaskawie z czapki zdjęciem podawał" — ale na tym się jego umiłowanie demokracji kończyło. Kiedy już włączał się do sejmowych obrad, to z rosnącą irytacją, która osiągnie apogeum na sejmie 1585 roku. Na tym polu, co zrozumiałe, zdawał się na Zamoyskiego, który dobrze znał tajniki mechanizmów parlamentarnych Rzeczypospolitej i wiedział, kiedy schlebiać, a kiedy grozić posłom szlacheckim.

Prawda ta przebija przez wygłoszone od tronu przez Zamoyskiego „propositiae" na sejmie 1581 roku. Z jednej strony kanclerz ukazał wielkość i znaczenie zwycięstwa. „Przedtem było w kronikach, że Polacy rudes et inertes [nieobyci i niezdarni] są do dobywania zamków, to już się teraz zatarło" — schlebił Zamoyski posłom. Z drugiej jednak strony...

Z wotum kanclerza przebijało całe zniecierpliwienie króla na ospałość maszynki do uchwalania podatków, jak by chciał widzieć sejm. „Prędkości do tego wielkiej trzeba", „napomina Was król JMość, aby suo ordine [swoim porządkiem] rzeczy namawiali", „Połock wzięty, gdyście sejmowali, postremum [aż wreszcie] ludzie, śmiejąc się z naszych sejmów, już je zowią auratas contiones" — przestrzegał król ustami kanclerza. Nazwanie sejmów „auratas contiones", pozłacanymi zgromadzeniami, w ustach króla było właściwie komplementem, gdyż raczej takimi chciałby je Batory widzieć. Niestety, takim nie chciał być sejm walny; chciał decydować wespół z pierwszym stanem — królem.

A Batoremu głównie szło o pieniądze i czas: o to, by szlachta uchwaliła od razu trzyletni pobór, a on nie marnował cennych chwil na handryczenie się w Warszawie rok w rok. „Sententia est omnium pecuniam esse nervum belli, ego autem existimo, cum hac etiam

tempus esse nervum — dowodził, po czym dodawał celnie zgodnie z najlepszymi wzorami rzymskich oratorów — Tale bellum gerendum erit, qualis nervus." [5] Król sam przemawiał: może to być miarą, jak zależało mu na pozyskaniu szlachty, choć znana porywczość zapewne też wpływała na królewską orację. Było wiele racji w dowodzeniu Batorego, że przerywanie wypraw u szczytu powodzenia, po to, by udać się na sejm po pieniądze, organizowanie nowej kampanii i zatrudnienie wojsk długimi marszami jest z wojskowego punktu widzenia błędem. „Dalej niźli 200 mil [!] teraz ciągnąć trzeba", jeden pobór „wynijdzie na same przejażdżki" — pisał i mówił do posłów Zamoyski w imieniu króla. Dwieście mil — toż to około półtora tysiąca kilometrów! Czyżby te liczby miały oznaczać, że Batory zamierza iść wprost na Moskwę? A przecież to miała być „bellum iustum", a szlachta bardzo przestrzegała, by prowadzić wojnę sprawiedliwą, bez podbojów. Toteż Zamoyski musiał tłumaczyć się z zarzutów prowadzenia „bellum iniustum", wojny niesprawiedliwej, dowodzić, że idzie tylko o to, by „swoje od nieprzyjaciela odebrać". Za obawami szlachty kryło się stale podejrzenie, czy król cudzoziemiec nie będzie realizował interesów zgodnych z jego planami, a nie racją stanu Rzeczypospolitej.

Toteż posłowie godzili się na uchwalenie jednego poboru w wysokości jednego złotego z łanu bez żadnych nacisków, podczas gdy Batory chciał podatków chociaż z dwóch lat. Sejm nie chciał być jednak maszynką do uchwalania podatków. Wojna wojną, ale niech król nie zapomina o nie rozstrzygniętych ważnych sprawach wewnętrznych, których nagromadziło się sporo: posłowie prosili Stefana, by najpierw uregulował kwestie o pierwszorzędnym znaczeniu dla porządku w Rzeczypospolitej. I wcale nie była to próba rzucania królowi kłód pod nogi, jak to się po wielekroć interpretuje, lecz wynik poczucia odpowiedzialności szlachty za jej państwo. Już wiedziano, że Batory lubi narażać swoje życie. „Osobliwa łaska nad nami", jak powiedział marszałek izby poselskiej Stanisław Przyjemski, może się skończyć, król polec, a kwestie elekcji nadal są nie uregulowane. Chaos interregnum to gorsze niż wojny na obrzeżach wielkiego państwa: przedsmak wojny domowej herbowi mieli tak

niedawno. Czy można zatem szlachtę żądającą od króla rozwiązania palących spraw wewnętrznych przed uchwaleniem podatków oskarżać o brak instynktu państwowego czy też egoizm stanowy? Czy rzeczywiście były to auratae contiones, a sejm „najpewniejszym sprzymierzeńcem wrogów Rzeczypospolitej"?! [6]

Batory miał swoją gradację spraw, która znacznie odbiegała od szlacheckiej: obiecał rozstrzygnąć kwestie następstwa tronu po zakończeniu wojny z Moskwą, aby teraz nie doprowadzać do zaognienia atmosfery i podziałów wśród herbowego stanu. Miał w tym pewną rację: do wojny potrzebna była zgoda i jedność, a niedobry wiatr w kraju mógłby zerwać każdy projekt. Namowy i argumenty kanclerza, a nade wszystko wieść, że król zapożyczył się u Niemców, sprawiły, że posłowie zgodzili się na uchwalenie dwuletniego poboru. Nie przyszło to łatwo: na posłuchaniu u króla „posłowie ziemscy błagać go poczęli, aby przyszła wyprawa była ostatnią, to jest aby król w ciągu tej wyprawy pokój zawarł, bo szlachta, a szczególnie wieśniacy, których stan nie może być dla szlachty obojętnym, tak są wycieńczeni podatkami, że dłużej ponosić ich już nie mogą". Król przyrzekł, że „pokój zawrze, skoro tylko całe Inflanty na nieprzyjacielu wywalczy". [7] Podobnie odpowiedział posłom rosyjskim: warunkiem pokoju miało być ustąpienie hosudara z Inflant. To ciągłe potwierdzanie, że idzie tylko o Inflanty, dwukrotne zaproszenie reprezentantów posłów ziemskich na rozmowy z wysłannikami cara, by zobaczyli ich „daremne słowa a próżne zabawy" oddaje atmosferę podejrzliwości Polaków wobec Batorego: a nuż idzie o coś więcej niż Moskwę nawet? Przecież podczas obrad król bez pośrednictwa kanclerza oznajmił, że przy poparciu stanów Rzeczypospolitej i boskiej myślałby „non solum de Moschovia, sed de toto septentrione subigendo" (nie tylko o całej Moskwie, ale i ujarzmieniu całej północy). [8]

O co właściwie królowi chodziło? W świetle planów snutych przez Batorego przed nuncjuszami, a szczególnie nowym entuzjastą ligi antytureckiej, Andrzejem Caligarim, czy też przed Łaskim, wiemy, że król lokował swe marzenia w zupełnie innej stronie świata niż północ. Z kolei już niedługo, wprawdzie podrażniony, oznajmi ho-

sudarowi, że gra idzie nie tylko o Inflanty, lecz o „wszystko". Co właściwie ten władca zamierzał? „Król Stefan wbrew zwyczajowi o tajnych rzeczach tylko z kilku osobami naradza się, dlatego się o takich rzeczach nic a nic wywiedzieć nie można" [9] — donosił zmartwiony biskup wrocławski cesarzowi, dziwiąc się, że Rudolf II nie wysłał na sejm polski nie znających się nawzajem szpiegów. Podejrzenia szlachty co do prawdziwości słów i zamiarów królewskich nie zrodziły się na jałowej glebie, a opór wobec uchwalania rok po roku wielkich poborów był naturalny i zrozumiały. Król z kolei nie mógł jasno nakreślić swych planów, gdyż to zmobilizowałoby przeciwnika i opinię światową. Sytuacja stawała się patowa, a król musiał pojąć, na tym właśnie sejmie, że nie uczyni szlachty instrumentem swych zamierzeń, jeśli nie sprecyzuje swojego programu i nie zyska on aprobaty braci herbowej. Pozostawało otwartą kwestią, czy wyciągnie z tego właściwe wnioski i będzie próbował rozszerzyć podstawę społeczną swego działania czy raczej wzmacniać swą władzę innymi sposobami, bardziej właściwymi jego przekonaniom?

W trakcie obrad nadeszła wieść, że Kozacy Gabriela Hołubka i Marcina Kurcza w służbie starosty orszańskiego podpalili i zdobyli Chołm. Następnie ze zdolnym Węgrem, komendantem zawołoczańskim Jerzym Zibrykiem, zdobywcą ważnej twierdzy Woroniec, podeszli niedaleko Nowogrodu Wielkiego. Tam obrócili w zgliszcza nieobronną Starą Russę, zniszczyli żupy solne i z bogatymi łupami zawrócili do swoich twierdz. Dziwne to były nadal dla Rosji wypady: zgodnie z rozkazem króla Polacy i Węgrzy starali się nie grabić ani nie porywać wieśniaków, walcząc jedynie z oddziałami żołnierzy hosudarskich i potężnie łupiąc zdobyte zamki, dwory i włości bojarskie, a nade wszystko — carskie.

Ale — wbrew wojennym sukcesom — na Litwie zaczęły kwitnąć nastroje pokojowe. Duża część roszczeń litewskich była zaspokojona; nie spodziewano się, by król hojną ręką przyłączyć miał odbite Inflanty do ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego. Poza tym w sporze Rzeczypospolitej z Moskwą pojawia się trzecia — jakże znacząca, choć bez oręża — siła.

VI. TRZECIA SIŁA

Gdy w Warszawie trwał sejm, a potężny król na prywatnej audiencji dziękował posłom księcia pruskiego Jerzego Fryderyka za ofiarowane mu 30 tysięcy złotych, tegoż dnia, 26 lutego 1581 roku, w niedzielę, w Rzymie również odbyło się znamienne spotkanie. Oto przed obliczem papieża Grzegorza XIII zjawił się goniec Iwana IV, Leontij Istoma Szewrygin, z listem od cara pisanym po rosyjsku.

Ojciec Kościoła, którego historyk określił lapidarnie „papieżem misyjnym" [1], człowiek o wyrazistej twarzy oddającej, jak mówiono, zbyt łatwo uczucia, był mocno zdziwiony. Podobnie jak i cały Rzym. Od niemal pięćdziesięciu lat wielki hosudar, mimo starań papiestwa, nie zniżył się tak nisko, by nawiązać stosunki ze Stolicą Apostolską, która dla niego i jego poddanych jawiła się jako otchłań zła. Przy tym — wszak sama Moskwa pretendowała do miana i roli „trzeciego Rzymu". Teraz do tego podejrzanego siedliska szatańskiego zachodu Iwan Groźny sam wysyłał swego poddanego; zresztą, aby nadto nie uchybić swej czci i sławie — jako gońca, a nie wielkiego posła.

Akt ten może stanowić miarę przerażenia cara tym, co się działo: typowy psychopata, skłonny do skrajnych stanów psychicznych, z niebywałej odwagi i pomysłowości w mordowaniu ludzi bezbronnych spadł na dno tchórzostwa. Widząc rychłą klęskę o nieobliczalnych dlań skutkach, wpadł na pomysł wykorzystania Kościoła jako tamy przegradzającej go od „męża krwi", jak raczył nazwać Stefana Batorego.[2] W liście, który złożył Szewrygin papieżowi, car uderzył w czułą strunę papieskiej harfy: chęć uczestnictwa w lidze antytureckiej. Ale cóż, pisał Iwan, nie można stworzyć tak drogiej sercu chrześcijan koalicji, gdyż Batory, sprzymierzony z muzułmanami „jako służalec Turcji przelewa niewinną krew chrześcijańską, nie myśląc wcale o pokoju".[3] Dlatego — niech papież wyśle legata, który wpłynąłby na polskiego króla w sprawie zawarcia pokoju...

Szewrygin wjechał do Rzymu z epistołą carską w szczęśliwej chwili: imperium tureckie przeżywało olbrzymie kłopoty w wojnie z Persją, buntowali się janczarzy i w Rzymie sądzono, że oto nad-

ciąga przełomowy moment w wieloletnim, niezwykle przewlekłym montowaniu ligi. Oczywiście w stanzach Rafaela zdawano sobie dobrze sprawę z przebiegłości cara, który słowem nie wspomniał o kwestii bardziej realnej niż liga i stąd milszej sercu papieża — unii Kościoła greckiego z katolickim. Przedobrzył też hosudar z rzekomą zależnością Batorego od Turcji. W Stolicy Apostolskiej wiedziano, że Batory ani myśli wiązać się z Turcją, a islamscy Tatarzy służyli po obu stronach. „Nie warto o tym mówić — pisać będzie papież do Iwana IV o rzekomych konszachtach Batorego z Turkami — nie słyszeliśmy bowiem nic o takim przymierzu, ani nawet nie podejrzewamy nic takiego."[4] Tego samego dnia papież wysłał krótki list do króla Stefana z wieścią o moskiewskim poselstwie i misji Possevina. Grzegorz XIII był dobrze poinformowany przez nuncjusza apostolskiego w Polsce, Caligariego.

Zatrzymajmy się wreszcie przy tej osobie, gdyż to ona kształtowała w dużej mierze opinie papieża o królu Stefanie. Caligari został wysłany na miejsce Laurea w 1578 roku i miał nieszczęście być fatalnie przyjęty przez prymasa Uchańskiego. Arcybiskup siedział, nie raczył gościa usadowić na krześle, aż ten zirytowany podsunął sobie sam jakiś stołek. Scena ta o tyle ważna dla króla, że nienawiść do prymasa Caligari powetował sobie wielkim afektem do Batorego. Wieść o złym przyjęciu w prymasowskim Łowiczu szybko dotarła na dwór krakowski: „Stefan Batory śmiejąc się pytał nuncjusza, czy go prymas świetnie ugościł." Sam król inwitował nuncjusza i przyjął go bardzo dobrze, wywierając na legacie ogromne wrażenie, co zgodnie potwierdza on sam i inne źródła. „Nie może się króla wychwalić. Powiada, że od tego czasu jako z królem mówił, począł się lepiej mieć" — pisał o Caligarim ksiądz Tomasz Płaza, ciesząc się wspólnie z nuncjuszem z wielkiej katolickiej pobożności Batorego („czego Augustus nie czynił"), skutkiem której „heretykom jakoby psi obiad zjedli".[5] Dodajmy, że Caligari był niezwykle wytrwały tak w miłości, jak i w urazie: na grób prymasa, który zmarł 5 kwietnia 1581 roku o czwartej nad ranem posłał rzadko spotykaną wiązankę. „Arcybiskup umarł jak bydlę, bez żadnego sakramentu, przy szafach pełnych ksiąg heretyckich Lutra, Kalwina, Melanchtona

i wszystkich innych łajdaków."[6] Potwarze nuncjusza były brzydkie, choć uzasadnione: miłośnik literatury i sztuki, dający chętnego ucha nowinkom religijnym, prymas Uchański gotów był swego czasu zostać głową narodowego Kościoła polskiego.

Caligari słał papieżowi relacje ze spotkań z królem polskim często pełne entuzjastycznych tonów. „Pobożny, oczytany, skromny, wspaniały" — słowa oczarowanego Batorym legata musiały ważyć na opinii papieża wobec króla.[7] Grzegorz XIII jednak sądził, że lepiej jest mieć niejedną czułą rękę na wschodnim pulsie; być może decydowała tu zauważalna łatwowierność Caligariego, jak i jego podpowiedzi, że zagrożony przez Polaków Iwan będzie skłonny do ustępstw na polu religii. Dlatego papież zdecydował się wysłać do Rzeczypospolitej i Moskwy swego pośrednika, znającego lepiej problemy tych krajów. Wskazał go zresztą sam nuncjusz Caligari.

Przestrzegając dyplomatycznych zwyczajów, Watykan nie wysłał oficjalnego poselstwa, lecz podobnie jak hosudar, zwykłego posła, jezuickiego zakonnika. Wybór padł na duchownego bez tytułów, Antoniego Possevina. W rzeczywistości Possevino był światłym, znakomicie wykształconym dyplomatą, znawcą schizmy wschodniej, bywałym w Polsce i Szwecji, a jednocześnie człowiekiem bezgranicznie oddanym sprawom Kościoła. Niedawno wrócił z głośnej misji ze Szwecji, której króla, mimo usilnych zabiegów, nie zdołał wrócić na łono Kościoła rzymskokatolickiego. Teraz papież powierzał mu listy do kniazia, jego syna i żony o jeszcze większym ciężarze gatunkowym dla dziejów chrześcijaństwa.

Na wieść o nominacji Possevino rozpłakał się; zapewne nie ze wzruszenia. Wbrew niektórym sądom nie był zachwycony wyjazdem na wschód: prosił papieża o zmianę decyzji. Dopiero gdy zabiegi te okazały się bezskuteczne, Possevino z całą energią zabrał się do przygotowań wyjazdowych. Przeczytał wiele ksiąg o polityce, geografii, wojnach i obyczajach w państwie moskiewskim i po otrzymaniu z rąk papieża listów do cara, jego rodziny i tajnych instrukcji, 27 marca uzbrojony w wiedzę i dość szerokie pełnomocnictwa, puścił się z posłem carskim Szewryginem w drogę. Mieli jechać przez

ziemie Rzeczypospolitej: Rosjanin otrzymał od króla Stefana list glejtowy, który gwarantował mu bezpieczeństwo i wolny przejazd.

Dziwny to był dla rozmownego, nieco mentorskiego Włocha towarzysz podróży i dyplomata. Szewrygin przez całą drogę uporczywie milczał: dopiero później Possevino zrozumiał, że „nieufność ta i podejrzliwość [Iwana IV] idzie tak daleko, że posłom moskiewskim wysłanym do książąt chrześcijańskich nie wolno rozmawiać z posłami", a w Moskwie kwatery obcych poselstw „całe są otoczone tak wysokim płotem, że stamtąd nie można zobaczyć żadnych domów, ani w ogóle z nikim rozmawiać". Wpajana nieufność i strach wobec „inostrancow" były tak duże, że Szewrygin mimo paszportu króla wystraszył się jazdy przez Rzeczpospolitą. Wrócił do Rosji okrężną drogą przez kraje Rzeszy i Lubekę. Od Karyntii Possevino podróżował już sam.

Batory w tym czasie rozdawał rotmistrzom listy przypowiednie na zaciąg chorągwi, ustalając na 30 czerwca ich koncentrację w Wielkich Łukach i Zawołoczu. Przygotowania, choć nadal solidne i planowe — szły już z mniejszym rozmachem, gdyż duża część materiałów wojennych zgromadzona była w związku z uprzednią wyprawą. Szczególny nacisk położono na zaprowiantowanie: odznaczył się w tym Zamoyski, który już niebawem będzie mógł w Połocku zaimponować posłom hosudara każąc podać „siła konfitur i win rozmaitych, jak to maślaczu, małmazji, tudzież najprzedniejszego starego wina".[8] Piszący te słowa inżynier włoski zabezpieczał się przed głodem wydając aż 200 talarów na suchary, ryby węgierskie (?), sery, słoninę, suszone warzywa, leguminy, masło, bryndzę węgierską, oliwę włoską etc. Poprzednie wyprawy i epidemia wiele nauczyły w tym względzie przedsiębiorczych, przewidujących i mogących zabrać ze sobą zapasy żywności.

Gdzieś w połowie kwietnia widzimy króla w Grodnie; tutaj gońcy cara zawiadamiają go, że wielkie poselstwo rosyjskie lada dzień przybędzie do Wilna. Tym razem nie była to gra na zwłokę czy też kolejna „baśń". Na przełomie maja i czerwca w grodzie Giedymina zjawił się dumny bojar Puszkin z innymi posłami i rozpoczęły się wielkie pertraktacje.

Jeszcze kilka miesięcy temu Iwan IV miał „nadzieję, że ten sejm rozerwie"[9]; głęboko przekonany, że demokracja Rzeczypospolitej przyczyni się do jej słabości. Jednak mimo carskich rubli sypanych w ręce agentów hosudara nie udało się wpłynąć na obnażenie rzekomej słabości polskiego parlamentaryzmu. Uchwalenie przez sejm, który miał się „rozerwać", podatków i konsekwentne przygotowania Batorego do wojny przyśpieszyły wysłanie do Wilna wielkiego poselstwa. Warunki, które przywoził Puszkin, były zaskakujące: Rosja poza kilkoma twierdzami zrzekała się Inflant. Ba, Iwan godził się, by w razie konieczności Puszkin zaniechał pretensji do umieszczania tytułu cara Kazania i Astrachania oraz wielkiego księcia smoleńskiego w hramocie pokojowej. Oddając Litwie należący do niej Połock, hosudar domagał się jedynie zwrotu innych twierdz zdobytych przez Batorego.

Późną wiosną 1581 roku w Rzeczypospolitej powiało ciepłym wiatrem pokoju. Toteż zdziwienie i niechęć herbowych wywołały twarde i zdecydowane żądania króla. Wielki kniaź musi się zrzec wszystkich zamków inflanckich bez wyjątku. Wieliż i Newel mają pozostać przy Litwie, Siebież ma być zwrócona królowi. Nadto Iwan ma wpłacić do skarbca królewskiego olbrzymią kwotę miliona węgierskich dukatów jako zwrot kosztów wypraw. Potem suma ta ulegnie znacznemu, o ponad połowę, zmniejszeniu. W zamian Batory zobowiązywał się przez cztery tygodnie nie rozpoczynać wojny: do tego czasu jego goniec, Krzysztof Dzierżek, miał otrzymać od hosudara odpowiedź.

Tymczasem, 13 czerwca, przed oczami Possevina stanęło Wilno otaczające stary zamek Giedymina i piękną katedrę, nie przesądzającą zresztą o przywiązaniu mieszkańców tych ziem do katolicyzmu. Kolejny wysłannik pokoju — tym razem na warunkach papieskich — docierał po długiej podróży na dwór króla. Jego pojawienie się w Rzeczypospolitej wzmogło nadzieje na zakończenie wojny; po cóż krwią znaczyć i rozszerzać granice państwa, które i tak jest ogromne, a od wschodniej ściany słabo zaludnione? Jeszcze przez dwadzieścia lat taki typ myślenia będzie pokutował wśród szlachty, do chwili gdy ze zdziwieniem stan herbowych zauważy, iż „rozrodził się" tak,

że nie ma w prowincjach Rzeczypospolitej ani ziem, ani urzędów dla ich synów. Ale w 1581 roku, gdy Possevino przybył do Wilna z gołąbkiem pokoju w ręce, roztaczając wizję ligi, „skutek powyższych nastrojów był taki, że prowadzenie dalszych, i to najenergiczniejszych przygotowań wojennych, uznano powszechnie za bezcelowe. Wpłynęło to natychmiast na zupełne niemal zahamowanie tempa ściągania poborów, ekwipowanie żołnierzy, gromadzenie sprzętu przez podskarbich itd." — zauważył H. Kotarski.

Król był zły, król nie palił się do pokoju za Iwanową cenę, choćby mu go ofiarował Kościół, na którego poparciu tak mocno Batoremu zależało. Uważał, że „rozmowy dadzą moskiewskiemu oddech i pozwolą mu ściągnąć nowe siły do zachodnich rejonów".[10] Zbiegły od cara zaufany bojar Dawid Bielski ostrzegał przy tym Stefana przed przewrotnością swego byłego pana, tak jakby król o tym nie wiedział i tego nie zaznał. Bojar wskazywał Smoleńsk jako najstosowniejszy obiekt uderzenia. Toteż gdy posłowie hosudara prosili Stefana o zawarcie przymierza na dziesięć, no, choćby na trzy lata, „odpowiedziano im od króla JMci, że i do trzech godzin nie będą go mieć".[11] Respons był ostry, ale w parze nie szły czyny poddanych króla. Wojsko nadal ściągało nad wyraz opieszale. Melancholii Batorego dopełniła wieść, która dotarła doń 9 czerwca w liście jezuity Jana Lelesza, iż jego jedyny, tak pomocny w rządzeniu Siedmiogrodem brat Krzysztof — nie żyje. Nigdy nie był silnego zdrowia, a znak niebios — uderzenie w czerwcu 1580 roku pioruna w basztę z prochami w Gyulafehérvárze, śmierć czternastu mieszczan — oraz zgon żony Elżbiety Bocskay w lutym 1581 roku zaważyły na znacznym pogorszeniu się samopoczucia wojewody. Zmarł 27 maja 1581 roku na rękach przedstawiciela zakonu jezuitów, którego był niekwestionowanym dobroczyńcą. Pochowano go z wielkimi honorami jako księcia panującego — mowę imieniem zakonu wygłosił Jan Lelesz po łacinie, a nie węgiersku — być może, by zrozumieli go polscy panowie.

„Zastałem króla JMci w żałobie i smętnego bardzo po bracie p. wojewodzie siedmiogrodzkim" — zasępił się ks. Piotrowski.

„Wszystek dwór w żałobie chodzi; synowiec też jego [króla — J.B.] przyjechał chudo, ale już obrasta pierzem nie najgorzej" — dodawał ostrzej imć Narwit.[12] Żałość żałością, ale mąż stanu nie mógł się jej przecież bez reszty poddać. Na zlecenie króla Zamoyski zaczął szykować do Stambułu poselstwo polskie ze starostą przemyskim Janem Tomaszem Drohojowskim i pismo z prośbą o zatwierdzenie jako następcy Krzysztofa jego małoletniego syna, Zygmunta. Sprawa ta nie była oczywista. Mimo że sejm siedmiogrodzki w Kolozsvárze po długich debatach zgodził się na wybór Zygmunta, to rzecz wymagała zatwierdzenia przez sułtana. A Stambuł miał już swego kandydata do mitry siedmiogrodzkiej, Pála Márkházyego, choć ten dotąd wyróżnił się głównie wyładowywaniem swej tyrańskiej energii na małżonce Safirze, córce hospodara wołoskiego. A tu na dodatek przyjeżdża do Wilna tajemniczy wysłannik papieża, szeregowy jezuita z kłopotliwie pokojową misją, która mogła zniweczyć królewskie plany.

Król był na początku źle usposobiony do Possevina. Nie mogło być inaczej: wtrącanie się papieża w spór w chwili triumfu Batorego i kulminacji przygotowań wojennych odczytywane mogło być przez dwór polski jako próba wygrywania przez Kościół sukcesów Rzeczypospolitej, jej króla i narodu. Na dodatek rzecz odbywała się poza plecami wielbiciela Batorego, nuncjusza Caligariego, który zresztą lada dzień miał być odwołany do Rzymu. Wprawdzie Stolica Apostolska zapewniała, że Possevino tylko wtedy będzie usiłował pośredniczyć między hosudarem a królem, gdy wielki kniaź zgodzi się na unię kościelną, ale Batory musiał mieć niemiłe, acz umotywowane wrażenie, że odbywa się tu znany od wieków rytuał wyciągania kasztanów z ognia cudzymi, tym razem jego, rękami. Dlatego żałował, iż wydał Possevinowi „list glejtowny" na przejazd do Moskwy i obiecywał Caligariemu, że roztoczy silny nadzór nad jezuickim wysłannikiem papieża, by nie wtrącał się do spraw pozareligijnych. Przeczucia i nieufność Batorego miały solidne podstawy: w tajnej instrukcji papież zlecał Possevinowi w misji moskiewskiej najpierw doprowadzenie do pokoju, potem rozmowy o lidze, a w końcu poruszenie sprawy unii, „której natychmiastowego, pomyślnego za-

łatwienia wcale sobie nie wróżono" w Rzymie.[13] Poza tym nie bez racji król w tej misji wietrzył zakulisowe zabiegi habsburskie.

Rozmowa króla z Possevinem odbyła się 17 czerwca w Wilnie. Legat papieski twierdził, że była szczera, poufna i trwała dość długo; z całą zręcznością, na jaką go było stać, przekonywał Batorego o przychylności dlań Rzymu, o religijnym charakterze misji, o sprawach ligi antytureckiej; porównywał króla z Karolem Wielkim, by w końcu objawić „gotowość zastosowania się do jego woli, tak co do samej misji w Moskwie, jak co do przewodników i tłumaczy, jakich mu król zechce wyznaczyć".[14]

Zdaje się, że właśnie owa zgoda na królewskich tłumaczy zyskała Possevinowi „przychylność i zaufanie" Batorego, z której legat tak się cieszył w liście do papieża. Od tej chwili Batory mógł znać każde słowo, jakie padnie z ust układających się polityków. Bezpośrednia odpowiedź króla nie świadczyła jednak o zaufaniu: pokojowe pośrednictwo papieża jest bezcelowe, gdyż król spodziewa się, iż car sam odda mu niebawem Inflanty bez watykańskich nacisków. Natomiast monarcha polski godzi się na sugestie przywracania wiary katolickiej w Rydze i całych Inflantach, i miejscach odzyskanych, a dowodem tego będzie wysłanie rektora Akademii Wileńskiej księdza Piotra Skargi do Połocka, aby założył tam kolegium jezuickie. Jeśli idzie o nawrócenie cara — to zupełnie w to nie wierzy.

Król mówił otwarcie to, o czym wiedziano w Rzymie, Warszawie i Wilnie. Possevino chce „podobno nawracać samego kniazia. Dziwy to nie lada jakie będą, jeśli go nawróci" — stwierdził z przekąsem pilny obserwator tamtych wydarzeń, ksiądz sekretarz Jan Piotrowski. Batory w rozmowie z legatem papieskim w gruncie rzeczy okrom spraw religijnych nie pozwolił sobie na politykowanie. Pokój między Rzecząpospolitą i Moskwą mógł stanąć lada dzień, bez udziału wysłannika watykańskiego. Misja Possevina zawisła na cienkim włosku.

Uratował ją Iwan Groźny. Zupełnie nieoczekiwanie w końcu czerwca zerwał rozmowy pokojowe rozkazując wtargnąć swym wojskom w granice Rzeczypospolitej w okolicach Mohylewa. Na dodatek w Wilnie odkryto jakiś nowy rozległy spisek, którego uczestnicy

mieli spalić miasto i „króla o gardło przyprawić". Na Litwie ponoć zaroiło się wprost od szpiegów i dywersantów; zdarzali się polscy herbowi, jak syn wojskiego wieluńskiego, jakiś Masłowski, gotów przejść na stronę Iwana za złote krążki. Podobno częściej przystawali do Moskwy Węgrzy skuszeni nadzieją kariery, przesadzając w opowieściach o trudnościach, na jakie natknął się Batory przygotowując trzecią wyprawę. Było w tym jednak nieco prawdy. Toteż w literaturze przedmiotu za przyczynę tego nagłego kroku hosudara podaje się kilka ważnych okoliczności: dobiegające doń wieści o raptownym zwolnieniu przygotowań wojennych w Rzeczypospolitej, o śmierci Krzysztofa Batorego i nadzieję na odwrócenie uwagi króla ku sprawom ukochanego Siedmiogrodu. Zaskakująca akcja miała też zapewne poprawić warunki prowadzenia dalszej wojny. Wreszcie — misja Possevina stwarzała dla hosudara nadzieję na wytargowanie lepszych kondycji pokojowych. Nie od rzeczy będzie dodać, że w Moskwie krążyła uporczywa pogłoska, iż to sam Stefan Batory umarł, a nie jego brat. To wystarczyło, by rozchwiany emocjonalnie Iwan znów zdecydował się na wojnę.

Tymczasem Stefan Batory otrząsnął się z boleści po śmierci brata i wyruszył z Wilna 20 czerwca: „piechota węgierska idzie z nim z obu stron, on pośrodku, a jazda węgierska pozad" — donosił imć Narwit. Sprzęt wojenny spławiono znanym szlakiem wodnym z Wilii do Dzisnej i Dźwiny. Zamoyski podążał za królem opóźniony o dwa dni marszu i zupełnie samotny — nie zdołał zgromadzić jazdy na czas. Nic w tym zaskakującego, gdyż roty polskie i litewskie w tym czasie odpierały rosyjskie rajdy w okolicach Mohylewa, a następnie Orszy; natomiast reszta żołnierzy — około siedmiu tysięcy — nie chciała poderwać się z wygodnych leży jedynie za obietnicę żołdu. A na zapłacenie zaległych poborów żołnierskich brakowało wielkiej sumy — 350 tysięcy złotych. Nawet ci, którzy Batorego długo znali i z wzajemnością szanowali, ociągali się z płaceniem uchwalonych podatków. „P. Paczek Króla JMci sekretarz usilnie nalega i mieni, że Król JMć jest bardzo tym tak nierychłych, stąd przeszłych donatyw odesłaniem obruszon — pisał kasztelan chełmiński Jan Dulski do biskupa Kromera — racz WMć jako najrychlej

te pobory do malborskiego poborcy odesłać." [15] Dwa tygodnie — do 15 lipca — czekał wzburzony król w Dzisnej na zebranie wojsk i pieniędzy. Jego ataki złości były zrozumiałe: niebo było pogodne, czyste, prażyło słońce, ale już coraz krócej, cienie wydłużały się — i tak mijał najlepszy czas na rozpoczęcie działań, gdy on tkwił w Dzisnej bezczynnie. Toteż miotał gromy na głowy dowódców: „gdyby mi już dał znać, że nie ma być, wolałbym, a nie spuszczał się na przyjazd pana gnieźnieńskiego" — wołał pod adresem ociężale ciągnącego Jana Zborowskiego. Oczywiście życzliwe pióro natychmiast doniosło hetmanowi nadwornemu o „pięknej obmowie" króla. Urażonych zresztą było więcej: „zaczął wojnę, a ludzi żadnych nie ma, sam by chciał wszędzie, a temu dosyć uczynić nie może wszystkiemu" — pisał Narwit, niechętny królowi tryskającemu chęcią czynu i podejrzanie śpieszącemu się do wojny. Rozdrażniony Batory, jakby rozładowując ów nadmiar energii, urozmaicał sobie czas polowaniami, wielką i małą dyplomację pozostawiwszy zupełnie w rękach kanclerza. „Król JMć o wschodzie słońca na zając wyjeżdża co dzień. P. Kanclerz cały dzień z gospody nie wychodząc, zawarłszy się, swą ręką pisał nic innego jedno odprawę p. staroście przemyskiemu [Janowi Tomaszowi Drohojowskiemu] do Turek" — oto, podpatrzony przez pamiętnikarza, ówczesny podział obowiązków i przyjemności.

Stan oczekiwania na rozwój wypadków skończył się w Połocku, dokąd Batory dotarł 15 lipca. Tam oczekiwał na króla jego poseł, Krzysztof Dzierżek. Skarżył się na złe traktowanie: otoczono go w Moskwie już nie jednym, lecz trzema płotami, by z nikim nie mógł rozmawiać. Takie postępowanie mogło oznaczać, że car znów stroił się w wojenne barwy. Dzierżek wręczył królowi carską „wielką hramotę, jak sztukę kolońskiego płótna, dwiema wielkimi pieczęciami zapieczętowaną (...). Śmiał się król patrząc na pieczęci: Nigdy nam jeszcze tak długiego listu nie przysłał, zapewne opisuje wypadki od pierwszego Adama poczynając." [16] Ale po złamaniu pieczęci i odczytaniu treści ogromnej epistoły, liczącej dwanaście wielkich arkuszy, Batoremu chyba mniej było do śmiechu.

„M y s p o k o j n y [podkreślenie — J.B.] monarcha wszech Rosji

z Bożej łaski, lecz nie z woli wielce buntowniczych ludzi" — pisał hosudar.[17] Notabene wiara w przewagę sakry władzy dziedzicznej nad wybieralną była mocno ukorzeniona w niedemokratycznej części Europy: toż nawet Habsburgom z najwyższym trudem przychodziło przyznać, że Batory „choć on jest złego pochodzenia, jednak jest to król ukoronowany".[18] Car zatem w niebywale długim, dość chaotycznym liście, pełnym odwołań historycznych, religijnych i dynastycznych zarzucał polskiemu królowi sukcesyjnemu nie tylko złe pochodzenie, ale i zanik uczuć chrześcijańskich, okrucieństwo, które miało wyrażać się w zezwalaniu na rozpruwanie brzuchów zmarłym, z których żołnierze Batorego „sadło i wyjmowali, jakoby kłamliwym obyczajem".[19] Wojnę, podług Iwana, król rozpoczął, by poszerzyć swe państwo. Wyrzucał też Batoremu palenie Sokoła, Wielkich Łuk i niektórych twierdz ognistymi kulami. „Wynalazek nowy i nieludzki" [20] — twierdził car, który gorąco pragnął, by świat w każdej dziedzinie ludzkiego życia i działania zatrzymał się i zastygł na poziomie jego nawyków, przekonań i przyzwyczajeń. Jego lęk przed nowościami był wielce charakterystyczny i znamienny: łatwiej rządzić światem constans.

Obelżywy w tonie list pieczętował zerwanie rozejmu, który i tak został naruszony działaniami wojennymi jazdy tatarskiej i kozackiej w służbie hosudara pustoszącej niemiłosiernie ziemie zadnieprzańskie między Mohylewem a Orszą. Król tedy wydał z Połocka zarządzenia dotyczące osłony granicy litewskiej od strony Smoleńska poprzez wzmocnienie trzytysięcznego oddziału Krzysztofa Radziwiłła Tatarami litewskimi, a nade wszystko pospolitym ruszeniem zwołanym z ośmiu powiatów. Szlachta pograniczna, Kozacy niżowi, prywatne gwardie magnatów miały uderzeniami pokawałkować i rozproszyć armię rosyjską. W Połocku zjawiły się też chorągwie z zaciągu Zamoyskiego i inne, nadciągające licznie, nieźle wyposażone. Dwudziestego pierwszego lipca wojska królewskie mogły w dwóch kolumnach — z litewską jako osłaniającą — ruszyć wreszcie na Zawołocze.

Tego samego dnia — 21 lipca — powędrował również w kierunku Starycy, gdzie stacjonował straszny car, wysłannik papieża Antonio

Possevino. Przedtem w kazaniu upomniał króla, aby kazał jeńców moskiewskich uczyć zasad wiary katolickiej; spotkał się też na prywatnej audiencji z Batorym i Zamoyskim na dwa dni przed wyjazdem, sposobiąc nadal króla przychylnie do swej misji. Jeżeli Possevino obawiał się poddanych Iwanowi bojarów, to był to lęk niepotrzebny: hosudar nakazał bić legatowi papieża już w obozie polskim najniższe pokłony w nadziei wytargowania odeń życzliwości papieskiej, a więc jak najlepszych warunków pokoju. Poryw nienawiści, jaki w nim się nagle zapalił na wieść o trudnościach Batorego, tak i znienacka zaczął gasnąć wraz z pochodem coraz większej armii króla na Zawołocze. Zapał ten już bardzo przygaśnie, gdy Iwan otrzyma z Zawołocza list od króla.

Przy jego redagowaniu zrodziła się zresztą znamienna różnica zdań między Batorym a Zamoyskim. Ten ostatni chciał cara „każde argumenta wywrócić" (a było tego, jak pamiętamy, dwanaście wielkich arkuszy); król kazał „odpisywać krótko, wyrzucając mu niecnoty jego".[21] Ku zgrozie kancelarii królewskiej pracującej bez wytchnienia wygotowano jeszcze dłuższą epistołę niż carska, w której godność Batorego szła o lepsze ze zjadliwą argumentacją Zamoyskiego, zbijającego zarzuty Iwana punkt po punkcie.

„Ty kacie narodu ludzkiego, nie panie, który poddanym swoim jako bydlętom, nie jako ludziom rozkazujesz" — odpisał równie obelżywie król, oczywiście piórem Zamoyskiego i jego sekretarzy. Batory czuł się jednak w obowiązku wytłumaczyć. — „Co się dotyczy sadła tego, myśmy o tym nie wiedzieli; gdyśmy się o tym pytali, zdano nam sprawę, że Niemcy balwierze coś tego wzięli na lekarstwa, jakoż to bywa po wszystkim chrześcijaństwie, że ciała zmarłe i najmniejsze kąski rozrzeziwają, przypatrując się położeniu wszystkich i wnętrzności, aby w chorobach i ranach żywych ratowali. To jest okrucieństwo żywych (...) mordować, nad więźniami się znęcać, czegośmy nie czynili."[22] Batory wykpił też Iwanowe poczucie przewagi władcy dziedzicznego nad elekcyjnym, co było — przypomnijmy sobie respons we Lwowie podczas pierwszego pobytu — czułym punktem króla. „Tobie byłoby ciężko, gdybyś się był tym sposobem nie urodził, bobyś był państwa żadnego nigdy nie dostał, musiałbyś być albo pasterzem, albo zbójcą." Oskarżenia Iwana o okrucieństwo przewijały się tu równie często, jak obelgi w epistole hosudara, iż Batory uwielbia rozlewać krew chrześcijańską.

Król usiłował też pognębić hosudara intelektualnie. W nafaszerowanych erudycją zjadliwych wywodach podważających całą uczoną argumentację kniazia tyczącą się jego praw do Inflant etc. znać zresztą bardziej rękę jurysty i historyka Zamoyskiego niż króla. Aby wywód uczynić zupełnie wiarygodnym, Batory wysłał kniaziowi księgi łacińskie, w tym *Kronikę Sarmacyjej* Aleksandra Gwagnina „o książętach rosyjskich i własnych rządach jego na dowód — jak się wyrażał — że starożytni monarchowie rosyjscy nie byli krewnymi Augusta, lecz hołdownikami chanów perekopskich; radził mu także czytać pięćdziesiąty psalm Dawida, aby jak chrześcijanin poznał siebie samego..."[23]

List kończył się wyzwaniem Iwana na pojedynek. „Usiądź na swój koń, a porozumiemy się między sobą o czasie i miejscu, tam pokaż się mężem, jako sprawiedliwości dufasz, sami ze sobą uczyniwszy dwa, tak mniej krwie chrześcijańskiej będzie przelano."[24] Rycerska odwaga, którą Batory mógłby bez uszczerbku dla siebie obdarować innych, kopiowana niebawem przez Zamoyskiego, była trochę z przeszłej epoki. Król przypominał tu średniowiecznego księcia lub oficera lekkiej chorągwi, a nie władcę — bez dynastii.

Obydwa listy były obrzydliwe, ale szybko okaże się, że najskuteczniej można było prowadzić z Iwanem IV dialog z pozycji siły. Po wysłuchaniu gońca królewskiego Bazylego Łopacińskiego, który wręczył hosudarowi list Batorego, car, daleki od przyrodzonej gwałtowności, „rzekł spokojnie:

— Napiszemy odpowiedź bratu naszemu królowi Stefanowi. — Powstawszy z miejsca dodał z grzecznością: — Kłaniaj się od nas twojemu monarsze."[25]

Podobnie uczynił wobec Possevina — „powstawszy i wobec swojej szlachty i dworzan donośnym głosem zawołał:

— Antoni, który tu przyjechałeś z misją pokoju od papieża i któ-

rego oczekujemy z powrotem, pokłoń się w naszym imieniu królowi Polski, Stefanowi!" [26]

Cóż za zmiana w postępowaniu!

Już wiedział, że z Połocka ruszyła wielka armia królewska.

VII. PSKOWSKA KORZYŚĆ A WŁASNA SKÓRA

Wszystkie dotąd wyprawy na Rosję Batory odbywał w deszczu i błocie. I tym razem tej dziwnej tradycji stało się zadość. Złota pogoda skończyła się, niebo obrzmiało chmurami, z których lunął nieprzerwany deszcz niedługo potem, jak armia wymaszerowała z Połocka. Na szczęście Jerzy Zibryk wyrąbał i poszerzył drogi tak, że po dwóch dniach stosunkowo łatwo król przedostał się do Zawołocza. Wojsko ciągnęło dłużej.

Batory podczas tej wyprawy zachował się w sposób dlań typowy: bez dbałości o wygody. Jednak tym razem, wydaje się, przeszedł siebie. „Na noc tylko namiotek, ni ławki, ni stoliku; na południe pokarmuje w chruścianej kotarze, zydel mu czynią, kołków w ziemię kilka wbiwszy — biadał ksiądz Piotrowski, dzięki któremu poznajemy Batorego z bliska. — Kobierczyka, obicia nie pytaj, a kiedy się z drogi po obiedzie spać zachce albo odpocząć, nasieką drobno brzozowego liścia z chrustem, miasto materacu rozłożą na ziemię, położy się i przesypia jak w najlepszym pokoju." I nie było w tych zwyczajach króla nic z kabotyńskich gestów — Batory po prostu kochał lasy, a nie komnaty — ale jak takie wieści wpływały na szeregowych żołnierzy unurzanych znów w błocie, możemy się tylko domyślić. Za to dostawało się od wojaków ciągnących w „wielkiej nędzy" deszczów i rozmiękłych dróg Zamoyskiemu, który od nich „odbieżał". „Bodaj nam to zabit czynił", klęli kanclerza przemoczeni żołnierze, wywołując zgorszenie księdza sekretarza.

Obelgi jak to obelgi — najczęściej nie były słuszne. Nic więc dziwnego, że mocujący się z setkami codziennych uciążliwości Zamoyski, na którego barki król złożył gigantyczny ciężar organizacji armii i politycznych uzasadnień jej marszu, wybuchnął wreszcie 27 lipca zna-

nym już otoczeniu gniewem. Było to podczas sporu z podskarbim nadwornym.

„Dobrze, do króla, mam ja też z nim; kładą na mnie wszyscy, król, Litwa, wszystkie brzemię wojenne, nie wiem jako komu dogodzić."

Rozwścieczony Zamoyski „sierdził się", że nie chce być „pacholęciem króla": podczas tego ataku furii padły zresztą z jego ust bardziej dosadne i wręcz obelżywe sformułowania, których przerażony świadek gniewu kanclerza nie śmiał nawet zanotować dla potomności. Ksiądz Piotrowski obawiał się bowiem, że wystarczyłyby one na utrącenie pozycji Zamoyskiego: na szczęście nie dofrunęły one do namiotu króla, a raczej Batory usłyszał je, przemyślał i zrozumiał, że... Niebawem zobaczymy efekt.

Jednak furia kanclerza wskazuje, że współpraca obydwu mężów stanu nie zawsze była idyllą. W dwa lata później Zamoyski w kolejnym ataku niepohamowanego gniewu rzuci na ziemię akt nobilitacji z podpisem króla, gdyż nie było na nim — jego, kanclerza, parafki. Świadków było trzech, król oczywiście dowiedział się o brzydkim zachowaniu urzędnika i konsekwencji nie wyciągnął. Zbyt mu zależało na kanclerzu. Wykonawstwo wielu planów, w tym imprezy pskowskiej, w znacznej części leżało na barkach Jana Zamoyskiego.

Finał poprzedniej wyprawy zdawał się wskazywać, gdzie król pomaszeruje teraz. Tak w Wilnie, jak i w Moskwie mówiono o Pskowie. A jednak na radzie wojennej w Zawołoczu 29 lipca Batory nieoczekiwanie zaproponował rozważenie projektu oblężenia znacznie dalej leżącego Nowogrodu Wielkiego. Psków był starannie przygotowany do obrony, natomiast Nowogród, najpotężniejsze miasto w Wielkim Księstwie Moskiewskim, zupełnie nie spodziewał się oblężenia. Być może, jak sądził historyk, Batory przewidywał, że Nowogród podda się dobrowolnie [1]: pamięć potwornej rzezi, jaką Iwan sprawił nowogrodzianom jedenaście lat temu za konszachty z Zygmuntem Augustem, była szczególnie żywa, mimo że niemal wszyscy dawni mieszkańcy miasta wyginęli. Nowogród był gotów do podniesienia buntu i Batory wiedział o tym.

Wydaje się, że propozycja króla była jednak rzucona mimochodem: w rzeczywistości i on, i rada wojenna obawiali się pozostawienia za plecami potężnego Pskowa. Postanowiono zatem maszerować na tę ostatnią twierdzę. Szkoda. Król, świetny znawca piechoty i oblężeń, jakby zapomniał, iż ma wokół siebie najwspanialszą jazdę na świecie, do której powstania się przyczynił, a naprzeciw — obawiającego się starcia w polu przeciwnika. Inna rzecz, że nie widać, aby któryś z Polaków i Litwinów naciskał, by Batory zdecydował się na to rozwiązanie. Akurat w tym momencie zabrakło rozmachu w planowaniu, który mógł przynieść najpiękniejsze dla wodza i Rzeczypospolitej owoce. Znów przeważyło przekonanie o solidności i bezpieczeństwie oblężenia nad improwizowaniem bitwy, tak zgodnym ze sztuką wojenną i duchem polskim. Dodajmy, że ten styl walki przejmie po Batorym Zamoyski, który nie dorównywał królowi w militarnych umiejętnościach. Opłakane dość skutki ujrzy Rzeczpospolita za dwadzieścia lat w tychże Inflantach.

W 1581 roku trzydziestotysięczne siły moskiewskie w polu miał blokować hetman polny litewski Krzysztof Radziwiłł z 5600 jeźdźcami, komunikiem, bez taborów. Przestrzeń operacyjna, na której miał działać, była olbrzymia. Reszcie wojska król nakazał zebrać się w Worońcu.

Jakby na wieść o tym niebo szerzej uchyliło swe podwoje: przez trzy dni, do 6 sierpnia, podczas przeprawy do Worońca lały ulewne „deszcze, które się srodze poczęły nam stawiać; nasze konie bardziej trapią" — narzekał uczestnik wyprawy, podkomorzy rawski.[2] Wśród wojska przebiegały trwożne wieści, że w lasach, które przebywali, ukrytych jest dwa tysiące strzelców szpiegujących poczynania Batorego i czekających na stosowny moment. Zagrożenie rozprzęga lub mobilizuje armię; dla wzmożenia dyscypliny należało opracować artykuły wojskowe.

Uczyniono to w Worońcu pod bacznym spojrzeniem króla. Artykuły normowały nie tylko działalność żołnierzy, ich dowódców, ale zakazywały niszczenia ziem, zabierania plonów, dokonywania jakichkolwiek gwałtów na ludności rosyjskiej, zabraniały „usilstwa

jakiego im czynić".[3] Dla utrzymania moralności za uprawianie nierządu przewidywano kary najwyższe.

Ale rotmistrzowie, którzy otrzymali te artykuły, mieli poważne zastrzeżenia. Król zabrania żołnierzom pod jakimkolwiek pozorem oddalania się do domu. Zgoda — ale pod warunkiem, „jeśli tu Król JMć na zimę zostanie", odpowiedział Batoremu w imieniu dowódców pododdziałów Stanisław Przyjemski. Zastrzeżenie okaże się bardzo na miejscu. Następnie przedstawiciel rotmistrzów prosił króla o „zamianowanie" hetmana wielkiego koronnego, a nade wszystko — „aby płacono"![4]

Batory wykorzystał w lot okazję; kto wie, czy prośba Przyjemskiego nie była sterowana czyjąś ręką. Jedenastego sierpnia „publicznie w radzie i przy rotmistrzach wszystkich JMć P. Kanclerz przez p. marszałka Zborowskiego hetmanem wielkim koronnym imieniem Króla JMci deklarowany i publikowany jest". Teraz Batory mógł każdemu odpowiedzieć — bo w tej demokratycznej Rzeczypospolitej byle szlachecki poseł śmiał monarchę pytać — że nie forytuje Zamoyskiego. Inicjatywa mianowania hetmana koronnego była wszak oddolna, wyszła od żołnierzy. A jednak od razu pewien niepokój wzbudził brak zastrzeżenia króla, na jaki okres został powołany nowy hetman. Dotąd nie był to urząd dożywotni; teraz w otoczeniu Batorego „drudzy zaś szepczą: — Jużci, prawi, ma być do żywota".

Ksiądz sekretarz spisujący te opinie nie pomylił się. Wprawdzie Zamoyski piórem Heidensteina twierdzi, że „zaczął prosić i błagać króla, żeby komu innemu urząd ten powierzył", kajał się przed radą wojenną, co odnotował ksiądz Piotrowski, że „nie wziąłbym był przecie tego urzędu na się, ale żeby podobno ludzie przypisowali to byli małemu sercu memu, dlatego się w tym nie przeciwił WKrólewskiej Mci" — ale prawda była inna. W rzeczywistości bowiem Zamoyski od dawna zabiegał u Batorego o to nadanie. Gdy nie udało mu się sięgnąć po stołek wojewody krakowskiego po Piotrze Zborowskim (uniemożliwił mu to Mikołaj Mielecki), nadal rwał się do buławy. Król mu ją oddał, niechętny człowiekowi olbrzymich doświadczeń wojennych, Janowi Zborowskiemu, za którym optowała szlachta

i dowódcy — nie na sejmie, co mogłoby wywołać wielką wrzawę, lecz podczas wyprawy, już niedaleko jej celu. Na dodatek oddawał buławę wielką kanclerzowi o niejasnych dotąd umiejętnościach wojskowych, z przywilejami, jakich nie miał dotąd żaden hetman. I dożywotnio — „co niech będzie secretum".[5] Oczywiście ów sekret długo nim nie był, stając się publiczną tajemnicą wśród żołnierzy i szlachty patrzącej z przejęciem, jak z niedawnego jej trybuna wyrasta obok Batorego już nie tylko zdeklarowany stronnik władzy i dworu i pierwszy magnat, ale po prostu wicekról.

Czy gorzka furia kanclerza miała wpływ na nominację królewską — nie wiemy. Powołanie go na urząd hetmana nastąpiło w dwa tygodnie po tym zdarzeniu. Wydaje się jednak, że cała ta misterna gra, jak i wiele innych, była dobrze przemyślana przez Batorego. Król nadając urzędy najwyższe wbrew prawu o incompabilitas (niełączeniu ważnych stanowisk) i zwyczajowi nadawania głównych urzędów i wakansów na sejmie, zdając się w wielu sprawach politycznych i organizacyjnych na Zamoyskiego, sposobił go... Właśnie — do czego? Nie czas w tym miejscu szukać odpowiedzi, choć już niedługo trzeba będzie to uczynić.

„Okazowanie" wojsk zgromadzonych w Worońcu nie wypadło już tak pomyślnie jak uprzednio. Z Korony przybyło mniej jazdy, niż się król spodziewał, chorągwie prezentowały się biedniej, być może wskazując na bliski kres możliwości finansowych kraju. Wojsko było przy tym znużone, brakowało zaprzęgów. Za to piechota po raz pierwszy przeszła liczbą jazdę i była dobrze, z batoriańską starannością, jednolicie uzbrojona i wyszkolona. Litwa wystawiła znacznie mniej żołnierza zaciężnego — 5 tysięcy naprzeciw blisko 22 tysiącom z Korony — ale nierówność tę pokryła pocztami magnackimi i pospolitym ruszeniem. Kolejny raz król zdołał osiągnąć pułap możliwości militarnych Rzeczypospolitej: około 47 tysięcy żołnierzy maszerowało na Psków. Były wśród nich trzy „mocno okryte" chorągwie węgierskie Gabriela Bekiesza, Baltazara Batorego i Jerzego Zibryka, 1601 zaciężnych Niemców; potem przybędzie 248 Szkotów cieszących się sławą żołnierzy bez trwogi.

Zapał był letni; temperaturę podniosło nieco wypłacenie części zaległego żołdu, co pochłonęło sumę 138 632 złotych i 25 groszy. Nowy hetman i kanclerz — „pieczęć na szyi, a hetmański proporczyk za nim na grocie u kopii" — jął dzielić wojsko na pułki, a przede wszystkim — wprowadzać swoje porządki.

Hetmanienie Zamoyskiego rozpoczęło się od charakterystycznego incydentu: sporu z marszałkiem nadwornym Andrzejem Zborowskim o władzę sądowniczą nad dworem. Nowy hetman wielki koronny twierdził, że na czas wojny on ma tę władzę, a nie marszałek. Ach, lubił Zamoyski „przestronno być" koło siebie i na urzędach, za stołem i w imionach, jak to sam kiedyś wyraził. Oczywiście Zborowski oprotestował taką interpretację władzy sądowniczej, ale Zamoyski miał za sobą króla i jego przywilej. I choć incydent zakończył „obłapianiem się" i popijawą, to w rzeczywistości kanclerz przytarł nosa Zborowskiemu i ambitnym magnatom. Rychło nadarzyła się okazja pokazania żelaznej ręki szlachcie. Podpitego dworzanina Gołkowskiego, który wywołał burdę w obozie i zranił pachołka w głowę, kazał uwięzić. Potem zwolnił go, ale gdy Gołkowski „wpadł w recydywę", tym razem bijąc Jerzego Mniszcha kryształowym pucharem po twarzy, Zamoyski ferował wyrok śmierci przez ścięcie. Szlachcic zresztą uniknął jej uciekając z namiotu Stanisława Żółkiewskiego, który miał go strzec. Sprawa była głośna, gdyż szło o ochronę racji stanowych, o neminem captivabimus, nietykalność osobistą szlachcica, którego mógł osądzić i skazać sąd sejmowy! Wreszcie — aby zaprowadzić surową dyscyplinę, „jedną panią wesołą dał ściąć, co porzuciwszy własnego męża do towarzysza jednego z roty p. Bodnarowej przyłączyła się, drugą z obozu wychłostawszy, nos i uszy oberznąć jej kazał" (dodajmy, że okaleczenie nie było formą barbarzyńskiej represji, ale ostrzeżeniem ludzi przed przestępcą). Świetny jurysta, znawca Cezara, miłośnik uczonych dzieł, intelektualista wysokiej próby — pokazał, że potrafi być bezwzględnym hetmanem, na razie jeśli idzie o kary. Głów i razów, rozdanych hetmańskim korbaczem własnoręcznie przez Zamoyskiego, spadnie znacznie więcej, ale było rzeczą charakterystyczną, że Zamoyski podpierał się wolą Batorego. „Król sam rozkazał, aby go wedle artykułów sądził", „muszę się — prawił — dołożyć w tym JKró-

lewskiej Mci". Należy w tym kanclerzowi wierzyć: przecież Batory nie wahał się nigdy w imię racji stanu skracać ludzi o głowę i wiedział dobrze, jak najłatwiej wymusić posłuch. Taka polityka musiała być z nim uzgodniona. Trzeba też pamiętać, że Zamoyski widział dobrze, jakie trudności z wielonarodowym wojskiem, a szczególnie bitnymi ziomkami króla, miał jego poprzednik, Mikołaj Mielecki. Tutaj zresztą nowy hetman znajdzie się między młotem a kowadłem: gdy będzie chciał podporządkować sobie Madziarów w zakresie sądownictwa, król zdecydowanie, w ostrym tonie, uniemożliwi mu to.

Szlachta miała rację: Batory darzył swoich rodaków niekłamaną sympatią i faworyzował ich. Taka sympatia w wypadku męża stanu ma oczywiście polityczny wymiar, który nadal mocno niepokoił szlachtę. W drodze na Psków stał kamienny zamek Ostrów; bombardowano go przez trzy dni z dwudziestu dział, aż wreszcie załoga rosyjska poddała się. I król oddał komendę nad zamkiem „Węgrzynowi jakiemuś". Dostrzegając niepokoje polskie, Batory starał się więc być sprawiedliwy: za uderzenie polskiego rotmistrza inny Węgier na rozkaz króla „musi dać szyję". Chcąc przy tym przychylniej usposobić wojsko, Batory na chwilę zapomniał o łagodności wobec przeciwnika. Pozwolił złupić Rosjan tak, że „jedno przy jednej koszuli zostawiono", po czym nakazał puścić ich wolno. Są to fakty zanotowane przez księdza Piotrowskiego.

Nie potłumił tym krytyki swych personalnych decyzji. Nastroje nie były najlepsze i z innego powodu: i król, i wojsko wiedzieli, że tym razem wyprawa na Psków jest najtrudniejsza, najgorzej przygotowana i została rozpoczęta zdecydowanie zbyt późno. Rosjanie zaczęli przy tym stosować swą taktykę pozostawiania gołej ziemi i wysiedlania dierewni; pojmani dwaj synowie bojarscy mówili o poczwórnych kamiennych murach Pskowa, gorączkowo, choć starannie wzmacnianych, rzece opasującej część wielkiej twierdzy, trzystu murowanych cerkwiach wewnątrz i wielotysięcznej, dobrze przygotowanej załodze z donośną artylerią osadzoną na murach i basztach. To z pewnością nie była drewniano-ziemna forteca jak Połock czy Wielkie Łuki, o czym Batory dowiadywał się od kolejnych

jeńców schwytanych w dniach, gdy słońce dawało już długie cienie.

Groziła wojna zimą. Nie przejęty tym król wyraźnie rozszerzał zakres wojny. W manifeście do ludności rosyjskiej zapewniał, że w celu wyzwolenia jej spod Iwanowego jarzma po zajęciu Pskowa ruszy na Nowogród Wielki, aby „do wolnostiej pierszich i swobod chriestijanskich priwiedjeczy".[6] Z pewnością myśl o marszu na Nowogród nie była mu obca — pokażą to późniejsze narady i plany — ale wtedy raczej szło o przestraszenie hosudara i jego bojarów niż cel wyprawy. Ten miał zależeć od wyniku oblężenia Pskowa.

Marsz na tę twierdzę i wspomnienie Nowogrodu jako następnego obiektu wyprawy wydaje się wskazywać przy tym, że król nadal był myślami pomiędzy odbiciem Inflant a sprawą „całej Północy". Szlachta, niechętna wojnom poza granicami kraju, chciała dotrzymania przez króla warunków umowy bodaj jeszcze z Meggyes: „rekuperacji" utraconych ziem. Psków leżał już poza granicami roszczeń stanów Rzeczypospolitej, aczkolwiek zajęcie go odcinałoby zupełnie Rosję od Inflant i uderzenie tam z punktu widzenia stratega było zasadne i konieczne.

Myślenie szlachty najpełniej może oddawało szczere westchnienie nieocenionego księdza Jana Piotrowskiego: „Ja o pskowską korzyść nie dbam, byle się dał P. Bóg z całą skórą do domu wrócić."[7]

VIII. «ZIELE» POD PSKOWEM

Westchnienia księdza sekretarza stały się jeszcze cięższe, gdy wreszcie dwór króla wyszedł z pustynnych ziem i lasów nad brzegi rzek, które zbiegały się w jedną, Wieliką, opasującą częściowo twierdzę. „Patrzymy już na Psków. O Jezu, toć wielkiego coś, by drugi Paryż. Pomóż nam do niego, Panie Boże!" — wyrwało się światłemu padewczykowi, który na Zachodzie niejedno wielkie miasto widział. Następnego dnia, 26 sierpnia, król przeprawił się jako jeden z ostatnich przez rzekę, dopilnowując osobiście porządku marszu i przeprawy taborów.

I on musiał być zaskoczony położeniem i obronnością Pskowa, który uchodził za jedną z najpotężniejszych twierdz w Wielkim Księstwie Moskiewskim. „Bo równego temu moskiewski nie ma drugiego; wszystko jest w murze, które acz nie zrówna się z naszymi murowanymi miasty, jednak wielkością przerówna.”[1] Skutek to bliskiego sąsiedztwa zakonu Kawalerów Mieczowych, przed którymi niegdyś miasto musiało się dobrze chronić. Psków opasany był wodami rzek Wielikiej i Pskowy i podwójnymi grubymi na trzy i pół metra murami ciągnącymi się na obwodzie zewnętrznym przez 10 kilometrów. Tam, gdzie nie płynęły rzeki, miasto chroniły poczwórne, tak wysokie mury, że nie było widać spoza nich ani domostw, ani nawet kopuł „niezliczonych” murowanych cerkwi. Trzydzieści siedem baszt, w tym Pokrowska i Świńska wyrastały ponad te grube mury. Strzegło ich dwadzieścia tysięcy zbrojnych z czterdziestoma ciężkimi działami, olbrzymimi zapasami prochu i żywności. Tymczasem, jak pamiętamy, siły królewskie nadciągające pod Psków liczyć będą w sumie 47 tysięcy żołnierzy i ledwie dwadzieścia dział burzących. Gęste chmury kurzu trwożące pskowian wzniecały jednak nie tyle buty żołnierzy, ile czeladzi, której inżynier Ridolfino liczył z przesadą na 180 tysięcy. W walce ta skłonna do łupiestw czereda była na ogół bezużyteczna i łatwo ulegała panice. A przecież już wtedy zauważono, że warunkiem sukcesu przy szturmie twierdzy jest znaczna przewaga liczbowa żołnierzy, przynajmniej trzykrotna w piechocie.

Skutek obejrzenia twierdzy był taki, iż zdawało się niektórym, że „lepiej porzucić Psków i ruszyć prosto do Nowogrodu (...) albo uderzyć na sąsiednie zamki Porchów i Gdów”. Batory jednak nie zgodził się na to, choć i nim targały potężne wątpliwości, które uwiecznił Heidenstein. Król nie zwykł tak łatwo rezygnować z tego, co postanowił, przy czym spodziewane załamanie się morale wojska królewskiego, wzrost męstwa Rosjan i pychy hosudara zdawały się tu mieć niebagatelne znaczenie. Psków miał być zdobywany i zdobyty. Po objeździe okolicy sfałdowanej w niewysokie pagórki, obrośnięte malowniczo w części sadami, król obrał miejsce na obóz nad rzeką Pskową.

Nie był to trafny wybór. Okazało się bowiem, że działa twierdzy są tak donośne, że zagraża to życiu Batorego i jego otoczenia. Trzeba było obóz królewski przenieść dalej. Wreszcie 28 sierpnia, za wskazaniem króla i Zamoyskiego nadal pilnie objeżdżających teren, zaczęto stawiać od południa i wschodu oddzielne obozy: litewski, polski, broniony trzema rzędami wozów, niemiecki i, na lewym skrzydle, przy rzece Wielikiej, węgierski. Polakom „toczenie” obozu szło najgorzej, choć zgodnie z żelazną regułą staropolskiej sztuki wojennej taborem osłaniano się na każdym miejscu postoju i żołnierze z kresów byli tu mistrzami. Bardziej jednak w praktyce niż w planowaniu — a na wyprawę tym razem nie poszli źle lub wcale nie wynagrodzeni specjaliści. Kampania nie była tak dobrze przygotowana jak poprzednie. Na opasanie całego Pskowa wstążką królewskich wojsk nie starczyło rot.

Już pierwsze zetknięcie się chorągwi wojewody bracławskiego Janusza Zbaraskiego z załogą rosyjską, na czele której stali bracia Szujscy, Iwan i Wasyl, wykazało, że będzie się ona dzielnie bić. List króla wzywający Psków do poddania się na korzystnych warunkach, w którym Batory wybijał oczywiście na pierwszy plan wyzwolenie od tyranii okrutnego hosudara, nie odniósł żadnych skutków. Powinno uzmysłowić to wreszcie królowi, że argumentacja jest nietrafna, że Rosjanie są przekonani, że „wasza wolność wam dobra, a nasza niewola nam (...), a jeśli car sam jakie mi bezprawie uczyni, to jemu wolno, jako Bohu, bo on karaje i żałuje”.[2] Przy tym Szujscy zaprzysięgli hosudarowi na krzyż, że prędzej „umrzemy, lecz się nie poddamy”[3] — i zamierzali tej przysięgi dotrzymać. „My nie Żydy, nie predajem ni Chrysta, ni cara, ni otczestwa; nie słyszajem twojej liesti [pochlebstwa — J. B.], nie boimsja ugroz. Idi na broń: pobieda zawisit od Boga” — mieli odpowiedzieć bohatersko pskowianie, choć cytat ten brzmi mocno podejrzanie, niczym patriotyczny wiersz.[4] Wprawdzie ułożenie tego listu zajęło im pięć dni (na tyle zgodził się Batory), co naiwni uznali za „dobry znak”, ale obie strony już następnego dnia nie miały żadnych złudzeń. Oto bowiem na ryjących podkopy Węgrów spadła wycieczka pskowian, a noc rozjaśniła kanonada z dział bijących w okopy rozżarzonymi kulami;

wynalazkiem, który Rosjanie zdołali już przejąć. Równie nowoczesny sposób wojowania zaprezentowali poddani carscy podczas harców. Na Hansa von Redera ze Śląska i innych równie dzielnych rycerzy rwących się do walki wręcz spadły kule, a nie miecze. Zwolenników harcowania musiał zatem Zamoyski długo przekonywać, że „niepodobna, aby kto kopią mur przewrócić miał abo i głową przebić".[5] Uwierzono mu.

Cała nadzieja leżała bowiem w dobrze zorganizowanym szturmie, poprzedzonym uderzeniem artylerii, a nie w indywidualnych szaleństwach. Chociaż — bywały one w cenie, gdyż niekiedy przynosiły zaskakujące rezultaty. Oczywiście król wiedział o tajnikach zdobywania miast bardzo dużo; teraz tę prawdę mógł jeszcze raz odczytać w uczonym dziele hrabiego Reinharda von Solmsa, które — oprawione w złoto i zielony aksamit — przysłał mu syn pisarza i grafa w dowód uznania dla wielkiego wodza. Batory, miłośnik książek, szczególnie wojskowych, był szczerze tym darem uradowany: przecież „cokolwiek jedno należy do wojny, wszystko w nich najdzie", przekazał nam ksiądz Piotrowski opinię o tym dziele, ustępującym znacznie choćby słynnej pracy wielkiego holenderskiego humanisty Justusa Lipsiusa, która wpłynęła na przywrócenie piechocie wysokiej rangi.

Notabene Batory natychmiast znalazł w dziele von Solmsa to, czego potrzebował. Wedle księgi żołd dla piechoty niemieckiej był zbyt wysoki, więc obciął go Farensbachowi. Tym razem kierował się król nie tylko brakiem pieniędzy, ale wyraźną i umotywowaną niechęcią do piechoty niemieckiej zaciąganej w Rzeszy. Po przykrych doświadczeniach w poprzednich kampaniach Batory polubił górali szkockich (Highlanders), którzy, być może, przypominali mu półdzikich, szaleńczo odważnych węgierskich sabatów. Króla nie przekonywały stwierdzenia Farensbacha, że przyjęcie Szkotów na służbę królewską to jeszcze większa porcja kłopotów niż z Niemcami. Na dodatek decyzja Batorego zniechęciła żołnierzy z Rzeszy do pójścia na szańce, które tymczasem wyrosły blisko murów Pskowa, między basztą Pokrowską a Świńską. Targowali się zawzięcie o pieniądze, przyprawiając króla o gniew. „Zaiste, pominąwszy duszę, sami tego nie

warci" — warknął do Farensbacha. Wreszcie nocą 6 września, mimo gęstej palby z murów, zaczęto ustawiać na szańcach węgierskich i polskich działa burzące.

Już następnego dnia okazało się, że umocnienia drewniano-ziemne, w których celowali dotąd Moskale, przewyższają fortyfikacje murowane, kamienne. Mur pskowski poddawał się regularnemu rażeniu kul z potężnych dział: był mniej solidny niż umocnienia Wielkich Łuk! Pod uderzeniami odpadały, fruwając w górę ku radości żołnierzy, kamienie i spoiwo, aż wreszcie wybito dwie spore dziury otwierające wejście do tej części Pskowa. Do króla zaczęli podbiegać Węgrzy, którzy w tych wyprawach nieodmiennie sprawiali wrażenie ludzi zdesperowanych, prosząc, by ich król raczył przypuścić do szturmu. Szczególnie odznaczył się tu hajduk jakiś, który twierdził, że obejrzał ową dziurę i ręczył „owa, iż wszystko do szturmu łacno". Batory i Zamoyski obdarowali go szczodrze za pomyślną wieść, naradzili się z pułkownikami i postanowili wysłać na rekonesans kilkudziesięciu żołnierzy: aby żadna nacja nie czuła się pokrzywdzona, tym razem dobierano ich starannie. Ba, ale do szturmu rwali się również jeźdźcy spod poważnych znaków, tak źle zresztą potem sławne nazwiska jak Stanisław Stadnicki czy Jerzy Mniszech, ojciec przyszłej carycy Maryny. Przywdziawszy na zbroje białe koszule niewinności, po napisaniu testamentów i pożegnaniu się z towarzyszami pociągnęli do szańców, gdzie czekali na znak do szturmu. Sam król podjechał bliżej szańców, chcąc przyjrzeć się i pokierować ostatecznym natarciem. Stanął niedaleko brzegów rzeki Wielikiej, gdy płytka fala zdobywców ruszyła ku dziurze.

Zbyt dużo jednak było pazernych na łupy i sławę wojenną, którą Batory — choć nie zawsze — umiał uhonorować. Za wyznaczonymi żołnierzami, których osłaniał ogień baterii z polskich szańców, runęli jak zwykle rozgorączkowani Węgrzy, pociągając za sobą Niemców i Polaków. Początek natarcia był nawet udany, gdyż na obydwu basztach zatrzepotały królewskie chorągwie. Przez kwadrans otoczenie Batorego było przekonane, że ta część miasta została zdobyta. Na szczęście od gratulacji jeszcze się wstrzymywano.

Za drugą bowiem dziurą królewscy żołnierze natrafili na niespo-

dziewanie silny opór, który tężał podczas próby zajmowania części miasta. Przedtem Szujscy kazali pokropić to miejsce święconą wodą, by pskowianie z tym większym oddaniem przelewali za nie krew; teraz na drodze ich odwrotu pokazał się jeden z Szujskich, w pokrwawionej odzieży, a nade wszystko — ihumen Tichon z obrazem Najświętszej Marii Panny i zwłokami świętego Wsiewołoda Gabriela wyniesionymi z cerkwi katedralnej pod wezwaniem Świętej Trójcy. To wystarczyło, by pskowianie zawrócili i z najwyższym hartem zaczęli razić nacierających. Na głowy Węgrów, Polaków, Niemców poszybował grad kamieni, belek, pocisków, w baszty zaczęły bić działa i hakownice moskiewskie, podpalając prochy, które wysadziły wieże w powietrze. Na dodatek Polakom trudno było iść w sukurs, gdyż wybite dziury były zbyt wąskie, zapchane czeladzią spragnioną łupów. Płomienie, choć tu i ówdzie tłumione krwią i ciałami walczących, zaczęły obejmować drewniane części zamku. Nie było szans, by się tam utrzymać. Zamoyski kazał trąbić na odwrót.

Szturm 8 września, tak szczęśliwie się zapowiadający, po czterech godzinach szaleństwa kul, cięć i płomieni, zmienił się w tragedię. Zabitych i rannych znoszono przechodząc obok stojącego niewzruszenie króla, tak „że każdy się otarł oń". Patrzył Batory na zabitego dowódcę Węgrów, syna swego wroga, a potem wielkiego przyjaciela, Gabriela Bekiesza, na dwóch rotmistrzów, na ciężko poranionego dowódcę Piotra Kendiego i Hansa von Redera (obaj zmarli niebawem), który służył nie dla żołdu, ale dla sławy i z uznania króla polskiego. Widział Stefan rannego syna księcia Gottharda Kettlera, potłuczonego faworyta Zamoyskiego, Mikołaja Urowieckiego, i kilkuset innych szeregowych żołnierzy znoszonych z pola walki. Strat zresztą nie znamy, „bo o tym mówić nie każą" — szepnął ksiądz sekretarz. Król bał się rozniesienia wieści o porażce. Z pewnością jednak Wilhelm Lucenberger, szef „balwierzów" (chirurgów) miał pełne ręce roboty.

Wojsko było mocno rozgoryczone na Zamoyskiego i króla, choć któż by tam śmiał ad Maiestatem złe słowo powiedzieć. Szacunek dla króla był jednym z filarów polskiej obyczajowości politycznej. Ale przeczytajmy, co napisał ksiądz sekretarz: „winują ludzie Węgrów za radę niewczesną. Trzeba było jeszcze z dzień poczekać, dziurę większą udziałać, a pierwej się dowiedzieć o niej, jakowa by była, a nie spuszczać się na j e d n e g o h a j d u k a niepewną sprawę. Piszę to poufnie" — dodał sekretarz i słusznie, bo w zawoalowanej formie była to krytyka zbyt pośpiesznej decyzji króla i hetmana.

Wskutek niesubordynacji i pochopnej decyzji — podobno Zamoyski był jednak przeciwny szybkiemu szturmowi, chcąc owe dziury powiększyć — jak i woli walki pskowian, stracono najlepszą okazję. Ponowny szturm w następnych dniach okazał się niemożliwy, gdyż poddani cara szybko zbudowali nowe drewniano-ziemne umocnienia i rowy. Zastawiły one wyłomy. Wprawdzie Polacy zaczęli w nie na powrót bić z armat, ale niespodziewanie okazało się, że... zabrakło prochu. To już nie był ów wzbudzający podziw precyzyjny mechanizm przygotowań; dały tu o sobie znać niedawne pokojowe nastroje omroczające Litwę nadzieją rychłego pokoju i zwykły pech, który sprawił, że wielki królewski skład amunicji w Suszy wyleciał w powietrze. Litwini jednak w osobie marszałka wielkiego Krzysztofa „Sierotki" Radziwiłła — osoby chorowitej i, co gorsza, pod Połockiem kontuzjowanej w głowę — uważali, że wina leży po stronie króla, który „zaś jedno jeden dzień do miasta strzelał" [6], nie zadbawszy o prochy. W śmiałym wystąpieniu marszałka, które wywołało na radzie wojennej nie lada zgiełk, było wiele zrozumiałej goryczy, gdyż u progu wyprawy wystarczyło wyłożyć 20 tysięcy złotych, by kupić wystarczającą ilość prochu i kul. Batory, zajęty setkami spraw, w tym wypłaty żołdu, przegapił, zdaje się, ten ważny zakup albo zlekceważył go, co byłoby wprost niepojęte. Nie do wiary jest bowiem tłumaczenie znawcy wojen batoriańskich, że w umyśle króla, już wcześniej znającego obronność i wyposażenie Pskowa „zapadło postanowienie o o b l ę ż e n i u [J.B.], jako jedynym sposobie zdobycia" tak potężnej twierdzy, skąd miało się wziąć zlekceważenie sprawy zakupu prochu i kul.[7] Jakiż rozsądny wódz wyprawiłby się na zdobycie potężnych umocnień z jedno- czy nawet dwudniowym zapasem amunicji? Wiemy, że rozsądkiem Batory mógłby obdzielić kilku władców ówczesnych. A może król chciał w ten dziwny, przy-

znajmy, sposób na nowo obudzić uśpione mieszki magnackie i szlacheckie? Niefortunna byłaby to myśl. Czyżby zatem Batoremu niewiele już zależało na Inflantach, a powstrzymany w swych planach przyłączenia Moskwy mieczem i stworzenia gigantycznej unii, nie miał już serca do przygotowań oblężenia Pskowa, nie tu widząc prawdziwy cel swych wieloletnich działań? Dziwne niedopatrzenie króla, jego tajemnicze czasem słowa i posunięcia rodzą dotąd podejrzenia, o co właściwie Batoremu chodziło i czy rzeczywiście zapomniał choć odrobinę o interesie Węgier.

W tych warunkach pod Pskowem niewiele znaczyło kilkadziesiąt cetnarów prochu i „300 kul dzielnych szmyperynowych" ofiarowanych królowi przez przezornego Zamoyskiego. Wyjątkowo tym razem kanclerz uniknął oskarżeń rozjątrzonych możnych i wojska. Pskowianie, uradowani ciszą polskich szańców, szybko zorientowali się w brakach królewskiej armii. Z radości powiesili na murach jakiegoś Węgra, wołając wesoło do bezczynnych żołnierzy Batorego: „Szto to za król wasz? Ziela nie ma (proch zielem zowią) ani pieniędzy, pódźcie wy do nas, u nas ziela, dzieng i wszeho mnoho." [8]

Jeńcy zeznawali, że nie była to fanfaronada pskowian; w twierdzy leżało 25 tysięcy cetnarów prochu, podczas gdy król wybrał się na wyprawę z 1200 cetnarami, z czego 400 było w odległych składach. Pewną nadzieję dla Batorego stwarzały podkopy prowadzone cichaczem w trzech miejscach. Ale i tych prac musiano zaniechać, gdyż kopacze trafili na twardą skałę wapienną, a czujne uszy pskowian odkryły miejsce trzeciego, węgierskiego, podkopu. Moskwicini włożyli tam minę, która wybuchem pogrzebała podejście i związane z tym nadzieje króla.

Batory musiał przejść do biernego oblężenia, czyli blokady miasta, i czekać na amunicję i działa, które wiózł aż z Rygi Mikołaj Korff. Proch miał nadejść również z Połocka. Aby odciąć Psków od zaopatrzenia wodą, Zamoyski nakazał przez Wieliką przeciągnąć łańcuch z zawieszonymi gęsto kłodami. Niecodzienny ten sposób okazał się bardzo skuteczny, gdyż na przeszkody nadziało się aż szesnaście z siedemnastu „batów" — stateczków wiozących stu pięćdziesięciu bojarzynów moskiewskich z dowódcą Jakubem Bezobrazo-

wem, i żywność. Zadowolony król, sam uchodzący przecież za tęgiego wynalazcę, pojechał nawet obejrzeć ów hetmański patent. Dodajmy, że nie był to pierwszy ani ostatni wynalazek pomysłowego kanclerza i hetmana.

Tak naprawdę jednak powodów do zadowolenia było mało i utrwaliły to *Dzienniki* Jana Piotrowskiego. Roztargniony Zamoyski 19 września tak był zajęty rozmową z Janem Zborowskim, że „nieobacznie mało nie wjechał ku bramie miejskiej w ręce nieprzyjaciela". Być może owo roztargnienie było oznaką zbliżającego się osłabienia jesiennego i choroby: w dwa dni później kanclerz zatruł się bardzo poważnie suszonym łososiem: „w nocy womit miał, łosoś i coś drugiego przytem precz wypadło". Zgromadzone przezeń olbrzymie zapasy żywności już zaczynały się psuć. Do króla, strapionego chorobą kanclerza, docierały głosy wielce niechętne Zamoyskiemu, że powinien na „piórku" poprzestać, a nie imać się ciężkiej buławy. Zaskakująco znów niedobrej atmosfery dla hetmana — stanowiącego wszak również rodzaj królewskiego piorunochronu — nie poprawiło nawet rozpędzenie siedmiotysięcznego oddziału Mikołaja Chwostowa wysłanego przez Iwana IV z Nowogrodu. Dyscyplina w obozie batoriańskim rozluźniała się, czego dowodem była, uczciwszy uszy, próba zgwałcenia dwóch rosyjskich dziewek przez roznamiętnionych Włochów. Notabene tylko narodowość uchroniła ich od oddania szyi katu: w takich wypadkach król i hetman byli bez pardonu, ale specjalistów zagranicznych nie było w nadmiarze.

Na czyn gorącej krwi Włochów wpłynęła zapewne pogoda. Piękna, słoneczna, ciepła: nasz padewczyk ksiądz Piotrowski wspomniał nawet o włoskim niebie nad Pskowem. Jednak już w kilka dni później, 30 września, trawy, sady i pola wokół twierdzy ośniedziały od mrozu. W początkach października spadł śnieg, armia musiała na gwałt kopać ziemianki i chować się przed silnym, niespotykanym o tej porze w Polsce mrozem. Raptownie wzrosła wartość kożuchów: liczniejsi bądź bardziej zmarznięci zabierali ciepłe ubrania niebacznym, w czym odznaczali się nie przygotowani do takiego zimna Węgrzy; polski porucznik, niejaki Piwko, gotując się do zimy, zrabował 700 złotych swemu rotmistrzowi, za co Zamoyski kazał go „ob-

wiesić". Król nie pozwalał na demoralizację. Szujscy nie kwapili się przy tym do większych wycieczek, śląc głównie poza obręb murów gońców do hosudara z wieścią, że już dwadzieścia szturmów polskich odparta („quasi verum", niemal prawda, zakpił ksiądz Piotrowski), ale też z prośbą o ratunek przed głodem, który pskowianie zaczęli ponoć odczuwać. Pochwycony przez Litwinów goniec z listem o powyższej treści podniósł nieco na duchu oblegających: i za murami, wbrew przechwałkom pskowian, nie zbywało na żywności.

Siedemnastego października dotarł wreszcie z Rygi do króla Mikołaj Korff ze stu pięćdziesięcioma Szkotami, których „czerstwość" i „ochota" wywarły dobre wrażenie. W kilka dni później, 22 października, wrócił z długiego rajdu, o mały włos nie pojmując w niewolę hosudara, Krzysztof Radziwiłł, udowadniając przed pokoleniami, że przydomek „Piorun" należał mu się na pewno. Pech sprawił, że nie skorzystał z propozycji wspierającego go Filona Kmity Czarnobylskiego, by uderzyć na Starycę; sądził, że stojący tam car ma potężną armię, a nie, jak się niebawem ujawniło, ledwie siedmiuset strzelców! Tatarzy litewscy „kurzyli więc pod nos" przez kilka dni, paląc okoliczne dwory, wzbudzając — Batory dowiedział się o tym od zbiega carskiego Daniela Murzy — płacz Iwana przerywany atakami wściekłości, bicia, kłucia posochem rzekomo winnych tego stanu rzeczy. Mimo namów kniazia Mścisławskiego hosudar nie palił się ani do walki, ani do ucieczki, wymawiając się starością: jego rezygnacja, a może tylko oportunizm sprawiły, że niezwykły przypadek schwytania cara, który musiałby zakończyć całą wojnę, nie zdarzył się. Hetman litewski zapędził się z głównymi siłami aż nad Wołgę. Przebył 1400 kilometrów, „do Persji", jak kpiono potem w obozie pod Pskowem, pokrywając kompleks nieudałego oblężenia — bijąc koło Rżewa rosyjskie oddziały. Dywersja była bardzo udana, przeprowadzona z dużym rozmachem na olbrzymiej przestrzeni, i mocno wpłynęła na przyszłe decyzje wielkiego kniazia.

W obozie pod Pskowem sytuacja nie malowała się tak różowo. Korff przywiózł ledwie sto cetnarów prochu i trochę kul. Wystarczyło tego „ziela" ledwie dla dwóch dział, które wybiły kolejną dziurę. Jak okazało się, po to, by skorzy do szturmu, niczym nie zrażeni

Węgrzy, ujrzeli następną drewniano-ziemną zaporę wybudowaną przez pskowian. Jedyny sukces królewski to wyrwanie pskowianom kilkunastu worków soli uszczelniających wały; soli, której zabrakło już w batoriańskich obozach. Jakby prawem serii wysłany przez Batorego na zdobycie monastyru Peczerskiego Farensbach, a następnie Bornemissa również wybili tam kulami armatnimi dziury, ale klasztoru nie zdołali zdobyć. I tu rozpoczęło się regularne oblężenie — także bez „ziela".

„O Jezus! Toć haniebne zimno, mróz jakiś z wiatrem niemiłosierny. Jam w Polsce takiego nie cierpiał" — jęknął ksiądz Piotrowski. Trochę przesadnie, gdyż ludzie obeznani z klimatem wschodnim zapewnili go, że to jedynie przymrozki. Jednak w takie „przymrozki" nawet Litwini nie chcieli wychodzić na straże, twierdząc, że kostnieją, gdyż nie zaopatrzono ich w kożuchy.

„Ludzie są tak przeciążeni, że ich do dalszej straży zmuszać nie mogę" — żalił się przed królem Jan Zamoyski, którego widzimy tu, bodaj po raz pierwszy, lekko zrezygnowanym. Rada się jednak natychmiast znalazła. „Ścisnął ramionami król: może im, prawi, pozwolić, żeby na straży czynili ognie i grzali się, a po sobie przecie po kilku dla posłuchów przejeżdżali pod mury." Polecenie króla było, przyznajmy, ryzykowne, gdyż pskowianie mogli celować w rozpalone ogniska. Na szczęście i ich, zdaje się, mróz spędził z blanków.

Jest rzeczą zdumiewającą, jak bardzo wojsko obciążało winą za niepowodzenia Zamoyskiego. Choć ten dwoił się i troił, narażał życie biegając po okopach, blisko murów, znajdował kanclerski czas na dyplomację z cesarzem, królem Francji, czauszami tureckimi, Possevinem, ba, na korespondencję z profesorami padewskimi, nie cierpiano go powszechnie. Oczywiście łatwo to tłumaczyć jego ciężką ręką, intrygami magnatów, z dawna polską zawiścią wobec tych, którzy wyrośli ponad przeciętność, typowym niezrozumieniem przemądrzałych intelektualistów przez prostaczków — ale czy tylko to ważyło na niedobrej opinii? Czy zza mroźnej zawiści do Zamoyskiego nie przebijała znamienna niechęć do króla? Oto po obozie zaczął krążyć wierszyk:

Z łotra pan,
Z klechy pleban,
Żak sądzi,
Desperat rządzi.
Klecha hetmani,
Panie Boże, racz być z nami!

Owym „klechą" miał być oczywiście Zamoyski, co stanowiło aluzję do jego kilkakrotnych przymiarek do biskupiej infuły czy nawet kardynalskiej purpury. Ksiądz Piotrowski, który tłumaczył kanclerzowi owe epitety z wierszyka, wskazał, iż „żakiem" jest sędzia nacji polskiej, a zarazem sekretarz kancelarii królewskiej, Maciej Bech. Zamoyski „dalej nie pytał", a i Piotrowski nie był chyba skory do wyjaśnienia, że to król może być wspomnianym tam „desperatem".

Epitet ten był nie tylko dowodem uznania dla zdecydowania Batorego, ale i efektem wieści o atakach furii, którym król ulegał tym częściej, im więcej było niepowodzeń. Oto nakazywał rotmistrzom spod poważnych znaków towarzyszy, na ogół szlachtę, kijem pouczać, „co służba wojskowa każe"! Zamoyski od razu nabrał przekonania, iż pamflet spłodzili Litwini i, za zgodą króla, polecił Bechowi wykreować paszkwil, „w ten sens pisać, że każdy Litwin abo bękart, abo złodziej". Na szczęście Bech nie poczuł skrzydeł Pegaza i nie usiłował sprostać trudnemu zadaniu. „Wie diabeł jako to mam pisać; co ja za poeta?" — żalił się żałośnie księdzu Piotrowskiemu. Bechowi to nie zaszkodzi; jako jeden z nielicznych sekretarzy plebejuszy zostanie uszlachcony.

To właśnie Litwa, choć jej przede wszystkim powinno zależeć na „trwaniu" pod Pskowem, znęcona bliskością ciepłego domu, dokuczała królowi, że obozowanie pod Pskowem wśród strasznych mrozów byłoby wojną nie z Moskwą, lecz z Panem Bogiem; że po to król uparł się marznąć pod twierdzą, by zamki inflanckie oddać we władanie pupilkom Węgrom, jak dotąd zwykł czynić. Skutek podobnych głosów był taki, że 2 listopada na radzie wojennej postanowiono zaniechać oblężenia i odstąpić na leża zimowe w głąb Rosji, w kierunku północno-wschodnim, gdzie kraj był ludny i mało spustoszony przez polskich „picowników". Od Porchowa po Starą Russę, w dierewniach i zamkach wyznaczonych przez Batorego osobiście, chorągwie królewskie miały odcinać Psków od zaopatrzenia. Rozpoczynał się etap walki na wyniszczenie. Natomiast sam król zamierzał udać się do Rzeczypospolitej po pieniądze, nowe roty i zaopatrzenie.

Plan nie był zły, ale napsuł wiele krwi. Pieniędzy tradycyjnie brakowało tak bardzo, że Batory dał się omamić pogłoskom, że w Połocku na zamku jest zakopany skarb srebrny. Kopano, nic nie znaleziono — a tymczasem roty polskie i litewskie żądały zaległego żołdu lub... zobowiązywały się towarzyszyć królowi w jego wędrówce do Wilna, zgodnie zresztą z zastrzeżeniem rotmistrza Przyjemskiego wygłoszonym na początku wyprawy przed monarchą. Nieufność tych chorągwi wobec Batorego była po części zrozumiała, gdyż 60 tysięcy złotych, które tymczasem nadeszło, król polecił wypłacić w pierwszej kolejności Węgrom i Niemcom. To nie była zła wola Batorego, lecz konieczność: piechota węgierska i niemiecka były potrzebne i dobrze wyposażone, wyszkolone, a wypłatę żołdu obywatelom kraju, w którym panował, król mógł gwarantować na własnych dobrach. Co też uczynił. Do tego również zobowiązywał się Zamoyski, z niezwykłą energią poskramiający defetystyczne nastroje, nawołujący, by „trwać" pod Pskowem.

Wbrew twierdzeniom Tadeusza Korzona, potężnie obwiniającego Batorego o opuszczenie rąk i niepowodzenia pskowskie, nie tylko kanclerz dwoił się i troił, by powstrzymać rotmistrzów przed odjazdem. Król wielokrotnie przekonywał dowódców, że ich odmarsz oznaczałby stratę efektów dwóch poprzednich wypraw, wściekał się na poborców podatkowych, którzy swą opałością „et me et Rem publicam et vos omnes produnt" (i mnie, i Rzeczpospolitą, i wszystkich was gubią). Wykazywał się też dbałością i troską o armię, osobiście wyznaczając ciepłe „dierewnie" i zostawiając przy nieufnym wojsku swego synowca. „Sam Bóg świadkiem, a wolałbym być z nieprzyjacielem in periculosimo conflictu [w najbardziej niebezpiecznym starciu] niżeli doma na sejmie naszym" [9] — powiedział król, potwierdzając, że nie przepada za polskim parlamentaryzmem.

Batory nie wysyłając na sejm Zamoyskiego, co byłoby bardziej naturalne, być może sądził, że kanclerz nie zdołałby przyciągnąć szlachty i jej pieniędzy pod Psków. Co innego królewski majestat.

Racjonalne argumenty mają na ogół znikomą wartość, na przykład naprzeciw mrozu ścinającego ciało pod ubraniem. Własne życie cenniejsze niż całe Inflanty, to jasne. Aby ciała te nieco rozgrzać, król obiecywał nagrody: rychły żołd, a przede wszystkim rozdanie „wakancji", nie obsadzonych urzędów. Przecież już w listach przypowiednich obiecywał, że kto przesłuży w chorągwi husarskiej sześć lat, będzie pierwszym przy nadaniach urzędów, dóbr i godności. Tymczasem Zamoyski spraszał zziębniętych magnatów i rotmistrzów na bankiety, na których pito, z lubością rozprawiając o „wakancjach" właśnie i zapominając na chwilę o bladej mroźnej rzeczywistości czającej się ponad ziemiankami i drewnianymi domostwami obozów wojsk królewskich. Tam czekały nie tylko działa pskowian, ale i szeregowi towarzysze broni, rozwścieczeni na swoich rotmistrzów tak, że mało im „w oczy nie plują". Głód żołdu musieli zatem rotmistrzowie zaspokajać za przykładem „góry" obietnicami i oddając własne kosztowności. W zamian liczyli na obiecane nagrody króla.

Tym sposobem obaj mężowie stanu zdołali poskromić niedobre nastroje grożące wręcz rozpadem armii pod Pskowem. Uzmysłowili dowódcom, że konsekwentna blokada twierdzy całością sił nie jest potrzebna i oznacza dosłownie i w przenośni zamrożenie wielkiej armii. Części wojsk potrzebny był odpoczynek, przygotowanie do nowej operacji, proch, działa, posiłki, ekwipunek. Król zaczął myśleć i szykować się do odjazdu.

Siódmego listopada najbardziej wysunięte szańce królewskie opustoszały. Przeważająca część chorągwi zaczęła przygotowywać się do wymarszu na leża zimowe w głąb Rosji. Wtedy przyszła wieść, która wywróciła te plany.

IX. PAX

Antonio Possevino, opuściwszy w Połocku króla, jechał przez Smoleńsk i Wiaźmę do Starycy, wszędzie honorowany lepiej niż posłowie carscy. W siedzibie hosudara moskiewskiego stanął 18 sierpnia, a 20 mógł wreszcie spojrzeć w oczy władcy, o którym opowiadano w Europie tak potworne rzeczy.

Swoje wrażenia uwiecznił w głośnej relacji przesłanej na ręce papieża, zatytułowanej *Moscovia*. Obraz, który tam odmalował, uzmysławiał rozmiar przepaści, jaka powstała między zakutaną w grube futra i kożuchy mroźną Rosją a błyskotliwą, finezyjną cywilizacją Zachodu: porównanie celowe, gdyż bojarzy krzywili się z obrzydzeniem nawet na widok „kusych" strojów włoskich czy też krzyży noszonych zgodnie z modą nieco niżej piersi — na „nieprzystojnym" żołądku.

Possevino, trzymając się ściśle instrukcji Grzegorza XIII, podkreślał wagę unii kościelnej przy montowaniu ligi antytureckiej. Ale wielki kniaź nadal usiłował kwestię tę zbyć milczeniem. Dopiero później da się wciągnąć w publiczny dialog z Possevinem o sprawach wiary, przy czym próby udowodnienia przez legata, iż „biskup rzymski jest Pasterzem Kościoła", sprowokują go, czerwonego ze złości, do sięgnięcia po osławiony posoch okuty w żelazo. Possevino wyjdzie cało z opresji, pomówiony jedynie przez cara, że „rozmawiasz ze mną jak z chłopem".[1]

Pierwsze rozmowy dotyczyły jednak pokoju z Rzecząpospolitą: hosudar nie godził się na oddanie całych Inflant argumentując zręcznie, że odcięty od morza, nie będzie mógł porozumiewać się co do ligi z papieżem i cesarzem. Wprawdzie przez Bałtyk i Morze Północne było najdalej do Moskwy i Rzymu (za to bliżej do Anglii, skąd Rosja importowała broń), ale Iwanowi odległość nie przeszkadzała. Wszelako naciskany przez Possevina car obiecał, że rozmowy na temat unii podejmie po zawarciu pokoju. Warunki przedstawiciel Grzegorza XIII zna. Niech zatem teraz jedzie do króla polskiego i wpłynie nań, by przyjął moskiewskie kondycje. Po czterech audiencjach, podobnych w tonie i treści, Possevino znów powędro-

wał — tym razem pod Psków. Rzecz ciekawa: czy skutkiem złego tłumaczenia czy też poczucia humoru, o które trudno hosudara podejrzewać, zwał on Possevina całkiem trafnie — Papinem.

Czekając od 26 września do 2 października na eskortę polską na granicy w osadzie Bór nad rzeką Sokolną, legat papieski napisał wspomnianą *Moscovię*. Dzieło to miało w Polsce złą opinię. Król nie zauważył nic zdrożnego, lecz oburzony Zamoyski dostrzeże siedem ustępów obrażających godność Polaków: między innymi kilkakrotne złamanie przez wysłannika papieża tajemnicy korespondencji króla Polski i kanclerza i wyrażenie opinii, że Polacy po gospodach nocują ze zwierzętami. Zamoyski dbał o właściwy obraz Polski — lecz jak mogli oburzyć się Rosjanie na odmalowany w *Moscovii* wizerunek? Oto memoriał ten zdecydowanie rozwiewał złudzenia co do rzekomej życzliwości tamtejszej ludności dla katolicyzmu, tak jak to widziano z dalekiego Rzymu. Niewolnicza uległość wobec hosudara i nieprawdopodobna ciemnota, pomnożona o przekonania szerzone przez popów, iż Zachód jest siedliskiem zła, rozszerzała się oczywiście na sprawy wiary: na widok księdza pluto ze zgrozą i obrzydzeniem, jeśli tylko carski ukaz tego nie zabraniał. Mimo to Possevino miał nadzieję, że katolicyzm w ślad za królem Stefanem powoli wlewać się będzie do Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Dawał wiele rad, jak powinien postępować Kościół wobec schizmy; notował tytuły dzieł filozoficznych, które winny wreszcie dotrzeć do Moskwy. Do realizacji takich długofalowych planów, w gruncie rzeczy nierealistycznych, potrzebny był pokój, czas i dobre chęci mądrego władcy.

Possevino zrozumiał to dokładniej, gdy 5 października zjawił się w obozie pod Pskowem. Jego pojawieniu się towarzyszyły okruchy radości; król następnego dnia przyjął go w otoczeniu rady wojennej. Niestety, warunki, jakie proponował Iwan, były nie do przyjęcia przez Batorego. Wieść o tym — mimo że rozmowy były tajne — rozeszła się po obozie, potęgując nastroje niechętne królowi. Do tego stopnia, że Possevino poczuł się w obowiązku wygłosić dla dworu, a nade wszystko rotmistrzów, kazanie, w którym przypomniał żołnierzom o posłuszeństwie wobec władzy monarchy. „Próżnoć, ale

osobliwy chłop" — skwitował mentorskie usiłowania legata ksiądz Piotrowski.

Ale Batory był już znacznie skłonniejszy do rozmów o pokoju niż poprzednio. Z jednej strony parł do szturmu, w czym powstrzymywał go głównie nie Possevino, biadający nad rozlewem krwi chrześcijańskiej, lecz brak prochów; z drugiej jednak gotów był odstąpić od warunków prestiżowych, takich na przykład, jak przysłanie przez hosudara posłów do polskiego obozu. Król proponował zatem spotkanie delegatów niedaleko Pskowa z udziałem legata papieskiego. Te drobne ustępstwa, aczkolwiek mające znaczenie psychologiczne, których sążniste opisy Possevino słał natychmiast Iwanowi, nie wpłynęły w decydującej mierze na hosudara. Już mocniej przekonywały go zapewne twierdzenia „Papina", że wiosną król uderzy z nową siłą „z wnętrza Twego państwa", Psków otoczy kilkoma wałami i ruszy na wschód. „O ile dobrze zrozumiałem moich przyjaciół, zaufanych papieża, król Stefan ma zamiar przezimować w Moskwie — pisał Possevino. — Dlatego zaklinam Cię, Wasza Książęca Mość, abyś pomyślał, czy warto z powodu tego, czego się już i tak nie posiada, ściągać na resztę zagładę."[2] Przejaskrawione opisy potęgi króla miały przyśpieszyć zawarcie pokoju na warunkach polskich.

Wielki kniaź może byłby skłonny uwierzyć w sugestywną relację legata o miażdżącej przewadze króla, gdyby nie wieści, że wojska Batorego pod Pskowem są w jeszcze cięższym położeniu niż załoga twierdzy. Wprawdzie wola walki cara została poważnie nadwerężona przez tatarski podjazd Radziwiłła, który otoczył Starycę istnym morzem płomieni, ale nie tylko to zaważyło, że wreszcie Iwan zdecydował się wysłać gońca Zachariasza Bołtina pod Psków z „listami żelaznymi" dla posłów króla. Oba poselstwa miały spotkać się między Porchowem a Zawołoczem, we wsi Jam Zapolski. Podstawą rozmów miały być żądania Batorego.

Skąd te ustępstwa Iwana? Mimo trudności polskich pozycja hosudara stawała się fatalna. Szło o Szwecję. Ten lekceważony przez Batorego, a potem Zamoyskiego, biedny i wygłodzony kraj lepiej korzystał ze zwycięstw króla polskiego niż zahartowane w wielkiej dyplomacji papiestwo i Polska. Nie wchodząc w koalicję z Batorym,

mimo jego zaproszenia, Szwedzi zrywali smakowite owoce z drzewa sukcesów króla polskiego. „My gryziem łuszczyny, a on [Szwed] jądra je" — zauważył celnie ksiądz Piotrowski. Gdy Batory z armią leżał pod Pskowem, Szwedzi odbili Rosjanom Narwę otwierając sobie drogę do Nowogrodu Wielkiego i Inflant. Ruszyli właśnie w tym ostatnim kierunku zajmując Biały Kamień i szykując się do oblężenia leżącego blisko Pskowa Dorpatu i Parnawy. Rozmowy pokojowe delegacji króla i wielkiego kniazia przerwało w końcu zmyślne korzystanie przez króla szwedzkiego z prawa trzeciego wobec dwóch bijących się. Ale Szwedzi, pomimo kilkakrotnych ostrych wezwań Batorego, nie zamierzali ustąpić z zajętych twierdz, do których Rzeczpospolita rościła sobie pretensje. Na północy kroiła się kolejna wojna — z dziwnie nie docenianymi przez Batorego Skandynawami.

W chwilach sukcesów szwedzkich najbardziej poszkodowany był jednak car i jego państwo: i to był przysłowiowy gwóźdź do trumny pomysłów Iwana Groźnego otwarcia sobie przez Inflanty okna na zachodni świat. W posadach chwiał się nie tylko jego północny stan posiadania, ale i płonęła zachodnia granica. W tej sytuacji musiał przystać na kondycje Stefana Batorego, podejrzewającego, że car prowadzi kolejną grę na zwłokę. „Król Stefan bowiem nie chciał nic powiedzieć na temat Twojego listu — donosił carowi Possevino 22 października. — Zaznaczył jedynie, że traci się czas tylko, bowiem wojny nie słowami, lecz czynem należy wstrzymywać." Wreszcie 16 listopada Batory zgodził się na rozmowy posłów, również wydając glejty żelazne dla posłów moskiewskich.

Aby pozycja przetargowa była mocna, wojsko Rzeczypospolitej musiało zapomnieć o ciepłych leżach zimowych i twardo trwać pod Pskowem. Wokół twierdzy zaczęto budować nowe drewniane miasto z rynkiem i ulicami. Decyzja króla i Zamoyskiego była słuszna: z chwilą zaniechania oblężenia twierdzy posłowie moskiewscy mieli, zgodnie z rozkazem carskim, natychmiast przerwać rozmowy. Król dowiedział się o tym już po wydaniu decyzji o „trwaniu" pod Pskowem z ust zbiega moskiewskiego Fiodora Zubatowa. Nie pierwszy to i nie ostatni emigrant, dzięki któremu Batory miał doskonałe rozeznanie w sytuacji w Wielkim Księstwie Moskiewskim, wahaniach

i poczynaniach samego hosudara. Siła nienawiści bywała większa niż siła patriotyzmu i niewolącego strachu. Odstąpienie od Pskowa „jest niemożliwe, dopóki nie nastąpi między nami zawarcie traktatu o przyjaźni i braterskiej miłości" — pisał król do cara.[3]

Teraz należało czekać na wynik rozmów. Wydawało się zatem, że obecność króla przy blokowaniu twierdzy nie jest konieczna. Pierwszego grudnia Batory z dworem, litewskimi hetmanami i ich pocztami odjechał spod wyniosłych murów, kierując się w stronę Wilna.

Czyn ten przez wybitnego znawcę wojskowości staroszlacheckiej został poczytany niemal za zdradę: opuszczenie armii w najcięższych chwilach, i to „wcale nie dla ratowania jej, lecz dla ochrony dobrego imienia króla niezwyciężonego".[4] To poważny zarzut; pobrzmiewa w nim wyraźna nuta, że to Zamoyski powinien się „targować" o pieniądze na sejmie, a Batory trwać pod Pskowem. Ale czy starczyłoby kanclerzowi autorytetu, by pozyskać od herbowych nowe pobory? Czy król rzeczywiście był potrzebny przy blokowaniu twierdzy i kierowaniu pertraktacjami z posłami moskiewskimi, które rozpoczynały się o dwa dni drogi od Pskowa? Czy do tego potrzebny był raczej kanclerz z jego rzetelnością, starannością, a nade wszystko — znajomością prawa? Czy warto było w rozmowach narażać autorytet królewski, czy raczej być podczas pertraktacji z Moskwą constans — bo król tak postanowił, odjechał i ma być wedle jego życzenia? Wreszcie — skąd groźniej jaśniało imię władcy: spod zmarzniętego Pskowa czy z Wilna i Warszawy, gdzie zbierał odsiecz?

Wprawdzie odjazd króla został przez pskowian przyjęty z radosną pychą: „czto że twojego uma, polskij kralju, czto że twojego jeszczo bezbożnogo sowietu, kniaz wielkij litowskij" — szydzili mieszkańcy Pskowa z „głuposti" i „nierozuma" króla Stefana.[5] Ale rzeka źródeł na temat rokowań, jaka dotąd spływa na biurka badaczy, winna nam uzmysławiać, że do drobiazgowego targowania się król nie był potrzebny. Musiał jak najszybciej zorganizować nowe siły, by siedem tysięcy jeźdźców i piechoty pozostawione pod Pskowem nie zamarzły na amen, choćby miało go to kosztować częściową utratę

autorytetu. Wydaje się przy tym, że dla króla Psków nie był ostatecznym celem: wedle relacji Possevina Batory był zdecydowany zebrać armię i uderzyć w głąb Rosji wiosną, nawet gdyby Psków się nie poddał. Ten fakt jeszcze raz zmusza nas do zastanowienia, czy król celowo zapomniał o prochach i zostawiał resztki zamarzniętej armii — by tym łatwiej uzyskać nowe podatki i szable na główną decydującą wyprawę?

Inna rzecz, że Batory był człowiekiem czynu, cholerycznym, przyzwyczajonym do wielkich sukcesów, chodzącym w glorii niepokonanego — i sytuacja pod nie zdobytą twierdzą u progu zimy, której mroźne podmuchy odczuł, była mu wielce niemiła. W niczym to jednak nie uprawnia do twierdzenia, że król odchodząc spisał armię pod Pskowem na straty, nie mogąc de facto ziścić obietnic pomocy. Wbrew tej tezie Tadeusza Korzona, opartej głównie na przeświadczeniu, iż Batory odbył spod Pskowa na Wilno „powolną wielce podróż", pomiar odległości, porównanie dat i treści listów wysyłanych przez króla do Zamoyskiego wskazuje na coś zupełnie przeciwnego. Oto 9 grudnia Batorego widzimy w Krasnymhorodku, oddalonym w linii prostej o ponad sto kilometrów od Pskowa, w trzy dni później, po przebyciu około osiemdziesięciu kilometrów, pod Lucynem, który notabene Batory usiłował skłonić do poddania się, po sześciu dniach dotarł do Dyneburga stojącego w linii prostej o następne sto kilometrów od Lucyna. Jeśli dodać do tego łuki i zakręty owych szlaków, okaże się, że Batory szedł z litewskimi chorągwiami najkrótszą drogą do Wilna około dwudziestu kilometrów na dobę. Na dodatek „via erat omni resoluta gelu, ex aliquot dierum et noctium continua, eaque calente pluvia" — żalił się król![6] Oblodzone drogi i brak mostów uniemożliwiały szybszy marsz. Czyhały niebezpieczeństwa: mimo że hetman polny litewski rozstawił placówki do ochrony przed podjazdami i wycieczkami z moskiewskich zamków, panowie z otoczenia króla wpadali niekiedy w ręce carskie. To nie była łatwa i „powolna" przeprawa — aż dziw bierze, jak Batory zdołał utrzymać tak energiczne tempo marszu! Król, posądzony o brak troski o Polaków, której rzekomo „w sercu nie nosił", własną ręką kreślił dopisek w epistole do Zamoyskiego, zapewniając go, że po przybyciu do Wilna uczyni wszystko, by go wspomóc. Z drogi, 21 grudnia, śle do obozu pieniądze i żywność gdzieś pozyskane. Dwudziestego ósmego jest już w Wilnie, gdzie zastaje posłów tureckich i tatarskich; stąd też posyła pieniądze, pisząc do Zamoyskiego z goryczą, że „duo mala sunt", dwie rzeczy przeciwne są, z których najgorsza to niechęć Litwy do wojny.[7] Stąd znane trudności, które przecież wręcz uniemożliwiły solidne przygotowanie do wyprawy pskowskiej. Gdzież tu niechęć do Polaków i jakaż tu wina króla?

Rzeczywiście: Litwa miała dość wojny, chciała pokoju, ciepłych dworków i takichże pań małżonek, a odejście chorągwi litewskich spod Pskowa było tego najdobitniejszym dowodem. Batory nie mógł zatem czynić raptownych i wielkich starań na Litwie o utworzenie armii odciążającej k o r o n n e chorągwie Zamoyskiego. Pomoc, jaką śle, jest niewystarczająca, mimo nasilających się próśb kanclerza i hetmana, ale nie króla winić tu należy: robi on to, na co zezwalają mu pieniądze, sytuacja, senatorowie. Przecież w tym czasie i Batoremu, i jego radzie zagląda w oczy bijący spod Pskowa, potężniejący blask pokoju. Od 4 grudnia 1581 roku, to jest stawienia się polskich posłów na miejsce rozmów z Moskwą w Jamie Zapolskim, większość była już przekonana, że układ zostanie zawarty lada dzień. Jaki zatem byłby sens rozpoczynania sześciotygodniowego maratonu sejmowego w Warszawie czy nawet nieformalnej konwokacji litewskiej, sprzecznej notabene z aktem unii lubelskiej? Batory, jak widzieliśmy, nie wahał się łamać prawa, zwołując czterokrotnie zjazdy litewskie, by uzyskać podatki i żołnierza. Gruntował w ten sposób partykularyzm Litwy i otwierał drogę nowemu zwyczajowi: za Zygmunta III Wazy konwokacji takich odbędzie się już osiemnaście. Ale w końcu 1581 roku wydawało się to niepotrzebne, gdy śniegi już tajały od nadziei upragnionego pokoju.

Tymczasem Iwan IV znów ociągał się. Jego posłowie — kniaź Dymitr Jelecki, dworzanin Roman Olfierow i inni, „ludzie nieznaczni", jak ocenił ich reprezentujący stronę polską Janusz Zbaraski — zjawili się koło spalonego Jamu Zapolskiego dopiero 13 grudnia. Spotkawszy się uprzednio z Possevinem „powtarzali jedno zdanie: wieliki, wieliki, to wielkie żądania" polskiego króla.[8] Oczywiście wy-

słannicy Batorego — Albrycht Radziwiłł, Michał Haraburda oraz Krzysztof Warszewicki mający reprezentować interesy króla szwedzkiego, ludzie różnych wyznań i prowincji — byli przeciwnego zdania. Posłowie moskiewscy zamieszkali w oddalonej o kilkanaście kilometrów od Jamu Zapolskiego Kiwerowej Horce — i tam też zatrzymał się Possevino. Nie zostało mu to, jak i późniejsze, kontrowersyjne propozycje wobec Batorego, poczytane za dobre: spotkania odbywały się u legata, zmuszając źle zaopatrzonych Polaków i Litwinów do ciągłych podróży. Gorycz ich pogłębiał fakt, że i tym razem Rosjanie byli wyekwipowani staranniej: „z Nowogrodu otrzymywali od czasu do czasu żywność i ugotowane (i zamrożone) potrawy, aby nie mieć żadnych wydatków" — pisał Possevino.

Układy prowadzone przez blisko trzy tygodnie, rozpoczęte sporem o wartość carskich pełnomocnictw dla posłów moskiewskich, były bardzo ciężkie i omal nie zostały zerwane. Król z żelazną konsekwencją podkreślał, że idzie mu o „integro tota Livonia" i tylko za cenę „całych Inflant" gotów jest poczynić ustępstwa w zdobytych bądź odbitych ziemiach.[9] Inna sprawa, że instrukcje dla posłów były niewyraźne, a uzgodnienia między królem, Zamoyskim i wysłannikami dalekie od ideału. Gdy kanclerz usiłował sterować biegiem rozmów, posłowie odrzekli, „że trzymają się rozkazów króla i nie przejmują się warunkami spisanymi przez JW Pana" hetmana wielkiego koronnego. Posłowie „skarżyli się, że nie powierzono im szerszych pełnomocnictw i już trzy razy posyłali do obozu po decyzję królewską" (podkreślenie moje — J. B.).[10] Podporządkowanie decyzjom kanclerza przychodziło im z dużym trudem.

Z kolei posłowie carscy, wbrew zresztą nakazom Iwana, usiłowali zatrzymać w Inflantach siedzibę prawosławnego władyki, Dorpat, mimo że Zamoyski 19 grudnia zrzekł się Wielkich Łuk, aby rozmowy wreszcie ruszyły z martwego punktu. Possevino — jak twierdził, dla ochrony dobrego imienia króla — sugerował, by sejm polski zrzekł się Dorpatu, co miało zapobiec zerwaniu układów. Sugestia wywarła fatalne wrażenie na posłach królewskich: Zamoyski oskarżył legata przed Batorym o krętactwo. Dopiero wtedy okazało się, jak rozsądnie uczynił król, oddalając się spod Pskowa po pomoc:

groźbą jego powrotu i wszczęcia walki „nowymi sposoby" Zbaraski spowodował, że Moskwicini „poczęli rzewnie płakać" — i zrzekli się Dorpatu.[11] Do zakończenia rozmów było jednak daleko i sprawy prestiżowe, o które Rosjanie zawsze niesłychanie dbali, odgrywały tu niebagatelną rolę.

Szło również o Szwecję, która zajęła część Inflant i oczywiście ani myślała uczestniczyć w targu zapolskim, gdzie mogła, jako ewidentny najeźdźca, wiele stracić. Król 30 grudnia podjął więc za radą senatorów litewskich zdumiewającą decyzję: polecił Zamoyskiemu, po zawarciu pokoju z Moskwą, uderzyć na Szwedów, na Parnawę, której oblężenia się spodziewał. Z ciepłego Wilna obraz polskich wojsk pod Pskowem wyraźnie wypiękniał królowi i litewskim panom; w rzeczywistości już za niewiele dni pod twierdzą „większa część wojska wymarła, trzecia część chora leży, tym, co zostali, od mrozu nosy, nogi odpadają, ze straży muszą pachołki na wozach zmarzłe, na pół martwe do obozu odwozić" — żalił się ksiądz Piotrowski, acz w wielkim sekrecie, by broń Boże król i kanclerz o tym się nie zwiedzieli.[12] Dopiero później Batory zrozumiał nierealność swej decyzji i instruował Zamoyskiego, że wprawdzie należy zażądać od Szwedów zdjęcia oblężenia inflanckiej Narwy, ale kroków wojennych nie należy rozpoczynać aż do zwołania sejmu.

Dramatyczny przebieg układów w Jamie Zapolskim w wielu wypadkach był funkcją tego, co się działo pod Pskowem. Sytuacja zamrożonych wojsk polskich i węgierskich pogarszała się z dnia na dzień i Zamoyski, sam chory, dokonywał nadludzkich wysiłków, by utrzymać te kilka tysięcy żołnierzy koło twierdzy i tak sterować układami, by nie doprowadzić do ich zerwania. Były chwile, że kanclerz gotów był ustąpić w rokowaniach; wola i zdecydowanie Zbaraskiego, znakomicie prowadzącego pertraktacje, zadecydowały o utrzymaniu warunku odzyskania całych Inflant. Zamoyski miał jednak w zanadrzu alternatywne rozwiązanie, z pewnością ustalone z Batorym. W razie niepowodzenia lub zerwania pertraktacji przez Moskwę miał rozgrzać żołnierzy, rzucając ich spod Pskowa na nieobronny Nowogród Wielki. Posłowie polscy nie szarżowali zatem grożąc w Kiwerowej Horce wysłannikom wielkiego kniazia zanie-

chaniem dotąd przestrzeganych obyczajów wojennych: król gotów był, jeśli car zerwie układy, spalić Nowogród. Gdy 4 stycznia 1582 roku wycieczka pskowian obróciła się na ich niekorzyść, Moskwicini stali się bardziej ustępliwi. Wreszcie dopracowano się spisu miast, które Moskwa miała przekazać Rzeczypospolitej.

Ustępstwa nie szły tak daleko, by posłowie hosudarscy zrezygnowali z przedziwnej dbałości o tytulaturę Iwana. Oto „najpierw nieśmiało, potem otwarcie i wyraźnie domagali się, aby w traktacie pokojowym ich władca został nazwany tytułami: wielki pan, cesarz, wielki książę itp.". Gdy Possevino w długiej nocnej rozmowie usiłował wybić im to z głowy, zażądali dla Iwana tytulatury cara Kazania i Astrachania, powołując się na fakt, iż tak tytułował go Zygmunt August. Strona polska zażądała dokumentów; posłowie moskiewscy odrzekli, iż zapomnieli je wziąć. Mieli je jednak przewidujący Litwini: „Michał Haraburda zaś pokazał stare dokumenty przymierzy, w których nie było śladu owych tytułów." Mimo jawnego kłamstwa posłowie hosudara nadal uporczywie domagali się przywołania na papierze układu tych tytułów. Polacy i Litwini przyjęli to z jawnym rozbawieniem, choć „królom Polski nigdy by się w głowie pomieścić nie mogło, by chrześcijański władca został przez chrześcijanina nazwany tytułem tatarskim lub tureckim".[13] Sposób prowadzenia pertraktacji przez wysłanników Iwana ilustruje też fakt, że tuż przed podpisaniem traktatu, 10 i 11 stycznia, Dymitr Jelecki i inni posłowie zażądali, by dopisać, iż wielki książę p r z e k a z u j e Polsce także Rygę i zamki kurlandzkie, „których Moskwa nie posiadała nigdy", jak zauważył J. Natanson-Leski. Oczywiście w przyszłości miało to otwierać drogę Rosji do „rekuperacji", stanowić wdzięczne pole do otwarcia drogi „pretensjom" — i nawet przez oburzonego, patrzącego na to z niesmakiem Possevina uznane zostało za kolejny „wykręt". Zadziwiające żądanie posłów moskiewskich oddalił, grożąc wręcz zerwaniem rozmów, choć nie był przecież strażnikiem interesów polskich, lecz Kościoła rzymskokatolickiego.

Były to sprawy nudne i formalne, które Polacy i Litwini czasem bagatelizowali, choć można było przewidzieć, że w przyszłości dyplomacja moskiewska, to powołująca się na tytularne „prawa", to grożąca, wykorzysta je dobrze. Teraz kwestie tytulatury złagodzono zostawiając otwarte furtki dla interpretacji obu stronom. Wreszcie — na dwudziestej pierwszej sesji 15 stycznia 1582 roku, późno w mroźną noc, po zaciekłym sporze wokół „ojcowizny" Iwana i kompromisowym ustaleniu, posłowie z obu stron układ zaprzysięgli. Wymieniono długie „hramoty" z wieloma załącznikami.

Pokój w Jamie Zapolskim zawarto na dziesięć lat. Ale jeszcze tego samego dnia posłowie imieniem króla Stefana uroczyście go oprotestowali, składając na ręce Possevina pismo, „w którym stwierdzili, że ich władca zamierza i powinien odzyskać wszystkie położone w Inflantach zamki, które są w ręku najjaśniejszego króla szwedzkiego".[14] Zamki te bowiem znalazły się poza traktatem pokojowym zawartym między królem a wielkim kniaziem, co otwierało drogę do roszczeń obu stronom. Warunki uroczyście zaprzysiężono: rzecz charakterystyczna, że prawosławny poseł królewski Michał Haraburda, mimo namowy Moskwicinów, wolał pocałować krzyż Possevina, a nie wielkiego księcia, z czego jezuita wyciągnął radosny wniosek, iż „Bóg pewno powołał go do wiary katolickiej". Był w błędzie: polski Rusin nie chciał po prostu mieć do czynienia z hosudarem, a legat papieski zdawał się nie rozumieć, że tolerancja w wielowyznaniowej Rzeczypospolitej jest ostoją jej potęgi i znaczenia.

Zawarty pokój był w rzeczywistości wybawieniem tak dla Iwana, jak i dla Zamoyskiego. Armia pod Pskowem bliska była rozpadu nie tylko od mrozów, ale i z głodu, braku żołdu i posiłków militarnych: król zdołał w czasie pertraktacji przysłać jedynie osiemdziesięciu świetnych strzelców szkockich. Zamoyski, wzorem Batorego, usiłował podtrzymać ziębnięte morale wyzywając dowódcę Pskowa, Wasyla Szujskiego na pojedynek, dla rotmistrzów miał raz kielich gorzałki, a raz korbacz — i tym sposobem zdołał zachować armię i doprowadzić jej resztki do momentu zawarcia pokoju. To na nim i Zbaraskim spoczywał główny ciężar układów; choć hetman wielki pilnie konsultował się z królem, ten ograniczał się do ogólnych wskazówek o wymiarze strategicznym lub przyszłościowym. Wydaje się przy tym, że wbrew budzącym dreszcz zimna i grozy

opisom katastrofalnego stanu armii pod Pskowem, jaką utrwalił pamiętnikarz i sam Zamoyski w liście do posłów, obaj wielcy mężowie stanu byli raczej pewni dyplomatycznego sukcesu. Z zawodową swadą i rozmachem na tydzień przed zawarciem pokoju w Jamie Zapolskim omawiali sprawę „urządzenia Inflant" i wprowadzenia tam katolicyzmu. „Jeśli chodzi o rozszerzenie kultu Bożego w Inflantach, to mogę zapewnić Waszą Wielebność, że Jego Królewska Mość ma zamiar gorliwie się tym zająć" — zapewniał Zamoyski Possevina. Z listów przebija jeszcze jeden ton, który głuszy głosy pomówień króla o awanturnictwo i podboje: wielokrotnie Batory podkreśla, że idzie mu o odzyskanie Inflant, a nie zagrabienie zdobytych zamków, które nigdy przy Litwie nie były.

Dlatego też Wielkie Łuki, Zawołocze, Krasny Horodek znalazły się poza granicami Rzeczypospolitej. Wracała natomiast prowincja inflancka, zagarnięta bez wypowiedzenia rozejmu przez Iwana, do granic Estonii, którą trzymali Szwedzi. Powrócił też Połock i Wieliż utracony w latach 1500—1503. Straty Jagiellonów zostały przez Batorego odzyskane; poza Rzecząpospolitą pozostał Smoleńsk, utracony w początkach wieku. „Wróciło się k temu Rzeczypospolitej państwo: naprzód połockie wielkie, szerokie, z grunty obfitymi i rzekami portowymi, które z ujmą niemałą i niebezpieczeństwem w. ks. litewskiego było odeszło. Przyczynił się powiat wieliski nad Dźwiną rzeką, na mil więcej niż dwadzieścia przestronny. Ziemia inflancka wyjęła się z ręku nieprzyjacielowi, która jaka jest, dobrze o tym wiecie, waszmościowie, i słuchajcie, jakie miasta w niej, jakie zamki, jakie grunty, jakie porty, jako wiele mogła inkomodować pożytkom i bezpieczeństwu wszech waszychmościów, gdzieby w ręku nieprzyjacielskim była została i jako o nie dlatego lat kilka a dwadzieścia ustawiczna była z tym nieprzyjacielem" wojna — dowodził król w instrukcji na sejmiki [15] z Grodna 16 lipca 1582 roku. Jednocześnie zwracał uwagę na szwedzkie podboje i konieczność zabezpieczenia „fruktów" zwycięstwa.

Granica Rzeczypospolitej, odtworzona mieczami batoriańskich żołnierzy, umysłami, energią króla i jego otoczenia, przetrwała niemal bez zmian aż do rozbiorów. Litwa, która w wieku XVI bezustannie traciła swoje terytorium na rzecz Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, nie tylko odzyskała większą część ziem, ale odtąd przestała je tracić. Dla Rosji odbicie przez Batorego Inflant było fatalne: 50 procent zagospodarowanego obszaru państwa — około 400 tysięcy kilometrów kwadratowych — ogarnięte zostało płomieniem wyniszczającej wojny, a wobec przegrodzenia przez Tatarów i Turków drogi przez Morze Czarne Rosja pozostała w izolacji, odcięta od ciepłych okien zachodnich. Wprawdzie król zezwolił na wyznaczenie drogi dla kupców rosyjskich biegnącej przez Parnawę do Rygi, ale tym szlakiem mógł ciec niewielki strumień towarów, ludzi i idei. Wtedy też zniknęły dziwne obawy polskie przed ewentualnymi sympatiami ruchliwych kupców prawosławnych w Wilnie: król zezwolił im „po starinnomu obyczaju" mieć własne bractwo i „miedowyje składy s obroszczeniem dochodow w nich w polzu cerkwi i na wspomożenie biednym".[16] Akt podpisał pisarz litewski Lew Sapieha, przyszły kanclerz wielki litewski, jeden z motorów wielkiej wyprawy na Smoleńsk. Litwa odzyskała panowanie nad Dźwiną i jej dorzeczem. Była to sprawa o kapitalnym znaczeniu: „kto bowiem dzierżyć będzie naturalne ujścia dla rozległych terytoriów litewskich i moskiewskich, ten decydować będzie o handlu bałtyckim, w tego ręku się znajdzie Dominium Maris Baltici. I jest rzeczą nadzwyczaj charakterystyczną, że posiadanie Inflant jest niejako symbolem szczytu potęgi oraz znaczenia danego państwa czy nawet pewnej idei..." — zauważył celnie historyk.[17]

I choć radość wielkiego zwycięstwa, okupionego wszak sporym kosztem żołnierskim, społecznym i finansowym, przysłaniało nadciągające mgliste widmo wojny o Estonię ze Szwecją, sukces wojowniczego króla rzeczywiście wielce ważył w dziejach Rzeczypospolitej. Oczywiście — żelazne to prawo historii — „frukta" wiktorii były zatruwane nowymi problemami i groźnymi sporami. Z Janem III szwedzkim o spadek po niedoszłym lenniku polskim, księciu Magnusie, który trzymał Ozylię, Piltyn i sześć zamków w Inflantach; z Rosją o granicę koło Wieliża. Dochodzić będą też z Moskwy wieści, iż Iwan, wysyłając jesienią 1582 roku wielkie poselstwo do Londynu, do królowej Elżbiety, z zagajeniem w kwestii pomocy w ma-

24*

teriałach wojennych, gotuje się do zerwania rozejmu „dla odzyskania ojcowizny inflanckiej".[18] Nie mogło to wszystko ująć Batoremu laurów niekwestionowanego triumfatora i mocarza, na którego wyrósł nieoczekiwanie szybko na oczach naprawdę zdziwionej Europy. Niektórzy kupcy i wędrowcy, widzący rozmach, temperament króla, coraz widoczniejsze przywiązanie do katolicyzmu i jego racje polityczne, wystraszeni ówczesną potęgą Polski, dają temu wyraz publicznie. Protestant Niemiec, przemierzający wzdłuż i wszerz Polskę przestrzegał wręcz, aby „grożącemu niebezpieczeństwu i w tym przyjrzeć się, a zatem się strzec", gdyż katolicki król polski zbyt szybko rośnie w siłę.[19] W kronice tej podziw dla Batorego idzie o lepsze z tendencyjną interpretacją jego dokonań. Wyraz to obawy poddanego cesarza sąsiedniej, podzielonej Rzeszy: przecież wojny Batorego miały wymiar międzynarodowy, wyznaniowy, angażowały umysły oświeconych i panujących w Szwecji, Danii, Rzeszy, Anglii, Austrii, Turcji, Republice Weneckiej. Nadmierna preponderancja Polski i Batorego nie mogła być na rękę sąsiadom; stąd wołania protestanta kronikarza o „niebezpieczeństwie"!

Ale wbrew intencjom Müllera przestroga ta, jak i mimowolny podziw pamiętnikarza, mogą być wyrazem największego hołdu dla talentów wojskowych, organizacyjnych, strategicznych i politycznych króla Stefana. Łagodzi on pewien niedosyt, widoczny u niektórych historyków ekspansjonistów, że z taką siłą mógł Batory pokusić się o marsz na Moskwę i w jednej kampanii rozstrzygnąć sprawę Smoleńska, Inflant czy nawet unii polsko-moskiewskiej na swoich warunkach. Batory jednak, jak wiemy, nie miał doświadczenia w dowodzeniu wielkimi masami jazdy i, mimo że Iwan panicznie bał się bitwy w polu, król się do niej również nie kwapił. Przedziwna mieszanka porywczości, konsekwencji i wyrachowanej ostrożności, gdy chodziło o sprawy wielkie, były wyrazistą cechą jego charakteru: wcale przy tym nie może być wykluczone, czy podczas marszu na Moskwę nie spotkałby go los Napoleona czy Hitlera, mających naprzeciw nie tylko niebywale odporną ludność i żołnierzy, ale fatalne drogi, brak prowiantu i nade wszystko straszną rosyjską zimę. Poza

tym przeciw sobie miałby Batory szlachtę, którą najpierw musiałby przekonać do sensu wojny poza granicami olbrzymiego państwa.

Jest rzeczą ważną wyartykułowanie odpowiedzi na pytanie dręczące pokolenia miłośników lub krytyków obu wielkich postaci: w jakim stopniu sukcesy były zasługą Batorego, w jakim zaś Zamoyskiego. Czy kanclerz był „złym duchem" króla, jak twierdzili pamfleciści, czy dawał mu „zdrowe rady"? Pytanie bardzo trudne, a może i źle postawione, gdyż dotyczy olbrzymich obszarów — od konstruowania wizji politycznych i przekładania ich na język praktyki społecznej, militarnej, gospodarczej, po konkretne posunięcia taktyczne, które niczym w grze w szachy mogły zaważyć na obrazie całości i wygranej. Gdybyż prowadzono stenogramy prywatnych, choćby oficjalnych rozmów między Batorym a jego kanclerzem — być może wyważylibyśmy pewnie zasługi i pojęli rzeczywiste intencje króla i jego zausznika. Generalnie rzecz ujmując, najlepszym posunięciem władców jest dobranie sobie najwartościowszych doradców i urzędników reprezentujących interes państwa i społeczeństwa, a nie własny. To się Batoremu prawie udało, choć niebywałym wywyższeniem Zamoyskiego łamał poczucie tradycji i równości stanowej, której tak naprawdę oczywiście nigdy nie było i być nie mogło. Król miał też wizje polityczne, plan, żelazną konsekwencję, by go zrealizować, umiejętności organizacyjne, jakich dotąd Rzeczpospolita nie widziała, i wiedzę wojskową — od oficera po stratega. Umiał też Batory swe wizje modyfikować, był elastyczny, potrafił dostosowywać się do zmieniających się warunków — lecz zawsze w ramach moralnych zasad i określonego celu. Popełniał błędy, ale to nie stanowiło o obrazie całości, gdyż miał świetnego pomysłodawcę i wykonawców. W wielu dziedzinach Zamoyski jako hetman mógł się jedynie uczyć; dość przypomnieć, że jego dziwna awersja do bitew w polu, staranność przygotowania, lubowanie się w dobywaniu miast, wyzywanie wodza przeciwników na pojedynek, próby naddunajskie, antytureckie, inflanckie — były kalką postępowania Batorego bądź też kanclerz powoływał się na nie ziszczone plany królewskie. Z pewnością nie był to jedynie wynik tych samych lektur i wzorców obu padewczyków, ale i rozmów, doświadczeń, obserwacji.

Ale też bez Zamoyskiego — jego inteligencji, nieprawdopodobnej renesansowej wszechstronności, wiedzy prawniczej, siły charakteru, pracowitości, brutalności i łagodności na przemian — rezultaty mogły być dla króla znacznie gorsze. „Król nie powinien chodzić na sejm bez hetmana, a hetman na wojnę bez króla", zaczęła mawiać szlachta, złośliwie komentując rozdział obowiązków i możliwości. Nie szukajmy więc odpowiedzi na pytanie o zasługi: być może autorstwo i wykonawstwo idei batoriańskich podczas wypraw inflanckich stopiły się w jedno.

Na mocy prawa i tradycji król był głównodowodzącym w polu. Batory traktował to z całą rzetelnością i powagą: „obóz i czas pochodu oznaczał, w radzie wojennej przodował, szyki urządzał, hasła i rozkazy dawał, wojska na leża zimowe rozpuszczał i inne rozporządzenia w swym ręku dawał".[20] Czynił tak z wyboru, a nie konieczności, gdyż był równie pilnym oficerem, jak dobrym strategiem.

Część szósta

«WĘGIERSKI TYRAN»

I. «DOSKONAŁOŚĆ LUDZKA»

W chwilach swych największych triumfów Stefan Batory dobiegał pięćdziesiątki. Otoczenie króla nie zauważało, by jego czarna broda zaczęła siwieć, tak jak jego pułkownikowi i rówieśnikowi, Dominikowi Ridolfinowi, który ponadto ze zgrozą odnotował, że musi do czytania zakładać okulary. Król wydawał się okazem tężyzny, odporności i zdrowia, którego to obrazu dopełniały wyraźne, silne zmarszczki koło oczu: cecha ludzi obcujących stale z wiatrem, słońcem. Po ledwie sześciu latach panowania Batory stał się jednym z najbardziej znanych i podziwianych monarchów Europy, z którego osobą katolicy wiązali wielkie nadzieje. Wieści o Batorym szerzyli nie tylko najęci za swoistą zapłatą ludzie pióra, jego kancelaria i „latająca drukarnia", ale i specjaliści wojskowi, których przyciągała wojna, łupy i sława wojenna króla.

Jednym z nich był wspomniany wyżej znakomity inżynier wojskowy z Camerino we Włoszech, Dominik Ridolfino. Gdy jechał do Polski, w Wiedniu usiłowano go skaptować na służbę cesarza, ofiarowując mu stanowisko naczelnego dowódcy artylerii. Odmówił, wolał łaskę króla. Dwunastego lutego 1581 roku dotarł do Warszawy i ucałował rękę Jagiellonki. Następnego dnia „z rana na posłuchaniu publicznym Jego Królewska Mość wyszedłszy nagle ze swej komnaty i zasiadłszy na tronie, kazał Jegomości kanclerzowi wielkiemu przywołać mię. Gdy przyszedłem, Najjaśniejszy Pan uścisnął mię

za rękę, na co ja, przyklęknąwszy, ucałowałem go w rękę. On jednak kazał mi zaraz powstać. Po czym wręczyłem mu listy. Czytał je pilnie, mierząc mnie przy tym co chwila swym wzrokiem, od stóp do głów." Dalej następowała krótka narada Batorego z Zamoyskim, po której kanclerz obiecał inżynierowi w zamian za „dzieła" łaskę króla. Ridolfino dwornie podziękował. „Król podczas całej swojej rozmowy z kanclerzem nie spuścił oka ze mnie. Muszę tu nieco napomknąć o powierzchowności tego monarchy oraz o jego przymiotach, które mnie wprawiły w zdumienie.

Stefan Batory jest wzrostu słusznego, budowy silnej, chudy; nosi wąsy jak stary żołnierz. Ubiera się skromnie po węgiersku; na głowie nosi kołpaczek przycięty krótko z piórem wrzekomo kapłonim, lecz które rzeczywiście kapłonim nie jest. Przyczyną noszenia takiego pióra jest ta okoliczność, iż przedtem, gdy Jego Królewska Mość używał piór kosztowniejszych, wszystka szlachta sadziła się na to, aby go w tej mierze naśladować. Aż tu pewnego dnia, gdy król ukazał się z takim jak teraz piórem, panowie jego orszaku to zobaczywszy, odeszli precz z konfuzją (...) Sypia w łóżku mającym trzy piędzi szerokości, bez kotary lub czegoś podobnego. Rękawiczek nie używa żadnych. Żyje jak najoszczędniej. Posiada przy tym następne cztery wielkie zalety. Po pierwsze jest dobrym katolikiem, po wtóre lubi słuchać cudzej rady, po trzecie wykonywa natychmiast to, co postanowił; po czwarte nie żałuje swego życia w potrzebie (...) Owóż widzicie z tego, jak to prawy i cnotliwy monarcha jest" — pisał oczarowany królem Ridolfino.[1]

Wrażenia dzielnego pułkownika pokrywają się ze spostrzeżeniami tych, którzy zetknęli się z królem. Batory bez wątpienia swą postacią wywierał silne wrażenie; „miał on w twarzy, w postawie i w mowie dziwną powagę". Moglibyśmy nie wierzyć kronikarzowi królewskiemu, który z przesadą pisał, że „natura obdarzyła [Batorego] najświetniejszymi przymiotami umysłu i ciała, jakby w jednej osobie jego pokazać chciała całą doskonałość ludzką".[2] Potwierdzają to jednak w dużym stopniu świadectwa nuncjuszów papieskich, którzy po audiencjach przepełnieni byli podziwem nie tylko dla świetnej postawy króla, lecz również dla jego swobody wypowiedzi, ogłady,

bezpośredniości i mądrości. Nie będzie więc przesady w twierdzeniu, że Batory już w czasach młodości miał swoistą charyzmę, która ułatwiała mu karierę wojewody, księcia, a w końcu króla Polski, zastępując w pewnej mierze dostojeństwo dynastycznych związków krwi. Majestat postaci i ruchów podkreślał ulubiony czerwony strój węgierski, do tego stopnia kojarzący się z monarchą, że Stanisław Wyspiański zwał go „czerwonym królem".[3] W nim to pierwszy raz elekt pokazał się szlachcie pod Lwowem, w czerwonej delii został uwieczniony na obrazie z 1583 roku, podarowanym przez króla Zamoyskiemu. Na tle czerwieni wybijała czerń brody, długich wąsów, dość ostre rysy twarzy. Relacje tyczące się cery (blada, rumiana, smagła) i nosa (zakrzywiony, „sublimowany") różnią się; zdaje się jednak pewne, że miał Batory piękne, białe zęby.[4] Uważne spojrzenie ciemnych oczu, przeciętych z biegiem lat wpół jakby ospałą powieką, dopełniały obrazu monarchy dorodnego, energicznego w pozornym spokoju i mądrego.

Król zmieniał się, to zrozumiałe: podczas uwięzienia w Wiedniu i przyjazdu do Polski widzimy szczupłego mężczyznę, podobnie jak Cezar, a potem Napoleon kryjącego łysinę kosmykiem czarnych włosów. Być może Batory lubił podgalać się wysoko na modłę węgierską, co zresztą trudno stwierdzić, gdyż wszystkie późniejsze portrety króla ukazują go w słynnej węgierskiej czapce. Potem nieco przytył, ale nie na długo: polowania, a głównie wyprawy moskiewskie zabrały mu sporo ciała. Przymusowy odpoczynek spowoduje, że znów przybierze na wadze, co jednak wcale nie zmniejszy jego zadziwiającego zamiłowania do dużego wysiłku, ciągłego przemieszczania się i ruchu.

Szlachcie podobał się na początku ten król, gdyż był zupełnym przeciwieństwem Walezego, który sprawił jej tak brzydkiego „psikusa". Zamiast wiotkiego młodzieńca ujrzeli mężczyznę w sile wieku, zamiast pewnej beztroski i kolczyka wpiętego w ucho — powagę. Zdaje się, że Batory rozumiał dobrze obsesje polskie pozostałe po licznych kochankach Zygmunta Augusta oraz skomplikowanych rozrywkach seksualnych i ucieczce Henryka de Valois. Usiłował dy-

skontować to, zgodnie zresztą ze swą naturą i przekonaniami. Jego postępowanie na dworze było swoistą antynomią poczynań poprzedników; nie było tu miejsca ani na „mignons", ani na „gamratki" czy nawet Giżanki. Króla cechowała niesłychana w owej epoce zmierzchu renesansu wstrzemięźliwość seksualna, za którą kryć się musi jakaś tajemnica. Domniemywano, że król ma kochankę — a to w Niepołomicach, a to śliczną córkę gajowego koło Grodna, z której miał się zrodzić przyszły car Dymitr I Samozwaniec — ale były to tylko plotki, nie potwierdzone przez poważniejsze źródła. Nikt nie złapał króla in flagranti. Wydaje się zatem, że wielka energia i żywotność Batorego, nie rozładowana na polu erotycznym, kierowała się ku planowaniu i organizowaniu olbrzymich wypraw, zamiłowaniu do marszów i żołnierskich czynów.

Nie stronił natomiast król od wina, mimo upomnień lekarza i próśb, by choć rozcieńczał bądź popijał wino wodą. Stefan nie czynił tego i z ochotą wypijał szklanice świetnego trunku — o wodzie zapominając. Nigdzie jednak nie dojrzymy, by Batory upił się do cna. Ulubione wspaniałe węgierskie trunki pił wprawdzie często, lecz umiarkowanie, uwielbiał też owoce sprowadzane z Siedmiogrodu, którymi w dowód łaski lub szacunku obdzielał najbliższych. Naśladowano króla gorliwie: wraz ze wspaniałą modą węgierską barwnych żupanów, delii, przejętych z Orientu kontuszów, dolmanów, ciżem i podgolonych karków, już przedtem widocznych w południowej Polsce, w ziemie Rzeczypospolitej wkroczyły szerzej szable „węgierki", czapki „madziarki" lub „batorówki" i cały potok słów: szereg, czekan, czaty, giermek, harcować, kiereszować, hejnał, dobosz. Jeszcze szerzej popłynęła do Polski rzeka wspaniałych win: słynne węgrzyny, maślacze, tokaje, zwane opus divinum (dziełem Boga). A także brzoskwinie, śliwy, gruszki. Najważniejsze części korespondencji księdza Płazy do biskupa Kromera — to sprawy delikatesów sprowadzonych z ciepłych i żyznych ziem węgierskich. Nic dziwnego, gdyż Węgry cieszyły się opinią kraju wspaniałych win, owoców, i nawet Ridolfino, Włoch z Apeninów, był Niziną Węgierską i Siedmiogrodem oczarowany. Nie tylko wtedy gdy uczynni Madziarzy leczyli go, przeziębionego, nacieraniem ciała oliwą z solą, zawijaniem

w koce i pojeniem winem bez ograniczeń. „Ja jednak nie chciałem pić tyle wina" — wzdychał rozsądnie Ridolfino. Do czasów notorycznych opojów było i w Polsce daleko: choć tu upijano się chętnie, to za przykładem króla wino i piwo traktowano jako napoje stołowe, a nie środek narkotyczny. Niechęć Batorego do pijaństwa brała się przy tym nie tylko z rozsądku i mądrości, ale i presji mody: mocna gorzałka stosunkowo niedawno weszła na ziemie polskie i była uważana, nie bez racji, za trunek gminny i pośledni.

Król Stefan chciał zatem, aby dwór był „zawżdy wzorem i zwierciadłem dobrych spraw i poczciwego życia w Rzeczypospolitej" [5]: skromnych obyczajów, wstrzemięźliwości, oszczędności. Ta ostatnia cecha była bardzo widoczna — „żaden z polskich królów nie umiał lepiej używać pieniędzy" — ale jednocześnie król potrafił być hojny, gościnny, a brak w skarbie pokrywał z własnych dochodów. Wyliczenia wskazały, że była to suma niemała: równa rocznym wpływom do skarbu państwowego. Koszt utrzymania dworu w 1583 roku wyniósł 150 tysięcy złotych. Spowiednik Batorego, Marcin Laterna, odnotował, że na dworze nie widać było zbytku, za to dużo modlitwy i „sądowe spraw roztrząsanie". Byłby to bardzo smutny dwór; obraz ten wydaje się bardziej skrojony przez księdza zgodnie z jego pobożnymi pragnieniami niż rzeczywistością. Wystarczy bowiem wspomnieć anegdoty o księdzu facecjoniście Jakubie Woronieckim, który nie zawahał się pannom dworu kłaniać „nagusieński", niesiony w wannie następnego dnia po pijatyce przez dworzan [6], czy węgierską przypowieść o niezwykłych ilościach jadła i trunków, które pożerał i wypijał na początku panowania dwór Batorego.[7] Potem jednak król ukrócił zapędy głodomorów, sam dając chwalebny przykład pomiarkowania w jedzeniu, piciu i zbytkach. Uwidoczniło się to szczególnie podczas wypraw moskiewskich. Poznaliśmy już opinie księdza Piotrowskiego, wysłuchajmy więc innego duchownego, biskupa kijowskiego Józefa Wereszczyńskiego. Królowi „często (...) się trafiało na gołej ziemi leżeć, kuchni przy sobie nie mieć, ale i owszem, opuściwszy kredence królewskie, sam kapłona albo wędzonkę z tajstry wyjąwszy, swemu miłemu rycerstwu krajał i z nimi się jadłem swoim podzielając, posilał".[8] Rosła legenda króla żołnierza i dobrego gos-

podarza, za którego „panował w skarbie nadwornym taki porządek, jak nigdy przedtem”.[9]

Obraz władcy bezpośredniego jest jednak przeciwny wizerunkowi powagi, jaką odczuwali posłowie, szczególnie moskiewscy, podczas spotkania z królem polskim. Bywało, że na widok posępnego Batorego tracili kontenans i, jak wiemy, mylili tytulaturę hosudara. Wydaje się jednak, że wynoszona powaga monarchy pryskała wraz z ceremonią. Wtedy otoczeniu jawił się przystępny, prostolinijny pan, niechętny wszelkiej pompie i bizantyjskim pomysłom obalania poddanych na kolana swym majestatem. Prostolinijność króla szła nawet początkowo za daleko, jak na wrażliwość narodu szlacheckiego, który mianował się często spadkobiercą tradycji imperium rzymskiego. Nuncjusz Laureo zauważył pewne lekceważenie dworu dla osoby „Węgra” u progu jego panowania: bezpardonowy gest Andrzeja Zborowskiego ciągnącego króla za rękę przed „babę” Annę Jagiellonkę pod krużgankiem wawelskim jest tego dowodem. Batory musiał często wracać do dawnej powagi i surowej twarzy, choć zdejmowanie buta i okazywanie podartej ciżmy zdumionym senatorom na radzie „maiores” z pewnością temu nie sprzyjało.

Czy rzeczywiście król nie lubił „krotochwil”, jak sądzi kronikarz? I czy jednocześnie rzeczywiście był aż tak prostolinijny, o czym pisze historyk? Temu pierwszemu zaprzecza kilka zdarzeń: Batory z pewnością miał poczucie humoru, choć tak szorstkie jak niekiedy jego postępowanie. Zapowiedzi „odwiedzin” i „śniadania” z prymasem w Łowiczu w 1576 roku czy też goszczenia cara w jego twierdzach — noszą znamiona zgryźliwego i cierpkiego humoru. Takiego samego jak śmiech króla zapytującego Caligariego, jak go przyjął prymas w Łowiczu? Widok wielgachnej epistoły od Iwana IV pobudza Batorego do śmiechu i ironicznych domniemywań, że car pewnie opisuje dzieje swego rodu od Adama. Król bierze udział w „trionfi” z okazji ślubu Zamoyskiego, gdzie przebrani wielmoże odgrywają mityczne postaci, niekiedy na wpół rozebrane. Mocniej typ humoru króla charakteryzuje anegdotyczne zdarzenie z nadaniem kanonii krakowskiej. Duchowni nalegali, by, zgodnie z postanowieniami statutu piotrkowskiego z 1496 roku oddać ją nie plebejuszowi,

lecz szlachcicowi. Król zatem „pytał, po czym znać najbardziej księdza szlachcica. Powiedziano mu ut plurimum [zazwyczaj] tak jest, który ma in cognomine ultimam sylabam [w nazwisku ostatnią sylabę] -ski i -cki. A w tym jadą przez wieś, dziewka wołała do świni i wołała: Maluśki, maluśki. Pyta król, którego to franta woła ta dziewka, aż mu powiedziano, że porcellum allicit [prosię przywołuje]. Na to król: Ergo porcellus potest esse canonicus Cracoviensis, nam habet -ski” (zatem prosię może być kanonikiem krakowskim, ponieważ ma -ski).[10]

Tak, Stefan Batory wyniesiony na tron polski nie przez koligacje i dynastie, lecz wolny wybór, miał niespotykane u panujących zrozumienie dla plebejuszy i zupełny brak szacunku dla szlacheckich uroszczeń i przywilejów. Anegdota ma znamiona prawdy. Stara się być sprawiedliwy — „supliki nawet najlichszych biedaków przyjmował” [11] — co powoduje nieprzestrzeganie przezeń uświęconej hierarchii stanowej: bywa, że chroni Ormian, Żydów, mieszczan, chłopów przed wyższymi urodzeniem czy majątkiem. Chce ulżyć doli chłopów sugestiami ograniczenia pańszczyzny i zamiany kary chłosty na grzywnę. Ale szczególnie dobrze stosunek króla do niższych stanów widać po nobilitacjach, próbach włączenia niższych do narodu szlacheckiego. Z pewnością wojny, możność łatwiejszego wyróżnienia się, chęć poszerzenia bazy społecznej przez króla sprzyjały takim ludzkim posunięciom władcy. Zresztą nobilitowani nie zawsze wytrzymywali radości uszlachcenia. Kotlarczyk lwowski Walek Wąsik obrócony za waleczność pod Połockiem w szlachetnie urodzonego Walentego Połotyńskiego, miał upijać się we Lwowie z wielkiej radości, upomniany, wyjechał do Warszawy i „tam zaś w podobnym będąc szaleństwie, jak gdyby sobie Wandę chciał zaślubić, skoczył do Wisły i razem z sobą szlachectwo utopił”.[12] Mieszczanin Zimorowic, piszący te słowa z nutką radosnej zawiści, chyba jednak pozazdrościł imć Wąsikowi, gdyż podczas następnych wypraw znajdujemy Połotyńskiego w zdrowiu i to — rotmistrzem królewskim! Co i tak nie uchroni go od wzgardy dawniej i lepiej urodzonych, a po śmierci od potwarzy i obelg. „Nie darmo więc groził świadom rzeczy monarcha niechętnym wyniesieniu Łapczyńskiego [znanego dru-

karza, primo voto Łapki — J.B.] — karą pieniężną".[13] Nobilitacje w równej mierze obejmowały przy tym mężnych szablą, jak i piórem, czy innych „artifices" — oczywiście w służbie Batorego. Nie było tych nadań indygenatu zbyt wiele — bodaj kilkanaście — ale otwierały one drogę rzeczy bodaj najistotniejszej na ziemskim padole — nadziei. Rosła wieść i legenda o nobilitacjach i „poprawianiu" szlachectwa przez wielkiego i ludzkiego króla. Być może Batory z ewenementów chciał stworzyć proces, przetrzeć drogę do szerszego napływu świeżej krwi do klasy rządzącej i stworzyć zalążek oparcia społecznego, którego mu stale brakowało; być może chciał w ten sposób rozpocząć łamanie tak mocno chronionej bariery stanowej. Piękne te próby, niestety, spełzły na niczym; szlachta zazdrośnie strzegła swego ekskluzywizmu, przypadki nie mogły obrócić się w trwały proces.

W anegdocie o Batorym, końcówce -ski i dziewce wołającej „malu-śki" uderza nas rzecz, która od dawna budzi cierpkie zastanowienie polskich badaczy: dlaczego król nie raczył nauczyć się po polsku? Z pewnością myślał po węgiersku, kiedy usłyszał owo „śki" — Batory nawet pod koniec panowania własnoręcznie kładł pisownię „Samboreczky" miast „Samborecki". U progu swego panowania popełniał przy tym fatalne dla Polaków gafy, strofując biskupa Kromera, który go na Warmii witał po polsku, aby przemawiał po łacinie! W miejscu, które od unii lubelskiej, jak i całe Prusy Królewskie, zostało złączone z Koroną Polską.

Zdaje się jednak, że Batory sporo rozumiał po polsku z biegiem lat. Być może nie chciał kaleczyć języka, którego musiałby nauczyć się w nawale prac państwowych już po czterdziestce. Albo też — gigantyczne plany wpływały na przekonanie, że nie ma potrzeby uczyć się nowego języka w kraju, gdzie łacina była językiem urzędowym.

Batory był świetnym oratorem — „był wymówny" („dawnym równający się mówcom", jak twierdził Orzelski) — i jego mowy musiałyby brzmieć żałośnie w wyuczonym języku. Łacina sprawiała przy tym, że łaską królewską obdarzani byli światli Europejczycy, władający dobrze tym językiem, z którymi król mógł się ze swobodą i swadą porozumieć. Jego bezpośredniość w słowach bywała tak

duża, że wbrew tradycji „tłumaczył się" nie przez kanclerza czy podkanclerzego, lecz sam — i to w tonie zupełnie odbiegającym od dworskiej sztuczności i prawienia duserów.

Czy był prostolinijny, tak jak sądzi wielu autorów? Jeżeli za prostolinijność przyjąć brak zamiłowania do bezustannych skrytych posunięć, intryg, do przedkładania zasad moralności nad cele etc. — to Batory bywał prostolinijny. W kraju, gdzie słowo „makiawelista" (użyte po raz pierwszy publicznie w kilka lat po wyprawach moskiewskich przez Krzysztofa Zborowskiego) było obelgą, gdzie ideały demokracji szlacheckiej były mocno zakorzenione w świadomości, gdzie z dawna panowały wzorce erazmiańskie — król stosujący środki z arsenału Katarzyny Medycejskiej, nie cieszyłby się sympatią herbowych. Król Stefan, przestrzegający zasad moralnych, szczery na ogół i uczciwy, prawy — stąd zapewne jego widoczne przekonanie o słuszności swych racji — potrafił jednak być zręcznym politykiem, a nawet lawirantem, stosującym przemilczenia, półprawdy i dworny styl: zachować kolorystykę charakteryzującą wielką dyplomację. Nie wahał się przy tym korzystać z dwuznacznych środków: Zborowscy, Heidenstein i Müller twierdzili, że Batory ma specjalnego sekretarza do podrabiania podpisów.

Nie mógł się jednak nauczyć panowania nad nerwami: z natury porywczy, z biegiem lat coraz łatwiej ulegał atakom niepohamowanego gniewu. Krzyczał wtedy „alta voce", wysokim głosem, sięgał ręką do szabli, wykonywał gwałtowne ruchy. W opisach jego porywczości mieści się przypowieść, raczej nieprawdopodobna, odrzucenia przez Batorego Orderu Złotego Runa, nadanego mu przez króla Hiszpanii, Filipa II Habsburga, i w zamian rzucenia pod nogi posła hiszpańskiego złotego łańcucha z kłami wilka.

Zdaje się, że jeszcze w Siedmiogrodzie Batory ulegał atakom epilepsji, choć mógł to być, jak zobaczymy, objaw zupełnie innej choroby, dziedzicznej. Król bowiem kochając polowania, odtwarzając sokolnictwo dworskie, trzymając piękne białozory, wyżły legawe, charty, owe Śmigi, Obrócice, Karwaty i Szukaje, które za 30 złotych sprowadzał aż z Anglii przez wiozącego listy do królowej Elżbiety w 1582 roku Stanisława Ossowińskiego[14] — jednocześnie psów

nie cierpiał. Oto scena z czerwca 1580 roku w komnatach zamku wileńskiego. Ridolfino, wchodząc, przepychając się przez ciżbę dworaków i szlachty, nadeptuje przypadkiem na nogę królewskiego charta. „Pies zaskomlał trochę. Gdy potem postąpiłem naprzód, aby podług zwyczaju ucałować rękę królewską, chart ów zerwał się za mną — wspomina inżynier — i ukąsił mnie w łydkę. To obaczywszy Najjaśniejszy Pan powstał z krzesła i kopnął psa tak silnie, iż padł jak długi na środek izby (...) Możecie sobie wystawić, ile ten postępek Najjaśniejszego Pana zdumiał wszystkich."

Tylko nieliczni znali awersję Batorego do złych psów: twierdził, że sam został pokąsany w nogę w Siedmiogrodzie, w młodości, skutkiem czego miała powstać brzydka, nie gojąca się rana. To ona miała być sprawcą gwałtownych ataków Stefana, połączonych z utratą świadomości. Istnieje jednak niepokojąca poszlaka, a raczej pewność, że ród Batorych ulegał coraz silniejszej degeneracji. Cóż w tym dziwnego, skoro Batorowie z Ecsed i Somlyó krzyżowali się między sobą: wystarczy wspomnieć związek siostry Stefana, Anny, z Jerzym Batorym z Ecsed. Epilepsja podobno była tam dziedziczna: złośliwi twierdzili, że chociaż w tym Batorowie przypominają Habsburgów. „Zarówno w Pradze, jak i Albie Iulii [Gyulafehérvárze — J. B.] władzę sprawowała jednostka nerwowo chora" — oto węgierski sąd o cesarzu Rudolfie II i następcy Krzysztofa, jego synu Zygmuncie Batorym.[15] Opinia ta miała tłumaczyć między innymi nieprawdopodobnie chaotyczną politykę i okrucieństwo księcia, który cierpiał na epilepsję i impotencję, wetując to sobie na przykład zamiłowaniem do oglądania egzekucji. Trzykrotnie rezygnował z tronu, by nań wracać krwawo karząc tych, którzy ośmielili się poprzeć jego następcę. Szczególnej degeneracji uległa linia z Ecsed: Stefan Batory z Ecsed bez przyczyny nie odzywał się do żony, a jego syn, książę Siedmiogrodu Gabriel, przewyższy w psychopatycznych skłonnościach Zygmunta. Był jeszcze większym okrutnikiem, człowiekiem niesłychanie bujnego temperamentu, chlubiącym się liczbą 900 kochanek, który „ne a sorrore abstinuerit", nie powstrzymywał się od kazirodczych stosunków z siostrą Anną, notabene zmarłą po latach nieprawdopodobnych awantur i przygód jako żebraczka.[16] Ten władca był przy tym kandydatem rokoszan polskich Mikołaja Zebrzydowskiego do korony wawelskiej. Zakończył marnie, zakłuty w powozie przez własnych hajduków. Fatalny szereg Batorych z Ecsed wieńczy siostra tegoż Stefana, Elżbieta Batory, żona Franciszka Nádasdyego. To węgierski odpowiednik potwornego zboczeńca seksualnego i marszałka Francji Gilles'a de Rais, który w celach orgiastycznych zamordował czterdzieścioro chłopców i dziewczynek. Elżbieta poszła dalej: chcąc zachować urodę i młodość, porywała na zamek w Csejthe młode urodziwe dziewice służebne i chłopki, mordowała je wśród okropnych tortur i kąpała się w ich krwi. Uwięziona w 1610 roku nie dostała nawet kary śmierci; dopiero więzienne wyrzuty sumienia doprowadziły ją do samobójstwa.

Przywiedzione tu, budzące odrazę obrazki mają służyć nie deprecjacji Stefana Batorego, lecz uzmysłowić podłoże psychosomatyczne porywczości, gwałtowności i pewnej bezwzględności króla. Czyż można się dziwić, że szlachta nie chciała kolejnego Batorego na tronie polskim, choć Andrzej, bratanek Stefana, był człowiekiem wielkich zdolności. I trudno kolejny raz nie odmówić mądrości politycznej polskim herbowym.

Polowania były bez wątpienia największą radością króla. To bodaj najruchliwszy dotąd władca Polski: „wy, poddani, nauczyliście się tego jeżdżenia od waszego króla" — fuknęła w 1583 roku rozżalona Jagiellonka, gdy z jej dworu odjeżdżał jakiś szlachcic.[17] Mało jest puszcz i lasów, których by król nie przemierzył podczas swych częstych wędrówek. Koło Ostrołęki, Jedlni, Niepołomic, w Białowieży, a nade wszystko — koło ukochanego, surowego w kształcie zamku w Grodnie. Stąd pędził często o świcie z węgierskimi towarzyszami powtarzającymi za królem „Felséges! Csodà latos" (Co za rozkosz, nie ma nic piękniejszego)[18] — mimo że bywały to wyprawy bardzo niebezpieczne i o mało nie zakończyły się utonięciem Batorego w lodowatej wodzie w 1586 roku. Wielu władców uwielbia sprawdzać, czy nadal jest pod szczególną opieką Opatrzności — ale Batory czynił to w wyjątkowo niebezpieczny sposób, na polowaniach i wojnie. Zbywał tak nadmiar energii, zapominał o bólu i ciężarze rządzenia, pochłonięty naturalną u człowieka pasją rywalizacji ze

zwierzem. Choć może nam się teraz wydawać okrutną rozrywką, to na Litwie i w Polsce polowania na niezmierzone chmary ptactwa i dzikie zwierzęta były bardzo istotnym uzupełnieniem spiżarni i brzuchów (otyłość była synonimem bogactwa) w mięsiwo.

A jednak Stefan Batory bywał okrutny. Obcinanie nosów i rąk po zwycięstwie pod Szentpál, oddawanie katu głów wielmożów i Kozaków, których zwłoki „na kawałki siec zalecał", nie zawsze do końca może być usprawiedliwione racją stanu, choć ta, bez wątpienia, grała tu najistotniejszą rolę. Ów król kamiennego, wydawałoby się, serca, daleki od miękkości potrafił jednocześnie wpadać w gorzką melancholię, opłakiwać śmierć przyjaciela, depresją opłacać śmierć brata. Miał też duże zamiłowanie do muzyki, już od dzieciństwa, kiedy to słuchał w Somlyó zamkowej kapeli. W Padwie ponoć spotykał słynnego potem lutnistę na dworze Zygmunta Augusta i jednocześnie szpiega księcia pruskiego, Walentego Bekwarka. Po objęciu tronu siedmiogrodzkiego Batory zaprosił swego rodaka do Gyulafehérváru i kontynuował tradycje dworu Jana Zygmunta, gdzie muzyka rozbrzmiewała „przy śniadaniu, obiedzie, kolacji i na przyjęciach".[19] Batory słuchał z upodobaniem nie tylko muzyki kościelnej, ale i dworskiego dźwięku cytr, trąb, lutni zabawiających możnych. Muzykalność króla wskazywałaby zatem na drzemiące w nim pokłady wrażliwości. „Miłosierdzie w nim takie, że często nad biednymi i nieszczęśliwymi łzy wylewa" — twierdził biskup Karnkowski. Inna rzecz, że płakano i wzruszano się w renesansie łatwo; nie wydaje się więc, by Batory był człowiekiem labilnym czy też neurastenicznym, popadającym w skrajne stany uczuciowe. Obyczaje węgierskie gotowały się od dziesiątków lat w tyglu tureckim, były znacznie surowsze niż w pogodnej Polsce — a Batory był dzieckiem swego kraju i gasnącego renesansu, również z jego okrucieństwem. Z kolei choroba i wyraźna wielka tęsknota za rodzimym Siedmiogrodem wzmagała czasem nastroje melancholii, a potem apatii, to zrozumiałe...

Choć Batory zbytnio nie szanował swego zdrowia, obawiał się, że zostanie otruty. Jednocześnie myśl o śmierci odpychał jak najdalej i zdecydowanie: miał przecież gigantyczną misję do spełnienia. Stąd sprowadzone z Saksonii. „Alexipharmacum przeciw wszelkiej trucizny", stąd wielu lekarzy, którzy przewiną się w jego życiu. Z biegiem lat wiedza medyczna króla stanie się imponująca. Jak zobaczymy, nie był to wynik przeczulenia czy hipochondrii.

Religijność króla budziła częste zachwyty katolików i mieszane uczucia innowierców. Często natrafiamy na opisy aktów wiary i korných gestów Batorego podczas ceremonii lub mszy katolickich, co „widząc różnowiercy dziwowali się i zgrzytali zębami, a katolikom z radości rozszerzało się serce".[20] Demonstracyjna katolicka pobożność Batorego nie sprzyjała pozyskiwaniu serc „heretyckich". Raczej szkodziły też królowi, niż pomagały osobiste próby nakłaniania do zmiany wyznania, które Batory rzadko, lecz podejmował w dworskich rozmowach. Podobno udało mu się skłonić do przejścia na katolicyzm kasztelana chełmińskiego, Jana Dulskiego. Być może wpłynął również na arianina, który w Siedmiogrodzie był jego gońcem, Hieronima Filipowskiego — choć do tego sukcesu przyznaje się głównie pierwszy szermierz kontrreformacji. Z listów księdza Piotra Skargi wyłania się obraz monarchy przestrzegającego wszystkich postów, przepędzającego precz kurtyzany z obozu żołnierskiego, wzruszającego się łatwo podniosłym kazaniem, nie poddającego plotkom i pomówieniom, niechętnego oszczercom.

To również człowiek niezmiernie pracowity, lubiący inkaust, pióro i zapach ksiąg. Ledwie mu przyniesiono dzieło Marcina Kromera *Polonia*, „zasię po obiedzie natychmiast począł czytać te księgi" — pisał ksiądz Tomasz Płaza. — „Król nigdy nie próżnuje, albo czyta, albo pisze, albo listy przegląda (...) Rano wstawa. Mszy zawsze w pokoju słucha, opera Illmi Cardinalis [dzieło najdostojniejszego kardynała], które mu darował X. Kujawski (...) czyta."[21] Nic dziwnego, że w Polsce, a potem w Europie rozpowszechniła się opinia Orzelskiego, że król „zarówno w sztuce wojennej, jak i w n a u k a c h [J. B.] biegły, a raczej w obydwóch od wszystkich panujących wyższy". Dodajmy, że Batory napisał też epitafium swemu sekretarzowi Janowi Bużeńskiemu.

Tak, czytanie było kolejną pasją Batorego, choć jednocześnie intelektualistą nie był. W literaturze historycznej szukał raczej wskazówek, zachęty do czynów, doświadczeń, pomocy, a nie czystej wie-

dzy. Miłością do ksiąg zaraził się zapewne podczas przymusowego pobytu w Wiedniu. Szczególnie uwielbiał Cezara — ba, ależ który z ambitnych wodzów nie zaczytywał się wówczas *Commentarii de bello Gallico?* Tak samo czynił Zamoyski, snobować się będzie na styl Cezara przyszły zdobywca Moskwy, Żółkiewski. „Historyki" starożytne i współczesne były i wówczas zaczytywane — i tak samo towarzyszyła im tęsknota do „lepszych czasów i wielkich ludzi".

Batory jednak, jak większość ówczesnych władców, nie tylko doceniał, ale i przeceniał wartość historiografii. Jak widzieliśmy, zdecydowany on był z historii uczynić nie tylko skarbnicę wiedzy i doświadczeń, ale narzędzie propagandowe, które złotymi zgłoskami utrwaliłoby jego panowanie. Miejsce historiografii pisanej z pozycji demokracji szlacheckiej, takiej jak znakomita praca Orzelskiego, miała zająć historiografia dworska. Próba tak konsekwentnego wyeliminowania „drugiego obiegu" była, zdaje się, nowum w polityce wewnętrznej władców europejskich i może być porównywana jedynie z podobnymi działaniami Elżbiety I.

Przemyślenia Batorego dotyczące nieocenionej wartości historiografii w rękach panującego zrodziły się już w Siedmiogrodzie. Jak wiemy, tam również książę wydał dekret o zakazie druku bez zezwolenia władcy, któremu starał się być konsekwentnie wierny i w Rzeczypospolitej. Nowszą historię Węgier od 1540 do 1572 roku Batory zlecił napisać kanclerzowi Siedmiogrodu, padewczykowi Franciszkowi Forgáchowi. Nie była to praca dorywcza, ale zorganizowana, i to w sposób właściwy Batoremu: wojewoda naszkicował plan tematyczny, dostarczał materiałów źródłowych, usiłując nawet, już jako król, dotrzeć do wspaniałej Biblioteki Watykańskiej, dbał o zwrot pożyczonych archiwaliów, zorganizował biuro, a nade wszystko — omawiał i kontrolował wszystko, co napisano. Nie skąpił pieniędzy, by historia stanęła po jego stronie, choć jednocześnie kierował nim autentyczny głód nieskażonej wiedzy historycznej. Do napisania dawniejszej historii Węgier od zgonu Macieja Korwina w 1490 roku do 1540 roku ściągnął Wenecjanina Michała Bruta. Była to postać pisarza-włóczęgi, od której biło światło rozedrganego renesansu: dość powiedzieć, że człowiek ten był i mnichem, i kalwinistą, układał

podręczniki bogobojnego współżycia małżeńskiego, jednocześnie oskarżany przez nuncjuszów apostolskich o cudzołóstwo, kłamał, zaciągał pożyczki, ledwo wiążąc koniec z końcem, a nade wszystko — schlebiał panującym. W tym ostatnim niczym specjalnym się nie wyróżniał. Batory przygarnął go z całego serca.

Obaj wiedzieli, że rzetelna historia to zapewnienie dziejopisowi „nieskrępowanej swobody wypowiadania ocen" oraz „uwolnienie jego umysłu od stanów uczuciowych (...), które wprowadzają go w niepokój i wytrącają z równowagi ducha, przez obarczanie go np. nakazem miarkowania treści czy zaleceniem, co ma przekazać potomnym".[22] Mimo to obaj miłośnicy historii postępowali zgoła inaczej: pisarz z pełną świadomością sprzedał swe pióro lepiej płacącemu, a władca zaaprobował *Dziejów Węgier ksiąg dwadzieścia*, gdyż były zgodne z jego przekonaniami. De facto krzywy uśmiech losu sprawi, że ujrzą one światło dzienne dopiero po trzystu latach! Ale zadowolony z Bruta król zabrał go w 1585 roku na Litwę, gdzie miał rozpocząć prace nad opisaniem dziejów panowania Batorego w Polsce.

Nie była to pierwsza tego typu próba. Poprzednia — powierzenie napisania dziejów Batorego Stanisławowi Sarnickiemu — okazała się niewypałem z powodu poczucia niezależności i megalomanii autora, gotowego w czterech księgach (na osiem) opisywać rozprzestrzenianie się Słowian od Morza Czarnego do koła podbiegunowego (!), dzieje Lecha i jego potomków. Batoremu, a nawet Zamoyskiemu bynajmniej nie o to szło i z usług Sarnickiego, ocenianego licho na 100 złotych rocznie, zrezygnowano ku obopólnej uldze. Król musiał znaleźć pisarza, który utrwaliłby jak najszybciej przed światem wspaniałe wyprawy inflanckie. Wybór padł na kolejnego padewczyka, sekretarza królewskiego, młodego Reinholda Heidensteina, następcę „głównego faworyta" króla, sekretarza Tiedemana Giese. Rozkaz królewski na blisko trzy lata przykuł młodego padewczyka, raczej pełnego obaw, czy udźwignie ciężar przedsięwzięcia po myśli Batorego, do biurek i dokumentów. Król i kanclerz zdawali się nie przywiązywać wagi, że ich dzieje ma opisywać były prokurator nacji niemieckiej w Padwie, który głosił, iż czuje się Niemcem. Potwierdza

to jeszcze raz tezę — sprzeczną z obiegowymi opiniami — że ani Batory, ani Zamoyski nie byli antyniemieccy.

„On [król] je sam nie tylko rewidował, ale i poprawiał; jest egzemplarz u tego, co je pisał, z poprawieniem i pismem na wiele miejący ręki własnej samego Jego Królewskiej Mości" — pisał Zamoyski już po śmierci króla, broniąc dzieła Heidensteina przed unicestwieniem.[23] Sam kanclerz również przyłożył do poprawek rękę: „Zaraz od tego przystąpię do poprawy komentarzów moskiewskich i jednym impetem dyktować będę i te dwie lecie po wojnie" — zwierzył się Piotrowi Tylickiemu.[24] Powstałe w ten sposób *Commentariorum de bello moscovito libri sex*, często w tej biografii przywoływane, wydane w Krakowie w 1584 roku w najlepszej oficynie polskiej Łazarza, nie grzeszyło obiektywizmem. Szlachta była uczulona na panegiryki, propagandowe wizerunki i dzieło w Polsce doczekało się zjadliwych krytyk i żądań konfiskaty jeszcze za życia króla. Natomiast za granicą, wśród intelektualistów, historiografia Heidensteina przyjęta została niczym „objawienie boskie". Przyjaciel Jana Kochanowskiego, Andrzej Dudycz, uważał *Commentariorum* za najwybitniejsze dzieło wśród prac tego typu — współczesnych i starożytnych. We Wrocławiu, dokąd Heidenstein przesłał książkę na ręce Mikołaja Rhedigera, zdarzył się nawet ciekawy przypadek przedłożenia lektury *Commentariorum* nad bożonarodzeniowy posiłek świąteczny — pomimo że czytelnik, Jan Mateusz Wackenfels, jak na intelektualistę niezależnego przystało, był bardzo głodny. W istocie — dziełem Heidensteina zaczytywano się i trafiło ono do wszystkich znaczących za granicą bibliotek utrwalając imię sławnego, niezwyciężonego polskiego króla. W ten jednak sposób obraz monarchy, jaki zrodził się w oczach szlachty, zaczął rozbiegać się z wyobrażeniami postaci Batorego na zachodzie Europy.

Król miał dużo racji sądząc, że od historii propagandowej, mądrze podanej, wiele zależy. Oto mimo niezależnych dzieł Müllera czy Goreckiego, pisanych bez tonu panegirycznego utworów Paprockiego opinia zachodniej Europy będzie Batoremu znacznie przychylniejsza niż w Rzeczypospolitej. Biuletyny z pola walki, bite przez „latającą drukarnię", podchwytywane były przez gazety niemieckie i włoskie. „Polnische Zeitung" czy czeskie „Nowiny" tworzyły obraz sukcesów, umiejętności i sławy Batorego, który utrwali się tam na stałe.

Ale osobliwe dążenie króla do podporządkowania sobie i pełnej kontroli ówczesnych mass mediów nie przyniosło w Rzeczypospolitej sukcesów nawet na krótką metę. Opinia szlachty będzie wręcz przeciwna do zamierzonej przez władcę — przekonamy się o tym jeszcze. Bez wątpienia posunięcia Batorego w ograniczaniu swobody słowa były wpisane w ogólną jego grę o wzmacnianie władzy królewskiej. Tutaj król wyprzedzał epokę, gdyż rzeczywiście Europa powoli dryfowała ku tendencjom absolutystycznym. W odniesieniu jednak do literatury i sztuki rygory batoriańskie, aczkolwiek nie utrwaliły się, przyniosły mało budujący obraz. Zamilkła polska literatura polityczna,[25] przygasł ogień wielkiej poezji narodowej na miarę zmarłego Jana Kochanowskiego, który od poparcia Habsburgów przeszedł do sławienia „króla niezwalczonego", Stefana Batorego. Nie wszystko jednak da się wytłumaczyć „zachodem słońca odrodzenia polskiego". Król zbyt dużą wagę przywiązywał do użytkowej strony literatury i sztuki, by zezwolić na odnowienie się fali pamfletów, okolicznościowych wierszy, owej niekontrolowanej strugi druków, w których utleniają się nastroje społeczne, czyniąc czasy nie tylko łatwiejszymi dla przeciętnego obywatela, ale i barwniejszymi. Z drugiej strony uderza nas dbałość Batorego o sprawy oświaty, widzimy jego pilne zabiegi o utworzenie Collegium Regum, sprowadzenie słynnych włoskich profesorów, przyciąganie i wabienie wysokimi pensjami ludzi pióra i sztuki, tworzących opinię społeczną, przyzwolenie na utworzenie Akademii Wileńskiej — choć i tu, co zrozumiałe, można się łatwo doszukać wątków utylitarnych. Takie są wymogi władzy nie tylko szesnastowiecznej, choć oczywiście zdarzały się wyjątki.

W parze z historycznymi zainteresowaniami króla szły jego zamiłowania do kolekcjonerstwa monet. To dość popularne hobby ówczesnych władców: Batory był tak tym pochłonięty, że nawet w gorących chwilach przeglądał zbiory monet, by nasycić swą wielką chęć poznawania. Grywał też w warcaby, o czym świadczą białe klocki warcabowe z jego stemplami oraz czarne — z herbem i popier-

siem Zamoyskiego. Białe były królewskie: wydaje się, że nimi Batory grywał w wolnych chwilach ze swym kanclerzem.[26] Nie wiemy, czy robił to z zamiłowaniem i często, jak na przykład jego przeciwnik Iwan IV, który zmarł podczas gry w szachy.

Brak szerszych reform państwowych, na które nie miał zupełnie czasu ani chęci, wetował król na innych polach. „Zważając użyteczność poczty od poprzednika naszego najjaśniejszego Zygmunta Augusta zaprowadzonej, tak w rządowych działaniach, jak i prywatnych stosunkach zatwierdzamy ją pod zarządem Sebastiana Montelupi, szlachcica florenckiego" [27] — ogłosił król, sankcjonując istniejący od blisko dziesięciu lat stan rzeczy. Za prywatne pismo płacono 4 grosze bez względu na odległość, a z Krakowa do Wenecji listy szły szybciej niż obecnie. Ustanowił też król mennicę państwową, aby zapobiec „wprowadzaniu niesłusznej z postronnych krajów monety", nad którą przełożonym ustanowił Rafała Leszczyńskiego.[28] Usiłował również założyć skarb pospolity, obciążając wszystkie stany podatkami — choć i tu królowi szło o przygotowania wojenne. „Mając takowe nervum belli moglibyśmy zawdy chować najmniej pięć tysięcy konnych i dwa tysiące pieszych", którzy by nie tylko bronili granic, ale „łacno by można kraje Koronie przyczynić i puste miejsca osadzić".[29]

Za Batorego utrwaliła się też niedobra zależność Polaków od „artifices", rzemieślników, sprowadzanych głównie z Włoch i Rzeszy. Podczas gdy tam kwitło „nudne" rzemiosło, w Polsce krzewiły się „ciekawe" zainteresowania polityczne i rosła typowa pogarda „leworęcznych" pomieszana z podziwem dla mistrzów cierpliwego wykonawstwa. Cudzoziemscy fachowcy odpłacali się tym samym, twierdząc, że tutejsi rzemieślnicy niewiele umieją, nie zauważając, że przyczyna tkwi głównie w tłamszeniu przez szlachtę inicjatyw mieszczańskich mogących zagrozić dominacji stanowej herbowych. W XVI wieku nie było to jeszcze tak wyraźne: rzemieślnicy i kupcy mieli się tu całkiem przyzwoicie.

Ale największą miłością władcy było wojsko. Sprowadzając węgierskich hajduków słynących z wyszkolenia, jak i skłonności do łupiestw, pokazał Polakom wartość dobrej piechoty, pożytki i niebez-

pieczeństwa wojska zaciężnego. Jak wiemy, pospolite ruszenie było już tak skompromitowane od czasów nieszczęsnej klęski w lasach bukowińskich w końcu XV wieku, że Batoremu bez wielkiego trudu udało się przekonać szlachtę do systemu zaciągów. Było to zgodne z tendencjami epoki, ale w Polsce zmiany te miały o wiele łagodniejszy przebieg niż na zachodzie czy południu, gdzie najemni kondotierzy umawiali się co do wyniku bitew, nie chcąc tracić drogich żołnierzy, i gdzie łupy stały się głównym celem. W Rzeczypospolitej wojsko miało „niepisany ustrój cechowy" [30], znakomicie działający, którego przewagę umiał Batory docenić i wykorzystać.

Znamy już reformy króla, jego próby stworzenia silnej piechoty i nowocześniejszej jazdy. Dążenie do organizacyjnego perfekcjonizmu ujawniało się nawet, jak widzieliśmy, w ujednoliceniu barwy uniformów hajduków i piechoty wybranieckiej: ci ostatni mieli błękitny żupan i płaszcz z pętlicami. Na tle pstrokacizny ubiorów wojskowych kupiących się wokół furkoczącej chorągwi było to nowum i wyprzedzało epokę.

Wielką zasługą Batorego było też zwiększenie siły ognia rodzajów wojsk; pod Dzisną w 1579 roku król osobiście sprawdzał, czy husarze mają sprawne pistolety, każąc każdemu z przejeżdżających oddać strzał. Podobnie jak Napoleon, Stefan Batory doceniał rolę artylerii i poświęcał jej wiele uwagi. Znakomite arsenały w Tykocinie, Lwowie i Krakowie odziedziczył wprawdzie po Zygmuncie Auguście, ale też sam dopilnowywał odlewania nowych dział — swej nie tajonej dumy. Przypisuje się Batoremu wynalazek słynnych zapalających kul; do tego przyznaje się również inżynier Ridolfino.

Natomiast król bezpośrednio i osobiście wpływał na przemianę husarii z jazdy lekkiej, nieco chaotycznie uzbrojonej i walczącej, w znakomitą jazdę ciężką. Jazda pozostała w Polsce nadal najważniejszym rodzajem wojska, mimo równoległych starań Batorego o zwiększenie liczby wyszkolonej piechoty. Olbrzymi kraj rachitycznych zamków wymagał dobrych jeźdźców i koni: i takich to rumaków, jak i jazdy dorobiła się Rzeczpospolita w XVI wieku. Hodowla polskich koni bojowych była zazdrośnie strzeżona, obowiązywał ścisły zakaz ich eksportu, którego nie mógł złamać nawet sam monarcha.

zmuszony sprowadzać rumaki z południa Europy — szybsze i delikatniejsze araby, za to znacznie mniej wytrzymałe. Usprawniając polską jazdę Batory pełnymi garściami czerpał z wojskowości węgierskiej mającej swe korzenie w tradycjach, doświadczeniach ludów bałkańskich i tureckich. Miarą możliwości zreformowanego przez Batorego wojska było powiedzenie: „husarz, drzewko [kopię — J. B.] porzuciwszy, służy za rajtara, zbroję zdjąwszy — za Kozaka stanie". Wszechstronność stanie się olbrzymią siłą wojska batoriańskiego i jego następców; uzupełniała ją nowa doktryna wojenna i system walki wypracowany już przedtem, zwany staropolskim urządzeniem. Był on stosowany podczas walk w polu, w czym Polacy byli mistrzami; Zamoyski nie przesadzał mówiąc, że król teraz nauczył ich zdobywania twierdz. Wreszcie — miarą dbałości Batorego o żołnierzy było ustanowienie służb medycznych, apteki, a nade wszystko szpitali dla weteranów: w Warszawie i dla Kozaków w Trechtymirowie koło Kijowa. W Warszawie mieścił się on przy ulicy Długiej, za Jana III Sobieskiego obrócono gmach w arsenał.

Ponoć pewnego dnia rozżalony na króla banita Samuel Zborowski miał podejść do „Węgrzyna" z uszczypliwymi słowami:

„Alium hic sordet, serenissime."

„Ego oleo milites, tu quo meretrices" — odparł król.[31] Wolał „cuchnąć czosnkiem, a nie łajdąkiem". Nie wiemy przy tym, czy Stefan Batory znał własności lecznicze czosnku, czy też jedząc go wzorował się na twardych legionistach rzymskich, dla których bób, czosnek, oliwa i wino były głównymi składnikami pożywienia. W każdym razie anegdota ta dobrze oddaje szorstkość wojowniczego króla ożenioną z dużą bystrością umysłu.

II. POJECHAĆ DO RYGI

Król Zygmunt August wcielając Inflanty do Polski aktem inkorporacji z 1561 roku nie miał zbyt dużo czasu na „urządzenie" tej prowincji, zgodnie z interesem państwa, administracji i krainy. Pozo-

stawił tę schedę swemu następcy. Teraz posunięcia Batorego wobec Inflant miały się stać swoistym testem, jak król zamierza uwzględnić interes Korony, Litwy, całej Rzeczypospolitej i Węgrów z jego otoczenia, czy poddaje się wpływom coraz silniejszej kontrreformacji? Czy jego wymuszona wszak i wyrozumowana tolerancja nie wygasła, czy nadal docenia ideał wolności religijnych w wielonarodowościowej Rzeczypospolitej?

Jak wiemy, Inflanty były niemal nie związane z Rzecząpospolitą Polską: przeważała tam szlachecka i mieszczańska ludność niemiecka wyznania augsburskiego, zazdrośnie strzegąca swych przywilejów, samorządów, odrębności, żądająca wyłączności w obsadzie tamecznych urzędów. Na wsiach tkwił chłop łotewski i estoński, potwornie uciskani — i system kasztelanii, ustanowiony przez następcę Kettlera na urzędzie gubernatora, Jana Chodkiewicza, nie stał się zaczynem rozwoju administracji państwowej. Nie szło tu bynajmniej o całkowite podporządkowanie i ujednolicenie Inflant w ramach jakiegoś wzorca w Rzeczypospolitej, gdyż taki właściwie nie istniał: podówczas były to rzeczy nie do pomyślenia, odrębności bardzo szanowano, wiara w zbawczą jedność, paradygmat totalitarny — to już późniejsze wynalazki. Czy Batory byłby im przeciwny — to już inna kwestia. Polakom chodziło o połączenie administracyjne Inflant z Rzecząpospolitą, urzędy i dobra; Litwie o rzeczywistą władzę nad krainą, Kościołowi — o odbudowę katolickich pozycji. Nie brakowało pomysłów — Zamoyskiego — by po wojnie Inflanty poniosły większe ciężary niż inne prowincje. Idea okazała się nierealna, gdyż podboje i okupacja moskiewska wyniszczyły straszliwie tę nie najwdzięczniejszą, często ociekającą deszczem krainę i zupełnie zagmatwała stosunki własności dóbr ziemskich. „Haec facies Troiae cum capta esset, erat!" — pisał przerażony widokiem spustoszonej i wyludnionej Liwonii znawca nacji niemieckiej, przewidziany przez króla na biskupa wendeńskiego, Jan Dymitr Solikowski.[1] Po rządach moskiewskich pozostały ruiny kościołów i ponoć jedna dziesiąta ludności miejskiej, przetrzebionej straszliwie na mocy ukazów carskich. Sygnalizacja powyższych problemów powinna nam uświadomić, pomiędzy jaką

polityczną i religijną Scyllę i Charybdę dostał się król Stefan, sunąc z Wilna do Inflant.

Nacisk Kościoła, który przeszedł do kontrreformacyjnej ofensywy, rósł, a wyrazem tego była działalność Possevina i nowego nuncjusza Alberta Bolognettiego. Gdy rozwiały się nadzieje papiestwa na pozyskanie dla idei unii Szwecji, a szczególnie Moskwy, która „tak haniebnie zawiodłszy oczekiwanie Stolicy Apostolskiej",[2] Kościół tym mocniej oddziaływał na króla polskiego, by rekatolicyzował Inflanty. Nie był to najgorszy adres. Wprawdzie Batory doceniał konieczność tolerancji ze względu na spokój w państwie, „bo aczkolwiek rad by to widział JKMość i uprzejmie życzył, żeby wszyscy ludzie w państwach JKMości jednej a starożytnej byli wiary, jednako Pana Boga chwalili, ale iż z tych nieszczęsnych czasów te casum [przypadki] Pan Bóg jako na państwa inne, tak i na to królestwo dopuścić raczył, że ludzie w wierze rozróżnieni są, już to konfederacjami jest opatrzono i obwarowano, aby to rozterków żadnych i rozrywania nie czyniło i żeby z tej miary concordia politica [zgoda społeczna] nie targały się" — oto nieco skomplikowana w słowach wykładnia batoriańskiej polityki religijnej w państwie.[3] Racje przy tym dość często w aktach królewskich powtarzane.

Ale tam, gdzie to było możliwe, król, narażając interes kraju, w którym panował, tworzył przyczółki dla Kościoła katolickiego. Niewątpliwie było to związane z coraz wyraźniejszym i silniejszym łączeniem się planów Batorego z zamiarami i wizjami walczącego Kościoła, który użyczyć miał Stefanowi I swego autorytetu i, może przede wszystkim, pieniędzy. Nie tylko to jednak ważyło na sympatiach króla. Popierał on katolicyzm z przekonaniem i podziwem dla potęgi i zwartości Kościoła: z natury autokrata, w Towarzystwie Jezusowym, jego hierarchii, oddaniu idei i posłuszeństwie jezuitów widział wzór do naśladowania. Nie bez powodu powiedział otwarcie: „Si rex non essem, Jesuita essem."[4] Jeśli nie zostałby królem, byłby jezuitą. Oto natura Stefana Batorego — choć w sutannie, lecz wojować. Dla forytowania katolicyzmu na zajętych lub odbitych terytoriach zawsze znajdował racjonalną wymówkę. „Wszak mi z mej własnej skóry wolno sobie but i co chcę postanowić i uczynić; dostałem

tego mieczem, czemu mi takich rozporządzeń czynić nie wolno?" — grzmiał do prawosławnej szlachty protestującej przeciw założeniu w Połocku kolegium jezuickiego na uposażeniu cerkiewnym.[5] W dwa lata później nakaże „otdat połockim jezuitom wo władanije triech sieł, prinadlieżaszczich tamosznym Woskriesienskomu i Spaskomu prawosławnym monastyriam"[6] — w sumie 72 wsie i folwarki po obu stronach Dźwiny, posiadłości sześciu monasterów, miały służyć szerzeniu jezuickich racji. Przy tym swarów między katolickim władcą a jego innowierczymi urzędnikami, magnatami litewskimi, było sporo, gdy król hojną ręką przywracał Kościołowi stan posiadania lub nadawał nowe dobra. Kanclerz Wołłowicz w wielkim gniewie podarł królewski akt przekazania jezuitom cerkwi połockiej; cóż z tego, skoro na rozkaz Batorego musiał go przepisać i zapieczętować? Groźba złożenia z urzędu, użyta przez króla kilkakrotnie, działała niezawodnie. Przy tym Batory, wzorem Grzegorza XIII, czuł się z pewnością w jakiejś mierze królem misyjnym. W liście do pierwszego „szermierza kontrreformacji" Piotra Skargi pisał, by nie zazdrościć Portugalczykom i Hiszpanom „obcych w Azji i Ameryce światów, aby je do Boga nawracać, są tu w pobliżu i Indie, i Japony w narodzie ruskim, połockim".[7] Określenie to było powieleniem poglądów Skargi, którym jezuita dawał wyraz już w 1573 roku wobec przełożonych zakonu.

Na „iure gladii", prawo miecza, będzie się król powoływać często właśnie przy regulowaniu stosunków w Inflantach, co jest nie tylko przyczynkiem do zrozumienia psychiki Batorego, ale jego otoczenia, żołnierzy, szlachty, senatorów, którzy doszli do tej krainy z wysiłkiem ocierającym się o granice wydolności państwa. Niemniej jednak przekonanie, że zdobywca ma prawo zaprowadzać swoje porządki wbrew woli ludności — smutny pogląd pokutujący dotąd w wielu umysłach ludzi czynu — nie mogło wydać innych owoców nad skażone.

Gdzieś w końcu lutego 1582 roku ruszył król z Wilna do Rygi przez Rzeszę, gdzie odwiedził dwór imć Skleńskiego, Giedroycie biskupa żmudzkiego, Jekimoże księdza Jemlańskiego. Otaczał go liczny dwór o znamiennym składzie: obok Zamoyskiego czuwali przy

królu dwaj biskupi, wileński Jerzy Radziwiłł i żmudzki Melchior Giedroyć, Possevino, Skarga i kaznodzieja królewski Marcin Laterna. Kilku senatorów protestanckich na czele z hetmanem polnym litewskim Krzysztofem Radziwiłłem nie równoważyło przewagi wojujących katolików, no i oczywiście sympatii króla. Aby jednak nie być posądzonym o stronniczość, Batory zażądał od senatorów opinii na piśmie „względem urządzenia" Inflant.

Dziewiątego marca na granicy swych posiadłości koło Bauschenburga przywitał króla książę kurlandzki Gotthard Kettler. Batory mając księcia u boku, wjechał 12 marca z wielką pompą do Rygi, witany owacyjnie przez patrycjat, który oddał mu klucze do miasta i kubek, a w nim tysiąc czerwonych złotych. Ryga sprawiła dobre wrażenie nawet na Ridolfinie przywykłym do wspaniałych włoskich grodów. „Bardzo piękne to miasto; mieszkańcy jego ludzie porządni i zamożni, ale sami luteranie" — wzdychał inżynier.[8] Gorące uczucia patrycjatu brały się i tym razem oczywiście ze strachu, choć dobrze opłacili się Zamoyskiemu. Oto po śmierci arcybiskupa Wilhelma luterańskie miasto przywłaszczyło sobie pałac biskupi, kościół katedralny i inne świątynie, w tym pod wezwaniem Świętego Jakuba i Świętej Marii Magdaleny, oddając je i dochody wyznaniu augsburskiemu. Toteż jednym z pierwszych kroków króla było ostre wyganienie poczynań magistratu. Początkowo Batory, grożąc ryżanom „gorzkim odpokutowaniem", zażądał przywrócenia dawnej katedry arcybiskupa Wilhelma katolicyzmowi. Ale zorientowawszy się w nastrojach, ponoć skutkiem opinii księdza Piotra Skargi odstąpił od tego żądania. Udał się do kościoła Świętego Jakuba, gdzie po odśpiewaniu *Te Deum laudamus* oddał świątynię jezuitom. Zwiedził też kościół Świętej Marii Magdaleny i przyległy doń klasztor benedyktynek erygowany przez biskupa Meinharda w 1185 roku. Zachował się opis tej ciekawej wizyty:

„Wszedłszy król do kościoła powitany został od Anny Noetken, ksieni, która więcej niż sto lat miała, wziąwszy prawą rękę królewską ścisnęła i ze łzami radości widzenia tego monarchy przemówiła i w końcu swej mowy poleciła łasce Króla JMci zgromadzenie. Towarzyszki jej były: Anna Topel, sto trzydzieści, a Otylia [Kieyzerling] sto lat mające. Król, poruszony widokiem tych szanownych staruszek, łaskę im swoją, pomoc i obronę chętnie obiecał; obróciwszy się do przytomnych, rzekł:

— W życiu przyjemniejszego widoku nie miałem." [9]

Dla króla mógł to być rzeczywiście najprzyjemniejszy widok, gdyż wiekowe zakonnice były bodaj ostatnimi przedstawicielami katolicyzmu w Rydze. Być może, iż Batory wypowiedział te słowa w zupełnie innym momencie: kiedy ksieni okazywała mu skarby klasztorne. W każdym razie i ten kościół oddał jezuitom, którzy pod nadzorem Solikowskiego z wprawą zabrali się do nawracania, organizując między innymi msze w języku łotewskim u Świętego Jakuba.

Batory nie miał ponoć złudzeń co do szybkich postępów katolicyzmu: wybuchnął „wielkim śmiechem", gdy stropieni ryżanie skarżyli się, że jezuici „uwiodą lud (...) na papieską wiarę.

— Bardzo tego pragnę — oświadczył król — lecz jezuici nie są ani tak liczni, ani też nie tak prędko jeszcze stanie ich kollegium. Za szczęśliwych jednak możecie uważać i siebie, i dzieci wasze, jeśli kollegium jezuickie stanie." [10] Na razie na utrzymanie dwóch świątyń katolickich miało odtąd łożyć całe miasto.

Akt ten, jak i przyrzeczenie Batorego utworzenia w Rydze i Dorpacie kolegium jezuickiego oznaczały restytucję katolicyzmu i wywołały zgodne protesty rady miejskiej i oburzenie pospólstwa. Ale król ani myślał ustępować powołując się na ius gladii: przecież i tak wykazał dobrą wolę nie odbierając wyznaniu reformowanemu dawnej katedry i pałacu arcybiskupa. Na osłodę pozwolił też ryżanom na utrzymanie wału, który dość niedwuznacznie usypali oni naprzeciw zamku, gdzie stacjonowała załoga królewska. Do 2 maja, spędzając tu uroczyście święta Wielkiej Nocy, Batory usilnie pracował nad „urządzeniem Inflant" i wprowadzaniem dawnej wiary. Już w czasie drogi pisał do biskupa Kromera z prośbą o przysłanie księży znających niemiecki. Tym samym przyczynił się do przetłumaczenia przez jednego ze sprowadzonych zakonników, Quadrantyna, po raz pierwszy katechizmu na język łotewski.

Bez wątpienia wojny Batorego i jego sukcesy wpłynęły pobudzająco na twórczość kronikarzy tej prowincji i pewne ożywienie kul-

turalne. W 1578 roku Baltazar Rüssow, mieszczanin z Rewla, wydaje dzieło *Chronica der Provintz Lyffland*, wielokrotnie, aż do naszych czasów, wznawiane. Po nim idzie duża grupa historiografów piszących po niemiecku. Dopiero w XVIII wieku wydane zostaje dzieło duchownego Polaka Dionizego Fabriciusa pod tytułem *Livoniae historiae*, czytane dość powszechnie w Rzeszy Niemieckiej i utrwalające obraz wojennego, sławnego króla, poddanego jednak wpływom jezuitów.[11]

Tymczasem polityka Batorego w Inflantach nie zadowalała do końca ani papiestwa, ani tym bardziej protestantów. Ci pierwsi sądzili, że zmiany są zbyt powolne, o małym zasięgu; drudzy w szczepieniu katolicyzmu widzieli, skądinąd słusznie, zamach na wyłączność wyznania augsburskiego w Inflantach, do przestrzegania czego zobowiązał się uroczyście Zygmunt August. Król Stefan łamiąc te postanowienia czynił rzecz dość niefortunną: jego propapieskie kroki w Rydze wybrzmiały grubym echem w reformowanym szerokim korytarzu Europy, zyskując mu potężną niechęć protestantów.

Obok przywiązania do prawa i wyznania szło tu o sprawy bynajmniej nie transcendentne, lecz najzupełniej ziemskie: augsburczycy nie bez podstaw obawiali się po prostu o swoje dobra, które mógł przejąć katolicyzm. Rzeczywiście: donacje szły nie dla tamtejszej szlachty, lecz dla tych, którzy o Inflanty walczyli — Polaków i Litwinów. I mimo że król na mocy tak zwanych konstytucji liwońskich w końcu roku 1582, nie patrząc na sejm, zdoła „urządzić" Inflanty dzieląc je na trzy prowincje (wendeńską, dorpacką, parnawską) i podnosząc obronność krainy, to jad niechęci do katolickiego władcy i jego rozporządzeń już niedługo zatruje ulice. Kiedy Batory nakaże, z polecenia papieża Grzegorza XIII, wprowadzić również w Inflantach nowy kalendarz likwidujący rozbieżność między rokiem słonecznym a kalendarzowym, w Rydze i Parnawie rozleje się powódź buntu, która zatopi propapieską politykę króla. Choć powstania te dwór z Batorym wolał interpretować jako sprzeciw plebsu wobec... rady miejskiej, to de facto był to wyraz nienawiści do katolicyzmu, polonizacji i zarządzeń oznaczających utratę dniówek roboczych wynikłych z reformy kalendarza. Jezuitów ze Świętego Jakuba i z miasta wypędzono, kilka osób zabito, a plebs porwał się na Blokhaus panujący nad Rygą i nawet na zamek, gdzie stali żołnierze królewscy. Do tragedii nie doszło, a Batory, będący u szczytu potęgi, na szczęście nie jął się drastycznych środków. Obszedł się z miastem nad wyraz łagodnie: agitatorów skazano na banicję.

Jednak, wzorem książąt protestanckich, ryżanie długo nie będą godzić się na przyśpieszenie życia w roku 1582 o jedenaście dni (po 4 października miał nastąpić 15) i w ten sposób aprobować decyzji papieża, tutaj akurat zgodnej z osiągnięciami naukowymi astronomii. Dodajmy, że podobny kłopot miał król z prawosławnymi Rusinami w Rzeczypospolitej. Zachował jednak umiar. „Ludie greckogo zakonu do tojei naprawy kalendaria nowogo bez prizwolenija starszowo patrijarcha swojego, k gwałtom, primuszany byt' nie majut" — dekretował król.[12] Sprawy tej nie zdąży Batory uregulować; zostawi ją swemu następcy.

„Litwa i słówkiem nam tu nie podziękowała za nasze trudy, niezadowoleni są, ale nie uciekać było od Pskowa, a dotrwać do końca, chcą, aby zarówno mieli z nami, więc nie wiem, jak padnie" — zastanawiał się ksiądz Piotrowski w Rydze suponując rozdział urzędów w Inflantach przez króla.[13] To był też dla Batorego twardy orzech, ale król zgryzł go szybko i zdecydowanie, jak zwykł postępować. W głównych zamkach Liwonii osadził rotmistrzów z Korony; tylko dwóch Litwinów dostąpiło zaszczytu bycia inflanckimi komendantami. Wbrew widocznym obawom Batory tym razem dyplomatycznie zapomniał o Węgrach; również później starostwa inflanckie będzie obsadzać szlachtą koronną, rzadziej litewską, a najrzadziej — rdzenną, inflancką. Był to wyraz uznania króla dla Korony, która pod Psków wystawiła najwięcej żołnierza, walczyła z największą wytrwałością i pod komendą niespożytego, choć chorowitego wielkiego koroniarza. Wieści, że Zamoyski ma dostać kolejne stanowisko, namiestnika generalnego (gubernatora) Inflant i naczelnego dowódcy wojsk w tej prowincji, nie dziwiły zbytnio, ale mocno poruszały ambitnych Litwinów.

Dzięki wiadomościom o tej decyzji personalnej Batorego znikać zaczęła fama psująca wiele złej krwi w Rzeczypospolitej: że król

po to sprowadził pod Psków bratanka, by Baltazar został księciem inflanckim. Patrzano też pilnie na drugiego Batorego, Andrzeja, który na razie uczył się w kolegium jezuickim w Pułtusku. Stryj przecierał mu drogę wysoko — do kardynalskiej czapki, może nawet myślał o koronie? Wybór króla był zresztą najlepszy z najgorszych: „Baltazar nie bardzo polityk [okrzesany], ów zaś co w Pułtusku più galante" — ocenił ich Piotrowski.[14]

Ale Zamoyski wymówił się od inflanckiej mitry czy gubernatorstwa zasłaniając się zdrowiem, rzeczywiście mocno nadszarpniętym pod Pskowem. Notabene tłumaczenie to tak mu się spodoba, że w identyczny sposób będzie wymawiał swego krewniaka Stanisława Żółkiewskiego, w dwadzieścia lat później przed politycznym utonięciem w tej deszczowej krainie. Ambicje bowiem Zamoyskiego z pewnością nie kończyły się na Liwonii. Król rozumiał to bardzo dobrze i chciał urząd powierzyć wielce zasłużonemu w zawarciu pokoju zapolskiemu wojewodzie bracławskiemu Januszowi Zbaraskiemu. To również kresowy koroniarz: król był stały w swoich ocenach wkładu pracy wojennej i dyplomatycznej w zwycięstwo. Zbaraski też jednak nie chciał tej godności; wkrótce zresztą musiał jechać do Moskwy pieczętować układ w Jamie Zapolskim, co okazać się miało pracą niemal tak trudną jak piętnaście sesji w Kiwerowej Horce. Szło tu o wymianę jeńców, których Polacy mieli znacznie więcej: za bojarów król chciał Zawołocze i Newel. „Gubernatorem Liwonii", jak nazwano namiestnika króla, nieoczekiwanie został mianowany biskup wileński, niebawem, za wstawiennictwem Batorego w Rzymie, kardynał — Jerzy Radziwiłł. Człowiek uczciwy, prawy — lecz niewielkich lotów. Do pomocy religijnej dodano mu Solikowskiego (nie zdążył już objąć tej funkcji, mianowany na arcybiskupa lwowskiego), do wojskowej rotmistrza Stanisława Pękosławskiego i Ernesta Wejhera.

Przebywając w Rydze król zauważył to, co niekorzystnie wyróżniało Inflanty od innych ziem Rzeczypospolitej: nieprawdopodobny wyzysk chłopów przez niemiecką szlachtę. Było to naturalnym przeniesieniem strasznych norm z Rzeszy Niemieckiej, gdzie los włościan był znacznie gorszy niż życie przeciętnego polskiego kmiecia czy zagrodnika. Nawet niemiecki pamiętnikarz, niechętny potężniejącym Polakom, pisał, że inflanccy „junkry a panowie ich jako właściciele owych [chłopów] ciała trzymają je, a dzień w dzień, takoż każdej godziny gnają ich do pracy nie dając odpoczynku, a nuż gdy coś zawinią, to katują je". To dość eufemistyczny opis: nienawiść tamtejszych chłopów łotewskich i estońskich do niemieckiej szlachty, mieszczan czy duchownych była tak wielka, że „nawet gdy umierali, tedy przyjaciele ich do grobu siekierę na Niemce kładli, strawy i trunku po trosze i trochę pieniędzy, a śpiewali z płaczem: Idź, nieboże, z nędze tego świata na lepszy świat, gdzie Niemce tobie panować nie będą, ale ty im panować będziesz." [15]

Batory usiłował ukrócić tę potworną tyranię właścicieli ziemskich nad chłopami, ogłaszając „jako Jego Królewska Mość ma litość nad nimi". Nie wiemy, czy był to tylko akt łaski miłosiernego króla, czy może wynik politycznego myślenia: czyżby szło o zahamowanie przewagi żywiołu niemieckiego? Wtedy zdarzyła się rzecz wielce charakterystyczna, acz zrozumiała: przed obliczem Batorego padli na kolana przedstawiciele inflanckich włościan z gorącym błaganiem, by było „jak dawniej". Jakiekolwiek zapowiedzi poprawy losu czy reform kojarzyły się Łotyszom czy Estończykom ze zmianą na gorsze. Los chłopa łotewskiego i estońskiego pod niemieckim panowaniem pozostał nie do pozazdroszczenia wpływając jednak, jak się wydaje, na budowę zrębów tamtejszej dobrej gospodarki.

W Rydze pojawił się również książę Magnus, prosząc króla o zatwierdzenie zgody na posiadanie zajętych przez niego zamków inflanckich. W zamian obiecywał hołd wierności. Nie przyjęto go dobrze, w czym moralność Polaków miała wielki udział: „grzech i sromota, że się w królewskim domu urodził. Aż nam by nieprawie bezpieczna takiego przysięzcę krzywego chować u siebie, który nam już raz i moskiewskiemu wiarę złamał" — skrzywił się sekretarz królewski.[16] Nic dziwnego, że król odparł krótko Magnusowi, że takie sprawy zwykł rozstrzygać sejm.

Być może widoczne rozdrażnienie księdza piszącego tak ostro, acz szczerze o Magnusie brało się również ze sporu Batorego ze szwedzkim Janem III. Tuż po zawarciu rozejmu z Moskwą Jan Zamoyski

usiłował skłonić wodza szwedzkiego Pontusa de la Gardie do ustąpienia z tej części Inflant, którą potem zwano Estonią, przypominając mu, że nie znana nam umowa między królami zobowiązywała Szwecję do marszu w zupełnie innym kierunku — na Finlandię. Pontus całkiem przytomnie tłumaczył się, że owszem, chciał iść na Finów, ale uniemożliwiły mu to błota i wody przegradzające drogi do tego kraju tysiąca jezior. Tłumaczenie nie trafiało jakoś do przekonania kanclerzowi: on i Batory również mieli na swej drodze błota i wody, a mimo to nie rezygnowali z wypełnienia umowy. Oczywiście Pontus argumentacji wolał nie pojąć i Narwy ani myślał się zrzekać, dowodząc, że tego, co przy pomocy boskiej zostało zdobyte krwią żołnierza szwedzkiego, nie godzi się oddawać. Chyba że sam król szwedzki zezwoli...

Słał więc Batory do Sztokholmu posła Dominika Allemaniego, a za nim zasłużonego w pertraktacjach zapolskich i wygłaszaniu panegiryków Krzysztofa Warszewickiego, który, zdaje się, wreszcie zrezygnował z pensji cesarskiej i zdał się na królewską. Batory żądał od Jana III zwrotu całej Estonii. Król szwedzki, nie dość że nieustępliwy gwałtownik, to miał w swym ręku kilka kart przetargowych. Między innymi sprawę sum należnych jego żonie Katarzynie Jagiellonce ze skarbu polskiego. Ani myślał ustępować, choć właściwie Narwę, Biały Kamień — twierdze, które otwierały drogę do Estonii — Batory mógł po zdjęciu oblężenia Pskowa łatwo zdobyć. Rozwiązanie to podpowiadał królowi polskiemu Zamoyski — ale wkrótce obaj mężowie stanu doszli do wniosku, że nie należy przecinać delikatnej przecież nici układów z obydwoma sąsiadami. Wojna ze Szwecją nie była wpisana w plan królewski, wręcz przeciwnie, Batory chciał mieć spokój od tej strony. W końcu zadecydowano, że w kwestiach walki bądź pokoju ze Szwecją (należy też pamiętać o roszczeniach króla Danii), jak i o wielu innych sprawach zadecyduje sejm. W instrukcji królewskiej na sejmiki opisywano więc „praktyki" króla szwedzkiego, który „na polski naród targał się słowy dotkliwymi, lekce go kładąc i nie wiedzieć czego tyle mu przypisując".[17] Odwoływanie się przez dwór do uczuć obrażonej godności narodowej nie było chwytem propagandowym: ksiądz Piotrowski

słuchając relacji batoriańskich posłów miał podobne wrażenie. „Niesmaczna wszystkim była tego [Jana III] szwedcza nieludzkość i ta pogarda narodu naszego, a zwłaszcza godności senatorskiej." [18] „Nie dbam nic, mów, co chcesz" — miał odpowiedzieć Jan III posłowi Batorego, gdy ten prosił, by go choć cierpliwie wysłuchał. Król jednak był bardzo wyrozumiały, przyczyny znamy.

W maju Batory wrócił do Wilna. Pobyt tutaj urozmaicało mu nie tylko poselstwo tatarskie przysłane przez chana Mehmed Gireja, żądające tradycyjnych upominków w zamian za powstrzymywanie się od grabieży ziem ukrainnych. Król obejrzał również dialog alegoryczny wystawiony w katedrze przez uczniów Akademii Wileńskiej. Podczas spektaklu, gdy Wiktoria chyliła przed Batorym sztandar, „król wtedy rzucił się nagle na kolana i rzewnie zapłakał".[19] Ponoć to wówczas, zwiedzając uczelnię wileńską, w profetycznym uniesieniu przepowiedział wygłaszającemu mowę starościcowi żmudzkiemu Janowi Karolowi Chodkiewiczowi karierę wielkiego wodza. Proroctwo króla, jeśli zdarzyło się, miało bardzo racjonalne uzasadnienie: Chodkiewicze byli na Litwie drudzy po Radziwiłłach, a często im się zdawało, że pierwsi, z czego wynikały rozliczne kłopoty, a nawet zapowiedź waśni domowej. A Chodkiewicz rzeczywiście stanie się jednym z najwybitniejszych wodzów epoki.

Z Wilna Batory zjechał do Grodna. Wieści, które biegły z różnych stron Rzeczypospolitej, wydawały się pomyślne dla zamiarów króla: szlachta ruska, małopolska, a po niej wielkopolska, mazowiecka, podlaska uwiadamiały, że ich sejmiki zgodziły się na nowy podatek. Dochodziły jednak i do uszu królewskich niedobre wieści o fali niechęci i nieufności wobec niego wzniecanej przez niektórych magnatów, fali rozszerzającej się na znaczną część społeczeństwa szlacheckiego.

Wjazd do Warszawy 8 sierpnia 1582 roku uzmysłowił królowi, że on, zwycięzca, jest niepopularny: o „przyzwoitą asystencję" musiał się starać sam kanclerz, choć przecież to nie należało do jego obowiązków ani przyjemności. Króla witał więc ochmistrz królowej, kasztelan łęczycki Paweł Szczawiński i nowy legat papieski; brakowało wielu pierwszych senatorów i szlachty nie biorącej udziału

w wyprawie pskowskiej. Batory nadal zadziwiał bezpośredniością: przy powitaniu zsiadł z kotczego (rodzaj powozu) i sam odpowiedział Bolognettiemu na pozdrowienia przekazywane mu „nomine Pontificis [w imieniu papieża] (...) Potem szedł do królowej, która chorowała, na łożu ją witał, kąsek przesiedziawszy, odszedł."[20]

Życzliwość Batorego dla nuncjusza papieskiego miała swoją cenę, a królewscy małżonkowie niewiele już mieli sobie do powiedzenia. Pogłoski o rozwodzie z inicjatywy Zamoyskiego i za aprobatą biskupów Karnkowskiego i Myszkowskiego coraz obiegały komnaty dworu. Bolognetti był zdecydowanie przeciwny, ale nie jego zdanie było tu najważniejsze. Oto sam król był przeciwny rozpadowi małżeństwa, któremu zawdzięczał koronę. Chociaż to piękne i uczciwe z punktu widzenia moralności, to od strony polskiej racji stanu, której dynastia była jednym z najistotniejszych składników — szkoda. Królowa Anna przestała już odgrywać rolę kobiety z pretensjami i prowadzić cichą walkę z królem, a raczej z nienawistnym jej bliskim otoczeniem Batorego. Przywdziała stosowny strój rozsądnej matrony — i przeobrażenie to również mogło wpłynąć na decyzje króla o niezrywaniu więzów małżeńskich z Jagiellonką. Były przecież inne drogi regulacji spraw dynastycznych.

Podczas nieobecności Batorego nagromadziło się w Polsce i na jego dworze, w bezpośrednim otoczeniu, sporo spraw i zaniedbań. Współcześni dostrzegali elementy rozprzężenia, coraz silniejszą opozycję, bierność urzędników. Król zauważył to i przemyślał dobrze, gdyż w jego poczynaniach widać zarysy planowego działania. Aby pozyskać do niego arcybiskupa, pchnął do miasta polskich prymasów gońca z wieścią, iż „Króla JMci do Łowicza mam przyprowadzić".[21] Następnie Batory wezwał do siebie marszałka wielkiego koronnego Andrzeja Opalińskiego, który z Wielkopolski spokojnie i bezpiecznie obserwował pskowskie wysiłki króla i kanclerza, informowany o wszystkim przez sekretarza królewskiego, znanego nam dobrze księdza Piotrowskiego. Wojna na wschodzie była Wielkopolsce na ogół najzupełniej obojętna. Sądzono więc, że Batory jest obrażony na Opalińskiego za jego wyrachowaną niechęć Wielkopolanina do wojny z Moskwą; monarcha nie mógł jednak pozwolić sobie na

uczucia, które u dobrego polityka są na ogół funkcją interesu. Chodziło o wciągnięcie Opalińskiego do politycznej gry: jakoż w bezpośredniej rozmowie z udziałem kanclerza Zamoyskiego król „ukazywał mu nierząd, jaki jest około jego dworu, że i dworzan mało ma, i młodzi, u których porządek zły, pilności nie ma; toż w harcerzach, około pacholąt swawola, nierząd wielki. Nuż rozchód niezmierny taki, że każdy tydzień na rozchód stołowy, stajenny, obroczny na 1000 złotych wychodzi"[22] — oburzał się oszczędny król, zapewne z inspiracji Zamoyskiego, który miast marszałka musiał Batoremu przed wjazdem do Warszawy organizować ową „przyzwoitą asystencję", a odpowiednik daru ryżan wydać na dwór w ciągu tygodnia. Nie ma się tu zresztą czemu dziwić; raczej przerażenie w nas muszą wzbudzać ilości jadła pochłanianego przez dworskich i wojskowych żarłoków. Niejaki Happel odnotował, że we wrześniu 1576 roku, gdy król zatrzymał się w pruskiej mieścinie Marienwerther, podczas kolacji zginęło w przepastnych żołądkach i brzuchach 28 wołów, 92 barany, 5 kop kur, 3 kopy gęsi, 8 beczek wina węgierskiego i 10 beczek wina pośledniejszego. Oczywiście to przesadzona bardzo anegdota — ale ilustrująca możliwości dietetyczne dworu i wojska.

Sprawy porządku na dworze nie były jednak najważniejsze dla króla i Zamoyskiego: stanowiły one preludium, które miało uzmysłowić Opalińskiemu, iż jest wysokim urzędnikiem państwowym, który winien dbać o realizację polityki władz. Oto w Wielkopolsce nie działo się najlepiej; przeciw królowi stawał były referendarz koronny Stanisław Czarnkowski, wyrokiem sejmowym 1576 roku pozbawiony wszystkich urzędów. Ani myślał się ich zrzec, jeździł nawet do Małopolski buntować przeciw Batoremu szlachtę; król zatem Opalińskiemu „przypomniał i to, że się silne łotrostwa w Polsce znajdują, a karania żadnego nie ma". Monarcha „używał przeto pana marszałka, żeby na sejmiku [wielkopolskim] był z odpowiednią godnością, jeśliby kto o nim chciał przeciwne powieści siać, a iżby się starał, jakoby w największej liczbie posłowie posłani byli na sejm". Wiemy o tym z anonimowej relacji.

Ale Opaliński zazdrościł powodzenia Zamoyskiemu. Zapewne też nie widział swego interesu w popieraniu dworu, gdyż dobrze znał

świeże nastroje szlachty, które zrodziły się pod nieobecność króla w Polsce. Usiłował wymówić się od uczestnictwa w gorącym sejmiku generalnym i obrony monarchy przed pomówieniami. Król zmuszony był stosować „rozmaite perswazje" i dopiero wtedy dumny magnat uległ. Scena ta jest tu przywołana, aby uzmysłowić, jak podczas wojen moskiewskich w kraju nieoczekiwanie narosły nowe problemy wewnętrzne i wzmogła się zadziwiająca niechęć herbowych do zbyt potężnego, niezależnego w swych decyzjach, nie oglądającego się zanadto na prawo, forytującego Zamoyskiego i Węgrów króla: anse skrzętnie podsycane przez zawiedzionych. Aby odbudować silne stronnictwo dworskie, król i kanclerz musieli zdwoić wysiłki w kaptowaniu senatorów, prosząc ich o pisemne opinie i konsultacje, stwarzając wrażenie pełnej demokracji, ograniczonej wszakże do wielmożów świeckich i duchownych.

Gloria zwycięzcy wcale przy tym nie pomagała Batoremu w pozyskaniu życzliwości i serc masy szlacheckiej, wystraszonej potęgą króla. Zapowiadał się ciężki sejm.

Czas oczekiwania na rozpoczęcie obrad parlamentu wypełniały królowi nie tylko łowy koło miasta prymasa, Łowicza. Uwagę przyciągały też niepokojące sprawy dziejące się na południu kraju. Turcja była skłonna utrzymać dobre stosunki z Batorym, ale nie unikała okazji, by dokuczyć polskiemu władcy. Terenem, gdzie najsilniej ścierały się interesy polskie i tureckie, była Mołdawia; tutejszy hospodar Janku Sas, zwany w Polsce Jankułą, Sas siedmiogrodzki wyniesiony na tron książęcy bułatem Ahmeta paszy i za przyzwoleniem sułtana, robił wiele, by sprowokować Batorego do wysłania nań chorągwi. Przejmował listy królewskie słane do sułtana, czytał je i odsyłał porwane królowi, ogniem i mieczem „gospodarzył" w pogranicznych ziemiach polskich, a opierających się rabunkom szlachciców wtrącał do więzienia. Na dodatek był hospodar zaprzyjaźniony ze znajomym Batorego z trudniejszych dlań czasów, namiestnikiem cesarskim, Janem Rueberem. Groźba króla użycia siły, niezbyt wówczas realna, wysłanie poselstwa do Stambułu z darami i doniesieniem o konszachtach Jankuły z Rueberem poskutkowały na tyle, że hospodar stracił poparcie sułtana. Wezwany do Stambułu, świadomy, co to oznacza, usiłował uciec z zagrabionym skarbem przez polskie górzyste Pokucie; tam w wąwozach został doścignięty przez starostę śniatyńskiego Mikołaja Jazłowieckiego i na rozkaz królewski odstawiony do stolicy ziemi czerwonej. Lwów przed ratuszem znów oglądał toczącą się po szafocie głowę jednego z tych, którzy chcieli władzy nad gorącymi mołdawskimi górami i równinami: z rozkazu króla, wysłanego na ręce hetmana polnego Mikołaja Sieniawskiego i starosty lwowskiego Mikołaja Herburta, na mocy, jak to określił Batory, prawa narodów, Jankuła został ścięty, a skarby odesłano do Warszawy. Król śpieszył się z wydaniem i wykonaniem wyroku, gdyż spodziewał się, że Turcy zażądają oddania Janku Sasa. Tak zresztą się stanie. Jednocześnie, by jego intencje karania winnych łamania praw, a nie z zemsty czy w imię prestiżu, były zrozumiałe i czyste, wyznaczył król rodzinie nieszczęsnego hospodara roczne pensje.

A jednak postępowanie Batorego budziło wielki niepokój wśród szlachty. Jest sporo racji w stwierdzeniu, że wskutek wojen król zaniedbał mocno politykę wewnętrzną; teraz na sejmie, który rozpoczął się 2 października 1582 roku, stało się to bardziej wyraźne.

Herbowi zaniepokojeni byli brakiem rozwiązania kilku fundamentalnych spraw w Rzeczypospolitej — i niekoniecznie działo się tak skutkiem agitacji Czarnkowskiego czy Zborowskich — a król z kolei gotów był do nadrobienia zaległości w polityce wewnętrznej po to, by wzmocnić swą władzę. Przede wszystkim sądowniczą, którą Batory w instrukcji przedsejmowej zobowiązywał się „poprawić".

Brzmiało to dwuznacznie i groziło burzą. Szlachta, jak bodaj żadna na świecie wyczulona na sprawy wolności stanowej, doskonale wyczuwała intencje władz. Kiedy czyta się cztery słane gęsto w październiku i listopadzie „postulata i prośby panów posłów ziemskich do króla JMści Pana naszego i do Ichmości Panów Senatorów" [23], uderza niesłychana dbałość, „aby kształt i forma Rzeczypospolitej, jakąśmy wzięli od przodków swoich in eadem libertate [w tejże wolności], w cale zachowana była", a szczególnie aby król nie ważył się łamać prawa pozywając szlachcica przed sejm dworski. Od tego,

wedle litery prawa, jest sąd sejmowy, a król jest obowiązany przestrzegać tradycji i konstytucji.

Mówiąc w przenośni, w słowach tych pobrzmiewało nie tylko echo uderzenia głowy Hrehorego Ościka o szafot. Wiele wskazuje, że już wówczas król i jego najbliżsi zdecydowani byli podjąć jakieś spektakularne działania, a głuche wieści o tym rozniosły się błyskawicznie i szeroko. „Napominamy, aby WMście [senatorowie] w tak gwałtownej potrzebie Rzeczypospolitej Króla JMści Pana naszego upomnieć raczyli, a podług przysiąg swoich statecznie temu zabiegali, jakoby ten proces na wszystką Rzeczypospolitą uczyniony, był zniesion" — domagała się zdecydowanie szlachta.[24] O jaki proces jej chodziło?

A przecież kwestie przestrzegania prawa przez spotężniałego sukcesem króla stanowiły dla herbowych tylko jedną ze spraw podstawowych. Na poprzednim sejmie Izba Poselska ustami Stanisława Przyjemskiego domagała się od Batorego oznaczenia formy elekcji. Król zobowiązał się przedstawić projekt na obecnym sejmie, ale nadal nie był zdecydowany, co czynić w tej materii, gdzie racja stanu Polski przeplatała się z jego pragnieniami. Stał król pomiędzy pomysłem rozwodu a myślami o ustanowieniu dynastii i ułatwieniu elekcji swoim krewnym. Oczywiście miał konkretne pomysły, to się niedługo okaże, ale też wiedział, że ich przedstawienie tym mocniej wzburzyłoby szlachtę. Na to wszystko nakładały się odwieczne kwestie podatków, żołdu, nadań, zawsze wywołujące gromkie głosy w obu izbach parlamentu i nowsze — o jeszcze większym ciężarze gatunkowym. Skwapliwe erygowanie przez króla jezuickich kolegiów, widoczny wzrost wpływów wojującego katolicyzmu u boku Batorego rodziły podejrzenia różnowierczej szlachty, czy energiczny władca nie zacznie ograniczać wolności wyznaniowych. Wreszcie rozdawanie indygenatów polskich i dóbr Węgrom — między innymi dzieci Gabriela Bekiesza otrzymały szlachectwo i Lanckoronę, blisko granicy siedmiogrodzkiej — budziło niesmak i wzmagało odruchy niechęci do Batorego.

Miast pochwał za odzyskanie Inflant, Połocka i zniesienie rosyjskiego parcia na polskie granice leciały ku Batoremu gęste chmury

zarzutów, domysłów, podejrzeń nie biorących się przecież z czystego powietrza. Kanclerz Zamoyski w imieniu króla zmuszony był zatem na sejmie wygłosić znów długą mowę usprawiedliwiającą wręcz poczynania i projekty królewskie. Demokracja domagała się swego podstawowego jadła: wyjaśnień, tłumaczenia, przekonania dla zyskania większości.

Winą za fatalny dla króla stan umysłów w Polsce obarczył kanclerz opozycję — „Petyliuszów" szerzących kłamliwe pomówienia. „Strzeż Boże, żeby się nie pojawiły Katyliny" — wołał Zamoyski, wywołując aluzją wzburzenie senatorów i posłów suponujących, iż to im kanclerz gotów przyklejać ohydne etykietki plotkarzy i zdrajców. Zamoyski jednak im więcej miał urzędów i znaczenia, tym mniej zdawał się pilnować w słowach. Po obrażeniu wielu posłów hetman wielki przystąpił do próby rozwiania przykrych podejrzeń i posądzeń Batorego o przygotowywanie zamachu na wolności szlacheckie. Król „nie myśli bynajmniej stanów zachęcać do zrzeczenia się prawa elekcji i dziedzicznej wolności, tego najdroższego skarbu, jaki im przodkowie po sobie pozostawić mogli, lecz tylko dla obmyślenia sposobu, jakby tę wolność w cale i bez uszczerbku zachować i na wieczne czasy zabezpieczyć".[25] Dlatego należy publicznie rozstrzygnąć kwestie związane z elekcją; co do sądów, to rzeczywiście, król ze względu na szerzące się pieniactwo, naruszanie prawa i nieporządek zamierzał je w porozumieniu ze stanami zreformować. Nie uczyni tego jednak bez zgody parlamentu, stwierdził kanclerz.

Dużą część wotum od tronu poświęcił Zamoyski polityce zagranicznej. Szło o Inflanty — między innymi o usunięcie z nich Szwedów — powstrzymywanie czambułów tatarskich, rozprawienie się z „łotrostwem kozackim". Choć były to kwestie gorące, to jednak okazało się, że tymczasem mają znaczenie drugorzędne. Na ostatku kanclerz podniósł sprawę wypłaty zaległego żołdu, na który nie starczyło podatków, mimo uchwały poprzedniego sejmu. Biadał, i słusznie, nad niedolą żołnierza, jednocześnie podnosząc jego waleczność i niespotykaną wytrwałość w walce z dzielnymi Rosjanami i mrozem.

Być może z dystansu wieków wielu przeciera oczy ze zdumienia

patrząc na tę scenę: oto zwycięski król musiał znów tłumaczyć się ze swych zamiarów przed posłami, a miast wzniosłego laudamus zdawało się z wielu ust padać gorzkie requiem. Zauważali to współcześni. Heidenstein przytacza słowa kanclerza: „Ktokolwiek bowiem w przyszłości będzie czytał dzieje tego panowania, dziwić się będzie nie tyle temu, że król pośród tylu stawianych mu przeszkód mógł dokonać tak świetnych czynów, ile raczej, że w ogóle coś zrobił. Ma to do siebie wielka dusza królewska, że jak zawsze dotychczas, tak i na przyszłość, żadne napaści nie potrafią go zniechęcić do Rzeczypospolitej, o której dobro zawsze dbać i starać się będzie."

Ale szlachta nie wierzyła mu nadal: to zadziwiające i dotąd nie wyjaśnione do końca, co powodowało, że czuła się tak bardzo zagrożona przez króla w swoich prawach. „Na tym żałosnym sejmie jest płacz uczyniony niemały, iż przywileje nasze koronne widzimy być w wielkim niebezpieczeństwie" — biadał poseł Jakub Niemojewski.[26] Nie próbujmy podejrzewać posłów ziemskich o zaślepienie czy głupotę, którymi to symbolami jeszcze niedawno operowała historiografia użyteczności politycznej: oto tylko jeden senator w tym bogobojnym towarzystwie „utrzymywał, że nie ludzie, tylko sam Bóg rozdaje królestwa",[27] drugi był za anarchią w elekcji, reszta — żądała uchwalenia artykułów i rzetelnego prawa regulujących sprawę wyboru króla polskiego. Rzecz do zbadania — ale wydaje się, że już wtedy herbowi mocno podejrzewali Batorego o próby tworzenia rodowej dynastii, wzmacnianie swej władzy poprzez szykowanie procesów sądowych — i dawali temu wyraz. Kiedy przyszli żegnać Batorego na jego pokoje, dalej ze słowami zaniepokojenia o ich wolności, rozzłoszczony tą samą melodią król porwał się do korda. „Wyście przypasali mi ten miecz, abym go używał na obronę sprawiedliwości, a ja tu stoję z silnym postanowieniem, aby to zawsze wykonywać." [28] Rozziew poglądu na władzę królewską między Batorym a drugim stanem był widoczny.

Nagromadzenie się namiętności i podejrzeń, szczególnie silnych ze strony innowierczej szlachty, konieczność wyrzucenia z siebie żalów i racji przy prawie każdego do głosu przynieść miało, miast oczyszczenia atmosfery, nie najlepsze rezultaty. Po tygodniu swarów, z których niewiele dla władzy wynikało, Batory przystąpił do sądzenia Stanisława Czarnkowskiego. To o tym procesie mówili uprzednio posłowie, to w tej materii zdania wśród szlachty były podzielone. Zresztą — ze szkodą dla interesów króla.

Czarnkowski, któremu historiografia użyteczności politycznej na ogół przypinała łatkę warchoła czy wręcz zdrajcy, był człowiekiem wielkich zdolności. Zaufany Zygmunta Augusta, wtajemniczany przezeń w liczne jego fascynacje miłosne, był też tym, który usiłował gasnącego monarchę w godzinie śmierci skłonić do spowiedzi. Po zgonie ostatniego Jagiellona ubrał ogołocone z bogatych strojów ciało królewskie i wystawił na widok publiczny. Cieszył się ogromnym szacunkiem szlachty; potknął się jednak na zbyt uporczywym trzymaniu się kandydatury Habsburga do polskiego tronu w latach siedemdziesiątych XVI wieku. W efekcie swych sympatii, będąc w Wiedniu i Ratyzbonie, zachęcając cesarza do zbrojnego zajęcia wawelskiego tronu, stracił wszelkie donacje. Po wyborze Batorego wrócił do kraju „obłupiony jak węgorz" i rozpoczął silną agitację antybatoriańską i przeciw Zamoyskiemu, żądając przywrócenia godności i dóbr. By słowom swym przydać jeszcze większej siły — a mówcą był znakomitym — zapuścił długą siwą brodę pozując na mądrego skrzywdzonego starca. Jego wota w obronie wolności szlacheckich wygłaszane w Izbie Poselskiej były tak płomienne, że on, niegdyś kandydat na prymasa (sprawa zatwierdzenia koadiutorii gnieźnieńskiej) zyskał gorące poparcie nawet przywódcy innowierców, Jakuba Niemojewskiego i wymusił na oburzonym królu gwałtowną replikę. Jednak gdy Czarnkowski nie stawił się przed trybunałem, zadowolony z obrotu rzeczy Batory zaocznie skazał go na infamię. Rychło jednak pod naporem posłów i samego Czarnkowskiego wyrok cofnął, a sprawę własności dóbr żnińskich, do których niedoszły arcybiskup rościł sobie wielkie pretensje, odesłał przed trybunał szlachecki do ponownego zbadania. Posłowie byli przy tym przekonani, że twarda postawa króla ma związek z niedawnymi zaskakującymi odwiedzinami Batorego w Łowiczu nowego prymasa, Stanisława Karnkowskiego. Król miał tam zapędzić się podczas polowania (jak pamiętamy, przedtem wysyłając gońca), ale sprawy, jakie tam rozstrzygano, zapewne

do rozrywek nie należały. Arcybiskup był zwolennikiem pozwania przed sąd tych innowierców, którzy śmieli podnosić ręce i głowy nad święty Kościół — i król go w tym popierał. Być może tu właśnie ustalono plan całej gry o wzmocnienie władzy wobec opozycji i związany z tym los banity Samuela Zborowskiego.

Istota tej sprawy leżała w nastrojach szlachty: czuła się ona zagrożona, a sprawa Czarnkowskiego wyglądała na machinę godzącą w fundament wolności, na którym Batory chciał ufundować sobie i narodowi silną władzę królewską. Gubiono więc czas sejmowy w parlamentarnych podchodach: Litwa przy okazji chciała upiec smakowitą pieczeń w tyglu sporów, usiłując wymóc na królu przyłączenie Inflant do Wielkiego Księstwa Litewskiego za cenę ustępstw w prawach szlacheckich. Zamoyski, gdy tylko to usłyszał, wstał, z wprawą mówcy rozejrzał się po senatorach i posłach, nim gromkim głosem oznajmił:

„Inflanty odzyskane krwią moją i moich towarzyszy broni (...) choćby nikt się nie sprzeciwiał, ja jeden za wszystkich Inflant od Korony oderwać nie pozwolę!" [29]

Mieli czego słuchać i na co patrzeć posłowie moskiewscy, którzy zjawili się na tym sejmie. Sądzili zapewne, że znów widzą nierządną Polskę i dziwili się, jak taki kraj mógł pobić ich ludzkiego cara, który właśnie niedawno szczerze i długo bolał po niedawnym zamordowaniu ukochanego syna: nieświadomi zapewne, że gmach wielkości może stać na swobodach wypowiedzi i zmyśle politycznym większości. Bo choć przez sześć tygodni młócenia językami nic nie uchwalono, to strony wykrystalizowały swe racje. Ten podziwiany przez posłów moskiewskich na szumnym bankiecie król zrozumiał, że musi zmodyfikować swój plan wzmocnienia władzy i rozstrzygnięcia palących spraw wewnętrznych. Nikt nie mógł mieć nadmiernych złudzeń: chwytanie przez Batorego ręką za kord w odpowiedzi na hardą pożegnalną mowę posłów ziemskich było mimowolną zapowiedzią, jak król zamierza rozstrzygać sprawy sporne i racje władzy.

A przecież oprócz szlachty, która zobaczyła olbrzymie możliwości nie tylko własnego państwa, ale i króla, niechętni byli mu również żołnierze, dla których nie uchwalono podatków, by można było zapłacić zaległy żołd. Batory znów będzie musiał ratować się pożyczkami i zastawami, by utrzymać autorytet i armię. Sprawy wewnętrzne i armii były przy tym bardzo ważne, gdyż stanowiły funkcję polityki zagranicznej Batorego, do której król zdawał się przywiązywać największą wagę. I słabym pocieszeniem był fakt, iż po drugiej stronie granicy wschodniej niewdzięczny hosudar pił z żałości i popełniał błędy obdarzając niełaską rzeczywistego komendanta Pskowa, Iwana Szujskiego — choć jemu w dużej mierze zawdzięczał utrzymanie czapki Monomacha na mocno już siwiejących skroniach.

Sejm rozjechał się pod koniec listopada, a Batoremu miast wawrzynu posłowie wręczyli „żegnanie" z uroczystym oświadczeniem, „iż na żadne konstytucje nowe ani recesy, ani podatki, jeśliby tu mówić o nich kto chciał generaliter [powszechnie], nie przyzwalamy".[30] Poseł Jakub Niemojewski starannie przeczytał, czego królowi nie wolno, co zawarte było w czterech punktach. Reakcję króla, jego gest znamy — ale w ten sposób szlachcie mogło się wydawać, że ujarzmili tygrysa i odbyli na oswojonym pierwszą przejażdżkę. Gdybyż znali angielski limeryk, wiedzieliby dobrze, jak niebezpieczną przejażdżkę odbyła młoda lady z Rygi na tygrysie i czym się to skończyło.

III. MIĘDZY KRAKOWEM A STAMBUŁEM

Po sejmie 1582 roku król wyjechał do Krakowa. Stąd udał się do Niepołomic leczyć sejmową zgagę. Żona została w Warszawie: „królowa się bardzo źle ma" — donosił ksiądz Płaza. Może dlatego że Zamoyski nie pojechał z królem. „P. Kanclerz ma być w Krakowie" [1], a przecież Jagiellonka od dawna nie cierpiała Zamoyskiego.

Król z pewnością przemyślał w Niepołomicach wiele spraw. Nie pierwszy raz zrażony do polskiej demokracji wiele decyzji zaczął już przedtem podejmować poza sejmem odwołując się do sejmików. Proces, jaki w ten sposób inicjował, nie był korzystny dla władzy centralnej w federacyjno-republikańskim państwie: rosły prowincjonalne partykularyzmy. Sprzyjało temu niejasne prawo będące

zlepkiem konstytucji, zwyczajów, tradycji, przywilejów i możności podpierania się czy zasłaniania zdaniem senatorów popierających dwór i króla. To właśnie wtedy, po sejmie, król uregulował ważką sprawę Inflant, Rygi, tamtejszych sporów administracyjno-kościelnych. Jedynie kwestię hołdu królewicza Magnusa, który wezwany przez Batorego, nie mógł się stawić osobiście, przeniósł król na czas następnych obrad parlamentu.

Batory zjechał do Krakowa. Tutaj czekał na niego goniec tatarski poprzedzający wielkiego posła chana, Kubdambeja Bulganowicza. Wysłannik Mehmeda Gireja wiózł list z całą litanią żalów i gróźb. Oto Kozacy napadli na posłów krymskich wracających z Moskwy i obłupili ich doszczętnie. Chan żądał zwrotu łupów, grożąc wojną w wypadku nieposkromienia niżowców przez polskiego króla. Poseł twierdził, że jego władca stoi już z ordą u polskich granic na tak zwanej Końskiej Wodzie, poniżej Czerkas. Wiadomość tę potwierdził strażnik polny Stanisław Golski.

Król ostatecznie mógłby tę groźbę zlekceważyć i zdać się na obronę potoczną hetmana polnego, gdyby Tatarów nie wspierał list jastrzębia wojny ze Stambułu, wojowniczego Sinana paszy, a nade wszystko sułtana Murada III. Padyszach żądał zadośćuczynienia krzywdom tatarskim i obiecywał wesprzeć ordę w wypadku polskiej odmowy.

Niebezpieczeństwo najazdu groziło Podolu, Rusi Czerwonej, Wołyniowi, może górzystemu Pokuciu — raczej ze strony ordy niż sułtana, w gruncie rzeczy dążącego do utrzymywania modus vivendi z Rzecząpospolitą. Król mógł je zresztą zażegnać niemal natychmiast, rekompensując Tatarom straty i obdzielając ich „upominkami". Batory jednak postanowił zmienić politykę dwuznacznej dlań ugodowości. Wprawdzie w liście do biskupa Kromera rozważał kilka wariantów pacyfistycznego rozwiązania konfliktu, ale z tonu słychać było, że kiedy poznał już smak wielkich zwycięstw i wagę konsekwentnie trzymanego nagiego miecza w dłoni — przywiązał się do tej metody rozcinania trudności. „Z głodnym próżno certować racjami" — powiedział o Tatarach, żaląc się przedtem na swą ograniczoną władzę królewską w Rzeczypospolitej.[2] Po naradzeniu się z Zamoyskim i innymi senatorami król postanowił tatarskiemu arkanowi przeciwstawić jednak gołą szablę, choć w głębi ducha winą za napięcia z Tatarami i Turcją obarczał własnych poddanych. Posunięcie, trzeba przyznać, ryzykowne: mimo braku pieniędzy na żołd, nie uchwalonych podatków, dziwnie nieprzychylnej aury w kraju — pokazać siłę. Być może poczucie honoru, godności Rzeczypospolitej i króla odgrywało tu, jak twierdzi Heidenstein, ważką rolę. Wydaje się jednak, że za decyzją o wojnie kryła się nie tyle urażona godność czy temperament królewski, ile chłodna kalkulacja obu mężów stanu: oto imperium otomańskie było nie przygotowane do walnej rozprawy i należało wreszcie przerwać pasmo gróźb i najazdów tatarskich siłą bądź jej demonstracją. Groźby Sinana paszy można więc było przyjąć tym razem za „strachy na Lachy", a jeśli już do wojny dojdzie... Szlachta nolens volens będzie zmuszona stanąć przy swoim królu, gdyż płomień walki objąłby wiele z ich majętności. Dwór z pewnością o tym pamiętał.

Niebezpieczeństwo wojny z Turcją znacznie przy tym zmalało, gdyż w grudniu 1582 roku nadleciała wieść, że miejsce „jastrzębia" Sinana zajął „gołąbek", wielki wezyr Siavusz pasza. Ale król „nie chciał odpowiadać za winy Kozaków, którzy władzy jego nad sobą nie przyznawali i postanowił niesprawiedliwe zaczepki i wojnę siłą odeprzeć. Odprawił tedy poselstwo tatarskie z tym, że Kozacy wcale do Polski nie należą, a groźby nic a nic go nie straszą." Wysłanników islamskich odprawiono 25 lutego 1583 roku z odpowiedzią, iż król, choć pragnie pokoju, „nie może ponosić konsekwencje za to, że złoczyńcy złupili posła tatarskiego".[3] Jeszcze przedtem na Ruś Czerwoną ruszył w końcu stycznia sam Zamoyski, z wołaniem do mieszczan lwowskich o przygotowanie artylerii, amunicji, puszkarzy, cieśli, furmanów. Kanclerz zabierał się do nowej wojny po batoriańsku. Żołnierzy jednak zmuszony był pozyskiwać za swoje pieniądze; koło Lwowa kupiła się też bitna szlachta tym ziem ostrzegana uniwersałami o niebezpieczeństwie, przybyły prywatne chorągwie księcia Ostrogskiego. Rozsyłając na wszystkie strony podjazdy czekał kanclerz we Lwowie na nieprzyjacielskie czambuły.

Batory wyraźnie nie brał udziału w przygotowaniach. Zapewne

dlatego, że w jego planach w tamtych chwilach był to teatr działań wojennych o znaczeniu pomocniczym. Stąd wysłanie i inicjatywa Zamoyskiego na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej.

Ale Tatarzy perekopscy i uchodząca za jedną z najdzikszych orda nogajska na wieść o zebraniu przez Zamoyskiego znacznych sił nie kwapiła się do przejścia skutego lodem Dniepru. Zaczęli się oglądać za siebie, na Krym, gdzie właśnie rozpoczęły się zamieszki dynastyczne, przy których należało być, by nie stracić zbyt wiele, a może skorzystać w razie zmiany władcy. Szło o dwóch braci chana, którzy znienacka wypłynęli z pomroki dziejów w czerwcu 1581 roku nad brzegami Dniepru.

W tym bowiem pięknym miesiącu porucznik Kozaków, Jan Oryszowski, idąc ze swoimi ludźmi wzdłuż Dniepru „dla łacniejszego pożywienia rybą i zwierzem", dowiedział się, iż ze Stambułu na Ukrainę zbiegli dwaj bracia chana Mehmeda Gireja. Zaczaił się i pojął ich podczas przeprawy przez rzekę. Na wieść o tym niebawem zjawili się wysłannicy chana, żądając wydania zbiegów. „Wolem, że nas oddacie do majestatu Jego Królewskiej Mości"[4] — odparli Oryszowskiemu bracia Mehmeda, kiedy usłyszeli o żądaniach chana, który zdążył się już pozbyć innego rodzinnego kandydata do tronu, w dość znany na południu i wschodzie sposób. Porucznik oddał więc niecodziennych jeńców „najwyższemu sprawcy" Kozaków, staroście czerkaskiemu kniaziowi Michałowi Wiśniowieckiemu, który zezwolił im na napisanie epistoły do króla. Wyjawili w niej, że zwą się: pierwszy Alphirej Soltan Galga (podawał się więc za wodza), drugi Solomietkierej Soltan (Heidenstein kładzie ich jako Salome i Plesi, Michał Wiśniowiecki — Alp i Selamet Gireje).[5] Uciekli od swego strasznego brata „z gardłami naszymi" i chcą udać się do Stambułu pod opiekę sułtańską. W zamian za pomoc przyrzekali po objęciu władzy nad ordą „nic szkodliwszego państwu Waszej Królewskiej Mości myślić i szable naszej podnosić nie będziemy".[6]

List od braci chana dostał król, gdy zajęty był wyprawami przeciwko Moskwie. Nie zniżył się oczywiście do odpowiedzi; nakazał jeno Wiśniowieckiemu wzmocnić wokół zbiegów straże, wiedząc, że dostał do ręki nową poważną kartę przetargową wobec Tatarów i Tur-

ków. Wykorzystał ją jednak bardzo oględnie; bez specjalnego nacisku sułtana wysłał obu braci z posłem swym Hieronimem Filipowskim do Stambułu w marcu 1582 roku. Ten akt dobrej woli króla związany był z koniecznością utrzymania poprawnych stosunków z Turcją, co było jedną z głównych osi polityki Batorego oraz sytuacją w Siedmiogrodzie i oczekiwaniem króla, że sułtan odda tron hospodarski w Mołdawii prokrólewskiemu Piotrowi Kulawemu, przepędzając Jankułę. Tak też się stało — ale w podzięce za królewski czyn na pograniczne ziemie Korony spadły czambuły tatarskie mocno urażonego Mehmeda. Napad ten, późną wiosną 1582 roku, odparto z łatwością.

Gdy chan i orda zajęta była przygotowaniami do kolejnego najazdu na przełomie 1582/1583, obaj Gireje znów uciekli — tym razem ze Stambułu. Twierdzili, że ziemia krymska chce „ich mieć za pana", prosili Michała Wiśniowieckiego, aby „im dał ludzi na pomoc".[7] Powiadomiony o tym Zamoyski pisał do króla wielokrotnie, wskazując na możliwość wykorzystania tej niecodziennej sprawy zgodnie z racją stanu Rzeczypospolitej i króla jegomości. Ale Batory nie kwapił się do zagrania kartą „carzyków", którzy, jak donosił kanclerz, zamierzali nawet na Litwie szukać możnej protekcji. Kiedy Tatarzy ustąpili w marcu z granic Rzeczypospolitej, przestraszeni wizją walk wewnętrznych na Krymie, sytuacja i możliwości obu braci chańskich się zmieniły. Obiecująca oferta otwierająca Polsce nęcące dla ówczesnych perspektywy mieszania się w cudze sprawy straciła swoje walory.

Sprawa ta jest przywołana tutaj nie tylko dla zaprezentowania prawości króla Stefana, który nie uciekł się do makiawelicznych intryg, co jednak nie zawsze bywało u władców zaletą bezwzględną. Te zdarzenia bardzo żywo przypominają historię z Iwanem Podkową, a nade wszystko Samozwańcem I, w co właśnie uwikłani byli Wiśniowieccy. Czyżby bracia chana stali się swoistą antycypacją Dymitra I, czyżby przetarli drogę pomysłowi, który otworzy Polakom drogę na Kreml?

Demonstracja siły polskiej na Rusi Czerwonej po Dniepr w 1583 roku, przeprowadzona umiejętnie przez Jana Zamoyskiego, opłaciła się sowicie. Hetman wielki koronny odtąd będzie nader chętnie ko-

rzystać z „okazowania" wojska przeciwnikowi — bez wdawania się w bójki o niewiadomym wszak wyniku, co bardzo pochlebnie świadczy o nim jako dyplomacie. Oto wraz z nim wracał ze Lwowa do Krakowa czausz Hasan z listami sułtana do króla. Gdy na Wawelu złamano pieczęcie, okazało się, że padyszach chce zakończyć ubolewania godną sprawę kozacką po przyjacielsku. Wystarczą upominki: „odpowiedziano mu krótko, że król nie czuje się obowiązanym do żadnych wynagrodzeń".[8] Natomiast zalecenia sułtańskie, które przyszły później, utrzymania pokoju z Austrią, Batory po prostu wykpił, akcentując swą suwerenność i potęgę. Godził się jednak na wypłacanie Tatarom rocznej daniny „wedle starych zwyczajów".

Niebawem jednak stosunki króla z padyszachem poddane zostały nowej gorącej próbie: oczywiście za sprawą nieocenionych w takich momentach Kozaków. Mołojcy ani myśleli respektować królewskie rozkazy wstrzymywania się od napaści na posiadłości tureckie i w połowie roku na śmigłych czajkach popłynęli pod Perekop, zniszczyli zamek Jahorlik i galery tureckie, a w drodze powrotnej spalili Tehinię. Zamku nie zdołali zdobyć; zrabowali za to miasto, mordując wielu mieszkańców i uwożąc ze sobą nie tylko bogate łupy, ale i armaty. Za śmiałą i okrutną wyprawą kryły się ręce naszych dobrych znajomych — Samuela i Krzysztofa Zborowskich. Sułtan był ponoć spaleniem Tehinii wstrząśnięty; przysięgał, że „skoro się uspokoi z Persją, nad Lachy, giaury okrutnymi, tego się pomszczę".[9]

Znów zapachniało wojną; we Lwowie na gwałt zaczęto naprawiać solidniej mury, gromadzić zapasy żywności, arcybiskup Solikowski nakazał procesje i modły publiczne na wieść o zbliżającej się armii beglerbega Grecji, którą wyobraźnia mieszkańców ziemi lwowskiej i innych mnożyła do potężnych rozmiarów. Sytuację zaogniło odwetowe postępowanie Turków. Wysłany przez króla do Stambułu Jakub Podlodowski z jawną misją zakupu dobrych koni i tajną — przyglądania się tureckiej armii wracającej z Persji — już w drodze do Polski został zaskoczony przez orężną zgraję. Działo się to koło Adrianopola, w jakiejś wsi; Podlodowskiego ujęto i jako szpiega, na wyraźny rozkaz sułtański, ścięto wraz z trzydziestoma czterema towarzyszami, a majątek i konie zagrabiono. Tylko dzięki pomyłce uniknął losu nieszczęsnego Podlodowskiego peregrynujący do Ziemi Świętej Mikołaj Krzysztof Radziwiłł zwany „Sierotką"; wysłani na naukę języka Marcin Lubieniecki i Piotr Broniewski salwowali się ucieczką: w Samarii uwięziono, zresztą omyłkowo, miast Radziwiłła, agenta Batorego, Bernarda Warkocza i Jana Kobylnickiego.

Szykany wobec Polaków w imperium tureckim sprawiały wrażenie planowanego rewanżu za poczynania kozackie i mogły — przy zdecydowaniu i poczuciu potęgi Batorego i przekonaniu sułtana, że jest panem świata z woli Allacha — stanowić preludium wojny. Znad Kamieńca Podolskiego od starosty Mikołaja Brzeskiego biegły alarmujące wieści „że wojsko tureckie jako dziś piąty dzień jako się przez Dunaj przeprawowało, które ciągną do ziemi WKMści, pewne ziemie wojować (...) ale powiadają, że lud nikczemny, młódź, za pomocą Bożą, bici będą" — pocieszał króla starosta, błagając jednak o szybką pomoc.[10]

Ale Batory nie miał jej skąd brać w tak szybkim tempie: „do jakiego już niebezpieczeństwa Koronie przez to swawoleństwo, o którymśmy pierwej dali Uprzejmości Twej znać, przychodzi — pisał król do biskupa Kromera. — Po wielekroć na przeszłych sejmach przypominaliśmy, inkulkowali i pokazywali, że ta swawola, gdzieby się jej nie zabiegło, miała o co wielkiego przyprawić i zawieść Rzeczpospolitą, nie chciano słuchać i dbać o to (...) A też przychodzi już albo przyszło do tego, czegośmy się stąd zawsze obawiali, Pan Bóg sam wie, co dalej będzie." [11] To był ton dotąd raczej niespotykany w batoriańskich listach.

Napięcie potęgowała dyplomatyczna cisza: obrażony sułtan nie wysyłał do Polski czausza, Batory również — choć nie wiemy, czy z obawy, by jego poseł nie postradał w Stambule życia, czy też z powodu zranionej dotkliwie godności i honoru suwerennego władcy. Sytuacja była patowa. Szukano innego rozwiązania niż siłowe i znaleziono: Zamoyski poprosił hetmana polnego Mikołaja Sieniawskiego, by ten wysłał we własnym imieniu dowódcę wielu wypraw przeciw Kozakom, starostę halickiego Stanisława Włodka do beglerbega Grecji jako posła. Początki nie były obiecujące, gdyż Włodka najpierw zakuto w kajdany i dopiero po wręczeniu darów i rozmowie wojow-

niczo nastrojony beglebeng obiecał rzucić się na twarz przed sułtanem, by raczył utrzymać pokój między Polską a Turcją. Dary musiały być znaczne, skoro begleberg zgodził się na tak ryzykowny czyn. Nie wiemy zresztą, czy go wykonał. Jednocześnie Batory nakazał chorągwiom pogranicznym rozbić niesfornych Kozaków. Tak też się stało: mimo porzucenia przez nich zrabowanych armat, królewskie roty doścignęły mołojców koło Korsunia i rozproszyły; część z uczestników nieszczęsnej wyprawy tehińskiej dostała się do niewoli.

Zdarzenia te pozwoliły Batoremu wysłać 4 listopada 1583 roku, za radą senatorów, stolnika nadwornego Piotra Słostowskiego do Stambułu z wielką nadzieją, że nie postrada on życia. Początkowo wydawało się, że misja ta nie odniesie żadnego skutku, gdyż od Słostowskiego przez długie miesiące nie nadbiegały do Krakowa żadne wieści prócz tej, że został bardzo źle przyjęty. Król pchnął zatem jakiegoś wiernego mu Turka, by śledził ruchy wojsk sułtańskich. Wreszcie, w marcu 1584 roku, groźną ciszę przerwały kroki gońca zmierzającego ze Stambułu, od Słostowskiego, do Grodna. Po długich namysłach sułtan zdecydował się na utrzymanie pokoju z Polską. „Chodziło najwięcej królowi o to, żeby sułtan nie zażądał czasem od skarbu polskiego wynagrodzenia szkód przez Kozaków poczynionych. Nie tyle szło o koszt, ile o przykład na przyszłość" — zanotował Heidenstein. Padyszach godził się na te i inne, w zasadzie korzystne dla Polski, warunki: w sprawie Podlodowskiego obiecał wszcząć „inkwizycję". W zamian żądał wydania armat i ukarania winnych napadu na Tehinię.

W gruncie rzeczy warunki były nadspodziewanie dobre: Murad III w swej islamskiej łaskawości zezwolił nawet Słostowskiemu wybrać czausza, w którego obecności miano karać Kozaków. Wybór polskiego posła padł na byłego arianina, Węgra o nowym dlań imieniu Mustafa, który wolał przyjąć islam niż szerzyć chrystusowy pokój na ziemi w Siedmiogrodzie, choć obydwa zajęcia były równie ryzykowne. Taki poseł sułtański, władający przy tym świetnie łaciną, rozpoznany przez króla jako dawny nauczyciel ariański, skłonny do wypitek, podczas których rozprawiał nie tylko o wyższości Jezusa nad Mahometem, ale i codziennym zamiłowaniu Murada III do wina —

przypadł do gustu Batoremu i jego dworowi. Tym bardziej że przywiódł ze sobą w pętach sprawców tragicznej napaści Podlodowskiego. Wprawdzie rychło okazało się, że to nie ci, tylko „dwaj gołe wisieluchy, co i tak może za co na gardła zasłużyli" (opinia kronikarza W. Müllera) — ale uznano to za widoczny objaw dążenia sułtana do zgody. Pełen usprawiedliwień list padyszacha potwierdzał z całą oczywistością to wrażenie. Widać było, że sułtanowi bardzo zależy na utrzymaniu pokoju z Rzecząpospolitą i niedawnym lennikiem siedmiogrodzkim.

Batory był uradowany: „oto z łaski i za pomocą miłego Boga są te rzeczy wszystkie z nim w uczciwym naszym i Rzplitej postanowieniu", chwała Bogu, nie doszło do „zawiedzenia i wzruszenia dawnego z Turkiem pokoju".[12] Cenił bardzo siłę imperium i jemu również zależało na „przyjaźni" z sułtanem.

Czauszowi Mustafowi oddano zatem armaty i łupy odebrane Kozakom. W uznaniu zasług dla zbliżenia obu narodów król obdarował go też roczną pensją. W obecności czausza we Lwowie po raz kolejny oddzielono katowskim mieczem głowy od tułowia. Tym razem trzydziestu trzem Kozakom, którzy mieli pecha źle się urodzić; do ścięcia szlacheckiego mołojca król potrzebował wszak wyroku sądu sejmowego, a ponadto dziwnym trafem nie dostawali się oni do niewoli u stanowych towarzyszy. A przecież tak naprawdę złapano sześćdziesięciu Kozaków, z czego trzydziestu sześciu okazano Mustafie. Rozsierdzony swawolą kozacką król właśnie wtedy zwłoki ściętych „na kawałki siec zalecał". Ta, jak i inna kaźń na placyku pod Wawelem, która wstrząsnęła Rzecząpospolitą, miały złagodzić napięcia polsko-tureckie. Tak też się stanie, lecz nie na długo. Niebawem Mustafa wróci przed oblicze króla z nowymi skargami od sułtana Murada. Ale pokój był zachowany, to było najważniejsze.

Kiedy jednak spadły nieszczęsne głowy kozackie, Murad był kontent, sądząc, że król potwierdza swój szacunek dla niego i Wysokiej Porty i pragnie utrzymania pokoju za tak krwawą zapłatę. To prawda: za pokój z Osmanami Batory był gotów zapłacić wyjątkowo dużą cenę z ludzkich istnień. Taką samą jak za utrzymanie porządku w państwie i wzmocnienie swej władzy. Poskromienie „swawoleństwa" od-

grywało w śmiałych projektach króla wielką rolę; kwestią pozostawało, czy przeciętnych watażków i wysoką urodzeniem opozycję da się zdusić w granicach prawa. To było bardzo ważne dla obu stron. Tych pierwszych — z pewnością, tych drugich...

Już niedługo szlachta miała się o tym przekonać.

IV. POLITYCZNE VARIA

Trudno podejrzewać króla, który z taką energią, siłą woli i rozmachem realizował polityczne zamiary, by zapomniał o sprawie, która spędzała szlachcie sen z oczu: kwestii następstwa tronu i wolnej elekcji. Kiedy król wraz z Zamoyskim odwiedzili niespodziewanie arcybiskupa Karnkowskiego w Łowiczu przed sejmem 1582 roku, repetując próbę zaskakującego kroku Batorego wobec prymasa Uchańskiego z roku 1576, wzbudziło to w herbowych brzydkie suspicje. Domniemywano, że król poza plecami drugiego stanu chce uregulować sprawę następstwa tronu: „obudziły się podejrzenia ludzkie, iż król w nagrodę swych zwycięskich wojen domagać się będzie, aby mianowano jako następcę tronu jego synowca Andrzeja, który niedawno został kardynałem, lub brata królewskiego Baltazara Batorego"[1] (błąd, szło o syna brata Andrzeja). Jak wiemy, Andrzej cieszył się niezłą opinią w Polsce — „wielkiego dowcipu, wypolerowanego rozsądku"[2] — ale szlachta zdawała się już mieć dość Batorych i Węgrów. Tym łatwiej nam zrozumieć, dlaczego sejm 1582 roku rozszedł się z niczym.

Jakby wiedząc, co się święci, wojewoda Mikołaj Mielecki porzucił dumę, dawne urazy i zaprosił Zamoyskiego organizującego w lutym 1583 roku obronę przed Tatarami do siebie, do Gródka, na mięsopusty. Nie wiemy, czy kanclerz przyjął ofertę; 5 kwietnia już zawiadamiał pierwszych senatorów, „że Król JM z łaski swej pańskiej dawać mi raczy synowicę swą, córkę nieboszczyka JM pana wojewody Siedmiogrodzkiego w stan małżeński".[3] Był to krok o wielkim ciężarze gatunkowym: poprzez wydanie swej siostrzenicy Gryzeldy za Zamoyskiego Stefan I Batory przypuszczał Jana Zamoyskiego do królewskiego rodu.

Co kryło się za takim posunięciem? Czy miało to związek ze sprawą elekcji w Rzeczypospolitej czy raczej w Siedmiogrodzie?

Stefan Batory po wyborze na króla polskiego nie spuszczał oka z Transylwanii. Jego brat Krzysztof, z tytułem wojewody, czasem tytułowany przez króla „illustrissimus princeps",[4] raczej dla podtrzymania dobrego samopoczucia Krzysztofa, był de facto namiestnikiem Stefana rezydującym w Gyulafehérvárze. Decyzje o znaczeniu strategicznym podejmował sam król usiłując prowadzić spójną politykę polską i węgierską wobec mocarstw, co nie było rzeczą prostą. Na szczęście jego brat nie był człowiekiem nadmiernie ambitnym czy kłótliwym i Stefanowi udawało się wpływać na Krzysztofa bez specjalnych trudności czy wywoływania u niego poczucia drugorzędności. A o to mogło być łatwo, gdyż posunięcia Stefana robiły wrażenie, że traktuje on Siedmiogród jak zaplecze dla poboru znakomitego żołnierza hajduckiego. To jednak tylko złudzenie; interes kraju ojczystego leżał mu bardzo na sercu.

Wobec Habsburgów Batory jako suweren siedmiogrodzki prowadził politykę podważania ich pozycji w Siedmiogrodzie i wokół niego, wykorzystując eo ipso swój prestiż króla polskiego. Bez wątpienia początkowo sprawa oswobodzenia Siedmiogrodu od wszelkiej zależności i uzyskania korony świętego Stefana nie schodzi mu z myśli. Wie, że najpierw musi powstrzymać Moskwę, ale „przyjdzie czas oswobodzenia Węgier. Spowiadam się z tajemnic serca mego" — pisał w 1578 roku.[5] A więc panowanie w i dla Rzeczypospolitej, ale i dla idei wolnych Węgier. Trudno go nie zrozumieć, ale i nie ma co oskarżać o przedkładanie interesu węgierskiego nad polski, gdyż jego polityczne i militarne posunięcia były zgodne z zaprzysiężonymi w Meggyes i na Wawelu, a nade wszystko — z szeroko pojętą racją stanu Rzeczypospolitej. Już szlachta zadbała o to.

Z Turcją, która zupełnie nie mieszała się w wewnętrzne sprawy Siedmiogrodu, jego władca utrzymywał dobre, choć obłudne stosunki poddanego wobec protektora. Batory godził się z taką polityką. Jed-

cześnie jako król Polski był potężnym równorzędnym partnerem sułtana. Ta dziwna mieszanka władzy i zależności w gruncie rzeczy gwarantowała Siedmiogrodowi znaczną niezawisłość.

Stefan jednak, pomimo że w porównaniu z niedawnymi laty Siedmiogród stał się pod nim i Krzysztofem oazą spokoju i prawa, zaczął naruszać porządek religijny w państwie. To z inspiracji króla, „który zaczynał wyrastać na jedną z czołowych postaci w obozie kontrreformacji katolickiej",[6] wprowadzono do Transylwanii w 1579 roku jezuitów. W kraju unitarian było to wielce ryzykowne, burzyło ład społeczny, choć blaski — założenie akademii jezuickiej w Kolozsvárze — też były widoczne. Król poważył się na tak brzemienny w skutki krok nie tyle z umiłowania katolicyzmu, ile znanej mu od dawna konieczności znalezienia potężnej siły, która mogłaby wpływać na Habsburgów w interesie Siedmiogrodu; stanowić opokę dla przyszłego zjednoczenia Węgier. Wydawałoby się, że była to dalekowzroczna polityka, która miała zaowocować po latach. Jednakowoż rezultaty przyniosła mierne: w jedenaście lat później jezuitów przegoniono z księstwa.

Dopóki żył Krzysztof, dopóty król Polski mógł być pewien, że jego polityka będzie realizowana. Brat Stefana był jednak człowiekiem chorowitym i wrażliwym, a śmierć jego żony w lutym 1581 roku przypomniała mu o sprawie następstwa tronu w Siedmiogrodzie. Ostatnią grę swego życia Krzysztof przeprowadził z energią i taktem: sejm w Kolozsvárze zgodził się na obranie następcą syna Krzysztofa, małoletniego Zygmunta. W niewiele dni później, 27 maja 1581 roku, starszy Batory z Somlyó umarł, na mocy testamentu oddając władzę dwunastoosobowej radzie regencyjnej. Król Polski z Wilna zgodził się na nowe warunki, jednocześnie zapewniając Zygmunta — rzecz charakterystyczna, że nie pisał w pluralis maiestaticus, lecz w pierwszej osobie — „in omnibus necessitatibus protector et sublevator ero".[7]

Na razie jednak „obrońca i opiekun" Zygmunta, jak się określił król Polski, musiał znosić się z regentami siedmiogrodzkimi. Najpierw ograniczy ich liczbę do trzech, potem, zgodnie z życzeniem Siedmiogrodzian, jedynym regentem nominował starostę waradyńskiego Jana Giczyego. Były to jednak posunięcia taktyczne, drobne retusze, za którymi kryły się przygotowania do wielkiego planu. Historyk węgierski L. Szádeczky odkrył w wiedeńskim archiwum dokument mówiący o znamiennym, niezmiernie ciekawym projekcie Stefana. Swego bratanka Zygmunta chciał on wynieść wysoko — na króla Węgier. Widząc zapewne niemożność przeforsowania elekcji któregoś z Batorych na tron polski szukał nadal oparcia dla racji węgierskich w Rzeczypospolitej. „Księciem Siedmiogrodu miał zostać Zamoyski; w ten sposób powstałby silny blok, zdolny do przeciwstawienia się potędze niemieckiej i tureckiej." [8]

Polski historyk formułujący tę ocenę zauważa w tym planie „dużo utopii". Rzeczywiście: należy wątpić, czy pomysł Batorego był szczęśliwy dla Polski i Siedmiogrodu. Jego realizacja mogłaby doprowadzić do zadrażnienia stosunków z imperium otomańskim i Habsburgami, jednocześnie stwarzając z Zamoyskiego, jego ambicji i armii coś w rodzaju parasola ochronnego dla Siedmiogrodu. Szlachta przy tym miała w pamięci unie polsko-węgierskie, kiedy Węgry były mocarstwem, na których Polska nie wychodziła najlepiej. Przyjęcie projektu króla Stefana oznaczałoby praktycznie przeniesienie punktu ciężkości polskiej polityki zagranicznej na południe, w strefę starcia z obydwoma potęgami.

Właśnie małżeństwo Zamoyskiego z Gryzeldą Batorówną, „mimo ogromnej różnicy wieku", jest koronnym argumentem, że król przeznaczał kanclerzowi następną wielką rolę do odegrania na politycznej scenie europejskiej. Po zmarłych Annie Ossolińskiej i Krystynie Radziwiłłównie potężny Zamoyski brał 12 czerwca 1583 roku za żonę „różanoustą" protestantkę Gryzeldę. Przebieg tych niezwykle bogatych, wielodniowych uroczystości weselnych w Krakowie utrwaliły kroniki; suty opis z wyszczególnieniem osób i oczywiście kolejności ich paradowania podał też Bartosz Paprocki w swym wielkim herbarzu. Niebawem zresztą wydanym, w niepełny rok po tych zdarzeniach, co budzi w nas niekłamany podziw, zazdrość i refleksje pisarzy nad możliwościami ówczesnej, rzekomo zacofanej, poligrafii.

Uroczystości wzorowane były na włoskich trionfi: Zamoyski nie poskąpił grosza wynosząc pod niebiosa zwycięstwo króla, któremu

zawdzięczał niemal wszystko. W niektórych wydatkach przewyższał już od pewnego czasu dwór królewski: znany jest nam fakt, że na przednie wina Zamoyski wydawał znacznie więcej niż Batory. Jego ożenek był wielką akcją propagandową, z paradami, przebierańcami i stosownymi hasłami ukazującymi symbolicznie triumf nad Moskwą: „wieża, którą toczono od Wajsowej kamienice ku onemu placowi na widok króla, który siedział w Szpiglerowej kamienicy" i przykuci do wozów jeńcy moskiewscy, maszerujący przed Batorym — były tego wyrazem. Aż dziw bierze, że właśnie tej sceny nie uwiecznił Jan Matejko, tylko zupełnie ahistorycznego, symbolicznego jedynie, „Batorego pod Pskowem". Król i kanclerz pamiętali też o pozyskaniu miłości plebsu: „miotano na placu talery srebrne, na których była z jednej strony twarz królewska, z drugiej ten konterfekt" [9], symbolizujący odzyskanie Połocka.

Gdy na Rynku krakowskim trwało wesele, bawiono się i śmiano ze Stanisława Żółkiewskiego, późniejszego wielkiego hetmana, udającego Dianę, która okazywała swe „rozkosze", czy też Mikołaja Zebrzydowskiego grającego sędziwego Saturna poganiającego czas — król i jego otoczenie nie mieli wytchnienia od wielkiej i małej polityki. Oto na Wawelu pojawił się poseł króla Danii Fryderyka II, Mateusz Buddius, z listem od swego pana tyczącym się kwestii piltyńskiej. Po nieoczekiwanej śmierci królewicza Magnusa 18 marca 1583 roku, który nie zdążył złożyć Batoremu hołdu lennego, choć bardzo tego chciał, komisarz królewski Stanisław Pękosławski przejął inflancką schedę po Magnusie jako poddanym polskiego króla.

Jednak do części posiadłości — dawne biskupstwo kurońskie na czele z zamkiem Piltyń, leżące w Kurlandii niedaleko morza — rościł pretensje król duński. Mimo że fakt śmierci Magnusa starano się na dworze ukryć, Fryderyk II szybko dowiedział się o zgonie brata i postanowił skorzystać z okazji zajmując Piltyń. Zrobił to w białych rękawiczkach, które umieli zręczni władcy wkładać od dawna: rzekomo bez jego zgody Duńczycy przeszli przez polskie starostwo widawskie i zajęli Piltyń. Zachęcony łatwym sukcesem król Danii otwarcie wysłał trzy okręty ze swym dworzaninem Mateuszem Buddiusem i nadzieją zajęcia całego dawnego biskupstwa Kuronii. Sprzyjała mu ludność kurońska nie cierpiąca Polaków i postawa wahającego się księcia Kurlandii pomiędzy sympatią dla odległego protestanckiego króla Danii a strachem przed katolickim władcą Rzeczypospolitej.

„Król nie chcąc wplątać się w żadne wojny" na północy (opinia Heidensteina), zajęty innymi stronami świata, wysłał do Piltynia z pokojową misją podkomorzego chełmińskiego Stanisława Kostkę. Ale mieszkańcy Kuronii, których z rozkazu gubernatora Inflant Jerzego Radziwiłła nakłaniał do posłuszeństwa jakiś rotmistrz spod Pskowa, Wojciech Oborski, ogniem niszcząc im zasiewy, nie chcieli nawet rozmawiać z wysłannikiem polskiego króla. Nadal uznawali się za poddanych władcy Danii. Pozostał zatem miecz i atrament: pierwszego jął się Radziwiłł nakazując po śmierci Oborskiego Stanisławowi Pękosławskiemu pustoszyć Kuronię; drugiego Fryderyk II wysyłając do Krakowa właśnie swego posła Buddiusa. Polaków w Kurlandii, ze strachu bardziej niż z przyjaźni, z ociąganiem wielkim, miał wspierać książę Gotthard Kettler.

Buddius w Krakowie zachowywał się dość arogancko. Zaproszony na wesele Zamoyskiego i Batorówny butnie odmówił, co mogło rozgniewać wpływowego kanclerza. Ale wojna z Danią, jak wiemy, zupełnie nie mieściła się w planach króla, choć raczej rokowała zwycięskie zakończenie. Poszukano innego rozwiązania: Zamoyski wskazał na mediatora, kolejny raz bardzo chętnego do wyciągania kasztanów dla siebie cudzymi rękami. To nasz dobry znajomy — książę regent pruski, brandenburczyk Jerzy Fryderyk. Drugiego lipca 1583 roku kanclerz wysłał do niego list. Na czas mediacji Batory nakazał Pękosławskiemu odstąpić od Piltynia; zrobiono to tak niefortunnie, że komisarz królewski, zaskoczony w potyczce, postradał kilkunastu ludzi. Oczywiście wzmogło to pewność siebie i upór Fryderyka II podsycany listami króla szwedzkiego, który uprzejmie donosił mu, że Niemcy będą uważać go „za niewieściucha i tchórza, jeżeli za tak srogie krzywdy od Polaków wycierpiane mścić się nie będzie". Oczywiście w słowach tych schowana była trucizna prowokacji: Jan III nadal wykorzystywał spór duńsko-polski dla wzmocnienia swej pozycji w Estonii. W końcu „za wdaniem się Jerzego [Fryderyka]

księcia pruskiego zgoda wreszcie przez posła Lewina z Bielaw zawartą została".[10]

Król duński zrzekł się wszelkich praw do odległego Piltynia i Kuronii na rzecz Batorego za sporą sumę pieniędzy oraz gwarancje dla wyznania augsburskiego i dóbr protestanckich. Stefan I zaś kolejny raz zadziwiał: to srogością, to zdumiewającą dbałością, to łagodnością. W tym ostatnim wypadku zwolnił udręczonych mieszkańców Piltynia i części Kuronii, tak dzielnie i krwawo stających naprzeciw jego żołnierzom, na pięć lat z podatków i obowiązków wojennych. Inna rzecz, że takie warunki wyszły na piśmie z kancelarii księcia pruskiego i zostały wysłane do zainteresowanych stron do zapieczętowania. Obaj królowie i senat Rzeczypospolitej podpisali; Batory Piltyń i starostwo wendeńskie (Kieś) oddał Jerzemu Farensbachowi, by ich strzegł, a Fryderykowi II zobowiązał się wypłacić trzydzieści tysięcy talarów.

„Było to rozwiązanie o tyle niedobre, że przy pustce kasy królewskiej sporne zamki poszły od razu w zastaw Brandenburczyka, który za króla umówioną sumę wypłacił" — zauważył przychylny wielce Batoremu historyk.[11] A przecież król widział już wówczas wzrastającą pewność siebie i groźną dla władzy Rzeczypospolitej niezależność księcia regenta. Mimo żądań królewskich i rzeczowej argumentacji Batorego, że mylny kalendarz wprowadził nie papież, lecz poganin Juliusz Cezar, Jerzy Fryderyk nie zgodził się na zmianę czasu w Prusach i wytrwał w swym postanowieniu. To był początek; niebawem książę regent dobitniej ukazał swe suwerenne zapędy. Jak pamiętamy, był to człowiek ciężkiej ręki dla poddanych i nic dziwnego, że po zwycięskich kampaniach króla znów zjawili się przed jego obliczem przedstawiciele powiatów pruskich. Był rok 1583; na czele delegacji stał Fryderyk Aulack z apelacją i prośbą o pomoc. Ale Batory, zwolennik silnej władzy, nieoczekiwanie zganił przysłanych obywateli księstwa za nieposłuszeństwo wobec regenta. Tym samym zmusił „malkontentów" do emigracji, a absolutystyczne zapędy Jerzego Fryderyka wzmocnił. W jakimś stopniu był to wynik argumentacji księcia, który uprzednio dowodził, że wysunięte przeciw niemu „gravaminy" to akcja izolowanej grupki opozycji, bez poparcia stanów pruskich. Kiedy jednak do świadomości Batorego dotarło, że Aulack i jego towarzysze nie upominają się o swoje sprawy, tylko powiatów pruskich, poprosił 15 września 1583 roku listownie Jerzego Fryderyka o łaskę dla Aulacka. Ale jednocześnie król nie zgadzał się na wydanie listu żelaznego dla przedstawicieli opozycji stanów, co „rzuca charakterystyczne światło na stanowisko Batorego" — jak stwierdził znawca problemów pruskich A. Vetulani. Książę pruski odmówił prośbie Batorego, banicję utrzymał, towarzyszy jego oddał pod sąd uznając ich za wichrzycieli. Król Stefan, mając nieraz możliwość podważenia pozycji Jerzego Fryderyka rękoma jego poddanych — niebawem wybuchł bunt Królewca przeciw regentowi — nie próbował takich metod nigdy. Oczywiście da się to nadal tłumaczyć chęcią utrzymania pokoju w prowincji pruskiej, ale kto wie, czy nie ważyły tu sugestie i rady przekupywanego nieraz Zamoyskiego?

Sprawa to tym dziwniejsza, że czasem obaj zdawali się mieć uraz niemiecki, a stosunki z książętami Rzeszy nie były idyllą. Wykazała to wyraźnie sprawa spadku po siostrze Zygmunta Augusta, Zofii, wydanej przez Bonę za starego Henryka II, księcia Brunszwiku. Batory wysłał wówczas do Ratyzbony na sejm Rzeszy Niemieckiej biskupa kujawskiego Hieronima Rozdrażewskiego; tam cesarz wyznaczył sędziów w osobach elektorów saskiego i brandenburskiego. Niemcy, broniąc sum posagowych, usiłowali sprawę zagmatwać. Stronę polską reprezentował Wawrzyniec Goślicki, późniejszy twórca głośnego w Europie dzieła *Dé optimo senatore*. Szło o to, wedle jakiego prawa — narodów, cywilnego, państwowego, prywatnego — sprawa ma być sądzona. Komisarze w końcu „postanowili, żeby król na szczegółowe artykuły i zarzuty wprost odpowiadał". Taki werdykt wywołał atak złości Batorego — „i gniew swój w liście do elektorów dał wyraźnie poznać". Elektorowie zatem obrazili się, a sumy Jagiellonów pozostały w Rzeszy Niemieckiej u miłośnika kultury, księcia brunszwickiego Henryka Juliusza, prowadzącego wspaniały i kosztowny dwór.

Już wiemy, że północna polityka króla i kanclerza nie była jasną

kartą w dziejach ich rządów. Estonia pozostawała, mimo ich usilnych starań, w rękach szwedzkich; zaabsorbowany wielkimi planami i prowadzeniem intensywnej polityki na całą niemal Europę, Batory nie zdążył nawet ostro zaprotestować, gdy stany szwedzkie usankcjonowały złamanie układu z Rzecząpospolitą ogłaszając uroczyście włączenie Estonii do Szwecji. Z pewnością król zamierzał podjąć tę sprawę w stosownym momencie — nie starczyło czasu. Batory nie spodziewał się przy tym, że sprawa Estonii to bomba z opóźnionym zapłonem, która zrujnuje wręcz Rzeczpospolitą w kilkadziesiąt lat później...

„Każdy nowo wstępujący monarcha polski zwykł był z domem austriackim i jego państwem układy o pokój ponawiać" — zauważył Heidenstein. Batory nie kwapił się do tego. W 1576 roku już jako elekt rozkazał zająć Huszt; stanowczo też dążył do odzyskania Szatmáru, od tego uzależniając poprawę stosunków z Habsburgami. Na dworze wiedeńskim czy praskim widzimy agentów króla, między innymi komendanta Cisdanubii Szymona Forgácha, którzy mu donoszą o wielu poczynaniach cesarskich. Oczywiście Habsburg w odniesieniu do Batorego czyni podobnie, to przecież normalna praktyka, choć czasem, zdaje się, niekonsekwentnie. Świadczą o tym liczne listy cesarza Rudolfa II do kamery śląskiej, w których stwierdza, iż „dobrych szpiegów nie dostaje. Po Polsce i po nadgraniczu osadzać dobrych szpiegów." Jak i liczne zabiegi kaptowania agentów przed sejmami zlecane biskupowi wrocławskiemu Marcinowi bezpośrednio.[12]

Już w rok po wyborze na króla Polski Batory nakazał zbadać prawa cesarskie do Śląska. Wydaje się, że w ten sposób przygotowywał się raczej do wywarcia nacisku na cesarza w kwestiach siedmiogrodzkich niż do rzeczywistego zajęcia się dawną prowincją polską. Wpływało to na stan świadomości: przypominało o prawach Polaków do dawnego dziedzictwa Piastów. Oto przez cały niemal okres panowania król żywo interesuje się Śląskiem i pobliskimi krajami, w których posiadanie Habsburgowie weszli różnymi ścieżkami. Batory utrzymuje dobre stosunki i korespondencję z księciem brzeskim Jerzym, jednym z przedstawicieli linii piastowskiej na Śląsku, zresztą, idąc

za opinią K. Piwarskiego, zdecydowanego „służalcy Habsburgów", a jednocześnie — jak dowiódł Z. Boras — dobrego mecenasa budownictwa i reformatora. Jak każdy z Piastów, Jerzy II przepadał za polowaniami; lubił też obdarzać specjalnie tresowanymi zwierzętami innych władców. W 1585 roku, mimo znanej urazy do psów, Batory „canes quos Illtas vestra nobis misit grato animo accepimus".[13] Z wdzięcznością przyjmował psy od księcia brzeskiego. Lgnął do króla i Anny Jagiellonki inny Piastowicz, książę legnicki, Henryk XI. Postać to niespokojna i ciekawa. Jego częste pobyty w Polsce, niesłychanie żywiołowy tryb życia, bliski raczej ideałom osławionych rauberritterów, unikanie złożenia hołdu cesarzowi wywołały wyprawę przeciw niemu biskupa wrocławskiego Marcina Gerstmanna. Uwięziony, spił straże i zdołał zbiec do Polski. Dotarł do Warszawy, dobrze przyjęty przez Annę Jagiellonkę, która już przedtem usiłowała pokrywać część jego niebotycznych długów. Następnie udał się do Grodna, gdzie król „przyjął go serdecznie jako potomka starożytnej rodziny Piastów"[14] i wyznaczył 300 złotych pensji tygodniowo, a potem obdarował tysiącem złotych i różnymi prezentami, które jednak były znacznie mniej kosztowne niż dary Jagiellonki. Chronił go też przed cesarzem, mimo że ten domagał się wydania „lennika". Piastowicz, w którym tak niecodziennie odezwała się miłość do kraju przodków, zmarł w Krakowie w 1588 roku.

Przychylnym okiem patrzał również Batory na Czechów, świadom niedawnego panowania tam Jagiellonów i pewnej wspólnoty losów z Węgrami. Poczynania króla tworzyły między nim a cesarstwem pole zrozumiałej nieufności i niechęci. Mimo to stosunki Habsburgów z Rzecząpospolitą były poprawne; spór króla o włości siedmiogrodzkie był prywatną sprawą Batorego jako władcy siedmiogrodzkiego, nec plus ultra.

Ale dla papiestwa „przyjaźń" między katolickim władcą „rzymskim narodu niemieckiego" a potężnym królem Polski była sprawą o kluczowym znaczeniu. Wokół niej krzątał się i Antonio Possevino, i nuncjusz Alberto Bolognetti. Przynależność Szatmáru, miasta rodzinnego Batorego, była o tyle trudna, o ile obie strony traktowały ją prestiżowo; w końcu król z kwaśną miną zgodził się zmienić za-

sięg roszczeń, gotów zrezygnować z Szatmáru na rzecz Nagybanya z kilkoma wsiami i kopalniami złota. Ale gdy pełnomocnicy Batorego zjechali się z posłami cesarza w Koszycach i ułożyli wszystkie warunki, „cesarscy komisarze położyli na końcu ten warunek, żeby król zwierzchnictwo cesarza uznał i przysięgę lenną wykonał".[15] Była to gra dość typowa dla dyplomacji austriackiej, choć za daleko idącym żądaniem Habsburga zdaje się kryć cała nadzieja na podważenie pozycji Batorego na zbliżającym się sejmie. Oburzony król zerwał układy. Gdy nadzieje Rudolfa II okazały się płonne, a Batory „kataklizm" sejmowy przetrwał, cesarz tych chętniej zaczął przychylać ucha Possevinowi, który zajmował się łagodzeniem sporu między obydwoma władcami. W końcu Zamoyski, odwoławszy się do swej rozległej wiedzy prawniczej, usunął formułę przysięgi zmieniając ją na sformułowanie zgodne z wolą króla. Tym sposobem układ o Szatmárze dla Batorego i jego następców w 1585 roku został wreszcie zawarty.

Postępowanie cesarza musiało jednak mocno rozeźlić króla, choć oczywiście w granicach określonych jego celami: już niebawem zobaczymy go pochylonego nad wszystkimi traktatami, jakie zawarła Polska z Habsburgami. Dostrzegł to, co było zwyczajem świetnej skądinąd dyplomacji austriackiej: formułowanie artykułów tak, by stawiały Austrię w sytuacji korzystniejszej. Może nie tyle wobec Rzeczypospolitej, ile wobec krajów, gdzie Piastowie i Jagiellonowie zasiadali na tronach: prowincji śląskiej, Czech, Węgier. A na te kwestie Batory był mocno uczulony, ze względu na los Węgier. Toteż gotów był zawrzeć przymierze z cesarzem, ale na zupełnie nowych warunkach chroniących prawa Węgrów i Czechów, jak i granice Rzeczypospolitej przed ewentualnym złamaniem „pokoju wieczystego" z Polską przez Turcję. Cesarz i stany niemieckie miały wreszcie określić liczbę wojska lub „sumę pieniężną", którą zamierzały wspomóc Polskę w razie rozprawy z Osmanami; nawet jeśliby na to nie przystały, Batory zobowiązywał się nakłonić stany siedmiogrodzkie i synowca do przyjęcia podobnego warunku. Był to już element w gigantycznej grze dyplomatycznej, jaką zaczął prowadzić Batory. Zawarcie przymierza w zamierzeniach króla miało skrępować ruchy

cesarza, jako tako zabezpieczyć przed niebezpieczeństwem tureckim, otworzyć dla Węgier nowe nadzieje, a nade wszystko rozwiązać Stefanowi ręce na Wschodzie.

Projekt ten, mimo że król polski miał duże prerogatywy w prowadzeniu polityki zagranicznej, musiałby zatwierdzić sejm walny. Niestety, nie zdążył; interesująca wielka gra batoriańska wobec Habsburgów nie zdążyła się rozwinąć.

V. ŚCIĘCIE

Mimo że na wesele Zamoyskiego z Gryzeldą Batorówną stawili się niemal wszyscy przedni senatorowie, „maiores et minores", nie oznaczało to jeszcze, iż potężny kanclerz stał się znienacka popularny. Jeśli nawet był to szacunek, to mocno podszyty niechęcią lub obawą utraty łaski pierwszego senatora. Wprawdzie starosta przemyski Jan Tomasz Drohojowski zapewniał kanclerza, że „ludzie ślacheccy" są „kontenci z każdego responsu WM i kochają się w zdrowiu WM", ale rychło okaże się, ile warta jest ta „miłość". „Żona ta wniosła Zamoyskiemu niemałe skarby, dodała mu dużo powagi, ale też ściągnęła na niego niemało zawiści ze strony zazdrosnych ludzi" — zauważył kronikarz, za zgodą, a raczej podpowiedzią kanclerza. Zdanie to miało objaśniać w jakiejś mierze przyczyny fatalnej „sprawy Zborowskich", której skutki długie lata odczuwać będzie Rzeczpospolita.

Jak wiemy z wielu scenek naszkicowanych w książce, król konsekwentnie pomijał Zborowskich przy rozdziale urzędów i godności. Widzieliśmy prestiżowe zwady pod Wielkimi Łukami między marszałkiem koronnym Andrzejem Zborowskim a marszałkiem litewskim Albrychtem Radziwiłłem. Patrzyliśmy na scysje między tymże Zborowskim a hetmanem wielkim koronnym pod Pskowem, łagodzone przy kielichu przez Zamoyskiego, który przecież nie dał uszczknąć nic z powagi hetmańskiego urzędu. Słuchaliśmy także Samuela Zborowskiego proszącego 4 września 1580 roku pod Wielkimi Łukami Stefana Batorego, „aby z niego zdjął banicję, ażeby mógł

w Polsce mieszkać — na co mu Król JMść odpowiedzieć kazał [zwrot ten oznacza, że do bezpośredniej rozmowy chyba nie doszło — J. B.], że tak zgoła uczynić nie może". Pozostawił jednak Batory światełko nadziei: „ale chce li [Samuel — J. B.] do tego przyjść, o co prosi, niech tedy teraz w dobywaniu zamku co istotnego pokaże".[1] Zborowski, jak wiemy, nie zdążył, ale potem widzimy go nie tylko w obozie brata, obrażonego na króla, ale i w wielu brawurowych akcjach. Takich jak na moście przez Turopończę, gdzie samotrzeć, z Markiem Sobieskim i Stanisławem Żółkiewskim, bił się z Rosjanami, których miało tam paść ponoć aż siedemdziesięciu.

Ród jednak był już poważnie osłabiony przez śmierć wojewody krakowskiego Piotra w 1581 roku i fatalne knowania miłośnika różnych władców niechętnych Batoremu, Krzysztofa Zborowskiego. Samuel zdjęcia banicji nie uzyskał.

Widząc niechęć króla, nie mogąc zaspokoić swych niezwykle wygórowanych ambicji rycerskich i w ślad za tym urzędniczych, Samuel chciał porzucić służbę u Batorego. W końcu 1581 roku myśli o wyjeździe do Francji. „P. Samuel Zborowski jechał do Francji do króla francuskiego, a wtem zmarła jego pani małżonka" — pisał Jan Czermiński do biskupa Kromera.[2] Zdaje się, że ta śmierć zatrzymuje banitę w kraju. Oczy zwraca w zupełnie innym niż Francja kierunku: „umyślił inną stroną do Moskwy z nimi wtargnąć". Z nimi, oznaczało — z Kozakami.

Na Zadnieprzu przyjęto Samuela dobrze. „My też gdyżeśmy się tu ciebie doczekali, tak zacnego Polaka, wielkiego urodzenia pana, z szczęścia i z męstwa sławnego, nie mogąc cię tu niczym innym udarować, podawamy-ć tę broń pierwszych hetmanów miejsca tego" — orzec mieli Kozacy.[3] Ponoć byli uradowani pojawieniem się słynącego z szalonej odwagi rycerza magnata, którego osoba gwarantowała śmiałe wyprawy, a nade wszystko — łupy. Jak twierdzi Bartosz Paprocki, Zborowski stał się atamanem wojowniczej społeczności „ziem okrainnych", złożonej z mozaiki narodowości, stanów i profesji: ludzi żyjących na marginesie prawa Rzeczypospolitej.

Samuel jednak nie kwapił się do pójścia w głąb Rosji, jak obiecywał. Uskarżał się na niechęć panów koronnych i króla. Zaczął natomiast uprawiać wielką, jak mu się pewnie zdawało, politykę: targował się z chanem przez jego posłów, pozwalał zapraszać się na wyprawę turecką do Persji, żądał od hospodara Piotra Kulawego pięciuset koni, przychylał ucha obietnicom chana mającego wprowadzić go właśnie na tron hospodarski Mołdawii. W rzeczywistości było to budowanie zamków z piasku. „Droga go już do Moskwy omyliła, także i do Persji", pozostały łupieskie wyprawy na posiadłości i galery tureckie przemierzające Morze Czarne. Po nieudanej eskapadzie jakiegoś Kozaka nazywanego Emmanuelem latem 1583 roku Zborowski ruszył w kierunku Perekopu. Dalsze jego działania znamy: spalenie Jahorliku, walka z galerami tureckimi, podczas których zginął sandżakbeg Oczakowa, i wreszcie złupienie, spalenie i wymordowanie miejskiej części Tehinii, co tak mocno wstrząsnęło sułtanem.

Dwanaście tysięcy złotych — wartość zdobytych armat — i utrwalenie swego imienia w dumach kozackich stanowiło niewiele w porównaniu z gwałtownym zaognieniem się stosunków polsko-tureckich.

...był Hryćko Zborowski,
Ataman kozacki zaporoski,
Ten się przechadza na okręcie,
Przemawia słowy w złym momencie:
Ktoś między nami, panowie,
Wielki ma grzech na sobie!

— śpiewano niebawem na Ukrainie.[4] Jakże łatwo powstawały tam legendy, jakże nieprawdziwy jest mit, że ówcześni Kozacy to tylko element ruski, prawosławny, obcy Polakom i jej szlachcie. Król jednak nie mógł sobie pozwolić na bezprawie i „grzechy" Zborowskiego grożące załamaniem się jego polityki południowo-wschodniej.

Piątego grudnia 1583 roku na sejmie król Stefan wydaje *Litterae universales de capiendo Samuelo Zborowski banito.*[5] Na mocy tych uniwersałów król nakazał ująć banitę Samuela Zborowskiego. W uniwersale wymieniono też wszystkie jego wykroczenia.

Samowola Samuela, rujnująca z takim trudem budowaną bato-

riańską politykę pokoju z Osmanami godną wielkiego państwa i króla, przyśpieszyła decyzje Stefana. Dotąd był skłonny patrzeć przez palce na przygody i awanturki tego, któremu w jakiejś części zawdzięczał tron wawelski. Teraz w grę wchodziła wielka polityka, a nie osobiste animozje czy sympatie króla — i Samuel musiał zostać schwytany. Z pewnością nie miała to być ofiara złożona jedynie na ołtarzu pokoju z Turcją. Wracając do Warszawy na sejm 1582 roku, jak wiemy, król wyraźnie zauważał objawy rozprzężenia w państwie, a przebieg sejmu to potwierdził. Nic dziwnego, że Batory wtedy to właśnie „przypomniał i to, że się silne łotrostwa w Polsce znajdują, a k a r a n i a ż a d n e g o n i e m a j ą [podkreślenie moje — J. B.], jako Krzysztof Zborowski ruskiemu [rosyjskiemu — J. B.] posłowi w Lubczu przysięgał na wierność kniaziowi moskiewskiemu wziąwszy 1200 talarów. K temu jako w Krakowie o fałszywą mincę [monetę] pojmano sługę Albrychta Łaskiego wojewody sieradzkiego, który wyznał i listy na to okazywał, że to z wolą pana swego czynił. Więc że za wiadomością tegoż Łaskiego rozbito kupca, pieniądze mu pobrano; temu wszystkiemu zabieżyć by trzeba" — dowodził Batory wspomniawszy przedtem o knowaniach Czarnkowskiego.[6]

To było preludium: już niebawem, na początku 1583 roku, Zborowscy będą chcieli się porwać na groźniejsze i obrzydliwsze czyny. Nie zdołają długo utrzymać tego w tajemnicy i ich niecne zamiary dojdą do uszu króla w przedziwnych i awanturniczych okolicznościach.

Łaski, Zborowski, Czarnkowski; zdrada za talary czy ruble i fałszowane monety. Analogie z Ościkiem i Czeczotką nasuwały się same. Dworowi mogło się wydawać, że szlachta, dobrze obeznana z katowskim mieczem tnącym szyje wysoko urodzonych łamiących jawnie prawo, jest już psychicznie przygotowana na drastyczne posunięcia władzy. Przebieg sejmu wykazał jednak, że herbowi gotowi są uznawać wyroki, lecz wydawane na sądzie sejmowym odbywającym się na ich oczach. Królowi i kanclerzowi w przededniu realizacji wielkich planów zagranicznych była bardzo potrzebna dyscyplina społeczna. A nade wszystko wzmocnienie i niezależność władzy, która — jak wykazały to wyprawy przeciwko Moskwie — była tak skrępowana przez parlament i opieszałość administracji, że król nie mógł nigdy we właściwym czasie zebrać armii i osiągnąć operacyjnego celu. Mimo wielkiej energii i umiejętności korzystania ze wszystkich artybutów swej królewskiej władzy.

Z drugiej strony rosły nastroje opozycyjne wobec umocnienia się niezależnych rządów Batorego. Na sejmiku w Opatowie, w przededniu sejmu 1583 roku, Prokop Pękosławski znów pomawiał króla o deptanie praw i przywilejów szlacheckich, przekładanie wojen nad reformy wewnętrzne. „Bo jeśliż prawa, swobody nasze upadną, te triumfy, by też były najszczęśliwsze, na co się nam przydadzą"[7], wołał poseł, jeden z przywódców szlacheckiej opozycji antybatoriańskiej.

Należało zatem uczynić pierwszy krok w grze, którą Zborowscy sprowokowali sami. Pretekst do zdławienia opozycji wydawał się wyborny.

Niestety, nie znamy treści rozmów, jakie musieli prowadzić między sobą Batory i Zamoyski. Po weselu kanclerza król we wrześniu 1583 roku wyjechał z Krakowa do Korczyna i Lublina. Miał przejeżdżać przez Zborów, nieświadom zagrożeń, jakie nań czyhały ze strony Zborowskich. Stąd ruszył w stronę Litwy, do ukochanej puszczy. W listopadzie widzimy go na polowaniach koło Knyszyna, skąd jedzie na sejm do Warszawy. U jego boku, w wolnych chwilach od polowań, tkwi książę pruski Jerzy Fryderyk, zajęty głównie korzystnym dlań rozejmem piltyńskim.

W listach kanclerza słanych w styczniu i lutym 1584 roku do Grodna, a potem do Wilna, gdzie znalazł się król, oraz w lakonicznych odpisach Batorego zalega dziwny obszar milczenia na temat Samuela. A przecież jest to czas rozsyłania uniwersałów królewskich o nakazie ujęcia banity. I przecież już wiadomo, że Zborowscy planowali zamach na życie króla i kanclerza. W przedziwnych okolicznościach w jednej z karczem Lwowa węgierski pan Cobar, wracający późną wiosną 1583 roku z wyprawy przeciw Tatarom, zasiedział się przy kielichu. Przepijając gęsto do nieznajomego zdolnego lutnisty, umilającego mu czas, i obdarowując węgierskimi grosza-

mi, nieoczekiwanie dowiedział się zaskakujących rzeczy. Zborowscy knują poważny spisek. Następnego dnia po suto zakrapianym małmazją śniadaniu lutnista Wojtaszek Długoraj wyjaśnił, że „pan mój Samuel Zborowski znajduje się prze kilka mil odtąd, i że chce się udać do niego, pisania własnoręczne jego braci doń pisane przynieść, z których można będzie widzieć, jako umówili się dać truciznę Jego Królewskiej Mości, a wielkiemu kanclerzowi gardło poderżnąć".[8] Pod naciskiem Cobara i jego towarzysza „pana Zyberyka" (chyba jednak nie Jerzy Zibryk?) listów tych Wojtaszek Długoraj zobowiązał się nie oddawać Samuelowi, lecz dostarczyć w ręce królewskie. W dramatycznych okolicznościach, goniony przez Zborowskiego, który zorientował się w kradzieży, lutnista zdołał wręczyć je na Wawelu Batoremu.

Wybuchnął okropny skandal. Na próżno kasztelan gnieźnieński Jan Zborowski, cieszący się nadal ufnością Batorego, usiłował przestrzec króla, by „zbiegowi ladaco chłopakowi torbaniście wiary nie dawał. Król daje mu listy i pieczęcie do rozpoznania, po czym pan Zborowski musiał odejść i siedzieć cicho."[9] „Poznał pieczęcie rodowe herbu Jastrzębiec! Po Rzeczypospolitej gruchnęła wieść, iż „wynurzyło się to tu, że p. Samuel Zborowski stoi na zdrowie królewskie trucizną albo jakimkolwiek sposobem, także na pana kanclerza."[10]

Sądzić należy, że famę przyjęła szlachta ze szczyptą niedowierzania: królobójstwo nie mieściło się w ogóle w mentalności ani zwyczajach polskich. Jan Zborowski przy tym niepotrzebnie kierował się rodzinną solidarnością: był znienawidzony przez braci, szczególnie przez Krzysztofa, gdyż „król i kanclerz go zowią: że ten Zborowski nasz, ten tylko dobry, o drugich nic, plewy to tam..."[11]

Wydawałoby się, że król i Zamoyski mają dość dowodów w ręku, by rozbić potężny ród. A jednak pojawiają się niedomówienia, wydarzenia zaskakują pilnych obserwatorów afery. Oto główny świadek oskarżenia łatwo i szybko wymknął się z rąk obu najpotężniejszych w Rzeczypospolitej mężów stanu: Wojtaszek Długoraj ucieka z Wawelu i ślad po nim ginie. Odtąd oskarżenie zaczyna być budowane na bardzo kruchych podstawach. Jedynie z pisma Krzysztofa

do Samuela dowiadujemy się bowiem o jakiejś tajemniczej naradzie „na trawie zborowskiej" tyczącej się, być może, zamordowania króla, gdy ten będzie przejeżdżać do Lublina przez Zborów. „Krzychnik niecnota", ledwie odstawiony od pensji cesarskiej, niedawno zjechał do Polski z Regensburga, szargał majestat królewski, co było jednym z poważniejszych wykroczeń. Mianowicie zwał Batorego złym i niebożnym człowiekiem, co się „na niewinne i poczciwe ludzie psim zębem swym puścił" oraz „Baalem", czyli bałwanem.[12] Powód nienawiści do króla był dość prosty: Batory nie chciał dać zmiennemu magnatowi czterech tysięcy florenów pensji. To wystarczyło, by oskarżać bardzo religijnego Batorego nawet o bezbożność; może i dlatego, że Zborowscy to kalwiniści ze szczególną złością patrzący na Zamoyskiego, który wedle ich podejrzeń zmienił kalwinizm na katolicyzm dla kariery. Obrzydliwe epitety Zborowskiego pod adresem władcy — rzadko spotykane w ówczesnej tradycji politycznej — były wystarczające do przywiedzenia Krzysztofa przed sąd, choć de facto list był prywatny i przypadkiem (?) dostał się w ręce króla. Nadal jednak, nawet na podstawie tego listu, nie wiemy z całą pewnością, czy Krzysztof i jego bracia knuli spisek na życie Batorego i jego kanclerza.

Zamoyski prowadził początkowo wobec potężnego rodu uczciwą grę urzędnika i magnata. Przed Krzysztofem w połowie 1583 roku dowodził że pragnie, „aby n i e s ł u s z n ą b a n i c j ę [podkreślenie — J. B.], bo ją i kanclerz tak zowie, zdjęto".[13] Ale też ostrzegał wielekroć Samuela przez familiantów, aby trzymał się z daleka do Krakowa i jego okolic, które podlegały jego jurysdykcji jako staroście krakowskiemu. Samuel jednak nie tylko zlekceważył „braterskie napominanie", lecz prowokacyjnie jeździł w ślad za Zamoyskim. Co gorsza, nawet w ulubionych miejscach, Puszczy Niepołomickiej czy Knyszyńskiej, król nie mógł się czuć bezpiecznie: krajczy koronny Hieronim Filipowski ostrzegał przed zasadzkami. W końcu wzburzony Zamoyski przez marszałka Andrzeja Opalińskiego wyrzekł się uroczyście „przyjaźni" z potężnym rodem. Bezpośrednią przyczyną była scysja bliskiego kanclerzowi podstarościego krakowskiego Mikołaja Urowieckiego ze stronnikiem Zborowskich, burgrabią wawelskim

Zygmuntem Palczowskim. Zamoyski stanął po stronie Urowieckiego, choć to podstarości najechał gwałtem na dom Palczowskiego.

Nie jest wykluczone, że rajdy Samuela na tyłach Zamoyskiego były czczą fanfaronadą awanturnika. Rozporządzenia w sprawie własnych dóbr, wydane przez Samuela we Lwowie, zdawały się wskazywać, że banita chce rzeczywiście wyemigrować. Nowe wieści mówiły o Italii. Zamoyski gotów był te rajdy tolerować w Sandomierskiem; w Krakowskiem uznał za lekceważenie jego władzy starościńskiej. Król, zapytany ponoć przez kanclerza, co czynić wobec Zborowskiego, miał odrzec lakonicznie:

„Pies wściekły raz zabity, więcej nie kąsa." [14]

W końcu kwietnia 1584 roku Samuel krążył niedaleko Krakowa, przechwalając się, że niedługo wjedzie tam ze zbrojnymi pocztami. Batory jest daleko, w Wysokim Dworze, gdzieś koło Kowna, skąd pyta kanclerza o radę, jak wykorzystać śmierć hosudara Iwana, „ne eam occasionem negligamus, utque persuasionibus et verbis utamur simulque etiam ipsis et gladium ostendamus". Chodziło o to, by wykorzystać okazję, wpływając na Rosjan „słowem i obnażeniem miecza".[15] Król wyraźnie lekceważy sprawę Zborowskich albo objęta jest ona sferą milczenia; mocniej interesuje go kwestia obsady opactwa oliwskiego po śmierci tamtejszego przeora. Do tego stopnia, że Batory własną ręką kładzie długi dopisek do Zamoyskiego w tej sprawie. Tymczasem czyny Samuela na odległość wonieją prowokacją: wydawać by się mogło, że i Zborowscy szaleńczo prą do próby sił. Z drugiej strony: skąd taka niefrasobliwość i poczucie bezkarności Samuela? Oto Zborowski poczet swój zostawia w Jakubowicach, wsi za Proszowicami i niemal samotnie jedzie do swej siostrzenicy Elżbiety Włodkowej do Piekar. Zamoyski wysyła tam Urowieckiego i Żółkiewskiego; pod toporami ich żołnierzy padają drzwi frontowe i kuchenne. Samuel, skryty wśród białogłów, niemal się nie broni i zostaje ujęty bez szwanku. Jest 11 maja 1584 roku.

Dalsze dzieje sprawy Zborowskich, zresztą i tak dotąd dość pobieżnie opisanej, zasługują na osobną rozprawę. Zamoyski, antycypując wyrok czy raczej przygotowując szlachtę do ścięcia Zborowskiego, już następnego dnia ogłasza z Krakowa, gdzie w zaciemnionym powozie przewozi niesfornego magnata, że „egzekucji odkładać nie mam wolej".[16] Reakcje szlachty nie sprzyjają jednak zamiarom kanclerza. Szczególnie mocno wstawia się za Zborowskim znany z uczciwości wojewoda sandomierski Stanisław Szafraniec. Ale kanclerz, mając wyraźny placet króla, raz zdecydowawszy się pokazać siłę i złamać opozycję, ani myśli rezygnować z postawienia banity przed sądem starościńskim, czyli swoim. Jego wyjaśnienie dla Szafrańca w tej kwestii nie pachnie przy tym sofistyką lub demagogią, którą Zamoyski umiał się zręcznie posługiwać. Są to raczej gorzkie wyrzuty przedstawiciela prawa i jurysty, a jednocześnie najwyższego urzędnika w Koronie, który przez tyle lat znosił jawne łamanie prawa w Rzeczypospolitej. „Kiedy prawo uczynione przeciw wszystkim, nie wszystkich jednakowo dolega, traci ono, jaką by miało mieć, moc swoją, bo jakoż to miało być, żeby srogość prawa miała jednych dotykać, drugich ochraniać" — ironizował gorzko kanclerz.[17]

Ścięcie Samuelowi głowy 26 maja na placyku za skrzydłem zamku wawelskiego, na mocy wyroku sądu starościńskiego, rozpętało niespodziewanie silną burzę w kraju. Opisy spotkania „kata" Zamoyskiego i ofiary okrutnej kaźni, godnego zachowania się banity, pełne są wyrazów współczucia dla Samuela i nie tajonej odrazy do kanclerza, któremu wkładano w usta rozmaite „wszeteczeństwa". „Samusiu, a tuś mi, już dasz gardło" — miał naigrawać się ze skazanego Zamoyski.[18] Któż to wie, może prawda; pan na Zamościu nigdy nie grzeszył modestią, a już szczególnie w chwilach triumfu. W każdym razie już 30 maja po godzinie siedemnastej głos marszałka Andrzeja Zborowskiego biegnący spod Bramy Floriańskiej, gdzie wystawiono zwłoki Samuela, uzmysłowił kanclerzowi, że jest oskarżany o najbrzydsze występki: prywatę i tyranię. Kazuistyka marszałka wołającego nad trupem brata wydawała się przy tym poprawna, gdyż Samuel nie był infamisem, którego każdy mógł zabić, lecz banitą skazanym bez utraty czci. Wedle prawa starosta zatem nie mógł go ściąć nawet po procesie sądowym, ale po zasądzeniu go przez samego monarchę. „Jedno Król JMć sam przez się na ciele banitę karać ma" — twierdził Andrzej Zborowski.

Jeszcze nie wiedziano, że kanclerz porozumiewał się w tej materii

ze Stefanem Batorym i prawdopodobnie głowa Samuela spadła w dniu, kiedy goniec przygalopował z odpowiedzią króla.[19] Poczta Montelupiego działała sprawnie i list mógł dotrzeć z Grodna do Krakowa w trzy dni.

Ale z tym pismem króla — zagadkowa sprawa. Po pierwsze, obszerny list Batorego do Zamoyskiego, wysłany 23 maja, zdaje się świadczyć, jak drugorzędna w opinii monarchy była sprawa Zborowskiego. Znajduje się ona w piśmie na przedostatnim miejscu: na pierwszym, co zrozumiałe, kwestia pozyskania umysłów i sakiewek szlacheckich do wielkich planów przyłączenia Moskwy. Król zdawał się zupełnie nie dostrzegać zależności tych dwóch spraw. „De Samuele Zborowski idem sentimus ne in eo servando longiorem faciat moram, sed quemadmodum Regni iura disponunt atque permittunt, ut cum eo i u r e c a p i t a n e i [podkreślenie moje — J. B.] utatur.” [20] Z treści listów wynikało zatem, że Zamoyski zapytywał lub nawet uzgodnił z królem, czy może skorzystać z „uprawnień starosty” — i Batory mu na to zezwolił, każąc działać „bez dalszej zwłoki”!

Tu jednak pojawia się, nie pierwsza przecież, zaskakująca sprzeczność. Oto jednocześnie król donosił Zamoyskiemu o rozmowach z kasztelanem trockim Krzysztofem Mikołajem Radziwiłłem i orzeczeniu Trybunału Lubelskiego, że w sprawie schwytania i osądzenia Samuela musi się wypowiedzieć monarcha. Było to echo skargi marszałka nadwornego Andrzeja Zborowskiego w Lublinie, pomawiającego Zamoyskiego o złamanie prawa: jego brat „captus sit contra securitatem”, został schwytany wbrew prawu szlachcica do bezpieczeństwa. Szło tu zapewne nie tylko o neminem captivabimus (nietykalność bez wyroku sądowego), ale i zajechanie domu szlacheckiego: Samuel został przecież schwytany w dworku Elżbiety Włodkowej. List z wyjaśnieniami sędziów Trybunału Lubelskiego przywiózł Mikołaj Samborecki. Król, nadal słabo orientujący się w gąszczu praw polskich, po rozmowie z Samboreckim i lekturze listu senatorów napisał do kanclerza: „Odpowiedzieliśmy mu, że nie było nam wiadomym, aby w tej sprawie my powinniśmy wydać zarządzenie nadzwyczajnym trybem, lecz kiedy przybędziemy do starostwa, tam

rozstrzygniemy prywatną krzywdę Zborowskich królewskim sądem. O czym chcemy powiadomić Waszą Miłość”, Jana Zamoyskiego.[21]

Jest w tym jakaś niekonsekwencja. Jednocześnie zezwolenie królewskie na „iure capitanei”, skorzystanie z prawa starosty przez Zamoyskiego i zapowiedź „via regia procedemus”, sądzenia banity przez samego króla. Ta dwuznaczność, wahanie, jest zapewne wynikiem braku wiedzy prawniczej Batorego — i dość typowej dla Jego Majestatu chęci przedkładania woli królewskiej nad prawa polskie. Popełnić błąd interpretacyjny było łatwo. Pierwsze zdanie króla o sprawie Samuela Zamoyski wybrał jako obligatoryjne. Mógł wybrać, król na to zezwolił, choć z dużymi zastrzeżeniami, uprzedzony przez Trybunał Lubelski, że do niego należy wydanie wyroku. Z uprawnień starosty kanclerz skorzystał, do sądu królewskiego nie doszło, odium za głowę Samuela Zborowskiego brał Zamoyski na siebie.

Król bowiem — przezornie lub przypadkiem — był daleko. Ale i do Grodna zaczęły biec głośne krzyki Zborowskich, potężniejące o inne z każdym dniem. Wzmianka Andrzeja Zborowskiego pomawiającego o „przyrodzenie tyrańskie, jako się na jednej krwie nieprawnie zajuszy, nie tuć stanie, bo słodka t a k i m w ę ż o m [podkreślenie moje — J. B.] krew ludzka” — mogła dotyczyć nie tylko kanclerza.[22]

Słabnący ród spotężniał z dnia na dzień nie tylko nienawiścią do władzy, ale i rosnącym poparciem szlachty. Nawet Jan Zborowski, przez tyle lat blisko króla, był oburzony na „niebacznego człeka”, kanclerza, i przekonany — czemu dał wyraz w liście do Batorego — że Zamoyski chce „wszystkie domy co celniejsze w Polsce naprzód do niełaski Waszej Król. Mci przywiódłszy, wyniszczyć do gruntu”.[23] Poparcie, jakie zyskali Zborowscy, zdaje się wskazywać, że nie był to głos odosobniony, że tak myśleć zacznie większość szlachty, coraz chętniej słuchającej, jak na przykład herbowi w powiecie proszowickim, zobowiązań Krzysztofa, iż „krew krwią zapłacona będzie”.[24] Nie baczono już, że brzmi to cokolwiek dziwnie w zestawieniu z wywodami Zborowskiego, że kanclerz usiłuje go otruć przez nasłanego pokojowca królewskiego, niejakiego Pruskiego.

Zlekceważona lub źle skalkulowana przez króla sprawa zaczęła ważyć na stosunkach wewnętrznych w Rzeczypospolitej.

VI. PRÓBA SIŁ

Skutkiem ścięcia głowy niesfornego magnata życie polityczne w Polsce w mgnieniu oka spolaryzowało się na dwa stronnictwa. Oczywiście król nie opuścił swego kanclerza i usiłował nie tylko wyciągnąć go spod piorunów, ale i zyskać na tej burzy. Sam Zamoyski wydawał się nieco podłamany „przypadkiem żałosnym, któregom się, wyjeżdżając z Knyszyna, nie spodziewał”.[1] Może to tylko gra wobec marszałka Radziwiłła, do którego pisał latem te słowa? Czy kanclerz naprawdę nie wiedział, po co jedzie do Krakowa?

Na sierpień 1584 roku król zwołał do Lublina radę senatorów. W zamierzeniu władcy miała ona jego i Zamoyskiego wesprzeć. Jednak właśnie w Lublinie okazało się, jak wielu Batory stracił adherentów: senatorscy zwolennicy Zborowskich, a było ich niemało, pozostali w domu. Nie zrażony tym król, „jako był wymowny, zagaił rzecz obfitymi słowy”, twierdząc, że ma listy od pewnej znakomitej osobistości, w których stoi o niebezpieczeństwie, jakie jemu, monarsze, zagrażało od Zborowskich. O sprawie tej miał wiedzieć prymas. Krąg tajemniczych zdarzeń powiększał się jednak, gdyż arcybiskup Karnkowski nie przybył na zjazd — twierdził, że jest niezdrów — i nie potwierdził słów królewskich. Dlaczego? I znów wracało pytanie — o czym mówił, co planował Batory z Karnkowskim, kiedy pod pozorem łowów odwiedził go znienacka w Łowiczu razem z Zamoyskim?

Wplątywanie w aferę imienia arcybiskupa gnieźnieńskiego przyjęto źle. „Wszyscy senatorowie byli urażeni tym.” Gdy Batory wezwał ich do wotowania, okazało się, że przeważa opcja łagodna: arcybiskup lwowski Solikowski nakłaniał króla do umiarkowania, powołując się na wiele starożytnych i współczesnych przykładów. A przede wszystkim na tradycje polskie, według których władcy „rządzili krajem raczej wzorem łaskawych i pobłażliwych ojców niż królów, raczej słusznym i umiarkowanym sercem i dobrym umysłem niż srogością prawa”.

Ale Batory zdawał się daleki od wypuszczenia okazji twardego rozprawienia się z opozycją i przychylił ucha radzie biskupa kra-

kowskiego Piotra Myszkowskiego. Krzysztof i Andrzej Zborowscy mieli zostać pozwani przed sąd sejmowy. Oskarżenia były bardzo ciężkie: „de crimine laesae maiestatis” (obraza majestatu); Krzysztofa ponadto obciążono oskarżeniem o zdradę stanu oraz zniesławieniem kanclerza Zamoyskiego i Krzysztofa Dzierżka.

„Na tejże konwokacji w Lublinie umarł Jan Kochanowski herbu Korwin, poeta taki polski, jaki w Polsce jeszcze ani był, ani się takiego drugiego spodziewać możem” — westchnął kronikarz Marcin Bielski nad nieszczęściami krajowymi chadzającymi w parze.

W Rzeczypospolitej bowiem zaczęło już wrzeć. Po raz pierwszy od lat na sejmikach nie tylko krzyczano, ale sięgano po broń. Krzysztof Zborowski, wzmocniony finansowo po udanym poślubieniu na Morawach bogatej wdowy, Kawki, nie przebierał w środkach, by poruszyć masy. W Proszowicach na sejmiku strzelano do przyjaciela kanclerza, Mikołaja Zebrzydowskiego, gdy ten wchodził do kościoła. Na generalnym sejmiku wielkopolskim w Środzie obrońców Zamoyskiego „zkrzyczał groźnie” potężny wojewoda poznański Stanisław Górka. Nie powiodło się stronnikom królewskim w Sandomierzu. Na sejmiku ruskim w Wiszni rozgorączkowany Stanisław Żółkiewski, krewny hetmana wielkiego koronnego, rwał się z szablą na Jana Herburta z Bruchnala, podobnie jak różniący się w opiniach adwersarz. Do pojedynku na szczęście nie doszło, choć bitny Żółkiewski zajechał pod dom, jak się niebawem okaże, przyszłego szwagra, chcąc się z nim pojedynkować. Szło oczywiście o nie rozstrzygnięty na sejmiku pogląd na „winę” Zamoyskiego. Właściwie tylko Łęczyca, Sieradz i Mazowsze stały po stronie kanclerza i tym samym króla; Litwę, Prusy, Inflanty mniej Zborowscy obchodzili. To była sprawa Korony.

„Ciągnęli teraz wszyscy na sejm jakby na wojnę, uzbrojeni i z licznymi pocztami” — stwierdził Heidenstein. Wydawało się, że powstaje upiór wojny domowej. Król jednak nie przejmował się groźbami i niebezpieczeństwem, nadal dając dowody niebywałej odwagi i zaufania do tradycji Polaków. Nie pozwalał podwajać straży w nocy; polując zapamiętale „wyjeżdża na pole w czterdzieści albo i wię-

cej koni z małymi ruszniczkami i to nie wszyscy. Ale żeby Król JMść nie miał mieć straży i szpiegów nieznacznych i tam, i sam, nie rozumiem tego" — biadał ksiądz sekretarz Jan Gałczyński, strwożony wieściami o groźbach i poczynaniach Krzysztofa Zborowskiego.[2] Skąd Stefan Batory brał takie poczucie bezpieczeństwa, skoro miał listy świadczące o spisku Zborowskich i groźbie zamachu na niego? Czyżby tylko wyzywał ślepy los?

Do Warszawy nadjechał Batory od strony wsi Grochów 12 stycznia 1585 roku, witany tam przez wojewodę kijowskiego Konstantego Ostrogskiego, otoczonego półtora tysiącem jeźdźców, i Jana Zamoyskiego prowadzącego takiż hufiec. Batoremu zależało na zjednaniu zwolenników: podczas powitania, „choć na mrozie, Król zdjąwszy czapkę, na koniu stał".[3] Siłom regalistów Zborowscy przeciwstawiali własną armię wzmocnioną hufcem Stanisława Górki, która stanęła we wsi pod Warszawą. Zborowscy chcieli wjechać do miasta z trupem Samuela, jego dwojgiem dzieci i sztychem z wyobrażeniem kaźni ich brata, by ustawić tę dekorację na środku Sali Senatorskiej i paktować pod jej patronatem. Był to sposób już wypróbowany na cmentarzu proszowickim, gdzie przyniósł bardzo dobre dla sprawy rodu rezultaty. Dopiero bezpardonowa uwaga Batorego, że wrzuci trupa do Wisły, uzmysłowiła im, że król bywa porywczy i wtedy zupełnie nie zna się na krotochwilach. Każdy sejm był dużym przeżyciem dla uczestników i króla; ten jednak zapowiadał się jako najbardziej gorący od chwili objęcia tronu przez Batorego.

Od 15 do 20 stycznia na Zamku Królewskim było w miarę spokojnie. Króla ciepło witał imieniem Izby Poselskiej marszałek Stanisław Pękosławski, propozycje od tronu wygłosił Zamoyski, wotowali obaj arcybiskupi. Szło o politykę zagraniczną; duże zainteresowanie wzbudzały „dobre pogody" dla Polski w państwie moskiewskim. Ale 21 stycznia, gdy Krzysztof Zborowski „na pierwszy pozew był wzdan" z oskarżenia Zamoyskiego i „przez woźnego wedle obyczaju po trzykroć i po czterykroć przywołany został" — pozory spokoju prysły. W zamku zaroiło się od rosłych hajduków z zapalonymi lontami; za plecami króla i znaczących urzędników, senatorów pojawili się dworzanie i adherenci, niektórzy z bandoletami pod sukniami. Sam zamek

opasały kohorty halabardników i żołnierzy z działami. Jedynie prymas zrezygnował ze straży, chcąc innym magnatom dać przykład.

Kasztelanowi gnieźnieńskiemu Janowi Zborowskiemu, który dzielnie stawał w obronie swego rodu, udało się opisami krzywd wycisnąć łzy u niektórych senatorów. Ale nie u króla. Rozpoczęła się gorąca wymiana zdań, podczas której rozjątrzony Batory nieraz bezpośrednio mówił do senatorów i posłów, we właściwy sobie sposób zdecydowanie i celnie, przypominając, iż „sum publica et non in privata, ex gratia dei et vestro favore persona electa". Przypomnienie, iż jest osobą publiczną, wolno przez szlachtę obraną, miało uzmysłowić zebranym, że o jakiejkolwiek prywacie nie może być tu mowy, jedynie o poszanowaniu prawa. Jan Zborowski jednak królowi nie wierzył i dał temu wyraz domagając się dla swego brata „salvi conducti", listu gwarantującego Krzysztofowi bezpieczeństwo, gdy stanie przed obliczem instygatora królewskiego Andrzeja Rzeczyckiego. Batory, choć poirytowany, glejt zgodził się wydać, po czym „zaraz wstał z rady i na przejażdżkę jeździł na Krakowskie Przedmieście", jak na odważnego króla wojennego przystało, nie dbając o groźby stronników Zborowskich. Czyżby miał nadzieję, że zdoła ich pobudzić do rozpaczliwych czynów i siłą zakończy całą sprawę?

Następnego dnia Batory zezwolił wpuścić do Sali Senatorskiej posłów ziemskich, zaniepokojonych, czy „na górze" nie narusza się wolności szlacheckich. Odtąd co dzień przysłuchiwać się oni będą rozprawom „starszych braci". Nie były to szczególnie budujące dyskusje, gdyż przewlekano je czytaniem, zdaje się z polecenia króla, mów Cycerona oskarżającego Katylinę. Wspomnienie Katyliny, rodem z poprzedniego sejmu, i teraz mocno poruszało godność herbowych. Ponadto sprawa zaczęła tonąć w prawniczych wywodach, które otworzyło żądanie Jana Zborowskiego wydania glejtu na dwa tygodnie także dla marszałka nadwornego, Andrzeja. Kasztelan gnieźnieński, wsparty przez posłów ziemskich, powoływał się przy tym na przywilej króla Aleksandra Jagiellończyka z początków wieku, ograniczający sąd królewski nad szlachcicem. Do wywodów tych dołączyli się, reprezentujący Krzysztofa, Jakub Niemojewski i Stanisław Czarnkowski, wytrawni prawnicy w sejmowych i sądowych bojach. Doszło

do błyskotliwej, ale i świetnie argumentowanej wymiany zdań z instygatorem reprezentującym stronę królewską, Batory dawał osobiście wyraz swemu zdziwieniu wobec polskiego prawa, iż „wolno obwinionemu sprawiać się przez prokuratora", i radził odwołać się raczej do ...prawa cesarskiego, „gdy czego w prawie polskim nie dostaje". Tymczasem, wbrew nadziejom króla, w prawie polskim wszystkiego „dostawało".

Z wypowiedzi Batorego często przebijał nie tylko ton zaskoczenia oporem, ale i rozdrażnienia; starali się go zatem miarkować obaj arcybiskupi. „Król nie zdawał się być w tej mierze trudnym; jak skoroby usłyszał wyznanie winy i postrzegł żal winowajców, łaskawiej by począł odprawiać sądy" — zauważył arcybiskup lwowski, często nakłaniający Batorego do okazania swej łaski. W końcu król i senat zdecydowali się wydać oskarżonym Zborowskim glejt żelazny od chwili wydania na sejmie sądowego wyroku.

Ale wiatr podejrzeń z obu stron był już zbyt silny. „Podczas tych rokowań jeden z domowników Zborowskiego, przyszedłszy doń, twierdził za rzecz pewną, iż nie zważając na glejt królewski Krzysztof w pośrodku zamku będzie zamordowany [sic!], wprzód nim potrafi zbliżyć się do króla. Wszyscy zdrowo myślący zgodzili się, iż podobna wieść jest fałszywą, ale Krzysztof Zborowski nie mieszkając, ani czekając wyroku, z rozjątrzonym sercem, na czele licznego orszaku swoich i przyjaciół, uniósł się rankiem do Morawii." Do bogatej, niedawno poślubionej Kawki na Morawy.

Sąd odbył się bez jego udziału. Instygator królewski oskarżył Krzysztofa Zborowskiego o obrazę majestatu i zdradę stanu, przytaczając obraźliwe terminy z korespondencji Krzysztofa do Samuela, w których król mianowany był „bałwanem, przed którym gnie się kolano" („et ante Baal flexissem genua"), psem i tyranem.[4] Jeszcze cięższe były oskarżenia o konszachty Krzysztofa z cesarzem, a nade wszystko posłami carskimi w Pradze i w Lubece, zakończone, a właściwie rozpoczęte przysięgą na wierność moskiewskiemu hosudarowi. Instygator przedstawił senatorom i posłom licznych świadków potwierdzających zdrady i przeniewierstwa Krzysztofa.

Gorzej było z uwiarygodnieniem spisku na życie króla. Wprawdzie w liście Krzysztofa do Samuela mowa była o jakiejś zmowie i przysiędze braci na „trawie zborowskiej", ale Jan twierdził, że owa „zmowa" dotyczyła wyjazdu z Rzeczypospolitej, gdyż jego bracia nie mogli znaleźć u króla polskiego przychylności. Olbracht Łaski twierdził jednak, że Samuel tu, w Warszawie, niedawno go namawiał, by Batorego zabić: „gdyżem to już uczynić zamyślił", mówić miał Zborowski. Na zastrzeżenia wojewody sieradzkiego miał 30 stycznia odpowiedzieć: „nic to, mój wojewoda: zbywszy tego psa węgierskiego, pomyślim o inszym lepszym". Tajemnica wyjawiona przez Łaskiego byłaby gromem z jasnego nieba, gdyby szlachta nie znała szczególnego życiorysu i prawdomówności niespokojnego wojewody, gnanego różnymi ambicjami. A poza tym — zeznanie Łaskiego nie dotyczyło Krzysztofa, lecz Samuela.

Czy jednak zdumiewająco małe przejęcie się posłów rewelacjami Łaskiego nie dowodziło słabnięcia troski herbowych o króla? I czy przypadkiem troska ta nie wyparowała? Batory szukał więc autorytetu, który przeważyłby szalę oskarżenia. Usiłowano w całą sprawę wmieszać Solikowskiego, dowodząc, iż Krzysztof Zborowski będąc na dworze cesarskim znieważał księdza. „Tę wzmiankę arcybiskup lwowski przyjął niemile, owszem, oświadczył, że w tej sprawie nie jest ani stroną, ani świadkiem." Pisał to człowiek, który Batoremu zawdzięczał w dużej mierze wielką karierę. Solikowski odnotował też, że „jako na zjeździe lubelskim, tak i tutaj chciano arcybiskupa gnieźnieńskiego mieć oskarżycielem knowań Zborowskich — wszelakoż w całej tej sprawie ani razu imienia jego nie przytoczono". I słusznie: prymas nadal uchylał się od poparcia dla dworu, teraz nie chcąc dolewać oliwy do sądowego ognia. I tak płonął on wystarczająco wysoko, by dostrzeżono go za granicami kraju.

Widząc determinację króla, obrońcy Krzysztofa usiłowali pozbawić Batorego przyjemności udziału w procesie jako strony będącej przedmiotem sprawy. Kwestię tę podjął najpierw Jan Zborowski, a potem poseł, bojowy, choć arianin, dość łatwo zmieniający polityczne przyjaźnie Mikołaj Kazimirski, oraz Czarnkowski. Ten ostatni w świetnych wotach, w których pobrzmiewała duża erudycja oratora i znajomość materii sądowej. Jego uczone powoływanie się na

przywileje króla Aleksandra spowodowały nową naradę senatorów, na której pośrednio przyznano Czarnkowskiemu rację. Posłowie mieli jednak już dość uczonego szermowania prawami i przywilejami: 12 lutego udali się „na górę" do króla z prośbą o łaskę dla Krzysztofa. Ale Batory był wytrwały: owszem, odpowiedział posłom ziemskim przez prymasa, rady panów rad koronnych „uważa", ale Krzysztof ani „serca skruszonego albo uniżonej pokuty, żadnego znaku, żadnego jawnego dowodu nie okazał", by łaskę królewską odzyskać. „Król dalej kazał postępować" w procesie — to częste słowa Batorego utrwalone w diariuszach sejmowych 1585 roku.

Zatem — „postępowano", a złość króla wzrastała. Aż przerwała tamę królewskiego opanowania. „Panowie senatorowie! Albo mi uczynicie sprawiedliwość, albo mi rozwiążcie te ręce, któreście mi prawami waszymi związali, a ja się pomszczę mej krzywdy" [5] — wołał. — „Non me fecit natura sanguinarium nec sum expers humanitatis" [6] (Natura nie uczyniła mnie łasym na krew ludzką ani nie jestem pozbawiony człowieczeństwa). To chyba właśnie wtedy „szable sobie poprawował, jako raczył", o co potem oskarżał go Krzysztof Zborowski. Rzeczywiście: odnotowano, że dłoń króla sama, mimowolnie wędrowała na rękojeść broni. Z pewnością demokracja jawiła mu się wtedy już nie jako system najlepszy ze złych, ale najgorszy z możliwych. Oto 18 lutego z Izby Poselskiej wspiął się na górę, przed oblicze Batorego poseł Zbigniew Ossoliński. Wybieg prawniczy, który zastosował, przyprawił króla o nowy atak wściekłości.

„Krzysztof Zborowski, krewny mój, nie poruczał żadnemu [z nas] tych spraw — oświadczył Ossoliński — tedy cokolwiek się tu działo, działo się nie na swym miejscu, w s z y s t k o n i e m a b y ć w a ż n o w e d ł u g p r a w a [podkreślenie moje — J. B.]; z czym i do braci odchodzimy."

I odeszli.

Próba podważenia czy nawet zerwania sejmowego procesu była sprytnie przemyślana, lecz szaleńcza. Zapomniano o wyobrażeniach Batorego o władzy królewskiej i jego temperamencie. „Co król usłyszawszy, tak się rozgniewał, że ci, którzy mu służą od lat kilkunastu, takiego nie widzieli, mało się ze stołka nie porwał" z ręką na głowni

szabli. Ossoliński twierdził później, iż „w nocy mieli mię hajducy [królewscy] z gospody porwać, by była straż pana wojewody z Górki mię nie strzegła i siła posłów u mnie dla obrony w onej nocy spało. Tak się tedy tymi tyraństwy on sejm" odprawował — opiniował rzecz całą siostrzeniec Zborowskich [7], strojąc się przed bracią szlachecką w szaty odważnego obrońcy wolności stanowych.

Z trudnością senatorom udało się ukoić wściekłość, która trzęsła Batorym. A tu jeszcze demokracja wymagała, by król wysłał delegację do niższej izby parlamentu, czy Ossoliński oburzające żądanie wypowiedział imieniem posłów. Tak też się stało: z ulgą senatorowie dowiedzieli się, iż Ossoliński nadużył jednak pełnomocnictw posłów. Był to moment przełomowy: następnego dnia pod adresem Krzysztofa Zborowskiego padły kolejne oskarżenia z powództwa Zamoyskiego i Krzysztofa Dzierżka o zniesławienie ich pomówieniem o trucicielstwo.

Dwudziestego drugiego lutego, w piątek, marszałek wielki koronny Andrzej Opaliński kazał szeroko otworzyć duże drzwi, za którymi obradowała rada senatorów. Dotąd były one dobrze zawarte. Najpierw mówił krótko i dobitnie kanclerz dowodząc swej uczciwości w sprawie Zborowskich, usiłując oddalić plotki i pomówienia o „prywatę". „Potem marszałek koronny Opaliński dekret ferował stojąc przy Królu JMci po prawej stronie."

W imieniu monarchy Krzysztof za zbrodnie stanu został po trzykroć odsądzony od czci. Oznaczało to w praktyce wyrok śmierci: od tej chwili każdy z obywateli Rzeczypospolitej mógł go zabić. Wobec marszałka nadwornego Andrzeja Zborowskiego odstąpiono od badania zarzutów do następnego sejmu.

Przeciwko wyrokowi, z wieloma zastrzeżeniami pod adresem władz, w imieniu Czarnkowskiego, Jana Herburta z Bruchnala, Prokopa Pękosławskiego — wystąpił znany nam odważny poseł z zadatkami na pieniacza, Mikołaj Kazimirski. Rzecz odczytywał. Nie dlatego, że nie potrafił przemawiać bez kartki (nieumiejętność mówienia wprost, z głowy, oznaczała podówczas kres jakichkolwiek szans na karierę publiczną), lecz czynił tak dla podkreślenia precyzji i ważności zgłaszanych postulatów. Zarzucił on królowi i senatorom, że posłów

„zbywano", twierdził, że dopiero teraz szlachta rozumie, iż „idzie niebezpieczeństwo gardł i poczciwości naszych", mówił o „płaczu dobrych ludzi" nad niebacznymi poczynaniami monarchy, którego majestat szlachta bardzo szanuje, ale...

Tego znów było za wiele dla króla. „Rex excanduit et alta voce dixit: Qui sunt isti, qui hoc dicunt, dent nomina!" — zanotował uczestnik gorszącej, jak się zaraz okaże, sceny. „Król wybuchnął gniewem i wysokim głosem powiedział: Któż to są ci, którzy to mówią, niech podają nazwisko!" Do Kazimirskiego zbliżył się kanclerz i „wziąć chciał de moro suo [zwyczajem swym] skrypt z ręki p. Kazimirskiego". Poseł poczytał to za próbę wyrwania; gest Zamoyskiego, nigdy zanadto nie patyczkującego się z szarą bracią, musiał go urazić mocno. Doszło do szarpaniny, w wyniku której karty naddarto.

„Czemu się szarpiesz, p. kanclerzu?" — spytał odważnie Kazimirski.

„Nie szarpam, ale daj mi ten skrypt, coś z niego czytał, bo to moja rzecz odbierać" — odparł Zamoyski.

„Za tym Kazimirus heros [sic!] zdarł on skrypt w kęsy, a mur wstał między posły." Niefortunne zajście, tak charakterystyczne dla manier Zamoyskiego, było też miarą niechęci wielu posłów do kanclerza. Podobnie jak król coraz częściej zapominał, że największą umiejętnością rządzenia jest niezrażanie sobie mas, jeśli chce się osiągnąć trwałe sukcesy. I że gesty w Polsce zawsze znaczyły wiele.

Butny poseł nie został na zakończenie sejmu przypuszczony do dłoni króla. „Wszystkim dał rękę, jedno Kazimirskiemu nic; i stanął confuse" — zauważył autor diariusza sejmowego. Batorego przebieg sejmu 1585 roku kosztował zbyt wiele nerwów i, jak zobaczymy, zdrowia, by łatwo przebaczać, co zwykł czynić za progiem początków panowania. Choć wydawało się, że wygrał, doprowadzając do skazania Krzysztofa, to jednak w zamian zyskał pogłębioną niechęć, a nawet nienawiść większej zapewne części szlachty, przychylającej nader chętnie ucha głosom, iż obaj najpotężniejsi w Rzeczypospolitej tyrani „zajuszyli się na krew szlachecką", chcąc ograniczyć jej prawa. Nawet herb Batorych z trzema smoczymi zębami interpretowano jako kolejny dowód jego krwiożerczości rodowej. Obawiano się, czy nie pójdzie w ślady innych monarchów europejskich rozprawiających się mieczem kata z opornymi wielmożami.

Okazało się jednak, że wzmocnienie władzy króla jest zwodnicze, że w demokratyczno-republikańskim ustroju nie sposób toporem kata zastraszać obywateli, nie mając za sobą poparcia opinii publicznej lub choć stronnictwa z prawdziwego zdarzenia. Na dodatek Zamoyski, wbrew temu, co mówił „przed Bogiem i stanami" o „niepopędliwości" w sprawie wykonania wyroku na Samuelu, zaraz potem okazał swą popędliwość, usiłując wyrwać Kazimirskiemu skrypt. Król momentami tracił panowanie nad sobą: szlachta widziała to i tym mocniej obawiała się jego porywczości. „Jeszcze nas, dalibóg, wszystkich razem król zaprzęże w pałuby i powiezie per viam", siłą — straszył Mikołaj Krzysztof „Sierotka" Radziwiłł stryjecznego brata, Krzysztofa Radziwiłła, dodając jednak samokrytycznie — „nie narzekajmy na pana, my go psujem, nie kto inny, abyśmy i anioła mieli, tedy przydalibyśmy go w towarzystwo do Lucyfera za naszymi sprawami" [8]. Wiele w tym racji, choć jeszcze nie wiedziano, że ataki wściekłości króla związane są nie tylko z emocjami sejmowymi.

Próba sił między władzą a zbyt wolnym narodem okazała się przedsięwzięciem niefortunnym. Od samego początku: świetnemu juryście Zamoyskiemu zabrakło wyczucia prawa i nastrojów szlacheckich (choć o nich wiedział), uległ też pokusie zbyt pośpiesznego działania. Wszystko to wywarło na szlachcie wrażenie prywatnej zemsty urażonego do żywego najwyższego urzędnika państwowego Korony. Na dodatek Batory, mając za sobą Jana Zamoyskiego z urzędnikami i senatorami, a dalej społeczną pustkę, nie zdołał oprzeć się na istotnej sile, jaką stanowił episkopat. Uchylanie się prymasa Stanisława Karnkowskiego od wciągnięcia jego osoby w tę sprawę było przykładem wzrastającej nieufności do króla i jego pomysłów. Charakterystyczny jest też ton arcybiskupa Solikowskiego wobec króla, choć przecież za Batorego osiągnął on szczyty kariery. Ale nie tylko. Oto prymas, wracając po sejmie do siebie, do Łowicza, spotyka gońca cara zmierzającego do cesarza Rudolfa. Zaprasza go do siebie i gości w Skierniewicach. Nie jest to jedynie naturalna gościnność polska:

arcybiskup „chwalił się, że senat odmówił królowi na sejmie poparcia planów nowej wojny moskiewskiej, opowiadał, że panowie polscy z króla swego nie są zadowoleni wcale".[9] Zadziwiający to wielce ton, zważywszy na osobę posła czy znaną w Polsce, rażącą niekiedy zmienność poglądów prymasa, już niebawem uważającego się za „patrem patriae" (ojca ojczyzny)!

To z pewnością echo gorących obrad sejmowych, niechęci do Batorego za sprawę Zborowskich, ale i widoczna obawa, by król nie wplątał zmęczonej podatkami i wysiłkiem wojennym Rzeczypospolitej w nową gigantyczną wyprawę. Stąd zaskakujące ostrzeżenie moskiewskiego posła, nam wprost nie mieszczące się w głowie, za to leżące, choć z trudnością, w ówczesnej obyczajowości politycznej. „Pater patriae" czuł się może mocniej odpowiedzialny za los ojczyzny niż król rodem z Węgier i usiłował prowadzić małą politykę zgodnie z racjami, jakich dosłuchał się w głosach senatorów, posłów, wewnątrz siebie. Car został ostrzeżony, pośrednio również i król Polski.

Wróćmy do sprawy Zborowskich. Dotąd towarzyszą nam niejasności i znaki zapytania nad rzeczywistymi intencjami kanclerza i króla. Pewne jest jednak, że przeprowadzenie osądzenia i skazania potężnego magnata zasługiwało na bardziej koronkową robotę. Usiłując wzmocnić swą władzę Batory utracił, i tak wielce nadwątloną posądzeniami o obchodzenie prawa, resztkę popularności wśród szlachty. Sprawa Samuela Zborowskiego odcisnęła się bardzo mocno w zbiorowej psychice królewskich poddanych i pójdzie w pokolenia. Jeszcze w blisko siedemdziesiąt lat później kanclerz Jerzy Ossoliński, statysta mądry i wykształcony, będzie pisał do wojewody kijowskiego, Adama Kisiela: „Pamiętny Ludwik gliniańskim rokoszem, Francuz sromotnym od nas odbieżeniem, Stefan na poły tyrańskim we krwie szlacheckiej zajuszeniem, Zygmunt Trzeci bodaj na wieki zapamiętanym Guzowem."[10]

Po zamknięciu sejmu król chory, to rozdrażniony, to apatyczny, wyjechał do Niepołomic. Tam, z dala od dworskiego i poselskiego zgiełku, miał nadzieję dojść do siebie. Trwało to długo: aż do późnej jesieni 1585 roku.

VII. NA STAMBUŁ CZY MOSKWĘ?

Na sejmie 1585 roku pojawili się również posłowie moskiewscy. Tym razem przyjechali spokorniali z prośbą, by król ratyfikował rozejm między państwami na dziesięć lat. Powód owej pokory był prosty: 28 marca 1584 roku zmarł wielki kniaź Iwan, teraz naprawdę, a nie pozorując zgon jak zwykle, by przekonać się, kto śmie się cieszyć z jego śmierci. Ponieważ najstarszego i najbardziej ukochanego syna Iwan zatłukł w szaleńczym gniewie posochem, na tronie w Granowitoj Pałacie zasiadł następny syn, Fiodor. W niczym nie przypominał on ojca: ociężały umysłowo, ciszę mózgu urozmaicał sobie niemal bezustannym śmiechem i dźwiękami dzwonów cerkiewnych, w które kazał bić w całej Moskwie. „Razu jednego pobieżał do cerkwiej, powiesił się za powrozy od dzwonów a sam jął dzwonić" — twierdził Müller. Podobne opinie wyrażał poseł króla, hetman polny Krzysztof Radziwiłł czy np. kapitan francuski Jakub Margeret. Przydana mu rada bojarska miast rządzić, „wpadła w waśń", kłócąc się tak zawzięcie między sobą, aż doszło do morderstw. Jakże szybko okazało się, że Iwanowy system rządów, oparty na krwawej tyranii, daje państwu tylko pozory siły! Kiedy zmarł Iwan Groźny, nie stało już osobistości (może poza Borysem Godunowem), która mogłaby choć w części dorównać energią i inteligencją, rozmachem czy wytrwałością Batoremu. A przecież nie był to jedyny sąsiad Rosji, chcący skorzystać na tej słabości. Nad Moskwę nadciągały z zachodu i południa ciężkie chmury, jej położenie między Rzecząpospolitą a Turcją i Tatarami stawało się coraz trudniejsze.

Respons udzielony posłom moskiewskim, pytającym o „przyjaźń", na sejmie 1585 roku nie pozostawiał większych złudzeń co do zamiarów Batorego. Już przedtem na wieść o śmierci cara król zastanawiał się, jak połączyć „verbum et gladium" wobec Rosjan. „Przyjaźń dobra być nie może, póki jeden drugiemu nie wróci, co czyjego jest — odpowiedzieli senatorowie w imieniu Jego Królewskiej Mości podczas obrad sejmu. — A jest to od Księstwa Wielkiego Litewskiego przy Moskwie: Smoleńsk, ziemia siewierska, Psków, Wielki Nowogród." Hosudar powinien je zwrócić Rzeczypospolitej.

„To się zestarzało"— odparli legaci hosudara tłumacząc, że z równym powodzeniem mogliby się upominać o zwrot Kijowa, Podola i Wołynia, „bo też to kiedyś do Moskwy było". Senatorowie jednak nie zamierzali wdawać się w zawiłe rozważania o dystansie czasu czy też sposobie „przyłączenia" spornych ziem przez hosudarów i odrzekli wprost, że „król, by i chciał, nie może takiego pokoju uczynić temu, że przysiągł na koronacji odzyskować to, co od tych państw odeszło".[1]

Bezpardonowa odpowiedź senatorów w imieniu władcy świadczyła o tym, że król postanowił wykorzystać zamęt, coraz widoczniej, choć z wolna, ogarniający Moskwę i spróbować ulubionego ius gladii. „Pogoda na wschodzie" miała przy tym podwójną wartość: tak dla Rzeczypospolitej i jej racji stanu, jak i samego Batorego. Dotykamy tu kwestii, w której ogniskowały się interesy niemal wszystkich krajów Europy — sprawy ligi.

Kościół od dawna poświęcał wiele uwagi próbom sformowania wielkiej wyprawy, która wyparłaby Turków z Europy i Ziemi Świętej. Już nuncjusz Laureo, tak niechętny Batoremu, ledwie mu król zezwolił na powrót z Wrocławia do Warszawy w 1577 roku, usiłował myśli królewskie nakierować na sprawy ligi antytureckiej. Plan krucjaty z udziałem Polski miał już przygotowany cesarz Maksymilian II, pracował zresztą nad nim i myślał bezustannie, a jego następca cesarz Rudolf II z pewnością go wykorzysta, twierdził Laureo. Ale niedawny książę Siedmiogrodu nie dał się przywieść na haczyk planów austriackiego domu. Przed namawiającym go nuncjuszem zupełnie szczerze wyznał, że to właśnie Habsburgowie swą polityką pchali go w ramiona sułtana. Nie zamierza więc znów być sterowany przez cesarza, gdyż ryzykuje utratę ojczyzny, Siedmiogród. A sprawy węgierskie zawsze leżą mu na sercu, szczególnie na progu panowania. Król radził więc czekać „czasów lepszych i zmiłowania pańskiego nad narodem chrześcijańskim",[2] a przed nuncjuszem nakreślił projekty koalicyjne i plany uderzenia — lecz w innym kierunku. Szło o Moskwę. Laureo, bystry i inteligentny, choć bardziej cesarski niż kuria rzymska, zrozumiał, że nie zdoła przyciągnąć do swych planów antytureckich nieufnego wobec Habsburgów „Il Transilvano".

Na miejsce Wincentego Laureo papież przysłał w 1578 roku Jana Caligari, wysokiego mężczyznę o żelaznym zdrowiu i miłym usposobieniu skrojonym na miarę jego bezkrytycyzmu. Król zorientował się, że deklarowanie przezeń „przyjaźni" z Turcją jako ostoi jego polityki zagranicznej jest w Rzymie bardzo źle odbierane. Toteż po przybyciu nowego nuncjusza do Polski Batory od razu wyraża chęć zaprzyjaźnienia się z cesarzem dla dobra chrześcijaństwa. Zwrot ten oznaczał: dla sprawy ligi. „Tego człowieka oczerniano" — napisze z radością Caligari, pewien, że zdumiewająco łatwo ułowił króla w sieć ligi.[3]

W rzeczywistości Batory był dość daleki od organizowania krucjaty na południe, choć zawsze pozostawiał tę kwestię otwartą. Chwilami tylko zbliżał się do idei tej blisko, jednak z charakterystycznym dla siebie poczuciem realizmu. Sprawa miała wymiar globalny i krzyżowało się w niej tak wiele wątków, że nie sposób w dyplomatycznej grze z dystansu wieków odwirować z całą pewnością intencji od celów, zamiarów od pozorów, rzeczywistości od idei. Podobne odczucia mamy patrząc na posunięcia i deklaracje Batorego. Oto papież w 1579 roku sugeruje królowi Polski uderzenie przez Mołdawię na Turcję. Czas jest sprzyjający: państwo osmańskie przeżywa trudności i klęski w wojnie z Persją. Grzegorz XIII obiecuje więc Batoremu pomoc potężnego króla Hiszpanii, Wenecji, licznych chrześcijańskich książąt, wabi władztwem nad Mołdawią, Wołoszczyzną, Stambułem, a nade wszystko — nad całym Siedmiogrodem uwolnionym spod tureckiego bułata. W zamian radzi podpisać pokój z Moskwą. Propozycje te, wielce nęcące dla Batorego, uwzględniające jego miłość do węgierskiej ojczyzny i katolicyzmu — są, dla Rzeczypospolitej i jej obywateli, na których spocząłby główny ciężar wielkiej wojny, zupełnie niekorzystne.

Wtedy jednak okazało się, jak wytrawnym politykiem jest Batory i jak w jego planach mieści się racja stanu kraju, którego koronę i mitrę nosił na skroniach. Po zdobyciu Połocka, w Wilnie, oświadczył nuncjuszowi Caligariemu, że gotów „życie i wszystko poświęcić

dla tak świętej sprawy i dla uwolnienia Węgier spod jarzma muzułmańskiego, ale pod warunkiem, że gwarancje będą silne".[4] Tymczasem tych gwarancji nie było, bo być nie mogło: król wiedział przecież, że wielkie państwo Filipa II krwawi w Niderlandach, a papież rękoma ponurego, superkatolickiego Habsburga raczej chce odzyskać dla Rzymu Anglię. Batory znał też słabość podzielonej na setki księstw Rzeszy Niemieckiej i przebiegłość Republiki Weneckiej. Pod wąsem mógł się też uśmiechnąć wobec naiwności biskupa Rzymu, iż car da się wywieść na wyprawę przeciw Turcji i namówić do katolickich racji. Nie mógł jednak powiedzieć tego wprost. Toteż mnożył pytania o szczegóły ligi odwlekając całą sprawę, w rzeczywistości zajęty głównie odbijaniem Inflant i — utrzymywaniem dobrych stosunków z Turcją. Szło mu to łatwo ze względu na umiejętności dyplomatyczne i łatwowierność Caligariego. Rzym jednak zrozumiał grę — i w 1580 roku sprawy ligi już nie podejmował.

Ale sukcesy w wojnie z Moskwą, pogłoski o bliskiej śmierci cesarza, słabego zdrowia Rudolfa II, oraz opinia panów węgierskich i czeskich, gotowych Batorego obrać królem Węgier i Czech, uskrzydla Stefana. W ścianach komnat królewskich w Wilnie, Warszawie i Krakowie znów odbijają się słowa o lidze. Teraz papieżowi potrzebny jest w Polsce nuncjusz zimny, wytrwały, dokładny. Dla pośredniczenia w pokoju i przyciągnięcia Rosji do planów ligi wyjeżdża, jak wiemy, Possevino. Na miejsce zaś Caligariego papież wysyła, sumiennie zbierającego dane o królu i królowej Polski, nuncjusza Alberta Bolognettiego. Dziesiątego sierpnia 1582 roku legat wita się i rozmawia z Batorym po raz pierwszy. I, jak jego poprzednik, jest królem zachwycony.

Trudno, aby nie był: Batory z ogromną swadą i swobodą, do jakiej zresztą Bolognetti, szkolony w surowej, oszczędnej w słowach i gestach weneckiej Signorii, nie nawykł, długo rozprawiał z nim o sprawach ligi. Wywód był metodyczny i głęboki: król zestawił systemy sprawowania władzy, siły, środki i możliwości chrześcijan i islamu, wskazując z niezwykłą erudycją na znaczną przewagę Turcji. I mimo że jednocześnie król nieoczekiwanie zgodził się, by niespokojny Olbracht Łaski szedł w awangardzie na Mołdawię, sam

wskazywał na kierunek marszu przez Dunaj i Bułgarię na Stambuł — to w rzeczywistości robił wszystko, by Turcji nie drażnić. Memoriał Possevina wygłaszany w 1582 roku przed senatem weneckim (tak mocno zainteresowanym rozprawą z państwem otomańskim), iż król polski gotów jest zawiązać ligę, był na poły prywatnym przedsięwzięciem propagandowym królewskiego jezuity i spotkał się ze złym przyjęciem ze strony króla polskiego.

Ale referat Possevina i zwykły dlań apostolski, mentorski ton, odniósł taki skutek, że senat wenecki zaufał mu i postanowił utworzyć ambasadę w Polsce. Jezuita zdołał też, jak wiemy, pozyskać przychylność Batorego i z biegiem czasu wyrósł wręcz na jednego z głównych animatorów polityki zagranicznej „bodaj czy nie jest w zakresie polityki zewnętrznej Stefana Batorego prawie równie ważną osobistością jak Zamoyski w zakresie polityki wewnętrznej" — zauważył historyk.[5] „O, gdybym miał pieniądze, pokusiłbym się o odebranie Turkom połowy Węgier i tak bym ich scezał, że nierychło pokazaliby głowę"[6] — miał powiedzieć król, a w tym głośnym westchnieniu widać jego rozdarcie pomiędzy marzeniami a realiami, racją stanu Rzeczypospolitej a węgierską. Realizm zwyciężył: Batory nie chciał Wenecjan w Polsce, co mogło wzbudzić złość sułtana. Miał zresztą rację: już niedługo niektóre karty zostaną odkryte, gdy papież da pieniądze cesarzowi na wzmocnienie fortec węgierskich, a nie Batoremu, choć jemu właśnie na tym bardzo zależało. I chociaż król w długich rozmowach z Possevinem, który w 1583 roku często odwiedzał Batorego w Niepołomicach, poddawał się nastrojowi rozpatrywania tajemnic bytu i etyki władcy chrześcijańskiego, wchodził w mgiełkę marzeń i wizji — to nigdy na trzeźwo im nie ulegał. Szybko dochodził do siebie: jeśli papież chce myśleć o lidze, winien dać zasiłki na obwarowanie Waradynu — oto jedna ze wskazówek praktycznego Batorego dla Possevina. Olbrzymie wpływy śmiałego, choć szeregowego jezuity, który „groził oficjalnemu przedstawicielowi Stolicy Apostolskiej zupełnym przyćmieniem",[7] zirytowały nuncjusza: usiłował on zneutralizować pozycję Possevina, nieoczekiwanie kierując uwagę króla na Zachód, na projekt wyprawy... przeciw heretykom niemieckim (tzw. sprawa kolońska).

Oczywiście takie postępowanie działających rozbieżnie przedstawicieli Kościoła było na rękę Batoremu, który nade wszystko nadal chciał utrzymać pokój z Turcją, mocno w 1583 roku nadwerężony przez Samuela Zborowskiego i Kozaków.

Coraz silniejsze zagrożenie przez Turków Kandii, portu na Krecie, należącego do Wenecji, chęć i sposób obrony zaproponowany przez włoskiego kondotiera Latina Orsiniego, zmobilizował sędziwego Grzegorza XIII do kolejnej próby utworzenia wielkiej ligi. W instrukcji z 17 września 1583 roku, którą przywiózł z Rzymu umyślny kurier Bolognettiemu, nakazano „rozpocząć negocjacje w wielkim stylu" z królem Polski.[8] W miesiąc później kurier dociera do nuncjusza, który nie zwlekając, wśród deszczów jesiennych rozmiękłymi zupełnie wskutek wylania wód drogami dociera do Brześcia Litewskiego. Tam 7 listopada otrzymuje audiencję u króla.

Batory był sam. Czekał na mrozy, by znów oddać się ulubionej rozrywce polowania, a kanclerz wyjechał, nie spodziewając się dyplomatycznych rewelacji w zagubionej wśród błota i deszczu litewskiej mieścinie. Toteż król z pewnością był zaskoczony, gdy Bolognetti zawiadomił go o zawiązaniu ligi antytureckiej między papieżem, Hiszpanią i Wenecją, przedstawił zarys konkretnego planu i zasypał nie przygotowanego Batorego gradem pytań, na które on, jako władca katolicki, był zmuszony odpowiedzieć.

Talent dyplomatyczny króla został poddany ciężkiej próbie, a od tego zależał wszak los ligi, Rzeczypospolitej, Węgier i wielu innych państw. Były to rozmowy o wielkim ciężarze gatunkowym, świetnie przy tym ilustrujące możliwości Batorego. Toteż warto im się bliżej przyjrzeć: rozmowa wymagająca niesłychanego napięcia intelektualnego, oczywiście po łacinie, trwała około sześciu godzin, a Batory już wówczas nie był zbyt zdrowy.

Król, jak zwykle, gorąco zadeklarował chęć udziału w lidze. Jest przekonany, że po zdobyciu trzech, czterech twierdz węgierskich odzyskałby całe królestwo, swą ojczyznę i „dla tej nadziei zawsze pragnął tej wojny, wszystko dla niej gotów poświęcić".[9] Jeśli idzie o liczbę wojsk, to teoretycznie mógłby wystawić z Rzeczypospolitej Polskiej 30 tysięcy jazdy oraz 20 tysięcy jazdy i piechoty z Siedmiogrodu. Tutaj jednak Bolognetti, poruszony gotowością królewską do wyprawy, musiał doznać czegoś na kształt zawodu, Batory bowiem wskazał, iż wiele zależy od sejmu walnego Rzeczypospolitej. Król polski nie może przecież publicznie wystąpić z planem ligi i sprowokować interwencję Turcji, musi najpierw sondować opinie senatorów, wybitnych żołnierzy — ale i to nie da gwarancji, iż sejm jednomyślnie uchwali pobory. Polacy są przy tym — równie jak on, król, ale tego Batory nie powiedział — mocno uczuleni na posunięcia dyplomacji habsburskiej i nikt nie nakłoni ich do wyprawy, jeśli nie otrzymają pewnych gwarancji, że nie zostaną sami naprzeciw potęgi islamu. Król zatem nie życzy sobie, by jego imię wymieniono w układzie ligi, choć nadal mocno popiera jej tworzenie. Do tego jednak potrzebne są pieniądze, przynajmniej na sześć lat trwania wojny. Batory miał dość handryczenia się o „narvum belli"; kiedy uchwalono wojnę na sejmie, „jeden chciał oddawać ostatnią koszulę, drugi dzieci własne", a w rzeczywistości dwa województwa odmówiły w ogóle wpłacenia podatków — stwierdził z sarkazmem.

Ukazawszy przeszkody w Polsce, lecz nie zatrzaskując przecież furtki do sprawy ligi i wyprawy, Batory przeszedł do głośnego zastanowienia się nad sytuacją międzynarodową. Znów widać było, że to rzecz uprzednio przemyślana, godna wielkiego męża stanu. Król widział słabość Niemiec zajętych mocniej konfliktami między katolikami a protestantami niż zagrożeniem tureckim, podważał deklaracje Filipa II uwikłanego w krwawą wojnę flandryjską i sprzeczkę kolońską, przekreślał możliwość udziału Moskwy w wojnie przeciw Osmanom.

„Ale gdyby król Polski — padły znamienne słowa Batorego — miał kiedyś to państwo [Moskwę] pod swoją władzą, mógłby zniszczyć Turków, mając wyborną drogę wodną, to jest dwie ogromne rzeki, Wołgę i Don, które już Selim chciał połączyć, ale bezskutecznie. Tymi rzekami można by bez przeszkody wyprawić wielką flotę przeciw cesarstwu tureckiemu, Donem nad Morze Czarne, Wołgą na Kaspijskie."

Wybieg dyplomatyczny czy wykładnia rzeczywistych planów kró-

la? Przyjdzie nam się sprawie tej bliżej przyjrzeć. Trzeba przyznać jednak, że Bolognetti przewidział odpowiedź Batorego — znał przecież z grubsza parlamentaryzm i demokrację polską — i usiłował podsunąć Stefanowi nęcące rozwiązania. Przecież, dowodził, król może zbierać wojsko pod pozorem wmieszania się w sprawę kolońską lub wojnę ze Szwecją, a potem nieoczekiwanie rzucić je na Turcję. Nie? Niech zatem Jego Królewska Mość zgodzi się, by wojewodowie Łaski bądź Mielecki ruszyli z Kozakami przeciw Osmanom, a król potem oznajmi czauszom, iż stało się to wbrew jego woli. A jeśli wątpi o udziale książąt niemieckich w wyprawie, niech zaciągnie stamtąd żołnierzy, których będzie miał pod własnym dowództwem.

Batory zbijał umiejętnie punkt po punkcie propozycje nuncjusza: Turcy są zbyt podejrzliwi, by uwierzyć w bajki o niesfornych magnatach pod jego rządami, szlachta nie zgodzi się na przemarsz zaciężnych żołnierzy z Niemiec w obawie o swoje dobra. Co do ogłoszenia krucjaty, którego to pomysłu schwycił się zrezygnowany nieco nuncjusz, to Batory stwierdził, że hałas nierówny pożytkowi; wykazały dzieje, czego z taką hałastrą można, a raczej nie można dokonać. Zatem — wprawdzie król Polski nie czyni przeszkód w staraniach ligi i zrobi wszystko, by wciągnąć Rzeczpospolitą i jej szlachtę do wojny, ale sprawa jeszcze nie dojrzała.

Stefan wyraźnie starał się odsunąć na pewien czas kwestię generalnej rozprawy z Turcją, choć oczywiście widział jej sens i celowość. Na siłę islamu i jej lekceważenie był mocno uczulony; bez wątpienia widać też w jego słowach obawę Węgra przed potęgą turecką. Oto co powiedział, nieco zirytowany, nuncjuszowi o nastrojach wśród szlachty: „Nawet widzę, że w ogóle wszyscy inni okazują lekceważenie dla potęgi tureckiej, może z powodu wielkiej odległości od Konstantynopola, mimo że od strony Spiszu tylko 17 mil ich dzieli od granic tureckich [podkreślenie — J. B.] i o tym przekonałem się całkiem niedawno, pisząc do senatorów listy z powodu napadu Kozaków. Okazało się, że nie przykładają żadnej wagi do niebezpieczeństwa grożącego im od Turków, i nic mu nie zapobiegli. Jakkolwiek w tym było mało dbałości o sprawy publiczne, to jednak widać w tym także było animusz i pogardę dla Turków większą, niż należało. To usposobienie będzie można wyzyskać w swoim czasie" — stwierdził król.

Trudno powiedzieć, czy Batory przesadził z rzekomym lekceważeniem islamu przez Polaków. *Turcyki* Stanisława Orzechowskiego, choć wydane w 1543 roku na zamówienie, wydają się wyrazem obawy szlachty. Bez wątpienia jednak w czasach Batorego poziom lęku w Polsce przed islamem zdecydowanie się obniżył, może nawet zanikł przejściowo, do czego przyczyniły się dobre stosunki z Turcją.

W długiej rozmowie z nuncjuszem król wybronił się zatem przed zbyt szybkim i niekorzystnym wciągnięciem go w sprawę ligi. Choć kwestię tę pozostawiał otwartą, to postawił warunek wzięcia w niej udziału Niemiec i subsydiów pieniężnych na sześć lat. Wykazał tym samym w bezpośrednim, najtrudniejszym wszak starciu racji wielki talent męża stanu. „Jeśli król wśród huku dział pod murami fortec moskiewskich złożył dowody wyjątkowych zdolności wodza i żołnierza, to tu, w zapadłym dalekim zakątku, w szarym pomroku listopadowym stoczył walkę nie mniej ciężką, a równie chlubną, która zaszczyt przynosi jego zdolnościom politycznym" — ocenił rzecz historyk skrupulatnie badający te kwestie. Należy mu przyznać rację.

Rzym przyjął wyjaśnienia Batorego za dobrą monetę. Król polski cieszył się już olbrzymim autorytetem, a jego wpływ i w Rzymie stał się widoczny. W 1583 roku w Wenecji czterech poetów wydaje cały zbiór wierszy sławiących króla Stefana. Za wstawieniem się Batorego w 1584 roku papież mianuje aż trzech kardynałów: Jerzego Radziwiłła, Andrzeja Batorego i Alberta Bolognettiego. Była to swoista zachęta do popierania przez króla sprawy ligi. Zamordowanie przez Turków Podlodowskiego, które odbiło się silnym echem w Europie, w opinii Kościoła zdawało się przyspieszać w Polsce sprawę formowania ligi. Stało się odwrotnie: w kilka miesięcy później król indagowany przez kantora płockiego Wawrzyńca Goślickiego odpowiedział wprost, że liga nie rokuje nadziei, a do sejmu odwoływać się nie ma zamiaru w tej sprawie, gdyż może to przynieść uszczerbek godności królewskiej, ergo więcej szkody niż pożytku. Król ani

myślał zrywać pokojowych stosunków z Turcją, a ścięcie na oczach czausza we Lwowie 33 mołojców i głowy Samuela Zborowskiego w Krakowie było aż nadto wystarczającym dowodem. Mimo to Bolognetti, naciskany przez Stolicę Apostolską, usiłował w maju 1584 roku uzyskać od króla konkretny plan wyprawy.

Batory przedstawił go. Siły chrześcijan powinny uderzyć na Turcję z czterech kierunków: od strony morza, Bośni, Budy i Esztergomu oraz Mołdawii. Tę ostatnią armię miał oczywiście poprowadzić sam król. Zaraz potem jednak Stefan omawiał warianty wojny z udziałem lub bez Niemców, Rzeczypospolitej, Habsburgów etc., co znacznie skomplikowało obraz przedsięwzięcia. Za konieczny warunek nadal król uważał udział Rzeszy Niemieckiej w wojnie.

Być może akurat wtedy Batory przychylał się do pomysłu wyprawy. Kilka jednak podstawowych okoliczności ważyło na tym, iż w gruncie rzeczy sprawa ligi była grą ze strony króla. Spór z cesarzem o Szatmár, budzący widoczny gniew i irytację króla, uzmysławiał mu aż nadto, że w wojnie tej Habsburgowie mogliby wchłonąć całe Węgry i znów posyłać nierozsądnych na pola chwały w imieniu domu austriackiego. A przecież Batoremu bardzo zależało na przygotowaniu wojny o odzyskanie ojczyzny, co niejednokrotnie, choć skrycie podkreślał. Przecież w 1581 roku, w toku wielkich wypraw moskiewskich, król nie zawahał się wysłać swego głównego inżyniera wojskowego Dominika Ridolfina na inspekcję Wielkiego Waradynu z bardzo szczegółową instrukcją, zakończoną poleceniem: „powinien upatrzeć w twierdzy punkt najdogodniejszy na wystawienie fabryk prochu".[10] Uderzenie króla na Mołdawię w kierunku Dunaju oczywiście nie gwarantowało Węgrom niezawisłości, a raczej ułatwiało Habsburgom zajęcie całej schedy objętej pojęciem korony świętego Stefana. Ponadto stosunek Polski do Habsburgów był funkcją stosunku Turcji do Rzeczypospolitej; i z tej przyczyny Batory miał się z cesarzem konsekwentnie źle. Po drugie — Batory, trzeźwy i realistyczny wódz, wychowany był w atmosferze przekonania o wyjątkowej sile wojskowej i potędze Turcji. Przekonaniu temu zresztą hołdował cały ówczesny świat. Znajdowało to nawet wyraz z operacyjnych zamiarach króla, który radził nie przyjmować bitwy w polu z Turkami, lecz zajmować twierdze i dopiero późną jesienią, gdy muzułmanie nie walczą, posuwać się do przodu. Po trzecie — umarł car...

Batory już u progu swego panowania w Polsce przejawiał chęć zajęcia Moskwy, początkowo jako środek wymuszenia na Iwanie IV zwrotu Inflant. Z biegiem lat, kiedy zrozumiał, że nie ma w Europie prócz papiestwa siły, na której poparcie mógłby liczyć w montowaniu ligi, coraz mocniej jego uwagę przyciągały plany moskiewskie. Śmierć okrutnego hosudara przyśpieszyła decyzję. Possevino raptem usłyszał od króla, że jest „prawie niemożliwą rzeczą uderzyć na Turków od strony Węgier z powodu licznych i ważnych twierdz, które się tam znajdują". Mówił to władca, który jeszcze niedawno udowadniał coś wręcz przeciwnego — o słabości fortec madziarskich. Zaraz potem Batory dodał, iż „gdyby król polski był panem Moskwy, miałby otwartą i łatwą drogę przeciw Turkom".[11]

Tego argumentu król już używał. Niedługo po śmierci Iwana IV wydawał się głęboko przekonany o słuszności uderzenia na Moskwę. W sierpniu 1584 roku, na zjeździe w Lublinie, Batory usiłował przekonać senatorów do wojny o czapkę Monomacha, przedtem, ku zgrozie Bolognettiego, omówiwszy sprawę z Possevinem. Szło o plan i pieniądze. W styczniu 1585 roku ponowił zabiegi, z niezłym skutkiem, jak widzieliśmy to przy odprawie posłów moskiewskich na sejmie. Wielką wagę przywiązywał do pomocy piechoty węgierskiej w wojnie z Moskwą. Stąd tak duże znaczenie starostwa samborskiego w planach króla. „Kiedy mi ludzi z Węgier trzeba, tam stacja pewna i tędy by musieli iść; owo nie mogę bez Sambora być" — zwierzył się marszałkowi Opalińskiemu.[12] Półdzicy sabaci już niebawem będą chadzali w Polsce tym szlakiem, „kędy uczył ich chodzić jeszcze król Stefan Batory",[13] planujący wyprawę na Rosję.

Jest wytrwały. Nie przerywają tych zabiegów trzy śmierci: Grzegorza XIII, nuncjusza Bolognettiego i wojewody Mieleckiego. Do nowego papieża Sykstusa V, wybranego w kwietniu 1585 roku, do Rzymu, jedzie w początkach 1586 roku z listem królewskim arcybiskup Jan Dymitr Solikowski, a następnie synowiec Batorego, Andrzej, niedawno mianowany kardynałem. Król gratulował wyboru na stolec

Piotrowy i dowodził, iż w trzy lata, mając 24-tysięczną armię, przyłączy słabnącą Rosję; „wspólność języka i religii z Rusią, podobieństwo z językiem polskim ułatwią całe przedsięwzięcie".[14] Po połączeniu obu państw miał uderzyć na Turcję, bez oglądania się na zwodniczych Habsburgów czy też dalekiego króla Hiszpanii. Nowy papież, entuzjasta wyprawy, był pełen nadziei, „myślał też, by od morza przyjść z pomocą polskiemu królowi Stefanowi Batoremu, który miał przeprowadzić główne uderzenie od lądu".[15] Papież, widzący „fantazje mnichów", prowadzących u boku Batorego walkę podjazdową, znał ważniejsze wartości nad słowo i był gotów wspomóc króla 3 milionami skudów czekających w zamku Świętego Anioła. Miały być one użyte nie na przyłączenie Wielkiego Księstwa Moskiewskiego do Rzeczypospolitej, lecz na walkę z imperium tureckim. Tajemniczy plan króla, który znał jedynie Zamoyski, Andrzej Batory i krewny kanclerza Stanisław Żółkiewski, papież w zasadzie akceptował we własnoręcznym liście do króla, wyrażając radość, że wreszcie Europa uwolni się od groźby muzułmańskiej.

Czy Batory rzeczywiście zamierzał po zajęciu Moskwy ruszyć potem na państwo otomańskie? — pozostaje tajemnicą. „Podbój Rosji, jak się wydaje, był głównym celem panowania króla" — sądzi historyk.[16] Bez wątpienia Batory chciał czapki Monomacha: świadczy o tym misja posła królewskiego Michała Haraburdy, który na Kremlu w kwietniu 1586 roku zaproponował bojarom wprowadzenie na tron Stefana Batorego po śmierci cara Fiodora. Król realista raczej liczył się z odmową; w tym wypadku raczej chodziło o storpedowanie personalnych zakusów habsburskich wobec Kremla i wywołanie niezgody wśród bojarów.

Ale misja Haraburdy przyniosła niezły efekt. Ziarno unii personalnej zostało w Moskwie posiane i gdyby nie czujność pretendenta do czapki Monomacha, Borysa Godunowa, kto wie, czy sympatia większej części bojarów nie przechyliłaby się na stronę batoriańskiej unii polsko-moskiewskiej? Tendencje takie zauważa historyk radziecki Borys Floria.

Nie wydaje się zatem, by przyłączenie Rosji było ostatecznym celem wojowniczego króla Węgra. Batory od lat nie tylko marzył, ale

i sposobił się do wyprawy przeciw Turcji: „studiował nieustannie wszelkie karty geograficzne krajów tureckich, zbierał jak najstaranniej o tych ziemiach wiadomości i znał je w końcu tak dokładnie, że wiedział doskonale, jakie tam są drogi, przejścia, rzeki, wzgórza lub miasta, jakie gdzie można obierać militarne pozycje".[17] Przypomnijmy sobie wysłanie inżyniera Ridolfina do Wielkiego Waradynu i tworzenie tam fabryk amunicji i uzbrojenia. Czy tylko do obrony Siedmiogrodu? A jednak decyzja o uderzeniu na wschód oznaczała z pewnością chwilowe zaniechanie planu rychłej wyprawy przeciw Turcji w ramach ligi. A nade wszystko zamykała myśl o bliskim wyzwoleniu drogich sercu Batorego Węgier. Nie dość na tym: decyzja króla była zgodna z racją stanu Rzeczypospolitej, która wykazałaby zdumiewającą krótkowzroczność, gdyby nie chciała wykorzystać słabości groźnego niedawno sąsiada dla planów unii na warunkach Pax Polona. Dla Rzeczypospolitej bowiem złamanie siły rosyjskiej ekspansji oznaczałoby zwrot w polskich dziejach, choć co do trwałości ewentualnej unii obu narodów, jaką planował Batory, nie należy mieć żadnych złudzeń — jak i do każdego ustanowionego ius gladii.

Do dzieła król zabrał się z zadziwiającą energią, jakby chciał powetować chwile bólu i apatii, które coraz częściej go ogarniały. Planował najpierw wezwać bojarstwo, by państwo moskiewskie połączyło się z Polską po śmierci Fiodora. Jak wiemy, do Moskwy pojechał kasztelan miński Haraburda z planem unii pod berłem Batorego. „Gdyby przystać na to [Moskwa] nie chciała, wtedy miał się upomnieć o Smoleńsk i ziemię siewierską".[18] Próbkę tego widzieliśmy przedtem na sejmie 1585 roku. Wtedy posłowie moskiewscy, na oczach szlachty, odmówili — i o to królowi chyba szło. Drzwi do wojny zostały otwarte.

Oto bowiem, mimo niechętnych gestów szlachty i zgagi związanej ze sprawą Zborowskich, rokowania były nieoczekiwanie pomyślne. Na sejmikach instrukcje królewskie, wedle słów dostojnika nie zawsze aprobującego poczynania władcy, spotykały się z przychylnym przyjęciem. Głośna książka Szymona Budnego *O urzędzie miecza używającem*, wydana w 1583 roku, głosząca, że monarcha może być

arianinem, ale nie powinien „wojny dla rozszerzenia granic na spokojne sąsiady podnosić"[19] — nie wpłynęła decydująco na opinię szlachty. „Umysły ludzkie wielce się odmieniły; podatki na wojnę ochoczo miano uchwalić, Andrzeja i Baltazara Batorych przyznać za obywateli polskich", co otwierało im drogę do tronu polskiego — twierdził arcybiskup Solikowski. Inna sprawa, że jego spojrzenie, wytrawnego dyplomaty, obejmowało głównie ziemie ruskie, a wspomnienia swe pisał w czasach, gdy rodziła się propaganda nowej wyprawy na Moskwę. Batory zwoływał sejm na początek 1587 roku, a sam udał się do ukochanego Grodna na liczne polowania, na których idąc zapewne za wskazówkami Makiawela, hartował ciało i umysł przed gigantyczną wyprawą, mającą odmienić kształt Europy.

Również politykę zagraniczną wobec zachodniej Europy król podporządkował sprawom wyprawy. Epoka ta to czasy rosnącej rywalizacji między Hiszpanią a Anglią, a w mniejszym zakresie z gasnącą potęgą Hanzy, usiłującą nie dopuścić kupców angielskich do handlu bałtyckiego. Znana powszechnie teza, że Rzeczpospolita była spichlerzem zbożowym zachodniej Europy, dotyczyła głównie Niderlandów oraz Anglii — ale w latach nieurodzajów. Wedle ostatnich badań eksport zboża z Polski w czasach Batorego wynosił około 2,5% jego globalnej produkcji, a wyżywić się z tego eksportu na zachodzie Europy mogło najwyżej milion osób.[20] Rzeczpospolita nie była zatem spichlerzem Europy: wartość nadwyżek polskiego zboża brała się raczej z jego niskich cen i opłacalności sprowadzania go via Gdańsk przez zachodnich kupców. Może dlatego pozycja Polski wobec zbliżającego się wielkiego konfliktu hiszpańsko-angielskiego i powstania w Niderlandach szybko rosła.

Anglia była mocno zainteresowana przełamaniem pozycji miasta hanzeatyckiego, jakim był Gdańsk. Jak wiemy, skłonna była oprzeć swój handel na Elblągu, który usiłował wyłamać się spod zależności Hanzy. Wydawało się, że Batoremu, który nie odniósł sukcesu pod Gdańskiem, również na tym zależy. W Grodnie na początku 1584 roku zjawili się posłowie królowej Elżbiety: doktor Jan Roger, a następnie Jan Herbert i Wilhelm Salkins z propozycją, by uwieńczyć

układem starania o rezydencję kupców angielskich w Elblągu. Zamoyski, który z ramienia króla rzecz prowadził, podjął ten ważny wątek. Jednak go przerwano, choć mógł doprowadzić do złamania dominacji Gdańska. Król, jak wiemy, wszedł bowiem w kolejny zakręt swej polityki północnej. W 1585 roku zaczął tak przekonująco bronić Gdańska, że senatorowie bez dyskusji oddali miastu uroczysty przywilej.

Dlaczego? Niecodzienne decyzje Batorego brały się z jego olbrzymich planów: wojny z Moskwą i tworzenia ligi antytureckiej. Do tego potrzebna była przyjaźń i pomoc króla Hiszpanii, choć Habsburga, to jednak katolika milszego sercu Batorego niż heretycka angielska królowa Elżbieta I. Na ołtarzu tej przyjaźni składał król szansę umocnienia Polski nad Bałtykiem, choć iluzoryczność tych zabiegów była widoczna: nikt nigdy dotąd nie widział w żadnym polskim mieście portowym flagi hiszpańskiej. Mimo to Batory z biegiem czasu zdecydowanie stawał po stronie Hiszpanii i Filipa II.

Objawiało się to w stosunku króla polskiego do powstania w Niderlandach. Tamtejsze stany — protestanckie, słabo związane z Hiszpanią, popierane przez Anglię — zbuntowały się przeciw Filipowi II. W krwawej, pełnej okrucieństwa walce o niezależność stany generalne zwracały się również do Batorego. Początkowo król zachowywał dystans, przypominając jedynie ojcowskim tonem w długim liście, „jakiej opieki doznają kupcy niderlandzcy w Polsce".[21] Jednak w 1585 roku, gdy świetny wódz, a jeszcze większy ryzykant książę Parmy Aleksander Farnese przywraca Filipowi II niemal całą prowincję, ląduje tam armia pod Robertem Dudleyem. Anglia otwarcie miesza się w „konflikt wewnętrzny" Hiszpanii. W odpowiedzi książę Parmy żąda blokady wyspy. Do tego potrzebna jest jednak przede wszystkim zgoda Hanzy i Batorego. Toteż Farnese, w którego obozie widzimy bratanka króla Baltazara Batorego, pisze list do polskiego monarchy i wysyła z nim do Grodna kawalera maltańskiego Stanisława Sobockiego. Poseł dostaje następujące instrukcje: prosić króla polskiego, aby wezwał powstańców do posłuszeństwa wobec prawowitego władcy i odciął dowóz żywności dla zbuntowanych prowincji. Do listu dołączył Farnese plan oblężenia Antwerpii. Sła-

wa Batorego jako wielkiego wodza nakazywała pochwalić się własną sztuką oblężniczą, z której książę Parmy słynął.

Sobocki zgłosił się z listami do Possevina i był to dla księcia Parmy wybór fortunny. Król, poddany coraz silniej jezuicie, opowiadał się po stronie Hiszpanii, przy okazji wygłaszając przed Possevinem swe zdanie w sprawach wojny niderlandzkiej. Batory słusznie widział ją jako preludium generalnej rozprawy między Anglią a Hiszpanią. „Gdyby mnie, mówi Batory, król hiszpański i książę Parmy zapytali o zdanie, tobym odpowiedział tak: wszystko zależy od wyniku wyprawy, która gotuje się na Anglię. Sądzę i pragnę tego, aby król katolicki nie próbował wyprawy z pomocą słabej floty, iżby nie wzrosła pycha i znaczenie tej nędzniczki [misera — Elżbieta I — J. B.], skoroby wyszła zwycięsko z tej walki." Dalej król sugerował zajęcie Sundu, „bo tylko wtedy będziemy mogli posyłać królowi hiszpańskiemu tyle żywności, ile potrafimy, jeśli będzie można się spodziewać także i innych postępów dla dobra chrześcijaństwa".[22]

Owe inne postępy — to sprawa wyprawy na Moskwę i ligi antytureckiej. Od niej uzależnia już Batory większość swych posunięć i decyzji. Dlatego sekretarz królewski Krzysztof Głoskowski wręczył zbuntowanym stanom niderlandzkim 17 maja 1586 roku obszerne pismo od króla Stefana, w którym nakłaniał on do poddania się łasce króla Hiszpanii: „wymaga tego interes całego chrześcijaństwa, skoro wojna ta odwraca siły Hiszpanów od wojny z niewiernymi".[23] W razie oporu stanów Batory rezerwował sobie prawo do represji gospodarczych.

Pogróżki były na wyrost, a stany i tak wszystko przyjęły za dobrą monetę. W odpowiedzi z 3 lipca 1586 roku prosiły o „dalszą przychylność" w ich walce z „dzikim i barbarzyńskim narodem hiszpańskim, dążącym do panowania nad całą Europą".[24] Trzeba tu jednak dodać, że polityka królowej angielskiej utrzymującej bardzo dobre stosunki z Moskwą, wykorzystującej nawet wobec miast polskich argument „czystej religii" dla przyciągnięcia ich do wyspiarskiej racji stanu, pchała Batorego z dodatkową siłą przeciw angielskim interesom. To na tej podstawie odnowione zostały przywileje Gdańska. Jeszcze raz jednak wypada podkreślić, że meandry polityki królewskiej wobec Anglii, Elbląga, Niderlandów i Gdańska były funkcją kwestii zasadniczej: wyprawy przeciw Moskwie i montowania gigantycznej ligi przeciw islamowi. Rosja miała być odcięta od nowoczesnego sprzętu angielskiego i statków miast hanzeatyckich z towarami. Jak i poprzednio, do generalnej wyprawy Batory przygotowywał się z ogromną konsekwencją.

VIII. «CZY TO PRAWDA, ŻE KRÓL POLSKI UMARŁ?»

Rozmach i energia króla były imponujące i zadziwiające. Olbrzymie plany kreślił bowiem człowiek, którego żelazne zdrowie było mitem i oczywiście wartością polityczną, mającą służyć wielkim zamiarom. Nuncjusz Caligari, Heidenstein czy też sekretarz królewski Jerzy Chiakor pisząc czy mówiąc o wybornym zdrowiu i „kompleksji" Batorego dawali się zwieść, bądź zwodzili. Prawdę znało niewielu; wśród nich byli Habsburgowie.

W połowie 1585 roku chorowity cesarz Rudolf II pocieszył się, że nie tylko on ma bardzo poważne kłopoty ze zdrowiem. Król Polski „ma wilka na udzie, który go żre bardzo", dowodził cesarski szpieg Krzysztof Wagner, spekulując przy okazji, że powodem przyjazdu króla do Niepołomic jest prawdopodobnie córka właściciela zamku, z którą Batory miał spłodzić dwoje dzieci.[1]

Wydaje się jednak, że król daleki był od amorów, jego rzekome zamiłowanie do niewiast nadal było niewidoczne, choć potem znany tropiciel „chamorum", Walerian Nekanda Trepka, przypisywać mu będzie spłodzenie syna zwanego Knebowskim lub Kniaziowskim. Jeśli tak, to zastąpi on ojca w wyprawie na Kreml — lecz jedynie na czele dwunastu husarzy. Batory czuł się coraz gorzej, a nasilające się ataki wściekłości czy łatwość wpadania w stan poirytowania były tego dowodem. Ci, którzy przebywali z nim długo i znali go bliżej, wiedzieli, że już w Siedmiogrodzie ulegał tajemniczym atakom połączonym z utratą przytomności. Podczas obrad sejmowych 1585 ro-

ku opuścił znienacka posiedzenie senatu „przez niedobre zdrowie". Tuż po sejmie lekarz nadworny Batorego, Mikołaj Buccella z Padwy, „o zdrowiu królewskim niedobrze tuszył przed kanclerzem, aby miał król długo żyć". Zawiadomiono marszałka Opalińskiego, który odważniej niż milczący w tej kwestii Zamoyski przypomniał ostro królowi, iż jest „mortalis" i jako „śmiertelny" powinien uregulować sprawę następstwa i elekcji. „Niemiło tego słuchać było królowi i rzekł marszałkowi:

— Non me tamen occidet apoplexia.

— Quis scit?" — Któż to wie, odpowiedział odważnie marszałek na zapewnienie króla, iż nie zdoła porazić go apopleksja.[2]

Ze scenki tej widać, iż król odpychał z całych sił myśl o śmierci, wręcz nie dopuszczał do niej. To zrozumiałe: ledwie przekroczył pięćdziesiąt lat, swą imponującą posturą i rysami twarzy wywoływał wrażenie żelaznego zdrowia. Choć zauważono, że czasem niepokojąco bladł, to na polowaniach i wojnach zachowywał się tak, jak gdyby myśl o fizycznych dolegliwościach była mu najzupełniej obca. Podczas sejmu 1585 roku przeżywał gwałtowne zaostrzenie choroby i tu już nie mógł zapanować całkowicie nad cierpieniem po atakach złości popadając w apatię. Kryzys po długim pobycie w Niepołomicach aż do lipca 1585 roku minął, więc król nadal kurował się, jak zwykł, na niezliczonych polowaniach wiatrem, mrozem, przemęczeniem i kielichem wina. W Grodnie zimą 1586 roku cudem uszedł śmierci, gdyż pod saniami, którymi jechał, załamał się lód. „Groza śmierci demaskuje człowieka" — napisał Paweł Jasienica.[3] Król pełzając „tak się po lodowi toczył sam sobą wszystek opodal od onego miejsca, żeby się nie załomił, jakoż był ciężki".[4] Uratował się sam, bez niczyjej pomocy, nikogo nie narażając. Znów sprawiał wrażenie człowieka niespożytej siły, zręczności, zdrowia.

W rzeczywistości był to jeden z najbardziej cierpiących władców Europy. Skutkiem pokąsania go przez psa w młodości, a raczej, jak chyba słusznie sądził lekarz nadworny, obciążenia dziedzicznego „król jegomość miał na prawej nodze o dwa palce pod kolanem aż do kostki rodzaj wyrzutu, w którym bywały ranki niegłębokie, ciekące. Na tejże nodze, niżej kolana, miał aperturę: a kiedy z niej

mało ciekło, nie miewał apetytu, noce były niespokojne i bezsenne."[5]

O niedomaganiach Batorego wiedziano od dawna na dworze cesarskim: podczas pobytów w Wiedniu doznawał on ataków kataleptycznych, które kojarzono z epilepsją. Tymczasem powodem był ów nie zagojony wrzód, żywo przypominający Stefanowi o defekcie jego ojca, który umarł niedługo po pięćdziesiątce. Myśl o odziedziczeniu fatalnej skazy i krótkim życiu wydaje się istotnym motorem poczynań i planów Batorego: musiał się śpieszyć, stale śpieszyć. Wbrew radom przybocznego lekarza Stefana w Siedmiogrodzie, Jerzego Blandraty, wezwani na konsultację medycy niemieccy postanowili zatamować uchodzącą ropę; w trzy miesiące po zabiegu przyżegania rany ogniem stan zapalny przemieścił się i chyba objął mózg, przyprawiając Batorego o ciężkie ataki opłacone tygodniowym porażeniem ośrodków mowy w mózgu. Nie pomagało ani puszczanie krwi, ani przestrzeganie zakazu spożywania napojów: Blandrata zmuszony był poprosić o pomoc medyczną lekarza z Padwy, również arianina, Mikołaja Buccellę. Opinia Buccelli pokrywała się z sądem Blandraty: wrzodu nie goić, lecz wręcz przeciwnie, rozszerzyć, by dać ujście „złej materii". Na nodze Batorego lekarz z Padwy instaluje „jątrznik" z kolcami, który drażni bezustannie ranę. Ropa ma niekiedy przykry zapach, wypływa jej dużo, o czym świadczą wielkie ilości bandaży, płótna i maści wydawane rok w rok przez znakomicie zorganizowaną aptekę Anioła Kobarta, zwanego także Andziołem (Angello Caborti). Ale król z jątrznikiem na nodze czuje się lepiej. Buccella zostaje lekarzem przybocznym Batorego, który w typowy dla chorego sposób coraz mocniej interesuje się wiedzą medyczną wzbudzając swą scjencją podziw lekarzy.

Przewija się ich w życiu Stefana sporo: obok Buccelli, uzdolnionego nie tylko w lekarskim kunszcie, ale i w prowadzeniu zyskownych interesów np. z Zamoyskim, widzimy świetnego znawcę ludzi „przemierzle ogniłych", syfilidologa Wojciecha Oczko.[6] Na skutek nieporozumień — Buccella, który aż do śmierci w 1599 roku nie chciał nauczyć się języka polskiego, uważał medycynę za wyłączną specjalność włoską — Oczko zrezygnował z funkcji drugiego lekarza przy-

bocznego Batorego. Król gotów był zdać się zupełnie na Buccellę, ale ten, znając stan zdrowia pacjenta, wystraszony odpowiedzialnością, namówił Batorego na przyjęcie na dwór głośnego lekarza i filozofa, człowieka bujnego temperamentu, kilkakrotnego konwertytę Szymona Simoniusa z Lukki. W Krakowie zjawił się na początku 1583 roku. Wzajemne stosunki między Włochami-lekarzami były na miarę zdrowia króla: pogarszały się powoli, lecz bezustannie. Buccella chce nawet odejść z dworu. Wiemy jednak, jak ambiwalentne uczucia ma pacjent, którego chce opuścić wieloletni doktor. Król zatem powstrzymał padewczyka nadaniem nowego majątku i zgodził się z jego propozycją powołania trzeciego lekarza.

Było już za późno. W 1585 roku objawy choroby nasiliły się tak bardzo, że król usunął się sprzed zbyt dociekliwych oczu, jak wiemy, do Niepołomic. Czuł się tak fatalnie, że 17 kwietnia w Krakowie zdecydował się przyjąć mistrza sztuk tajemnych przybyłego z odległego Londynu, Jana Dee. Była to osobistość o głębokich scjentystycznych, głównie matematycznych upodobaniach; jak zauważył H. Zins, jeden z pierwszych angielskich zwolenników teorii Mikołaja Kopernika, erudyta i uczony o wielokierunkowych zainteresowaniach. Prowadził też badania nad duchami i usiłował je wywołać, ponoć z sukcesem. Przebywający podówczas w Anglii Olbracht Łaski zainteresował się uczonym i mistykiem. Ten przepowiedział ambitnemu wojewodzie nie tylko tron mołdawski, ale i koronę polską. Zdolnego maga wraz z medium Edwardem Kelleyem Łaski powiózł do Polski i zarekomendował królowi.

Batory nadal czuł się fatalnie. W Niepołomicach, w maju, zaczął już skłaniać się ku myśli o śmierci. W tym czasie wywoływane przez Jana Dee duchy donoszą tajemniczo o zgładzeniu Stefana, choć na wezwanie Łaskiego nie chcą mówić po węgiersku („Hungarie is hateful unto me")[7] — oświadczyć miał duch, oczywiście po angielsku. Rzecz jest o tyle zatrważająca i ciekawa, że wojewoda prosi króla o audiencję dla magów. Dwudziestego trzeciego maja stają oni na zamku w Niepołomicach przed obliczem Batorego.

Świat ówczesny był zaludniony w równej mierze ludźmi, jak duchami czy nieziemskimi siłami. Przynajmniej w świadomości tych

przeciętnych. Toteż powitalna mowa Batorego do magów, iż „proroctwa i objawienia od dawna już i za czasów Chrystusa ustały", ale jeśli nie ma w tym „przeciwnego czci Bożej", to ich wysłucha — przynosi zaszczyt racjonalistycznej umysłowości króla. Dee błysnął jednak erudycją ewangeliczną i monarcha Polski zgodził się, by Kelley miał widzenie. Było rzeczywiście zdumiewające: medium mówiło o „obrzydliwym trądzie" toczącym Batorego i kazało mu być „uległym". Wobec kogo? — duch nie orzekł.

Banalne to skądinąd zdarzenie wywołać miało u podejrzliwych z powołania historyków domysły. Czy Dee i Kelley z ich cudami nie byli agentami królowej Elżbiety I, z której mecenatu Dee czerpał niemałe środki na badania — w tym „wiedzy tajemnej"? Czy w ten niecodzienny sposób nie oddziaływali na koronowane głowy? Zdumiewająca bowiem była ich ruchliwość i wojaże po dworach europejskich, znaleźli się między innymi u cesarza w Pradze. Pogłoski o planowanej przez Batorego wojnie, wzmacniającej w razie powodzenia siły katolicyzmu, musiały trwożyć protestantów, a Dee w rzeczywistości był wszechstronnym uczonym, a nie magiem. Do jakich celów usiłował spożytkować swą wiedzę i zdolności? Przecież jego biblioteka, pełna naukowych dzieł, mogła się równać z ówczesnymi księgozbiorami Cambridge i Oksfordu...

Bóle i myśl o śmierci nie ustępowały, skoro 12 maja 1585 roku w Niepołomicach Batory zdecydował się na obszerny testament. Ważna to rzecz dla poznania przekonań, myśli, obsesji, sympatii człowieka i władcy. Król pisał w pierwszej osobie, nie w pluralis maiestaticus, co czyni akt ostatniej woli bardziej tragicznym. „Patriae charisque propinquis", ojczyźnie najdroższej Siedmiogrodowi, Węgrom poświęcił najwięcej miejsca, najcieplejsze słowa i pieniądze z własnego majątku, głównie zdobytego na Moskwie: 96 tysięcy florenów „in communem usum Reipublicae Transylvaniae dono"[8]. Trzydzieści tysięcy przeznaczył król na ukochane Grodno; dwadzieścia tysięcy na szpital założony przezeń w Warszawie dla starych żołnierzy. Skarby tykocińskie Batory zwracał, egzekutorami testamentu mianował Jana Zamoyskiego, Andrzeja Opalińskiego, Krzysztofa Radziwiłła i Jerzego Radziwiłła, co wydaje się dbałością chorego kró-

la o utrzymanie równowagi między Koroną a Litwą. Tylko jednego sekretarza wyróżnił: Jerzemu Boymowi, ojcu słynnego potem misjonarza w Chinach, zapisał 817 zł. Z testamentu przebijało rozżalenie nie spełnionych nadziei.

„Czy to prawda, że król polski umarł?" — dopytywał się cesarz 17 sierpnia 1585 roku kamery śląskiej. Nie — odpowiedziała 9 września kamera utrzymująca licznych szpiegów w Rzeczypospolitej. — „Dowiedzieliśmy się, król chory, ale podobno ma się lepiej; wyzdrowiawszy, uda się do Grodna." Tak też się stało: 6 września Batory w znacznie lepszym stanie wyjechał z Niepołomic. Ciągnie w stronę puszczy przez Korczyn, Sandomierz i Warszawę. Chyba czuje się lepiej, o czym świadczy ponowny wzrost zainteresowania sprawami polskimi, a nie, jak podczas groźnego kryzysu chorobowego, regulowaniem kwestii siedmiogrodzkich. Żałość króla nad rodzinnym krajem pogłębiały zresztą wieści o „morowym powietrzu" wiszącym nad rozpalonym od upałów i strachu Kolozsvárem, Gyulafehérvárem, Waradynem. Zaraza mocno przerzedziła szeregi jezuitów — zmarło ich trzydziestu, nad czym król szczególnie mocno bolał. Domagał się więc, by ks. Wujek wrócił do Kolozsváru — ale ten odmówił, i to zdaniem, które Batory winien należycie zrozumieć: „poznałem ja dobrze te węgierskie umysły i doświadczyłem, jak trudno jest rządzić i kierować nimi" — napisał tłumacz Biblii.[9] Mimo zastrzeżeń zgodził się w końcu na powrót do Siedmiogrodu.

Zdrowiejący król znów obraca zatem uwagę na sprawy polskie. Wyznacza nie znanego podówczas magnata Sebastiana Lubomirskiego na zarządcę żup solnych krakowskich, choć i tu trudno nie zauważyć, iż Lubomirski po kądzieli miał krew węgierską, z matki Barbary Hrussoy de Zablath. Z dochodów z żup urośnie potężny ród, który rwać będzie równość szlachecką jeszcze mocniej niż stare familie. Oczywiście Batory nic tu nie winien. To cecha wpisana w epokę, ryzyko republikańskiego ustroju.

Dwudziestego drugiego listopada 1585 roku widzimy już króla w ukochanym Grodnie. Znów mógł nacieszyć oczy budynkami zwanymi Domus Regia, malowniczo położonymi nad przepastnym urwiskiem niedaleko Niemna, w tym Zamkiem Starym, skąd roztaczał się

widok na niezmierzone ciemnozielone lasy otulające szczelnie miasto ze wszystkich stron. Batory ulubiony Zamek zaczął przebudowywać ściągając do Grodna dwóch słynnych włoskich architektów: Scoto z Parmy i Antoniusa de Greto. Tam rozpoczął znów najlepszą według niego kurację — polowania. Stąd to prowadził obfitą korespondencję, sposobiąc grunt międzynarodowy do wyprawy na Moskwę i utworzenia ligi. Rozkręca też maszynerię do poboru podatków, śląc listy przynaglające do płacenia. Swoim urzędnikom nakazuje zdecydowanie. „Przyjdzie mi napisać do króla IMci, aby to panu instygatorowi poruczyć raczył", jeśli, księże biskupie, nie pospieszysz się z płaceniem poborów — pisze na przykład do opornego Kromera w imieniu króla kasztelan chełmiński Jan Dulski.[10] Powracające siły, ocalenie z utonięcia w przerębli, chwile wesołości sprawiają, iż wydaje się, że król odzyskał zdrowie.

Początek grudnia 1586 roku był wyjątkowo mroźny i wietrzny. W Rzymie ładowano już papieskie złoto na wozy idące do dalekiej Polski na organizowanie wielkiej wyprawy. Oprócz Possevina na dwór królewski jechał nowy nuncjusz apostolski Hannibal z Kapui. Podczas łowów, na których Batory potrafił własnoręcznie kłaść i po 20 dzików, poczuł ucisk w piersiach. Ponowił się on w dwa dni później, w piątek 5 grudnia. W niedzielę, wbrew radzie Simoniusa, król pojechał konno do kościoła. Po powrocie, około północy, idąc do ustępu, stracił przytomność i runął na posadzki, raniąc się lekko. Ból uśmierzał niewielką ilością wina — ale od poniedziałku ataki połączone z omdleniami powtarzały się. Batory do końca zachowywał wiarę w wyzdrowienie, odpowiadał niecierpliwie Buccelli, iż wie, „że nic nie ma", nie spowiadał się ani nie pozwolił opatrzyć świętymi sakramentami. I choć Lwu Sapiesze powiedział: „Non puto me decem annos vivere posse" [11], to wierzył, że przez te dziesięć najbliższych lat zdoła przeprowadzić wielkie plany. Toteż w przerwach pomiędzy nocnymi atakami bywał wesoły, a 9 grudnia długo konferował z podkanclerzym. W trzy dni później, 12 grudnia, w piątek o zmierzchu nastąpił kolejny atak. Duszności jeszcze nie ustąpiły, gdy Stefan Batory znów stracił przytomność. Tym razem na wieki. Przed śmiercią miał rzec pobożnie ostatnimi słowami Chrystusa, ale po łacinie: „In

manus Tuas, Domine, commendo spiritum meum."[12] Była godzina piąta po południu.

Mimo że otoczenie króla wiedziało o jego chorobie, to jednak zewnętrzny pozór siły i zdrowia sprawił, że wiadomość o jego śmierci „jak piorun uderzyła w Polskę". Ogrom jego zamierzeń, energiczne posunięcia, które bardziej przysparzały mu wrogów niż przyjaciół, wywołały od razu plotki o jego otruciu. Przypominano, że Batory w maju 1578 roku zwracał się do lekarza elektora brandenburskiego, Leonarda Thurneisera, z prośbą o przysłanie medykamentu chroniącego przed otruciem. Miało to związek ze sprawą niejakiego Gradowskiego, czarnoksiężnika, którego osadzono w Rawie w więzieniu za rzekomy zamiar otrucia króla (zadenuncjowała go zazdrosna czarownica). Przed trucizną przestrzegał Batorego książę pruski, Jerzy Fryderyk. Krzysztof Zborowski twierdził wręcz, że to Buccella ofiarował się otruć króla, który to plan on, Krzysztof, odtrącił z niesmakiem. O błędy w sztuce lekarskiej oskarżył Buccellę niedawny kolega, Simonius. Spór i podejrzenia rozszerzały się, owocując dziełami z ponad tysiącem zadrukowanych grubych stron papieru, na których obaj uczeni medycy obrzucali się błotem, winiąc się nawzajem za śmierć króla.

Po wiekach ostały się trzy wersje przyczyny zgonu Stefana Batorego. Atak serca, otrucie lub uremia. Należy jednak dodać, że podejrzewano niegdyś również syfilis — vide obecność Oczki — co dla jednego z najbardziej wstrzemięźliwych seksualnie władców polskich byłoby zaiste ironią losu i historii. Może stąd jego niechęć do kobiet? — domniemywano, chyba niesłusznie. Wedle opinii większości lekarzy, badających po wiekach objawy choroby króla — również choroba serca nie wchodzi w grę. Z. Scheuring, lekarz i historyk amator usiłował zebrać trzynaście poszlak świadczących o tym, że Batorego otruto na zlecenie potężnych kół protestanckich, obawiających się wzrostu sił katolicyzmu po podboju Rosji przez polskiego króla. Nie przedstawił jednak wystarczających dowodów, a poszlaki i teza również nie przekonują.[13] Należy zatem przychylić się do wyników badań Franciszka Giedroycia z 1906 roku, potwierdzonych przez Franciszka Waltera i innych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskie-

go w dwadzieścia osiem lat później, podających za przyczynę śmierci króla — uremię. Organizm Batorego nie mógł sobie poradzić z trującymi i nie wydalanymi produktami przemiany materii. Nie bez powodu podczas sekcji zwłok króla dokonanych po stosownych pieśniach, zaklęciach i piciu wina, obecny tam lekarz Jakub Gosławski i Buccella odkryli, że Batory miał „nerki nadzwyczajne, jako wołowe".[14] Stefan Batory, władca rokujący tak wielkie nadzieje, zgasł mając lat pięćdziesiąt trzy, po blisko jedenastu krótkich, lecz jakże intensywnych latach panowania, które mocno się odcisnęły w świadomości obywateli Rzeczypospolitej, Węgier i całej Europy.

Państwo polskie znów stanęło przed grozą wolnej elekcji. Tym razem mocniejsze powiewy wojny domowej przeszły przez pograniczne połacie kraju, między Warszawą a Krakowem, zakończone pobiciem pod Byczyną arcyksięcia habsburskiego Maksymiliana przez Zamoyskiego. Chociaż szlachta wiedziała, że „obieranie królów rzecz śliska jest i niebezpieczna"[15] — nie chciała nic ująć z cegiełek wolności, w przekonaniu, że z nich zbudowany jest gmach wielkości Rzeczypospolitej. Bratankowie Batorego nie będą mieli szans na koronę, mimo poparcia Andrzeja przez Zamoyskiego.

IX. STEFAN WIELKI?

Zwłoki króla leżały dość długo w Grodnie. Dopiero w maju 1588 roku sprowadzono uroczyście ciało Stefana Batorego na Wawel. Półtora roku oczekiwania na pogrzeb dały historykowi-lekarzowi podstawę do upewnienia się, iż w ten sposób chciano ukryć ślady otrucia, aby „ciało dobrze przegniło".[1] Tymczasem to zwyczaj nakazywał, by zmarłego króla chował jego następca, a Zygmunt III Waza umocnił się na tronie wawelskim w początkach 1588 roku po bitwie byczyńskiej.

Obrzędy funebralne były uroczyste, trwały trzy dni, Stefan Batory spoczął w katedrze wawelskiej w cynowej trumnie. Grobowiec powstał nie z datków narodu szlacheckiego, lecz z części żołdów je-

go żołnierzy; to także ślad nieciekawej aury, jaka otaczała króla. Zachował się dokładny opis udziału czynności osób uczestniczących w pogrzebie.[2] Niestety nie wiemy, jakie uczucia, oprócz refleksji nad przemijaniem największych tego świata, przenikały uczestników smutnej uroczystości. Rzeczpospolita kurowała się szczęśliwie po strasznej gorączce kolejnego interregnum — i już z mniejszymi emocjami można było popatrzeć na osobę króla Stefana.

Jeszcze niedawno poeta czarnoleski wieszczył:

Serce nieomylnie tuszy, że Cię z Bolesławy
Równo Polska kłaść będzie...

Pod koniec panowania króla nie było to takie oczywiste. Choć sprawy związane z reakcją szlachty na śmierć Batorego wymagają solidnego zbadania, to na podstawie reakcji herbowych w 1585 roku, opinii zawartych w listach, wrednych paszkwili Bartosza Paprockiego, ocen historyków można zaryzykować twierdzenie, że król Stefan pod koniec panowania nie był lubiany ani doceniany przez ogół szlachty. Wielu z pewnością go nienawidziło, wszak tenże Paprocki przy „ciepłych jeszcze niemal zwłokach Batorego swym złośliwym i jadowitym językiem ubliża zuchwale pamięci nieboszczyka”.[3] Władca, który uczynił dla Rzeczypospolitej tak wiele, nie tylko nie został uhonorowany w ówczesnej poezji funebralnej, jeśli nie liczyć Paprockiego „nieutulonych płaczów” lub „lamentów” nad opuszczoną Rzecząpospolitą,[4] czy też mowy Krzysztofa Warszewickiego chcącego „złożyć dowód stałości swoim królom i panom”,[5] ale narażił się na nienawiść i ostrą krytykę, której echa pobrzmiewają do dzisiaj.

Oczywiście na nastroje w większej części szlachty miała głównie wpływ sprawa Zborowskich: umarł „król okrutnik”, który „podgolił mieczem Samuela”, a więc „tyran”.[6] Naprzeciw stanęli ci, których przyciągała siła i znaczenie Zamoyskiego. Czcili oni pamięć zmarłego króla, przywdziewając czarne, żałobne stroje. W tej sytuacji zagęszczenia emocji nie mogło być oczywiście mowy o wyważeniu zasług i błędów króla; jak to często bywa, świat raptem stał się w oczach stanu szlacheckiego czarno-biały. Emocje te zresztą stygły wyjątkowo powoli. Bez wątpienia Stefan Batory swą polityką wewnętrzną

przyczynił się do wywołania wśród szlachty upiora absolutum dominium. Odtąd herbowi wyjątkowo pilnie będą patrzeć na ręce władzy. Wyrazem tego będzie ostatnia próba odzyskania przez średnią szlachtę swej pozycji z czasów ostatnich Jagiellonów: bunt w 1606 roku, zwany rokoszem Zebrzydowskiego, który swe korzenie emocjonalne, a może i polityczne miał w czasach Stefana Batorego.

Królowi długi czas nie będą wybaczone dwa błędy: nieoparcie się w polityce wewnętrznej na stanie szlacheckim i dławienie przypadków naruszania prawa siłą i bezwzględnością. Nawet ludzie, którzy Batoremu wiele zawdzięczali, jak arcybiskup Solikowski, będą z niechęcią odzywać się o polityce wewnętrznej króla. Arianin Andrzej Lubieniecki w swej *Poloneutychii* wręcz sugerować będzie, że król zdążał do rozpętania wojny religijnej w Polsce i zgniecenia protestantyzmu. Natrafił ponoć na opór nie tylko możnych zaufanych katolików, ale i samego Jana Zamoyskiego. Bulwersująca ta kwestia czeka na wyjaśnienie, jak i wiele innych opinii o planach i pomysłach króla. Pomówienia o „zajuszenie” na krew szlachecką i „tyranię” pobrzmiewać będą głośno jeszcze w kilkadziesiąt lat w opiniach stanowych.

W swoim ostatnim testamencie król prosił stany, „aby wdzięczność, której zupełnie poskąpiono mu za życia, okazano po śmierci”.[7] Tymczasem i po jego zgonie, od samego początku „życia pośmiertnego”, ocena Stefana Batorego szła jakby dwoma torami, w które wepchnęło ją rozdarcie narodu szlacheckiego na „zborowszczyków” i „żałobnych”. Dworskie dzieła Heidensteina torowały drogę złotej legendzie; pisane niezależnie — Goreckiego, Müllera, Paprockiego, Solikowskiego — ukazywały króla w ciemniejszym świetle. Wraz z upływem wieków postać wielkiego króla stała się oczywiście znakomitą okazją do pogłębiania patriotycznych uczuć w rozdartej rozbiorami Polsce — a te można wszak budować na laurkach. Toteż nie szczędzono w tamtych czasach w licznych broszurach i powierzchownych dziełach pięknych przymiotników świadczących o wielkości Stefana Batorego.

Ale, prawem równowagi, jednocześnie rzetelni badacze zauważyli coraz większe cienie na działalności króla, nie szczędząc mu słów

krytyki. Obraz utrwalony w literaturze pięknej i popularnej, w obiegowych opiniach — najczęściej odbijający sądy z dzieła Heidensteina — zaczął rozmijać się z ocenami niektórych uczonych.

W 1912 roku Tadeusz Korzon w swych fundamentalnych *Dziejach wojen i wojskowości* stwierdził nieoczekiwanie, iż „Batory nie był genialnym ani wielkim wodzem, jakim mianowali go wszyscy prawie nowocześni historycy, nie wyjmując pułkownika Górskiego (...) Był tylko dobrym, energicznym, wykształconym oficerem." [8] Posypały się zarzuty, w większości niesłuszne: od unikania bitwy w polu po niemal dezercję spod Pskowa. Przy tym im bardziej pod świetnym piórem Tadeusza Korzona malała postać króla, tym wyżej stawała osoba szlacheckiego bohatera polskiego chowu — Jana Zamoyskiego.

Jeszcze silniejszej krytyce została poddana działalność polityczna króla — i to całkiem niedawno. Wedle Andrzeja Wyczańskiego król, mało związany z krajem, w którym panował, nie umiał się oprzeć na żadnej z liczących się grup szlacheckiego społeczeństwa. W rezultacie jego polityka wewnętrzna osłabiania pozycji sejmu na rzecz wzrostu znaczenia sejmików przyniosła de facto osłabienie władzy centralnej. Zajęty wojnami Batory i jego współpracownicy nie podjęli też żadnego programu reform: „zdobycie na rok czy dwa podatków zadowalało w tym zakresie ich działania polityczne" — rzecze autor krytycznego szkicu.[9] Równie ostrej oceny doczekała się polityka zewnętrzna króla. „W gruncie rzeczy myślał o walce z Turcją i odzyskaniu Węgier (...). Na tym tle Batory tworzył nowe fantastyczne plany antytureckie w postaci podboju Rosji." Autor nie pominął też niedobrej polityki króla wobec Gdańska i Prus.

Trzeba przyznać, że tak czarna opinia mocno kontrastuje z wizją Jana Matejki utrwaloną nie tylko na obrazie Batorego pod Pskowem, ale również w głowach zdecydowanej większości społeczeństwa polskiego. Nie idzie o to, by jej schlebiać, ale niniejsza książka ma stanowić próbę skrócenia dystansu wobec osoby króla i jego poczynań osadzonych w zawrotnym wirze wydarzeń — i każdy Czytelnik może wyrobić sobie własny sąd konfrontując zdarzenia i oceny. Jest to jeden z celów, jakie stawiał sobie autor biografii: uciec od

gotowych formułek i dydaktycznych ramek, wierząc w czytelniczy osąd. Wypada jednak, by i on zdecydował się na jednoznaczną opinię.

Batory to bez wątpienia wybitny wódz: jest dobrym strategiem, znakomitym organizatorem i wyśmienitym oficerem. Czegoż trzeba więcej od przełożonego nad siłami zbrojnymi? Z pewnością ma rację znawca spraw wojskowych króla, pisząc, że: „przede wszystkim doczekała się Rzeczpospolita króla wojownika, który mógł (...) wykorzystać w pełni szerokie prerogatywy władzy królewskiej".[10] Równie dobrze Batory wydaje się czuć przy planowaniu operacyjnym, jak i w działaniach taktycznych. To również wybitny reformator wojska, któremu nadał nowoczesny kształt zapewniający armii polskiej preponderację na tle innych armii świata. Wraz z tendencjami zachodnimi za Batorego wzrasta w Rzeczypospolitej rola piechoty, artylerii, siły ognia i broni palnej. Dzięki utworzeniu ciężkiej husarii Polska osiąga znaczną przewagę w jeździe: porównanie jej z czołgami i przełamującymi uderzeniami nie jest wcale bezzasadne — doświadczą tego niebawem armie hołdujące wschodnim i zachodnim metodom walki. Mimo olbrzymiej energii król nie rwie się do „rzucania kostki" w jednej bitwie, zdając sobie sprawę ze słabej znajomości zasad dowodzenia wielkimi masami jazdy; jego przygotowania do wojny ukazują profesjonalistę konsekwentnego i wytrwałego. Z jego szkoły wychodzi „całe pokolenie dowódców najwyższych i rotmistrzów decydujących przez następne dziesiątki lat o świetności staropolskiej wojskowości".[11] I choć wojna — obronna, do której Batory zobowiązał się jeszcze przed koronacją — zagłuszyła szczękiem problemy wewnętrzne, to jednocześnie stała się „najsurowszym sprawdzianem sprawności i żywotności struktury ówczesnego państwa".[12]

Wypadł on znakomicie. Wojny batoriańskie ukazały szlachcie i zdumionej Europie, na co rzeczywiście Rzeczpospolitą stać — choć był to pułap możliwości finansowych i militarnych państwa. W czasach gdy Batory zmagał się na wschodzie, wojewodowie od Wielkopolski po Kijowszczyznę musieli strzec granic państwa i płacić podatki. Ale świadomość tej potencji bardzo przyda się niebawem szlacheckiemu społeczeństwu i władzom Rzeczypospolitej.

Choć wojny batoriańskie siłą rzeczy wywołały rozluźnienie stosunków wewnętrznych, wzrost nastrojów i czynów naruszających porządek w państwie, król w najcięższych dlań chwilach usiłował wpływać na utrzymanie spokoju w Rzeczypospolitej. Sprawą o kapitalnym znaczeniu była nie tylko opozycja magnacka i szlachecka, którą Batory zamyślał ukrócić na swój sposób, ale i pokój religijny w wielowyznaniowym państwie. Choć chciał bardzo, by wszyscy „jednostajnej katolickiej wiary byli (...), my nikogo do wiary gwałtem cisnąć nie chcemy", gdyż „pacem inter dissidentes de religione tueri et manu tenere" — pokój między różnymi wyznaniami przysięgaliśmy zachować na koronacji. Król znajdował do tolerancyjnych posunięć racjonalne uzasadnienia. „Chociażbym tego nie przysięgał, sam rozum, ustawa Rzeczypospolitej i francuskie przykłady [dzień świętego Bartłomieja — J. B.] dostatecznie by mię tego nauczyły" — stwierdził.[18] „Wzruszyciele swawolnych rozruchów", takich jak w Wilnie, gdzie po wyjeździe króla w 1581 roku doszło do palenia ksiąg ewangelickich i wyrzucania trupów heretyckich z cmentarzy, mieli być surowo karani, a Batory o każdym takim przypadku powiadamiany. Z pewnością edykt ten służył zachowaniu spokoju na bliskim zapleczu teatru działań wojennych, ale też prawdą jest, że w porównaniu z następnym panowaniem, Zygmunta III Wazy, Rzeczpospolita była krajem pokoju religijnego. Mimo że Batory, o czym już kilkakroć pisaliśmy, forytował mocno katolicyzm, w Rzymie i duchowieństwie szukając oparcia — tak mocno, że bliski był, by to do niego przylgnął przydomek „jezuickiego króla". Obawy innowierców podejrzewających króla o najgorsze, nie były takie bezzasadne.

Czy król Stefan był równie wybitnym mężem stanu jak wojskowym? Pewną miarą możliwości politycznych jest tak umiejętność „urabiania" rzeczywistości, jak i elastycznego ulegania jej. Batory, przy swoim temperamencie i planowości, wybierał coraz częściej to pierwsze rozwiązanie, choć zawsze starał się pilnie wysłuchać rad senatorów. Wybierając „urabianie", szedł jednak na udry z zastaną rzeczywistością szlachecką, co nie rokowało dobrze. Wprawdzie przy dłuższym panowaniu metoda Stefana podważania pozycji szlachty i niewygodnych magnatów dla wzmocnienia władzy króla być może zdałaby egzamin i byłaby dla Polski korzystna, ale na krótką metę przyniosła szkody w świadomości narodu szlacheckiego. Będąc przy tym władcą o szerokim spectrum politycznych działań i wizji, w dziedzinie wewnętrznej, w imponderabiliach, które tworzą wszak obraz całości, Batory zdał się na Zamoyskiego. Bywało, że z kancelarii wychodziło dziennie kilkaset listów, uniwersałów, pism etc.; król nie mógł tego wszystkiego czytać. Oparł się zatem na byłym trybunie szlachty, który z jej przedstawiciela stał się reprezentantem i kreatorem polityki dworskiej, z całą wynikającą stąd konsekwencją stanu rzeczy. Po dobrym początku zaczęło królowi brakować szerszej bazy społecznej. Nawet senat, którym Batory potrafił się umiejętnie posługiwać, bywał mocno zróżnicowany, czy w końcu wręcz niechętny. Jak się wydaje, król zaniedbał też tworzenia oddanej mu nowej magnaterii — i choć sam Zamoyski pociągnie za sobą „minores", czego wyrazem będą kariery Stanisława Żółkiewskiego i Mikołaja Zebrzydowskiego — to za mało na utworzenie silnego stronnictwa ukorzenionego w masie herbowej. Z drugiej strony naturalne prestiżowe skłonności do „invidii między Litwą a Polaki", acz nie przesadne, pozwalały od biedy królowi wygrywać magnatów dla swoich interesów. Chyba jednak król nie przywiązywał do „divide et impera" większego znaczenia, zajęty wojnami, wielkimi planami; wyniesiony z pozycji siedmiogrodzkiego władcy niemal absolutnego, gdzie nie musiał się długo zastanawiać, jak pozyskać każdego szlachcica.

Trudno też orzec, czy król zdawał sobie w pełni sprawę z możliwości, które obecnie przytaczają niektórzy historycy. Jako władca z zewnątrz, świadom spętania w układach społecznych Rzeczypospolitej, mógł próbować wesprzeć się — podobnie jak Henryk Walezy — na siłach zewnętrznych i dokonać przewrotu monarchicznego. Wydaje się, że Batory doceniał te możliwości — i szlachta dobrze wiedziała, co czyni blokując rozwój węgierskich sympatii króla.

Polityka wewnętrzna Batorego wydaje się przy tym wtórna wobec prymującej wyraźnie zagranicznej. Należałoby zatem rozważyć, jaki w zasadzie cel przyświecał królowi w polityce zewnętrznej i jej przedłużeniu — wojnie — i gdzie się kończył interes Rzeczypospolitej, a zaczynał interes węgierski?

To truizm, ale zaniedbania w uregulowaniu spraw pruskich, rozpoczęte chaotycznym oblężeniem Gdańska, wskazują, że nie tu król lokował polityczne ambicje i konieczności czy wymogi politycznego działania. Na wschód jednak pchnęły go zobowiązania wobec narodu szlacheckiego Rzeczypospolitej. Wydaje się, że Batory chciał te opcje pogodzić z własnymi dążeniami do niezależnych Węgier. Od początku mocno forytował swych ziomków, narażając się na bardzo złośliwe głosy. „Wszak z Węgier pobrane przyjacioły od Turka królewskie naszymi działkami polskimi okupowano", gdyby Węgrowi ustrzelono nogę, jak to się polskiemu szlachcicowi zdarzyło pod Pskowem, „miałby beł nagi Peter i nogę złotą, i znaczne zaopatrzenie" — żymał się, może i prawdziwie, ale i niesmacznie, Bartosz Paprocki.[14] Nie dziwmy się ówczesnej, krótkotrwałej zresztą, polskiej awersji do Węgrów: przeszło ich przez ziemie Rzeczypospolitej za Batorego ponad 10 tysięcy, stanowili na ogół jedną dziesiątą jego armii, a ich wpływ na dworze i na poczynania władcy był widoczny. Po lekturze wydatków skarbowych Stefana Batorego zrodzić się może nieodparte wrażenie dobrego opłacania żołnierzy węgierskich przez króla.[15] Chociaż... Siedmiogród mógł się z kolei czuć rezerwuarem sił żołnierskich w planach króla polskiego — i niewiele nadto. Król z biegiem czasu zdawał się przy tym rozumieć, ile kwasów w Polsce wywołuje jego przychylność dla Węgrów na urzędach i majątkach. W Inflantach nie obsadził już nikogo ze swoich ziomków — choć łatwo doszukać się motywacji, że Liwonia nie mogła mieć związku ze sprawą węgierską. Tak jak i wojna z królem szwedzkim obrażającym godność królewską i mocarstwa polskiego, której jednak Batory unikał dość skrzętnie — zasłaniając się lekceważącymi sformułowaniami. A nie rozstrzygnięte stosunki ze Szwecją zapoczątkowane sporem o Estonię — to pęknięty fundament pod przyszłe polskie niepowodzenia.

Bez wątpienia sprawa Węgier leżała mu do ostatnich chwil życia na sercu. W testamencie napisanym podczas sejmu 1585 roku na pierwszym miejscu kładł Transylwanię. Wraz z nasileniem się choroby wspominał często Siedmiogród, narzekał na niewdzięczność Polaków, w rozmowach z Possevinem za kolebkę i ojczyznę podawał

Transylwanię, jej oddawał osobisty majątek. Ale czemuż tu się dziwić? Wbrew krytycznym opiniom — Stefan Batory to najbardziej polski z elekcyjnych władców. Henryk de Valois uciekł z Krakowa dla korony francuskiej, Zygmunt Waza chciał się zbyć tronu wawelskiego, z takim trudem dlań wywalczonego, na rzecz Habsburga, i ledwo go przed tym powstrzymano, a nawet sięgnięto po szable. Panowanie w Polsce było tak niewdzięcznym ciężarem, że nawet żelazny Batory chwilami miał go dość. „W Polsce ciężko jest królować (...). Wszedłem sam in miserrinum purgatorium [tj. w ten straszny czyściec — J. R. N.] — by nie szło o sławę, puściłbym to królestwo"[16] stwierdził rozgoryczony, wzdragając się przed myślą o torowaniu drogi do korony Andrzejowi Batoremu. Mimo rozterek Stefan związał swój los z Polską przyłączając do niej Inflanty, najzupełniej obojętne węgierskiej racji stanu i chroniąc znakomicie — w porównaniu z tym, co się będzie działo za Zygmunta Wazy — granice południowo-wschodnie Rzeczypospolitej przed Tatarami i Turkami. Jego gospodarska dbałość o sprawy, wydawałoby się, drugorzędne była wzruszająca: dbał nawet o stan lasów, zabraniając ich nadmiernego wyrębu. I choć za tą decyzją z 1579 roku kryła się sprawa handlu gdańskiego, to takie akty świadczyły o przywiązywaniu wagi do gospodarczych problemów Polski. To prawda, że generalnie podporządkowanych sprawom wojny, ale też służących racjom polskim. „Celem każdej Rzplitej jest pożytek ogólny i dobro narodowe, o które się usilnie staram, nie zważając na głosy złośliwe" — miał powiedzieć król na sejmie 1585 roku.[17] O „pożytku" największym wiemy i zaraz wspomnimy, ale chcemy, by wybrzmiał on w innym kontekście.

W postaci Stefana Batorego, jak w zwierciadle, dotąd odbijają się ambiwalencje i historyczne schizofrenie Polaków. Winny naród czy władza? Oto z natury despota, wychowany w twardej szkole siedmiogrodzkiej, usiłujący mieczem kata wzmacniać władzę królewską, nie pogodzony z niewygodnym dlań prawem, po wiekach wyrasta w oczach polskiej opinii publicznej na jednego z najwybitniejszych władców polskich. Ojciec chrzestny cenzury prewencyjnej, który już za życia kazał pisać dworską, choć wielce interesującą i polską historię Heidensteinowi, pod karą śmierci tłamsił wolność druku,

zakazywał wysyłania z teatru działań wojennych zapieczętowanych listów, usiłując rzetelne informacje z pola walki zastąpić hukiem wojennej propagandy. A jednak rozmiłowany w wolnościach naród po wiekach darował mu to dość łatwo. Złoty obraz zwyciężonej Rosji i bierności Habsburgów zamazał wszystkie cienie na portecie wojowniczego króla i jego poczynań.

Czy słusznie? „WKMci winszuję, zdrowia WKMci życząc i tego, abyś przykładem Kazimierza Wielkiego [podkreślenie — J. B.] raczył te państwa swoje pace, quiete et libertate [pokojem, ładem i wolnością] ozdobić tak, jako o nim kroniki piszą" — mówił na sejmie 1585 roku prymas Stanisław Karnkowski.[18] Widziano więc w Batorym władcę nieprzeciętnego, torowano mu w świadomości narodu drogę do uzyskania przydomka Wielki — ale po wpłynięciu na spokój w państwie. To, co uczynił na wschodzie, było zgodne z najżywotniejszymi interesami Rzeczypospolitej i miarą możliwości króla. Szlachta wiedziała o tym i nie przemawiała przez nich, jak i przez piszącego te słowa, żadna antyrosyjskość, jakby chcieli niektórzy łowcy czarownic, lecz chłodna kalkulacja stanu rzeczy. Oto Rosja pretendująca do roli zbieracza ziem ruskich, dominium Russiae, mająca wpisaną w swą postbizantyjską ideologię i tytulaturę status mocarstwa, kłócący się z jej poziomem intelektualnym i technicznym; Rosja rozpierająca się we wszystkich kierunkach, a szczególnie w stronę Morza Bałtyckiego, stosująca w grze politycznej niespotykane środki dyplomatyczne i wojskowe — stanowiła dla Litwy, Korony i Europy olbrzymie niebezpieczeństwo. Jak wielkie — wykażą to dzieje; już za Batorego podejmowała próby i pierwsze przymiarki do rozbioru Rzeczypospolitej. Król powstrzymał ów gwałtowny rozwój Rosji, złamał jej rodzącą się potęgę, dzięki czemu utrzymana została mocarstwowa pozycja Polski i powiększone bezpieczeństwo jej i Europy. Batory nakreślił tak szerokie horyzonty polityczne i wojskowe na wschodzie, że potem można było już bez kompleksów, z wiarą we własne siły i ze znakomitymi rotmistrzami iść na Moskwę, zająć Kreml i odbić wielki Smoleńsk, który po dziewięćdziesięciu siedmiu latach wróci do Rzeczypospolitej. Zamoyski, Żółkiewski, inni odziedziczą po Batorym całą karetę wizji, pomysłów, planów, uprzedzeń i argumentacji. Powoływanie się przez nich na wolę zmarłego króla będzie miało dużą moc przekonywania i siłę autorytetu. Próby Stanisława Żółkiewskiego zaprowadzenia w 1610 roku „unii batoriańskiej", jego wołanie do króla i szlachty o przygotowanie wyprawy starannie, wzorem króla Stefana, plany Zamoyskiego wojny z Turkami, jego wyprawy naddunajskie i inflanckie — wszystko to było przedłużeniem pomysłów i działań Batorego, na którego często się powoływali. A byli to przecież ludzie znający tajemne plany króla. Zadziwiająca z kolei obawa Żółkiewskiego przed islamem, wynikająca z przekonania, że „wojna z Turki nie igraszka", zdobywanie przez Zamoyskiego twierdz w Inflantach i niechęć tegoż do bitew w polu, ba, skopiowanie przez Żółkiewskiego sławnej węgierskiej czapki Batorego z kitą czarnych czaplich piór, w której kazał się hetman wielki koronny portretować, jako jego duchowy spadkobierca, czapki zdobiącej potem skronie Jana III Sobieskiego — to tylko część wpływu poglądów i osobowości potężnego króla.[19]

Plany Stefana Batorego nie wydają się przy tym fantastyczne: to nie był typ marzyciela. Raczej — przeliczył się z czasem. Śmierć uniemożliwiła mu wyprawę po czapkę Monomacha; znając jego energię i umiejętność rzetelnych przygotowań wojskowych, tak odbiegających od kawaleryjskiej improwizacji, odbyłaby się ona ze znacznie szerszym rozmachem niż za powolnego i upartego Zygmunta III, który forsował ograniczone cele. Wydaje się też, że właśnie od Batorego punkt ciężkości „ówczesnej Polski, ta rzeczywistość ludzi i języka",[20] przesunęła się zdecydowanie z północnego zachodu na wschód.

To prawda: polityka pruska, szwedzka, późniejsza transformacja Trybunału, a nade wszystko wywołanie upiora absolutum dominium wśród stanu szlacheckiego przyniosły niedobre skutki. Ale za powyższe niefortunne decyzje trudno winić do końca Batorego: najczęściej były one przedłużeniem działań jego poprzedników na tronie. Za Zygmunta Wazy, już wkrótce, część szlachty z nostalgią zacznie wspominać nie tylko triumf inflancki, ale również spokój religijny w państwie. Doceniono ograniczenie swawoli kozackiej, oczywiście mniej — szlacheckiej: dostrzeżono jednak i to, że pomiędzy

silną władzą króla a wolnością szlachecką istniały wówczas granice, których za Batorego szczęśliwie nie przekroczono. Tak stanie się dopiero za jego następcy. Król zresztą jak gdyby antycypował swym postępowaniem następną epokę: rodzenia się władzy absolutnej monarchy, uwieńczonej słynnym „l'Etat c'est moi". Metoda ta, jak się okaże, będzie miała kolosalną przyszłość w Europie. Ale nie w Polsce.

Mimo to król Stefan nie mógł zostać obwołany Wielkim. Nawet dworscy historycy, choć tak wiele dlań uczynili, nie śmieli tego zaproponować naprzeciw masom rozgorączkowanej, podejrzewającej Batorego o najgorsze szlachty. Zabrakło dystansu — a następne pokolenia zdają się mieć równie podzielony pogląd na króla, jak mu współcześni. Znamy opinię Ossolińskiego o „tyranie", choć i tu świadomość pokrewieństwa z Samuelem Zborowskim, nawet w trzy pokolenia później, mogła odgrywać dużą rolę. W 1628 roku wychodzi *Rozprawa niektórych obyczajów potocznych przez jednego ślachcica staropolskiego*, w której o Batorym anonimowy autor pisze: „król wielki Stefan".[21] Różnica sądów znamienna.

Jak już wspomnieliśmy, postać króla rosła proporcjonalnie do upływu czasu. Ci, którzy patrzyli nań współcześnie, z dala od tych strasznych polskich swarów i zawiści, słynnego polskiego piekła, dostrzegali w nim wielkość. „King Stephen Batory, generally known as Stephen the Great" — napisano w Anglii.[22] Znano tam króla jako Stefana Wielkiego. Być może wpływ na to miała bardzo ciekawa *A Relation of the State of Polonia and the United Provinces of that Crown*, napisana, zdaje się na potrzeby królowej angielskiej, w roku 1598, być może przez Williamsa Bruce'a. Batory jest przeciwstawiony miękkiemu władcy, jakim miał być Zygmunt III Waza (notabene z pewnością nim nie był). Batory, acz „z natury i wychowania nieco srogi i gwałtowny", umiał znaleźć sposób rządzenia odpowiadający „humorowi tego narodu" i „zgniótł największych wichrzycieli (...), bo taka jest natura Polaka, że szanuje on nieustraszoną odwagę nawet w przeciwniku, a gardzi ustępliwą miękkością i triumfującą nikczemnością".[23] Teza Anglika o olbrzymim szacunku i czci, jakimi miał być otoczony Batory po śmierci, wydaje się jednak wielce prze-

sadzona: przestrogi i pamięć o „tyranie", „zajuszeniu się" znów współgrały z memorią o wielkich triumfach wojskowych i spokoju religijnym Rzeczypospolitej.

Bardzo wysoko ocenił też Batorego papież Sykstus V, uznając jego śmierć za stratę dla całego chrześcijaństwa. Wobec kontaktów i planów królewsko-watykańskich — opinia to zrozumiała. Nic więc dziwnego, że Sykstus V nakazał jednego dnia wysłać z Rzymu siedemnaście listów w różne strony świata informujących o tym smutnym wydarzeniu. Świetny historyk rosyjski Mikołaj Karamzin nie miał jednak takiego powodu jak papież, by gloryfikować osobę króla Stefana, raczej wręcz przeciwnie. Mimo to uznał go za jednego z najznakomitszych monarchów świata; inna rzecz, jak bardzo cieszono się na Kremlu ze śmierci króla. Podobnie wysoko ocenił Stefana Batorego znakomity Michał de Montaigne w *Próbach*. „Ten, którego Polacy obrali swym królem, był naprawdę jednym z największych władców naszego wieku".[24] A była to epoka Elżbiety I, Sulejmana Wspaniałego, Henryka IV...

Zainteresowanie osobą Batorego i jego dokonaniami było wielkie w Europie, o tym już wspominaliśmy. Podstawę historiograficzną i publicystyczną tych sądów znamy; zatrzymajmy się jednak na mowie pogrzebowej Krzysztofa Warszewickiego. De facto była ona krótką biografią króla, w której kanonik oprócz osiągnięć Batorego wskazywał na wady wielkiego władcy. Obraz znakomitych dokonań wojennych został więc okraszony pomówieniami o niewdzięczność, choleryczność, mściwość Stefana i powędrował w świat w licznych wydaniach. Drukowano ją w Bazylei (1588), Kolonii (1589), Marburgu (1609), Hanowerze (1613), Rostocku (1627). Biografia zawędrowała aż do Argentyny, wydano ją tam już w roku 1598.[25]

Każda postać ma swoją legendę. W 1789 roku nieszczęsny król gasnącej Rzeczypospolitej Stanisław August Poniatowski ufundował pomnik Batorego na Prato della Vale w Padwie, na którym wyryto napis tyczący się studiów Stefana w tamtejszej uczelni. Utrwalała się legenda batoriańska. W Polsce epoki rozbiorów król walczący z Rosją mógł ją mieć tylko złotą.

Batory wszystek dla kraju wylany,
wrócił Polszcze wieki złote

— pisał Julian Ursyn Niemcewicz w *Śpiewach historycznych*. Przekonanie to utrwalało się w świadomości narodowej tym mocniej, im bardziej gorzka była XIX-wieczna dola Polaków. Adam Mickiewicz w wykładach o kulturze Słowian w Collège de France określił Batorego jako ideał „króla patrioty, który kochał Polskę, przywiązał się do niej, poślubił Rzeczpospolitą".[26] Legenda wyrosła już tak wysoko, że jakobin i przeciwnik królów Jakub Jasiński w wierszu *Do Stefana Batorego* określi go jako „monarchę kochanego" a „kraj szczęśliwy".[27]

Nic dziwnego, że po odzyskaniu niepodległości nadal nawiązywano do postaci wielkiego króla jako symbolu polskiej potęgi umysłu i oręża. Wyrazem tego był medal jubileuszowy wybity z okazji 350 rocznicy utworzenia pierwszego uniwersytetu we wschodniej Europie — Akademii Wileńskiej. Na medalu, obok wyobrażenia oblicza Stefana Batorego widnieje marsowa twarz Józefa Piłsudskiego, uderzająco podobna do królewskiej, może nie tylko z powodu sumiastych wąsów...[28]

Historykowi i pisarzowi cierpiącemu na chorobę braku uniżoności wobec czarnych czy złotych legend, widzącemu niezliczone skazy na pięknym płótnie obrazu wyczarowanego głównie przez mity, nie wykorzystane furtki i zaniedbania polskiej polityki, fatalizm historii wreszcie — trudno ferować wyroki o wielkości.

Tworzy się wszak w ten sposób aureolę lub kopie grób: co prostsze umysły są zaspokojone zupełnie, bo oto powstała nowa legenda. Porównując jednak dokonania króla z następnymi władcami trudno nie oprzeć się wrażeniu, że to nieszczęsne przekonanie szlachty o „tyranie", związane z tym konotacje, a nade wszystko przedwczesna śmierć, sprawiły, iż król Stefan I Batory nie zdołał pozyskać przydomka Wielki. Niech Czytelnik osądzi, czy na zawsze. Z tym zastrzeżeniem, że za zamierzenia postaci Historia nie sądzi — ale za czyny.

Przy pisaniu tej książki przyświecało mi głównie wywołanie: bliżej postaci króla wpisanej w epokę. Większość napisanych dotąd biografii jest obok Batorego; więcej tam opisów wypraw, oblężeń, działań politycznych, procesów, analiz, syntez, hipotez etc. — niż samego króla. A przecież takie ujmowanie tematu prowadzi do surogatu osoby i jej działalności, którą zastępuje opis zdarzeń lub procesu, w zależności, do kogo praca jest adresowana. Zatem — bliżej króla — ale nie na tyle, by anegdotą, reakcjami, gestami zaciemnić obraz człowieka uwikłanego w wielką politykę, wielką wojnę i trudne życie; by zgubić wymiar procesu i człowieka. Jeśli już anegdota — to jako egzemplifikacja istotnych spraw, jeśli człowiek — to na tle czasów, tamtych problemów i mentalności. Człowiek w działaniu, a nie podzielony na problemy, które rozwiązywał. Dopiero wśród różnorodnych, najczęściej równolegle prowadzonych działań, widać ogrom pracy króla, jego otoczenia, żołnierzy, szlachty. Chciałem, by znalazło to odbicie w książce, i Czytelnik wybaczy mi konieczne powtórzenia.

Wielość cytatów, łacińskie wtręty, język wreszcie — wszystko to jest na kartach książki po to, by przybliżyć nieco ducha epoki. Inaczej wyznawcy teorii prezentyzmu, zakładającego niemożność pełnego zbadania przeszłości ze względu na teraźniejszość — będą mieli rację. Wydaje mi się, że opisywanie przeszłości językiem współczesnej nauki albo, Boże uchowaj, propagandy, służy jedynie tym dwóm działom ludzkich doświadczeń. Nie sądzę, by tym sposobem można było trafić do Czytelników spragnionych Historii. Choć daleki jestem od przekonania Witolda Gombrowicza, że „naukowiec jest to rodzaj pytona, który swoimi objęciami musi zadławić sztukę", to sądzę jednak, że należy coś uczynić, by nauka mogła bywać sztuką.

W wypadku Stefana Batorego nie mogłem dać gotowej odpowiedzi na postawione w tytule tego rozdziału pytanie, choć w moim przekonaniu jest to wprawdzie jeden z najwybitniejszych władców noszących polską koronę, ale jednocześnie n a d z i e j a n i e s p e ł n i o n e j w i e l k o ś c i. Nie kryłem więc wad i błędów: to też cząstka jego rządów i życia. Czytelnik niech rozsądzi sam o prawie Ste-

fana Batorego do wielkości. Z tym zastrzeżeniem i nadzieją, że książka niniejsza, podobnie jak biografia Stanisława Żółkiewskiego, służyć ma nie tylko sercom, pisana jest nade wszystko

ku pokrzepieniu Rozumu.

Warszawa—Raszyn, marzec 1988 rok.



WSKAZÓWKI BIBLIOGRAFICZNE

Niniejsza książka nie ma ambicji naukowych. Literatura związana z osobą Stefana Batorego i jego panowaniem w Siedmiogrodzie i w Polsce jest ogromna i wielojęzyczna; dokładne i krytyczne zbadanie jej i archiwów wymagałoby wielu, może dziesiątków lat pracy. Autor nie czuł się na siłach podjąć aż tak wielkiego trudu: proza życia ma tu niebagatelne znaczenie, gdyż satysfakcja i poczucie spełnionego obowiązku to tylko jedno ze światełek przyświecających męce badania i pisania. Korespondencja, dokumenty, akty, notatki często wydawane były w języku łacińskim; wiele źródeł i opracowań dotyczących króla pisanych jest po polsku, włosku, węgiersku, francusku, rosyjsku, niemiecku, angielsku, tworząc gigantyczną falę, w której łatwo się nie tylko zanurzyć, ale i utonąć. Wszystko to zapewne sprawia, że dotąd nie powstała wielka monografia naukowa jednego z najwybitniejszych władców polskich, wykorzystująca ową ogromną masę literatury różnego typu i wartości, zgodnie ze scjentystycznymi rygorami. Biografia, która wniosłaby nowe elementy do sporu interpretacyjnego wokół polityki króla i rozjaśniła motywy jego postępowania.

Oczywiście nie wszystkie i nie do końca — bo na tym też polega wielki urok Historii złożonej z odniesień przeszłości i czasu teraźniejszego.

Podstawowymi, choć o różnej wartości, źródłami do dziejów Stefana Batorego są kroniki i dzieła R. Heidensteina, M. Bielskiego, L. Goreckiego (?), T. Jewłaszewskiego, M. Kromera, A. Lubienieckiego, S. Łubieńskiego, W. Müllera, Ś. Orzelskiego, Z. Ossolińskiego, B. Paprockiego, P. Piaseckiego, P. Piotrowskiego, A. Possevina, J. Solikowskiego, S. Starowolskiego, M. Stryjkowskiego, J. Wielewickiego. Równie istotna jest epistolografia dotycząca władcy Polski i Siedmiogrodu. Listy Batorego i związane z królem znajdujemy w czterotomowym *Archiwum Jana Zamoyskiego* obejmującym lata 1553—1588; *Archiwum domu Radziwiłłów*; *Archiwum domu Sapiehów*; dwutomowym dziele E. Veressa, *Báthory István erdélyi fejedelem és lengyel király levelezése*, wydanym w Kolozsvárze w 1944 roku; w korespondencji nuncjuszów papieskich: V. Laurea (wydanej przez T. Wierzbowskiego), A. Caligariego i A. Bolognettiego (opracowanej przez L. Boratyńskiego); *Pamiętnikach do sprawy Zborowskich*, wydanych przez L. Siemieńskiego i Ż. Paulego; w opracowaniach księży jezuitów P. Pierlinga i J. Sygańskiego; w *Wiadomościach do dziejów polskich z Archiwum Prowincji Śląskiej*, wyda-

nych we Wrocławiu w 1860 roku przez A. Mosbacha nakładem autora, i *Listach* oraz *Pismach* Stanisława Żółkiewskiego, wydanych przez T. Lubomirskiego i A. Bielowskiego. Różnorodne opinie tyczące się Batorego i jego działalności zawierają także: *Listy do Kromera*, wydane przez S. Żukowskiego w „Dzienniku Wileńskim" w 1816, 1817 roku; artykuł *Dominik Ridolfino, pułkownik w służbie Rzplitej Polskiej w XVI wieku* („Przewodnik Naukowy i Literacki", Lwów 1878); zbiór *Dniewnik posliedniego pochoda Stefana Batorija na Rossiju*, wydany przez M. Kojałowicza w Petersburgu w 1867 roku; *Powiest' o prichożenii Stefana Batorego na grad Pskow*, który opracował W. Małyszew, Moskwa—Leningrad 1952.

Zaledwie mała część dokumentów wydanych za panowania energicznego króla znalazła się w następujących i tak potężnych objętościowo zbiorach: *Akta historyczne... od 3 marca 1578 do 18 kwietnia 1579 r.*, wyd. J. Janicki, Warszawa 1881; *Akty otnosjaszczijesia k istorii zapadnoj Rossi...*, t. 3 (1544—1587); *Annales ecclesiastici...*, t. 1 i 3, wyd. A. Theiner; *Elementa ad fontium editiones*, Romae 1956; *Monumenta Hungarorum in Polonia (1575—1668)*, wyd. E. Veress, Budapest 1918; *Pamiętniki do historii Stefana króla polskiego*, wydane przez E. Raczyńskiego w 1830 r.; *Relacje nuncjuszów apostolskich...*, opracowane przez E. Rykaczewskiego w 1864 roku; *Wypisy źródłowe do historii polskiej sztuki wojennej...*, opracowane przez Z. Spieralskiego i J. Wimmera (Warszawa 1961); *Sprawy wojenne króla Stefana Batorego...*, które wydał I. Polkowski w Krakowie w 1887 roku (przepraszając Czytelników, że książka „o dwa miesiące spóźnioną została"); *Vetera Monumenta Poloniae et Lithuaniae* A. Theinera, t. 2—3, Romae 1861, 1863; zbiór konstytucji sejmowych *Volumina Legum*, wyd. J. Ohryzki, t. 2, Petersburg 1859; „Źródła Dziejowe" t. III, IV, VIII, IX, XI, wydane przez A. Pawińskiego; *Żereła do istorii Ukrainy—Russy* (wyd. I. Krypjakiewicz, t. 8, Lwów 1908). W 1901 roku w Krakowie A. Czuczyński opublikował *Diariusze sejmowe r. 1585*.

Opracowań dotyczących wycinków działalności Stefana Batorego, jego czasów i osoby, jest bardzo dużo. Mimo to król, z wyżej podanych powodów, nie doczekał się wielkiej biografii, choć od 1849 roku, tj. od wydania dzieła J. Albertrandiego, opartego w całości na kronikach R. Heidensteina, czynione są takie próby, tak ze strony węgierskiej (L. Szádeczky, E. Veress, I. Lukinich, L. Makkai), jak i polskiej (rocznicowe, raczej patriotyczne w tonie dziełka K. Tyszkowskiego, A. Śliwińskiego, H. Mościckiego z lat 1932—1934). W 1935 roku wspólnymi siłami historyków polskich i węgierskich powstało dzieło *Etienne Batory roi de Pologne, prince de Transylvanie*, wydane w Krakowie w języku francuskim. Dopiero w latach osiemdziesiątych pojawiła się w PRL praca D. Wójcik-Góralskiej, kierowana raczej do młodzieży, oraz K. Olejnika widząca króla głównie w kontekście wojennych dokonań i planów.

Wyprawy inflanckie króla doczekały się kilku wartościowych opracowań, z których wyróżnia się dokładnością, sumiennością i precyzją rozprawa pióra H. Kotarskiego. Historią wojskowości tej epoki zajmowali się również wybitni historycy, w tym S. Herbst, K. Górski, T. Korzon, H. Kutrzeba, O. Laskowski, J. Wimmer. Polityczne aspekty działalności króla znalazły wyraz w pracach znawcy dziejów Rosji i Siedmiogrodu, L. Bazylowa, oraz J. Bartoszewicza, L. Boratyńskiego, K. Dopierały, St. Grzybowskiego, W. Konopczyńskiego, K. Lepszego, A. Mączaka, J. Natansona-Leskiego, J. Pajewskiego, K. Piwarskiego, W. A. Serczyka, W. Sobieskiego, J. Tazbira, K. Tyszkowskiego, A. Vetulaniego, T. Wierzbowskiego, H. Wisnera, Z. Wójcika, A. Wyczańskiego, W. Zakrzewskiego. Sprawy związane z kulturą, religią, gospodarką, obyczajowością i prawem (pamiętając o płynności tego rodzaju podziału) należy szukać w dziełach: O. Balzera, H. Barycza, S. Bednarskiego, M. Boguckiej, J. Bystronia, K. Chodynickiego, P. Jasienicy, L. Kieniewicza, A. Knota, B. Kocowskiego, A. Kraushara, J. Krzyżanowskiego i K. Żukowskiej-Bilip, S. Łempickiego, W. Łozińskiego, J. Poplatka, A. Przezdzieckiego, H. Scheuringa, H. Zinsa. Z nazwisk historyków niepolskich należy wymienić, obok podanych wyżej: B. Florię, R. Hausmana, L. Godowikową, M. Karamzina, S. Kochomskiego, J. Krypjakiewicza, W. Nowodworskiego, S. Płatonowa, R. Skrynnikowa, A. Storożenkę, P. Pierlinga, A. Zimina. Naturalnym biegiem rzeczy prezentują oni często opinie i tezy odbiegające od polskich, co powinno zmuszać do tym głębszych wysiłków badawczych i refleksji.

Podana literatura przedmiotu jest podstawowa; pozostałe dzieła wnikliwy Czytelnik znaleźć może w przypisach bądź podanych źródłach i opracowaniach.

Autor chciałby w tym miejscu podziękować za krytyczne uwagi i sugestie drowi Zbigniewowi Kieresiowi; Paniom Teresie Jekiel i Bożenie Listkiewicz — za pomoc w tłumaczeniu — oraz drowi Mirosławowi Nagielskiemu i Paniom z Biblioteki Narodowej w Warszawie za ułatwienie mi pracy nad książką.

PRZYPISY

Część pierwsza

RÓD Z SOMLYÓ

[1] S. Kot, *Nationum Proprietates*, „Oxford Slavonic Papers", 1955, s. 8, w: J. Tazbir, *Szlaki kultury polskiej*, Warszawa 1986, s. 9; A. Czahrowski, *Ku ziemi węgierskiej mowa*, w: *Księga cytatów...*, Warszawa 1975, s. 64.
[2] W. Felczak, *Historia Węgier*, Wrocław 1966, s. 117.
[3] J. Bardach, *Związek Polski z Litwą*, w: *Polska w epoce Odrodzenia, państwo, społeczeństwo, kultura*, pod red. A. Wyczańskiego, Warszawa 1986, s. 156.
[4] Por. A. Kraushar, *Czary na dworze Batorego*, Kraków 1888, s. 59.
[5] J. Pajewski, *Węgierska polityka Polski w połowie XVI wieku (1540—1571)*, Kraków 1932, s. 18, 21.

«DZIECKO, KTÓRE PRAGNIE, BY TRAKTOWANO JE JAK MĘŻCZYZNĘ»

[1] L. Makkai, *Stefan Batory w Siedmiogrodzie*, Warszawa 1961, s. 47.
[2] H. Barycz, *Spojrzenia w przeszłość polsko-włoską*, Wrocław 1965, s. 97.
[3] Monumenta Hungariae Historica, t. XXI. *Stephani Szamosközy. Rerum hungaricum*, liber III, s. 124.
[4] *Báthory István erdélyi fejedelem és lengyel király levelezése*, t. 1 (1556—1577), wyd. E. Veress, Kolozsvár 1944, s. 1—2. List ten z węgierskiego tłumaczyła p. Bożena Listkiewicz.
[5] Nie jest to jednak rzecz pewna. Informację tę podaje historyk węgierski E. Lukinich, *La jeunesse d'Etienne Bathory* w rocznicowym *Etienne Bathory, roi de Pologne, prince de Transylvanie*, Cracovie 1935, s. 23; *Stefan Batory, książę siedmiogrodzki*, Kraków 1934, s. 7, i w niedokładnych *Dziejach Węgier w szkicach biograficznych*, Budapest 1938, s. 127. Nie ma jej natomiast w nowszej pracy L. Makkai, *Stefan Batory w Siedmiogrodzie*, s. 7—8.
[6] E. Lukinich, *Stefan Batory, książę siedmiogrodzki...*, s. 7—8.

KOMENDANT WARADYŃSKI

[1] E. Lukinich, *Dzieje Węgier w szkicach biograficznych*, s. 127.
[2] „...nullus enim praedecessorum suorum in familia sua Somlyoniensi proditor patriae et Christianitatis fuisset...", List Franciszka Zaya do cesarza Maksymiliana II z 4 lutego 1562 roku, w: J. Pajewski, *Węgierska polityka Polski...*, s. 189, przyp. 2.
[3] W. Sobieski, *Syn ziemi siedmiogrodzkiej*, Kraków 1933, s. 1, przyp. 1.
[4] *Báthory István erdélyi...*, t. 1, s. 7—9.
[5] W. Sobieski, *Syn ziemi siedmiogrodzkiej*, s. 7, przyp. 17.

POSELSTWA DO WIEDNIA

[1] J. Pajewski, *Węgierska polityka Polski...*, s. 206. Opinię tę wyraził poseł wenecki Giovanni Michele.
[2] (Rada Dworska do posła Stefana Batorego), Wiedeń 9 lipca 1563 roku, w: *Báthory István erdélyi...*, t. 1, s. 11.
[3] „...ut pietas curam habere ac in ditione sua Ecclesias Dei et religionem Catholicam pro viribus defendere et conservare velit", tamże, s. 13.
[4] „...quamvis nil instructionis de religione a domino meo clementissimo habeam... dominum meum clementissimum Verae Catolicae fidei optimum esse professorem". Poseł Stefan Batory do cesarza i króla Ferdynanda, Wiedeń 11 lipca 1563 roku, tamże, s. 17, 18.
[5] „...cum sciam S. Mtem Vram Christianae Catholicae fidei optimum esse professorem". Poseł Stefan Batory do króla Jana II, Wiedeń 13 lipca 1563 roku, tamże, s. 21.
[6] Poseł Stefan Batory do cesarza i króla Ferdynanda, Wiedeń 20 lipca 1563 roku, tamże, s. 25.
[7] „Do tytułu księcia, którego odtąd ma używać Jan Zygmunt, nie będziemy już powracać", Rada Dworska do posła Stefana Batorego, Wiedeń 7 sierpnia 1563 roku, tamże, s. 26.
[8] Jan II do wiedeńskiego posła króla Stefana Batorego, Gyulafehérvár 7 sierpnia 1563 roku, tamże, s. 26.
[9] „...ego quoque Christianus sum, non sito Christianum sanguinem, vel si venerit contra me, vel hic in propinquo in mea vicinitate residere et condescendere voluerit, libenter cum eo pugnabo...". Stefan Batory do Franciszka Zaya, 4 września 1564 roku, tamże, s. 35.
[10] J. Pajewski, *Węgierska polityka Polski...*, s. 209. Natomiast L. Makkai, *Batory w Siedmiogrodzie...*, s. 157, podaje, iż Nagybánya ze słynnymi kopalniami złota odbił sam Batory.
[11] „Praetera, quia titulus iste in nos a parente nostro haereditarie devolutus est, quasi patrimonium nostrum, sed et subditi nostri, qui nos

in regem suum elegerunt et agnoscunt." „Electus Rex" — jak tytułował się Jan Zygmunt — liczył też bardzo na poparcie wuja, króla polskiego i o wynikach rozmów obiecywał powiadomić swego posła natychmiast. Oprócz tego dodawał zawsze ważny wobec cesarza koronny atut, iż tytuł królewski dostał również od Turcji: „...Turca nobis una cum titulo dedit..." Król wybrany Jan Zygmunt do posła pana szatmarskiego Stefana Batorego, Erked 2 marca 1565 roku, w: *Báthory István erdélyi...*, t. 1, s. 38.

[12] „Od Świąt Bożego Narodzenia 1563 roku." Poseł Stefan Batory do cesarza i króla Maksymiliana, Wiedeń 2 maja 1565 roku, tamże, s. 54.

[13] „...przez swojego czausza Mehmeta", tamże, s. 63—64.

[14] Opinia Rady Dworskiej w Wiedniu z 16 maja, w: J. Pajewski, *Węgierska polityka Polski...*, s. 212. Odpowiedź pisemna z 19 maja 1565 roku, Wiedeń, w: *Báthory István erdélyi...*, t. 1, s. 65—67.

[15] L. Makkai, *Batory w Siedmiogrodzie*, s. 169.

[16] J. Pajewski, *Węgierska polityka Polski...*, s. 227.

WOLNY WYBÓR?

[1] Wojewoda Stefan Batory do sędziego kolozsvarskiego Stefana Fejérdiego, Bánffyhunyad 17 marca 1571 roku, w: *Báthory István erdélyi...* t. 1, s. 110.

[2] Radca Stefan Batory do starosty koszyckiego Jana Ruebera namiestnika górnych Węgier, Gyulafehérvár 15 maja 1571 roku, tamże, s. 113.

[3] L. Makkai, *Batory w Siedmiogrodzie*, s. 179.

[4] Wojewoda Stefan Batory do cesarza i króla Maksymiliana, Gyulafehérvár 25 maja 1571 roku, w: *Báthory István erdélyi...*, t. 1, s. 115.

LIBER PRINCEPS ET VAŸVODA

[1] Sułtan Selim II do wojewody Stefana Batorego, Edirne marzec 1572, w: *Báthory István erdélyi...*, t. 1, s. 186—187.

[2] „Ego tamen cum semper catholicam fidem amplexus sim, ab eadem desciscere nolo...", Wojewoda Stefan Batory do cesarza i króla Maksymiliana, Gyulafehérvár 18 lutego 1572 roku, tamże, s. 177.

[3] Biskup Györ Jan Liszthy do wojewody Stefana Batorego, Pozsony 9 marca 1572 roku, tamże, s. 165.

[4] L. Makkai, *Batory w Siedmiogrodzie*, s. 197.

[5] Pisarz Jan Michał Brutus do wojewody Stefana Batorego, Lyon 1 czerwca 1573, w: *Báthory István erdélyi...*, t. 1, s. 258.

[6] Publiczny rozkaz wojewody Stefana Batorego, Gyulafehérvár 17 września 1571, tamże, s. 142.

[7] *Fontes Rerum Transsilvanum*, wyd. E. Veress, Budapest 1911, t. I, s. 177. Por. J. Sygański, *Ks. Jakub Wujek z Węgrowa (1540—1597) w świetle własnej korespondencji*, Kraków 1914, s. 25.

[8] „Cura igitur, ut Episcoporum istic ordo restitatur...", Papież Grzegorz XIII do wojewody Stefana Batorego, Rzym 28 grudnia 1572, w: *Báthory István erdélyi...*, t. 1, s. 225.

[9] Cesarz i król Maksymilian II do wojewody Stefana Batorego, Wiedeń 5 kwietnia 1573, tamże, s. 251.

[10] Wojewoda Stefan Batory do sułtana Selima II, Gyulafehérvár październik 1573 roku, tamże, s. 266.

[11] Wojewoda Stefan Batory do rady miejskiej Szeben, Gyulafehérvár 24 czerwca 1575 roku, tamże, s. 328.

[12] Wojewoda Stefan Batory do obywatela Szeben, Antoniego Mészárosa, Gyulafehérvár 22 czerwca 1575 roku, tamże, s. 328.

[13] Wojewoda Stefan Batory do starosty koszyckiego Jana Ruebera, obóz Nyulas 13 lipca 1575 roku, tamże, s. 334.

[14] Cesarz i król Maksymilian do wojewody Stefana Batorego, Praha 30 lipca 1575 roku, tamże, s. 342.

Część druga

INTERREGNUM

[1] Por. J. R. Nowak, *Węgry bliskie i nieznane*, Warszawa 1980, s. 88—89.

[2] J. Bardach, *Związek Polski z Litwą*, w: *Polska w epoce Odrodzenia...*, s. 140.

[3] W. Konopczyński, *Dzieje Polski nowożytnej*, Warszawa 1986, t. 1, s. 147.

[4] Ś. Orzelski, *Bezkrólewia ksiąg ośmioro, czyli dzieje Polski od zgonu Zygmunta Augusta r. 1572 aż do r. 1576*, tłum. W. Spasowicz, t. 1, Petersburg 1858, s. 17.

[5] *Volumina Legum*, wyd. J. Ohryzki, Petersburg 1859, t. 2, s. 124.

[6] *Relacje nuncjuszów apostolskich i innych osób o Polsce od roku 1548 do 1690*, wyd. E. Rykaczewski, Berlin—Poznań, 1864, t. 1, s. 125.

[7] T. Wierzbowski, *Jakub Uchański, arcybiskup gnieźnieński (1502—1581). Monografia historyczno-literacka*, Warszawa 1895, s. 536.

[8] *Volumina Legum*, Petersburg, 1859, t. 2, s. 125.

[9] S. Grzybowski, *Henryk Walezy*, Wrocław 1980, passim.

«ŚMIESZNE USIŁOWANIA»

[1] Wł. Konopczyński, *Dzieje Polski nowożytnej*, t. 1, s. 155.

[2] L. Bazylow, *Starania Stefana Batorego o koronę polską*, Jelenia Góra 1948, s. 23. Przytoczony przez L. Bazylowa niezwykle cenny list nie znalazł się w zbiorze Veressa.

[3] A. Przezdziecki, *Jagiellonki polskie w XVI w.*, t. 4, Kraków 1868, s. 176.

[4] Tak miał orzec jeden z paszów podczas wielkiej rady w Stambule, na której zastanawiano się, czy zerwać „święty pokój" z Polską. Pozostaje zagadką, jak o tych słowach dowiedział się skromny poseł ziemski, oddalony o tysiące kilometrów od pola koło Stambułu, gdzie dla zachowania tajemnicy odbywała się narada, nieoceniony Ś. Orzelski, *Bezkrólewia ksiąg ośmioro...*, t. 2, s. 75.

[5] *Relacje nuncjuszów apostolskich...*, t. 1, s. 238.

[6] Relacja o Polsce z roku 1575 posła weneckiego Hieronima Lippomano, tamże, s. 277.

[7] L. Szádeczky, *Báthory István lengyel királlya választása*, Budapest 1887, s. 164. Por. W. Zakrzewski, *Po ucieczce Henryka. Dzieje bezkrólewia 1574—1575*, Kraków 1878, s. 402.

[8] „Numquam existimassem Imperatorem tam inique nobiscum acturum fuisse, qui blandis promissis et iureiurendo saepe nobis confirmatis, neque aperto, neque clam se contra nos ulla consilia initurum esse. Cum publica vi non posset, clandestinis et insidiosis machinationibus ex improviso Casparum Bekesium in nos armavit... Deum autem testem appellamus, nos nullam Imperatori aut ulli huius belli causam dedisse." Wojewoda Stefan Batory do wojewody podolskiego Mikołaja Mieleckiego, obóz Nyulas 12 lipca 1575 roku, w: *Báthory István erdélyi...*, t. 1, s. 333.

[9] List z 17 maja 1575 roku, w: W. Nowodworski, *Borba za Liwoniju mieżdu Moskwuju a Rieczu Pospolitoju (1579—1582)*, S. Pietierburg 1904, s. 25, przyp. 1.

[10] B. Floria, *Magnateria litewska a Rosja w czasie drugiego bezkrólewia*, w: „Odrodzenie i Reformacja", t. XXII, 1977, s. 152.

[11] L. Bazylow, *Starania Stefana Batorego o koronę...*, s. 31.

[12] T. Wierzbowski, *Jakub Uchański, arcybiskup gnieźnieński...*, s. 572.

[13] Ś. Orzelski, *Bezkrólewia ksiąg ośmioro...*, t. 2, s. 272.

[14] A. Lubieniecki, *Poloneutychia*, Warszawa 1982, s. 67.

[15] Dyplom elekcyjny Anny Jagiellonki i Stefana Batorego, Warszawa 15 grudnia 1575 roku, w: *Báthory István erdélyi...*, t. 1, s. 373—377.

[16] Relacja elekcyi Stefana Batorego, w: *Wiadomości do dziejów polskich z Archiwum Prowincji Śląskiej*, zebrał A. Mosbach, Wrocław 1860, s. 104.

RYWALE

[1] „Nos Amuratos Imperator etc. Salutem etc. Rumores, qui ad nos sunt allati, te iam esse electum in Principem in regno Poloniae, valde nos delectant, triumphos in urbe nostra Constantinopolitana celebrare mandavimus." Sułtan Murad III do króla Stefana Batorego, Stambuł 28 grudnia 1575 roku, w: *Báthory István erdélyi...*, t. 1, s. 385—386.

[2] Ś. Orzelski, *Bezkrólewia ksiąg ośmioro...*, t. 3, s. 30—31, 35.

[3] L. Szádeczky, *Báthory István lengyel...*, s. 244. Por. L. Bazylow, *Starania Stefana Batorego...*, s. 47.

[4] Wyjątki z niemieckiego przekładu listu Jana Płazy z Miedziasza (Meggyes), pisanego 1 lutego 1576 roku, w: *Wiadomości do dziejów polskich...*, s. 108.

[5] Z niemieckiego przekładu listu Adama Gorajskiego do starosty krakowskiego (Piotra Zborowskiego), Miedziasz (Meggyes) 1 lutego 1576 roku, tamże, s. 109—110.

[6] Ś. Orzelski, *Bezkrólewia ksiąg ośmioro...*, t. 3, s. 106.

[7] List nuncjusza Wincentego Laurea z 11 marca 1576 roku, w: *Vincent Laureo évêque de Mondovi, nonce apostolique en Pologne 1574—1578 et ses dépêches...*, wyd. T. Wierzbowski, Warszawa 1887, s. 364—365. Por. T. Wierzbowski, *Jakub Uchański, arcybiskup gnieźnieński...*, s. 583.

[8] Ś. Orzelski, *Bezkrólewia ksiąg ośmioro...*, t. 3, s. 42—43.

[9] Stefan Batory do Jana Zamoyskiego, Gyulafehérvár 10 stycznia 1576 roku, w: *Archiwum Jana Zamoyskiego*, t. 1 (1553—1579), wyd. W. Sobieski, Warszawa 1904, s. 101.

[10] Maksymilian II do Jana Zamoyskiego, Ratyzbona 26 października 1575 roku, tamże, t. 1, s. 100.

[11] Stefan Batory do biskupa Stanisława Karnkowskiego, Meggyes 1 lutego 1576 roku, w: *Báthory István erdélyi...*, t. 2, s. 16—17.

[12] Król elekt Stefan Batory do wojewody podolskiego Mikołaja Mieleckiego, tamże, t. 2, s. 22—23.

[13] L. Bazylow, *Siedmiogród a Polska 1576—1613*, Warszawa 1967, s. 24.

[14] *Annales ecclesiastici quos post Caesarem S. R. E. Card. Baronium...*, wyd. A. Theiner, Romae 1856, t. 2, s. 203.

[15] Ś. Orzelski, *Bezkrólewia ksiąg ośmioro...*, t. 3, s. 40.

[16] Kamera śląska do księcia pruskiego Alberta (?) Fryderyka, 1 kwietnia 1576 roku, w: *Wiadomości do dziejów polskich...*, s. 114.

[17] Radca księstwa kiernowskiego Hieronim Stanco kanclerz Lachnitschky do księcia Jerzego, z Kiernowa (Jägerndorf), 1 marca 1576 roku, tamże, s. 111.

[18] Nowiny z Wiednia, 9 marca 1576 roku, tamże, s. 112.

[19] „Dalle lettere del Mosco, scritte ai lituani, e dalla instruzione, le ciu

copie saranno aligate con guesta, l'Arcivescovo e alcuni altri signori sono entrati in opinione che l'Imperatore, avendo mandati ambasciadori, per trattare accordo e lega col Moscovita, e andando cosi alla lunga a far risoluzione di accettare il regno, non proceda rettamente con lovo, come a dove che abbia animo sotto pretesto della elezione di occupar il regno, senza obligarsi agli articoli, e intanto indebolire il regno colla divizione e con piú commoditá impadronirsene o del tutto, o della principal parte, concedendo lo Lithuania, ovvero la Livonia colla Prussia al Moscovita", w: *Vincent Laureo évêque de Mondovi, nonce apostolique en Pologne...*, wyd. T. Wierzbowski, Warszawa, 1887, s. 366.

IN POLONIAM

[1] Stanislai Carncovii... *Ad Henricum Valesium Poloniarum Regem... Panegirycus, 1574*, w: *Polski słownik biograficzny*, art. H. Kowalskiej.

[2] J. D. Solikowski, *Krótki pamiętnik rzeczy polskich*, przeł. Wł. Syrokomla, Mohylew 1855, s. 28.

[3] Powyższe cytaty za: F. Jaworski, *Królowie polscy we Lwowie*, Lwów 1906, s. 36—46.

[4] *Księgi podskarbińskie za czasów Stefana Batorego 1576—1586*, wyd. A. Pawiński, w: „Źródła Dziejowe", t. IX, Warszawa 1881, s. 80.

[5] R. Heidenstein, *Dzieje Polski od śmierci Zygmunta Augusta do r. 1594*, tłum. M. Gliszczyński, Petersburg 1857, t. 1, s. 231.

[6] Witanie króla JM Stefana Batorego pod Medyką przez Walentego Orzechowskiego, sędziego ziemi przemyskiej, Medyka 17 kwietnia 1576 roku, w: *Sprawy wojenne króla Stefana Batorego. Diariusze, relacje, listy i akta z lat 1576—1586*, wyd. I. Polkowski, Kraków 1887, s. 19—21. Data 17 kwietnia jest chyba mylna: E. Veress zamieszcza tę orację i odpowiedź króla z datą 14 kwietnia (*Báthory István erdélyi...*, t. 2, s. 39), Ś. Orzelski (*Bezkrólewia ksiąg ośmioro...*, t. 3, s. 185) podaje, że 17 kwietnia król był już w Mogile.

[7] Responsio Regis electi, Przemyśl 14 kwietnia 1576 roku, w: *Báthory István erdélyi...*, t. 2, s. 40.

[8] Ś. Orzelski, *Bezkrólewia ksiąg ośmioro...*, t. 3, s. 207.

SAKRA

[1] T. Wierzbowski, *Jakub Uchański, arcybiskup gnieźnieński...*, s. 595.

[2] Ś. Orzelski, *Bezkrólewia ksiąg ośmioro...*, t. 3, s. 157.

[3] Tamże, s. 208.

[4] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 1, s. 232.

[5] *Starożytności historyczne polskie*, wyd. A. Grabowski, Kraków 1840, t. 1, s. 58.

[6] *Wiadomości do dziejów polskich...*, s. 121.

[7] W. Sobieski, *Syn ziemi siedmiogrodzkiej*, Kraków 1933, s. 2.

Część trzecia

KIJ CZY MARCHEWKA?

[1] Stanisław hrabia Tarnowski do kamery śląskiej 8 maja 1576 roku, w: *Wiadomości do dziejów polskich...*, s. 121.

[2] List z Warszawy 3 maja 1576 roku, w: *Vincent Laureo évêque de Mondovi...*, s. 404.

[3] J. Nowak-Dłużewski, *Okolicznościowa poezja polityczna w Polsce. Pierwsi królowie elekcyjni*, Warszawa 1969, s. 92.

[4] J. Bartoszewicz, *Anna Jagiellonka...*, t. 2, s. 476. Por. szyfrowany list nuncjusza do papieża, 3 maja 1576 roku, w: *Relacje nuncjuszów apostolskich...*, t. 1, s. 289. Zawiera to również Ś. Orzelski, *Bezkrólewia ksiąg ośmioro...*, t. 3, s. 235.

[5] List kasztelana mińskiego Jana Hlebowicza do kasztelana wileńskiego Jana Chodkiewicza, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 32.

[6] Ś. Orzelski, *Bezkrólewia ksiąg ośmioro...*, t. 3, s. 238.

[7] Tamże, s. 256—257.

[8] Powyższe cytaty z: List Stanisława Karnkowskiego biskupa kujawskiego do wojewody krakowskiego Piotra Zborowskiego, Warszawa 26 czerwca 1576 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 36—38.

[9] A. Wyczański, *Społeczeństwo* w: *Polska w epoce Odrodzenia...*, s. 253.

[10] List Stanisława Karnkowskiego biskupa kujawskiego do wojewody krakowskiego Piotra Zborowskiego, Warszawa 26 czerwca 1576 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 38.

[11] T. Wierzbowski, *Jakub Uchański, arcybiskup gnieźnieński...*, s. 599.

[12] List króla Stefana do Mikołaja Radziwiłła wojewody wileńskiego, Bydgoszcz 9 marca 1577, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 67.

[13] Ustanowienie nadwornego żołnierza, czyli gwardii konnej, Warszawa 23 czerwca 1576 roku, *Pamiętniki do historii Stefana króla polskiego*, wyd. E. Raczyński, Warszawa 1830, w: J. Albertrandi, *Panowanie Henryka Walezjusza i Stefana Batorego*, Kraków 1849, s. 400 i n.

[14] List kardynała Stanisława Hozjusza do Anny infantki, Rzym 24 marca 1577 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 18.

[15] List Stanisława Reszki (sekretarza kardynała Hozjusza) do biskupa warmińskiego Marcina Kromera, Rzym 14 kwietnia 1576 roku, w: W. Zakrzewski, *Stefan Batory, przegląd historii jego panowania i program dalszych nad nią badań*, Kraków 1887, s. 7.

[16] List kardynała Stanisława Hozjusza do księdza Macieja Kłodzińskiego kanonika krakowskiego, Rzym 15 maja 1576, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 36.

[17] List z 5 lipca 1576 roku, w: *Annales ecclesiastici...*, s. 206—207.

[18] Datowany z Rzymu 14 lipca 1576, w: *Relacje nuncjuszów apostolskich...*, t. 1, s. 292.

[19] List wezyra Hasana paszy do Jego Królewskiej Mci Stefana Batorego przez JMość Pana starostę halickiego Mikołaja Sieniawskiego w pierwszych dniach sierpnia 1576 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 47.

[20] List sułtana Murada III do króla polskiego Stefana Batorego w pierwszych dniach sierpnia 1576 roku, tamże, s. 48—49.

[21] Posłowie cesarscy Lobkowitz i Koblenz do cesarza, Łowicz 22 kwietnia 1576 roku, w: *Wiadomości do dziejów polskich...*, s. 115.

[22] List kardynała Komeńskiego do nuncjusza Jana Morone, w: *Relacje nuncjuszów apostolskich...*, t. 1, s. 295.

«NON FICTUS NEQUE PICTUS»

[1] *Początek panowania w Polsce Stefana Batorego 1575—1577. Listy, uniwersały, instrukcje*, wyd. A. Pawiński, w: „Źródła Dziejowe", t. IV, Warszawa 1877, s. 37.

[2] Tamże, s. 42, 43.

[3] *Akta metryki koronnej co ważniejsze z czasów Stefana Batorego 1576—1586*, w: „Źródła Dziejowe", t. IX, Warszawa 1881, s. 1.

[4] *Początki panowania w Polsce...*, w: „Źródła Dziejowe", t. IV, Warszawa 1977, s. 53—57.

[5] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 1, s. 248.

[6] M. Bogucka, *Gdańsk — polski czy międzynarodowy ośrodek gospodarczy?*, w: *Polska w epoce Odrodzenia...*, s. 212.

[7] *Początki panowania w Polsce...*, w: „Źródła Dziejowe", t. IV, Warszawa 1877, s. 61.

[8] J. D. Solikowski, *Krótki pamiętnik...*, s. 40.

[9] *Relacje nuncjuszów apostolskich...*, t. 1, s. 299. Por. *Annales ecclesiastici...*, t. 2, s. 209.

POD GDAŃSKIEM

[1] A. Lubieniecki, *Poloneutychia*, Warszawa 1982, s. 70.

[2] Por. *Relacje nuncjuszów apostolskich...*, t. 1, s. 298.

[3] List kardynała Stanisława Hozjusza do Maciejowskiego podchorążego, Rzym 10 listopada 1576 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 59.

[4] *Stefan Batory pod Gdańskiem w 1576—1577 r.*, wyd. A. Pawiński, Warszawa 1877, w: „Źródła Dziejowe", t. III, s. XXXI.

[5] Cyt. na podst. *Stefan Batory pod Gdańskiem...*, w: „Źródła Dziejowe", t. III, s. XXXIII—XXXVI, passim.

[6] Instrukcja posłom na sejmiki powiatowe, Włocławek 1 kwietnia 1576 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 71.

[7] Por. F. Kudelka, *Bitwa pod Lubieszowem w dniu 17 kwietnia 1577 roku*, Kraków 1883.

[8] *Stefan Batory pod Gdańskiem...*, w: „Źródła Dziejowe", t. III, s. XLI.

[9] Opis bitwy pod Lubieszowskim jeziorem wyjęty z żywota Jana Zborowskiego przez Bartłomieja (?Bartosza), w: *Pamiętniki do historii Stefana króla polskiego*, wyd. E. Raczyński, s. 359.

[10] Rejestr wojska, które się w bitwie u Lubieszowskiego jeziora dnia 17 kwietnia roku 1577 znajdowało, przez pana hetmana przysłany, tamże, s. 361.

[11] Jan Zborowski kasztelan gnieźnieński do króla Stefana, Tczew 18 kwietnia 1577 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 76.

[12] List Jana Zborowskiego do króla z oznajmieniem odniesionego nad gdańszczanami zwycięstwa, Tczew 23 kwietnia 1577 roku, w: *Pamiętniki do historii...*, s. 350—351.

[13] K. Lepszy, *Stefan Batory a Gdańsk*, Gdańsk 1933, przytacza te dane za: J. Łasicki, *Clades Dantiscanorum*, Frankfurt 1577, s. 17.

[14] W. Majewski, J. Teodorczyk, *Wojsko* w: *Polska w epoce Odrodzenia...*, s. 323.

[15] *Stefan Batory pod Gdańskiem...*, w: „Źródła Dziejowe" t. III, s. 67—68.

[16] Respons Króla jego mości posłom od wojska posłany w Brodnicy dnia 7 maja roku 1577, w: *Pamiętniki do historii...*, s. 362.

[17] K. Lepszy, *Batory a Gdańsk...*, s. 19.

[18] „Nihil enim hi tractatus boni adferent, satis id jam experti sumus". Ad litteras castellani Gnesnensis responsum a R. Majestate, Brodnica 10 maja 1577 roku, w: „Źródła Dziejowe", t. III, s. 73.

[19] *Początki panowania w Polsce...*, w: „Źródła Dziejowe", t. IV, s. XXII.

[20] Ad castellanum Inovlodensem Simonem a Szczavin in negotio synodi Petrocoviensis, Brodnica 11 maja 1576 roku, tamże, s. 131.

[21] Responsum ad easdem litteras Torunensium, Malbork 21 maja 1576 roku, *Stefan Batory pod Gdańskiem...*, tamże t. III, s. 83.

[22] Instrukcja panom posłom od wszystkiego wojska do Króla JMci wysłanym, b.d., w: *Pamiętniki do historii*, s. 359—360.

OBLĘŻENIE

[1] Universales litterae, quibus Regia Mejestas castrorum metationem contra Gedanenses declarat, Pruszcz 12 czerwca 1577 roku, *Stefan Batory pod Gdańskiem...*, w: „Źródła Dziejowe", t. III, s. 112.
[2] Tamże, s. LVII.
[3] K. Lepszy, *Stefan Batory a Gdańsk...*, s. 22. Por. też *Strażnicy morza Stefana Batorego*, Gdańsk 1934, passim.
[4] Jan Zamoyski do ks. Krzysztofa Radziwiłła, z obozu pod Pruszczem 10 września 1577 roku, w: *Archiwum domu Radziwiłłów*, wyd. A. Sokołowski, Kraków 1885, s. 87.

POCZĄTEK ZŁEGO EPILOGU

[1] P. Piasecki, *Kronika*, Kraków 1870, s. 5.
[2] *Stefan Batory pod Gdańskiem...*, w: „Źródła Dziejowe", t. III, s. LXXI.
[3] Jan Zamoyski do ks. Mikołaja Radziwiłła, wojewody wileńskiego, kanclerza W.X.L., Bratyan 16 maja 1577 roku, w: *Archiwum domu Radziwiłłów*, s. 86.
[4] A. Lubieniecki, *Poloneutychia*, s. 70.
[5] Jan Dymitr Solikowski do Marcina Kromera, 27 listopada 1577 roku, w: W. Sobieski: *Der Kampf um die Ostsee von ältesten Zeiten bis zur Gegenwart*, Leipzig 1933, s. 132.
[6] Ś. Orzelski, *Bezkrólewia ksiąg ośmioro...*, t. 3, s. 271.
[7] Jan Zamoyski do Jerzego Fryderyka, Bydgoszcz 10 marca 1577 roku, w: *Archiwum Jana Zamoyskiego...*, t. 1, s. 122. Por. K. Lepszy, *Prusy Książęce a Polska w latach 1576—1578*, Cieszyn 1932, s. 21.
[8] Tamże, s. 33.
[9] K. Lepszy, *Prusy Książęce a Polska...*, s. 45.
[10] J. Tazbir, *Świat panów Pasków*, Łódź 1986, s. 331—354.
[11] Wł. A. Serczyk, *Kresy w polskiej świadomości historycznej*, w: „Kontrasty" IV, 1988, s. 19.
[12] A. Lubieniecki, *Poloneutychia*, s. 72.
[13] L. Kieniewicz, *Sekretariat Stefana Batorego, zbiorowość i kariera sekretarzy królewskich*, w: „Społeczeństwo Staropolskie" 4, 1986, s. 33—69.
[14] List Antoniego Possevina do księcia Parmy (Aleksandra Farnese), Grodno 16 marca 1586 roku, w: L. Boratyński, *Stefan Batory, Hanza i powstanie Niderlandów*, Warszawa 1908, s. 189.

Część czwarta

«TY, SOSIED»

[1] T. Korzon, *Dzieje wojen i wojskowości*, t. 1, Lwów 1923, s. 267.
[2] W. A. Serczyk, *Iwan Groźny*, Wrocław 1977; R. Skrynnikow, *Iwan Groźny*, Warszawa 1979, passim.
[3] A. Possevino, *Moscovia*, tłum. ks. A. Warkotsch, Warszawa 1988, s. 13.
[4] K. Th., *Dominik Ridolfino, pułkownik w służbie Rzplitej Polskiej w XVI wieku*, w: „Przewodnik Naukowy i Literacki", Lwów 1878, s. 670.
[5] Andrzej Taranowski (do senatu?). Wilno 11 sierpnia 1573 roku, w: W. Nowodworski, *Borba za Liwoniju...* Priłożenija, s. 14.
[6] Por. *Sprawy wojenne króla...*, s. 169.
[7] Tamże, s. 50—53.
[8] H. Kotarski, *Wojsko polsko-litewskie podczas wojny inflanckiej 1576—1582. Sprawy organizacyjne*, w: „Studia i Materiały do Historii Wojskowości", t. XVI—XVIII, Warszawa 1970—1972.
[9] List Aleksandra Połubińskiego do stanów litewskich, Wolmar 8 sierpnia 1577 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 89.
[10] A. Possevino, *Moscovia...*, s. 61.
[11] T. Korzon, *Dzieje wojen...*, t. 2, s. 33. Natomiast J. D. Solikowski, *Krótki pamiętnik...*, s. 43, pisze o jakiejś niewieście, która „zapaliła proch będący pod pałacem i wyniosła w powietrze całą budowlę".
[12] M. Bielski, *Kronika polska*, wyd. J. Turowski, Sanok 1856, s. 1427.
[13] T. Korzon, *Dzieje wojen...*, t. 2, s. 32.
[14] A. Possevino, *Moscovia...*, s. 56.
[15] List króla Stefana do Mikołaja Radziwiłła wojewody wileńskiego dla wiadomości panów Rad Litewskich, Głowa 27 lipca 1577 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 86.
[16] List Mikołaja Radziwiłła do Jana Karola Chodkiewicza, kasztelana wileńskiego, Rakiszki 27 sierpnia 1577 roku, w: tamże, s. 95.
[17] T. Korzon, *Dzieje wojen...*, t. 2, s. 34.
[18] Tamże.
[19] *Vincent Laureo évêque de Mondovi...*, s. 694.

WAŻNY SEJM

[1] H. Kotarski, *Wojsko polsko-litewskie...*, w: „Studia i Materiały...", t. XVI, cz. I, 1970, s. 121.
[2] *Pamiętniki do historii...*, s. 402—403.
[3] Mandatum ad palatinum Braclaviensem (Janussim Zbaraski), ut Va-

lachum Iwan Woda dictum extradat, Malbork, 5 listopada 1577 roku, *Początki panowania w Polsce Stefana Batorego...*, w: „Źródła Dziejowe", t. IV, s. 230.

4 Plenipotentia Stephano Bielawski, qua ei conceditur, ut ipsi captivos Turcicos, quos invenerit, extradant, Malbork 5 listopada 1577 roku, tamże, s. 232.

5 Universales litterae, quibus significat, Regia Majestas, esse constitutum foedus cum caesare Turcarum, Malbork 5 listopada 1577, tamże, s. 235.

6 Wersja podana za: A. J. Rolle, *Trzy opowiadania historyczne*, Lwów 1880, który opierał się zapewne na *Kronice* M. Bielskiego. Natomiast R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 1, s. 286, twierdzi, że Podkowa „wpadł tu w moc Mikołaja Sieniawskiego (...) a ten odesłał go królowi".

7 *Początki panowania w Polsce...*, w: „Źródła Dziejowe", t. IV, s. 250—252.

8 H. Kotarski, *Wojsko polsko-litewskie...*, w: „Studia i Materiały...", t. XVII, cz. I, 1971, s. 55.

9 R. Heidenstein, *Pamiętnik wojny moskiewskiej w sześciu księgach*, tłum. J. Czubek, Lwów 1864, s. 22.

10 J. D. Solikowski, *Krótki pamiętnik...*, s. 45.

11 R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 1, s. 289.

12 List Leonarda Thurneisera, lekarza elektora brandenburskiego, do króla Stefana, w: *Pamiętniki do historii...*, s. 411.

13 O. Balzer, *Geneza Trybunału Koronnego*, Warszawa 1986, s. 290.

14 Tamże, s. 329.

15 *Volumina Legum*, t. 2, s. 189, 190.

16 Urywek z zapiski Andrzeja Opalińskiego, Warszawa 6 marca 1578 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 98.

17 Przywilej dany Kalmanowi Żydowi lubelskiemu na drukowanie książek w hebrajskim języku, w: *Pamiętniki do historii...*, s. 390.

18 [L. Gorecki], *Kronika z czasów króla Stefana Batorego 1575—1582*, wyd. H. Barycz, Kraków 1939, s. 1.

19 Litterae universales de typographis, Warszawa 7 lutego 1580. *Akta metryki koronnej co ważniejsze z czasów Stefana Batorego...*, Warszawa 1882, w: „Źródła Dziejowe", t. XI, s. 122—123.

LWÓW—KRAKÓW—WARSZAWA—GRODNO—WILNO

1 Instrukcja na sejmik powiatowy województwa sieradzkiego posłowi Króla Jego Mości, Warszawa 22 marca 1578 roku, w: *Akta historyczne do panowania Stefana Batorego... od 3 marca 1578 do 18 kwietnia 1579 r.*, wyd. J. Janicki, Warszawa 1881, s. 24.

2 Instrukcja na sejmik korczyński... dana od JKMości Januszowi Sienieńskiemu, kasztelanowi żarnowskiemu, Sandomierz 1 maja 1578 roku, tamże, s. 63.

3 *Pamiętniki do historii...*, s. 403.

4 Instrukcja na sejmik powiatowy województwa sieradzkiego..., w: *Akta historyczne do panowania...*, s. 22.

5 List p. kanclerza do p. marszałka koronnego (Andrzeja Opalińskiego), Sandomierz 25 kwietnia 1578 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 101.

6 Instrukcja na sejmik powiatowy województwa sieradzkiego..., w: *Akta historyczne do panowania...*, s. 22.

7 J. D. Solikowski, *Krótki pamiętnik...*, s. 46.

8 List od jednego przyjaciela od dworu (ks. Jana Piotrowskiego) do p. marszałka koronnego, Lwów 3 lipca 1578 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 115.

9 Tenże do tegoż, Lwów 10 lipca 1578 roku, tamże, s. 118.

10 Por. W. Jarosz, *Legenda batoriańska. Krytyczny szkic z dziejów Zaporoża*, „Kwartalnik Historyczny", t. 17, 1903, s. 600.

11 Uniwersał koło Niżowców, Warszawa 4 kwietnia 1578 roku, w: *Akta historyczne do panowania...*, s. 33.

12 Kwestia ta nie jest do końca wyjaśniona. Por. W. Jarosz, *Legenda batoriańska...*, s. 614 i n. oraz odpowiedź A. Jabłonowskiego, *Trechtymirów. Z powodu artykułu Włodzimierza Jarosza*, „Kwartalnik Historyczny", t. 18, 1904, s. 487.

13 Por. *Akta historyczne do panowania...*, s. 336—338.

14 M. Bielski, *Kronika...*, s. 1361.

15 J. D. Solikowski, *Krótki pamiętnik...*, s. 48.

16 Castellano Sremensi, Lwów 12 sierpnia 1578 roku, w: *Akta historyczne...*, s. 216.

17 Uniwersał koło pieszych, Lwów 1578, *Pamiętniki do historii...*, s. 404—406.

18 Litterae universales in rebus Moldavicis, Lwów 28 lipca 1578, w: *Akta historyczne...*, s. 137.

19 List od jednego przyjaciela od dworu do p. marszałka koronnego, Lwów 17 września 1578, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 145.

20 Tenże do tegoż, Przemyśl 1 października 1578 roku, tamże, s. 146.

21 Tamże.

22 „Cracoviam pergimus, ubi non manebimus tres septimanas diutius, postea Warszawiam (sic!) ad Majestatem Vestram veniemus", Pilzno 7 października 1578 roku, tamże, s. 147—148.

23 R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 1, s. 299, pisze o odesłaniu posłów na Litwę. Natomiast J. D. Solikowski, *Krótki pamiętnik...*, s. 89, twierdzi, iż król kazał legatów hosudarskich osadzić w Brześciu pod strażą. Mniej

pochlebna dla króla jest też u arcybiskupa relacja ze spotkania Batorego z wysłannikami moskiewskimi.

[24] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 1, s. 300.

[25] S. Łempicki, *Mecenat wielkiego kanclerza. Studia o Janie Zamoyskim*, wybór S. Grzybowski, Warszawa 1980, s. 82—83.

[26] K. Morawski, *Andrzej Patrycy Nidecki. Jego życie i dzieła*, Kraków 1892, s. 235.

[27] List od jednego przyjaciela od dworu do p. marszałka koronnego, Kraków 31 grudnia 1578 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 153.

[28] Lwów 3 lipca 1578 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 115.

[29] J. D. Solikowski, *Krótki pamiętnik...*, s. 50.

[30] T. Jewłaszewski, *Pamiętnik... 1564—1604*, wyd. T. J. Lubomirski, tłum. z ros. E. Ciemiewski, Warszawa 1860, s. 12.

[31] „Non requiramus Indias Orientis et Occidentis, est vera India Lithuania et Semptentrio". Fragment listu Piotra Skargi do prowincjała jezuitów Wawrzyńca Maggio, Wilno 17 lipca 1573 roku, w: *Listy ks. Piotra Skargi TJ z lat 1566—1610*, wyd. ks. J. Sygański TJ, Kraków 1912, s. 55.

[32] J. D. Solikowski, *Krótki pamiętnik...*, s. 54.

[33] Tamże.

[34] „Z urodzenia Litwini, z narodowości Polacy", w: J. Ochmański, *Historia Litwy*, Wrocław 1982, s. 139.

[35] J. Bardach, *Związek Polski z Litwą*, w: *Polska w epoce Odrodzenia...*, s. 116.

[36] S. Bednarski, *Geneza Akademii Wileńskiej*, Wilno 1929, s. 20.

[37] Do Mikołaja Mieleckiego, wojewody podolskiego, Konstantynopol 4 maja 1579 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 162.

[38] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 1, s. 305.

[39] *Sprawy wojenne króla...*, s. 169.

[40] List JKMci Stefana Batorego do Wielkiego Kniazia Moskiewskiego, Wilno 26 czerwca 1579 roku, tamże, s. 168.

SWIR

[1] R. Heidenstein, *Pamiętniki wojny moskiewskiej...*, s. 43.

[2] M. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego*, t. 9, Warszawa 1827, s. 264.

[3] Tamże, s. 265.

Część piąta

WYPRAWA NA POŁOCK

[1] Relacja Daniela Hermana miasta Gdańska rajcy i sługi, Wilno 9 października 1579 roku. List do Wrocławia dotarł 22 października, w: *Wiadomości do dziejów polskich z Archiwum Prowincji Śląskiej*, wyd. A. Mosbach, Wrocław 1860, s. 161.

[2] List Jego Królewskiej Mości przy dobywaniu Połocka do zamku połockiego przez pana wojewodę wileńskiego (Mikołaja „Rudego" Radziwiłła) wysłany, z obozu pod Połockiem w sierpniu 1579 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 173.

[3] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 1, s. 314.

[4] M. Bielski, *Kronika...*, s. 1450.

[5] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 1, s. 319.

[6] R. Heidenstein, *Pamiętniki wojny moskiewskiej...*, s. 64.

[7] M. Stryjkowski, *Kronika polska, litewska, zmodzka i wszystkiej Rusi*, Warszawa 1846, t. 2, s. 429.

[8] M. Bielski, *Kronika...*, s. 1451.

[9] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 1, s. 321.

[10] H. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego...*, t. 9, s. 271.

[11] Drugi list JKrólewskiej Mości do zamku połockiego posłany z obozu pod Połockiem 29 sierpnia 1579 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 174.

[12] M. Bielski, *Kronika...*, s. 1454.

[13] Relacja Daniela Hermana..., w: *Wiadomości do dziejów polskich...*, s. 163.

[14] M. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego...*, t. 9, s. 268. Również rosyjski historyk ulegał batoriańskiej legendzie.

[15] R. Heidenstein, *Pamiętniki wojny moskiewskiej...*, s. 78.

[16] H. Kotarski, *Wojsko polsko-litewskie...*, w: „Studia i Materiały...," t. XVII, cz. 1, 1971, s. 112.

[17] Listy Piotra Skargi do Sunyera, prowincjała jezuitów, z 27 lipca i 4 sierpnia 1580 roku, w: J. Sygański, *Działalność ks. Piotra Skargi na tle jego listów 1566—1610*, Kraków 1912, s. 50. Por. M. Morawski, *Zasługi króla Stefana Batorego dla Kościoła*, Włocławek 1927, s. 11.

[18] *Sprawy wojenne króla...*, s. 175.

[19] List króla Stefana do Mikołaja Radziwiłła wojewody wileńskiego, Grodno 7 listopada 1579, tamże, s. 178.

[20] M. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego...*, t. 9, s. 273.

[21] M. Stryjkowski, *Kronika...*, t. 2, s. 431.

[22] K. Górski, *Pierwsza wojna Rzeczpospolitej z W. Ks. Moskiewskim za Batorego*, „Biblioteka Warszawska", t. 4, 1892.

[23] H. Kotarski, *Wojsko polsko-litewskie...*, passim.
[24] *Skarbowość w Polsce i jej dzieje za Stefana Batorego*, oprac. A. Pawiński, Warszawa 1881, w: „Źródła Dziejowe", t. VIII.
[25] W końcu roku 1579 rozesłano jeszcze: Rerum post captum Polociam contra Moscum gestarum narratio, w: *Relacje nuncjuszów apostolskich...*, s. 324 i in.

I WYPRAWA PO ZGODĘ

[1] Relacja Daniela Hermana..., w: *Wiadomości do dziejów polskich...*, s. 163.
[2] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 1, s. 329.
[3] „...Długą mową przywitał", (L. Gorecki?) w: *Kronika z czasów Stefana Batorego...*, s. 65.
[4] *Sprawy wojenne króla...*, s. 180.
[5] M. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego...*, t. 9, s. 279.
[6] Por. listy do żony Krystyny, w: *Archiwum Jana Zamoyskiego...*, t. 1, s. 350, 354, 360, 365.
[7] J. D. Solikowski, *Krótki pamiętnik...*, s. 53.
[8] Tak twierdził nuncjusz W. Laureo w listach z sierpnia i września 1577 roku. Por. K. Morawski, *Andrzej Patrycy Nidecki...*, s. 256.
[9] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 1, s. 334—336.
[10] Instructio a Regia Majestate nuncio ad conventus particulares misso, Malbork grudzień 1577, *Początki panowania w Polsce...*, w: „Źródła Dziejowe", t. IV, s. 251—252.
[11] Por. K. Morawski, *Andrzej Patrycy Nidecki...*, s. 258.
[12] *Monumenta Hungarorum in Polonia (1575—1668) Rationes Curiae Stephani Bathory, regis Poloniae*, wyd. E. Veress, Budapest 1918 [Fontes Rerum Hungaricum] s. 92.
[13] M. Bielski, *Kronika...*, s. 1461.
[14] Dekret datowany w Warszawie 7 lutego 1580 roku, *Akta metryki koronnej...*, w: „Źródła Dziejowe", t. XI, s. 122. Por. *Pamiętniki do historii...*, s. 391.
[15] Litterae universales de accelerando delectu peditum in bonis regalibus, Warszawa 16 lutego 1580, *Akta metryki koronnej...*, w: „Źródła Dziejowe", t. XI, s. 135.
[16] M. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego...*, t. 9, s. 274—275.
[17] R. Heidenstein, *Pamiętniki wojny moskiewskiej...*, s. 99.
[18] Tamże, s. 101.
[19] M. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego...*, t. 9, s. 278.
[20] Artykuł M. Plewczyńskiego, Ościk Grzegorz, w: *Polski słownik biograficzny*.

[21] M. Bielski, *Kronika...*, s. 1463.
[22] Stefan król polski nadaje Gabrielowi Bekieszowi..., Warszawa 13 lutego 1581 roku, w: *Księga Batoriańska. Zbiór dokumentów ku uczczeniu 350-letniej rocznicy zgonu króla Stefana Batorego*, oprac. R. Mienicki, Wilno 1939, s. 24.
[23] J. D. Solikowski, *Krótki pamiętnik...*, s. 56.

WIELKIE ŁUKI

[1] Por.: J. Sygański; *Działalność ks. Piotra Skargi...*, s. 53.
[2] H. Kotarski, *Wojsko polsko-litewskie...*, w: „Studia i Materiały...", t. XVII, cz. 2, 1971, s. 91.
[3] [L. Gorecki], *Kronika z czasów króla Stefana...*, s. 421. Tłumaczenie w: H. Kotarski, *Wojsko polsko-litewskie...*, w: „Studia i Materiały...", t. XVII, cz. 2, 1971, s. 101.
[4] M. Stryjkowski, *Kronika...*, t. 2, s. 432.
[5] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 2, s. 8—9.
[6] Tamże, s. 12.
[7] Diariusz... Łukasza Działyńskiego, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 214.
[8] R. Heidenstein, *Dzieje Polski..*, t. 2, s. 12.
[9] Cesarz Rudolf II z Pragi do kamery śląskiej, 29 sierpnia 1579, w: *Wiadomości do dziejów polskich...*, s. 161.
[10] T. Wierzbowski, *Krzysztof Warszewicki 1543—1603 i jego dzieła. Monografia historyczno-literacka*, Warszawa 1887, s. 93 i n.
[11] Diariusz... Jana Zborowskiego kasztelana gnieźnieńskiego do Piotra Zborowskiego wojewody krakowskiego, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 193.
[12] Diariusz... Jana Zborowskiego..., tamże, s. 197.
[13] T. Korzon, *Dzieje wojen i wojskowości...*, t. 2, s. 84.
[14] Diariusz... w liście Jana Zborowskiego..., w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 197.
[15] Diariusz... w liście Jana Zborowskiego..., tamże, s. 197. Wedle Zborowskiego przypadek ten Bornemissie przydarzył się 28 sierpnia, natomiast Ł. Działyński, Diariusz..., tamże, s. 227, podaje 26 sierpnia — i chyba ma rację. Por. R. Heidenstein, *Pamiętniki wojny moskiewskiej...*, s. 123.
[16] Por.: Diariusz... Zborowskiego i Działyńskiego..., w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 198 i 229.
[17] M. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego...*, t. 9, s. 283.
[18] List kniazia moskiewskiego do JKMści, Moskwa 6 stycznia 1580 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 182.
[19] Diariusz... Jana Zborowskiego..., tamże, s. 199.
[20] Tamże.

[21] R. Heidenstein, *Pamiętniki wojny moskiewskiej...*, s. 127.
[22] J. Natanson-Leski, *Epoka Stefana Batorego w dziejach granicy wschodniej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1930, s. 62—63.
[23] Diariusz... Jana Zborowskiego..., w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 201.
[24] Diariusz... Jana Zborowskiego..., tamże, s. 202.

ZDOBYCZE

[1] *Edykt Stefana Batorego z dnia 6 września 1580 roku spod Wielkich Łuk do szlachty polskiej przesłany*, wyd. A. Kraushar, Poznań 1894, s. 8.
[2] Diariusz... Łukasza Działyńskiego..., w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 235.
[3] R. Heidenstein, *Pamiętniki wojny moskiewskiej...*, s. 136.
[4] Diariusz... Łukasza Działyńskiego..., w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 238, 239.
[5] M. Bielski, *Kronika...*, s. 1477.
[6] Akta Sejmu Walnego warszawskiego in Anno 1581..., w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 290.
[7] J. D. Solikowski, *Krótki pamiętnik...*, s. 55—56.
[8] M. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego...*, t. 9, s. 290.
[9] Akta Sejmu Walnego warszawskiego in Anno 1581..., w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 286.
[10] M. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego...*, t. 9, s. 287.

AURATAE CONTIONES?

[1] R. Zieliński, R. Żelewski, *Olbracht Łaski. Od Kieżmarku do Londynu*, Warszawa 1982, s. 132.
[2] Tamże, s. 135.
[3] 27 lutego 1581 roku, *Wiadomości do dziejów polskich...*, s. 165.
[4] Akta Sejmu Walnego warszawskiego in Anno 1581..., w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 285—286.
[5] „Wszystkim jest wiadome, że pieniądze są nerwem wojny; ja ponadto uważam, że również czas jest tymże nerwem (...) Takie będzie wojny prowadzenie, jaki nerw." Tamże, s. 303, 313.
[6] K. Górski, *Druga wojna Batorego z W. Ks. Moskiewskim*, w: „Biblioteka Warszawska" 1892, t. IV, s. 26, za nim: D. Wójcik-Góralska, *Król niemalowany*, Warszawa 1983, s. 150.
[7] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 2, s. 42—43.
[8] Akta Sejmu Walnego warszawskiego in Anno 1581..., w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 314.
[9] *Wiadomości do dziejów polskich...*, s. 167.

TRZECIA SIŁA

[1] F. Koneczny, *Jan III Waza i misja Possevina*, Kraków 1901, s. 34.
[2] M. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego...*, t. 9, s. 291.
[3] J. Poplatek, *Powstanie seminarium papieskiego w Wilnie*, w: „Ateneum Wileńskie", t. 6, 1929, zesz. 1—2, s. 52.
[4] Papież Grzegorz XIII do Iwana Wasylewicza, wielkiego księcia Moskwy, Rzym 15 marca 1581 roku, w: A. Possevino, *Moscovia...*, s. 128.
[5] List księdza Tomasza Płazy do biskupa Marcina Kromera, Kraków 5 listopada 1578 roku, w: *Listy do Kromera*, wyd. S. Żukowski, „Dziennik Wileński", t. 5, Wilno 1817, s. 19—20.
[6] T. Wierzbowski, *Jakub Uchański, arcybiskup gnieźnieński...*, s. 675, 676.
[7] L. Boratyński, *J. A. Caligari, nuncjusz apostolski w Polsce 1578—1581*, Kraków 1915, s. 31—34.
[8] List Dominika Ridolfino do rodziny, Połock 21 lipca 1581 roku, K. Th., *Dominik Ridolfino, pułkownik w służbie Rzplitej Polskiej w XVI wieku*, w: „Przewodnik Naukowy i Literacki", 1878, s. 738.
[9] Akta Sejmu Walnego warszawskiego in Anno 1581..., w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 290.
[10] A. Possevino, *Istoriczeskije soczinienija o Rossii XVI w.*, tłum. z łaciny na ros. L. N. Godowikowa, Moskwa 1983, s. 9.
[11] List ks. Jana Piotrowskiego do p. marszałka koronnego, ok. 20 czerwca 1581 roku, w: J. Piotrowski, *Dziennik wyprawy Stefana Batorego pod Psków r. 1581*, Kraków 1894, s. 2.
[12] List od Narwita do p. gnieźnieńskiego (Jana Zborowskiego), Wilno 24 czerwca 1581 roku, w: *Dniewnik posledniego pochoda Stefana Batorija na Rossiju (osada Pskowa)*, wyd. M. Kojałowicz, Sankt Pietierburg 1867, s. 223.
[13] L. Boratyński, *J. A. Caligari...*, s. 18, przyp. 2.
[14] J. Poplatek, *Powstanie seminarium papieskiego...*, s. 57.
[15] List kasztelana chełmińskiego Jana Dulskiego do biskupa Kromera, 27 czerwca 1581 roku, w: *Listy do Kromera*, wyd. S. Żukowski..., s. 545.
[16] J. Piotrowski, *Dziennik...*, s. 21.
[17] M. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego...*, t. 9, s. 290.
[18] Arcyksiążę Ernest do cesarza Rudolfa II, 8 maja 1581 roku, w: *Wiadomości do dziejów polskich...*, s. 169.
[19] „Copia listu od wielkiego kniazia moskiewskiego, który Dzierżek dworzanin króla jm. przyniósł do Połocka die XV Julii, Anno MDLXXXI", w: *Dniewnik posledniego pochoda...*, s. 259.
[20] M. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego...*, t. 9, s. 291.
[21] J. Piotrowski, *Dziennik...*, s. 33.

[22] Nie był to zwyczaj powszechny, a raczej sekretnie praktykowany; na pełną sekcję zwłok potrzebna była bulla papieska, gdyż głowę uważano wówczas za siedlisko duszy.

[23] M. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego...*, t. 9, s. 292.

[24] Odpis Jego Królewskiej Mości na list Wielkiego Kniazia Moskiewskiego... z Zawołocza 2 sierpnia 1581 roku, w: *Dniewnik posledniego pochoda...*, s. 287—328. List został wysłany 6 sierpnia, por. J. Piotrowski, *Dziennik...*, s. 44.

[25] M. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego...*, t. 9, s. 292—293.

[26] Antoni Possewin do króla Polski Stefana I, wieś Bor 26 września 1581 roku, w: A. Possevino, *Moscovia...*, s. 135.

PSKOWSKA KORZYŚĆ A WŁASNA SKÓRA

[1] H. Kotarski, *Wojsko polsko-litewskie...*, w: „Studia i Materiały...", t. XVIII, cz. 1, 1972, s. 18, przyp. 82.

[2] List od podkomorzego rawskiego do p. marszałka koronnego, w: *Dniewnik posledniego pochoda...*, s. 286.

[3] *Polskie ustawy i artykuły wojskowe od XV do XVII w.*, wyd. S. Kutrzeba, Kraków 1937, s. 153—158.

[4] J. Piotrowski, *Dziennik...*, s. 45.

[5] List od księdza Wojciecha Baranowskiego (późniejszego prymasa) ad eundem (do marszałka koronnego Andrzeja Opalińskiego), Psków 17 września 1581 roku, w: *Dniewnik posledniego pochoda...*, s. 350.

[6] Uniwersał Stefana Batorego do ludności ziemi nowogrodzkiej, Woroniec 15 sierpnia 1581 roku, w: H. Kotarski, *Wojsko polsko-litewskie...*, „Studia i Materiały...", t. XVIII, cz. 1, 1972, s. 27—28.

[7] 3 sierpnia, J. Piotrowski, *Dziennik...*, s. 44.

«ZIELE» POD PSKOWEM

[1] List p. marszałka nadwornego (Andrzeja Zborowskiego) do p. marszałka koronnego (Andrzeja Opalińskiego), pod Pskowem 15 września 1581 roku, w: *Dniewnik posledniego pochoda...*, s. 354—355.

[2] *Pamiętniki Maskiewiczów*, oprac. A. Sajkowski, red. i słowo wstępne W. Czapliński, Wrocław 1961, s. 146.

[3] M. Karamzin, *Historia państwa rosyjskiego...*, t. 9, s. 295.

[4] S. Kochomskij, *Riecz proizniesiennaja w zasiedanii Pskogo Archilogiczeskogo Obszczestwa 8 sientjabria 1881 goda...*, Pskow 1881, s. 14. Natomiast w XVI-wiecznym dziele *Powiest' o prichożenii Stefana Batorija na grad Pskow*, red. W. I. Małyszew, Moskwa 1952 — nie ma.

[5] 30 sierpnia, J. Piotrowski, *Dziennik...*, s. 67.

[6] 12 października, tamże, s. 123.

[7] K. Górski, *Trzecia wojna Rzeczypospolitej z Wielkim Księstwem Moskiewskim za Batorego*, w: „Biblioteka Warszawska" 1892, rocz. 52, t. 6, s. 241.

[8] 12 września, J. Piotrowski, *Dziennik...*, s. 85. Por. T. Korzon, *Dzieje wojen i wojskowości...*, t. 2, s. 58.

[9] 4 listopada, J. Piotrowski, *Dziennik...*, s. 172—173.

PAX

[1] Pierwszy publiczny dialog o religii katolickiej z wielkim księciem Moskwy mający miejsce 21 lutego 1582 roku..., w: A. Possevino, *Moscovia...*, s. 84.

[2] Antoni Possewin do Iwana Wasylewicza, w. ks. Moskwy, pod Pskowem, październik 1581, w: A. Possevino, *Moscovia...*, s. 137.

[3] Stefan, król Polski, do Iwana Wasylewicza, wielkiego księcia Moskwy. List tłumaczony na łacinę z języka ruskiego, pod Pskowem 16 listopada 1581 roku, tamże, s. 138.

[4] T. Korzon, *Dzieje wojen...*, t. 2, s. 81.

[5] *Powiest' o prichożenii Stefana Batorija...*, s. 92. Jest to relacja oblężenia „ot żitieliej etogo goroda" Pskowa, s. 24.

[6] „Droga była cała pokryta lodem stąd, że kilka dni i nocy padał i tam deszcz". Król Stefan do Zamoyskiego, Dyneburg 18 grudnia 1581 roku, w: *Archiwum Jana Zamoyskiego 1580—1582*, wyd. J. Siemieński, t. 2, Warszawa 1909, s. 182.

[7] Król Stefan do J. Zamoyskiego, Wilno 28 grudnia 1581 roku, tamże, s. 186—187.

[8] Antoni Possewin do Stefana, króla Polski; wieś Czisenka 11 grudnia 1581 roku, w: A. Possevino, *Moscovia...*, s. 155.

[9] Król Stefan do J. Zamoyskiego, Wilno 8 stycznia 1582 roku, w: *Archiwum Jana Zamoyskiego...*, t. 2, s. 275.

[10] Antoni Possewin do Jana Zamoyskiego, Kiwerowa Horka 26 grudnia 1581 roku, w: A. Possevino, *Moscovia...*, s. 177.

[11] J. Natanson-Leski, *Epoka Stefana Batorego...*, s. 115.

[12] List jednego przyjaciela (J. Piotrowskiego) do p. marszałka wielkiego koronnego (Andrzeja Opalińskiego), pod Pskowem 17 stycznia 1582 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 344.

[13] Sesja szesnasta 7 stycznia i siedemnasta 8 stycznia 1582 roku, w: A. Possevino, *Moscovia...*, s. 220.

[14] Protest posłów królewskich przyjęty przez Antoniego Possewina, Kiwerowa Horka 15 stycznia 1582 roku, tamże, s. 224.

[15] *Akta metryki koronnej...*, w: „Źródła Dziejowe", t. XI, s. 225.

[16] Ustawnaja podwiertitielnaja gramota wileńskim prawosławnym kupcom, marzec 1582 rok, w: *Akty otnosjaszczijesja k istorii zapadnoj Rossii*, t. 3 (1544—1587), Sanktpietierburg 1848, s. 269 i n.

[17] K. Tyszkowski, *Polska polityka kościelna w Inflantach* (1581—1621), Gdynia 1939, s. 3—4.

[18] J. Natanson-Leski, *Epoka Stefana Batorego...*, s. 152—153.

[19] W. Müller, *Pamiętniki Millerowe do panowania Stefana Batorego*, Poznań 1840, s. I.

[20] Cyt. w: S. Kempski, *Władza buławy*, w: „Przegląd Historyczno-Wojskowy", t. 7, Warszawa 1934, s. 188—189, oraz H. Kotarski, *Wojsko polsko-litewskie...*, w: „Studia i Materiały...", t. XVIII, cz. 2, 1972, s. 84.

Część szósta

«DOSKONAŁOŚĆ LUDZKA»

[1] K. Th., *Dominik Ridolfino, pułkownik...*, s. 648—649. List wysłany z Warszawy 16 lutego 1580 roku.

[2] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 2, s. 203.

[3] W. Sobieski, *Syn ziemi siedmiogrodzkiej*, s. 30, przyp. 49.

[4] „Był to pan wysokiej urody i krasny dosyć, twarzy pociągłej, płci rumianoczarnej, włosów czarnych, a zębów dziwnie białych, nosa kęs zakrzywionego, z jakim pospolicie Atyllę malują" — pisał M. Bielski, *Kronika...*, s. 1535.

[5] Regimen morum in curia regia observandum a maresalcis constitutum, Warszawa 16 sierpnia 1576 roku, *Początki panowania w Polsce...*, w: „Źródła Dziejowe", t. IV, s. 54.

[6] J. Krzyżanowski, K. Żukowska-Bilip, *Dawna facecja polska (XVI—XVIII w.)*, Warszawa 1960, s. 157.

[7] *Bratankowie w krzywym zwierciadle*, oprac. István Csapláros, Warszawa 1986, s. 65—66.

[8] J. Wereszczyński, *Pisma polityczne...*, wyd. K. Turowski, Kraków 1858, s. 115.

[9] Por. W. Zakrzewski, *Stefan Batory, przegląd historii jego panowania i program dalszych nad nią badań*, Kraków 1887, s. 39.

[10] Enigma ucieszne do zabawy, w: J. Krzyżanowski, K. Żukowska-Bilip, *Dawna facecja polska...*, s. 251.

[11] Por. A. Kraushar, *Czary na dworze Batorego*, Kraków 1888, s. 35.

[12] Por. B. Kalicki, *Nobilitacje króla Stefana w wyprawie moskiewskiej 1579—1581*, w: „Album Lwowskie", wyd. A. Nowakowski, Lwów 1862.

[13] Tamże, s. 78.

[14] *Księgi podskarbińskie...*, w: „Źródła Dziejowe", t. IX, cz. II, s. 83.

[15] I. Acsády, *A magyar nemzet története*, szerkeszti S. Szilagyi, t. V, Budapest 1897, s. 499—500, patrz L. Bazylow, *Siedmiogród a Polska...*, s. 51, przyp. 1.

[16] Tamże, s. 179 i 230.

[17] List nuncjusza Bolognettiego z 17 września 1583 roku, w: K. Morawski, *Andrzej Patrycy Nidecki...*, s. 257.

[18] „Co za rozkosz, jak cudownie. Nie masz nic piękniejszego". A. Pawiński, *Stefan Batory jako myśliwiec. Akta metryki koronnej...*, w: „Źródła Dziejowe", t. XI, s. 44.

[19] E. Haraszti, *Etienne Bathory et la musique en Transylvanie*, w: *Etienne Batory, roi de Pologne, prince de Transylvanie*, Cracovie 1935, s. 74.

[20] Rzecz miała się dziać w 1579 roku w Wilnie podczas uroczystości Zwiastowania NMPanny, kiedy to król zwiedził nie tylko kolegium, ale po nabożeństwach wstąpił tam do kaplicy domowej, por. M. Morawski, *Zasługi króla Stefana Batorego dla Kościoła*, Włocławek 1927, s. 16.

[21] List księdza Tomasza Płazy do biskupa Marcina Kromera, 24 maja 1576 roku, w: K. Morawski, *Andrzej Patrycy Nidecki...*, s. 254.

[22] H. Barycz, *Szlakami dziejopisarstwa staropolskiego. Studia nad historiografią wieku XVI—XVIII*, Wrocław 1981, s. 49.

[23] W. Nehring, *O życiu i pismach Reinholda Heidensteina*, Poznań 1862, s. 26; *Pamiętniki do życia i sprawy Samuela i Krzysztofa Zborowskich*, wyd. Ż. Pauli, Lwów 1846, s. 203 i n., B. Kocowski, *Trzej padewczycy. Wpływ Batorego i Zamoyskiego na działalność Reinholda Heidensteina*, Lwów 1939, s. 144, przyp. 13.

[24] List z Bełzu 8 kwietnia 1585 roku, w: H. Barycz, *Szlakami dziejopisarstwa...*, s. 61, przyp. 38.

[25] W. Zakrzewski, *Stefan Batory...*, s. 91.

[26] M. Gumowski, *Medale Stefana Batorego*, Kraków 1913, s. 50—51.

[27] Nadanie poczty Sebastianowi Montelupi, Niepołomice 29 stycznia 1583 roku, w: *Pamiętniki do historii Stefana...*, s. 393.

[28] Uniwersał o ustanowieniu mennicy, Sandomierz 24 kwietnia 1578 roku, tamże, s. 394.

[29] Sposób założenia skarbu pospolitego podany na sejmie w Warszawie roku 1584, tamże, s. 399.

[30] W. Majewski, J. Teodorczyk, *Wojsko*, w: *Polska w epoce Odrodzenia...*, s. 297.

[31] „Czosnek tu czuć, Najjaśniejszy Panie." „Ja wonieję żołnierzem, ty zaś łajdakiem." *Ciekawe rozrywki, owoc jowialnego umysłu* (z XVII wieku), w: J. Krzyżanowski, K. Żukowska-Bilip, *Dawna facecja...*, s. 314.

POJECHAĆ DO RYGI

[1] J. D. Solikowski do Marcina Kromera, 22 maja 1582, w: K. Tyszkowski, *Polska polityka kościelna...*, s. 16—17.

[2] Opinia wydawcy E. Rykaczewskiego, *Relacje nuncjuszów apostolskich...*, t. 1, s. 453, przyp. 1.

[3] Instructio nuntiis..., Grodno 16 lipca 1582 roku, *Akta metryki koronnej...*, w: „Źródła Dziejowe", t. XI, s. 227—228.

[4] P. Piasecki, *Kronika...*, s. LXIII.

[5] 17 lipca 1581 roku, J. Piotrowski, *Dziennik...*, s. 23—24.

[6] Gramota korolewskaja lisnienskomu podstarostie panu Ostrowskomu, Brześć 8 listopada 1583 roku, w: *Akty otnosjaszczijesja k istorii zapadnoj Rossii...*, s. 277 i n.

[7] List króla Stefana do ks. Piotra Skargi, 29 sierpnia 1579 roku, w: T. Sygański, *Działalność ks. Piotra Skargi...*, s. 48.

[8] K. Th., *Dominik Ridolfino, pułkownik...*, s. 740.

[9] „Pamiętnik Sandomierski", t. 2, 1829, s. 50—51. Arcybiskup Solikowski pisze o czterech zakonnicach, jakie się ostały w Rydze, w: *Krótki pamiętnik...*, s. 56.

[10] List ks. Piotra Skargi do generała Akwawiwy, Ryga 21 kwietnia 1582 roku, w: T. Sygański, *Działalność ks. Piotra Skargi...*, s. 58.

[11] S. Vahtre, *Kroniki bałtyckie [inflanckie] XIII—XVIII wieku jako źródło historyczne*, w: „Zapiski Historyczne", t. XXXIV, Toruń 1969, s. 80 i n.

[12] Okrużnaja korolewskaja gramota radnym panom i gorodskim sapownikom, Grodno 21 stycznia 1584 roku, w: *Akty otnosjaszczijesja k istorii zapadnoj Rossii...*, s. 280.

[13] List ks. Jana Piotrowskiego do p. marszałka koronnego, Ryga 18 marca 1582, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 347.

[14] *Dniewnik posledniego pochoda...*, s. 13.

[15] W. Müller, *Pamiętniki...*, s. 53, 54.

[16] List ks. Jana Piotrowskiego do marszałka koronnego, Ludniki na Żmudzi, 14 kwietnia 1582, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 350.

[17] Instructio nuntiis..., Grodno 16 lipca 1582 roku, *Akta metryki koronnej...*, w: „Źródła Dziejowe", t. XI, s. 228—229.

[18] List ks. Jana Piotrowskiego do marszałka koronnego, Grodno 9 lipca 1582 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 362.

[19] L. Boratyński, *Stefan Batory i plan ligi przeciwko Turkom*, Kraków 1903, s. 47.

[20] Anonimowa relacja z powrotu króla Stefana Batorego z wojny inflanckiej do Warszawy, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 390—391.

[21] List nieznanego do biskupa Marcina Kromera, Łowicz 17 sierpnia 1582, w: *Listy do Kromera...*, „Dziennik Wileński", t. 6, 1817, s. 2.

[22] Anonimowa relacja z powrotu króla..., w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 391.

[23] Tamże, s. 392—400.

[24] Sejmu warszawskiego koronnego zgodne postulata i prośby panów posłów ziemskich..., Warszawa 23 października 1582 roku, tamże, s. 392—393.

[25] R. Heidenstein, *Pamiętniki wojny moskiewskiej...*, s. 269—270.

[26] Żegnanie JKMści przez p. Jakuba Niemojewskiego na sejmie walnym warszawskim 1582 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 401.

[27] R. Heidenstein, *Pamiętniki...*, s. 274.

[28] Relacja A. Bolognettiego z 29 grudnia 1582 roku, w: K. Morawski, *Andrzej Patrycy Nidecki...*, s. 311.

[29] R. Heidenstein, *Pamiętniki...*, s. 284.

[30] *Sprawy wojenne króla...*, s. 400—401.

MIĘDZY KRAKOWEM A STAMBUŁEM

[1] List ks. Tomasza Płazy do biskupa Marcina Kromera, Warszawa 17 marca 1583, w: *Listy do Kromera...*, t. 6, 1817, s. 4.

[2] K. Dopierała, *Stosunki dyplomatyczne Polski z Turcją za Stefana Batorego*, Warszawa 1986, s. 126—127.

[3] Tamże, s. 129, przyp. 394.

[4] Copia listu p. Oryszowskiego do Króla Jego Mości, co pod Połock przyniesiono, Czerkasy 3 lipca 1581 roku, w: *Dniewnik posledniego pochoda...*, s. 281.

[5] Copia listu od carewiczów tatarskich, którzy są w Czerkasach, do Króla Jego Mości, tamże, s. 281—283. Por. Michał Wiśniowiecki, kasztelan kijowski, do Jana Zamoyskiego, 5 lutego 1583 roku, w: *Archiwum Jana Zamoyskiego*, t. 3 (1582—1584), wyd. J. Siemieński, Warszawa 1913, s. 133.

[6] Copia listu od carewiczów tatarskich..., w: *Dniewnik posledniego pochoda...*, s. 281.

[7] Michał Wiśniowiecki, kasztelan kijowski, do Jana Zamoyskiego, 5 lutego 1583 roku, w: *Archiwum Jana Zamoyskiego*, t. 3, s. 133.

[8] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 2, s. 135.
[9] K. Dopierała, *Stosunki dyplomatyczne...*, s. 133, przyp. 414.
[10] List Mikołaja Brzeskiego, starosty kamienieckiego, do JKMści Stefana Batorego, Kamieniec [Podolski] 3 września 1583 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 402—403.
[11] List króla JMści do Marcina Kromera biskupa warmińskiego, Kraków 12 września 1583 roku, tamże, s. 404—405.
[12] L. Boratyński, *Stefan Batory i plan...*, s. 123.

POLITYCZNE VARIA

[1] J. D. Solikowski, *Krótki pamiętnik...*, s. 63.
[2] Por. A. Kraushar, *Stefan Batory w sprawie walk o niepodległość Niderlandów*, Lwów 1894, s. 5.
[3] *Archiwum Jana Zamoyskiego...*, t. 3, s. 161.
[4] Stefan Batory do Krzysztofa Batorego, obóz pod Gdańskiem 8 lipca 1577 roku, w: *Báthory István erdélyi...*, t. 2, s. 71.
[5] Por. L. Boratyński, *Stefan Batory i plan...*, s. 31.
[6] Celna opinia L. Bazylowa, *Siedmiogród a Polska...*, s. 27.
[7] Stefan Batory do Zygmunta Batorego, Wilno 10 czerwca 1581 roku, w: *Báthory István erdélyi....*, t. 2, s. 164.
[8] Por. L. Bazylow, *Siedmiogród a Polska...*, s. 37.
[9] B. Paprocki, *Herby rycerstwa polskiego*, Kraków 1584, s. 882—883.
[10] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 2, s. 146.
[11] J. Natanson-Leski, *Epoka Stefana Batorego...*, s. 148.
[12] List z Pragi 17 listopada 1578 roku. Por. np. list cesarza Rudolfa II z 11 lutego 1581 roku i odpowiedź biskupa wrocławskiego Marcina, w: *Wiadomości do dziejów polskich...*, s. 156 i n.
[13] „Psy, które Wasza Wysokość nam przysyła, z wdzięcznością przyjmujemy", król Stefan do Jerzego księcia legnicko-brzeskiego, Warszawa 8 października 1585 roku, tamże, s. 209.
[14] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 2, s. 196. Por.: K. Piwarski, *Historia Śląska*, Katowice—Wrocław 1947, s. 189 i Z. Boras, *Książęta piastowscy Śląska*, Katowice 1982, s. 432 i n.
[15] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 2, s. 149.

ŚCIĘCIE

[1] Diariusz... Łukasza Działyńskiego..., w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 233.
[2] List Jana Czerwińskiego do biskupa M. Kromera, 1 stycznia 1582 roku, w: *Listy do Kromera...*, t. 5, 1817, s. 546.

[3] Paprocki, *Herby rycerstwa polskiego*, s. 156, 158.
[4] *Czarnomorska burza, Pamiętniki o Samuelu Zborowskim*, zebrane przez L. Siemieńskiego, Poznań 1844, s. XII—XIII.
[5] Uniwersały w *Tekach Naruszewicza*. Por. K. Dopierała, *Stosunki dyplomatyczne Polski...*, s. 136, przyp. 433.
[6] Powrót króla Stefana Batorego z wojny inflanckiej do Warszawy..., w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 391.
[7] Por.: J. R. Nowak, *Węgry bliskie i nieznane*, s. 87.
[8] W. Müller, *Pamiętniki...*, s. 148—149.
[9] Tamże, s. 150—151.
[10] Lew Sapieha do Krzysztofa Radziwiłła, 12 września 1584 roku, w: J. Tazbir, *Świat panów Pasków*, s. 334.
[11] List Krzysztofa Zborowskiego do Samuela Zborowskiego, Kraków 17 lipca 1583 roku, w: *Pamiętniki o Samuelu Zborowskim...*, s. 29.
[12] Tamże, s. 30.
[13] Tamże, s. 28.
[14] *Pamiętniki o Samuelu Zborowskim...*, s. XIX. Por. np. W. Müller, *Pamiętniki...*, s. 152: „pies, co nie żywie, nie pokąsa".
[15] „...abyśmy tych okazji nie tracili i aby perswazje i słowa zostały wykorzystane, a jednocześnie miecz pokażemy", Król Stefan do Jana Zamoyskiego, Wysoki Dwór 17 kwietnia 1584 roku, w: *Archiwum Jana Zamoyskiego*, t. 3, s. 288.
[16] Jana Zamoyskiego list okólny, Kraków 12 maja 1584 roku, w: *Archiwum Jana Zamoyskiego*, t. 3, s. 293.
[17] Jan Zamoyski do Stanisława Szafrańca, około 19 maja, tamże, s. 305.
[18] Progres w sprawie Imci Pana Samuela Zborowskiego, w: *Pamiętniki o Samuelu Zborowskim...*, s. 45.
[19] Król Stefan do Jana Zamoyskiego, Grodno 23 maja 1584 roku, w: *Archiwum Jana Zamoyskiego*, t. 3, s. 312—313.
[20] „O Samuelu Zborowskim zatem stanowimy, aby z tym, który winien nam posłuszeństwo (poddanym), dłużej nie zwlekać, lecz zgodnie z prawem, jakie są i zezwalają w Rzeczypospolitej z tego prawa starosty skorzystać". Król Stefan do Jana Zamoyskiego, Grodno 23 maja 1584 roku, w: *Archiwum Jana Zamoyskiego*, t. 3, s. 312.
[21] „Respondimus illi non videri nobis, ut in eo negotio nos interponere debeamus insolita ratione, sed cum ventum erit ad comitia, ibi hac in re cum Zboroviis de privata iniuria via regia procedemus. Id quod Sinc. Vestrae significare voluimus", tamże, s. 313.
[22] Mowa Andrzeja Zborowskiego... z Krakowa miana 30 maja 1584 roku, w: *Pamiętniki do życia i sprawy Samuela...*, s. 106.
[23] List Jana Zborowskiego kasztelana gnieźnieńskiego do króla Stefana, tamże, s. 121.

[24] Mowa Krzysztofa Zborowskiego na sejmiku w Proszowicach 1 listopada 1584 roku, tamże, s. 136.

PRÓBA SIŁ

[1] List własnoręczny Jana Zamoyskiego do marszałka wielkiego litewskiego Mikołaja Radziwiłła, 15 lipca 1584 roku, w: *Listy Jana Zamoyskiego do Radziwiłłów od roku 1574—1602*, wyd. W. Nehring, „Kwartalnik Historyczny", Lwów 1890, t. 4, s. 497.
[2] List od ks. Gałczyńskiego do pana marszałka koronnego, Kraków 6 kwietnia 1585 roku, w: *Sprawy wojenne króla...*, s. 409.
[3] *Diariusze sejmowe roku 1585*, wyd. A. Czuczyński, Kraków 1901, s. 2. Cytaty bez odnośników — z tegoż dzieła.
[4] „I przed Baalem zgiąłbym kolana", w: *Pamiętniki do życia i sprawy...*, s. 38.
[5] *Pamiętniki do życia i sprawy...*, s. 187.
[6] *Diariusze sejmowe...*, s. 221.
[7] Z. Ossoliński, *Pamiętnik*, oprac. J. Długosz, Warszawa 1983, s. 133.
[8] List z Nieświeża 30 marca 1586 roku, w: *Archiwum domu Radziwiłłów...*, s. 21—22.
[9] W. Zakrzewski, *Stefan Batory, przegląd...*, s. 68.
[10] List z 16 kwietnia 1648 roku, w: J. Tazbir, *Świat panów Pasków*, s. 341.

NA STAMBUŁ CZY MOSKWĘ?

[1] 20 lutego 1585 roku, w: *Diariusze sejmu roku 1585...*, s. 254—255.
[2] Instrukcja na sejmik korczyński..., Sandomierz 1 maja 1578 roku, w: *Akta historyczne do panowania Stefana Batorego*, wyd. J. Janicki, Warszawa 1881, s. 63.
[3] L. Boratyński, *Stefan Batory i plan...*, s. 33.
[4] Tamże, s. 38.
[5] W. Zakrzewski, *Stefan Batory, przegląd...*, s. 122.
[6] P. Pierling, *Le Saint-Siège, la Pologne et Moscou*, Paris 1885, s. 127.
[7] L. Boratyński, *Studia nad nuncjaturą polską Bolognettiego (1581—1585)*, Kraków 1906, s. 25.
[8] L. Boratyński, *Stefan Batory i plan...*, s. 99.
[9] Zachowała się szyfrowana depesza A. Bolognettiego szczegółowo opisująca rozmowę z królem, odkryta przez L. Boratyńskiego, tamże, s. 102 i n. Następne cytaty — za nim.

[10] K. Th., *Dominik Ridolfino, pułkownik...*, s. 734.
[11] Relacja Grittiego z 27 września 1586 roku, w: L. Boratyński, *Stefan Batory i plan...*, s. 136, przyp. 4.
[12] *Diariusze sejmowe roku 1585...*, s. 420.
[13] W. Łoziński, *Prawem i lewem*, Kraków 1960, t. 2, s. 310.
[14] W. Zakrzewski, *Stefan Batory, przegląd...*, s. 130.
[15] L. Ranke, *Dzieje papiestwa w XVI—XIX wieku*, Warszawa 1974, s. 397.
[16] K. Dopierała, *Stosunki dyplomatyczne...*, s. 160.
[17] W. Zakrzewski, *Stefan Batory, przegląd...*, s. 109.
[18] R. Heidenstein, *Dzieje Polski...*, t. 2, s. 202.
[19] Sz. Budny, *O urzędzie miecza używającem*, Warszawa 1932, s. 38.
[20] J. Topolski, *Zagadnienia gospodarki w Polsce*, w: *Polska w epoce Odrodzenia...*, s. 166—167.
[21] L. Boratyński, *Stefan Batory, Hanza i powstanie Niderlandów*, Warszawa 1908, s. 175.
[22] List A. Possewina do księcia Parmy (Aleksandra Farnese) z Grodna 16 marca 1586 roku, w: L. Boratyński, *Stefan Batory, Hanza i...*, s. 189.
[23] Tamże, s. 322. Treść listu w oryginale: A. Kraushar, *Stefan Batory w sprawie walk o niepodległość Niderlandów (1586 roku)*, Lwów 1894, s. 3.
[24] L. Boratyński, *Stefan Batory, Hanza...*, s. 324—325.

«CZY TO PRAWDA, ŻE KRÓL POLSKI UMARŁ?»

[1] Prezes kamery śląskiej do cesarza, 30 lipca 1585 roku, w: *Wiadomości do dziejów polskich...*, s. 208.
[2] Rozmowa z królem Stefanem Andrzeja Opalińskiego marszałka w. k. po sejmie warszawskim w roku 1585, w: *Diariusze sejmowe...*, s. 419.
[3] P. Jasienica, *Ostatnia z rodu*, Warszawa 1975, s. 272.
[4] M. Bielski, *Kronika...*, s. 1532.
[5] Prawdziwa sprawa o chorobie i śmierci nieboszczyka Stefana Batorego, króla polskiego, w: *Pamiętniki do historii...*, s. 412.
[6] A. Knot, *Dwór lekarski Stefana Batorego*, Poznań 1928, s. 16.
[7] „Węgierski jest mi nienawistny", A. Kraushar, *Czary na dworze...*, s. 194.
[8] „...na wspólny pożytek Republiki Siedmiogrodzkiej daję", *Akta metryki koronnej...*, w: „Źródła Dziejowe", t. XI, s. 294—297. Por. *Báthory István erdélyi...*, t. 2, s. 298.
[9] J. Sygański, *Ks. Jakub Wujek...*, s. 38. Por. *Báthory István erdélyi...*, t. 2, s. 295—319.

[10] *Listy do Kromera...*, t. 6, 1817, s. 374.
[11] „Nie sądzę, by mi było dane żyć jeszcze dziesięć lat", list do Lwa Sapiehy z 23 kwietnia 1586 roku, w: W. Zakrzewski, *Stefan Batory, przegląd...*, s. 6.
[12] „W ręce Twe, Panie, oddaję duszę moją", w: J. Albertrandi, *Panowanie Henryka...*, s. 291.
[13] Z. Scheuring, *Czy królobójstwo? Krytyczne studium o śmierci króla Stefana Wielkiego Batorego*, Londyn 1964, passim.
[14] Prawdziwa sprawa o chorobie i śmierci..., w: *Pamiętniki do historii...*, s. 414.
[15] Por. T. Wierzbowski, *Krzysztof Warszewicki...*, s. 300.

STEFAN WIELKI?

[1] Z. Scheuring, *Czy królobójstwo?...*, s. 223.
[2] Pogrzeb Stefana Batorego w Krakowie dnia 23 maja 1588 roku, w: *Pamiętniki do historii...*, s. 423.
[3] *Bartosza Paprockiego dwie broszury polityczne z lat 1587—1588*, wyd. J. Czubek, Kraków 1900, s. IV.
[4] Por. J. Miączyński, *Lament matki korony polskiej...*, Płock 1586, Kraków 1882.
[5] Dziwne to zaiste słowa w ustach pisarza i mówcy, który bez specjalnego trudu zmieniał obiekty swych wzniosłych panegiryków, w zależności od sum, które mu płacono, por. T. Wierzbowski, *Krzysztof Warszewicki...*, s. 109.
[6] W. Sobieski, *Trybun ludu szlacheckiego*, s. 287 i n.
[7] Testamentum tertium Stephani regis, Niepołomice 12 maja 1585 roku, *Akta metryki koronnej...*, w: „Źródła Dziejowe", t. XI, s. 297.
[8] T. Korzon, *Dzieje wojen i wojskowości...*, t. 2, s. 84.
[9] A. Wyczański, *Polska — rzeczą pospolitą szlachecką 1454—1764*, Warszawa 1965, s. 231—234.
[10] H. Kotarski, *Wojsko polsko-litewskie...*, w: „Studia i Materiały...", t. XVIII, cz. 2, 1972, s. 84.
[11] S. Herbst, *Zarys dziejów wojskowości polskiej*, Warszawa 1965, t. 1, s. 403.
[12] H. Kotarski, *Wojsko polsko-litewskie...*, w: „Studia i Materiały...", t. XVI, cz. 1, 1970, s. 63.
[13] J. R. Nowak, *Węgry bliskie i nieznane*, s. 84.
[14] *Bartosza Paprockiego dwie broszury...*, s. 36, 37.
[15] Monumenta Hungarorum in Polonia (1575—1668), *Rationes Curiae Stephani Báthory regis Poloniae*, wyd. E. Veress, Budapest 1918, passim.

[16] J. R. Nowak, *Węgry bliskie i nieznane*, s. 87—88.
[17] Odpowiedź króla Stefana na przedmowę posłów przy pożegnaniu na sejmie w Warszawie 28 lutego 1585 roku, w: *Pamiętniki do życia i sprawy Samuela i Krzysztofa...*, s. 187.
[18] *Diariusze sejmowe roku 1585...*, s. 14.
[19] Por. J. Besala, *Stanisław Żółkiewski*, Warszawa 1988.
[20] Por. M. Tymowski, J. Kieniewicz, J. Holzer, *Historia Polski*, Paryż 1986, s. 116.
[21] „Trzy dziwy w Polszcze: król, kanclerz a kaznodzieja — wszystko mądre", J. Krzyżanowski, K. Żukowska-Bilip, *Dawna facecja polska...*, s. 551.
[22] C. M. Hort, *Three Famous Occultists; Dr John Dee*, London 1950, s. 58.
[23] W. Borowy, *Angielska relacja o Polsce z roku 1598*, w: „Przegląd Współczesny", Warszawa 1936, s. 294.
[24] Por. K. Morawski, *Andrzej Patrycy Nidecki...*, s. 312.
[25] T. Wierzbowski, *Krzysztof Warszewicki...*, s. 297.
[26] J.R. Nowak, *Węgry bliskie i nieznane*, s. 83.
[27] Tamże, s. 85.
[28] *Księga batoriańska...*, wyd. R. Mienicki, Wilno 1939.

INDEKS OSÓB

SPIS ILUSTRACJI

Na okładce: portret Stefana Batorego, malarz z kręgu Marcina Kobera, 4 ćw. XVI w. Olej. Zamek Królewski w Warszawie. Diapozytyw kolorowy wykonał M. Bronarski.

SPIS RZECZY